

ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

MINUTY

ALBATROS

SICARIO PO SKANDYNAWSKU

Obie strony liczą na jego lojalność.

Obie skazują go na śmierć.

W Szwecji jako tajny współpracownik policji został zdekonspirowany i porzucony przez tych, na zlecenie których działał. Cudem uszedł z życiem i musiał uciekać z kraju.

Trzy lata później Piet Hoffmann, który wyemigrował do Kolumbii, nadal działa pod przykrywką. Jako prawa ręka barona narkotykowego El Mestizo infiltruje kartel na zlecenie amerykańskiej agencji DEA.

Podwójne życie zapewnia mu dostatek i wygodę. Do czasu, aż rząd USA i mafia narkotykowa uznają go za wroga. Znów musi uciekać, nie wiedząc, której strony ma się obawiać bardziej. A jedyną osobą, na której pomoc może liczyć, jest komisarz szwedzkiej policji – jego największy wróg.

ANDERS
ROSLUND
BÖRGE
HELLSTRÖM

M I N U T Y

Z szwedzkiego przełożył
WOJCIECH ŁYGAŚ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ANDERS ROSLUND
(1961)

BÖRGE HELLSTRÖM
(1957–2017)

Duet szwedzkich autorów, który zasłynął thrillerami odznaczającymi się wyjątkowym realizmem. Roslund to znany dziennikarz specjalizujący się w tematyce społecznej i kryminalnej. Hellström był założycielem organizacji na rzecz zapobiegania przestępczości, zajmującym się problematyką szwedzkiego systemu penitencjarnego. Wspólnie napisali siedem powieści. Zadebiutowali w 2004 roku thrillerem **Bestia**, który został uznany za przez Szwedzką Akademię Literatury za Najlepszą Powieść Kryminalną Roku, podobnie jak opublikowane pięć lat później **Trzy sekundy**.

Obie powieści zostały sfilmowane; w ekranizacji tej drugiej, z 2019 roku, wystąpili Joel Kinnaman, Clive Owen, Rosamund Pike, a z polskich aktorów – m.in. Mateusz Kościukiewicz.

Trzy sekundy zapoczątkowały cykl powieści z Pietem Hoffmannem. Kolejne to **Trzy minuty** i **Trzy godziny**.

Tych autorów

DZIEWCZYNA, KTÓRA CHCIAŁA SIĘ ZEMŚCIĆ
ODKUPIENIE
DZIEWCZYNA W TUNELU
BESTIA
DWAJ ŻOŁNIERZE

Z Pietem Hoffmannem

TRZY SEKUNDY
TRZY MINUTY

oraz wkrótce

TRZY GODZINY

Tytuł oryginału:
TRE MINUTER

Copyright © Anders Roslund & Börge Hellström 2016
All rights reserved
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Wojciech Łygaś 2019

Redakcja: Marta Bogacka

Zdjęcie na okładce: Walter Morselli/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-725-1

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
tel. 691962519

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |

Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo

dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny,
hachi.media

Spis treści

O książce

O autorach

Tych autorów

ZAWSZE SAM

UFAJ TYLKO SOBIE

CZEŚĆ PIERWSZA

CZEŚĆ DRUGA

CZEŚĆ TRZECIA

CZEŚĆ CZWARTA

CZEŚĆ PIĄTA

NASTĘPNEGO DNIA

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

KOLEJNE CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

OD AUTORÓW

WIELKIE PODZIĘKOWANIA OD AUTORÓW

DEKLARACJA AUTORÓW

ZAWSZE SAM

ZAPOWIADAŁ SIĘ DOBRY DZIEŃ. Czasem już z góry wiadomo, że tak będzie.

Ciepły jak wczoraj, ciepły jak jutro. W taki dzień łatwiej się oddycha. Niedawno padał deszcz. Camilo powoli nabiera powietrza, zatrzymuje je w płucach i po trochu wypuszcza.

Wysiada z miejskiego autobusu, który kiedyś był pomalowany na czerwono i godzinę temu odjechał z przystanku w San Javier, Comuna 13. To dzielnica, w której stoją wieżowce i niskie domy. Część budynków nie ma całych ścian i znajduje się w dużej odległości od tego miejsca. Niektórzy twierdzą, że to brzydka dzielnica, ale on ma inne zdanie. Nic dziwnego, mieszka tam od urodzenia, to znaczy od dziewięciu lat. Zapachy są tam inne, nie takie jak tu, w centrum. Tutaj pachnie w nieznanym, fascynującym sposób. Duży targ pewnie był tu od zawsze, podobnie jak stoiska z rybami, mięsem, warzywami i owocami, a także małe restauracje dla trzech albo czterech gości. A ludzie, którzy się tutaj cisną, przepychają, tłoczą... Chyba nie wszyscy mieszkają tu od zawsze. Ludzie się rodzą, umierają, a ich miejsce zajmują inni. Teraz przebywają tu tylko ci, których widzi, ale gdy będzie starszy i większy, niektórych z nich już nie będzie, a ich miejsce zajmą nowi. Tak to się toczy.

Camilo przechodzi przez rynek, przeciska się przez tłum ludzi i kieruje w stronę La Galería. Ludzi jest jeszcze więcej niż w miejscu, gdzie stał poprzednio. Trochę tu brudno, ale jabłka, gruszki, banany i brzoskwinie, których stosy leżą na straganach i mają różne kolory, sprawiają, że to miejsce wygląda naprawdę ładnie. Camilo zderza się ze starszym mężczyzną i ten go beszta. Gdy podchodzi zbyt blisko toreb z dużymi, ciemnymi winogronami, owoce sypią się na ziemię. Camilo podnosi je i zjada tyle, ile zdąży, zanim skrzyczy go kobieta podobna do jego mamy. Słyszy te same przekleństwa, którymi obsypał go starszy mężczyzna, ale nie zwraca na nie uwagi, bo jest już przy następnym stoisku,

a po chwili przy kolejnym. Kiedy mija ostatnie skrzynki z rybami i roztopionym lodem – akurat ten zapach nie jest zbyt przyjemny, bo zdechłe ryby nie lubią ciepła i jeśli nie zostaną sprzedane przed południem, śmierdzą jeszcze bardziej – wie, że jest prawie na miejscu. Jeszcze tylko kilka kroków i w końcu widzi gromadkę chłopców. Siedzą na drewnianych ławkach i krzesłach przy ciężkich stołach, które nie należą ani do sprzedających, ani do kucharzy. Ktoś je po prostu ustawił na samym końcu placu. Dalej nie ma już nic. Chłopcy niczego konkretnego nie robią, tylko siedzą i czekają. On ma dopiero dziewięć lat, więc nie wysiadywał tu aż tak często jak oni, ale zachowuje się tak samo, jak wszyscy: siada na wolnym miejscu z nadzieją, że dzisiaj dostanie zlecenie. Do tej pory jeszcze nikt go nie zatrudnił. Pozostali chłopcy są trochę starsi od niego, mają po dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście lat. Dwaj z nich skończyli czternaście lat i przechodzą mutację. Ich głosy jakby przecinają powietrze, tracąc w nim oparcie, a gdy chłopcy zaczynają mówić, dźwięki wymykają im się z ust i rozchodzą na wszystkie strony. On też chce kiedyś być taki jak oni i zarabiać pieniądze, jak na przykład jego brat, Jorge. Jorge jest od niego starszy o siedem lat. Właściwie był, bo już nie żyje. Kiedyś w ich domu zjawili się policjanci. Poinformowali mamę, że w Río Medellín znaleziono zwłoki. Podejrzewali, że to jej syn, i dlatego przyszli spytać, czy mama mogłaby pojechać z nimi na identyfikację. Okazało się, że mieli rację. To był Jorge. Nie leżał w wodzie zbyt długo, więc można go było jeszcze rozpoznać.

– Cześć.

Camilo wita się. Robi to tak niepewnie, że wydaje się, że pozostali chłopcy nie tylko nie słyszeli jego pozdrowienia, ale nawet go nie zauważyli. Mimo to siada na brzegu jednej z ławek, na której siedzą inni chłopcy w jego wieku. Przyjeżdża tu w każde popołudnie po lekcjach. Chłopcy z mutacją, którzy tu bywają, w ogóle nie chodzą do szkoły. Nikt ich nie zmusza, więc spędzają tu całe dni i czekają. Dużo ze sobą rozmawiają, czasem się śmieją, ale cały czas

zerkają w stronę otwartej przestrzeni między ostatnimi straganami. Po jednej stronie leżą na nich stosy kalafiorów i główki białej kapusty przypominające miękkie futbolówki, po drugiej – wielkie ryby z oczami, które patrzą na niego, gdy przechodzi obok. Chłopcy zerkają w tamtą stronę i udają, że nie ma tam nic szczególnego, chociaż każdy z nich wie, że pozostali tylko udają, że tam nie patrzą. Prawda jest taka, że w rzeczywistości patrzą tylko w tamtą stronę, bo to zazwyczaj stamtąd przychodzą ONI, dlatego trzeba być w ciągłej gotowości. ONI to znaczy *clientes*. Tak ich tu nazywają.

Camilo głęboko oddycha i czuje, jak w jego żołądku tworzy się chmura – biała, puszysta i lekka. Jakby lekko wiało. Przyjemne uczucie obejmuje całe ciało, serce bije mu szybciej, a zaczerwienione policzki przybierają ciemniejszą barwę.

Dzisiaj. Tak bardzo mu na tym zależy.

Od samego rana czuł, że dzisiaj dostanie pierwsze zlecenie. Będzie miał to za sobą. Potem – jeśli je wykona, jak – stanie się mężczyzną. Na zawsze.

Na dworze robi się coraz duszniej, ale on nie ma kłopotów z oddychaniem. Miasto leży na wysokości pięciuset metrów nad poziomem morza. Większość z tych, którzy tu przychodzą za dnia – najczęściej są to klienci – skarży się na brak tlenu. Próbuje wciągnąć go więcej do płuc, aż mają wrażenie, że płuca im się kurczyły.

Jest! Pierwszy *cliente*.

Camilo widzi go w tym samym momencie, co pozostali chłopcy. Przeciąga się tak jak oni, wstaje z ławki i razem z nimi pędzi w jego stronę, a potem razem z nimi tłoczy się wokół niego. Mężczyzna jest gruby i łysy, ubrany w czarny garnitur i czarny kapelusz, oczy ma małe, ptasie, o czujnym spojrzeniu. Przygląda się tłumowi chłopców, którzy go otaczają i wyciągają do niego ręce. W końcu wskazuje na jednego z nich. Chłopak skończył jedenaście albo dwanaście lat i ma już na swoim koncie takie zlecenie. Po chwili obaj odchodzą z placu.

Cholera! Camilo przełyka łyżę. Pewnie więcej *clientes* dziś nie będzie.

Przecież to była jego kolej.

Upływa kolejna godzina i jeszcze jedna. Camilo ziewa i obiecuje sobie, że nawet na moment nie zamknie oczu, liczy, ile razy w ciągu minuty uniesie i opuści lewą rękę, nuci jakąś śmieszoną, dziecięcą piosenkę. To jedna z tych, które nie dają spokoju, gdy się je gdzieś usłyszy.

A więc dzisiaj też wróci bez zlecenia.

I wtedy widzi, że ktoś jednak idzie.

Jest pewien.

Mężczyzna kroczy zdecydowanym krokiem prosto w ich stronę.

A więc jednak ktoś przyszedł.

I znowu powtarza się poprzednia sytuacja. Chłopcy biegną w jego stronę, tłoczą się wokół niego i wyciągają ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mężczyzna jest silnie zbudowany, ale nie gruby, jak ten pierwszy, tylko raczej barczysty. Indianin albo Metys. Camilo od razu go rozpoznaje. Pochodzi z Cali i jest starszy od jego taty. Tak mu się w każdym razie wydaje, bo przecież nigdy taty nie widział, a mama niewiele o nim mówi. Indianin, a właściwie Metys, daje zlecenia zazwyczaj Enrique, ale ten od pewnego czasu nie przychodzi na plac. Enrique miał już siedemnaście takich zleceń.

Chłopcy czekają z nadzieją. Zazwyczaj na placu zjawia się dwóch klientów, więc to ostatnia okazja tego dnia. Za chwilę rozejdą się do domów i znowu się okaże, że niepotrzebnie tracili czas. Otaczają więc Metysa i udają dorosłych. Ten przygląda im się uważnie.

– Wszyscy już to robiliście?

Chłopcy potwierdzają zgodnie.

– *Sí!*

Tylko Camilo milczy. Nie może podnieść ręki i potwierdzić, bo musiałby skłamać, a tak nie wolno. Za to inni chłopcy wykrzykują, że mają na swoim koncie osiem...

dwanaście... dwadzieścia jeden zleceń. W końcu mężczyzna zatrzymuje wzrok na nim.

– A ty? – pyta.

– Nigdy... to znaczy jak na razie.

Camilo jest pewien, że mężczyzna patrzy już tylko na niego.

– W takim razie swoje pierwsze zlecenie dostaniesz ode mnie. I to zaraz.

Camilo prostuje się, żeby wyglądać na wyższego, i próbuje zrozumieć, że to, co właśnie usłyszał, jest prawdą: dzisiaj robi to po raz pierwszy, a jutro, gdy będzie siedł między straganami, wszystko będzie inne. Chłopcy popatrzą na niego z szacunkiem, bo swój pierwszy raz będzie miał za sobą.

Samochód stoi źle zaparkowany w pobliżu placu, przed La Galería. Mercedes klasy G, czarny i kanciasty. Na dachu ma chyba ze cztery wielkie reflektory. Są szerokie i solidne, można je obracać w różnych kierunkach. Do tego mocne szyby, przez które nic nie widać, nawet przez przednią. Camilo wie, że są kulo odporne. W samochodzie pachnie zwierzętami, bo nowe wozy tak pachną. Siedzenia są miękkie, zrobione z białej skóry. Metys przekręca kluczyk i samochód prawie bezszelestnie rusza. Camilo zajmuje miejsce w fotelu dla pasażera. Co jakiś czas, kiedy mu się wydaje, że Metys tego nie widzi, zerka na niego. Mężczyzna jest tak wysoki, że głową prawie dotyka sufitu. Kwadratowa twarz, kwadratowe ciało... w pewnym sensie przypomina samochód, który prowadzi. Ma krótki, gruby warkocz, kojarzący się ze spalonym bochenkiem chleba, związany gumką ze złotymi, błyszczącymi nićmi. Nie odzywają się, dwadzieścia minut jadą przez miasto, które zmienia kształt – zniszczone i brudne stają się zadbane i drogie, by potem znowu zmienić się w zniszczone. Przejechali przez Carrera 43A i zjechali w węższą ulicę, która na pewno ma jakąś nazwę, ale brakuje oznakowania. W końcu samochód zatrzymuje się. Camilo szuka wzrokiem tabliczek z nazwami ulic. Stoją na skrzyżowaniu Carrera 32 i Calle 10. W tej

okolicy znowu robi się drogo. Dzielnica nazywa się El Poblado, ale on nigdy tu nie był. Ładnie, powiedziała jego mama. Pewnie: ludzie mieszkają tu we własnych domach, mają własne trawniki i po dwa samochody na podjeździe, chociaż do centrum wcale nie jest daleko.

Z tego miejsca dom jest dobrze widoczny, za to ich nikt nie widzi. Metys wskazuje palcem.

– To tam – mówi. – Ona stoi w oknie, na samym końcu. To twoje zadanie.

Camilo widzi kobietę. Kiwa głową. Bierze ręcznik, kładzie go na kolanach i rozwija. Patrzy na broń. To zamorana – wyprodukowany w Wenezueli, piętnastostrzałowy pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Takie rzeczy się wie. Jorge prawie wszystkiego go nauczył.

– Wiesz, co robić? – pyta Metys.

– Tak.

– Jak strzelasz?

– Robiłem to wiele razy.

Camilo nie kłamie. Naprawdę ćwiczył strzelanie z Jorge, z takiego samego pistoletu, tylko tamten był stary. Jorge pożyczył go od kogoś, kogo on, Camilo, nigdy nie widział. Strzelali na pustyni za miastem, w La Maiala.

– To dobrze. Spotkamy się za dwie godziny. W tym samym miejscu, przed tą samą galerią. Dotrzesz tam sam.

Camilo czuje, że serce wali mu jak młotem. Rozsadza go radość, nadzieja, ale również strach i podniecenie.

Sicario – płatny morderca.

Kiedy wóz zniknął za rogiem, podchodzi do kępy rosnących przy drodze drzew i siada pod jednym z nich. Będzie mógł stąd obserwować dom, okno i kobietę, która w nim stoi i niczego się nie spodziewa.

Ma zieloną sukienkę. Nie jest aż tak stara, jak myślał. Kobieta wchodzi do kuchni i robi coś, czego on nie widzi. Camilo przykręca do lufy tłumik, tak jak nauczył go Jorge, i wsuwa pociski do pięciu komór magazynka, który też był owinięty w ręcznik. Teraz musi się tylko skupić.

Jorge zwykł mawiać: skoncentruj się, braciszku, oddychaj powoli i zamknij oczy, myśl o czymś, co lubisz. Dlatego teraz będzie rozmyślał o łodziach. Lubi duże żagłówki, które płyną z wiatrem – powoli, jeśli wiatr jest słaby, i szybko, jeśli wieje mocno. Nigdy w życiu nie żegłował, ale tak często o tym myślał, że jest pewien, że wie, jakie to uczucie.

Za dwie minuty będzie po wszystkim.

Wstaje z chodnika, wkłada pistolet za pasek spodni i sprawdza, czy zakrywa go koszula. Potem podchodzi do drzwi wejściowych budynku, który wskazał mu Metys.

Krata. Drzwi bezpieczeństwa. Grube, z dodatkowym zabezpieczeniem. Już kiedyś takie widział. Sięga do dzwonka i naciska go.

Kroki. Ktoś się zbliża, patrzy przez wizjer. Camilo widzi cień.

Wyjmuje zza spodni pistolet, naciska mały guzik znajdujący się przy kolbie i odbezpiecza go w chwili, gdy kobieta zdejmuje łańcuch i otwiera drzwi. Nie bała się. Przecież zobaczyła dziewięcioletnie dziecko.

Camilo patrzy jej w oczy, tak jak opisywał to Jorge. Unosi pistolet i celuje w górę, bo kobieta jest od niego znacznie wyższa.

Pistolet trzyma dwiema dłońmi, tak jak uczył go Jorge.

Pociąga za spust. Dwa razy.

Pierwszy pocisk trafia kobietę w klatkę piersiową i odrzuca ją w tył. Kobieta chwije się i patrzy na niego zdumionym wzrokiem. Camilo oddaje drugi strzał. Tym razem celuje w głowę.

Kobieta osuwa się na podłogę jak liść opadający z drzewa. Jest oparta plecami o futrynę, w czole ma dziurę, z której tryska krew. Nie upada jednak na plecy ani na bok. Jest zupełnie inaczej, niż Camilo to sobie wyobrażał, nie tak jak na filmach.

Kiedy jest po wszystkim, wsiada do autobusu i zajmuje miejsce z tyłu. Czuje się tak jak niedawno – serce bije mu jak młotem ze szczęścia i podniecenia, ale już się nie boi.

Wykonał swoje pierwsze zlecenie. Będzie to po nim widać, wie o tym, bo przecież codziennie widzi innych chłopców.

Samochód czeka na niego w tym samym miejscu, w pobliżu placu. Metys siedzi za kierownicą, gruby warkocz spada mu na plecy. Camilo puka w boczną szybę i drzwi od strony pasażera otwierają się.

– Załatwione?

– Tak.

Metys odbiera od niego pistolet i wyjmując z niego magazynek. W środku są jeszcze trzy pociski.

– Zużyłeś dwa naboje?

– Tak. Jeden w pierś, drugi w czoło.

On. *Sicario*.

Wsiada do autobusu, a ponieważ tył jest wypełniony, zajmuje jedyne wolne miejsce, tuż za kierowcą. Oddał pistolet i ręcznik, dostał dwieście dolarów. Policzki ma ciepłe i zaczerwienione. Dwieście dolców! W prawej kieszeni! Banknoty są tak samo ciepłe jak policzki, palą go w udo, jakby chciały się wydostać na zewnątrz, pokazać się wszystkim pasażerom, którzy tego wieczoru jadą autobusem i nie mają w kieszeniach dwustu dolarów, nawet gdyby policzyć ich razem.

Sześć stref położonych wzdłuż Río Medellín tworzy szesnaście gmin i dwieście czterdzieści dziewięć *barrios*. Camilo jedzie do San Javier, na zboczach Comuna 13. Jest tam jego dom. Tyle razy tędy jechał, z mamą i z Jorge albo sam, ale nigdy przedtem nie czuł się tak jak teraz. Rozsiada się wygodnie na twardym siedzeniu i rozmyśla o domu: jest w nim ciasno, panuje w nim hałas i bałagan. Wsiądnął na ostatnim przystanku, pobiegł do domu i jeszcze zanim go zobaczy, zacznie wołać „Mamo, będziemy mieć lodówkę, przecież obiecałem, że załatwię” i da jej połowę pieniędzy. Już widzi, jaka będzie z niego dumna. Potem pójdzie do sypialni, gdzie znajduje się jego tajny schowek – płaskie blaszane pudełko po czekoladkach. Włoży do niego drugi banknot studolarowy – swoją pierwszą setkę.

UFAJ TYLKO SOBIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

GDY ŚWIT PRZECHODZI W DZIEN, gdy lipiec staje się sierpniem, a koniec początkiem...

Piet Hoffmann opuścił boczne szyby kabiny ciężarówki i od razu zrobił się przeciąg. Nie było jeszcze ósmej, ale z powodu upału czuł ucisk w skroniach. Lśniące strużki potu ściekały mu po ogolonej głowie. W kabinie huczał wiatr.

Gdy koniec starego staje się początkiem nowego i dlatego nigdy się nie kończy. Właśnie mijają trzy lata, od kiedy przybył do kraju, w którym nigdy przedtem nie był.

Ucieczka. Pustka. Życie, które stało się walką o przeżycie.

Zmniejszył nacisk stopy na pedał gazu i tak, jak uzgodnili, zredukował prędkość do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sprawdził odległość dzielącą go od jadącej przed nim ciężarówki. Dwieście metrów, tak ustalili.

Od kiedy zjechali z drogi krajowej numer sześćdziesiąt pięć, upłynęło dużo czasu. Po lewej stronie, wśród gęstych krzewów, płynęła Río Caquetá wyznaczająca granicę z prowincją Putumayo. Towarzyszyła im od godziny i chociaż trzymała się na odległość, uparcie ich nie odstępowała. Hoffmann żuł liście koki, które pozwalały mu zachować czujność. Pił też białą herbatę, która go uspokajała. Od czasu do czasu, przed każdą dostawą, wypijał mieszankę, którą wciskał mu El Mestizo. Była to jego własna wersja colady z mąki, wody i cukru, do tego mnóstwo kubańskiego espresso. Napój smakował okropnie, ale działał. Znikały głód i zmęczenie.

Wiele razy, zwłaszcza w ostatnim roku, sądził, że koniec naprawdę oznacza koniec, że istnieje szansa na powrót do domu. Do Europy, do Szwecji, do Sztokholmu, który dla niego, Zofii, Rasmusa i Emila był całym wspólnym światem. Niestety, za każdym razem szansa wymykała mu się z rąk, pustka coraz bardziej się pogłębiała, a on znowu musiał uciekać.

Dziś wieczorem znowu ich zobaczy. Kobiętę, którą kocha, chociaż nie sądził, że umie kochać, i dwójkę chłopców,

których kochał chyba jeszcze bardziej. A przecież nigdy nie chciał mieć dzieci. Czasem, gdy próbował sobie przypomnieć, jak to było, gdy tego wszystkiego nie miał, w jego głowie robiła się pustka, jakby te wspomnienia w ogóle nie istniały.

Lekko zahamował, bo podjechał za blisko ciężarówki. Powinien zachować stałą odległość. To ważna zasada. To on odpowiada za bezpieczeństwo obu wozów. Żeby ich przepuszczono, musieli zapłacić. W takich miejscach chłopcy dorastają i marzą o tym, aby zostać policjantami albo wojskowymi, ale nie dlatego, że chcą łapać bandytów albo chronić ludzi, tylko dlatego, że policjanci i wojskowi mogą dorobić do skromnego wynagrodzenia mnóstwo pieniędzy, biorąc od takich jak oni wysokie łapówki.

Wczoraj zajmował się ochroną. To samo dzisiaj i jutro. Transporty, ludzie. Dopóki robi to lepiej od innych, nikt nie będzie kwestionował jego metod. Gdyby El Mestizo albo ktoś z PRC choć na chwilę zwątpił, czy jest tym, za kogo się podaje, gdyby odkryto jego prawdziwą tożsamość, on, Zofia i ich synowie natychmiast straciliby życie. Dlatego każdego dnia i w każdej sekundzie musiał grać swoją rolę.

Zasunął szyby, bo upał nieco zelżał. Przeciąg osuszył strumienie potu pod sprzętem, którym był obwieszony. Miał na sobie kuloodporną kamizelkę z dwiema kieszeniami, które sam naszył. Trzymał w nich odbiornik GPS ze współrzędnymi tras i telefonem satelitarnym z zasięgiem w całej dżungli. W kaburze trzymał pistolet z fabryki w Radomiu z czternastoma pociskami w magazynku. Przyzwyczał się do niego podczas kilkuletniej pracy pod przykryciem w polskiej mafii. Płaciły mu za to władze Szwecji. W dodatkowej kaburze pod pachą trzymał nóż myśliwski z drewnianą rękojeścią, który tak dobrze leżał mu w ręce. Niedawno naostrzył klingę. Ma ten nóż od bardzo dawna, jeszcze zanim go skazano i zanim trafił do więzienia. Takim nożem można wyrządzić naprawdę wiele zła. Na bocznym siedzeniu leżał karabin, Mini Uzi ze składaną kolbą. Szybkostrzelność – dziewięćset pięćdziesiąt pocisków

na minutę. Nie za długi, tak jak lubił, i dobrze leżał mu w dłoni. Na pace za kabiną wiózł karabin Psg 90 przymocowany do burty dwoma hakami. Zabierał go zawsze, gdy w trasę wyjeżdżali ciężarówkami. Takiej broni używają strzelcy wyborowi. Na każdą sztukę broni miał licencję wystawioną przez El Cavo z Bogoty. Kosztowało go to odpowiednio dużo zwitków banknotów.

Wreszcie minęli niemalowaną szopę stojącą przy drodze, tuż przed wysokimi drzewami, które od dawna były martwe i nagie – pozbawione kory gałęzie zdawały się czekać na coś, co nigdy nie przyszło. Za szopą skręca w prawo, przejadą dziesięć kilometrów po żwirowej błotnistej drodze, zbyt wąskiej i pełnej nieregularnych, głębokich na pół metra dziur wypełnionych wodą. Pieprzone kartoflisko. Trzydzieści kilometrów na godzinę, bo szybciej po tych wertepach się nie da. Podjechał bliżej ciężarówki, zmniejszając dystans o połowę. Dzielilo ich jakieś sto metrów.

Nigdy wcześniej nie transportował towaru do tej *cociny*. Zresztą to nieważne, bo wszystkie i tak wyglądały tak samo i pełniły tę samą funkcję: z liści koki ekstrahowano ponad sto kilogramów proszku na tydzień. Została im godzina jazdy przez tereny zapomniane przez Boga i kontrolowane przez partyzantkę PRC. Kiedyś rządziła tu FARC. Są tu laboratoria należące do PRC albo tych, którzy dzierzawią od PRC ziemię i płacą haracz za zgodę na uprawę i produkcję. Na samym początku wydawało mu się, że wszystkim rządzi mafia. W takiej świadomości dorastał, tak powstają mity, które później się utrwalają. Teraz już wiedział, że to nieprawda. Być może mafia rządzi w Kolumbii i śpi na pieniądzach, ale bez tych, którzy rządzą w dżungli, przestałaby istnieć. Mafia, państwo, grupy paramilitarne i wiele innych organizacji, które wzajemnie się zwalczają. Jednak bez PRC nie mają żadnej władzy, bo żeby wyprodukować kokainę, potrzebne są lasy i liście koki. Nie da się ich uprawiać na terenach kontrolowanych przez partyzantów bez ich zgody.

– Cześć.

Miał zadzwonić później, ale bardzo tęsknił za jej dłońmi, którymi dotykała jego policzków. Za jej spojrzeniem, w którym dostrzegał, że dobrze mu życzy, kocha go, wiele wytrzymała i wciąż mu ufa.

– Cześć.

Ostatnim razem nie odzywał się przez siedem dni. Teraz było podobnie, ale tak to właśnie wygląda – duże odległości, długie czekanie, długie noce. Wytrzymywał tylko dlatego, że i ona wytrzymywała. Nie mieli wyboru. Gdyby go tu nie było, nie mieliby z czego żyć. Powrót do Szwecji oznaczałby dla niego więzienie. A jeśli przestanie odgrywać swoją rolę, umrze.

– Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też.

– Zobaczmy się dziś wieczorem, a może nawet po południu.

– Całuski.

Powinien coś odpowiedzieć, ale połączenie zostało przerwane. Czasem tak bywa. Zadzwoni później.

Wąska droga przypominała momentami ścieżkę. Coraz bardziej się zwężała, za to dziury robiły się coraz szersze. Hoffmann z trudem utrzymywał właściwą odległość. Czasem pierwszy samochód znikał mu za zakrętem albo za wzniesieniem. Właśnie udało mu się wyciągnąć z dziury tylne koło, gdy daleko przed sobą ujrzał dwa światła hamulcowe. W ostrych promieniach słońca błyszczały jak para czerwonych oczu. Błąd. Pierwsza ciężarówka nie powinna zwalniać ani się zatrzymywać. Nie tu i nie teraz. To on zaplanował całą marszrutę i on za wszystko odpowiada. Wyraźnie mówił, że nie powinni bez uprzedzenia zwalniać do dwudziestu pięciu na godzinę.

– Uważajcie.

W posrebrzanym odbiorniku usłyszał głos El Mestizo. Hoffmann pokręcił potencjometrem, żeby go lepiej słyszeć.

– Zatrzymaj się.

Hoffmann zahamował i zatrzymał się, tak jak El Mestizo, który stał jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt metrów przed nim. Dopiero teraz zobaczył, co się stało, chociaż widok przesłaniał mu krzaki i ostry zakręt. Drogę zagradzał im ustawiony w poprzek ciemnozielony wóz terenowy. Było ich tam więcej. Hoffmann doliczył się czterech pojazdów wojskowych. Stały w rzędzie, tworząc półkole przypominające uśmiech, który rozciągał się od jednego drzewa do drugiego.

– Czekaj...

W odbiorniku rozległy się głośne trzaski i zagłuszyły słowa El Mestizo, który przepiął mikrofon wielkości szpilki na kołnierz koszuli i przełączył go na nadawanie.

Hoffmann nie wyłączył silnika, tylko wpatrywał się w stojący w poprzek drogi pojazd. Może to zwykli żołnierze? Tylko skąd? Przecież już dostali swoją dolę. A jeśli to jakaś grupa paramilitarna? W takim razie mają problem. El Mestizo nie ma takich jak oni na swojej liście płac.

Nagle drzwi samochodów otworzyły się i jak na komendę zaczęli z nich wyskakiwać żołnierze w zielonych mundurach. Byli uzbrojeni w broń automatyczną, ale na razie zachowywali się spokojnie. Hoffmann dopiero teraz się zorientował.

To nie była żadna grupa paramilitarna, bo ci mieli inne mundury. Odetchnął z ulgą. El Mestizo pewnie też, bo jego głos nie był już taki ochryply. Robił się taki tylko wtedy, gdy Metys stawał się czujny albo coś wzbudzało jego podejrzliwość.

– Wiem, kim są. Odezwę się.

Drzwi kabiny ciężarówki, w której jechał El Mestizo, otworzyły się. Był on ciężkim, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Mimo to lekko zeskoczył na gliniaste podłoże.

– Kapitanie Vásquez... Co tu się dzieje?

Nadajnik na kołnierzu przestał trzeszczeć, dźwięk był teraz jasny i czysty. Także wtedy, gdy nastąpiła przedłużająca się cisza. W końcu Vásquez rozłożył ręce.

- Jak to co się dzieje?
- Twoje wozy tarasują nam drogę.
- Mmm... Zgadza się. Właśnie to robimy.

W tonie jego głosu było coś, co Hoffmannowi wcale się nie podobało. Czegoś w nim brakowało: rezonansu, głębi. Kiedy człowiek chce zrobić coś złego, nieświadomie napina struny głosowe, co wpływa na sposób artykułowania dźwięków. Hoffmann uniósł się ostrożnie z siedzenia, otworzył tylną szybę i wydostał się przez okno na pakę okrytą plandeką. Karabin wisiał na dwóch zaczepach. Uwolnił je, rozłożył podstawek, położył się i wysunął lufę przez specjalnie do tego celu zrobiony otwór w brezencji.

- Za wszystko zapłaciliśmy.
- Za mało.

Dzięki lunecie wszystkich miał na muszce. Wydawało mu się, że stoi blisko nich, a nawet między nimi: El Mestizo po jednej stronie, kapitan Vásquez po drugiej.

- Dostałeś tyle, ile chciałeś, Vásquez.
- Powtarzam: to za mało.

Hoffmann widział ich z bliska, wydawało mu się, że mógłby dotknąć twarzy El Mestizo, a właściwie Johnny'ego, bo coraz częściej tak go nazywał. Twarz mu lśniła, jak zawsze, gdy wyjeżdżali z Cali albo z Bogoty do dżungli. Miał zacięte usta i oczy myśliwego. Kiedyś go przerażały, ale nauczył się je lubić, chociaż często z łagodnych zmieniały się w bezwzględne. Widział też twarz Vasqueza – czarne jak węgiel gęste wąsy, z których kapitan tak bardzo był dumny, i brwi sterczące jak dwie anteny. Wyglądał jak zawsze, a zarazem inaczej. Jego głos miał inne brzmienie, ruchy też były inne – nie popędliwe i porywcze, lecz pewne. Powolne, zbyt mocno akcentowane, jakby chciał, żeby rozmówca skupił całą uwagę na nim. Był inny niż wtedy, gdy z nim negocjowali, a za to, żeby przepuścić bez kontroli trzy transporty, odpalili mu dołę w brudnej restauracji za kościołem w miejscowości Florencia. Wtedy Vásquez zjawił się w cywilnym ubraniu, wyglądał na podenerwowanego, poruszał się niepewnie, mówił przerywanym głosem.

Uspokoił się dopiero wtedy, gdy rozerwał kopertę i mrużąc coś do siebie, przeliczył banknoty.

– Nie powiedziałeś mi, że transport będzie tak duży. Okłamałeś mnie.

– Zawarliśmy umowę.

– Nie wiedziałem, że transport będzie tyle wart. Teraz już wiem.

Hoffmann obserwował ich przez lunetę na karabinie. Skupił uwagę na oczach El Mestizo. Już wiedział, że za chwilę dokona się w nich zmiana. Za każdym razem odbywało się to w przyspieszonym tempie: powiększone źrenice, które szykowały się do ataku i dlatego musiały zgromadzić więcej światła i siły.

– Żartujesz? Już dostałeś zapłatę.

– Chcę tyle samo jeszcze raz. – Vásquez wzruszył ramionami i wskazał ręką na ciężarówki i stojących przed nimi czterech młodych mężczyzn. Jak na dany znak położyli palce na spustach, nie unosząc broni. Hoffmann domyślił się, że to umówiony sygnał.

Poprawił ustawienie lunety i skierował lufę w głowę Vasqueza, w punkt położony między brwiami.

– Już dostałeś tyle, ile chciałeś.

– To ty tak uważasz. Ja twierdzę inaczej.

– Ostrzegam cię, *Il Capitano*.

Temperatura dwadzieścia siedem stopni. Hoffmann przyłożył dłoń do lunety. Bezwietrznie. Ujął małe pokrętło między palec wskazujący a kciuk. Odległość dziewięćdziesiąt metrów. Przekręcił, ustawił na innej kresce.

TPH jeden. Transport w prawo jeden.

Obiekt na celowniku.

– Ostrzegam cię, Vásquez... sam wiesz najlepiej, że w dżungli nietrudno o wypadek. Dlatego posłuchaj, co ci powiem: nie dostaniesz ode mnie ani grosza więcej.

Hoffmann obserwował przez lunetę, jak Vásquez marszczy czoło i ściąga brwi. Właśnie usłyszał wyraźną groźbę, więc od razu zareagował.

– No cóż... w takim razie...

Jego pewność siebie i opanowanie – cechy, którymi emanował jeszcze przed chwilą – w jednej chwili zamieniły się w agresję.

– ...konfiskuję transport.

Hoffmann wiedział, co się za chwilę stanie. Coś, czego nie chciał. Przyłożył do spustu prawy palec wskazujący. Nie może zawieść. Musi przeżyć. Oficjalnie jest tu po to, żeby chronić El Mestizo. On w to wierzy. I niech tak zostanie.

Oddychał równomiernie i spokojnie, przez nos i usta. Czuł, jak ogarnia go spokój, był w pełni opanowany. Zabił siedmiu ludzi, w tym pięciu, od kiedy zjawił się w tym kraju. Tego wymagała sytuacja. Musiał to zrobić. Nie mógł pozwolić, żeby jego prawdziwa tożsamość wyszła na jaw.

Ty albo ja.

A ponieważ bardziej zależy mi na sobie niż na tobie, wybieram siebie.

Ludzie, których zabijał, żyli z handlu narkotykami i stopniowo wysysali z innych życie. Na przykład taki Vásquez – zwykły urzędnik państwowy, oficer armii kolumbijskiej. Zachowywał się jak wielu innych. Dostosował się do systemu i żył z łapówek.

– Twoja ciężarówka należy do mnie...– Vásquez był uzbrojony, przez lewe ramię miał przewieszony karabin automatyczny, przy prawej kieszeni spodni wisiała kabura. Nagle szybkim ruchem wyciągnął z niej rewolwer i przyłożył El Mestizo do skroni. – A ty jesteś aresztowany.

Głos kapitana docierał do Hoffmana słabiej niż przed chwilą, jakby coś ich nagle rozdzieliło. Pojawiły się głośne, metaliczne kliknięcia. Vásquez odciągnął kurek. Bębenek lekko się obrócił, pocisk znalazł się w lufie.

Wdech, wydech.

Hoffmann wiedział, co robić. Działał automatycznie. Był w swoim świecie, czuł się w nim bezpiecznie. Strzał, trafienie. Bez zbędnego przelewu krwi. Za każdym razem wystarczyło zabić przywódcę, a wtedy reszta musiała myśleć o sobie, ustalić, skąd nadleciał pocisk, ukryć się.

– Nikt nie będzie przykładł mi broni do głowy.

El Mestizo mówił cichym głosem, prawie szeptem. Nagle, mimo przytkniętej do skroni lufy pistoletu, odwrócił się. Na skórze pozostał mu okrągły, czerwony ślad.

– El Sueco.

Mówiąc to, spojrział w kierunku ciężarówki, w której został Hoffmann.

– Teraz.

Strzał, trafienie.

Hoffmann pociągnął za spust.

A ponieważ bardziej zależy mi na sobie, niż na tobie, wybieram siebie.

Kiedy kula trafiła kapitana Vasqueza w czoło, stało się coś, co dzieje się za każdym razem, gdy ktoś używa takiej amunicji. Otwór wlotowy był niewielki, miał mniej więcej centymetr średnicy. Za to otwór wylotowy był tak ogromny, że Vásquez stracił całą tylną część głowy.

TIMOTHY D. CROUSE NIGDY wcześniej nie widział, jak ktoś umiera. Oddech, myśli, miłość, tęsknota... i nagle wszystko się kończy.

Raz sam spotkał się ze śmiercią. Ścigany przez tchórzliwą i brzydką kostuchę, nauczył się ją nienawidzić, ale w inny sposób niż zwykle – wiedział, jakie to uczucie, gdy ktoś trzyma ją za rękę, a jednocześnie żegna się z ukochaną osobą.

Crouse wpatrywał się w ekran zakrywający całą ścianę sali nazwanej jego imieniem. Satelita, który niedawno zarejestrował, jak pocisk wystrzelony przez strzelca wyborowego trafił ofiarę w sam środek czoła, unosił się zdaniem operatora na wysokości stu sześćdziesięciu kilometrów nad ziemią. Każdy obrót, jaki wykonywał wokół Ziemi, trwał osiemdziesiąt osiem minut.

Obraz widziany z góry, po lekkim skosie.

Mężczyzna w mundurze – prawdopodobnie dowódca, bo tak można było wnioskować ze sposobu, w jaki traktował czterech innych umundurowanych mężczyzn – uniósł pistolet i przytknął go do głowy kierowcy ciężarówki. Drogę blokowały cztery pojazdy wojskowe. Na nagraniu widać było, jak dowódca i kierowca się kłócą. Dowódca odszedł z tego świata na oczach swoich ludzi, którzy stali zdezorientowani, bo nawet nie zauważyli, skąd nadleciała kula. Zaraz potem oni też zostali ostrzelani. Pociski spadały obok nich i za nimi. Wyglądało na to, że strzelec, który przed chwilą zlikwidował dowódcę, specjalnie pudłował, jakby chciał pokazać, że chce ich tylko nastraszyć i mieć sytuację pod kontrolą. Czterej żołnierze padli na ziemię. Właściwie nie padli, tylko błyskawicznie się na nią rzucili. Wysoki kierowca ciężarówki, który miał kwadratową twarz i gruby, ciemny warkocz opadający na plecy, wyciągnął swój pistolet i podbiegł do czwórki żołnierzy. Po kolei związał im ręce za plecami i kazał leżeć twarzą do ziemi.

Nagle wszystko ustało. Kierowca ciężarówki jakby na coś albo na kogoś czekał. Crouse dopiero teraz zobaczył w prawym rogu ekranu nadbiegającego mężczyznę. Domyślił się, że to ów strzelec wyborowy. Mężczyzna ślizgał się po nierównym, błotnistym podłożu, w ręce trzymał karabin.

– Eddy... wszystko w porządku?

Zbrodnię popełniono podczas transmisji na żywo, w obecności dwóch świadków, którzy obserwowali ją na ekranie monitora. Oprócz Crouse'a całe wydarzenie widział operator satelity, który na zmianę z innym prowadził monitoring Kolumbii.

– Tak, proszę pana.

– Zrób sobie przerwę, jeśli chcesz. Coś okropnego...

– Poradzę sobie.

– W takim razie na chwilę cię zostawię. Potrzebuję świeżego powietrza.

Crouse położył dłoń na ramieniu operatora i wstał z krzesła. Zerknął przelotnie na dwa ogromne ekrany, które razem z tym, przed którym siedział przed chwilą, tworzyły główną część wyposażenia Sali Crouse'a. Przy sąsiednich stołach prowadzono monitoring Złotego Trójkąta – Laosu, Birmy i Tajlandii – oraz krajów Złotego Półksiężyca – Afganistanu, Iranu i Pakistanu.

Obserwowali też plantacje koki i wytwórnie kokainy w Kolumbii, makowe pola w Azji i wytwórnie opium. Dalsze ogniwa tego łańcuszka były im dobrze znane: dostawa, handel, nałóg, śmierć. Taka, jaką właśnie zobaczył.

Wyjął plastikową kartę elektroniczną, otworzył nią drzwi i ruszył przed siebie korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Powietrze było tu duszne od kurzu. W znajdującym się w połowie korytarza aneksie kuchennym nikogo nie było. Crouse ucieszył się, bo na to właśnie liczył. Nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence. W milczeniu obserwował, jak czajnik się nagrzewa, jak bucha z niego para, aż w końcu rozległ się głośny świst. Lubił tak stać w oparach wilgotnej pary i przysłuchiwać się świstowi

czajnika. Do kubka z napisem NGA nasypał kilka łyżeczek ciemnego proszku. Lubił mocną kawę. Wypił pierwszy łyk i od razu poczuł ożywczy przypływ energii. Miał ochotę postać dłużej w wilgotnej parze i pić kawę, która rozgrzewała jego ciało. Czasem lubił zanurzyć się w pustce, nie myśleć o śmierci, odpowiedzialności i obowiązkach. Przewodniczący Izby Reprezentantów to w Stanach Zjednoczonych trzecia po prezydencie i druga po wiceprezydencie osoba w państwie. Tymczasem on stał w tym ciasnym aneksie kuchennym, w budynku, do którego coraz częściej zaglądał, i przez chwilę czuł się tak, jakby był nikim.

Wyszedł na korytarz, który nie wydawał mu się już tak duszny jak przed chwilą, i minął drzwi z tabliczką z napisem *Operation Neptune's Spear*, chociaż misja, którą tu nadzorowano, już dawno się skończyła. Pozyskane informacje miały kluczowe znaczenie dla akcji wojskowej wymierzonej w miejscowość Abbottabad w Pakistanie, gdzie stał dom, w którym ukrywał się Osama bin Laden. Crouse minął drzwi z napisem *Operation Iraqi Freedom*, za którymi koordynowano akcję polowania na pięćdziesiąt dwie najbardziej poszukiwane osoby z okresu inwazji w Iraku. Na kolejnych drzwiach wisiała tabliczka z napisem *Operation Aladdin*, a na następnych *Operation Mermaid*, która jeszcze się nie zaczęła.

Nagle korytarz, który zdawał się nie mieć końca, skończył się.

Crouse wszedł do jednego z największych pokojów świata. Było to atrium ze szklanym dachem, które pomieściłoby Statuę Wolności. W ręce nadal trzymał porcelanową filiżankę. Wybrał ławkę blisko schodów. Nie była zbyt ładna, ale właśnie na niej siadywał najchętniej. Pił kawę, patrząc na niebieskie niebo nad szklanym dachem. To tam krążyły satelity, którym poświęcał większość czasu w swojej pracy.

Liz.

Tęsknił za nią każdego dnia. Nieustannie. Uczucie tęsknoty nigdy go nie odstępowało i nigdy nie słabło. Przeciwnie. Miał wrażenie, że tęskni za nią coraz bardziej. I chociaż czuł, że dłużej tego nie wytrzyma, następnego dnia musiał wytrzymać jeszcze więcej.

Śmierć zawsze prowadzi do śmierci.

Powoli oddychał i rozglądał się po budynku, w którym pracowało osiem tysięcy ludzi. Mimo to nie był tak znany jak inne budynki rządowe i często mylono go z NSA. Instytucja, która się w nim mieściła, nazywała się National Geospatial-Intelligence Agency, w skrócie NGA. Była to agencja państwowa, a jej zadanie polegało na analizie zdjęć lotniczych wykonanych przez amerykańskie satelity komercyjne, satelity należące do innych państw i ich własne.

Zdjęcia jednego z nich przeniosły go przed chwilą do odległego zakątka świata. Ujrzał rzeczywistość, do której wkrótce będzie musiał wrócić.

– Proszę pana? Nie lubię, jak pan tu siedzi.

– A ja nie lubię, jak mi to wytykasz.

Crouse uśmiechnął się do wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny, który wyrósł przed nim jak spod ziemi. Ciemny garnitur, pistolet w kaburze przewieszony na pasku przez pierś, krótkofalówka. Przypominał wielu innych ochroniarzy zatrudnionych w tym budynku, a zarazem różnił się od nich. Miał imię i nazwisko, które Crouse zapamiętał. To właśnie z nim spędzał najwięcej czasu jako przewodniczący Izby Reprezentantów. Roberts był jednym z wielu ochroniarzy, ale także jednym z tych, którzy trwali przy nim najdłużej, odkąd został wybrany na przywódcę mniejszości w Kongresie i zaczął otrzymywać pierwsze groźby od ludzi, którzy byli wściekli albo rozczarowani i chcieli się na kimś wyładować.

– Powinien pan meldować, jak wychodzi pan z sali.

– Chciałem przez chwilę pobyć sam.

– Moja praca nie polega na tym, żeby popijał pan kawę bez ochrony, tylko na tym, żeby nie stracił pan życia.

– Jak widzisz, żyję. W porządku?

Wracali razem, Roberts towarzyszył Crouse'owi aż do samych drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem *Model Crouse'a*. Roberts zajął miejsce przed drzwiami. Zostanie tam do czasu, aż Crouse znów wyjdzie na korytarz.

– Za chwilę odzyskamy obraz, proszę pana – powiedział operator monitorujący obszar Kolumbii. Ekran był zupełnie czarny. – Zaraz otworzymy inne okno. Złapiemy ich z innego satelity.

Crouse usiadł na prostym drewnianym krześle. Siadywał na nim tak często, że prawie stało się jego własnością. Przed kilkoma laty, gdy wdrożono jego projekt, na monitorach zawieszonych w tej sali dominowały pozbawione koloru i dźwięku obrazy. Tylko co jakiś czas pojawiały się na nich obrazy o wysokiej rozdzielczości, dzięki czemu można było coś zobaczyć. Teraz było na odwrót: zaledwie kilka razy na dzień tworzą się tak zwane „okna czasowe”, gdy orbity satelitów szpiegowskich, które krążą wokół Ziemi niżej i szybciej od innych satelitów, nie zazębiają się z ich orbitami, przez co tracą z oczu obserwowane miejsca. Oznacza to, że w tych krótkich przerwach satelity nie mogą prowadzić monitoringu wybranych obszarów.

– Gotowe. Obraz odzyskany. Znowu możemy ich obserwować.

Crouse zerknął na ekran. Obraz z satelity się zmienił. Dwa pojazdy wojskowe, które blokowały drogę, odjechały, ale czterej umundurowani żołnierze wciąż leżeli na ziemi. Byli związani, a pilnował ich kierowca z kwadratową twarzą.

– Zrobimy zbliżenie.

Operator wziął do ręki coś, co przypominało rysik, przesunął nim po leżącej na biurku płycie i powiększył obraz kierowcy.

– Jest tak blisko, że moglibyśmy go zidentyfikować.

Crouse obserwował człowieka stojącego na środku krętej drogi w sercu amazońskiej dżungli. Ów człowiek nawet nie podejrzewał, że jest obserwowany. Krążył wokół żołnierzy leżących na ziemi i co jakiś czas wymierzał któremuś z nich

solidnego kopniaka. Wystarczyło, że któryś za bardzo się poruszył. Satelita przesyłał obraz z góry, pod kątem, ale jakość była znakomita, co pozwalało zauważyć wiele szczegółów. Kiedy zaczynali wdrażać ten projekt, nie było to możliwe. Za pierwszym razem korzystali z przekazu satelity szpiegowskiego przesyłającego im sekwencje, w których każdy piksel odpowiadał dziesięciu centymetrom. Widoczne na nich obrazy były nieostre, a identyfikacja postaci niemożliwa. Kolejna generacja satelitów o rozdzielczości trzech centymetrów na piksel też była niewystarczająca. W końcu dostali satelity o rozdzielczości jednego centymetra, ale czekali już na najnowszą generację, o rozdzielczości zero przecinek jeden. Wtedy będą mogli czytać teksty w gazetach i to nawet te pisane małą czcionką.

– Czy możemy uzyskać dokładniejszy obraz?

– Niestety nie, proszę pana.

Twarz mężczyzny rozplywała się na ekranie, tworząc bezbarwne kwadraty. Dla Crouse'a i tak nie miało to znaczenia, bo wiedział, kto to jest – już wcześniej oglądał go w różnych okolicznościach. Mężczyzna znajdował się w odległości czterech tysięcy kilometrów od niego, a zarazem tak blisko, że mógłby go dotknąć.

El Mestizo vel Johnny Sánchez. Znany cyngiel. Na liście FBI, zawierającej nazwiska najgroźniejszych osób powiązanych z partyzantką PRC, zajmował czwarte miejsce.

Jednak Crouse'a o wiele bardziej zainteresował mężczyzna towarzyszący Metysowi. Kierowca drugiej ciężarówki, a zarazem strzelec wyborowy. Już drugi raz przebiegł przez pole objęte zasięgiem satelity, tym razem pojawił się z lewej strony.

– Chciałbym, żebyś mi skadrował tego faceta – powiedział Crouse do operatora.

Kolejne zbliżenie i jeszcze więcej bezbarwnych kwadratów. Mężczyzna z ogoloną głową, na której widać było coś, co przypominało duży tatuaż. Był niższy i szczuplejszy od Sancheza, ubrany w myśliwską kamizelkę, koszulę, dżinsy, ciężkie buty i ciemne rękawiczki.

– Widział pan?

Dwanaście sekund. Przez tyle czasu mogli go obserwować, zanim wszedł do jednego z dwóch wozów terenowych i wjechał nim w gęszcz.

– Tak, widziałem.

Tego mężczyznę FBI umieściło na siódmym miejscu liczącej trzynaście nazwisk listy osób uznanych za groźne, określanych jako *most wanted*. Były to najważniejsze postacie związane z finansowaną z handlu kokainą partyzantką PRC. Jedyna osoba, której tożsamości wciąż nie udało się ustalić.

– To El Sueco, prawda?

– Tak, to on.

Mężczyzna nie przypominał z wyglądu typowego mieszkańca Ameryki Południowej. Według posiadanych informacji nie pochodził nawet z tego kontynentu. Niekoniecznie musiał być Szwedem, choć właśnie taki pseudonim otrzymał. Najprawdopodobniej pochodził z Europy Północnej, Australii albo Ameryki Północnej. Tyle udało się ustalić na podstawie programu do identyfikacji twarzy.

– Za każdym razem, gdy odnotowujemy jego obecność, pojawia się Sánchez. A raczej odwrotnie, to on pojawia się u boku Sancheza. Facet, o którym wiemy najmniej, jest jego prawą ręką. Nadzoruje uprawy kokainy, produkcję i transport. Chroni dostawy broni i samego Sancheza.

Zabójstwo dokonane w czasie transmisji na żywo.

Ludzie na ekranie zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Pilnowali związanych żołnierzy i usuwali samochody z drogi. Typowy dzień handlarzy narkotyków stosujących się do podstawowej zasady: ludzkie życie jest mniej ważne od pieniędzy. Crouse krążył niecierpliwie po sali, czując niepokój, który właściwie nigdy go nie opuszczał. Znowu poczuł, że jedna śmierć prowadzi do następnej. Przeszedł obok kolejnego ekranu, na którym operator obserwował jedną z anonimowych fabryk, gdzie produkowano laotańskie opium. Na kolejnym ekranie widać było pole

w Afganistanie, porośnięte makiem, i grupę chłopów, którzy zbierali plon za pomocą prostych narzędzi. W głębi sali czekały na niego osoby odpowiedzialne za rozwój Sił Crouse'a. Przywitał się z każdą z nich i zapowiedział wyjazd w teren następnego dnia. Trochę dalej siedziało kierownictwo Grupy Crouse'a, tworzące trzon Modelu Crouse'a. Byli to analitycy, którzy zajmowali się analizą informacji dostarczanych przez satelity szpiegowskie należące do NGA, podsłuchy telefoniczne i dokumenty uzyskane dzięki specjalnemu programowi szpiegowskiemu używanemu przez NSA, a także informacji pozyskanych dzięki infiltracji DEA.

Wszystko na próżno.

Crouse czuł, jak coraz bardziej rośnie w nim zniecierpliwienie. Przed chwilą człowiek żył, a teraz nie ma go pośród żywych.

Wykonał jeszcze jedną rundę po sali i wrócił na stanowisko, na którym prowadzono monitoring wybranych obiektów w Kolumbii. Kraju, który w swojej klasie był największym producentem narkotyków i dostarczał osiemdziesiąt pięć procent całej kokainy, wciąganej, palonej albo wstrzykiwanej do żył, która przez meksykańską granicę trafia do sześciu milionów Amerykanów. Także do jego córki, jednej z ofiar nałogu.

Zamknął oczy i nabrał powietrza, żeby się uspokoić. Nie pomogło. Był już naprawdę wkurzony.

Pieprzona rocznica.

1915 rok – całkowity zakaz kokainy.

2015 – przez granicę przedostaje się do kraju więcej białego proszku niż kiedykolwiek wcześniej.

Sto lat niepowodzeń.

Spojrzał na ekran, na którym obraz miał przez chwilę idealną rozdzielczość. Kolejna ciężarówka stała zaparkowana za tą, którą prowadził Sánchez. I tylko człowieka zwanego przez nich El Sueco nigdzie nie było widać. Znalazł się poza zasięgiem kamer satelitarnych.

Sánchez zachowywał się tak, jakby na coś czekał, ale niezbyt niecierpliwie.

W dżungli doszło do morderstwa.

Mordercy nawet nie wiedzieli – w przeciwieństwie do tych, którzy obserwowali ich z odległości kilku tysięcy kilometrów – że są ścigani.

Nagle Sánchez jakby się ożywił. Odwrócił się i najwyraźniej zaczął czegoś szukać.

– Powiększ obraz – powiedział Crouse.

Operator wziął rysik i przeciągnął nim po leżącej na biurku płycie. Zbliżenie wykonał w pięciu etapach, aż w końcu Crouse zobaczył to, na co czekał: mikrobus, dwa motocykle i grupę umundurowanych mężczyzn. Zbliżali się z dużą prędkością.

NA NIERÓWNEJ POWIERZCHNI paki Hoffmann rozłożył matę. Przykrył ją gazetą „El Espectador” z poprzedniego dnia i zużył do tego wszystkie kartki. Następnie rozłożył na części swoją broń – dwanaście elementów, które zamierzał oczyścić z resztek prochu strzeleckiego i naoliwić.

Zabił człowieka. Dziś wieczorem porozmawia o tym z Zofią. Nie po to, żeby go oceniła albo krytykowała, bo nigdy tego nie robiła. Powód był inny – nauczył się, że trzeba o tym rozmawiać... a właściwie to ona go tego nauczyła.

Zerknął na zegarek i policzył. Są tu już godzinę i czterdzieści minut. Do Puerto Arango został im kawałek drogi, ale El Cavo wkrótce tu przybędzie.

Rewolwer. Vásquez przyłożył Johnny’emu rewolwer do skroni.

Johnny – w takich momentach El Mestizo stawał się Johnnym – był dziewięćdziesiąt metrów dalej.

Powoli się odwrócił w jego stronę i szepnął do mikrofonu: „El Sueco, teraz”.

Johnny ufał mu nawet wtedy, gdy groziła mu śmierć, chociaż to właśnie jemu nie powinien ufać.

Czterem umundurowanym chłopakom z regularnej armii kazali położyć się na brzuchu, z twarzą w błocie, po czym związali im ręce na plecach. Potem Hoffmann podjechał ciężarówką i zaparkował za wozem El Mestizo. Wcześniej przestudiował mapę topograficzną terenu i znalazł urwisko w miejscu, gdzie dżungla była częściowo wykarczowana, pół kilometra od miejsca ich przymusowego postoju. Nie powstał tam jeszcze świeży gąszcz, a rzadka roślinność przypominała bardziej tę, którą widywali z Zofią podczas wędrówek wzdłuż sztokholmskich szkierów. W takim terenie da się bez problemu jeździć. Wsiadł do pierwszego wojskowego pojazdu, uruchomił silnik, przejechał przez dżunglę i zatrzymał wóz w pewnej odległości od urwiska. Dwadzieścia pięć metrów niżej płynęła kręta rzeka. Hoffmann ruszył, przyspieszył i tuż przed urwiskiem

wyskoczył z szoferki. Samochód kilka razy podskoczył, przetoczył się przez skraj urwiska i spadł do rzeki. Hoffmann zdążył się już pozbyć zmęczenia, które go naszło z powodu upału i wilgoci, i poszedł po następny wóz. W ten sposób na dole znalazły się wszystkie cztery sześciokołowe pojazdy wojskowe. Ich kabiny skierowane były w różne strony, jak kwiaty w zwiędłym bukiccie.

Tak to się kończy, gdy ktoś grozi El Mestizo.

Hoffmann spryskał dokładnie wszystkie części karabinu, usunął z niego resztki prochu i naoliwił lufę. Na rozłożonej gazecie leżało dwanaście elementów broni. Oddzielnie nie stanowiły żadnego zagrożenia, ale gdy je ponownie złoży, przyniosą komuś śmierć.

Obraz, który utkwiał mu w pamięci, nie chciał ustąpić. Strzelił Vasquezowi w czoło, między oczy. Otwór wlotowy jest zawsze mały, wylatujący pocisk odrywa pół głowy.

Wyczołgał się przez tylną szczelinę w brezencie i przewiesił przez ramię karabin. Wybrał jedno z drzew rosnących sto pięćdziesiąt metrów dalej, przykręcił do karabinu laser i śledząc ruch czerwonego punktu, sprawdził, czy luneta jest dokładnie skalibrowana. Włożył nowy magazynek z dziewięcioma nabojami i załadował. Broń była gotowa do użytku.

– Już tu są – powiedział El Mestizo.

Mówiąc to, wskazał ręką w kierunku, z którego niedawno przyjechali. Wozów nie było jeszcze widać, ale za to wyraźnie je słyszeli. Dwa, trzy pojazdy jechały błotnistą, podmokłą szutrową drogą. Hoffmann wszedł z powrotem na pakę, zamocował karabin na dwóch podpórkach i zeskoczył na ziemię.

Chwilę potem pojawiły się dwa motocykle i mikrobus z sześcioma osobami. Ośmiu policjantów, którymi dowodził El Cavo.

El Mestizo dał im znak, żeby zjechali na bok, i przywitał się z wysokim, chudym mężczyzną, który poruszał się w charakterystyczny sposób, ze stopami zwróconymi do środka. Wśród policjantów to rzadki widok.

– Sánchez... dawno się nie widzieliśmy.

El Mestizo rzadko posługiwał się swoim prawdziwym nazwiskiem. Oznaczało to, że z El Cavo łączyła go bliska relacja.

– A jak się już spotykamy, to zawsze w takich samych okolicach... – El Cavo przerwał nagle, bo zauważył martwego Vasqueza – ...licznościach – dokończył.

A właściwie nie Vasqueza, tylko jego mundur. Cofnął się o krok.

– Kapitan? Wojsko tutaj?

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Nasza umowa czegoś takiego nie przewidywała!

El Mestizo zawierał umowy z tyloma ludźmi, że trudno byłoby ich wszystkich policzyć. Hoffmann blisko z nim współpracował od dwóch i pół roku i przez cały czas pojawiali się nowi klienci. Celnicy, którzy fałszowali deklaracje celne, prokuratorzy, którzy nikogo nie oskarżali, sędziowie, którzy fabrykowali uzasadnienia wyroków, wojskowi, którzy rejestrowali pozwolenia na broń, i policjanci, którzy przymykali oczy, gdy było trzeba. Takich ludzi od dokumentów było mnóstwo. Byli też inni, przynajmniej w siedmiu spośród trzydziestu dwóch prowincji, na które podzielona jest Kolumbia. Hoffmann znał ich wielu. Na przykład wysokiej rangi policjantów, którzy w zamian za hojne wynagrodzenie zajmowali się czymś bardziej skomplikowanym niż dokumenty – ludzkimi zwłokami. Jednym z nich był El Cavo, któremu podlegała prowincja Caquetá. Hoffmann widział go już wcześniej. Johnny zastrzelił wtedy pewnego człowieka, który dzierżawił ziemię, uprawiał ją, a to, co zebrał, sprzedawał, ale zbyt często zapominał o zapłacie.

– Załatwił go ten chłopiec – powiedział El Mestizo, wskazując na Hoffmanna. – Pochodzi ze Szwecji, a skoro zabił kogoś z Kolumbii, może sobie zapaskudzić papiery. Dlatego będę wdzięczny, jeśli tu po nas posprzątasz.

Hoffmann miał ochotę zaprotestować, ale nie zrobił tego. Chłopiec? Ma już trzydzieści osiem lat i jest niewiele

młodszy od El Mestizo. Domyślił się jednak, że El Mestizo próbuje zmarginalizować jego czyn, zyskać mu sympatię.

– Dostaniesz ode mnie za to od ręki dziewięć milionów peso. Niezależnie od comiesięcznej zapłaty.

– Dziewięć milionów?

– Tak.

– Człowieku, jest nas tutaj ośmiu. Jak mamy się tym podzielić?

El Cavo, który co jakiś czas zerkał na przestreloną głowę i czterech związanych żołnierzy, posługiwał się dziwnym dialektem, którego Hoffmann nigdy przedtem nie słyszał. Chociaż hiszpański znał tak samo dobrze jak szwedzki i polski, miał kłopot ze zrozumieniem policjanta, bo przekręcone i niewyraźnie wypowiedane słowa i zdania tworzyły jakby inny język.

– Co ty na to, Sánchez? Niewiele nam zostanie.

– Ja na to, że co miesiąc dostajesz ode mnie kupę szmalu. Najczęściej za nic.

– Jeśli mam... mamy... tu posprzątać, zapłacisz dziewięć milionów, ale osiem razy.

– Chyba ci odbiło...

– Posłuchaj, co ci powiem. Jeśli zabijesz wojskowego dowódcę, kosztuje to dokładnie tyle. Wypłata ma być w dolarach. Po trzy tysiące pięćset dolarów na głowę. Razem dwadzieścia osiem tysięcy. Co ty na to?

El Mestizo rzadko ustępował w czasie rozmów o pieniądzu. W zasadzie w ogóle rzadko ustępował. Teraz jednak musiał. Podszedł do kabiny ciężarówki, pogrzebał w schowku i wrócił z brązową kopertą. El Cavo wyciągnął chudą rękę i wziął ją od niego. Obaj wiedzieli, co zdarzy się później – na miejscu zdarzenia „pojawi się” ktoś, kogo tu nigdy nie było. W eter pójdzie komunikat o „czarnym mężczyźnie, który był widziany na miejscu zdarzenia, ale niestety uciekł”.

Tym razem wypadki potoczyły się inaczej.

El Mestizo podał kopertę, skinął głową na znak, że obaj dobili targu, i podszedł do zwłok. Na szyi martwego

Vasqueza wisiał karabin automatyczny. El Mestizo odwiązał go, skinął El Cavo i ruszył w stronę czterech żołnierzy, którzy leżeli związani na ziemi. Akurat w ich przypadku określenie „chłopiec” było jak najbardziej na miejscu. Uniósł karabin i przestawił mechanizm na strzelanie pojedyncze. Potem po kolei wszystkich czterech zabił strzałem w serce.

– Jeśli chcesz aż tyle zarobić, nimi też się zajmij – powiedział. – Zasłużysz sobie na podwyżkę.

Trzeci raz skinął głową policjantowi, który w milczeniu trzymał kopertę.

– Dwadzieścia osiem tysięcy dolarów – dodał El Mestizo. – Jak to podzielimy na pięć trupów... wychodzi średnio po pięć tysięcy sześćset na głowę. Tak chyba lepiej, prawda, panie komendancie?

HOFFMANN WYSUNĄŁ RĘKĘ przez opuszczoną szybę i poprawił lusterko boczne. El Cavo i jego ludzie robili się coraz mniejsi, choć nie tak szybko, jak się spodziewał. Obie ciężarówki toczyły się powoli, do końca zostało im dwadzieścia kilometrów drogi, która od początku była trudno przejezdna, a tu i tam wyglądała jeszcze gorzej. Wydawało się, że zabierze im to dodatkowe czterdzieści pięć minut jazdy.

Jeszcze raz poprawił lusterko. Powinien je obrócić bardziej w lewo. Właśnie tak. Może trochę pod kątem w dół. Doskonale. W końcu zobaczył to, co chciał: El Cavo i jego ludzie zabrali się do kopania grobów. Niezbyt głębokich, żeby pakożery – psy leśne – szybko zwietrzyły odór zwłok. Widział ich ślady, gdy spychał z urwiska wojskowe wozy. Zwierzęta leżały w pobliżu i cierpliwie czekały. Na miejscu zjawia się szybko i w stadzie, jak wilki. W ciągu dziesięciu, najwyżej piętnastu minut potrafią dokopać się do głębokości pół metra. Potem wywlekają zwłoki na powierzchnię i rozszarpują je na strzępy. To też robią szybko. Psy leśne wiedzą, że ich czas jest ograniczony, dlatego pożerają zdobycz w pośpiechu, bo smród gnijących zwłok szybko się

rozprzestrzenia i wkrótce zjawia się konkurencja. Kondory i sępy złotogłowe będą zataczać kręgi, a potem zaatakują psy, które na ich widok porzucą zdobycz i odejdą. Wielkie ptaszyska zajmą ich miejsce i będą kontynuować żer, tyle że trochę spokojniej. Nikt im nie przeszkodzi do momentu, aż o zmroku pojawi się niedźwiedź andyjski, który dokończy to, co zostało. Zmiażdży kości, żeby dostać się do szpiku. Po nim pojawią się jaguary, które zabiorą kości udowe. Na dnie dołu zostaną tylko ogryzione do gołej kości czaszki, a następnego dnia rano policja otrzyma zgłoszenie, że zaginęło pięcioro ludzi.

Rozmowy z Zofią stawały się coraz bardziej irytujące i trudne.

Najpierw będzie musiała zrozumieć, że jej mąż zabił kolejnego człowieka, bo uznał, że nie miał wyjścia. Potem będzie musiała pogodzić się z myślą, że zwłoki czterech młodych żołnierzy zostały zakopane w dołach, by wkrótce wygrzebały je dzikie zwierzęta. Bo El Mestizo też doszedł do wniosku, że nie ma wyjścia, i zrobił to, co zwykle w sytuacji, gdy ktoś go obrażał albo lekceważył. Później Zofia będzie musiała przyjąć do wiadomości, że El Cavo i jego ludzie usunęli zwłoki i każdy z nich dostał po trzy i pół tysiąca dolarów. Hierarchia. Pieniądze. Nic się nie zmienia.

– Zofia?

Odpowiedziała po kilku sygnałach.

– Cześć. Znowu. Poprzednio coś nam przerwało?

– Tak... sama wiesz, tak to już jest w dżungli.

– Wiem.

– Dziś wieczorem.

– Jeśli... czekam na ciebie. Tutaj.

– Kocham cię.

Połączenie znowu zostało przerwane. Tym razem to on o tym zdecydował. Wystarczy. Zofia wie, co to znaczy: że ma położyć Rasmusa i Emila wcześniej spać, a oni usiądą w kuchni naprzeciwko siebie i będą rozmawiać tak długo, aż się nagadają. Potem usiądą obok siebie na kanapie i będą milczeć.

Dżungla robiła się coraz gęstsza, trudniej było się przedzierać przez gałęzie, liście i liany uderzające o szyby wozu. Siatkę lokalnych dróg stworzyli partyzanci. To oni wyrabali drzewa, wytyczyli trasy, ustalili miejsca spotkań i pobudowali obozy, do których nikt inny nie mógłby dotrzeć. Stworzyli swój własny świat w świecie innych ludzi. I te dźwięki... niesamowity szum wydawany przez setki tysięcy owadów, które przenosiły się z miejsca na miejsce jak chmury na niebie; głosy wydawane przez czaple, tukany i papugi ary, które wzajemnie się przekrzykiwały; wrzaski małych siedzących na drzewach i podgrzewających atmosferę ostrymi, ostrzegawczymi okrzykami. Mroczny, zielony świat, który przypominał gigantyczną oranżerię, stanowiącą zarazem pierwotne pudło rezonansowe.

Hoffmann znowu zerknął na mapę. Był pewien, że wkrótce dotrze na miejsce. Został mu jeszcze kilometr, nie więcej. Przyłożył rękaw koszuli do szyi, głowy i twarzy, ale warstwa potu wcale nie zniknęła. Po prostu materiał wchłonął wilgoć i na jej miejsce pojawiła się świeża. W końcu Hoffmann ujrzał w oddali cynkowy dach, bambusowe ściany i wyschniętą glinę. *Cocina*. Dom i praca dla dziesięciorga ludzi: dowódcy obozu, dwóch chemików, trzech asystentów i czterech strażników. Hoffmann zatrzymał wóz w tym samym momencie co El Mestizo. Wysiadł z kabiny i przywitał się z dowódcą obozu, *El Comandante*, który przyjął ich w swojej trochę większej od innych chacie. Mieszkał sam; na podłodze leżał poplamiony materac wypchany sianem, obok stało biurko, nad którym wisiała goła żarówka. Na drzewie przed jego domem zamocowano ogromny telewizor z przenośną anteną. Telewizor był podłączony do tego samego generatora co lampa. Potem Hoffmann przywitał się ze starszym chemikiem, który nie nosił munduru kamuflującego i przedstawił się jako Carlos. Hoffmann uśmiechnął się, bo wszyscy chemicy, których do tej pory spotkał, mieli na imię Carlos.

Obie ciężarówki przywiozły ten sam ładunek. Dwadzieścia cztery wielkie worki, wyglądające jak te, które można zobaczyć przed placem budowy. Wszystkie były wypełnione po brzegi liśćmi koki. Do tego dwadzieścia cztery beczki z chemikaliami.

Dźwig wyciągnął ramię, jakby to był drapieżny szpon, metalowa łapa wystająca z miejsca między paką a kabiną operatora, dość łatwa w obsłudze. Kolejne worki i beczki trafiały na palety, dzięki czemu nie lądowały w błocie, które mogło pochłonąć praktycznie wszystko. Po każdym kroku brązowe buty Hoffmanna pokrywała kolejna warstwa brudnej mazi. On i El Mestizo wykonywali tę robotę już wiele razy.

– Głodni?

Komendant przybił gwoździemi sznury moskitiery do gałęzi, a następnie rozłożył czarne plastikowe worki na drewnianych deskach, które łączyły jego chatę z chatami strażników i chemików, tworząc w samym sercu dżungli coś w rodzaju salonu.

– *Ajiaco*? Dzisiaj to nasz główny posiłek. Za to po raz pierwszy mamy zaszczyt poczęstować naszych gości zimnym piwem.

Za kuchnią, w której chemicy przerabiali liście koki na proszek, znajdowała się niewielka ziemianka. Komendant z dumą ich tam zaprowadził, aby pochwalić się nową lodówką podłączoną do generatora. Otworzył ją z szerokim uśmiechem na twarzy, a wtedy ich oczom ukazały się rzędy butelek jasnego, lekkiego piwa marki Aguila i Club Colombia. Komendant i Carlos usiedli na przykrytych plastikowymi workami deskach, dali gościom znak, żeby usiedli naprzeciwko nich, i zabrali się do jedzenia zupy z ziemniakami, kurczakiem i kukurydzą oraz wznoszenia toastów dobrze schłodzonym piwem. Strażnicy i asystenci stali w pewnej odległości i czekali na swoją kolej.

Obóz osłaniała wysoka na trzydzieści metrów ściana zieleni, która chroniła go przed słońcem i satelitami szpiegowskimi. Stanowił coś w rodzaju niedostępnej

i niemożliwej do namierzenia twierdzy. Odwiedzane przez Hoffmanna laboratoria, w których produkowano kokainę, znajdowały się albo tutaj, albo na odludziu przy granicy z Wenezuelą. Stosowano w nich inny rodzaj ochrony – jeśli zjawiało się wojsko i PRC musiała się bronić, partyzanci salwowali się ucieczką przez granicę. Żołnierze nigdy się tam nie zapuszczali, bo gra nie była warta świeczki. Byli uzbrojeni, co po drugiej stronie granicy mogło zostać wykorzystane jako pretekst do wypowiedzenia wojny i kolejnego konfliktu zbrojnego między obu państwami, i tak już zmęczonymi walkami.

– Deser?

Komendant odczekał, aż asystent sprzątnie sztućce i naczynia i włoży je do prymitywnego, ale praktycznego zlewozmywaka zrobionego z plastikowych kanistrów i poszczerbionej blachy udającej koryto.

– Ja dziękuję – powiedział El Mestizo, a wskazując na Hoffmanna, dodał: – Ale może nasz młody przyjaciel się poczęstuje?

– *Arroz con leche de coco*. Podać? – Dowódca uśmiechnął się do Hoffmanna. Minę miał równie dumną jak wtedy, gdy otwierał lodówkę. – Nie co dzień zdarza mi się przyjmować gości.

– Dziękuję, ale nie jestem już głodny.

– Z mlekiem kokosowym, przyjacielu, nawet nie smakuje ryżem.

Hoffmann poklepał się po brzuchu.

– Dzięki, jestem naprawdę najedzony.

Komendant uniósł rękę i znowu się uśmiechnął.

– Trudno. Zostanie więcej dla mnie. Ale w takim razie nalegam, abyście przed odjazdem zabrali *tamales*. Są już gotowe. Będą wam smakować.

Ryż, kurczak, warzywa. Hoffmann skinął głową, wstał, przeciągnął się i zerknął tam, gdzie – jak sądził – płynęła rzeka. Niestety, nic nie zobaczył, bo przeszkodziła mu zielona ściana roślinności. Według mapy rzeka płynęła całkiem blisko.

Musi tam pójść, zanim odjadą. Jedyne tam będzie sam.

Tylko przestępca umie udawać przestępcę.

Obszedł worki i beczki, włożył rękę między gęsto spakowane liście koki i kilka razy uderzył dłonią w blachę. Rozległ się głuchy dźwięk. Beczki były po brzegi wypełnione chemikaliami. To tam bije kokainowe serce. Największa budowla w obozie była przykryta cynkowanym dachem, a ściany zrobiono z gęsto plecionego bambusa. Drewniana podłoga była wydeptana, na środku bardziej grząska niż w innych miejscach, łatwo zamieniała się w błoto. Za chwilę, gdy wszyscy zjedzą, liście koki zostaną zamoczone w etanolu wypełniającym beczki po oleju, a chemicy będą z nich metodycznie pozyskiwać sok. Potem liście trafią do następnej beczki, gdzie zostaną oddzielone od benzyny, zmieszane z amoniakiem i poddane procesowi filtracji. Dawno temu – jeszcze przed Zofią i dziećmi, zanim pojawiły się kłamstwa i obietnice, których zaczął w końcu dotrzymywać – palił mnóstwo kleistej masy, powstającej na tym etapie produkcji. W czasach, gdy kupował i sprzedawał w Sztokholmie, nazywali ją *base*. W Kolumbii *base* nazywali *bazuko*. Johnny twierdził, że ma zupełnie inną jakość, daje mocniejszego kopa i wywołuje straszniejsze paranoje. Jedno i drugie może trwać kilka dni.

Hoffmann czasami za tym tęsknił, ale więcej do tego nie wrócił.

Na ostatnim etapie *bazuko* zamienia się w biały proszek. Odbywa się to w reakcji z chemikaliami – tymi, które tu dzisiaj przywieźli ciężarówkami. Eterem, butanem, kwasem solnym. Tyle zdążył wyczytać z listów przewozowych. Beczek jest więcej, zawartości ostatnich nie zdążył ustalić.

– Coś się nie zgadza?

El Mestizo położył rękę na ramieniu Hoffmanna. Rzadko mu się to zdarzało. Zwykle wtedy, gdy był w dobrym humorze.

– Tak.

Po wejściu do laboratorium Hoffmann od razu się rozejrzał. Zawsze to robił, gdy wchodził do pomieszczenia.

Teraz zrobił to po raz drugi. Zobaczył blaty robocze zrobione z pustych skrzyń używanych w transporcie i blaty z płyt pilśniowych leżących na ociosanych pniach drzew. Plastikowe beczki, plastikowe wiadra, metalowe naczynia, pojemniki, ścierki, Kuchenki mikrofalowe, palety transportowe, wysokie stojaki z probówkami... Wszystko się zgadzało.

– A to? Nie pasuje mi tu.

W rogu pomieszczenia leżał stos toreb, aktówek i walizek różnych rozmiarów. Wszystkie w tym samym kolorze, wykonane z tego samego materiału, chyba ze skóry.

– Masz rację i jej nie masz. Nie pasują do tego miejsca, a zarazem są jego częścią. Carlos? – El Mestizo zwrócił się do pierwszego chemika, który stał przed wejściem i palił papierosa.

– Tak?

– Zdradź naszemu europejskiemu gościowi naszą małą tajemnicę.

Carlos rzucił papierosa na ziemię, przydeptał go piętą i wszedł do środka. Carlos. Hoffmann przypomniał sobie, że tak samo miał na imię poprzedni chemik. Niestety, facet za dużo gadał i rok później El Mestizo dostał na niego zlecenie. Nowy Carlos podszedł do stosu toreb i walizek leżących pod ścianą, wziął średniej wielkości walizkę i położył ją na ławie.

– Rozumiem, że wiesz, co robisz... – zaczął, patrząc na El Mestizo. – Zamierzasz...

– Carlos?

– Tak?

– Pokaż mu.

Dwie zaskakująco twarde dłonie otworzyły walizkę, która w środku wyglądała jak każda inna.

– To nasz sposób na to, żeby zaopatrzyć klienta w... powiedzmy... wybrane próbki towarów.

Chemik wskazał potężną dłonią na pustą walizkę.

– Mała walizka, mało kokainy. Duża walizka, dużo kokainy. W takiej jak ta przewozimy około trzech kilogramów towaru.

Trzy kilogramy? Jako próbka? Hoffmann nie znał się na cenach obowiązujących na ulicy, ale kiedyś, gdy sam handlował w Sztokholmie, taką ilość uważano za dużą dostawę i płacono za nią kupę forsy.

– Zewnętrzna strona zrobiona jest ze skóry. Widzisz? Wewnętrzna z plastiku i skóry: obie kieszenie, dno, boki.

Carlos przeciągnął dłonią po skórze, która miała brzydkie, brązowe odcienie.

– Skóra zawiera kokainę. Usuwa z niej zapach. Przejdzie przez każdą kontrolę celną, nie wykryje jej żaden pies.

El Mestizo dał chemikowi znak, żeby podał mu walizkę.

– Kiedy zobaczyłem je pierwszy raz, wpadłem w taką złość, że chciałem go zabić. Pamiętasz, Carlos? Wszedłem tu i zobaczyłem duży garnek wypełniony czarną mazią. Carlos ją gotował. Spytałem, co to jest, a on odparł: twoja kokaina. Myślałem, że go zatłukę. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Co ty, kurwa, robisz? – spytałem. Zgłupiałeś? Zepsujesz towar! Wrzeszczałem na niego, aż w końcu mi przerwał. Niczego nie zepsuję, zaraz ci pokażę i wyjaśnię.

El Mestizo chwycił za jedną z wewnętrznych skórzanych kieszeni, oderwał ją i uniósł.

– Etapy są dwa. Najpierw trzeba usunąć zapach. Robimy to tutaj, ale nie wiem jak i nigdy nie próbowałem się dowiedzieć. Wyjaśniliśmy to sobie z Carlosem, prawda? To twoja metoda, ty i twoi ludzie żyjecie z tego i niech tak zostanie.

Chemik uśmiechnął się słabo, jakby się bał, że El Mestizo zmieni nagle zdanie i okaże mu mniej zrozumienia.

– Niewiele osób to umie – powiedział. – Zaledwie kilku chemików. Jeden mieszka w Cali, drugi w Boliwii, trzeci w Wenezueli, czwarty w tutejszej prowincji Guaviare, głęboko w dżungli. Likwidujemy zapach, a potem nasączamy skórę kokainą. Wtedy jestem tu zupełnie sam. Potem zaczyna się drugi etap: trzeba pobudzić kokainę do życia, ale to już żadna tajemnica, bo jest to znacznie

prostsze. Każdy klient, któremu przekazujemy towar, dostaje od nas instrukcje, co z nim dalej zrobić.

Obok stosu walizek i toreb w rogu laboratorium stała plastikowa beczka wypełniona chemikaliami o intensywnym zapachu. Carlos przyniósł ją i ustawił na ławie.

– Daj mi kawałek skóry – rzucił.

El Mestizo podał mu kawałek skóry, który przed chwilą oderwał od walizki.

– Wygląda to tak – powiedział chemik i zamoczył skórę w chemikaliach. – Eter. Moczę w nim skórę... pocieram, jakbym ją prał... a potem... hokus-pokus... widzisz? Jest całkiem biała... no, może nie biała, tylko bezbarwna. A twoim zdaniem? Powiedzmy, że jest białozółtawa, dobrze?

Skóra nie była już brązowa. Carlos przyniósł kolejną beczkę z chemikaliami. Był w niej między innymi nadmanganian potasu i kwas siarkowy. Włożył do cieczy skórę, na której powoli tworzyły się dwie warstwy. Pierwsza miała kolor białozółty, pod nią znajdowała się druga warstwa w kolorze wody.

– A teraz przywrócimy ją do życia.

Sięgnął do stojaka z probówkami i zdjął tę, która znajdowała się najdalej.

– Kropelka z probówki do tej białej zawiesiny. I jeszcze jedna... i jeszcze jedna... Widzisz? Robi się coraz gęstsza, przypomina... hm... spermę. Jeśli dodam kilka kropel więcej, powstanie jeszcze gęstsza breja. Tak to nazywa Sánchez, chociaż moim zdaniem ładniej brzmi słowo „masa”. Co dalej? Gdybyśmy mieli więcej czasu, podgrzałbym tę masę do temperatury trzydziestu siedmiu stopni, wlałbym do beczki i zostawił, żeby wyschła. Po kilku godzinach mielibyśmy dziewięćdziesięcioczworoprocentową kokainę najlepszej jakości. Czasem nawet dziewięćdziesięciosześcioprocentową. Nazywamy ją tu „rybią łuską”. Tam, skąd przyjechałeś, czegoś takiego nie ma. Lśni jak łuska ładnej rybki.

Hoffmann zrozumiał, że ma do czynienia z kolejną postacią narkotyku, który kiedyś przejął kontrolę nad jego życiem. Posiadał wiedzę dostępną niewielu wtajemniczonym, ale nie o to tutaj chodziło. Liczyło się przede wszystkim zaufanie, bo to ono było najważniejszym narzędziem. El Mestizo, który nikomu nie ufał, kolejny raz okazał zaufanie jemu. Wyglądał przy tym na lekko rozbawionego, bo spodziewał się, że jego najbliższy współpracownik to doceni. Hoffmann potrzebował dwóch i pół roku, żeby głębiej wniknąć w struktury partyzantki PRC. Zaszedł znacznie dalej niż jakikolwiek inny tajny informator przed nim.

– Gdzie jest rzeka? W którą stronę mam się kierować?

El Mestizo uśmiechnął się.

– Chcesz się kąpać, Peter boy?

– Chcę się opłukać, zanim ruszymy w powrotną drogę. Upał i wilgoć niemal włożą pod skórę.

– Chyba wiesz, że w rzece są krokodyle?

– Wiem.

– W tym regionie krokodyle są inne. Nie odgryzają tego, co odstaje, tylko żują.

El Mestizo uśmiechnął się szeroko, Hoffmann odwzajemnił jego uśmiech. Potem ruszył przez wydrążony w gęstej zieleni tunel. Towarzyszyły mu wrzaski małych i brzęczenie owadów. W poprzek ścieżki przemieszczały się czarne, gęste kolumny mrówek.

Po dwóch minutach dotarł do celu. Jakie piękne miejsce! Szeroka woda, silny prąd, przeciwległy brzeg dość daleko. Odległość dzielącą go od niego ocenił na siedemdziesiąt pięć metrów. Rzeka była jednym z dopływów, które dzieliły amazońską dżunglę na mniejsze sektory, wodny szlak prowadzący znikąd donikąd.

Hoffmann rozebrał się do naga, ale zrobił tylko jeden krok w stronę wody, bo nagle ujrzał leżącą w niej nieruchomą kłodę. Schylił się, podniósł z ziemi duży kamień, rzucił i trafił. Kłoda poruszyła się zniecierpliwiona, rozległo się pluśnięcie i zniknęła pod wodą, po czym popłynęła w drugą stronę, pozostawiając za sobą rozległe kręgi.

Wszedł do wody i zamoczył całe ciało. Najdłużej trzymał pod powierzchnią ogoloną głowę. Cisza. Spokój. Chłód. Balsam na rozgrzaną skórę. Pozostał tak dłużej, niż zamierzał, żeby nie wystawiać się na palący upał.

Johnny zaufał mu po raz pierwszy, gdy kazał mu strzelić. Po raz drugi, gdy pokazał mu torby i walizki. A przecież właśnie jemu nie powinien ufać.

Brodząc w wodzie między ostrymi kamieniami, Hoffmann wrócił na brzeg. Wytarł się wilgotną koszulą, ubrał i ostrożnie rozejrzył.

Wciąż był sam.

W kieszeni kamizelki miał ukryty GPS. Wyjął go, wcisnął przycisk zaznaczony jako *Mark*, po czym sprawdził na wyświetlaczu wynik z dokładnością do jednej dziesiątej stopnia.

57.308326, 15.1241899

Były to współrzędne tego miejsca – długość i szerokość geograficzna, jeszcze przed rozkodowaniem przez program komputerowy.

Nawet gdyby ktoś niepowołany poznał dane, zanim on przekaże je przełożonym w Bogocie albo Cartagenie, i tak nic by nie zrozumiał. Wykonany błędnie odczyt wskazałby bowiem zupełnie inne miejsce w jakimś innym zakątku świata. Na przykład kościół w miejscowości Korsberga w południowej Szwecji, który tak bardzo mu się podobał. Hoffmann umówił się z przełożonymi, że zawsze będą używać takich miejsc, żeby naprowadzić osoby postronne na błędny trop. Prawdziwe współrzędne pokazujące kontrolowane przez PRC miejsca, w których produkowano narkotyki, dotrą do właściwego odbiorcy dopiero wtedy, gdy zatrudniony w DEA informatyk przepuści je przez dekodujący program komputerowy.

Hoffmann wsunął GPS z powrotem do kieszeni, odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę wody. Przykucnął, jeszcze raz obmył twarz i popatrzył w lustro wody, które lekko się

zmarszczyło. *Cocina* znajdowała się daleko za nim. Mniej więcej za osiem tygodni, gdy nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby to, co się zdarzy, łączyć z jego wizytą, nowo utworzone jednostki Crouse'a zaatakują wytwórnię, wykorzystując dane, które przed chwilą im wysłał. Żołnierze zlikwidują kolejną fabryczkę białej śmierci. I tylko kilka osób będzie wiedzieć, jak on tu dotarł i co robił, żeby przeżyć jako wtyka. Nawet wysoko postawieni amerykańscy politycy, którzy opracowali tę akcję i ciągnęli z niej korzyści, nie wiedzieli przecież, że on – skazany na odsiadkę więzień, który uciekł z jednego z europejskich zakładów karnych – pracuje dla nich.

TIMOTHY D. CROUSE NIE UMIAŁ już dłużej płakać. Zapas jego łez wyczerpał się przed czterema laty, wszystkie spłynęły do grobu, zmiękczając ziemię dla Liz, która miała tam zostać na długo. Na całą wieczność.

Teraz też nie płakał, chociaż już siódmy raz z rzędu oglądał sekwencję obrazów. Na jego oczach dół zapełnił się trupami ludzi, którzy właśnie przestali istnieć. Poczł nagle złość, więc podszedł do ściany, na której wisiał drugi ekran, i pochylił się, jakby chciał, żeby to wydarzenie stało się mniej realne. Niestety, nie stało się takie. Sánchez – potężny mężczyzna z włosami splecionymi w warkocz – który według wewnętrznego kodu PRC funkcjonował pod pseudonimem El Mestizo, naprawdę zdjął automatyczny karabin z ramienia człowieka, który stracił życie jako pierwszy, i zastrzelił z niego czterech umundurowanych mężczyzn.

Z jednego zabitego zrobiło się pięciu. Następny patrol, złożony prawdopodobnie z policjantów, dostał grubą kopertę. Były w niej pewnie pieniądze, „wynagrodzenie” za to, żeby beczynnje się przyglądali, jak Sánchez strzela do swoich ofiar.

Później policjanci zabrali się do kopania grobów.

Crouse nie krzycał. Nigdy tego nie robił, bo w niczym to nie pomagało. Po prostu zakończył wizytę, skinął głową Robertsowi, który stał przy drzwiach na korytarzu, i szybszym niż zwykle krokiem ruszył przed siebie. Obcasy jego butów uderzały ciężko o woskowaną podłogę.

– Proszę pana.

– Musimy tam jutro pojechać, Roberts.

– Dokąd?

– Do miejsca, gdzie ludzie kopią groby dla pieniędzy, a nie dlatego, że kogoś oplakują.

Czarny samochód stał gotów do odjazdu przed głównym wejściem do ośmiopiętrowego budynku. NGA i Fort Belvoir dzieliło od Pleasant Valley Memorial Park dziesięć

kilometrów. Crouse przeprowadzał kontrolę projektu noszącego jego nazwisko przynajmniej trzy razy w tygodniu i za każdym razem w drodze powrotnej na Kapitol jechał do Liz. Tej, która wstrzymała jego łyzy.

– Jutro, proszę pana?

– Tak. Dzisiaj najpierw pojedziemy do Liz, potem do Izby Reprezentantów, na końcu do domu. Jutro po obiedzie lądujemy w Bogocie. Już uprzedziłem, że przylatuję.

– Nie pozostawia mi pan zbyt dużo czasu.

– Roberts?

Crouse rzadko odnosił się do ludzi, którym powierzał swoje życie, z niecierpliwością. Tym razem to zrobił. Wciąż miał przed oczami widok ciał wrzuconych do dołu i przysypywanych warstwą ziemi.

– Słucham.

– Po prostu się tym zajmij.

Roberts zaparkował przy kaplicy, ponieważ Crouse zawsze szedł do grobu Liz na piechotę. Chciał widzieć, jak pomnik na jej grobie, który z daleka wydawał się mały i szary, z każdym krokiem zamieniał się w coś, co dla niego było całym światem.

Skończyła dwadzieścia cztery lata. Ekstrawertyczna, radosna. Może zbyt ekstrawertyczna i zbyt radosna. Wtedy się nad tym nie zastanawiał. Może ją nawet zachęcał? Pewnie dlatego nie zauważył, jak te cechy stopniowo zmieniły się w brak granic. Nigdy nie odmawiała – po prostu płynęła z prądem. Miała piętnaście lat, gdy w końcu ją o to zapytał, a ona przyznała, że tabletki, które trzymała pod łóżkiem, dostała od nieznanego mężczyzny. Nie wiedziała, jak się nazywał. Podczas kolejnej konfrontacji „dostałam od kogoś” zamieniła na „zapłaciłam za nie znajomemu”. Ostatnia wersja brzmiała jeszcze inaczej: „przespałam się za nie z jakimś facetem”.

Zadbane, zielone trawniki ciągnęły się wzdłuż wąskiej drogi biegnącej przez cmentarz. Kamień nagrobny Liz leżał między dwoma krzaczastymi drzewami i był taki jak kamień

leżący obok. Matka i córka były ze sobą związane nie tylko za życia, ale także po śmierci.

Skontaktował się z terapeutą od narkotyków, żeby znaleźć odpowiedzi na pytania, których Liz nie chciała słuchać. Razem przeprowadzili w jej domu interwencję. Otrzymał odpowiedzi, ale nie te, które chciał usłyszeć. Od kiedy Liz skończyła dwanaście lat, spróbowała wszystkiego. Brała narkotyki, o których nawet on nie słyszał. Była to potworna mieszanka benzodiazepinowych barbituranów, alkoholu i marihuany. Wykupił jej miejsce w prywatnym ośrodku odwykowym – znowu nie rozumiał. Już po niecałych dwóch tygodniach Liz nawiązała nowe kontakty i uciekła ze starszym od niej o dziewięć lat facetem, który brał crack. On nawet wtedy nie wiedział, że crack to rodzaj kokainy, która dociera do mózgu tak szybko, że można się od niej uzależnić już po pierwszym razie.

– Proszę pana...

Roberts nigdy nie przeszkadzał mu na cmentarzu. Musiał mieć ważny powód.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale... Sprawdziłem i w tak krótkim czasie nie zdołałem zorganizować panu należytej ochrony.

– A ja nie zdołałem dłużej bezczynnie gapić się w ekran. Zamierzam coś z tym zrobić. Bo mogę. Bo po to jest Zespół Crouse'a. Dlatego jutro wylądujemy w Bogocie bez względu na to, co o tym myślisz. Z lotniska pojedziemy do koszar.

– Będziemy tylko tam?

– Tylko tam.

Crouse bardzo lubił ten nagrobek. Granit, a na nim prosty napis: *Elisabeth Crouse* po lewej, data urodzenia i data śmierci po prawej.

– Ale nie tak jak poprzednio, proszę pana? Wtedy też mieliśmy tylko być w koszarach, a pan wyjechał ze strefy ochronnej na peryferie, żeby sprawdzić, jak nowo przeszkoleni rekruci palą uprawy koki na granicy z Wenezuelą. Innym razem, nic mi nie mówiąc, zmienił pan

plan i razem z jakimś kapitanem z jednostki pojechał obejrzeć, jak wysadzają w powietrze magazyn pełen chemikaliów gdzieś za Cumaribo.

– Dzień i noc na miejscu, powrót następnego dnia. Okej?

Crouse przykucnęła, żeby poprawić stojący na grobie wazon z kwiatami. Róże trochę opadły, ale kilka dni jeszcze postoją.

– Ochrona peryferyjna, pięcioro ludzi – powiedział Roberts. – Ochrona perymetryczna, czterech ludzi. Ochrona bezpośrednia, trzech ludzi. To za mało. Tylu mi nie wystarczy.

– Musi ci wystarczyć to, co masz. – Crouse znów się zniecierpliwiał. Tym razem dał to swojemu ochroniarzowi wyraźnie odczuć. – Roberts, czy mógłbyś zostawić mnie samego?

Ten stanął koło drzewa, w niewielkiej odległości od Crouse'a, który zaczął podlewać wrzos rosnący przed grobem matki Liz. Rozstali się, jeszcze zanim Liz przyszła na świat, potem prowadzili oddzielne życie, ale tutaj znowu byli w pewnym sensie razem.

Lekki powiew wiatru sprawił, że na grób spadło kilka brązowych, suchych liści. Crouse odsunął je ręką. Podobny gest wykonywał dawno temu, gdy Liz była mała – przeczesywał palcami jej długie włosy i odsuwał grzywkę na bok. Potem Liz znowu ją zaczesywała tak, jak jej się podobało.

Kiedy uciekła z ośrodka, miała szesnaście lat. Potem rzadko się z nim kontaktowała. Co jakiś czas dzwoniła, składała niezapowiedziane wizyty. Była roztrzęsiona, zniszczona nałogiem. Na dzień przed jej dwudziestymi czwartymi urodzinami zadzwoniła do niego policja z Sacramento w Kalifornii. Liz leżała w chłodnej kostnicy z głową na metalowym blacie. Twarz miała tak zniszczoną, jakby była w jego wieku. Ważyła trzydzieści kilogramów. Pocałował ją w czoło i uściśnął chudą, ptasią rękę. Jego córka przedawkowała, zmarła na zawał serca.

Decyzję podjął znacznie wcześniej. Tamtego dnia tylko utwierdził się w przekonaniu, że była słuszna.

Postanowił walczyć z mafią narkotykową.

Nie po to jednak, żeby kogoś karać albo zabić. Przestała nim kierować żądza zemsty. Teraz był w nim jedynie ogromny żal.

HOFFMANN WYSIADŁ Z SAMOCHODU i wtopił się w bezpieczną ciemność. Kiedyś bał się tego, co go teraz otaczało, gubił się w tym, co chroniło tych, którzy tylko czekali, aby zaatakować. Ta ciemność była dla niego jak światło, które prowadziło go za rękę.

Zatrzymał się i przez chwilę stał nieruchomo na wąskim podwórku. Powietrze było chłodne i suche, niebo – rozgwieżdżone. Uniósł głowę i spojrzał w kuchenne okno na pierwszym piętrze. Była tam. Siedziała przy okrągłym dębowym stoliku z kieliszkiem wina w dłoni i rozłożoną gazetą. Tak jak mu obiecała.

Widok był zupełnie inny niż dżungla z piekielną wilgocią i drażniącymi owadami. Na szczęście miał to już za sobą. Błotnistym traktem wrócili do lokalnej drogi, gdzie przesiedli się z ciężarówek do samochodu osobowego i ruszyli do Florencii. Po drodze jak zwykle zmieniali się za kierownicą. Przejechali osiemset kilometrów, ale zamienili niewiele słów. Nie dlatego, że tak się umówili, ale dlatego, że żaden z nich nie bał się ciszy. Hoffmannowi podobało się to w Johnnym, bo niewiele osób radzi sobie z takim milczeniem, czuje się z nim komfortowo. Nawet wtedy, gdy podrzucił go do wielkiej hacjendy koło miejscowości Pradera i żegnali się, nie padło zbyt wiele słów. Skinęli sobie głowami, bo za kilka godzin i tak mieli spotkać się w burdelu. Zacznie się nowy dzień i będą potrzebować nowych słów.

Dom z białą tynkowaną fasadą i krytym czerwoną dachówką, niezbyt zniszczonym dachem wyglądał jak wiele innych budynków w dzielnicy Los Guayacanes w Comuna 5 w północno-wschodnim Cali. Właśnie tak to miało wyglądać. Średniej klasy samochód zaparkowany przed zwykłym domem zamieszkanym przez zwykłych ludzi, stojący przy wąskiej, krętej uliczce bez nocnego oświetlenia. Kupił go przed siedmiu, prawie ośmiu laty. Przyjechał tu ze Sztokholmu razem z Erikiem Wilsonem, który pełnił rolę

pośrednika. Wilson oznajmił mu, że powinien znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę, a potem mu w tym pomógł. Obaj dobrze wiedzieli, że jeśli zdekonspiruje go grupa, którą infiltrował na zlecenie szwedzkiej policji, albo jeśli wydadzą go zleceńodawcy, będzie musiał natychmiast uciekać razem z rodziną przed śmiercią. Dzięki kilku udanym interesom zarobił tyle pieniędzy, że nie tylko kupił ten budynek, ale także przez cztery lata, gdy dom stał pusty, opłacał człowieka, który się nim zajmował. Szwedzka policja przemykała oczy na jego brudne interesy, dopóki dostarczał informacji o zorganizowanych grupach przestępczych.

Peter Haraldsson. Takiego użył imienia i nazwiska, gdy podpisywał akt notarialny. To wtedy po raz pierwszy wykorzystał swoją nową tożsamość. Zakupił nieruchomość w zupełnie innym zakątku świata i pod nowym nazwiskiem.

Zofii nic o tym nie powiedział.

Od dawna ją okłamywał, już nawet nie czuł i nie wiedział, co jest prawdą. A gdy go w końcu zmusiła, żeby ją wyjawiał, zrobił to, bo nie chciał wszystkiego stracić. Dopiero wtedy do niego dotarło, że granicę między prawdą a kłamstwem przesunął tak daleko, że nigdy nie będzie pewien, gdzie kończy się to pierwsze, a gdzie zaczyna to drugie, podobnie jak nie do końca będzie wiedział, kim jest.

Dolał sobie trochę do szklanki, wziął do ręki ołówek i zaczął pisać.

Przypomniał mu się jego dom w Enskede, dzielnicy Sztokholmu. Po jego nagłym wyjeździe stał się tak samo pusty jak ten nowy. Właściwie to nie jego, tylko ich dom. Często stał przed drzwiami wejściowymi, tak jak tutaj. Działka z willą w innym wymiarze – obsypane owocami drzewka, szerokie rabatki, trawnik, który częściej powinien kosić. I rzadki żywopłot oddzielający ich działkę od posesji sąsiada, na którą Rasmus i Emil tak chętnie się zapuszczali.

Zofia. Jego żona. To ją widział przez okno. Czasem dziwnie się czuł, gdy o tym myślał. Że miał kogoś, kogo mógł tak nazywać. Na początku, gdy mówił „moja żona”, brzmiało to fałszywie i sztucznie, jakby tego określenia używały jacyś

inni dorośli. Moja żona. Kobieta, która na niego czekała, bo wiedziała, że on tego potrzebuje.

– Cześć.

Pochylił się i pocałował ją. Dwa razy, jak zawsze. Objął ją i natychmiast się odprężył. Było to możliwe tylko tutaj, w jej ramionach. Nie było go siedem dni, przejechał setki kilometrów i cały czas tęsknił.

Na stole leżała szwedzka gazeta, „Dagens Nyheter”. Kupiła ją, gdy niedawno pojechała w jakiejś sprawie do Bogoty. Niedokończona krzyżówka. Ołówek, którym wpisywała litery. Przyciągnęła krzesło i dała mu ręką znak, żeby usiadł.

– Zaraz – powiedział. – Poczekaj chwilę.

Schody prowadzące na piętro za każdym razem skrzypiały coraz głośniej. Kiedy stawiał stopy na brzegach stopni, skrzypienie było jakby słabsze.

Ostrożnie wszedł do pierwszego pokoju, w którym spał jego sześćioletni syn, Rasmus. Chłopiec leżał na brzuchu z rękami pod poduszką. Sypiał w tej pozycji od samego początku. Spokojny, równomierny oddech. Rasmus był bardziej beztroski od starszego brata; nie musiał zastanawiać się nad wszystkim tyle co on. To był jego świat. Połowę swojego życia nosił imię Sebastian, mówił po hiszpańsku i był uciekinierem. Hoffmann pocałował go delikatnie w policzek. Chłopiec poruszył się, mruknął coś niewyraźnie, ale po chwili znowu zaczął równomiernie oddychać. Następny pokój. Emil, osiem lat. Śnił tak jak ojciec. Pocił się we śnie, machał rękami, lęklwym głosem wyrzucał z siebie niezrozumiałe słowa. Hoffmann usiadł na brzegu łóżka, przyłożył chłopcu dłoń do czoła i potarł je. Wiedział, że to zadziała. Emil niepokoił się ich sytuacją, niechętnie odnosił się do przeprowadzki w nowe miejsce i do swojego nowego imienia. „Przecież nie jestem Williamem”, mówił bez względu na to, jak długo mu tłumaczyli, że od tej pory tak ma na imię i ani jemu, ani jego bratu nie wolno posługiwać się imionami Rasmus i Emil. Dlaczego? Bo są ludzie, którzy chcą ich skrzywdzić. Mamo,

tato... nie widzicie, że te imiona nam nie pasują? Bez względu na to, jak bardzo się starali, nic nie pomagało, bo ich syn nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Najtrudniej było mu nocą, kiedy leżał w łóżku. Czuł się tak, jakby ktoś go ścigał. Zresztą przecież tak właśnie było.

Hoffmann wstał z łóżka i zszedł na dół. Tym razem schody skrzypiały trochę mniej. Rasmus i Emil. Przynajmniej w myślach będzie ich tak nazywał.

Zofia dołała sobie wina, postawiła przed nim pusty kieliszek i nalaa mu po brzegi. Hoffmann usiadł na krześle i położył dłoń na jej ręce.

– Ryba na osiem liter. W środku jest „z”, na końcu „k”. Utknęłam.

– Ryba na osiem liter?

Pochylił się w jej stronę. Zofia zawsze lubiła rozwiązywać krzyżówki. Dzięki temu przez kilka godzin o niczym innym nie musiała myśleć. Była w tym dobra. Jemu brakowało cierpliwości, nie mógł wysiedzieć tak długo w jednym miejscu.

– Szczupak.

Czasem tylko go prosiła, żeby spojrzał świeżym wzrokiem.

– Szczupak?

– Tak.

– Rzeczywiście, dzięki.

Zofia uśmiechnęła się, wpisała do kratek brakujące litery i złożyła gazetę. Dotknęła jego dłoni i pogłaskała ją. Czekala, aż zacznie mówić. Zawsze chwilę to trwało.

– To się znowu stało – powiedział.

– Co?

Nadal go kochała, ale w takie noce trudno było sobie wyobrazić ich dalsze wspólne życie.

– Dzisiaj. Przed południem. Zabiłem kolejnego człowieka.

Kłamstwo, które trwa od dziewięciu lat. Podwójne życie, dwa równoległe światy. W tym, w którym żyła z dziećmi, był mężem i ojcem, który prowadził firmę ochroniarską. W tym drugim Piet tonął w przestępstwach i każdego dnia

ryzykował życie, wykonując pod przykrywką tajne zlecenie polegające na infiltracji środowiska przestępczego. Dopuszczał się o wiele większej zdrady, niż gdyby zdradzał żonę z inną kobietą. Tyle że nie było innej kobiety. Były za to kłamstwa, w które się uwikłał. Istnienie kochanki uprościłoby sytuację. Ta kobieta byłaby rzeczywista, Zofia mogłaby ją zobaczyć, zrozumieć, znienawidzić i potraktować jako pretekst do odejścia. Postanowiła jednak przy nim zostać i żyć w swoim świecie, tym rzeczywistym. Wiedziała, że mąż przenosi się czasem do świata równoległego.

– Strzeliłem.

Za każdym razem kazała mu mówić prawdę. Chciała ją znać, choć czasem wolałaby jej nie słyszeć.

– Prosto w czoło. Między oczy.

Nieraz tęskniła do dawnych czasów. Do zwykłych dni, gdy odbierali dzieci z przedszkola i treningów piłkarskich, a kiedy przyjeżdżały do domu, od razu gdzieś znikwały i spóźniały się na posiłki. Tęskniła do wszystkiego, co nie istniało teraz, bo ich rodzina też nie istniała.

– Potem Johnny znowu się stał El Mestizo...

Zofia wiedziała, czym zajmuje się jej mąż. Wiedziała, że robi to po to, aby zapewnić im byt.

– To byli jeszcze chłopcy... dziesięć lat starsi od naszych. Strzelił im w kark, w plecy. Dlaczego? Bo mógł.

Wiedziała, że Piet ma w pracy do czynienia ze śmiercią. Może nawet sam się do niej przyczynia. Bezpośrednio – gdy chronił tych, którzy zabijają. Pośrednio – gdy chronił narkotyki, które też zabijają.

– Pięciu ludzi. W jeden dzień. W jednym miejscu. Rozumiesz?

Próbowała myśleć o tym tak, że gdyby on tego nie zrobił, znalazłby się ktoś inny. Ale dłużej tak nie umiała.

– Pięciu ludzi?

– Tak.

– Czy to jakaś różnica?

– Co?

– Jak zabijasz człowieka... Jak to powiedziałaś? Strzałem między oczy... Sánchez zabija czworo ludzi, strzelając im w plecy albo w kark?

– Robię to, żeby przeżyć. I żebyście wy mogli żyć.

– Tak czy inaczej, tamci ludzie nie żyją.

Tym razem Zofia rozmawiała z nim trochę bardziej stanowczym głosem. Ale nie na niego była zła.

– Powinniśmy stąd wyjechać. Wrócić do domu. Tak się nie da dłużej żyć.

– Mówisz o dożywotnim więzieniu? Do końca życia z dala od siebie?

– Mówię o ucieczce do czegoś innego! Z dala od śmierci.

Hoffmann chciał się napić wina – białego i słodkawego – ale nie mógł go przełknąć.

– Wiem, że się zmienisz. A może już się zmieniłeś? Za każdym razem, gdy tu siedzimy i rozmawiamy o ludziach, którzy już nie żyją, zostaje mi coraz mniej ciebie, tego, którego tak bardzo lubię. Ten, kto zabija, musi się chyba zmienić, żeby to wytrzymać, prawda? Przecież masz w sobie tyle empatii, zależy ci... szczerze... Umiesz się śmiać i płakać... czujesz. Kocham twoje uczucia! Bo one to ty! Ale jak długo to jeszcze potrwa? Ile musi paść strzałów, żeby to się skończyło?

– Ja...

– Posłuchaj, co ci powiem. Długo się nad tym zastanawiałam. Jeśli robisz to wszystko po to, żebyśmy mieli siebie... ale już nie jesteś sobą, a ja nie chcę mieć innej wersji ciebie... to może to znaczyć tylko tyle, że już wcale siebie nie mamy, prawda? Wolałabym cię odwiedzać w pokoju widzeń w jakimś szwedzkim więzieniu niż myśleć o tym brzydkim, zimnym, ciemnym i pustym pokoju, w którym rozłaka jest jeszcze gorsza.

Hoffmann odstawił kieliszek z winem i przesunął go po blacie jak najdalej od siebie. Już kilka razy próbował się napić, ale wino nie przechodziło mu przez gardło.

– Kocham cię – powiedział. – Wiesz o tym.

Pojechać do domu. Wrócić. Jeśli policja w Szwecji się dowie, gdzie był i co robił, dostanie dożywocie. Jeśli o jego podwójnej roli dowie się polska mafia, grozi mu wyrok śmierci. Jeśli tu zostanie, oba wyroki tylko przesuną się w czasie. Pocił się, chociaż było chłodno, serce biło mu jak młotem, chociaż starał się zachować spokój.

– Kocham chłopców, dobrze o tym wiesz. I nie ma to nic wspólnego z życiem innych ludzi. Ani z ich śmiercią.

– Owszem, ma. Uznaliśmy, ja i ty, wspólnie, że tak będzie lepiej. A jeśli nie jest? Jeśli teraz jest gorzej? Jeśli za każdym razem, gdy kogoś zabijasz, tracisz jednocześnie kawałek siebie? Nas?

Zofia wzięła go znowu za rękę i siedzieli tak przez długą chwilę, aż w końcu poszli skrzypiącymi schodami na górę. Minęli pokój Rasmusa, który nadal leżał na brzuchu, pokój Emila, który mruczał coś przez sen i przewracał się z boku na bok, i weszli do sypialni. Położyli się do łóżka i kiedy się kochali, obejmowali się tak mocno jak zawsze.

HOFFMANN WZIAŁ DO RĘKI porcelanową filiżankę z kawą, gdy tylko gorący napój wypłynął z ekspresu. Szybko wypił jej zawartość i postawił ją na plastikowej kratce, żeby zrobić sobie dolewkę. Stał pośrodku dużej sali bez okien na dole burdelu. Ostatni klient poszedł już do domu, ale dwie godziny po zamknięciu lokalu wciąż pachniało w nim pożądaniem, alkoholem, pieniędzmi i kobiecym łonem. Parkiet obok pustej sceny też był pusty, podobnie jak stoliki, kanapy i krzesła.

Stał za pustym barem i dopijał drugą filiżankę kawy.

La Casa Heaven znajdowała się w podziemiach hotelu. Osiemdziesiąt młodych kobiet było tu do dyspozycji mężczyzn przez większą część doby. Od czwartku do niedzieli ich liczba wzrastała do stu dwudziestu. Ubierały się w koronkową bieliznę, a ich zadanie polegało na tym, aby kolejnym klientom przydzielić stolik i podać dwa drinki, bo właśnie tyle kosztowało zajęcie miejsca. Każdego popołudnia i wieczoru, w nocy i o świcie, gdy klienci opróżnili już swoje szklanki i kieliszki, kobiety miały z uśmiechem zaprowadzić ich krętymi schodami na piętro.

Hoffmann otworzył lodówkę ukrytą pod ladą i wyjął z niej schłodzoną butelkę. Mocna kawa, a potem gazowana woda mineralna – jego organizm także i tego poranka zareagował powoli. Podeszedł do najbliższego stolika i rozsiadł się wygodnie na miękkiej kanapie. Zatechły bar, dansing, miejsce spotkań. A wyżej trzy hotelowe piętra z małymi pokojami. W każdym było łóżko, toaletka z lustrem i łazienka z prysznicem. Johnny zarabiał pieniądze na dwa sposoby: na alkoholu i za wynajem pokoi. W całym mieście był to jedyny burdel, którego właściciel nie domagał się od swoich dziewczyn procentu od utargu na klientach. Jego metoda od początku wywoływała wściekłość wśród konkurencji. Ich burdele, które niczym się od siebie nie różniły, ciągnęły się po obu stronach ulicy. Johnny rozdawał

ulotki o treści: *Dobrze ci tutaj? Ile ty właściwie zarabiasz, dziewczyno? Mam na imię Johnny, ale nazywają mnie El Mestizo. Jestem właścicielem sąsiedniego lokalu. Wpadnij kiedyś, nie biorę prowizji. Kasa za alkohol i pokoje dla mnie, za bzykanko dla ciebie.* Johnny był naprawdę dumny, gdy opowiadał, jak pielgrzymowały do niego młode kobiety nie tylko z innych burdeli, ale także z innych miast. Prosiły go, aby pozwolił im sprzedawać swoje ciała w jego lokalu.

Hoffmann zamyślił się. Tylu rzeczy nie był już w stanie zrozumieć. Sprzedawania kobiecych ciał. Albo tego, że znowu zabił. Albo że Zofia znowu mu powiedziała, że chce wrócić do domu. Tylko do czego?

– Kawy?

Johnny. Tak miał na imię, przynajmniej w burdelu. Za chwilę, gdy wyjadą z Cali, znowu zamieni się w El Mestizo.

– Jest w ekspresie, za barem.

– Świeża?

– Przed chwilą parzyłem.

Silnie zbudowany, szorstki, ale miękki w ruchach. Czarny warkocz na czerwonej koszuli wyłożonej na zielone wojskowe spodnie. W bocznych kieszeniach był nóż, zapasowy magazynek do pistoletu i pudełko z liśćmi koki. Johnny nalał dwie pełne filiżanki kawy i przyniósł je do stolika, przy którym siedział Hoffmann. Zawsze stał wolny, bo to był prywatny stolik Johnny’ego – „stolik właściciela”.

– Już w formie, Peter boy?

– Jeszcze nie.

– Dobrze się wczoraj spisałeś.

Johnny przesunął w jego stronę filiżankę. To właśnie tutaj, w ciemnym i zatechłym lokalu, El Mestizo czuł się najlepiej. Dzięki niemu Hoffmann mógł wykonywać swoje tajne zadanie, o którym Johnny nie miał pojęcia. Rozdrażnienie, z czasem przechodzące w natrętną irytację i niepohamowaną złość – uczucia, które na co dzień towarzyszyły im obu – rzadko dawało o sobie znać po wyjściu z lokalu ostatnich klientów i przed pojawieniem się pierwszych dostawców.

– Słyszałeś, co powiedziałem? Doceniam to, co zrobiłeś. – Johnny miał zduszony, przytłumiony śmiech, który w ogóle nie pasował do jego wyglądu. – Kurwa, przecież ja ci prawie ufam!

Prowadził burdel od dwunastu lat. Przejął go w nietypowych okolicznościach. Pewnego dnia pojechał odzyskać dług od stałego klienta. Był nim lokalny mafioso z Jamundi, który nie zapłacił na czas za pięćdziesiąt kilogramów proszku. Sprzedał go, lecz pieniędzy nie oddał. Johnny próbował je odzyskać, ale typowa w takich sytuacjach groźba – „Najpierw zabiję najmłodszego w twojej rodzinie, potem starszego i tak dalej. Będę ich zabijał na twoich oczach, aż zapłacisz” – nie skutkowałą. Dopiero gdy podczas trzeciej wizyty El Mestizo stracił cierpliwość i przyłożył lufę pistoletu do głowy sześciolatniego syna dłużnika, problem udało się rozwiązać. Johnny uznał jednak, że nie wystarczy mu odbiór gotówki, i zaczął się domagać odsetek. W końcu zażądał od dłużnika jednego z burdeli wchodzących w skład jego lokalnego imperium. Teraz razem z Hoffmannem siedzieli i pili w nim kawę. Burdel stanowił spłatę, ale Hoffmann nie znał powodów. Później El Mestizo uzgodnił z partyzantami, że sam poprowadzi lokal jako prywatny przedsiębiorca. Dowództwo zaakceptowało tę propozycję w zamian za dwadzieścia pięć procent zysku. Zgodzili się nie dla pieniędzy, ale dlatego, że znali jego przedsiębiorczość i wiedzieli, że właśnie ten burdel – spośród wszystkich w Cali – był dla niego ważny.

– Jak się czuje Maria, Peter boy? Chyba dobrze o nią dbasz?

Zofia.

Nigdy wcześniej nie dała mu tak jasno do zrozumienia, że chce wrócić do kraju, bez względu na konsekwencje.

Wolałabym cię odwiedzać w pokoju widzeń w jakimś szwedzkim więzieniu niż myśleć o tym brzydkim, zimnym, ciemnym i pustym pokoju, w którym rozłąka jest jeszcze gorsza.

– Tak, dbam. I dalej będę.

Johnny skinął głową. Ta odpowiedź najwyraźniej go zadowolila. Nawet się nie domyślał, co oznaczała i jakie konsekwencje mogła mieć dla niego w związku z zaufaniem, jakim obdarzał Hoffmanna.

– To dla ciebie. – Johnny podał mu dużą, różową kopertę.
– Przyszła wczoraj. Pomyślałem, że chciałbyś zobaczyć.

Hoffmann przez chwilę oglądał kopertę ze wszystkich stron i już zamierzał ją otworzyć, gdy usłyszeli głos dobiegający od schodów prowadzących do wejścia:

– Przyjechał samochód!

Dopił kawę, a kopertę wsunął do bocznej kieszeni spodni.

– Później o tym porozmawiamy.

Johnny wstał od stołu i ruszył w kierunku schodów prowadzących na rampę na zapleczu hotelu. Raz na tydzień przyjeżdżała ciężarówka z portu w Buenaventurze załadowana alkoholem z przemytu. Dla Johnny'ego był on głównym źródłem zysku. Każdy klient, który chciał usiąść przy stoliku, musiał zamówić dwa drinki i zapłacić za nie zawyżoną cenę. Dopiero potem wolno mu było zapłacić za seks. Dobowa wartość sprzedaży – przy założeniu, że czterdzieści gramów alkoholu kosztowało dwadzieścia pięć dolarów – wynosiła trzydzieści tysięcy dolarów. Dwadzieścia razy tyle, co Johnny zapłaci za dzisiejszy transport. Odebrał skrzynki z alkoholem, przeliczył butelki, wyjął z kieszeni zwitek studolarówek przewiązanych gumką i podał je kierowcy.

– Zapłata.

Za trzy godziny drzwi lokalu znowu się otworzą i zapach oczekiwania stanie się jeszcze bardziej ostry i cierpki.

– Whisky przesuńcie tam.

Dwaj mężczyźni skończyli rozładunek i przenieśli puste skrzynki do wejścia. Johnny dał Hoffmannowi znak, że czas zabrać się do roboty: wsiąść do samochodu i ruszyć w teren, by ściągać codzienny haracz.

– Ale najpierw pojedziemy kupić motocykl. Co ty na to, Peter boy? Czerwona maszyna z białymi kołami

i wydłużonym, miękkim siodełkiem.

Wsiedli do jeepa i ruszyli przez miasto. Po kilkunastu minutach El Mestizo zatrzymał się po raz pierwszy. Znajdowali się w dzielnicy przemysłowej, przy północnym wyjeździe z Cali. Motocykl już tam stał i na nich czekał. Czerwony, z białymi kołami. Obsługa pomogła im go załadować i przymocować do jeepa. Kolejny raz zatrzymali się przy małym, skromnym, ale zadbanym domu. Stał w połowie drogi do Palmiry i mieszkało w nim wielu policjantów. Ten, z którym mieli się spotkać, miał około trzydziestu lat. Na tyle w każdym razie ocenił go Hoffmann. Jeździł kosiarką po niewielkim skrawku trawnika.

– Dobrzy ludzie mi donieśli, że twój Leandro idzie niedługo do szkoły – powiedział El Mestizo, który długo ścisnął policjantowi dłoń. – Niesamowite! Przecież nie tak dawno kupiłem mu trzykołowy rowerek. Biało-czerwony, o ile dobrze pamiętam.

Policjant uśmiechnął się z dumą.

– Tak właśnie było. Dzieci szybko rosną.

– W takim razie pewnie to też ci się przyda?

El Mestizo dał znak, żeby policjant poszedł za nim.

– Przecież będziesz go musiał odwozić do szkoły, prawda?

Razem chwycili motocykl i postawili go na ziemi. Świeży lakier lśnił w słońcu.

– Stąd to kawałek drogi. – dodał El Mestizo.

Kiedy odjeżdżali, Hoffmann, który siedział na miejscu pasażera, odwrócił się i zobaczył, jak policjant prowadzi nowy motocykl do garażu, a po drodze pieści dłonią długie, miękkie siodełko. Był jednym z wielu państwowych urzędników, którym PRC płaciła stałą dodatkową pensję. Tym samym partyzantka stawała się ich drugim pracodawcą. Co drugi miesiąc dostawali dodatkowy prezent, żeby zapamiętali, że ten, kto daje, czegoś w zamian oczekuje. Ten policjant miał ich informować o planowanych akcjach wymierzonych w burdele. Przesłanie brzmiało zawsze

podobnie: dopóki my zarabiamy dzięki tobie, ty zarabiasz dzięki nam.

– Jak pies, który dostaje przysmak za to, że przyniósł ten but co trzeba – powiedział nagle El Mestizo.

– Co takiego?

– Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, Peter boy? Tacy jak on są jak psy. Pies dostaje przysmak od pana, jak przyniesie mu but. Nie ma przysmaku, nie ma buta.

Tak podchodził do tego El Mestizo. Oni tak do tego podchodzili.

Beneficjenci.

Hoffmann powoli odetchnął.

My tak do tego podchodzimy, pomyślał, którzy żyjemy z handlu narkotykami, w PRC i poza nią. Marginalizujemy współpracowników i klientów, szydzimy z nich. Czerpiemy z nich zyski, ale patrzymy na nich z góry. Wszędzie jest tak samo, także w Sztokholmie, ale tutaj jest gorzej, bo im więcej zarabia się na prochach, tym bardziej gardzi się tymi, którzy ich używają. To oni są tymi „słabymi”.

– Trzeba to umieć ładnie rozegrać, Peter boy, żeby tamci nigdy nie musieli sami prosić o pomoc. To ty powinieneś ją zaoferować. Motocykl? Widziałem, że cię to śmieszyło. Mieszkasz tu już trochę, ale wciąż nic nie rozumiesz. Nie ty jeden, wielu się tu wychowało, a i tak nie rozumie. Nie widzą, co się kryje za takim biało-czerwonym motocyklem. Opowiem ci historię o pewnym generale. Jedna z grup, które handlują prochami... kilka już poznałeś, ale ta zajmowała się przemytem na długo przed twoim przyjazdem... No więc ta grupa płaciła pewnemu generałowi sześć tysięcy dolarów, żeby przemykał oczy, gdy będą wysyłać kokę do Stanów. Przez kilka lat nieźle to działało. Ale generał ciągle widział, jak tamci chełpili się bogactwem: kupowali biżuterię z diamentami, mieli po kilka porszaków i wielkie wille, a nawet posiadłości z końmi i winnicami. I któregoś dnia powiedział: przechwalacie się bogactwem, a mnie dajecie marne sześć tysięcy? Od tej pory będziecie mi dawać dziesięć.

Samochód skręcił i Hoffmann stracił z oczu policjanta, który prowadził swój nowy biało-czerwony motocykl. Odwrócił się i popatrzył na widoczne w oddali góry – ich dzisiejszy cel.

– Przywódca grupy tylko się roześmiał. Pieprzony mundurowy, powiedział, już dostałeś, co ci się należy. Ale generał się uparł. Odwrócił się do swoich ludzi i powiedział: załóżcie mu kajdanki. Przywódca zrozumiał, co się dzieje, i od razu się zgodził zapłacić. Ale teraz to generał się roześmiał. Za późno, powiedział. Mam was w dupie. Będę robił interesy z kim innym. Tamci trafili za kraty i sąd wszystko skonfiskował. Stracili nawet domy, w których mieszkały ich rodziny. Na dodatek dostali po dwadzieścia pięć lat odsiadki. Wszyscy. Rozumiesz? Jaki z tego wniosek? Jeśli dobrze ci się powodzi, to wtedy ci, z którymi współpracujesz, też powinni dostać trochę więcej, żeby widzieli, że o nich pamiętasz. Nie powinni cię o to prosić. Jeśli spełnisz ich oczekiwania, nie będą chcieli, żebyś trafił do więzienia. Będzie im zależało, żebyś był na wolności i dalej dostarczał towar, bo dzięki temu oni też więcej zarobią.

– Tak jak ci wczoraj?

– Wczoraj?

– Mam na myśli ludzi, których zakopaliśmy.

– To coś innego.

– Jak to?

– Właśnie dlatego ja tu rządę, bo ty wciąż nic nie rozumiesz.

Przy drodze stała tablica *Medellín 230 km*. Hoffmann przestał w końcu zadawać pytania. Po pierwsze dlatego, że uznał to za bezcelowe. Po drugie, bo wyjechali w trasę, żeby odebrać zapłatę – tak jak mieli w zwyczaju dwa, trzy razy w tygodniu o tej porze roku, gdy objeżdżali całą Kolumbię. Na trzy, cztery godziny wcześniej El Mestizo udzielał mu wyjaśnień, których obaj bardzo potrzebowali. Nigdy wcześniej, bo posiadanie informacji oznaczało dla niego władzę i bezpieczeństwo; wiedział o czymś, o czym nie

wiedzieli inni. Była to jakby mentalna „kamizelka bezpieczeństwa”. El Mestizo zdawał sobie jednak sprawę, gdzie leży granica ostrożności, bo żeby Hoffmann mógł go chronić, potrzebował czasu na przygotowania. Kiedy więc minęli Cartago, El Mestizo zaczął mu opisywać Rodrigueza: bezdzietny kawaler, trzydzieści osiem lat. Dwanaście lat spędził w zakładzie karnym La Picota za przemyt narkotyków. Wcześniej pracował dla kartelu z Medellín. Wziął na siebie całą winę i stał się kozłem ofiarnym. Wszystkich krył, mimo to w czasie odsiadki nikt mu nie pomógł. Nie wysyłano mu pieniędzy, jedzenia ani dziwek. Kiedy więc wyszedł na wolność, zaoferował usługi konkurencji – PRC. Teraz jechali do niego, bo był im winien kasę za trzy dostawy po siedemdziesiąt kilogramów. Niby niewiele, ale o swoje trzeba się upomnieć. Wieści szybko się rozchodzą.

TYNKOWANY DOM Z BIAŁĄ fasadą, poprzeczne kraty w oknach. Na jednym z krótkich boków czerwony, nierówny węgiel. Dwa tanie samochody zaparkowane przed domem, grupka dzieci bawiących się na ulicy nieopodal domu, płatanina kabli telefonicznych zawieszonych kilka metrów nad ich głowami. Kształtem przypominały długie sflaczałe struny do gitary. Centrum Medellín, obrzeża Calle 3, w pobliżu skrzyżowania z Carrera 52. Klatka schodowa z numerem siedemnaście. Mała, brudna winda, obok której El Mestizo tylko przeszedł. Zazwyczaj nie korzystał z wind. Zdecydowanym krokiem ruszył na górę. To on zdecyduje, dokąd się uda – nie winda. Poza tym w razie awarii nie utknie w niej. Hoffmann szedł za nim, licząc stopnie. Między kondygnacjami było ich po osiemnaście, to znaczy siedemdziesiąt dwa do czwartego piętra. W końcu stanęli przed drzwiami, na których wisiała metalowa tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem RODRIGUEZ. Litery były pomalowane żółtą farbą.

Dzwonek – zwykły pojedynczy przycisk – nie działał. El Mestizo, który stał przed Hoffmannem, zapukał kilka razy do drzwi. W końcu usłyszeli kroki. Trochę ciężkie, jakby ktoś powłóczył nogami. Ktoś, kto był zmęczony, chory albo stary. Drzwi otworzył im z wahaniem starszy mężczyzna z długimi, rzadkimi, siwymi włosami. Najpierw je uchylił i przez wąską szczelinę obrzucił ich czujnym spojrzeniem. Na nagim torsie wisiały mu okulary na skręconym łańcuszku z oklejonymi taśmą oprawkami. Hoffmann ocenił jego wiek na siedemdziesiąt pięć lat. Jego ojciec też miał teraz tyle. Mężczyzna zwrócił się do nich zaskakująco mocnym głosem:

– Czego chcecie?

El Mestizo zrobił krok do przodu, chwycił dłonią za drzwi i popchnął je. Mężczyzna wyszedł na klatkę schodową.

– Szukamy Preza Rodrigueza.

– Już tu nie mieszka. Teraz to moje mieszkanie. Jestem tu sam.

– A kim pan jest?

– Nazywam się Luis Rodriguez.

– Jeśli Prez tu nie mieszka, to dlaczego jest zameldowany?

– Uważasz, że to ja pilnuję porządku w biurze meldunkowym?

Mężczyzna miał długie, chude ręce. Teraz postanowił ich użyć, żeby zamknąć drzwi. El Mestizo nie pozwolił mu na to. Zrobił kolejny krok do przodu.

– Na tabliczce jest nazwisko Rodriguez. To twój obowiązek, żeby był tu porządek, bo to twój parszywy syn nosi to nazwisko.

– Gównu cię obchodzi, czy mam syna i jak mu dałem na imię.

Hoffmann uśmiechnął się w myślach. Stary wiedział, jak się bronić. Chronił syna, bo tak robią wszyscy rodzice, bez względu na wiek dzieci.

– Rozumiesz, co powiedziałem, indiański zasańcu?

– Słabo. Uprzedź syna, któremu dałeś imię i który twoim zdaniem nie powinien mnie interesować, że ma trzy dni na spłatę długu. To nasze jedyne i ostatnie ostrzeżenie, tatuśku.

Stary Rodriguez też zrobił krok do przodu. Teraz obaj stali blisko siebie. Mężczyzna był kruchej budowy i od dawna na emeryturze. Pewnie tak samo reagował, gdy był młody i silny.

– Stoisz przed moimi drzwiami i grozisz mojej rodzinie?

– Zgadza się.

Odległość, jaka ich teraz dzieliła, była tak mała, że żaden nie mógł wykonać następnego kroku. Dlatego Rodriguez tylko patrzył na El Mestizo. Jego wodniste oczy zasłaniała mgła. Kiedyś były bystre i czujne, jego wzrok musiał być przeszywający.

– Jeśli zrobisz krzywdę mojej rodzinie, pozabijam twoją, indiański zasrańcu.

Hoffmann znowu uśmiechnął się w myślach. Sytuacja zaczynała być zabawna, ale i poważna. W staruszkę, który na nich pluł, prychał i walczył o syna, ujrzał nagle innego ojca, którego tak bardzo mu brakowało.

– Trzy dni... Wiesz, starcze, jakie są konsekwencje, jeśli nie płacisz PRC długów? Twój syn dobrze o tym wie i dlatego go tu nie ma. Schował się i wysłał starego ojca, żeby otworzył drzwi.

El Mestizo puścił w końcu drzwi, odwrócił się i ruszył schodami na dół. Na trzecim stopniu nagle się zatrzymał i odwrócił.

– Luis?

– Czego?

– Nie powinienesz być mi grozić.

WSIEDLI DO SAMOCHODU i ruszyli na północ, w kierunku Medellín City. Zachowywali się tak, jakby nic się nie stało, chociaż przed chwilą El Mestizo usłyszał pogróżki. Tak to już bywało: to, co się akurat działo, było częścią codziennego życia i rzadko pozostawiało trwałe ślady.

– To drobny handlarz, ale następnym razem, jak będziemy w okolicy, a on się z nami nie rozliczy, powinniśmy zabić kogoś z jego rodziny... tak po prostu... nikt nie będzie po nim płakał. Niestety, sprawę komplikuje kartel, w którym poprzednio pracował. Rozumiesz, Peter boy? Konkurencyjna działalność w okolicy. Jeśli będziemy musieli go zlikwidować, to nie sami, bo doszłoby do wojny. Ostatnio tak zrobiliśmy i wojnę wygraliśmy, ale zginęło trzydziestu sześciu ludzi. Tym razem muszę wybrać inne rozwiązanie.

Hoffmann znowu siedział na miejscu dla pasażera i obserwował szare domy. W każdym z nich mógł mieszkać ktoś taki jak Luis Rodriguez. Domyślał się, o jakim „innym rozwiązaniu” mówił El Mestizo. Nie cierpiał takich metod. Kiedyś powiedział wprost, co myśli o świecie El Mestizo. Podczas kłótni podniósł głos, a potem zacisnął pięści. Wtedy po raz pierwszy i ostatni zrobił coś, co mogło zaszkodzić jego misji. Nie mógł już jednak wytrzymać i musiał to z siebie wykrzyczeć.

Teatr Metropolitano. Byli na miejscu. To właśnie tam się rozstawali, przed głównym wejściem do budynku, gdy El Mestizo jechał załatwić swoją sprawę w Medellín. W tym samym miejscu umawiali się także przed powrotem. Hoffmann nie miał pojęcia, co El Mestizo robił później i dokąd jechał. Dopiero po kilku takich wizytach, gdy nalegał, żeby El Mestizo powiedział mu o swoich planach – przecież odpowiadał za jego bezpieczeństwo, a nie mógł go chronić, nie wiedząc, gdzie przebywa – ten poinformował go, że udaje się do szpitala Clínica Medellín przy ulicy Carrera 7. Tylko tyle. Potem dodał, że spotkają się za dwie godziny przed wejściem do teatru. Hoffmann znał więc miejsce, które powinien ochraniać, ale nie wiedział, dlaczego ani co tam jest. El Mestizo nigdy mu tego nie wyjaśnił, więc przestał w końcu pytać.

Dwie godziny. Za każdym razem tyle samo.

Hoffmann wpadł na świetny pomysł, jak wypełnić ten czas. Podczas dwóch wolnych godzin spotykał się z Lucią

Mendez. To były jedyne spotkania, które miały związek z jego prawdziwym zadaniem.

MIEJSCA, W KTÓRYCH SIĘ spotykali, miały przynajmniej dwa wejścia wychodzące na dwie różne ulice. Przychodzili tam w pewnym odstępie czasu. Umawiali się w pustych, przeznaczonych do remontu mieszkaniach. Meble były zakryte folią. Siadywali w kuchni przy stole i pili kawę. Bez względu na to, czy spotykali się w Medellín, Cali czy w Bogocie, obowiązywały takie same zasady, jak wtedy, gdy spotykał się w Sztokholmie z ówczesnym oficerem prowadzącym, Erikiem Wilsonem.

Przy wejściu na klatkę schodową stały rusztowania, puszki z farbą i skrzynki z narzędziami. Wszędzie kręcili się robotnicy ubrani w jednakowe kombinezony i czapki z daszkiem. Hoffmann skinął im głową i ruszył schodami na górę. Na półpiętrze zerknął przez okno i już wiedział, że Mendez przyszła przed nim właśnie z tamtej strony, przez podwórze. Użyła tylnego wejścia, a potem przeszła do sąsiedniej klatki schodowej strychem łączącym cały budynek.

Trzecie piętro. Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem ORTEGA. Przy każdym spotkaniu obowiązuje to samo nazwisko. Hoffmann zadzwonił do drzwi; odpowiedział mu hałas wiertarki. Kolejny dzwonek. W końcu zauważył cień osoby, która obserwowała go przez wizjer. Mendez otworzyła drzwi. Miała ciemne, krótko obcięte włosy. W jej oczach było wystarczająco dużo powagi, aby mógł jej zaufać.

– Wejdz. Jak zwykle jest bałagan.

Agentka specjalna Lucia Mendez miała pod sobą oba kolumbijskie biura DEA. Kiedy poprzedniego wieczoru El Mestizo poinformował Hoffmanna, że rano pojedą do Medellín po pieniądze i przy okazji odwiedzą szpital, Hoffmann od razu skontaktował się w ustalony sposób z Mendez, a ona po jego telefonie wyjechała z biura

w Cartagenie. Hoffmann nie umiał dokładnie określić, kiedy będzie na miejscu, bo El Mestizo do ostatniej chwili zwlekał z informacją, dokąd jada. Mendez czekała na niego już od dwóch godzin. Przez dwa i pół roku odbyli w podobnych okolicznościach dwadzieścia osiem spotkań.

Przez zakurzony przedpokój poszli do kuchni. Mendez zdjęła folię ze stołu i krzesel. Hoffmann otworzył przykrytą folią szafkę, wyjął z niej puszkę kawy i zdjął folię z kuchenki. Nalał wody do garnka i podpalił gaz. Płomień miał niebiesko-czerwony kolor. Wszystko jak w Sztokholmie, tyle że tam to Erik zdjął folię, a on wstawił wodę.

– Lucia.

– Paula.

Wilson przekazał amerykańskiej agencji do walki z narkotykami pseudonim, jakim Hoffmann posługiwał się w Szwecji. DEA kontynuowała ten zwyczaj. Dlatego pojawił się na tym spotkaniu jako Paula, podczas gdy El Mestizo i PRC znali go jako El Sueco. Dla sąsiadów w Cali był Peterem Haraldssonem, dla siebie Pietem Koslowem Hoffmannem. Często trudno mu było nie tylko ustalić, gdzie przebiega granica między prawdą a kłamstwem, ale także zapamiętać, że taka granica w ogóle istnieje.

Mendez odstawiła filiżankę na stolik i uśmiechnęła się do niego.

– Jak leci?

– Po staremu.

Hoffmann bardzo ją lubił. Dwa i pół roku w służbie bez żadnego kontaktu ze Szwecją i Erikiem, ze Stanami i Sue Masterson, która go zwerbowała. Mendez była więc z definicji jego jedyną koleżanką z pracy. Odkocznią. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Nie była Erikiem – jeszcze nie, bo on robił to od dziewięciu lat – ale była na najlepszej drodze, żeby mu dorównać.

– Co u Zofii?

– Wszystko w porządku.

Mendez przeszła szkolenie w bazie FLETC w stanie Georgia – tak jak Erik. Od razu było to po niej widać. Tak jak on próbowała związać go z sobą uczuciowo, zbliżyć się, sprawić, żeby każdego dnia chciał ryzykować dla niej życie, żeby tylko zdobyć kolejny okruch informacji. Wtedy, gdy jego oficerem prowadzącym był Erik, jeszcze tego nie dostrzegał, bo był młody i naiwny, wdzięczny za to, że gdy już odsiedział wyrok, przyjęto go z otwartymi ramionami. Dopiero teraz to do niego dotarło. Manipulacja prowadzona według tego samego wzoru. Co ciekawe, wcale mu to nie przeszkadzało. Tym razem to on ich potrzebował. Musiał mieć pracę, żeby przeżyć.

– A dzieci?

– Dobrze.

To Mendez pomogła Zofii znaleźć pracę nauczycielki angielskiego w szkole w Cali. To Mendez załatwiła ochronę dla jego dzieci, gdy spodziewali się odwetu. To ona znalazła im bezpieczne mieszkanie, kiedy naraził rodzinę na niebezpieczeństwo. Pewnego ranka ktoś ostrzelał samochód, w którym siedzieli kilka minut wcześniej. Wóz wyglądał potem jak durszlak do odcedzania makaronu. Ta dziecinna myśl przyszła mu do głowy, gdy krew płynęła mu po prawej ręce, a w szybie wozu, drzwiach i suficie widać było mnóstwo dziur po pociskach. To Mendez doprowadziła do wycofania listu gończego za przestępcą używającym pseudonimu El Sueco, oskarżonym o zabójstwo, wymuszenia i szantaż. Zrobiła to dwa razy, kiedy nie wystarczyły łapówki.

Woda się zagotowała i Hoffmann napełnił filiżanki aż po brzegi wrzątkiem.

– Nie wiem, jak smakuje, ale na pewno jest lepsza od tej, którą dostarczają nasi wspólni znajomi. Tej dużo mocniejszej, z innym proszkiem.

Wypili połowę zawartości filiżanek i zabrali się do pracy.

– Popatrz na to.

Hoffmann wyciągnął z kieszeni na piersi GPS i położył go na stole przed Mendez. Na wyświetlaczu pojawiły się cyfry:

57.308326, 15.1241899

Zapisała na kartce zakodowane współrzędne miejsca, w którym Hoffmann był poprzedniego dnia. Po powrocie do Bogoty wprowadzi dane do komputera, gdzie zostaną przetworzone przez specjalny program. Dzięki temu będzie można zlokalizować kontrolowaną przez PRC wytwórnę koki w amazońskiej dżungli.

– Najwcześniej za osiem tygodni, dobrze?

– Umawialiśmy się na cztery. Potem uderzymy.

– Poprzednim razem czekaliście dokładnie cztery tygodnie. Tym razem powinniście odczekać przynajmniej osiem.

– Za osiem tygodni niczego może już tam nie być: obozu, aparatury, wytwórni.

– Ten obóz to centrum dostaw kokainy w tamtej okolicy. Leży w odludnym miejscu i wydano na niego mnóstwo pieniędzy. Możesz być spokojna, jeszcze trochę postoi.

– Na pewno?

– Nie, ale musimy zaryzykować, żeby nikt nie skojarzył mojej wizyty z atakiem.

Okres oczekiwania powinien być za każdym razem inny, aby zminimalizować ryzyko, że informacja uzyskana od Hoffmanna – która miała się stać podstawą decyzji amerykańskich władz o zniszczeniu obozu – zostanie powiązana z Peterem Haraldssonem, któremu PRC za ochronę tego obozu płaciła.

– Masz już miejsce i termin – powiedział. – Przyda się jeszcze ostrzeżenie.

Mendez patrzyła na niego wyczekująco.

– Tamta wytwórnia różni się od innych... Jest większa, a właściwie największa, jaką kiedykolwiek widziałem. Jest też lepiej chroniona: strażnicy mają cięższe uzbrojenie i spore doświadczenie, sam ich przecież szkoliłem. Musicie się dobrze przygotować, wysłać więcej ludzi. Inaczej was pozabijają i pogrzebią w dżungli.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, znów rozłożyli folię na meblach, umyli filiżanki i zawiesili na drzwiach tabliczkę z nazwiskiem SILVA. Wszystko miało wyglądać tak, jakby nigdy ich tam nie było.

Hoffmann miał wyjść z budynku pierwszy, drzwiami od północnej strony, przez które wcześniej wszedł. Objął Mendez – bo od pierwszego spotkania tak się witali i żegnali, więc głupio byłoby nagle podać rękę – i opuścił mieszkanie. Zdążył dojść do półpiętra, gdy Mendez chwyciła go za ramię.

– Telefon.

Wyjął aparat z kieszeni kamizelki, a Mendez wyjęła swój z wewnętrznej kieszeni kurtki. Używali tego samego systemu, co wtedy, gdy pracował w Szwecji. Kiedy ktoś do niego dzwonił, to tylko z jednego numeru. Kiedy on dzwonił do kogoś, też tylko na jeden numer. Posługiwali się dwoma niezarejestrowanymi telefonami na karty i dzwonił z nich tylko do siebie. Dzięki temu nikt nie mógł ich namierzyć.

– Minął miesiąc. Powinniśmy je wymienić.

Mendez przyniosła na spotkanie papierową torbę, która stała na przykrytej folią szafce w przedpokoju. Teraz wyjęła z niej nowy aparat.

– Zwróć mi ten, którego używałeś do tej pory.

Hoffmann oddał jej telefon i wziął nowy z wprowadzonym numerem.

– Od tej pory używaj tylko tego. Następne spotkania na czwórce w Bogocie, na dwójce w Medellín i na jedynce w Cartagenie.

Schodząc na parter, Hoffmann zauważył, że robotników jest więcej niż przed spotkaniem z Mendez. Skręcali metalowe rusztowania, które zastawiały klatkę schodową. Kiedy wyszedł na ulicę, zauważył, że jego ubranie jest pokryte pyłem i drobinkami farby.

PRZEWODNICZĄCY TIMOTHY D. CROUSE przeniósł ciężar ciała na prawą nogę. Znajdował się w koszarach; stał w prawym rogu koszarowego dziedzińca. Utrzymywanie się w tej pozycji przez dłuższy czas było trudne. Bolała go lewa noga i ciągle się bał, że ktoś to zauważy. Nie wiedział tylko, dlaczego się tego obawiał. Był przecież mężczyzną w średnim wieku, a wiadomo, że mężczyźni w tym wieku mają prawo być w gorszej formie. Może chodziło o próżność? A może był to zwykły strach, że jeśli okaże słabość i nie udowodni, że jest politykiem, który emanuje siłą i energią, nie zyska wyborców, głosów ani nowych zadań? Dlatego zawsze starał się być w ruchu, podczas długich posiedzeń przy konferencyjnym stole co jakiś czas wstawał z krzesła, wywiadów wołał udzielać w czasie spacerów, a gdy nie miał innego wyjścia – na przykład kiedy przemawiał z mównicy – stosował sprawdzoną metodę: uczył się przemówienia na pamięć i wychylony do przodu, opierając się na łokciach tam, gdzie inni mówcy rozkładali papiery. Ból ustępował i nikt niczego nie zauważał.

Spadły pierwsze krople deszczu, który był elementem odwiecznego cyklu. Dostarczał wilgoci i działał tak jak on: w górę, w dół, dokoła. Liczący dwudziestu ludzi oddział przemieszczał się po placu w takt komend, które kapitan przekazywał monotonnym głosem przez megafon: prawa – lewa – prawa, prawa – lewa – prawa. Żołnierze ubrani byli w czarne buty i mundury i wykonywali nieco teatralne ruchy. Cóż, musztra stała się teraz teatrem i przedstawieniem, bo obserwował ich twórca jednostki i jej duchowy ojciec, Mr Crouse. Do znudzenia powtarzali ten sam element musztry. Crouse odwrócił się i zerknął w górę – przed chwilą był w eleganckim kasynie na najwyższym piętrze budynku, do którego wpuszczano wyłącznie oficerów i dowódców. Często go tam zapraszano, żeby w środku, za panoramicznymi oknami, podziwiał swoich świetnie wyszkolonych, nieprzekupnych ludzi i utwierdzał

się w przekonaniu, że pieniądze, dla których tak ciężko pracował, coś znaczą, że dzięki nim można coś zmienić i zbudować coś nowego. Nigdy jednak nie podobały mu się czerwone wykładziny i srebrna zastawa w klubie oficerskim. Wolał stać na placu, bez towarzystwa pułkownika dowodzącego oddziałem, którego wcześniej sam wybrał i mianował, bez innych oficerów i bez Roberta, który dbając o jego bezpieczeństwo, ograniczał mu zarazem swobodę.

Głęboko oddychał, czuł się spokojny. I to gdzie? Na dziedzińcu koszar, w otoczeniu ośmiu podobnych do bunkrów budynków dla stu pięćdziesięciu pięciu nieprzekupnych żołnierzy z Camp Justice. Cholernie głupia nazwa. Kolumbijscy politycy, którzy wyrazili zgodę na utworzenie jednostki, byli z niej jednak tak dumni, że machnął na to ręką. Minął rok i zdążył się przyzwycząić.

Odczuwał spokój, chociaż Pierwszy Pluton Bojowy złożony z policjantów i wywiadowców maszerował po placu w takt głośnych komend „prawa!”, „lewa!” i „stój!”, czego nie znosił. Stał wpatrzony w tumany jasnego kurzu spowijającego żołnierzy, aż w końcu w jego głowie pojawiły się inne obrazy: transmisja na żywo z zabójstwa, po którym doszło do zbiorowej zbrodni. Zwłoki ofiar zakopała za kilka peso „ekipa czyścicieli”. A przecież w jego ocenie zło nie istniało... uważał, że to tylko pojęcie stworzone przez tych, którzy starali się zdefiniować zachowania, których nie rozumieli. Kiedy jednak jedynym sensem życia stawały się coraz większe dochody, kiedy ludzie zakopywali trupy innych ludzi, uznawał, że może się mylić – zło może istnieć naprawdę. Przez cały wieczór, noc i rano w jego głowie pojawiały się negatywne wizje, które mogły zostać zastąpione jedynie dobrymi obrazami. Na przykład widokiem żywych ludzi, których nie da się kupić. Dopiero podczas czwartej podróży tutaj zrozumiał, że uczucia ustępują rozumowi i myślom tylko wtedy, gdy uda się zneutralizować to, co silne. Stał w rogu dziedzińca i śledził obrazy, które przywoływał jego mózg. Próbował je wyprzeć

za pomocą innych obrazów, które widział na własne oczy i które kojarzyły mu się z oporem i sprzeciwem. Zajmowała go tylko jedna myśl: chciał zwalczać handel narkotykami i niszczyć kolejne dostawy, żeby te bydlaki nigdy nie wygrały, a jeśli nawet wygrają, stracą przy tym tak wiele, że będzie to pyrrusowe zwycięstwo.

Nieprzekupni.

Tacy są jego ludzie, którzy teraz ćwiczą musztrę na placu. Przeszli przez specjalny proces rekrutacyjny złożony z kilku etapów. Reprezentują różne zawody. Są wśród nich policjanci, wojskowi, członkowie grup paramilitarnych, celnicy, strażnicy więzienni, dwaj psychologowie, lekarz i politolog. Oprócz tego, że reprezentują wysoką siłę bojową, łączy ich jedna cecha: są nieprzekupni.

Zacząło się kilka godzin wcześniej, gdy razem z Robertsem wylądowali na lotnisku El Dorado International. Obrazy grobów straciły na sile, kiedy pilot zatrzymał maszynę przed stojącym na płycie oddziałem wojska. W końcu udało mu się przybyć do koszar, które jeszcze do niedawna były jedną z niewielu zielonych enklaw w centrum Bogoty, wciśniętą między Carrera 60 od południowego wschodu, Calle 53 od północnego wschodu i Calle 25 od zachodu. Crouse'a cieszyło, że uprawy koki zostaną wkrótce spalone, a magazyny z chemikaliami niezbędnymi do produkcji narkotyku wysadzone w powietrze. Cieszył się, że będzie obserwował z bliska, jak wiele ton zapasów zapakowanej i przygotowanej do przetrzucenia przez granicę kokainy ulega konfiskacie. Te optymistyczne wizje zajęły miejsce obrazów brudnych, wstrętnych i brzydkich, a co najważniejsze, natchnęły go spokojem, który zazwyczaj odczuwał jedynie wtedy, gdy myślał o czasach, kiedy Liz była mała i zgodnie z odwiecznym porządkiem miała umrzeć po swoich rodzicach – tak jak powinno być.

– Prawa, lewa, prawa lewa prawa!

Koszary, a w nich grupa nieprzekupnych żołnierzy. Od dnia, w którym postanowił znaleźć sposób na życie bez Liz –

było to jeszcze wtedy, gdy powoli odchodziła z jego życia – przebył bardzo długą i krętą drogę. Chciał znaleźć solidne oparcie, żeby się nie przewrócić. Jednak w miarę upływu czasu pojawiała się stale rosnąca świadomość, że bez względu na to, jak głośno protestował, nie mógł wtargnąć do świadomości Liz i zażądać, żeby przestała umierać. Wiedział, że ma dostęp do narzędzi, których nie mieli inni rodzice dzieci biorących narkotyki. Miał władzę. Mógł się spotykać z ekspertami i innymi mądrymi ludźmi, a nawet ich do siebie wzywać. Miał władzę, aby zmieniać, chociaż na początku jego polityczni przeciwnicy próbowali wykorzystywać Liz przeciwko niemu. Polityka. Polega ona na tym, żeby pobrudzić innych i samemu się nie splamić. Tyle że on zrobił coś, czego nikt się po nim nie spodziewał. Wystąpił publicznie i zamiast ogłosić dementi i o całej sprawie zapomnieć, o wszystkim opowiedział: o córce, która umierała na jego oczach, i o Projekcie Crouse’a, który wtedy był w powijakach. Jego prywatne piekło stało się jak na ironię profesjonalną zaletą – zadecydowało o jego wiarygodności i pasji, których nikt nigdy nie zakwestionował. Walka Ameryki z narkotykami stała się walką przewodniczącego Crouse’a.

– W prawo... zwrot!

To właśnie wtedy stworzył w NGA słynną Salę Crouse’a. Znalazły się w niej urządzenia umożliwiające połączenie ze wszystkimi satelitami szpiegowskimi. Dzięki nim mógł obserwować produkcję narkotyków, ich transport i metody działania mafii narkotykowych. Mimo to coraz bardziej rosła w nim frustracja spowodowana tym, że był tylko obserwatorem. A przecież chciał działać, interweniować. Im lepszej jakości był obraz przesyłany przez satelity, im głębiej sięgały w głąb dżungli, tym cały mechanizm stawał się jaśniejszy dla nich – obserwatorów. Przezarte korupcją kraje dostarczały prawie całą produkcję narkotyków. Jego ludzie bili na alarm, ale nic to nie dawało. Raporty, które opracowywał i wysyłał Crouse, były blokowane już na wyjściu. Dopiero po dwóch latach obserwacji udało się

utworzyć Siły Operacyjne Crouse'a. W ich skład wchodzili odporni na korupcję, uczciwi ochotnicy, którzy po przeszkoleniu mieli być rozmieszczeni tam, gdzie narkotykowych baronów chroniła „kultura łapownictwa”. Ich pierwszym celem miał się stać największy i najważniejszych z tych krajów – Kolumbia.

– Oddział... stój!

Umowa o współpracy, jaką rząd USA zawarł z władzami Kolumbii, przewidywała, że Stany Zjednoczone poniosą koszty związane ze sformowaniem liczącego stu osiemdziesięciu pięciu ludzi oddziału, którzy przeszli szczegółową selekcję. Oddział został powołany do zwalczania handlu narkotykami, a jego zadaniem było likwidowanie produkcji i przejmowanie dostaw. Członkowie jednostki mieli otrzymywać bardzo wysokie wynagrodzenie, aby się uodpornić na próby korupcji. Było to dziesięć razy więcej od średniej pensji kolumbijskiego policjanta. A ponieważ okazało się, że inicjatywa w Kolumbii działa i przynosi korzyści, władze USA zaczęły wywierać nacisk na inne państwa znane z produkcji narkotyków, aby podobne oddziały utworzyły u siebie.

– Spocznij!

Żołnierze zaczęli otrzępywać się z kurzu, poprawiać broń. W końcu ustawili się w tym samym miejscu co poprzednio.

Crouse już wiele razy – i tutaj, i w Stanach – obserwował musztrę i ćwiczenia, podczas których jego oddział walczył przeciwko pozorowanemu nieprzyjacielowi. Miał więc pewne wyobrażenie o jego możliwościach. Ale to mu nie wystarczyło. Dziś wieczorem te przekłete obrazy powrócą, zaatakują go, gdy będzie leżał w łóżku, będą...

Uniósł głowę i zerknął w stronę panoramicznego okna. Ujrzał pułkownika Victora Navarro i podległych mu dowódców. I nagle, pod wpływem impulsu, ruszył do klubu oficerskiego stanowiącego serce budynku. Szedł po kamiennych schodach, przesuwając dłonią po drewnianej poręczy. Prawie wbiegł do klubu, którego podłoga była

pokryta czerwoną wykładziną. Obszedł wózek do rozwożenia potraw z pięknymi, ręcznie malowanymi szklankami, kieliszkami i ciężkimi butelkami pełnymi trunków, minął grupę oficerów i nie zatrzymując się, podszedł do okna, gdzie stał odwrócony do niego plecami dowódca oddziału, pułkownik Navarro. Wpatrywał się w dziedziniec koszar, z których przed chwilą wyszedł Crouse.

– Pułkowniku Navarro?

Pułkownik odwrócił się i popatrzył ze zdziwieniem na zdyszanego Crouse'a.

– Tak, panie przewodniczący?

– Ładnie to wszystko wyglądało, jeśli ktoś takie rzeczy lubi. Ja nie lubię. Wolę mieć efekty. I nie chcę więcej oglądać ludzi, którzy maszerują na komendę.

Pierwszy Pluton Bojowy odegrał przedstawienie, po którym dziedziniec spowijały chmury kurzu. Z wysokości wszystko stało się wyraźniejsze.

– Chcę widzieć efekty ćwiczeń i szkoleń. Akcję w terenie, to chcę zobaczyć, a nie musztrę w koszarach.

– To chyba niezbyt dobry pomysł.

– Ja będę decydował, co jest dobre.

– To tereny przeciwnika. Tam nie zapewnimy panu należytej ochrony. To dżungla. Świat partyzantów. Znają go o wiele lepiej niż my. Dlatego odradzam panu wyjazd w tamtą okolicę.

Po ćwiczeniach był lunch. Żołnierze włączyli się po placu, niektórzy od razu poszli do kantyny, inni rozmawiali, śmiali się, palili papierosy. Wyimaginowany wróg powróci dopiero wtedy, gdy się najedzą.

– Ta akcja...

– Tak, panie przewodniczący?

Crouse nie chciał podnosić głosu, bo rzadko dawało to spodziewany efekt. Podszedł więc do pułkownika i popatrzył mu w oczy.

– Niech mi pan opowie o tej akcji coś więcej.

– Naszym celem jest *cocina*, wytwórnia kokainy.

– Gdzie?

– Na granicy Parku Narodowego Serranía de la Macarena, mniej więcej w tej okolicy, gdzie Rio Guaviare zmienia nazwę na Río Guayabero. Nie jest to właściwa Amazonia, bo leży trochę na uboczu, tam gdzie dżungla graniczy z sawanną.

– Daleko?

– Dwieście osiemdziesiąt kilometrów na południe od Bogoty.

– Ile czasu się tam jedzie?

– Cztery do pięciu godzin. Samochodem.

– Rozumiem. Zabierzecie mnie na akcję.

Podczas tej rozmowy Roberts zachowywał się jak zawsze. Stał tuż przy Crousie, ale był dyskretny. Jednak po ostatnich słowach przełożonego postanowił zareagować. Zrobił dwa kroki, przyłożył dłoń do ust i szepnął mu do ucha:

– Proszę pana, czy możemy porozmawiać na osobności?

– Bardzo dobrze wiem, co mi chcesz powiedzieć. Już to mówiłeś wczoraj, gdy patrzyłem, jak zakopują ludzi w grobach, i potem przy innym grobie. O grobach wiem jedno: ci, którzy do nich trafiają, już nigdy nie wracają do swoich rodzin. Pamiętasz ludzi, których oglądaliśmy wczoraj na monitorach? Tych zastrzelonych z powodu partii narkotyków... Każdy z nich miał kogoś, kto teraz na nich czeka. I jeszcze coś ci powiem: telewizję mogę sobie oglądać w domu.

– Nalegam. Pójdzie pan ze mną? – Roberts skinął w kierunku rogu pokoju za biurkiem Navarry, przy ścianie, na której wisiały dwa skrzyżowane bagnety. – Już wczoraj o tym rozmawialiśmy. Powiedziałem, że z tak krótkim wyprzedzeniem nie zbiorę odpowiedniej grupy, żeby zapewnić panu ochronę. Obiecał pan, że w takim razie będziemy przebywać tylko w koszarach. Nie uda nam się nawet załatwić samolotu, żeby zagłuszyć tamtejszą łączność. Dżungla ma uszy, a ci, którzy słyszą, informują.

– A ja ci powiedziałem, że będziesz musiał się zadowolić tym, co mamy. Wyjeżdżamy za godzinę. Mam już po dziurki

w nosie niekończących się ćwiczeń i umundurowanych żołnierzy, którzy bawią się w marsze. Chcę ich w końcu zobaczyć w akcji.

Roberts zdawał sobie sprawę, że rozmawia z człowiekiem, który ma władzę polityczną, a w dodatku jest jego pracodawcą. Wiedział więc, na ile może sobie pozwolić. Z czasem zrozumiał, z jak wielką traumą zmagał się Crouse. Ta sytuacja była jednak inna. Wiedział, że to on ma słuszość, i dlatego postanowił mówić jaśniej.

– Tim, do jasnej cholery!

Nigdy wcześniej nie zwracał się do Crouse'a po imieniu, nigdy też nie kłął w jego obecności. Teraz pochylił się do jego ucha i stojąc plecami do pułkownika Navarro, zaczął szeptać:

– Posłuchaj, co chcę powiedzieć. Na tamtym terenie znaleziono niedawno masowy grób, a w nim dwa tysiące niezidentyfikowanych ciał. W ostatni weekend w regionie Meta znaleziono dwadzieścia osiem trupów, ofiar wojny narkotykowej. O tylu wiemy, ale prawdziwa liczba ofiar jest nieznana. A inne? Piętnastu ściętych na ulicy w La Macarena, ośmiu zastrzelonych w minibusie, pięciu rannych w samochodzie osobowym.

Roberts dotknął koszuli, pod którą Crouse nosił kamizelkę kuloodporną. Prawie go do tego zmusił, bo Crouse nie chciał jej założyć.

– Dałem ci ją, zanim wysiedliśmy z samolotu. Spełnia swoją rolę na lotnisku, w drodze i koszarach. Ale tam będzie bezużyteczna. Możesz sobie włożyć dziesięć dodatkowych, a i tak ci nie pomogą. Takie kamizelki jak ta...

Roberts szarpnął za nią trochę mocniej, a przy okazji za koszulę.

– ...są tutaj nic niewarte, dają fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Tim, na miłość boską, jeśli nie rozumiesz, o czym mówię, możesz ją równie dobrze zdjąć już teraz! To co chcesz zrobić, robisz tylko i wyłącznie dla siebie! Jeśli pojedziemy tam, dokąd chcesz, ryzykujesz nie tylko swoje życie, ale także życie innych ludzi!

Crouse obserwował Roberta. Wiedział, że ochroniarz, który nieraz ryzykował dla niego życie, miał dobre chęci. Wiedział jednak, że to, co mówi, stanowi połowę prawdy. Roberts nie wspomniał, że ich oddział schwytał w ostatni weekend w innym regionie Kolumbii Andresa Julio Ramosa, przywódcę kartelu narkotykowego Xetas. Nie wspomniał też, że na tym właśnie ma polegać działanie tej jednostki – ma ona chwycić i niszczyć takie pasożyty jak Ramos, który wkrótce zostanie oskarżony o zabójstwa, tortury i pranie brudnych pieniędzy. Oddział Crouse’a ma ich wszystkich wyłapać, jednego po drugim. Problem polega jednak na tym, że gdy rozbiją jedną strukturę, w jej miejsce pojawia się nowa, aby walczyć o opuszczony teren. Dlatego walka musi trwać bez przerwy, aż zniknie ostatni przestępca.

– Roberts?

– Tak?

– „Tak, panie przewodniczący”.

– Tak... panie przewodniczący?

– Nikt nie wie, co nas tam czeka. Twoja praca polega na tym, żeby mnie przed tym chronić. Za to ci płacą. Rozumiem, że dalej będziesz ją wykonywał?

– Ja...

– I nigdy więcej nie mów do mnie po imieniu.

Rozmowę przerwał im dobiegający z zewnątrz hałas. Na dziedziniec koszar wjechały cztery pojazdy opancerzone, które miały wziąć udział w następnych pozorowanych manewrach. Na ich widok w sali wzmógł się gwar rozmów. Crouse odczekał, aż rozmowy ucichną, a następnie zawołał w kierunku grupy oficerów:

– Victor!

Victor Navarro odwrócił się w jego stronę.

– Tak, panie przewodniczący?

– Za godzinę.

– Za godzinę? Ale co?

– Zbiórka i wyjazd.

FRANK ROBERTS ŚCISKAŁ w ręce drewniany trzonek maczety, którą ciął liany i gęste gałęzie zwisające nad ścieżką. Były jak naturalna draperia. W pracy lubił mieć lepszy, niczym nieograniczony widok. Jego skuteczność i tak była osłabiona przez denerwującą wilgoć, która kleiła się do niego ze wszystkich stron; pod pachą, gdzie trzymał kaburę z pistoletem, miał plamę potu. Marynarkę zdjął wcześniej i zostawił na przednim siedzeniu samochodu. I tak nie miało to znaczenia, bo duszny upał, brzęczenie owadów, idiotyzm sytuacji, w której niepotrzebnie narażali się na niebezpieczeństwo, dręczyły go i oblepiały jego umysł tak, że trudno mu było jasno myśleć.

Zmierzali do porzuconego obozu partyzantów z PRC, położonego w głębi porośniętego gęstą dżunglą Parku Narodowego Serranía de la Macarena.

Droga prowadziła wśród stosów śmieci i odpadów typowych dla podmiejskich faweli. Popękane opony samochodowe, zardzewiałe kanistry na benzynę, puste opakowania po artykułach spożywczych, puszki po piwie, ubrania suszące się między dziko rosnącymi drzewami i wszechobecne zdradzieckie błoto pod trawą, w którym zapadały się buty i na którym łatwo się było poślizgnąć. Miejsce, z którego ludzie uciekli, bo takie miejsca nie nadają się do życia.

Roberts rozejrzył się.

Wojsko utworzyło wokół obozu szeroki na sześćdziesiąt metrów pierścień. Przypominał warstwę skóry chroniącą ludzkie ciało. Tworzyły go cztery ciężarówki, jeden wóz opancerzony i piętnastu kolumbijskich żołnierzy. Tylko tyłu dostał w tak krótkim czasie. Za pierwszym pierścieniem powstał następny, w odległości dwudziestu pięciu metrów od obozu. Tworzyło go czternastu kolumbijskich żołnierzy z jednostki specjalnej. Trzeci pierścień tworzyli Crouse i pułkownik Navarro wraz z dwunastoma przeszkolonymi do walki wręcz agentami specjalnymi z Diplomatic Security Service.

Od La Macareny, która była najbliżej położoną osadą, dzieliła ich ponad godzina. Od dużego miasta dwie godziny. Za daleko, żeby liczyć na wsparcie innych oddziałów policji albo wojska.

Wysoka trawa przeszła stopniowo w zdeptaną błotnistą breję. Przez moment wiał lekki wiatr, który przyniósł chwilową ulgę. Roberts minął trzystopniową strefę ochronną i znalazł się w obozie. Stał między ławami a plastikowymi beczkami, szklanymi pojemnikami i niskimi kadziami z ocynkowanej blachy, tuż za Crouse'em, który rozmawiał z pułkownikiem Navarro.

– Pytał mnie pan o akcję sprzed trzech tygodni. Użyliśmy wszystkich siedmiu plutonów. Pierwszy składał się z przeszkolonych kolumbijskich policjantów, którzy mieli zastosować niezbędne procedury prawne: aresztowania, zatrzymania, przesłuchania i tak dalej. Na podstawie informacji otrzymanych od wtyczki, którą DEA ma wśród handlarzy narkotyków, na tydzień przed akcją pluton zaczął obserwować obiekt. To już szósta wytwórnia, którą likwidujemy na podstawie informacji od tego samego agenta! Z tego, co wiemy, udało mu się dość głęboko wniknąć w najważniejsze struktury PRC.

Stado jaskrawych, czerwono-żółto-zielonych papug zerwało się z przeraźliwym wrzaskiem do lotu. Jeden z kapitanów podszedł do Crouse'a i szepnął mu do ucha, że pewnie się przestraszyły jakiegoś dużego kota.

– Drugi pluton bojowy odpowiada za łączność – ciągnął Navarro – ale żołnierze biorą też udział w walkach, jak wszyscy inni. Zostali tylko dodatkowo przeszkoleni w zakresie nawiązywania i prowadzenia łączności. Stworzyli specjalną bazę, w której gromadzą zdjęcia satelitarne. Pluton siódmy to nasze siły powietrzne w skali mikro, ludzie przeszkoleni w pilotowaniu helikopterów i małych samolotów. To oni odbyli szereg przelotów nad obiektem i wykonali zdjęcia zwykłą kamerą i tą na podczerwień.

Crouse zrobił obchód po zabudowaniach, kilka razy puknął w blaszany sufit i kopnął butem w klepisko. Budynek nie wyglądał imponująco, ale zanim go zniszczyli, odgrywał centralną rolę. To tu znajdowało się pierwsze ogniwo długiego łańcucha dostaw. Produkcja, transport i handel prochami były możliwe dzięki skorumpowanym policjantom, wojskowym, celnikom, sędziom i prokuratorom, którzy stali po niewłaściwej stronie. Tysiąc miliardów dolarów rocznie – tyle wynosił obrót kokainowych gangów. Policja i wojsko konfiskowały zaledwie pięć procent całości – reszta trafiała do odbiorców. Dane wskazywały na skalę problemu i sposób jego rozwiązania – należało przeszkolić odpowiednich ludzi do zwalczania tego procederu i zapłacić im więcej, niż mogliby dostać od drugiej strony. Dzisiaj jeszcze nie pokonają narkotykowej mafii, ale jutro? Za rok? Ile trzeba pokoleń, żeby z tym skończyć?

– Tędy, panie przewodniczący.

Navarro wskazał im ręką wąską, krętą ścieżkę. Crouse musiał się schylać przed lianami i gałęziami, które idący przed nim ludzie pułkownika obcinali maczetami. Znajdowali się w samym środku dżungli, która tworzyła wokół nich i nad nimi zielone ściany i dach. Poruszali się ścieżką prowadzącą w odwieczny mrok, kończącą się nad piękną, szeroką rzeką. Crouse ocenił, że ma około stu metrów szerokości, ale równie dobrze mogło ich być dwieście. Na drugim brzegu widać było spalony słońcem płaskowyż, za którym, nad jeszcze zieleńszą gęstwiną, wznosiło się niebo.

– Czwarty pluton to nasze siły morskie – kontynuował Navarro. – Zostali przeszkoleni do obsługi małych i dużych łodzi, nurkowania i przeprowadzania ataków spod wody. Potrafią też zatrzymać łodzie podwodne i zmusić je do wynurzenia. Dwadzieścia kilometrów stąd spuścili na wodę ponton z silnikiem, z pięcioma żołnierzami na pokładzie, i popłynęli w dół rzeki, w naszą stronę.

Pułkownik przerwał na chwilę, podszedł do wody i kopnął kilka kamieni, które wpadły do niej z pluskiem.

– Wyszli na brzeg pięć kilometrów od nas, ukryli łódź, a potem w pełnym rynsztunku popłynęli dalej. Pięćset metrów przed celem zanurzyli się pod wodę i tak dotarli do miejsca, w którym teraz stoimy. Pod osłoną ciemności wyszli na ląd i odcięli bandytom najlepszą drogę ucieczki.

Do obozu wracali inną ścieżką. Widać było, że jest starsza od tej, którą przyszli nad rzekę. Przez całą drogę musieli walczyć z chmarami komarów unoszącymi się wokół ich głów i utrudniającymi widoczność. Crouse kilka razy się potknął, gdy przechodził nad grubymi pniami powalonych drzew, które pod wpływem słońca zmieniły kolor. W końcu dotarli do pięćdziesięciometrowych orzechowców. Crouse nie mógł się powstrzymać i podszedł bliżej, żeby przesunąć dłoń po ich potężnych pniach. Potem ruszył dalej, aż dotarł do wytwórni. Pułkownik Navarro mówił dalej:

– Cały teren wokół obozu był zaminowany. Dowiedzieliśmy się o tym z meldunków od informatora DEA. Dlatego atak rozpoczął szósty pluton bojowy. To nasi specjaliści od ładunków wybuchowych. Udało im się opracować i skonstruować rodzaj ładunku, który podczas eksplozji emituje tak dużo ciepła, że niszczy większość kokainy. Czasem bywa tak, że bardziej opłaca się coś zniszczyć, niż zabezpieczyć jako dowód rzeczowy. Członkom plutonu udało się zlokalizować wszystkie miny i rozbroić je. Widzi pan tamte kratery? To było prawdziwe piekło. Potem zaatakowaliśmy. Szliśmy szerokim frontem. Trwało to do momentu, aż wszyscy przestępcy zostali zabici albo aresztowani.

Crouse spojrział w stronę miejsca, które przez drzwi wytwórni wskazał mu pułkownik. Kiedyś rozciągało się tam pole minowe. Po chwili utkwiał wzrok w czymś, na co nie zwrócił uwagi za pierwszym razem. Było to dwadzieścia identycznych skórzanych walizek leżących w rogu pomieszczenia.

– Pułkowniku, czy pańskim zdaniem oni...

Navarro zauważył, co tak bardzo zainteresowało Crouse'a.

– ...często podróżują? – dokończył.

– No właśnie – potwierdził Crouse.

– Podobne walizki znaleźliśmy też w innych obozach. Walizki w środku dżungli? Na razie nie wiemy, po co tu są. Raczej nie służą do transportowania narkotyków, bo są za małe, a transporty liczą wiele ton.

Pułkownik podniósł jedną z walizek i otworzył ją. Była pusta.

– Daliśmy je do obwąchania psom, ale nie wyczuły kokainy.

W wytwórni znaleziono palniki. Obok nich stały dwa duże cynowe garnki wypełnione kleistą masą. Trzy tygodnie temu miała z niej powstać kokaina, ale produkcję przerwał atak jednostki specjalnej. Teraz była pełna martwych owadów i pokryta warstwą kurzu, piasku i pleśni. Obok stał żeliwny garnek wypełniony jakąś rzadszą breją, z której wydobywały się pęcherze. Crouse odczekał, aż pęknie kolejny pęcherz, a gdy się tak stało, wokół rozszedł się wyrazisty zapach, a raczej smród drożdży. Pachniało przesyconym drożdżami piwem albo zacierem, który ktoś odstawił i całkiem o nim zapomniał. Crouse przypomniał sobie, że taki zacier stał kiedyś w studenckich akademikach, w komórce ze sprzętem do sprzątania. Pędzili go sami, z chleba, jabłek i wody.

– Czy mogę kontynuować, panie przewodniczący?

– Proszę.

– Wydawało mi się, że pan...

– Proszę mówić.

Navarro wskazał drogę do wyjścia. Crouse szedł o krok przed nim, Roberts o krok za nim.

– Cała załoga w obozie została zabita albo aresztowana. Jest jeszcze trochę roboty dla dwóch plutonów. Pluton trzeci to nasi przewodnicy z psami. Potrafią tropić i wykrywać materiały wybuchowe. Wykryją też kokainę i substancje używane do jej produkcji. Pluton piąty to chemicy. Ich

zadanie polega na identyfikowaniu narkotyku i analizie jego składników. To dzięki ich pracy możemy śledzić trasę, jaką kokaina przemierza z dżungli do różnych miejsc na całym świecie.

Navarro szedł po błocie, kierując się w stronę wysokiej trawy w intensywnym odcieniu zieleni. Zatrzymał się w miejscu, w którym zamiast trawy był kwadratowy, ciemny placek ziemi. Zrobił dumną minę i wyprostował się.

– Całe to paskudztwo spaliliśmy tutaj. Kokainę na różnych etapach produkcji. Najpierw *bazuko*, a potem gotowa kokaina. Łącznie prawie tona. Zachowaliśmy kilka torebek z próbkami dla naszych chemików. Tam dalej, jeśli pan pozwoli...

Nagle pułkownik zatrzymał się w pół kroku i zaczął nasłuchiwać. Chwilę potem Crouse też usłyszał ten dźwięk.

Warkot silnika. A może kilku silników? Samochody? Ciężarówki? A może motorówki? Na razie niczego nie widzieli, ale Crouse był pewien, że hałas dobiega od strony błotnistej ścieżki, którą przed chwilą przyszli. Stopniowo narastał, tym razem od strony rzeki. Jego intensywność wskazywała na to, że wodą płynie przynajmniej kilka łodzi. Crouse poczuł, jak ogarnia go niepokój.

– Panie przewodniczący, mamy kłopot.

Policjanci i żołnierze z oddziału Crouse'a zaczęli się zwoływać, padły pierwsze, rzucane po hiszpańsku, rozkazy. Crouse wyłapał pojedyncze słowa, takie jak „ładować” i „granatnik”. Pułkownik Navarro wyjął pistolet z wiszącej na prawym udzie kabury i pobiegł w kierunku jednej z ciężarówek. Nagle Crouse poczuł, jak Roberts chwyta go za ramiona.

– Ktoś nas zauważył i doniósł partyzantom! Za chwilę zdarzy się coś, co miało się nie zdarzyć. Zaatakują nas partyzanci. A kto będzie celem? Pan, panie przewodniczący! Rzeką nie możemy się ewakuować, bo wpadniemy na motorówki. Droga lądowa też odpada, bo zaraz przyjadą ciężarówki. Już je słychać. Musimy wrócić do wytwórni!

Roberts pociągnął Crouse'a przez otwór w budynku, w którym była produkowana kokaina, i przycisnął go do klepiska za ławą. Potem usiadł przed nim, by pełnić rolę żywej tarczy.

Chwilę później padły pierwsze strzały. Potem rozległa się regularna kanonada. Robiło się coraz głośniejsze. Odgłosy strzałów z broni automatycznej mieszały się z pojedynczymi wybuchami granatów.

Za chwilę zdarzy się coś, co miało się nie zdarzyć. Crouse odwrócił się na bok, żeby wyrzeć zza szerokich ramion Roberta i sprawdzić, co się dzieje. Chwilę później okolicę wypełnił biały, gęsty dym, który zasłonił im widok.

– Do wyjścia!

To nie były ćwiczenia. To działo się naprawdę.

– Teraz!

Biały dym pochłaniał dźwięki. Roberts krzyczał, ale jego głos był ledwo słyszalny.

– Niech pan się schyli, dym może być trujący.

Roberts położył się na klepisku i zaczął się czołgać. Crouse starał się trzymać blisko niego; przez cały czas wpatrywał się w brudne obcasy jego butów. Ubrany w jasny garnitur, leżał skulony na błotnistym klepisku. Za każdym razem, gdy nabierał powietrza, wciągał do płuc kolejną porcję dymu. W pewnej chwili zaczął tak gwałtownie kaszleć, że zwymiotował. Potem było już tylko gorzej. Kaszel wstrząsał nim coraz bardziej, a dym był tak gęsty, że Crouse nic nie widział. Chwilę później ujrzał promień lasera, który powoli przeczesywał całe pomieszczenie i zatrzymał się na głowie Roberta. Padł strzał i głowa rozpadła się na kawałki.

WOKÓŁ ZAPANOWAŁA CAŁKOWITA cisza. Crouse widział wokół siebie czarne cienie, które krążyły po wytwórni, jakby czegoś szukały.

W końcu znalazły to, po co tu przyszły.

Jego.

CZYJEŚ RĘCE W RĘKAWICZKACH chwyciły go w milczeniu za ramiona, a gdy wstał, zaczęły popychać go do wyjścia. Chmura dymu zalegająca nad obozem zaczęła rzednąć, aż w końcu całkowicie się rozwiała. Młodzi ludzie w maskach gazowych i mundurach w kamuflujących barwach ciągnęli przez trawę ciała zabitych – jakby wracali z polowania – żeby złożyć zdobycz jak pokot. Ten sam los spotkał pułkownika Navarro. Partyzanci podeszli bliżej, żeby się upewnić, że to naprawdę on. Pułkownik leżał na brzuchu, w samym środku wypalonego kwadratu, na którym nie tak dawno kazał spalić dużą partię narkotyków. Nie zdążył dobiec do ciężarówki. Crouse dopiero po dłuższej chwili zauważył, co znajdowało się pod ciałem pułkownika – wypalony grunt. Zobaczył go przez wielką dziurę, jaką wystrzelony pocisk zrobił między łopatkami.

Potem któryś z partyzantów związał Crouse'owi ręce sznurem. Zrobił to z taką siłą, że sznur wpił mu się w skórę na nadgarstkach. Inny mężczyzna zasłonił mu oczy opaską i mocno ją zawiązał.

CROUSE CZUŁ, ŻE ZNAJDUJE się na pace ciężarówki. Siedział na twardej podłodze, oparty plecami o burtę. Za każdym razem, gdy samochód podskakiwał na nierównościach, on podskakiwał razem z nim i syczał z bólu.

Wciąż nic nie widział i nie słyszał. Wokół niego panowała cisza; otaczała go pusta ciemność. Oprócz opaski na oczy założono mu też zatyczki do uszu.

Mimo to pewne rzeczy zdołał sobie przypomnieć. Najpierw leżał związany w trawie, gdy nagle poczuł silny zapach benzyny – to partyzanci podpalali ciężarówkę. Poczuł wstrząs, kiedy gwałtownie eksplodowały razem z pojazdem opancerzonym, który jeszcze niedawno ubezpieczał ich w składzie trzeciego pierścienia. Potem wybuchły dwa duże samochody osobowe i sześć motocykli, którymi jeździli

agenci DSS. Ekspłodował też wóz specjalnej konstrukcji, którym on, Crouse, przyjechał tu z Navarro. Pojazd został tak przebudowany, że przypominał mały czołg.

Napastnicy – prawdopodobnie partyzanci z PRC – dobrze wiedzieli, że opancerzony pojazd, który miał chronić od kul i min, stanie się bezużyteczny, gdy jego najważniejszy pasażer postanowi go opuścić.

Nikt nie wie, co nas tam czeka.

Właśnie o tym zawsze myślał, tak patrzył na życie. Tak odpowiadał, gdy kolejny ważny urzędnik albo podwładny chciał mu jeszcze bardziej ograniczyć swobodę działania. Teraz już wiedział, co go tu czeka.

Ciężarówka podskakiwała na nierównościach, a ściany burty uderzały go w plecy z taką siłą, że po pewnym czasie jazda zamieniła się w prawdziwą męczarnię. Crouse nie wiedział, gdzie jest. Wiedział tylko tyle, że jest w dżungli, a wilgoć i upał wysysają z niego siły. Wiedział, że jadą tak od wielu godzin. Bolała go kość ogonowa i lewe ramię. Ból utrudniał myślenie i odmierzanie czasu.

Napastnicy – zbrodniarze, porywacze – ułożyli na stosie czterdzieści pięć ciał, podpalili ciężarówki, a potem wszystko nagrali. *Cámara, película, televisión*. Były to ostatnie słowa, jakie usłyszał, zanim włożyli mu zatyczki do uszu. Po co to nagrywali? Czy sfilmowali całą akcję? Twarze porozrywane pociskami?

Gwałtowny zakręt. Karkiem i głową uderzył w szoferkę. Potem łokciem. Nieprzyjemne, silne uderzenie, które odczuł na całym ciele. Już dawno nie zaznał takiego bólu.

Wiedział, że nie jest tu sam. Słyszał, że wokół niego oddycha kilka osób. Domyślił się, że są uzbrojeni, bo kolba karabinu tego, który siedział obok, wbijała mu się w biodro i udo. Crouse zastanawiał się, czy jego strażnik robi to celowo. Żeby wiedział i mu się podporządkował. To pewnie jeden z tych, którzy pozabijali żołnierzy z jego jednostki. Jego oszczędzili. Pozwolili mu żyć.

Dlaczego darowali życie jemu, a zabili Robertsa? Kula roztrzaskała mu głowę na kawałki. Ze środka wypłynął

mózg, ciało osunęło się na ziemię. Miałaś rację, Roberts. To moja wina.

– *Señor?*

Głos kobiety, ostry i nosowy. Kopnęła go czubkiem buta w pierś i wyjęła mu z uszu zatyczki.

– *Muchas horas.*

W tej samej chwili rozległ się głośny ogólny śmiech. Chodziło im o to, żeby ich usłyszał. Kobieta wsunęła mu do uszu zatyczki i znowu zapadła cisza. Powiedziała po hiszpańsku „wiele godzin”.

Tylko do czego?

CZĘŚĆ DRUGA

SZTOKHOLM PO POŁUDNIU. Nieśmiały wrześnieowy deszcz.

Ewert Grens w ogóle go nie zauważał. Pokonywał właśnie krótki odcinek drogi dzielący go od parkingu, na którym stał jego samochód. Był to niewielki skrawek gruntu wciśnięty między ściany pustych kontenerów do przewozu towarów na statkach. Frihamnen to miejsce, gdzie zawsze coś się dzieje. Ciągły ruch i mnóstwo ludzi. Podróżują do Finlandii, Estonii, Łotwy i Polski albo z powrotem. Port we Frihamnen jest czymś w rodzaju okna na świat szwedzkiej stolicy. Grens nie zauważył, że zaczął padać deszcz, bo niósł reklamówkę, która miała dla niego o wiele większe znaczenie niż wszystko to, co działo się wokół niego. Właśnie uczestniczył w aukcji win. Zorganizowano ją na żywo, chociaż zazwyczaj można w nich wziąć udział jedynie przez internet. W reklamówce miał dwie butelki wina Moulin Touchais, rocznik 1982, które kupował zawsze o tej porze roku. Tegoroczną aukcję zorganizowano w starym stylu, w pomieszczeniu wypełnionym dużą liczbą butelek. Chodziło o to, aby tym razem klienci mogli zobaczyć i poczuć to, co chcieli nabyć. Pierwsza butelka poszła za dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt koron szwedzkich. Następna – z tym samym trunkiem – za trzy tysiące. Zwycięzcą okazał się kurdupel w garniturze, który przegrał poprzednią licytację. Tym razem okazał się bardziej szczodry. Tak jak na wielu aukcjach, licytacja nabrała charakteru prestiżowego – najważniejsze stało się pokonanie konkurenta. Grens wiedział, że cena końcowa była zbyt wygórowana, ale nie przejmował się ironicznymi uśmieszkami ekspertów, bo nikt inny nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej wartości butelek. Potem licytował jeszcze trzecią butelkę, chociaż wcale jej nie potrzebował. Zrobił to tylko po to, żeby się z nimi podrażnić. Przebił cenę dwóch wcześniej wylicytowanych, ale gdy gość w garniturze ponownie ją

podbił i z dumną miną wygrał, Grens w końcu się uśmiechnął.

Wsiadł do samochodu i położył reklamówkę na miejscu pasażera. Wycofał się z parkingu, włączył w ruch uliczny i ruszył przez Gärdet i Östermalm do centrum miasta.

Tak naprawdę alkohol nie interesował go ani pod względem smaku, ani skutków jego nadużycia. Uważał, że stan upojenia alkoholowego jest dla słabeuszy, którzy chcą się przenieść do wymyślanego świata, aby nabrać odwagi i stawić czoło własnym słabościom. Byli też tacy, którzy uważali, że aukcje alkoholowe są zbyt drogie jak na policyjną pensję. Nie rozumieli, że dla niego to żaden wydatek, tylko walor, który czynił go bogatszym. Jego najdroższym wydatkiem była kawa z automatu stojącego na korytarzu i opakowane w folię ciastka.

Dopiero teraz zauważył, że pada deszcz. Krople iskrzyły się w promieniach słońca. Włączył wycieraczki i opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

Czasem się zdarza, że zawartość takich starych butelek ma lekki smak korka. Cóż... czas robi swoje. Ale jemu wcale to nie przeszkadzało. Podczas uroczystości w ambasadzie Szwecji w Paryżu jeden kieliszek nalał sobie, drugi podał Anni. Tylko tyle wtedy wypili. Ceremonia ślubna trwała siedem minut. W charakterze urzędnika stanu cywilnego wystąpił pracownik ambasady, w roli świadków – dwóch strażników. Potem wyjechali w dolinę Loary i zamieszkali w pensjonacie, który wyglądał dokładnie tak jak na pocztówce.

Dzisiaj też jechał do niej, ale tym razem wybrał objazd przez centrum i Tegelbacken do Kungsholmen. Po drodze zamierzał wpaść na komendę w Kronobergu i zabrać ze swojego pokoju przenośną lodówkę. Wino należy przechowywać w temperaturze od ośmiu do dziesięciu stopni Celsjusza. Na lodówce, w niewielkiej misce, leżały dwie brzoskwinie.

Moulin Touchais z brzoskwinią. Z tamtego dnia, gdy brali ślub, zapamiętał niewiele. Na początek zupa z homara...

żeby ją zjeść, musiał na chwilę puścić rękę Anni. Nigdy nie przypuszczał, że można trzymać kogoś za rękę w taki sposób. Główne danie jadł jak we śnie, bo cały czas siedział wpatrzony w żonę. Już wiedział, że nigdy więcej nie będzie czuł się samotny. Najbardziej zapamiętał deser; żartowali sobie z tak nieprawdopodobnego faktu, że są małżeństwem. Napili się słodkiego wina, a właścicielka pensjonatu z dumą im oznajmiła, że to lokalny produkt, który należy podawać z flambirowaną brzoskwinią, bo podbija smak, wzmacnia zapach miodu i masy migdałowej. Od tamtej pory minęło już tyle lat, a on wciąż nie wiedział, czy to prawda, bo nie czuł żadnej różnicy. Pamiętał jednak, żeby zabrać ze sobą dwie brzoskwinie: jedną dla siebie, drugą dla Anni.

Na skrzyżowaniu przed ratuszem zapaliło się żółte światło, więc zatrzymał samochód. Pojazd, który jechał tuż za nim – taksówka – gwałtownie zahamował, żeby uniknąć zderzenia. Kierowca zatrząbił nerwowo na Grensa i przestał dopiero, gdy zapaliło się zielone światło. Gdyby to był inny dzień, Grens wysiadłby z wozu, podszedłby do nerwusa i spytał, po co robi tyle hałasu. Dziś nie chciał, bo jechał do niej.

Od tamtej pory w każdą rocznicę ślubu pili z Anni tylko ten gatunek i ten rocznik. Trwało to dopóty, dopóki Anni była zdrowa i razem dzielili szczęście. Potem, kiedy trafiła do szpitala, a on przyjeżdżał do niej z zakorkowanymi butelkami, siadał na jej łóżku i obejmował ją. Wznosił toast, a ona uśmiechała się do niego, gdy podsuwał jej do ust pierwszy kieliszek. Był pewien, że Anni rozpoznaje smak i że budzi to w niej wspomnienia. Lekarze za każdym razem powtarzali, że to niemożliwe – ale nie zabraniali mu częstować jej winem. Wiedział coś, czego oni nie wiedzieli – że w takie dni jej dłoń inaczej układała się w jego dłoni. Cena za wino z każdym rokiem rosła i coraz trudniej było je dostać. Ostatnio stało się dostępne jedynie na aukcjach.

Skrecając w Norr Mälarstrand, zerknął na butelki leżące w reklamówce na miejscu pasażera, które delikatnie się o siebie obijały w takt przeboju Siw Malmkvist *Lyckans ost*.

Długo szukał sprawnego magnetofonu samochodowego na kasety. Teraz jechał z opuszczonymi do połowy szybami i głośno śpiewał razem z Siw.

Nagle sytuacja na drodze gwałtownie się zmieniła.

Taksówka, która do tej pory jechała za nim, nagle przyspieszyła i wjechała na przeciwny pas, żeby go wyprzedzić. Kierowca zbyt późno zauważył wysepkę z wysokim krawężnikiem, więc przyspieszył i tuż przed nią wcisnął się przed Grensem na jego pas. Manewr był tak niespodziewany, że Grens gwałtownie zahamował. Wszystkie przedmioty, które leżały luzem w samochodzie, uderzyły w przednią szybę, sufit albo wylądowały na podłodze.

Zapadła cisza. Wóz stanął w poprzek drogi. Grens rozejrzał się i uświadomił sobie, że się nie przesłyszał.

To był dźwięk tłuczonego szkła, który zagłuszył pisk opon po asfalcie.

Dwóch rozbitych butelek.

Podczas hamowania reklamówka wypadła z fotela i uderzyła o deskę rozdzielczą. Cenne wino wylewało się na wykładzinę pokrytą okruchami szkła.

Taksówkarz pojechał dalej i nawet się nie zatrzymał, żeby sprawdzić, jakie konsekwencje jego zachowania ponieśli inni kierowcy. Grens włączył silnik i ruszył. Przekroczył prędkość dozwoloną na tym odcinku drogi. Taksówkę dogonił na wysokości Rålambshovsparken. Teraz przyszła jego kolej na podjeżdżanie i trąbienie. W końcu taksówkarz miał tego dość i gwałtownie zahamował. Stłuczka była nieunikniona. Grens wjechał mu w tył i nie tylko poczuł, ale też usłyszał zgrzyt karoserii.

– Ty skurwysynu...

Kierowca – mężczyzna w średnim wieku i służbowym ubraniu korporacji taksówkowej – wysiadł z wozu z zaczerwienioną ze złości twarzą. Podbiegł do Grensa i krzyknął:

– Po cholere zatrzymałeś się na żółtym świetle?! A teraz jeszcze na mnie trąbisz!

- Bo jeździsz jak...
- Pieprzony idiota!
- ...jak pojebany taksjarsz!

Obaj znajdowali się na środku drogi w niewielkiej odległości od siebie. Grens wiedział, że jeśli wysiądzie z wozu, dojdzie do starcia.

- Ty durniu! Jeżdżę na taksówce w tym mieście od dwudziestu dwóch lat i najbardziej mnie bawi, jak taki niedzielnj kierowca jak ty mówi mi, jak mam jeździć.

Ani Grens, ani taksówkarz nie zauważyli, że spowodowali korek. Kierowcy zaczęli na nich trąbić. Korek stale się powiększał, a oni dalej obrzucali się wyzwiskami.

- A ja jestem gliną i pracuję w tym mieście od trzydziestu lat i najbardziej mnie bawi, jak tacy kretyni jak ty tracą prawo jazdy.

Grens włożył rękę do kieszeni marynarki, wyjął z niej służbową legitymację i pokazał taksówkarzowi. Ten podszedł bliżej, położył jedną rękę na dachu wozu, drugą na bocznym lusterku i poparzył na legitymację z napisem POLICJA.

- Glina? Też sobie taką kupiłem w internecie. Spadaj stąd, zanim naprawdę się wkurzę i zrobię ci krzywdę.

Taksówkarz stał i czekał. W pewnej chwili poczuł dziwny zapach dobiegający z wnętrza samochodu Grensa. Pochylił się i pociągnął nosem.

- Co, do diabła... jesteś na gazie! No to już po tobie.

Grens pokręcił rozzłoszczony głową, przesunął się trochę w bok, podniósł z podłogi ociekającą winem reklamówkę i wyjął z niej okruch potłuczonego szkła. Ale taksówkarz już tego nie widział, bo ruszył z powrotem do swojego samochodu. Usiadł za kierownicą, gdzie na desce rozdzielczej znajdowały się dwa przyciski alarmowe. Żeby wezwać pomoc, musiał nacisnąć oba.

- Tu czterdzieści trzy-dziewiętnaście... Wjechał we mnie pijany agresywny kierowca.

W centrali korporacji Taxi Stockholms rozbłysła czerwona lampka, a nad ekranem monitora jednego

z operatorów wyświetlił się napis *Kierowca w niebezpieczeństwie*.

– Proszę o natychmiastową pomoc kolegów, którzy znajdują się blisko mnie! Jestem na Norr Mälarstrand przy Rålambshovsparken, kierunek na zachód.

Taksówkarz wysiadł z wozu i zawołał triumfalnym głosem, przekrzykując trąbiących w korku kierowców:

– Zaraz zobaczysz, gnojku! Jesteś pijusem, co?

Grens wciąż siedział za kierownicą z rozdartą reklamówką w ręce.

– Popsułeś mi spotkanie z żoną.

– Mam w dupie twoją żonę!

Zanim Grens zdążył wyjść z wozu i wrzasnąć, że nikt nie będzie w ten sposób mówił o Anni, zobaczył, jak z dużą prędkością nadjeżdża druga taksówka, która chwilę później zatrzymała się z piskiem opon przed ich pojazdami, blokując przejazd. Wysiadł z niej zaczerwieniony piegowaty mężczyzna. W ręce trzymał pałkę. Szybko zorientował się w sytuacji, podszedł do pierwszego taksówkarza i zaczął z nim rozmawiać. Grens czekał na dalszy rozwój sytuacji. W końcu obaj mężczyźni podjęli decyzję. Pierwszy dał znak drugiemu, ten uniósł pałkę, po czym obaj ruszyli na Grensa.

– Posłuchaj, pijaczk. Zrobimy tak: wysiądziesz powoli z samochodu, bo nie jesteś w stanie go dalej prowadzić, a potem z tobą porozmawiamy.

Mężczyzna, który przemawiał do Grensa, uderzał pałką w dłoń. Jej dźwięk przypominał uderzenia bata o gołą skórę.

Grens nie zamierzał podkręcać i tak już napiętej atmosfery, ale nie miał przy sobie pałki, a podejrzewał, że jeśli wysiądzie z wozu, piegowaty kierowca zrobi użytek ze swojej. Dalsze bezczynne siedzenie też nie miało sensu. Pozostało mu tylko jedno rozwiązanie – użyć broni cięższego kalibru niż pałka. Rozpiął kaburę i wziął pistolet do ręki. Wystarczy jeden ruch, żeby posłać im kulkę.

– Jakoś ci nie wierzę. Poczekam, aż przyjedzie moje wsparcie. Poza tym na twoim miejscu szybko bym się pozbył tej cholerniej pałki, bo uznam, że mi grozisz.

– I co wtedy? Co mi zrobisz? Pobiegniesz do monopolowego po nową flaszkę, żeby się pocieszyć? Wyłaż, gnoju!

Jednocześnie rozległo się mocne uderzenie pałki o dach samochodu. Potem drugie i trzecie. Grens stracił resztę cierpliwości. Gwałtownie otworzył drzwi, przewracając napastnika na asfalt. Zaskakująco zwinnie zeskoczył z siedzenia i skierował lufę w stronę leżącego na ziemi kierowcy, który nie przestawał mu ubliżać.

– Rzuć pałkę!

W jednej chwili cały świat zamarł.

– Odwróć się na brzuch!

Wokół zapanowała całkowita cisza. Kierowcy przestali trąbić.

– Rób, co mówię!

Grens odbezpieczył broń i wycelował w nogę taksówkarza, a ten mamrocząc pod nosem, położył się na brzuchu.

– Niech to szlag... tacy jak ty nie powinni chlać.

Korek ciągnął się aż do ratusza. W końcu rozległy się policyjne syreny i fasady okolicznych domów rozbłysły niebieskim światłem.

– Widzisz? To właśnie moje wsparcie. Zaraz zabiorą i ciebie, i twojego kumpla.

Nadjeżdżający radiowóz przeskakiwał z jednego pasa na drugi, manewrował między stojącymi w korku pojazdami i gapiami, którzy obserwowali rozgrywającą się na ich oczach scenę. Po chwili wysiedli z niego dwaj młodzi umundurowani funkcjonariusze. Grens domyślił się, że są w policji od niedawna. Z wozu wysiedli jednocześnie, obaj z pistoletami w rękach.

– Rzuć broń!

Grens popatrzył na nich, ale żadnego nie rozpoznał. Po ich minach domyślił się, że oni też nie wiedzieli, kim jest.

– Jestem policjantem, zatrzymałem tego człowieka.

Pilnował, aby jego pistolet wymierzony był w leżącego na ziemi taksówkarza. Wiedział, że jeśli policjanci błędnie

ocenią sytuację i uznają, że celuje w nich, zrobią to, co już nieraz uczyniło wielu innych policjantów w takiej sytuacji – najpierw strzelą, a dopiero potem będą pytać.

– Uważajcie, do diabła! – zawołał nagle taksówkarz, odwracając głowę w ich stronę. – Facet jest nawalony i uzbrojony!

– Odlóż broń i połóż się twarzą do ziemi obok człowieka, do którego mierzysz!

– Nazywam się Grens, z policji miejskiej w Sztokholmie...

– Odlóż pistolet, bo strzelę!

Nie wiedząc, kim jestem, pomyślał Grens. Przecież nie będę do nich strzelał. Za to oni mogą strzelić do mnie.

W końcu podjął decyzję. Zachowywał się tak, żeby policjanci dokładnie widzieli każdy jego ruch. Wyjął z pistoletu magazynek i rzucił go na ziemię. Potem usunął z lufy kulę, którą tam wcześniej wprowadził. Pocisk upadł na czoło kierowcy, skąd potoczył się na jego ramię. W końcu Grens zgiął chore kolano i ostrożnie położył broń na asfalcie.

– Wszystko zgodnie z regulaminem, który stosowałem, jeszcze zanim obaj przyszliście na świat.

– Mówię ostatni raz: kładź się na ziemię! Z rękami na plecach!

– Możecie pożyczyć kajdanki ode mnie. Leżą w samochodzie, w schowku, do którego przed chwilą włożyłem legitymację służbową.

– Zamknij się i kładź na ziemię!

Chwilę później wokół nadgarstków Grensa zatrzasnęły się metalowe obręcze.

– Teraz możesz wstać.

Dla człowieka, który szczyt fizycznych możliwości miał już za sobą, podniesienie się z ziemi z rękami na plecach nie było łatwe. Jeden z policjantów chwycił Grensa za ramię i podciągnął lekko do góry, żeby mu pomóc, po czym po raz pierwszy zwrócił się do leżącego na ziemi taksówkarza:

– Czy to pan wezwał pomoc?

– Mój kolega. Ten, co tam stoi.

Młody policjant machnął do drugiego taksówkarza.

– Proszę do nas podejść.

Taksówkarz, który był sprawcą całego zamieszania, spełnił jego polecenie.

– To pan wezwał pomoc?

– Tak. Ten gnój...

– Chyba miał pan rację. Cały samochód śmierdzi alkoholem.

W tym momencie taksówkarz wybuchł. Był tak wzburzony, że przestał nad sobą panować.

– I co teraz, pieprzony pijaczku?! – spytał, zwracając się do Grensa. – Nie mówiłem, że tak będzie?!

Grens milczał od chwili, gdy położył się na ziemi. Czuł się tak, jakby wraz z rozlanym winem opuściły go wszystkie siły. Teraz jednak poczuł, jak wracają.

– Niech to szlag! To były dwie butelki Moulin Touchais z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, za które zapłaciłem pięć tysięcy trzysta pięćdziesiąt koron! Więc mi nie gadaj, że śmierdzi!

Po tych słowach odwrócił się do policjanta.

– Nie wypilem ani kropli. Uwolnijcie mnie i zajmijcie się tym człowiekiem, który złamał przepisy, groził mi i nie jest komisarzem policji kryminalnej.

Tymczasem drugi policjant otworzył drzwi samochodu Grensa i zaczął go przeszukiwać. Po chwili w schowku znalazł parę kajdanek i legitymację służbową.

– Chyba się zgadza. Według tego dokumentu jest policjantem.

– Od trzydziestu dziewięciu lat.

Mundurowy obejrzał dokładnie legitymację i metalową odznakę.

– Nazywa się pan Ewert Grens?

– Gównu cię to obchodzi.

Mundurowy głęboko westchnął, a potem teatralnym gestem wyjął telefon i wybrał numer, którego Grensowi nie udało się odczytać.

– Jak pan sobie życzy. Sprawdzimy to. Mam w nosie, kim pan jest. Nikt nie będzie tak do mnie mówił. Zadzwonimy, panie komisarzu, do wyższej instancji. Nie będę się z panem pieścić. W chwili gdy doszło do nawiązania połączenia, Grens, który stał obok policjanta, usłyszał głos w słuchawce:

– Prokuratura rejonowa, proszę czekać.

– Proszę mnie połączyć z naczelnym prokuratorem.

Po kilku sygnałach odezwał się wyraźny męski głos:

– Prokurator Ågestam, słucham.

Trudno było rozstrzygnąć, czy to prokurator mówił zbyt głośno, czy też policjant specjalnie tak trzymał telefon, żeby stojące blisko niego osoby słyszały rozmowę. W każdym razie Grens słyszał każde słowo.

– Mówi Paul Lindh z komisariatu policji na Södermalm. Czternaście minut temu byliśmy w Hornstull, gdy odebraliśmy wezwanie o pomoc z Taxi Stockholms. Na miejscu zatrzymaliśmy osobnika, który pod groźbą użycia broni zmusił kierowcę taksówki do położenia się na ziemi. Śmierdzi alkoholem i według legitymacji służbowej, która wydaje się prawdziwa, nazywa się Ewert Grens i jest komisarzem policji miejskiej w Sztokholmie. Co robimy w tej sytuacji?

Policjant uśmiechnął się do Grensa i wskazał na telefon.

– Jak pan powiedział? Grens?

– Tak.

– Chwileczkę.

Grens od razu rozpoznał ten głos. Wielu ludzi nie lubił, ale nienawidził tylko tego, którego głos usłyszał w telefonie. Ów prokurator przesłuchiwał go siedem razy, ale udało mu się go zawiesić tylko raz: gdy Grensowi nawinął się pod rękę pewien podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, który nie powinien był uczestniczyć w wydaleniu z kraju skazanego na śmierć więźnia.

– Zgadza się. Mamy jego dane w kartotece. Powiedział pan, że jego zachowanie wskazuje na spożycie alkoholu?

– Tak.

– I użył broni?

– Tak.

– W takim razie proszę go zawieźć do aresztu w Kronobergu, żeby się tam uspokoił. Niech go umieścą w celi na siódmym piętrze. Potem ja się nim zajmę.

Policjant ostentacyjnym ruchem wsunął telefon do kieszeni munduru.

– Słyszał pan? – spytał, patrząc rozbawionym wzrokiem na Grensa. – Jeśli usiądzie pan grzecznie na tylnym siedzeniu, wszystko będzie dobrze. A może mam panu pomóc? Za kilka godzin, jak pan już wytrzeźwieje w celi, być może skontaktujemy się z pańskim przełożonym.

ERIK WILSON PRÓBOWAŁ LICZYĆ, ile kropel wody spadło na górną połowę okna po jego lewej stronie. Na początku szło mu nieźle. Do momentu, gdy kropel przybyło i zaczęły nierównomiernie bębnić o szybę. W końcu zlały się w jeden strumyk, który sprawił, że zewnętrzny świat stał się zamazany i wydawało się, że policjanci chodzący po dziedzińcu komendy w Kronobergu wykonują niezręczne, trudne do wytłumaczenia ruchy.

Jeszcze nie tak dawno to on tak chodził po dziedzińcu „zamazany” i „niewyraźny” dla swoich kolegów. Zanim zrobił krok dalej, tkwił w rzeczywistości, która z każdym rokiem wydawała mu się coraz bardziej gówniana i pełna przemocy. Nagle wszystko się zmieniło. Awansował na naczelnika. Co za głupia nazwa! Szef wydziału śledczego policji miejskiej w Sztokholmie. Inni policjanci wprost walczą o to stanowisko. Awans potraktował jako nagrodę za dobrze wykonywaną pracę i duże ambicje. Został najmłodszym naczelnikiem tego wydziału w całej jego historii. Uznał to za wyróżnienie, awans miło łechtał jego dumę, więc się zgodził, chociaż rozsądek mu podpowiadał, żeby odmówić. Wewnętrzny głos przekonywał go: „Daj sobie spokój, to nie dla ciebie, prestiż i status sprawdzają się tylko przez pewien czas, a potem zaślepiają”. Ale cóż, stało się, a teraz pracuje z dala od rzeczywistości, która do niedawna była całym jego światem. Przed awansem sprawował nadzór nad policyjnymi informatorami. Był w policyjnej szpicie, która wbijała się w struktury tworzone przez zorganizowaną przestępczość, i wspomagał pracę innych funkcjonariuszy. To bandyci mieli siedzieć w więzieniu, a nie on, więzień kierowniczych struktur policyjnych.

Jego rozważania przerwał dźwięk telefonu na biurku. Pięć sygnałów, osiem, jedenaście. W końcu przestał dzwonić. Najwidoczniej dzwoniącemu sprzykrzyło się czekać, aż ktoś odbierze.

Na szybie było coraz więcej kropel deszczu. Późnym latem często tak pada. Właśnie wrócił z ostatniego spotkania z ekspertami od broni, którzy na zlecenie Centralnego Urzędu Śledczego badali, dlaczego wielu policjantów nie chce używać amunicji o symbolu SPEER.Gold. Ma ona przestępcę zabić, a nie powstrzymać. Dyskusja trwała dwie godziny. Rozmawiano między innymi o tym, jakie to dziwne uczucie, gdy trzeba komuś wyjaśnić, że policjanci noszą broń przede wszystkim po to, żeby sami mogli się obronić. Niedługo rozpocznie kolejne zebranie, w innej sali konferencyjnej, z udziałem przedstawicieli władz politycznych. Takie spotkania stanowią swego rodzaju alibi kierownictwa policji i dowód na to, że dzięki nim społeczeństwo ma wgląd w ich pracę. Potem kolejne spotkania: negocjacje ze związkami zawodowymi, dyskusje o ochronie środowiska i negocjacje z działem personalnym. Kolejny zwykły dzień.

Telefon znowu zadzwonił. W końcu Wilson dał za wygraną.

– Słucham?

– Masz w pobliżu telewizor?

Pytanie zadano po angielsku, ale z amerykańskim akcentem.

– Tak.

– To włącz CNN. Za cztery i pół minuty.

Wilson od razu poznał ten głos. Od dawna go nie słyszał.

Należał do jednej z nielicznych osób, którym ufał. Przypomniała mu się kantyna w głównym budynku bazy wojskowej FLETC w stanie Georgia. Jeden z tych dni, gdy ludzie ubrani w mundury szukali ucieczki w klimatyzowanych salach. W środku było ciasno i brakowało miejsca. Podeszedł do jednego ze stolików i spytał siedzącą przy nim kobietę, czy może się przysiąść. Przez długą chwilę panowało niezręczne milczenie, aż w końcu zaczęli rozmawiać. Potem mówili o sprawach, o których nie rozmawia się z przypadkowo spotkanymi osobami. Oboje przyjechali tam na szkolenie, w którym

mieli wziąć udział starannie wybrani funkcjonariusze policji z Europy i Stanów Zjednoczonych. Szkolenie obejmowało różne sposoby pozyskiwania i przetwarzania informacji, infiltracji i ochrony świadków. Kobieta, z którą rozmawiał, pięła się na kolejne szczeble w policyjnej hierarchii. Prowadziła lokalną komórkę DEA w Bogocie. Kiedy więc usłyszał jej głos, od razu przypomniała mu się tamta kantyna i uczucie bliskości. Czasem tak bywa. Każda strona wie, że później będzie dalej żyć w swoim świecie. Dlatego to uczucie jest takie mocne.

Sue Masterson.

Jeśli zdecydowała się do niego zadzwonić, na pewno chodzi o Paulę. Dzisiaj tylko on ich łączy. Zastanawiał się, jaki charakter będzie miała ta rozmowa – pozytywny czy negatywny? Czy doszło w końcu do przełomu w trwającej od wielu lat akcji specjalnej? A może wprost przeciwnie – wszystko się posypało?

Wybiegł na korytarz, minął puste pokoje Grensa, Sundkvista i Hermansson i wszedł do małego pomieszczenia socjalnego z dwoma stolikami i telewizorem na wózku na kółkach. Późny lunch. O tej porze dnia jest tu najwięcej ludzi. Niektórzy wpadają na szybką kawę, inni powoli popijają ciemny napój, zajadają świeże bułeczki cynamonowe i nie mogą się doczekać, kiedy pójdą do domu. Wilson wiedział jednak, że ten program musi obejrzeć sam. Wybiegł z sali i popędził.

Drugi telewizor znajdował się w salce konferencyjnej na końcu korytarza. Kiedy otworzył drzwi i wpadł do środka, ujrzał jedenaście twarzy, które zwróciły się jednocześnie w jego stronę. Zobaczył też jedno wolne krzesło. To on powinien na nim siedzieć i odpowiadać na pytania kierownictwa.

Po telefonie od Masterson wiedział jedno – niezależnie od tego, czy doszło do przełomu, czy wpadki, ona zajmuje obecnie najwyższe stanowisko w całej DEA. Przez wiele lat pięła się po kolejnych szczeblach kariery, aż znalazła się na szczycie. Tylko ona i pewien agent, który był oficerem

prowadzącym, wiedzieli o współpracy DEA z pewnym informatorem, który nazywał się Piet Koslow Hoffmann, a w Szwecji działał pod pseudonimem Paula. Takie szczegóły utrzymywane są zawsze w największej tajemnicy i wie o nich bardzo wąska grupa ludzi. Gdyby bowiem otoczenie, w którym działa Paula, poznało jego prawdziwą tożsamość, oznaczałoby to dla niego wyrok śmierci. Tak się właśnie stało w Szwecji, gdy Paula został zdekonspirowany. Dlatego Hoffmann przybrał pseudonim El Sueco i zaczął działać na innym kontynencie. Sprawa musiała być naprawdę poważna, jeśli Sue zdecydowała się nawiązać niedozwolony kontakt – szefowa amerykańskiej agencji rządowej, która bada sprawę handlu narkotykami, nie ryzykowałaby dekonspiracji, gdyby sprawa nie była najwyższej wagi.

Wilson przeprosił zebrane osoby i zamknął drzwi. Do programu pozostały dwie minuty. Zrezygnował z windy i pobiegł schodami. Piętnaście stopni – policzył je mechanicznie. Po drodze czuł gwałtowny przypływ adrenaliny, za którym tak bardzo tęsknił, chociaż jeszcze nie wiedział, co za chwilę zobaczy. Zbiegł na parter i dalej pędził korytarzem, mijając kolejne zamknięte drzwi. Im szybciej biegł, tym dłużej to trwało. Centrala komendy wojewódzkiej. Wyjął kartę i otworzył nią drzwi prowadzące do dużej sali. To tu bije serce komendy. Wewnątrz siedzą operatorzy, którzy mają przed sobą ekrany monitorów i przez całą dobę odbierają informacje o życiu i śmierci. To tu trafiają wszystkie rozmowy z całego województwa, gdy ktoś prosi o pomoc. Operatorzy decydują, co zrobić z każdym zgłoszeniem. Wilson biegł między rzędami biurek, kierując się w stronę znacznie mniejszego pomieszczenia przypominającego akwarium. W środku siedział mężczyzna, który tego dnia pełnił dyżur.

– Czy pokój sztabowy jest wolny?

– Tak.

– Muszę go zająć na kilka minut.

Dyżurny, który miał wokół siebie wiele podobnych monitorów, uniósł wzrok i skinął głową.

– Proszę za mną.

Mężczyzna był potężnie zbudowany, znacznie wyższy i cięższy niż Wilson. Widać było, że zbyt dużo czasu spędza w policyjnym „akwarium”, a za mało na prawdziwej pływalni. Mimo to poruszał się zwinnie i szybko.

– Za pół godziny jest tu zaplanowane spotkanie.

– Na pewno skończę wcześniej.

Dyżurny otworzył drzwi kluczem. Wilson podziękował mu i od razu je zamknął. Potem włączył pięćdziesięciocalowy telewizor wiszący na ścianie obok pustej białej tablicy i pozaciągał żaluzje we wszystkich oknach.

Została minuta.

Wziął do ręki pilota i przeleciał kolejne kanały: SVT, TV4, BBC, Sky... w końcu znalazł CNN i usiadł na jednym z niezbyt wygodnych krzeseł. Znajdował się w pokoju sztabowym – pomieszczeniu do omawiania sytuacji kryzysowych. To tutaj obradowali przed sześcioma tygodniami, gdy konfrontacja między policją a rywalizującymi ze sobą gangami na południowych przedmieściach osiągnęła tak krytyczny stan, że zaczęło dochodzić do podpaień i wybuchła prawdziwa wojna; w tym samym pokoju obradowali dwa tygodnie później, kiedy strzelcy wyborowi otrzymali polecenie, aby zabić terrorystę, który podczas zwiększonego ruchu w piątkowy wieczór chciał się wysadzić w powietrze w największym domu towarowym w Sztokholmie. Przyszli tu też przed dwoma tygodniami, gdy doszło do zbiorowej ucieczki z pilnie strzeżonego więzienia w Hall. Tym razem był tu sam, ale znowu czekał na coś, co miało się zdarzyć – chyba coś naprawdę złego, chociaż wciąż nie wiedział, co za chwilę ujrzy na wielkim ekranie.

Mężczyzna. Elegancki, wzbudzający zaufanie. Wyglądał dokładnie tak jak wszyscy inni prezenterzy w CNN, jakby to była ta sama osoba opakowana w różne ubrania. Atlanta w stanie Georgia. On też tam był, gdy pojechał na szkolenie w FLETC. Siedziba stacji znajduje się w pobliżu bazy

wojskowej. Przypomina budynek, w którym teraz się znajdował. Kiedy wybucha kryzys, gdy dochodzi do chaosu i ogłaszany jest alarm, bo gdzieś trwa piekło, w takich miejscach zawsze i wszędzie dzieje się to samo – pracownicy natychmiast się ożywiają i zaczynają działać na przyspieszonych obrotach. Stacja telewizyjna i komenda policji to różni ludzie napędzani tym samym impulsem. Żeby mogli sprawnie funkcjonować, musi się dziać coś niezwykłego – gdzieś wybuchł gwałtowny pożar, ktoś kogoś zamordował, ktoś wyrządził komuś krzywdę.

Jest.

Na ekranie pojawił się nowy obraz. Wrak spalonego samochodu, a na dolnym pasku napis: BREAKING NEWS. W tym samym czasie w odwrotnym kierunku przesuwiał się inny pasek: *Przewodniczący Izby Reprezentantów wzięty na zakładnika.*

– Oglądasz?

W telefonie znowu rozległ się jej głos.

– Tak.

– To dobrze.

– Ale co...?

– Oglądaj dalej.

Sue Masterson rozłączyła się. Kolejna szybka rozmowa przeprowadzona z telefonu na kartę, z miejsca, którego nie da się namierzyć.

Co ma „ogłądać dalej”?

Na stoliku stały dwie butelki wody mineralnej. Wilson otworzył jedną z nich i zaczął łapczywie pić. Pasek na dole ekranu przesuwiał się wciąż z tą samą prędkością, przynosząc nowe wiadomości. Przewodniczący amerykańskiej Izby Reprezentantów porwany? Wilson nie był pewien, czy właściwie zrozumiał treść przekazu. Czy to może być prawda, że trzecia po prezydencie USA osoba w państwie została wzięta do niewoli? Jeśli tak, to rzeczywiście jest to informacja o znaczeniu globalnym. Od razu to zrozumiał. Tylko co to ma wspólnego z nim?

Elegancki, ale sztywny prezenter CNN, który pośród wielu innych prezenterów występujących w podobnych programach niczym szczególnym się nie wyróżniał, zniknął z ekranu, na którym pojawiła się szczegółowa mapa Kolumbii. Były na niej zaznaczone tereny graniczące z amazońską dżunglą. Zaraz potem wyemitowano zdjęcia przedstawiające spalone pojazdy.

Chwilę później kamera zrobiła zbliżenie, obraz stał się jeszcze ostrzejszy. Zniszczone ciężarówki, samochody osobowe i motocykle. Obok – rozciągnięte na ziemi kocy. Pod nimi – nieruchome ciała. Widać było zielone wojskowe spodnie i czarne buty należące do niektórych poległych. Wilson instynktownie zaczął je liczyć, tak jak niedawno liczył stopnie schodów. Dwunastu amerykańskich agentów bezpieczeństwa, piętnastu kolumbijskich żołnierzy i czternastu kolumbijskich policjantów z jednostki specjalnej.

Dziennikarz mówił o wojnie z gangami narkotykowymi i o przewodniczącym Izby Reprezentantów, który tę wojnę prowadził, o jego wizycie w zlikwidowanej wytwórni kokainy, o niespodziewanym ataku partyzantów z PRC, którzy go porwali i przed kilkoma godzinami się do tego przyznali. Wilson dopiero teraz zaczął rozumieć, ale nie co i jak, tylko kto.

Kolumbia. Kokaina. Śmierć. Paula.

Znowu zerknął na ekran, na którym wciąż pulsował pasek z napisem BREAKING NEWS. Na dolnym pasku pojawił się nowy przekaz: *Ameryka zapowiada kolejną wojnę z terroryzmem.*

Wilson otworzył następną butelkę z wodą, chociaż rzadko chciało mu się pić. Stanowił pod tym względem przeciwieństwo Grensa i innych policjantów, którzy bez przerwy kursowali między pokojami a automatem z kawą.

Na ekranie pojawiła się dalsza część materiału o wydarzeniach w Kolumbii. Tym razem była to transmisja spod Białego Domu. Wilson przez chwilę nie wiedział, gdzie przebiega granica między fikcją a rzeczywistością, i do

ostatniej chwili miał nadzieję, że to, co oglądał, nie działo się naprawdę. Niestety, to nie był film. Widoczny na ekranie prezydent Stanów Zjednoczonych był rzeczywiście urzędującą głową państwa, a nie aktorem filmowym, który za chwilę opuści kulisy, wyjdzie ze studia i uda się do garderoby, żeby poprawić makijaż przed następnymi ujęciami. Prezydent zrobił to, co robią prezydenci tego kraju, gdy sytuacja staje się poważna – przez odpowiednio długi czas wpatrywał się w obiektyw kamery, po czym udał, że zerka na pulpit, gdzie leżało gotowe do wygłoszenia oświadczenie. Następnie uniósł wzrok i zaczął je odczytywać z promptera. Przyzwyczajony do obecności mediów i doświadczony w występach publicznych, lekko ścisłym głosem zaczął od słów „Amerykański naród” – tak jak powinien. Obok, lekko z prawej, stała wiceprezydent Thompson, dalej szef sztabu, a przy nim szef CIA. Prawdziwa demonstracja władzy. To naprawdę nie miało nic wspólnego z fikcją.

Wilson dopiero po chwili usłyszał główny przekaz przemówienia amerykańskiego prezydenta, który stwierdził, że atak na wybranych przez naród wysokich przedstawicieli amerykańskiej administracji to atak na Stany Zjednoczone, które nie negocjują z porwaczami, a PRC, która przyznała się do porwania, stała się tym samym wrogiem Amerykanów. Wojna z narkotykami, którą prowadził przewodniczący Crouse, to wojna całej Ameryki z tą plagą. Nie ma sensu uderzać w PRC w sposób ogólny – cios musi być wymierzony precyzyjnie. Pojawia się więc konieczność uderzenia w struktury tej organizacji, w kokainowy handel, który stanowi finansowy fundament organizacji.

- Sue? – Tym razem to on do niej zadzwonił.
- Poczekaj.
- Ale...
- Za chwilę.

Masterson rozłączyła się i Wilson znowu był sam w zaciemnionym pokoju. Tylko przez nieszczelną żaluzję

sączyła się do środka wąska smuga światła. To co się właśnie działo, nie dotyczyło tu nikogo innego. To jego prywatna wojna, tak jak przed trzema laty, gdy w podziemiach więzienia wszystko poszło nie tak. Przecież to do jego obowiązków należała troska o człowieka, którego zwerbował, a potem całkiem nieświadomie polubił. Miał dbać o jego zdrowie i życie.

Na ekranie telewizora pojawiły się dalsze fragmenty materiału. Podest w Białym Domu zniknął, a w jego miejsce pojawiła się talia kart do gry.

Wilson podszedł bliżej.

Pierwszy obraz przedstawiał asa kier. Na środku karty ktoś wkleił słowo *Dowódca* oraz zdjęcie – niewyraźny obraz człowieka w zielonym nakryciu głowy przypominającym beret. Twarz miał dumną, oczy czujne. Pod spodem znajdował się podpis: *Luis Alberto Torres, pseudonim Jacob Mayo*.

Dziennikarz oznajmił, że od dzisiaj to właśnie przywódca partyzantki kolumbijskiej znalazł się na pierwszym miejscu zupełnie nowej listy śmierci. Zawierała ona trzynaście nazwisk osób uznanych przez FBI i CIA za najpotężniejszych, a tym samym najgroźniejszych członków PRC.

Każdy z nich został przedstawiony w postaci karty do gry.

Każdy z nich zostanie zabity albo aresztowany.

Miejsce Asa Kier zajął na ekranie Król Kier – druga osoba na liście, *Dowódca Bloque Amazonas*. Był to młody mężczyzna z szeroką blizną na czole i potarganą brodą. Zdjęcie paszportowe było podpisane jako Juan Mauricio Ramos, pseudonim El Médico. Kolejna karta, Dama Kier. Kobieta w wieku czterdziestu kilku lat, ideolog organizacji. Czarno-biała fotografia zrobiona w mrocznej dżungli. Kobieta była wysoka i szczupła, nazywała się Catalina Herrador Sierra, pseudonim Mona Lisa. Następna karta, Walet Kier. Hitman, czworokątna twarz o indiańskich

rysach, włosy zebrane w schludny warkocz. Imię i nazwisko: Johnny Sánchez, pseudonim El Mestizo.

Obraz przekazywany przez telewizję był sugestywny. Wszystkie pokazane osoby miały groźne miny. Widz wiedział, że każda z nich została skazana na śmierć.

Wilson już kiedyś coś takiego oglądał podczas amerykańskiej inwazji na Irak. Wykorzystano wtedy pełną talię pięćdziesięciu dwóch kart, aby pokazać pięćdziesiąt dwie najbardziej poszukiwane osoby. Nadal miał w pamięci obrazy z egzekucji Asa Pik, Saddama Husajna. Ta sama narracja, ta sama strategia: rozpoznać, a potem krok po kroku zniszczyć organizację przeciwnika.

Walet Kier, potem Dziesiątka Kier, potem Dziewiątka Kier, a na końcu Ósemka Kier. *Dowódca Bloque Cielo*, potem *Dowódca Bloque Juanita*, potem odpowiedzialny za dostawy broni, materiałów wybuchowych i amunicji.

Od tej pory osoby na liście nie zaznają spokoju. Ktoś je zabije i dostanie za to nagrodę.

Zaczął się odliczanie. Wilson tak to postrzegał. Nie wiedział tylko, przeciwko komu. Dopiero później się domyślił, gdy na ekranie pojawiła się Siódemka Kier.

To co ujrzał, nie przstraszyło go ani nawet nie przeraziło. To za mało powiedziane. To było jak cięcie mieczem, który przepołowił mu głowę, przeszedł przez szyję i dotarł do żołądka. Nie miał żony ani dzieci, więc nie musiał się obawiać, że straci kogoś z najbliższych i zgubi samego siebie. Nie czuł po prostu nic, bo każdy kolejny dzień niczym nie różnił się od innych. Jednak tym razem stało się coś zupełnie nowego: przstraszył się, że wkrótce może stracić kogoś, na kim naprawdę mu zależało.

Chciał usiąść, ale nogi miał zeszywniałe. Chciał wstać, ale nogi miał jak z waty. Pochylił się nad stołem konferencyjnym i mocno o niego oparł.

Siódemka Kier. Karta zajmowała prawie całą powierzchnię ekranu.

Odnosił wrażenie, że właśnie ta karta była pokazywana dłużej od innych. Nie było na niej fotografii, a w miejscu,

w którym powinna się znajdować, widniał tylko niewyraźny zarys postaci. Nad pustym polem na zdjęcie znajdował się napis: *Instruktor militarny i ochroniarz*, a pod nią pseudonim, bo tylko ten znały amerykańskie władze: *El Sueco*.

Na ekranie pojawiła się nowa sekwencja obrazów: ruchome i zamazane ujęcia z góry. Wilson domyślił się, że nagranie zostało zrobione przez satelitę. Widać było na nim, jak z ciężarówki wysiada mężczyzna z bronią w ręku. Jego zadanie na pewno polegało na ochronie transportu.

Wilson przypomniał sobie spotkania w pustych mieszkaniach do remontu, w których uczestniczył oficer prowadzący i jego wtyczka. Przypomniał sobie nocne rozmowy telefoniczne, gdy gra toczyła się na śmierć i życie, bo Pauli udało się przeniknąć do samego jądra struktury przestępczej, i rozmawiali o tym, że nadszedł czas, aby uderzyć i zniszczyć przeciwnika.

El Sueco. Paula.

– Co się stało?

Drzwi się otworzyły i w progu stanął dyżurny.

– Jak to, co się stało?

– Krzyczał pan.

– Naprawdę?

– Tak.

Wilson poczuł ucisk w gardle.

– Musiał się pan przesłyszeć.

– W takim razie kto rozbił butelkę?

Wilson spojrzał w kierunku, który wskazywał dyżurny. Na podłodze leżały okruchy szkła z rozbitej butelki. Wyglądało na to, że rzucił nią o ścianę. Musiał nią cisnąć z całej siły.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zostawię pana samego.

Dyżurny zerknął na niego, skinął mu głową i zamknął za sobą drzwi. Wilson został sam. Z całych sił walczył, aby odzyskać nad sobą kontrolę.

Już wiedział – Paula trafił na listę śmierci.

Adrenalina, która od pewnego czasu w nim rosła, znalazła w końcu ujście. Wprawdzie tylko krzyknął i rzucił butelką o ścianę, ale wewnątrz pozostał w nim pulsujący ból. Miał skurcze żołądka i czuł ucisk w okolicy serca. To nie był strach ani złość, tylko wszystko razem.

Wdepnął w garść okruchów szkła i zachrzęściły mu pod butem. Zaczął szukać pilota, ale nie mógł go znaleźć. Czyżby nim też rzucił o ścianę? Podszedł do telewizora i zaczął przesuwając palcami po nieoznakowanych przyciskach. Zmieniał w ten sposób obraz i ustawienia, aż w końcu znalazł regulację dźwięku. Podekscytowany, poważny, natrętny głos dziennikarza ucichł i w pokoju zapadła cisza. Trwała do momentu, aż znowu zadzwonił telefon.

– Erik? Ja...

– Czemu, do jasnej cholery, trafił na listę śmierci?

– Bo pracujemy według tych samych metod co wy. Opierając się na fałszywych danych.

– I dlatego musiał na nią trafić?

– Kiedy pół roku temu wysyłaliśmy go na miejsce, listy jeszcze nie było. Dobrze o tym wiesz. Powstała, bo ktoś podjął taką decyzję.

Policja w Szwecji pracowała w ten sam sposób. Wtyka musi być wiarygodna, żeby zdobyć zaufanie ugrupowania, do którego ma przeniknąć. Ktoś taki powinien mieć kartotekę przestępcy i spełniać warunki do werbunku. On, Wilson, zajmował się takimi werbunkami na terenie Szwecji. Przez wiele lat tworzył legendę Pieta Kosłowa Hoffmanna i robił to na różne sposoby: w policyjnej bazie podejrzanych i obserwowanych kryminalistów dopisywał mu kolejne poważne przestępstwa; w rejestrze sądowym „przedłużał” mu i „zaostrzał” kary więzienia, jego kartotekę w zakładach karnych uzupełniał o takie cechy, jak skłonność do przemocy i cechy psychopatyczne. Innymi słowy, sukcesywnie rozbudowywał mit Pieta Hoffmanna. Trwało to do momentu, w którym uznał, że każdy, kto będzie analizował jego konto, dojdzie do wniosku, że Hoffmann jest jednym z najgroźniejszych bandytów w Szwecji.

Falszowanie informacji niezbędnych w społeczeństwie prawa stało się metodą pracy.

Amerykańska DEA posługiwała się innym narzędziem – listą publikowaną na stronie internetowej FBI w zakładce *Most Wanted* z podtytułem *Drugs*. Zawierała nazwiska zidentyfikowanych czołowych przywódców gangów narkotykowych. Powstała z inicjatywy Crouse'a jako element jego wojny przeciwko narkotykom i była wymierzona w PRC, uważaną za organizację terrorystyczną.

– Erik?

– Tak?

– Uznałam, że taki sposób będzie najprostszy i najszybszy. Hoffmann działał jako wtyka przez osiemnaście miesięcy. Był tak dobry, jak obiecywałeś, a może nawet lepszy. Jego informacje były prawdziwe. Dzięki niemu udało nam się przejąć wiele transportów i zniszczyć kilka wytwórni kokainy. Żadnemu innemu z naszych agentów nie udało się wnikać tak głęboko jak jemu, żaden nie zdobył takiego zaufania. Musiał jednak wnikać głębiej w struktury organizacji, dotrzeć dalej niż tylko do Sancheza.

Z braku kontaktu Wilson ze swojego szwedzkiego biura regularnie szukał informacji na temat osoby o pseudonimie El Sueco. Gdy na stronie internetowej FBI po raz pierwszy natknął się na ten pseudonim, zrozumiał. Siódemka na liście *Most Wanted* zawierającej nazwiska najgroźniejszych przywódców PRC. El Sueco umieszczono mniej więcej w środku, żeby nie był za bardzo widoczny, a jednocześnie znalazł się w otoczeniu osób uważanych za najgroźniejsze. Ci, którzy go tam umieścili, liczyli na to, że kiedy przywódcy PRC zauważą, jak wysoko FBI umieściło go na tej liście, być może zyska większe zaufanie i wniknie jeszcze głębiej w struktury przestępcze.

– Prawdę znają tylko trzy osoby: ty, ja i oficer prowadzący, którego wybrałam. Istnieje ryzyko, że jeśli pozna ją więcej osób, Hoffmann znajdzie się w niebezpieczeństwie. Dla każdego, kto czyta tę listę,

Hoffmann jest oficjalnie jednym z naszych głównych przeciwników. To dość absurdalne potwierdzenie faktu, że wykonaliśmy dobrą robotę. Nawet moi bezpośredni przełożeni w USA niczego nie wiedzą.

– Bardzo dobrze to rozumiem, za to nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego, do jasnej cholery, nikt mnie nie uprzedził o publikacji takiej listy?

– Bo dowiedziałam się o tym kilka minut przed tobą.

Pseudonim agenta trafił na listę trzynastu najgroźniejszych nazwisk powiązanych z PRC. Udało się. Wszystko szło zgodnie z planem. Aż do momentu, gdy jeden z najważniejszych amerykańskich polityków został porwany i stał się zakładnikiem. Od tej chwili lista osób poszukiwanych stała się listą śmierci.

– To ja postanowiłam go tam umieścić i na mnie spada odpowiedzialność za jego los.

To prawda. Podobnie jak on był odpowiedzialny, gdy to samo robił w Szwecji.

– Za trzy godziny mam spotkanie z szefem sztabu i panią wiceprezydent. Spróbuję im wyjaśnić, że zaszło drobne nieporozumienie, bo jeden z naszych współpracowników został uznany za wroga. Ty pojedź w tym czasie do amerykańskiej ambasady w Sztokholmie. Chcę się dowiedzieć z innych źródeł, ile wiedzą o całej sprawie.

– Wiedzą? To znaczy kto?

– Biały Dom. Ci, co postanowili, że Piet Hoffmann umrze.

WIELE GODZIN. WŁAŚNIE TAK powiedziała.

Crouse nie miał pojęcia, co będzie dalej.

Barki, plecy, biodra, kość ogonowa... od dawna już nawet nie czuł bólu. Wiedział jednak, że otaczające go osoby siedzą na ławkach i tylko on leży na podłodze ciężarówki.

Drogi były nierówne, więc po każdym gwałtownym hamowaniu czy szarpnięciu bolały go mięśnie i kręgosłup. Wiele razy zapadali się w błoto. W takich sytuacjach Crouse tylko z gwałtownych ruchów wozu i z tego, że wszyscy zeskakiwali na ziemię, domyślał się, że próbują wypchnąć wóz z dołu albo błota.

W końcu zasnął, chociaż starał się panować nad myślami. Obudził się dopiero wtedy, gdy przez obluzowane zatyczki w uszach usłyszał ostry, głośny śmiech. Po chwili zrozumiał, co go wywołało: jeden z żołnierzy wstał z ławki, stanął nad nim w rozkroku, odczekał, aż samochód pokona nierówność, i nasikał mu na brzuch, szyję, twarz i włosy. Ktoś kopnął go w bok i klatkę piersiową i zawołał do niego kiepskim angielskim „Obudź się, kurwa!”, a potem: „Ten gnojek się złał!”. Towarzysząca im kobieta zawołała: „Włożył garnitur, a powinien sobie wsadzić pieluchę!”. Nastąpił ogólny wybuch śmiechu, w którym mieszały się różne głosy. Jak sroki, które koło jego domu w Marylandzie walczą o zawartość reklamówek i papierowych toreb i głośno wrzeszczą, gdy któraś z nich umknie z ostatnim kawałkiem chleba.

Crouse znowu zapadł w sen, przez głowę przelatywały mu nieskładne obrazy przedstawiające fragmenty nieba, zielonych liści i promieni słońca. W drodze na miejsce, nie licząc przerw spowodowanych stanem drogi, zrobili jeszcze jeden postój. Próbował poluzować opaskę na oczach, pocierając nią o ramię. Zauważył posterunek PRC umiejscowiony na skraju drogi. Potem robiło się coraz ciemniej, przestało do niego docierać światło. Dżungla zamieniła się w nieprzenikniony gąszcz. Od pewnego

miejsca, na odcinku od trzydziestu do pięćdziesięciu metrów, droga zaczęła się piąć w górę.

Był pewien, że przejechali przez główny obóz. Kiedy nikt nie widział, przekręcił głowę w taki sposób, że zatyczki w uszach lekko się poluzowały, dzięki czemu usłyszał takie słowa, jak *monte* (pierwotny las) i *caletas* (chaty). Potem rozległ się dziwny dźwięk, jakby ktoś mlaskał. Wiedział, że to *churuquiada* – sygnał, jakim posługiwali się partyzanci. Nauczyli się go od małp i używali głównie w obozie, gdy trzeba było się obudzić i wstawać.

W końcu ciężarówka się zatrzymała. Tym razem na dobre, bo kierowca wyłączył silnik i otworzył drzwi szoferki. Crouse poczuł dżunglę – jej wilgotne powietrze i zapachy. Doszedł do wniosku, że nadal znajduje się w Kolumbii.

Ktoś wyrwał mu z uszu zatyczki, chwycił brutalnie za ręce, podciągnął do pozycji stojącej i zepchnął z wozu na ziemię. Usłyszał nowe głosy, choć nie było ich tyle co wcześniej. Tych, którzy na niego sikali i wrzeszczeli jak sroki, zastąpili inni. Ich głosy brzmiały starzej, ostrzej, głębiej. Ręce, które zrzuciły go z wozu, popchnęły go błotnistą drogą z taką siłą, że potknął się i upadł. Padając, uderzył się mocno w czoło i nogę; zawadził kolanem o ostry kamień.

Dopiero teraz, gdy silnik był już wyłączony, w pełni usłyszał dżunglę. Szum tysięcy owadów, który zamieniał się chwilami w głucho brzęczenie i przenikał całe ciało, wprawiając kości i mięśnie w drzenie. Śpiew setek ptaków latających nad ich głowami. Monotonny wrzask małp, który biegł od polany do polany przez całą amazońską puszcę.

Na plecach poczuł kolejne mocne uderzenia. W końcu ktoś go chwycił i przeciął nożem opaskę na oczach; osunęła się na ziemię.

Gliniasta ścieżka biegła w głąb obozu. W każdym jego narożniku stał uzbrojony strażnik. Chaty, a właściwie szałaszy, ustawione były według jakiegoś wzoru. Po obozie kręcili się żołnierze ubrani w jednolite mundury w maskujących kolorach i zabłocone, sięgające kolan

gumowce. Przez ramię mieli przewieszane automatyczne karabiny. Crouse od razu rozpoznał AK-47.

Odniósł wrażenie, że to obóz przenośny. Taki, który w każdej chwili można zwinąć i rozbić w innym miejscu.

Towarzyszący mu mężczyzna, ten, co przed chwilą wbił mu w pierś swoje krótkie, ozdobione pierścieniami palce, był niewysoki i otyły, w trudnym do określenia wieku. Równie dobrze mógł mieć dwadzieścia pięć, jak i czterdzieści pięć lat. Twarz lśniła mu od potu, tak jak innym żołnierzom, ale u niego wyglądało to tak, jakby nałożyło się na siebie kilka warstw, a każdą starą pokryła nowa. Uwagę przykuwały jego oczy. Wyglądały na zatroskane, chociaż wcale takie nie były. Mężczyzna starał się wyglądać na zatroskanego, bo wiedział, że ludzie dobrze na to reagują.

– Señor Crouse... a raczej pan Przewodniczący Pielucha? Witam, przyjacielu. Nazywam się Maximiliano Cubero. Jestem dowódcą Special Front, który jest częścią PRC. Może mnie pan nazywać komendantem, tak jak inni nasi więźniowie.

Głos mężczyzny był taki jak jego oczy. Spokojny i przyjacielski. Komendant zauważył bowiem, że ludzie lubią, gdy ktoś mówi do nich takim spokojnym, przyjacielskim tonem.

Jednak chwilę później, gdy przekazywał polecenia stojącemu z tyłu mężczyźnie, mówił głośnie i energiczniej. Według dystynkcji na mundurze tamten był jego zastępcą – drugim komendantem. Zastępca miał równie władczy głos, gdy chwilę później odwrócił się do dwóch stojących za nim na baczność żołnierzy. Obaj wysłuchali jego słów, po czym ruszyli w kierunku niewielkiego drewnianego domku pokrytego ocynkowaną blachą. Różnił się od innych wyglądem i był zamykany na kratę, która udawała drzwi. Komendant uderzył Crouse'a mocno w bok i wskazał mu budynek ręką.

– Izba Reprezentantów. Od tej pory ta *caleta* będzie się tak nazywać. Jak to się panu podoba, panie

przewodniczący?

Właściwie była to klatka. Na podłodze leżał siennik, obok niego stała plastikowa miska na jedzenie. W rogu klatki siedział człowiek w stanie skrajnego niedożywienia. Miał zapuszczoną brodę i długie włosy, a na grzbiecie resztki koszuli, która zamieniła się w szmatę. Na nogach miał spodnie od garnituru, obcięte na wysokości kolan, podtrzymywane cienkim sznurkiem zawiązanym w pasie. Dwaj żołnierze otworzyli okratowane drzwi, weszli do środka, podeszli do siedzącego w rogu człowieka, unieśli go za ręce z podłogi i wywlekli na zewnątrz.

– Czy panowie się znają? – spytał przyjacielskim głosem komendant. – Jeśli nie, to przedstawiam: to jest señor Crouse z USA, a to señor Clarke. Też z USA! Co za miłe spotkanie! Za granicą i w ogóle...

Crouse od razu przypomniał sobie to nazwisko. Clarke był jednym z dwustu pięćdziesięciu czterech Amerykanów, których partyzanci z PRC przetrzymywali w swoich obozach. Kiedyś się nawet poznali. Przed czterema albo pięcioma laty na konferencji prasowej w Waszyngtonie. Mniej więcej od tylu lat Clarke przebywa w obozie. Partyzanci przenoszą go z miejsca na miejsce. Crouse ledwo go rozpoznał.

– Świetnie. No to już się poznaliście. A teraz pora się pożegnać.

Dziwna rzecz. Crouse zastanawiał się nad tym od chwili, gdy został wrzucony do ciężarówki. Powinien się bać, ale nic takiego nie czuł. Na razie. Był tylko wściekły.

Komendant dał znak swojemu zastępcy i ten zaczął popychać wychudzonego więźnia na wskazane miejsce. Potem wyjął z kieszeni spodni czarną opaskę – taką samą, jaką w drodze do obozu miał Crouse – i zasłonił nią oczy Clarke'a. Komendant podeszedł do niego i zrobił taki ruch, jakby przejmował go od zastępcy. Crouse dopiero teraz zauważył, że inaczej niż u pozostałych żołnierzy buty komendanta są czarne i wypastowane, a na dodatek są do nich przypięte ostrogi w kształcie gwiazd z parą

błyszczących kamieni po obu stronach. Przy prawym biodrze wisiała mu kabura. Komendant wyjął z niej rewolwer, pomachał nim Clarke'owi przed wychudzoną twarzą i przytknął mu lufę do lewej skroni. Następnie powiedział *muerte*, czyli „śmierć”, a potem, dla pewności, *death* po angielsku. Trzymając rewolwer przy skroni Clarke'a, odwrócił się do Crouse'a, jakby chciał się upewnić, że jego nowy więzień widzi, w jaki sposób traktuje tych zbędnych, i pociągnął za spust. Padł strzał i z głowy Clarke'a trysnęła fontanna krwi wymieszana z płynem mózgowym. Mundur komendanta zabarwił się na czerwono. Clarke zaczął osuwać się bezwładnie na ziemię. Wyglądało to tak, jakby brudne ciało nie wiedziało, w którym miejscu ma upaść. Działo się to bardzo powoli, jakby proces opadania odbywał się w wodzie, a Clarke próbował się czegoś chwycić, żeby nie opaść na dno. W końcu, gdy wszystkie funkcje organizmu ustały i sama chęć życia nie wystarczyła, żeby je podtrzymać, ciało poddało się i osunęło na ziemię.

– Następny.

Zastępca komendanta podbiegł gorliwie do Crouse'a, żeby wykonać polecenie przełożonego. Zaczął go popychać w taki sam sposób, jak przed chwilą popychał Clarke'a, żeby ustawić go w tym samym miejscu. Crouse stanął tuż obok leżącego Amerykanina.

– Czy pan wie, panie Przewodniczący Pielucha, co jest najlepsze, gdy się awansuje w partyzantce? Pewnie pan powie, że stanowisko dowódcy albo awans na komendanta? Oczywiście. To wspaniałe uczucie, gdy człowiek pomyśli, że zaszedł tak daleko. Nie zaprzeczam. To bardzo przyjemne uczucie. Ale nie to jest najlepsze. Najlepsze, panie Przewodniczący Pielucha, jest to, że to ja osobiście wykonuję egzekucje wysoko postawionych Amerykanów. Na tym terenie to zadanie należy do mnie. Dlatego moi ludzie pana oszczędzili, ze względu na mnie.

Komendant uniósł rewolwer i potarł palcem lufę, jakby chciał z niej usunąć niewidzialny pyłek. Następnie dał znak

zastępcy, żeby wziął czarną opaskę, która zsunęła się z twarzy martwego Clarke'a, i zasłonił nią Crouse'owi oczy.

I znowu zapadła ciemność. Przewodniczący czuł jedynie zapachy, słyszał dźwięki i wibracje, gdy ktoś się koło niego poruszał.

Potem znowu usłyszał słowo *muerte*. Poczuł, jak komendant przykłada mu do skroni końcówkę chłodnej lufy, i zdążył jeszcze pomyśleć, że do prawej, a nie lewej, jak u Clarke'a. Chwilę później komendant pociągnął za spust.

WILSON PĘDZIŁ CO SIĘ W NOGACH. Wybiegł z zaciemnionego pokoju w centrum łączności, skierował się schodami na górę, przemierzył kilka korytarzy i wpadł do swojego pokoju. Stała w nim długa szafa – zapomniana garderoba, której nigdy nie otwierał. W środku wisiało osiem mundurów, których od dawna nie wkładał, nawet podczas oficjalnych uroczystości. Po prostu nie pasowały do jego charakteru i sposobu bycia. Z pierwszego z brzegu zdarł jednym ruchem folię z pralni, przebrał się i wybiegł na korytarz. Minął drzwi do sali konferencyjnej, w której powinien o tej porze być, i przez chwilę żałował, że nie poszedł na spotkanie z ważnymi osobami, tylko odebrał tamtą rozmowę. Gdyby tego nie zrobił, nadal by nie wiedział, że jego przyjaciel, za którego odpowiadał, został oficjalnie skazany na śmierć, a wyrok może wykonać każdy i wszędzie. Hoffmann znowu został wyjęty spod prawa.

Otworzył inne drzwi – te, które prowadziły do pomieszczeń oddziału specjalnego. Przywitał się z zajętymi swoimi sprawami kolegami i skierował do pokoju zajmowanego przez zewnętrzne dowództwo. Szafka z kluczami do samochodów jak zwykle była otwarta. Chwycił pierwszy z brzegu pęk, ruszył do wyjścia i w tym samym momencie usłyszał pytanie dowódcy jednostki.

– Co ty wyrabiasz, człowieku?

– Biorę samochód na parę godzin.

– U nas trzeba najpierw poprosić o zgodę!

Ale Wilson nie słuchał, bo był już na korytarzu. Miał niecałe trzy godziny, żeby zdobyć informacje, które pomogą Masterson jak najlepiej rozegrać tę partię i zdecydować, co zrobić z Siódmką Kier, czyli Pietem Hoffmannem. Będzie się musiał odpowiednio przygotować i wysłać właściwy sygnał, żeby go wpuszczono do zakazanej strefy ambasady amerykańskiej. Wsiadł do samochodu, podjechał pod bramkę, włączył syrenę i koguta i ruszył Hantverkargatan.

PRC.

Kolumbijscy partyzanci przez kilkadziesiąt lat porywali Amerykanów, Skandynawów, Japończyków i Francuzów. Niektóre procesy wleky się latami, ludzie trzymani byli w klatkach w głębokiej dżungli, w miejscach niedostępnych dla postronnych. Jednak tym razem chodziło o coś innego. Porwano przewodniczącego Izby Reprezentantów, przedstawiciela władzy. Rząd Stanów Zjednoczonych musiał działać.

Sytuacja uległa zmianie.

Wilson manewrował między kolumnami samochodów, na wysokości Ratusza zjechał na chodnik, a obok siedziby Kancelarii Premiera przejechał kawałek ścieżką rowerową. To właśnie tam zaczęła się ucieczka skazanego na śmierć Pauli, gdy podczas spotkania z ministrem sprawiedliwości i szefem Centralnego Urzędu Śledczego udało się uzyskać dla niego pełen immunitet i wsparcie dla misji, którą Paula miał wykonać jako wtyka w polskiej mafii. Jego zadanie polegało między innymi na tym, aby przeniknąć w struktury mafijne w jednym z zakładów karnych o zastrzonym rygorze.

W pewnej chwili Wilsona naszła chęć, żeby w dzieciennym odruchu pokazać środkowy palec wszystkim tym, którzy najpierw złożyli mu obietnicę, a potem nie dotrzykali słowa i poświęcili bezpieczeństwo Pauli, żeby tylko utrzymać się przy władzy. Doszedł jednak do wniosku, że nie warto. Poza tym ci, którzy za to odpowiadali, i tak ponieśli konsekwencje swoich czynów – w trakcie jednego z najbardziej od lat medialnych procesów zostali skazani na pobyt w tym samym więzieniu, w którym wydali Hoffmanna na śmierć. Wilson skierował się w stronę placu Gustawa Adolfa, gdzie utknął w korku. Na jego drodze stała kolumna samochodów, w których tkwili wściekli kierowcy. Znajdował się na pięknym rondzie oddzielającym Ministerstwo Spraw Zagranicznych od Opery Narodowej, parlamentu i zamku królewskiego, w samym sercu miasta, które cierpiało na nieustanną zapaść komunikacyjną, bo na tworzące się tu korki nie pomagała ani sygnalizacja świetlna, ani zmiany organizacji ruchu. Zerknął na zegar na

tablicy rozdzielczej i postanowił poczekać jeszcze dwie minuty. Po upływie tego czasu – nie zważając na ewentualne stłuczki – opuścił rondo, wycofując się w kierunku przeciwnym do tego, w którym zmierzał. W trakcie wykonywania tych manewrów wpadł na donicę z kwiatami i odbił się od podestu z jakimś królem, który wskazywał palcem w stronę miasta. Wjechał na pasaż na Kungsträdgården, przyspieszył, przejechał zastawioną przez miejskie autobusy ulicą, której nazwy nigdy nie mógł zapamiętać, i skierował się na plac Nybroplan. Kiedy był na środku placu, zadzwonił telefon.

– Sue, nie mogę rozmawiać, jestem w drodze do...

– Przykro mi, że muszę pana rozczarować, ale nie mam na imię Sue. Jestem naczelnikiem aresztu śledczego komendy policji w Kronobergu. – Mężczyzna miał ochryply głos, jak nałogowy palacz.

– W takim razie ja też muszę pana rozczarować. Nie mam teraz czasu rozmawiać ani z Sue, ani z naczelnikiem aresztu.

– Sprawa, z którą dzwonię, dotyczy w dużej mierze pana. Lepiej będzie, jeśli mnie pan wysłucha. Mam tu w celi zatrzymanego, który zachowuje się niewłaściwie. Chciałbym, żeby pan tu osobiście po niego przyjechał.

– A niby dlaczego? Musimy kończyć...

– Nie musimy, bo nie panuje pan nad swoimi podwładnymi.

– Słucham?

– Nad podwładnymi. Społeczeństwo płaci panu za to, żeby sprawował pan nad nimi właściwy nadzór. Tacy ludzie powinni chodzić po ulicach i tropić bandytów, a nie siedzieć w celi.

– O kim pan mówi?

– Teraz już pan słucha?

– Do jasnej cholery!

– Mówię o pańskim ulubieńcu, Ewercie Grensie.

– Tak?

– Proszę go odebrać. Siedzi w celi numer pięć. Został zatrzymany.

Strandvägen. To tu zaczyna się morze. Piękne miejsce, bez względu na porę roku.

– Mówi pan o Grensie?

– Tak.

– O komisarzu Grensie?

– Tak.

– Nie bardzo rozumiem.

– Z pisemnego uzasadnienia prokuratora Ågestama wynika, że Grens został zatrzymany, ponieważ jest podejrzany o nieuzasadnione użycie broni służbowej i zakłócanie porządku publicznego.

Przy moście Djurgårdsbron zapaliło się czerwone światło. Wilson zwolnił, objechał kolumnę samochodów i ruszył w kierunku dzielnicy ambasad.

– Będę wolny za dwie godziny. Do tej pory Grens musi tam zostać.

– Jego zachowanie jest karygodne.

– Teraz jestem zajęty.

– W takim razie zajmą się nim moi ludzie.

– Jeśli się nie uspokoi... Proszę go ode mnie pozdrowić.

Może mu pan szepnąć do ucha, że w więziennej piżamce będzie mu do twarzy.

Wilson czekał z wyłączeniem syreny i zrobił to dopiero w chwili, gdy zaparkował wóz przed budką, w której stali krótko ostrzyżeni, umundurowani wartownicy z charakterystycznym oznakowaniem na pagonach. Ich zadanie polegało na zapewnieniu bezpieczeństwa skrawkowi Stanów Zjednoczonych na szwedzkiej ziemi. Wilson został w samochodzie, bo chciał, żeby wartownicy zastanowili się, kim jest, dlaczego pod ambasadę podjechał szwedzki radiowóz i dlaczego on, Erik Wilson, wysiadzie za chwilę z samochodu i bez zbędnych ceregieli zostanie wpuszczony do środka. Siedział nieruchomo i odliczał sekundy. Przez szybę widział maszt z włoską flagą, maszt z niemiecką flagą, a trochę dalej z brytyjską. Po drugiej stronie ulicy stały podobne maszty przy wjeździe do siedziby Telewizji Szwedzkiej – największej telewizji

w kraju. Amerykańską ambasadę chroniły betonowe pachołki, wysokie ogrodzenie i czujny wzrok kamer monitoringu, a także broń załadowana ostrą amunicją i nieprzychylne miny wartowników. Wilson doszedł do wniosku, że otoczenie przypomina mu zakłady karne, które regularnie odwiedzał w ramach swoich obowiązków. Po jedenastym września wszystko się zmieniło. Ameryka uznała za swojego wroga cały świat.

Otworzył drzwi i zapukał w szybę. Przez chwilę się zastanawiał, czy nadal jest dawnym Erikiem Wilsonem, pędzącym życie urzędnika państwowego, policjanta, i wiedzącym, jak podejść do ludzi, którzy mogą okazać się przydatni, jak ich przekonać, żeby go polubili, zaufali mu i zrobili to, na czym mu zależało. Zastanawiał się, czy pasuje do nowej wersji Wilsona, który objął kierownicze stanowisko, ale prowadził biurowy tryb życia. Głównie jednak zastanawiał się nad tym, czy wciąż się do takiej pracy nadaje.

Stojący bliżej wartownik zasypał go lawiną pytań. Wilson odpowiadał naturalnym tonem; znowu czuł się podekscytowany. Było to jednak inne uczucie od tego, którego doświadczał jeszcze niedawno. Tym razem nie był to ból ani strach, tylko zakazane uczucie, za którym tęsknił. Osoba, na której mu zależało, była w niebezpieczeństwie, więc powinien być wzburzony, zagubiony. Tymczasem przepełniała go energia, napięcie, czujność. Znowu czuł, że żyje, bo jego człowiek może umrzeć.

Wartownik odwiesił słuchawkę aparatu wiszącego na wewnętrznej ścianie budki, skinął mu lekko głową i otworzył ciężką żelazną bramę. Bez względu na to, do kogo przed chwilą dzwonił, otrzymał zgodę na wpuszczenie Wilsona na teren ambasady. Wilson miał pierwszy etap za sobą. Opuścił pierwszą strefę bezpieczeństwa.

Sala, do której wszedł, przypominała z wyglądu poczekalnię u stomatologa. Różniły ją od niej dwa szczegóły: obecność wartowników (tym razem była to piechota morska) i kamery monitoringu śledzące każdy jego ruch. Był

teraz w drugiej strefie. Siedząca w okienku recepcjonistka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i poprosiła, aby usiadł. Następnie obejrzała jego legitymację służbową – w taki sam sposób, jak wartownicy w budce – i oznajmiła, że musi poczekać na niejakiego Jenningsa. Po dwudziestu minutach Wilson zapukał w okienko, za którym siedziała wciąż uśmiechnięta kobieta, i spytał, jak długo ma jeszcze czekać. W odpowiedzi usłyszał, że niedługo, a na razie niech wróci na krzesło. Po kolejnych dwudziestu minutach Wilson znowu zapukał do okienka, ale i tym razem usłyszał tę samą formułkę: „Już niedługo, na razie proszę usiąść i czekać”.

– Przepraszam, że to tak długo trwało, ale musiałem pana sprawdzić – powiedział Jennings, gdy w końcu wyszedł do Wilsona.

Minęła godzina i siedem minut.

Jennings był mniej więcej w tym samym wieku co Wilson, to znaczy przed czterdziestką. Miał krótko ostrzyżone włosy, wąsy i krawat.

Minęli jedne z wielu drzwi bezpieczeństwa i znaleźli się w trzeciej strefie. Następna budka, nowi wartownicy i wszechobecne kamery. Kolejny urzędnik porównał twarz Wilsona ze zdjęciem w legitymacji służbowej i dokładnie go przeszukał, przesuwając skanerem po nogach, rękach i tułowi.

– Mogą panowie iść.

Krótki korytarz zaprowadził ich do pokoju ze sztucznym oświetleniem, które sprawiało, że każdy wydawał się błądliwy i chory. Na środku stał stolik i dwa krzesła.

– O tej porze dnia to jedyny wolny pokój.

Do diabła!

Wilson trafił do pokoju, w którym osoba, która posiadała władzę i chciała ją zachować, sadzała na krześle kogoś, kto miał się poczuć niepewnie. W takim samym pokoju spotykał się w więzieniu w Aspsås z Hoffmannem, gdy uznał, że nadaje się on na informatora. Potem zaczął nawiązywać z nim bliższe więzi, aby zyskać jego zaufanie. Przez cały czas udawał jego najlepszego przyjaciela. Tak to właśnie działa.

Oficer prowadzący powinien tak dobrze udawać najlepszego przyjaciela swojego agenta, aby agent gotów był zaryzykować dla niego życie, żeby tylko zebrać i przekazać ważne informacje.

– Nazywa się pan Erik Carl Wilson.

Jennings nawet na niego nie spojrział. Otworzył leżący przed nim segregator i zaczął przeglądać jego zawartość.

– Przez pierwsze cztery lata służby w policji na najniższym stanowisku asystenta. Inspektor w sekcji zabójstw w Göteborgu przez kolejne siedem lat. Komisarz w dziale wywiadu wojewódzkiej komendy policji pięć lat. Cztery lata służby na stanowisku szefa sekcji infiltracji policji miejskiej w Sztokholmie. Od dwóch i pół roku naczelnik dochodzeniówki.

– Dowiedzieliście się tego w godzinę? Nieźle.

– Mówiąc między nami, nie dlatego pana wpuściłem. Szczerze mówiąc, poziom, jaki reprezentuje szwedzka policja, nie bardzo mi imponuje.

– Mówiąc między nami, podzielałm tę opinię. Podam przykład: jeden z moich najlepszych komisarzy siedzi akurat w areszcie.

– Był pan pięć razy w FLETC, naszym ośrodku w stanie Georgia, gdzie organizowane są specjalistyczne szkolenia. Techniki werbunkowe, gromadzenie informacji, ochrona świadków, techniki prowadzenia przesłuchań.

Od tego się zaczęło. To, czego się tam nauczył, wykorzystał później, żeby pozyskać Hoffmanna. Do jego kartoteki z wyrokami sądowymi kazał dopisać posiadanie dwóch kałasznikowów i zabójstwo z użyciem broni palnej. Dzięki temu łatwiej było zażądać wyższej kary i odbywania wyroków w więzieniach o zaostrozonym rygorze: żadnych przepustek, odwiedzin, kontaktów ze światem zewnętrznym. Hoffmann miał już wtedy żonę i dwójkę małych dzieci. Po kilku miesiącach izolacji gotów był się zgodzić na każdą formę współpracy, żeby choć trochę uchylono mu drzwi.

– Najlepsze oceny, pochwały... Niewielu uczestników naszych szkoleń miało takie wyniki jak pan. Nawet rodowici Amerykanie. Moje nie są nawet zbliżone do pańskich.

Hoffmann zaczął działać pod pseudonimem Paula. Stał się narzędziem komisarza Wilsona, które władze Szwecji mogły wykorzystać, a potem w każdej chwili wyrzucić. Hoffmann bardzo dobrze to rozumiał, tak jak inni informatorzy, którzy działali jako wtyki. Ponieważ jednak współpraca ze skazanymi kryminalistami była prawnie zabroniona – chociaż najskuteczniejsza, bo tylko prawdziwy bandyta umie udawać przestępcę – władze jej zaprzeczały i wydawały swoich informatorów na pewną śmierć. Zdekonspirowani w środowiskach, które infiltrowali, porzuceni przez dotychczasowych mocodawców, ginęli z rąk tych, na których donosili władzom.

Informatorzy zawsze byli tylko narzędziem. Niczym więcej. Czasem jednak wychodzi inaczej. Czasem ludzie stają się sobie bliżsi, niż zamierzali.

Wilson wciąż nie był pewien, czy podjął słuszną decyzję, czy aż tak bardzo powinien się przejmować jego losem.

– No więc przeszedł pan naszą procedurę sprawdzającą i wpuściliśmy tu pana.

Jennings siedział w zapiętej marynarce. Był szczupły i drobny, więc kiedy się odchyłał i prostował, widać było, że niewygodne krzesło uwiera go w prawe biodro. Wilson domyślił się, że ma tam kaburę na pistolet. Po co mu broń wewnątrz budynku? Poluje na szczury biurowe?

– Teraz proszę mi wyjaśnić, czego pan chce.

Chcę się dowiedzieć, co wiesz.

– Niedawno oglądałem wiadomości w amerykańskiej telewizji.

Ale w taki sposób, żebyś się nie domyślił, że ja już wiem, co wy chcecie wiedzieć.

– To był materiał o wojnie z terrorystami. O trzynastu osobach, które są ścigane i skazane na śmierć.

Jennings oparł się o krzesło i słuchał w milczeniu.

– Jeden z nich... Siódemka Kier... nazywa się El Sueco. To znaczy Szwed.

– Tak?

– Pokazaliście zdjęcia prawie każdej z tych osób: paszportowe, z policyjnej kartoteki albo niewyraźne ujęcia z dżungli... z wyjątkiem jednego. Dlaczego? Bo nie wiecie, kim jest.

– Co dalej?

– Jeśli to prawda, że gdzieś w południowoamerykańskiej dżungli działa człowiek używający pseudonimu El Sueco, który może być Szwedem, to na pewno zainteresuje szwedzką policję, o której ma pan niezbyt dobrą opinię. Kim on jest? Czy można go zidentyfikować? Czy możemy wesprzeć amerykańskich kolegów w poszukiwaniach?

– Wesprzeć?

Wilson wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, ale musiał dowiedzieć się tego, po co tu przyszedł. Za to oni nie mogą się domyślić, że on coś wie.

– Tak. Wesprzeć.

Jennings uśmiechnął się. Był to ironiczny uśmiezek, który pojawia się na twarzach amerykańskich urzędników, gdy rozmawiają z przedstawicielami małych, śmiesznych państweczek położonych w pobliżu bieguna.

– A jak właściwie mielibyście nas wesprzeć?

Zdobyć zaufanie, ale nie budzić podejrzeń. Kiedyś był w tym cholernie dobry.

– Coś panu powiem o Szwecji. Nie ma na świecie drugiego demokratycznego państwa, w którym urzędnicy gromadziliby taką liczbę danych na temat obywateli. Przechowują je w różnych bazach. Do niektórych może zajrzeć każdy. Są też i takie, które dla osób postronnych są niedostępne. Jeśli się więc okaże, że El Sueco to Szwed, będziecie nas potrzebować, bo tylko ta niewydolna szwedzka policja ma dostęp do tych baz.

Wilson znowu był w swoim żywiole. Starał się, aby osoba, od której chciał wydobyć informacje, zaufała mu, a przynajmniej opuściła gardę i zaczęła słuchać.

– Jeśli jest Szwedem, znajdziemy go i ustalimy jego tożsamość. – Wilson starał się mówić pewnym głosem, choć nie wiedział, czy jego głos nie jest ochrypły albo zmęczony. – Chyba że pańscy przełożeni nie są tym zainteresowani?

Im bardziej Jennings odchyłał się na krzesło, tym bardziej odznaczała się broń w kaburze, którą miał pod marynarką. Zupełnie jakby chciała się stamtąd wymknąć.

Wilson zastanawiał się, czy nie posunął się za daleko.

Próbował coś wyczytać z kwadratowej twarzy Amerykanina, która trochę przypominała twarz Indianina o pseudonimie El Mestizo umieszczonego na liście poszukiwanych. Jennings miał jednak jaśniejszą cerę i nie spletał włosów w warkocz. Z jego pozbawionej wyrazu twarzy nie dało się nic wyczytać.

Nagle wstał z krzesła. Wziął do ręki segregator z informacjami o Wilsonie i wykonał taki ruch, jakby chciał wyjść. Wilson doszedł do wniosku, że chyba jednak przesadził.

– Zgoda – powiedział Jennings i popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby musiał jeszcze coś rozważyć. Potem rozpiął marynarkę, zdjął ją i odsłonił to, co się pod nią znajdowało: kaburę z czarnej skóry na tle eleganckiej wyprasowanej koszuli. W środku tkwił pistolet, Glock 22, w tym samym kolorze co kabura. Rękojeść wykonana była z materiału, na którym łatwo odciskały się ślady palców, jeśli ktoś je na niej zbyt mocno zacisnął.

Najwyraźniej Jennings podjął decyzję, bo powiesił marynarkę na oparciu krzesła.

– Muszę najpierw zadzwonić w kilka miejsc.

Po tych słowach wyszedł do czwartej strefy, gdzie biło serce ambasady.

Jednak nie przesadziłem, pomyślał Wilson. Został sam, w pustym i gołym pokoju. Czuł się jak w celi.

Zaczął myśleć o Pauli, któremu udało się przeniknąć do struktur mafijnych w więzieniu. Został tam rozpoznany i porzucony na pastwę losu. Mimo to wszystkich przechytrzył. O tym, w jaki sposób uciekł i co się z nim

potem działało, wiedziały tylko trzy osoby: on, Piet i jego żona, Zofia.

Po tamtym wydarzeniu spotykali się cztery razy na rok w stałym miejscu, to znaczy w Gaira Café w Bogocie, o piętnastej w pierwszy dzień roboczy kolejnego kwartału. W takim miejscu nikt nie zadaje pytań. Wilson jeździł tam prywatnie, zawsze za własne pieniądze. Po dwóch spotkaniach Hoffmann poprosił go o pomoc. Kończyły mu się pieniądze, bo życie w ukryciu kosztuje, zwłaszcza jeśli ktoś ucieka z rodziną. Czyny za mieszkanie, ochrona, łapówki dla urzędników – przecież mieszkał w kraju, w którym łapówkarstwo to styl życia. Z czasem wszedł w kontakt z partyzantką PRC, która finansowała swoją działalność pieniędzmi z handlu narkotykami. Wrócił do tego, co w Szwecji było jego codziennym zajęciem – zaczął sam kupować i sprzedawać prochy. Działał na własną rękę i z czasem rozwinął działalność. Kupował większe partie narkotyków i sprzedawał je dilerom, którzy pracowali dla niego jako drobni handlarze. Interes kręcił się do czasu, gdy jego dwaj najbardziej zaufani dilerzy weszli na cudzy teren i zostali zastrzeleni. Wszystko, co przy sobie mieli, przepadło. Cały towar i pieniądze, które należały do Hoffmanna. Z tego powodu nie mógł się rozliczyć za dwie dostawy.

Wkrótce potem do jego drzwi zapukali ludzie z PRC. Zagrozili, że zabiją nie tylko jego, ale całą rodzinę. Najpierw Rasmusa, potem Emila, a na końcu Zofię.

Musiał bronić siebie i rodziny, więc zlikwidował dwóch cyngli pracujących dla partyzantów. Potem zaczął się poważnie zastanawiać, co będzie dalej. Nie miał innego wyjścia, więc żeby spłacić dług, zaczął dla nich pracować, a gdy się rozliczył, został u nich, żeby zarabiać własne pieniądze. Sześć miesięcy później Wilson zaproponował mu podwojenie dochodu w ramach pracy dla Sue Masterson i DEA. „Najlepsza wtyka, jaką kiedykolwiek znałem, ukrywa się w Ameryce Południowej, cieszy się zaufaniem partyzantów i może pracować dla dwóch stron. Wykorzystaj

go. To doskonale rozwiązanie, zarówno dla was, jak i dla niego”. Tak to opakował i sprzedał w rozmowie z Sue. Hoffmann potrzebował więcej pieniędzy, a amerykański rząd potrzebował takich współpracowników jak on. Tak go zwerbowali. Amerykanie chcieli, żeby przeniknął do PRC – organizacji, która powstała w dużej mierze dzięki narkotykom, wciąż napływającym do Stanów Zjednoczonych.

– Kawy?

Wilson nie słyszał, że ktoś puka do drzwi. W progu stał młody mężczyzna z tacą w ręce.

– Dziękuję, poproszę.

Dzbanek z kawą, dzbanuszek z mlekiem i małe, suche ciasteczka nafaszerowane chemią. Czekał pół godziny. Przez ten czas popijał kawę i pogryzał ciasteczka.

Piet Koslow Hoffmann, który stał się Paulą, która stała się El Sueco. Cel był jasny: dotrzeć do wierzuszki PRC. Hoffmann zaczął od zdobycia zaufania człowieka zwanego El Mestizo. Ich rozmowy stawały się coraz konkretniejsze, początkowa niechęć i nieufność zamieniły się w zaufanie. Hoffmann był w tym ekspertem, robił to wiele razy wcześniej. Cyngiel i właściciel burdelu stał się dla niego nie tylko pracodawcą, ale także gwarantem. Dzięki niemu Hoffmann mógł uderzyć od środka. Po sześciu miesiącach zaczął dostawać coraz więcej zleceń. Teraz miał nie tylko ściągać należności, ochraniać transporty narkotyków i wytwórnie kokainy, ale też w przerwach szkolić partyzantów. Zyskał zaufanie, które jego nowy amerykański pracodawca chciał wykorzystać dla swoich potrzeb. Amerykański oficer prowadzący, który zajmował się nim w DEA i był odpowiednikiem Wilsona, otrzymywał od niego najlepsze informacje na temat miejsc, w których najłatwiej przejąć transport albo zniszczyć powstającą wytwórnię kokainy.

– Przepraszam. Zabrało mi to trochę czasu. Znowu.

Jennings wszedł do pokoju z rozłożonym laptopem w ręce. Na plecach miał plamy potu. Nie uśmiechał się już

tak ironicznie jak wcześniej. Wilson miał nadzieję, że rozmowy, które Jennings odbył przez telefon, przyniosą odpowiedzi na jego pytania.

– Trwające kilka sekund sekwencje zdjęć transportu ciężarówkami, które pan i cały świat widzieliście w telewizji, pochodziły stąd.

Jennings położył dłoń na laptopie, kliknął na ikonę bez nazwy zawierającą cztery dokumenty i trzy z nich otworzył.

– To nagranie znad Amazonii, zostało zarejestrowane przez satelity należące do NGA. Zrobiono je nad Kolumbią. Wycięto z niego te fragmenty.

Dwieście dziesięć sekund częściowo niewyraźnego i zamazanego nagrania.

Ujęcie z góry.

Najpierw dostawa liści koki i chemikaliów do wytwórni strzeżonej przez uzbrojony oddział. To co wszyscy widzieli w wiadomościach. Potem transport drogą rzeczną i grupa partyzantów szkolonych przez tego samego człowieka na granicy z Wenezuelą. Na podstawie ruchów i wydawanych rozkazów ustalono, że przeszedł zaawansowane szkolenie wojskowe. Wreszcie pojawiły się bardziej szczegółowe sekwencje: znów ten sam człowiek, ale tym razem w towarzystwie cyngla z kwadratową twarzą. Razem strzegli transportu broni.

– Nagrania są niezbyt ostre i nie wystarczą, żeby go zidentyfikować za pomocą programu do rozpoznawania rysów twarzy. Uzyskaliśmy jednak dostęp do nowej brytyjskiej technologii, która zapewnia rozdzielczość z dokładnością do jednego centymetra. Osiągnęliśmy taki efekt.

Jennings otworzył trzeci plik ze zdjęciami samego transportu. Zawierał zbliżenie jednego z dwóch mężczyzn. Na ekranie pojawił się wyraźny zarys ogolonej głowy i tatuaż przedstawiający jaszczurkę. Potem twarzy. Kiedy Jennings jeszcze bardziej wyostrzył obraz, zamienił się on w kwadraty w różnych odcieniach szarości.

– Używamy tego programu od dwóch miesięcy. Technologia pozwala nam podejść tak blisko.

Program zamieniał na ich oczach kwadraty w rysy twarzy. Zamazane linie stały się nosem i ustami. Na ekranie ukazał się obraz człowieka, który oficjalnie nie istniał. El Sueco. Wilson domyślił się, że Amerykanie nic o nim nie wiedzą.

– Co pan widzi?

Nagranie wciąż było niewyraźne, zamazane.

Nieważne, bo i tak dobrze go znam.

– Panie Wilson? Zna go pan? – Jennings próbował spojrzeć Wilsonowi w oczy, ale ten unikał kontaktu wzrokowego. Udawał, że jeszcze raz musi obejrzeć nagranie, jakby to miało coś wyjaśnić.

– Nie.

Wilson uniósł głowę. Jennings był naprawdę rozczarowany.

– Nie, ja też nie mam pojęcia, kto to jest.

SZOPA Z DREWNIANYMI ŚCIANAMI i dachem z ocynkowanej blachy. Wąski otwór, bambusowa krata służąca za drzwi. Siennik w jednym rogu pomieszczenia, miska na jedzenie w drugim.

– *Chontos*.

Ostatnio Crouse nauczył się nowego słowa. *Chontos* to duża dziura w ziemi, nad którą się kuca. Potem trzeba wziąć deskę i zasypać odchody błotem i gliną.

– Znowu?

Chontos to jedyne miejsce, w którym może być zupełnie sam. Z gałęzi drzewa zwisają dwa rozcięte worki na ziemniaki. Tylko to dzieli go od tych bydlaków.

– Tak. Znowu.

Dziewczyna miała nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Mogła być w wieku Liz, gdy ta uciekła z domu. Długie włosy miała upięte w węzeł. Była ubrana w mundur, miała broń przewieszoną przez pierś i pomalowane usta.

– Bardzo tu ładnie.

– Słucham?

– Pańska nowa Izba Reprezentantów, panie Przewodniczący Pielucha. Solidna drewniana podłoga i wszystko, czego potrzeba. Jest nawet miska bez dziury w dnie.

Dziewczyna rozmawiała z nim lekko podniesionym głosem. Zależało jej, żeby słyszeli ją trzej młodzi chłopcy, którzy stali w pewnym oddaleniu z bronią automatyczną przewieszoną nonszalancko przez chude ramiona. Słyszając jej słowa, roześmiali się, ale nie z niej, tylko z więźnia, którego poniżyła. Chcieli go złamać.

– Zgoda. *Chontos*. Znowu.

Strażniczka otworzyła kratę, wycelowwała w niego z karabinu i ruszyła za nim w kierunku ukrytej za workami latryny. Stała przed nią i co pół minuty przypominała, żeby się pospieszył. Dała mu tylko pięć minut. Nie więcej.

Crouse kucnął nad dołem. Tak naprawdę wcale nie musiał tu przychodzić, bo potrzeby fizjologiczne załatwił poprzednim razem. Teraz zależało mu tylko na tym, żeby choć przez chwilę pobyc w spokoju. Próbował zrozumieć, jakiemu celowi służyła egzekucja na niby. Kiedy komendant przyłożył mu do skroni wylot lufy, Crouse nie tylko nie zamknął oczu, ale także o niczym nie myślał. Wpatrywał się w czarną opaskę i wsłuchiwał w pobrzękiwanie ostróg swojego kata. Po prostu czekał na śmierć. W końcu rozległo się kliknięcie, które zagłuszyło wszystkie inne dźwięki. Na początku w ogóle do niego nie dotarło, że to było tylko kliknięcie. Zrozumiał to dopiero wtedy, gdy usłyszał głośny śmiech. Okazało się, że w magazynku była tylko jedna kula – dla Clarke'a. Partyzantom nie udało się ubić na nim interesu. Nie odesłali go w zamian za spełnienie swoich żądań, bo za każdym razem, gdy je przedkładali, Amerykanie zrywali rozmowy.

Mimo to strach i tak go dopadł. Przecież miał umrzeć.

Nawet nie zauważył, że tuż po usłyszeniu kliknięcia zsiąkał się do spodni. Słyszał tylko głośny śmiech i swój nowy przydomek: „Przewodniczący Pielucha. Ale nie udało im się go złamać ani pozbawić tego, co miał wewnątrz. Dlaczego? Bo nie było tam nic, co mogliby mu zabrać. To co było dla niego najważniejsze, spoczywało w grobie pod Waszyngtonem.

– Dobrze, panie Przewodniczący Pielucha. Już pan skończył. Następne *chontos* dopiero wieczorem.

Dziewczyna znów chciała, by słyszeli ją jej towarzysze. Ci w odpowiedzi zaczęli udawać kogoś, kto się posikał i chodzi na szeroko rozstawionych nogach. Zatykali nos dłonią, jakby dokoła unosił się smród moczu.

Dziewczyna wepchnęła Crouse'a do klatki i zamknęła ją na kłódkę. Pocił się jeszcze bardziej niż przedtem. Skóra lśniła mu od potu, od nasady włosów spływały po czole, policzkach i szyi wąskie strużki wilgoci. Wkrótce przyniesiono mu jedzenie. Żołnierz nalał mu do miski długą chochlą trochę zupy rybnej. Crouse nie wiedział, z jakiego

gatunku ją ugotowano i jak się ta zupa nazywa. Był jednak pewien, że pływały w niej odcięte rybie głowy z wytrzeszczonymi oczami, które się w niego wpatrywały.

NIEBIESKO-BIAŁY RADIOWÓZ stał tam, gdzie Wilson go zostawił – tuż przed budką, w której stali umundurowani wartownicy. Wilson skinął im głową, usiadł za kierownicą i ruszył powoli Strandvägen do centrum. Myślał o szarych kwadratach i bardzo wysokiej rozdzielczości z dokładnością do jednego centymetra. Od razu rozpoznał tę twarz. Ale człowiek to nie tylko twarz – to także sposób poruszania się i ogólne wrażenie. O takich cechach wie tylko ktoś, kto daną osobę zna osobiście. Zatrzymał się na czerwonym świetle przed mostem Djurgårdsbron. Już mu się nie spieszyło. Załatwił sprawę, zdobył pewność, usłyszał odpowiedzi na pytania, które go nurtowały. Jak widać, wciąż jest niezły w swoim fachu; nadal ma dawne umiejętności, dzięki którym umiał zdobywać zaufanie przestępców. To podstawowy warunek, żeby móc ich werbować do tego, by za kilka nędznych tysięcy na miesiąc donosili mu na innych. Jego informatorzy przestępcy ryzykowali dla niego życie.

– Nic nie wiedzą.

– Jesteś pewien?

Wilson oddzwonił do Masterson. Wyglądało na to, że będzie to ich ostatnia rozmowa na długi czas. Połączenia telefoniczne łatwo namierzyć, a ostatnio często się ze sobą kontaktowali.

– Naprawdę nie wiedzą więcej niż to, co pokazali w telewizji. Znają jego pseudonim, wiedzą, że szkoli żołnierzy i ochrania transporty.

Ciekawa sytuacja. Po jednej stronie linii Hamngatan. Tłok, duży ruch, zamieszanie. Mały europejski kraj, który wielu myli ze Szwajcarią. Po drugiej stronie Sue Masterson – szefowa DEA idąca Pennsylvania Avenue do budynku z numerem 1600, jednego z najbardziej znanych na świecie: Białego Domu.

– Za dwadzieścia minut mam spotkanie z wiceprezydent Thompson. Przyjdzie też szef sztabu Perry, szef FBI Riley i szef CIA Eve. Postaram się rozwiązać nasz problem razem

z nimi. Dam im dyskretnie do zrozumienia, że El Sueco to nasz człowiek, który pracuje w Kolumbii i jako jedyny z naszych agentów dotarł do samego jądra PRC. Zaszedł tak daleko, że aż trafił na naszą własną listę z nazwiskami głównych przeciwników. I że będziemy go potrzebować w przyszłości żywego.

Wilson przebijał się przez ruch uliczny, lawirował między autobusami i miejscami, gdzie były prowadzone roboty drogowe. Przejechał Hamngatan i Klarabergsgatan, minął most i skręcił na Kungsholmen. W tym samym czasie szefowa dużej amerykańskiej agencji rządowej jechała na spotkanie z najpotężniejszymi ludźmi świata.

– Sue... a jeśli...?

– Jeśli co?

– Jeśli nie zdołasz ich przekonać?

– Na pewno zdołam.

– A jeśli stanie się tak, jak było u nas? Ważni politycy wiedzieli, a potem się wszystkiego wyparli.

– Tutaj tak nie będzie.

– A jeśli?

W telefonie zapadło milczenie.

– Wtedy będziemy mieć ogromny problem.

I znowu zapadła cisza. A przecież w Waszyngtonie była pora lunchu. W telefonie powinno być słycać ludzi, uliczny gwar, trąbienie samochodów... Wilson zastanawiał się, czy jego rozmówczyni celowo zasłania telefon ręką, a jeżeli tak, to dlaczego.

– Jeśli do tego dojdzie, nie będę mogła korzystać z oficjalnych, a nawet nieoficjalnych kanałów. Będę musiała zablokować jego oficera prowadzącego, jedyną oprócz mnie i ciebie osobę, która zna całą prawdę.

– Do diabła, Sue...

– I właśnie dlatego uważam, że mi się uda.

Na Bergsgatan, na wysokości głównego wejścia do budynku komendy policji, było dużo miejsca, choć zazwyczaj stało tam mnóstwo samochodów. Wilson zaparkował i wszedł do środka, ale nie skierował się do

swojego gabinetu w wydziale śledczym, tylko ruszył w przeciwnym kierunku – do aresztu. Na spotkanie z czekającym na niego w celi komisarzem policji kryminalnej, Ewertem Grensem.

TOWARZYSZYŁ JEJ TYLKO JEDEN wartownik. Masterson uznała to za dowód zaufania. Ubrany był w czarny mundur, taki sam, jakie obowiązują w Secret Service. Miał złotą odznakę na piersi i złote lampasy na spodniach. Szedł z nią chyba bardziej z grzeczności niż z obowiązku.

Była w tym dziwnym budynku wiele razy, ale zawsze, gdy szła korytarzami Zachodniego Skrzydła, czuła się tak, jakby została szczególnie wyróżniona. Badawcze ściany i podłoga, od której kroki odbijały się echem. Wysoko zawieszony sufit, który wydawał jej się ciężki. Poczucie wyróżnienia, zwodnicze i niebezpieczne. Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami, żeby uspokoić oddech i ukryć to, co działo się w jej wnętrzu. Wiedziała, że jeśli podda się nastrojowi pokoju, do którego za chwilę wejdzie, na pewno przegra.

Poprawiła zakiet i spodnie, bo przyszła tu w cywilnym ubraniu. To ważne. Jedynie podczas pierwszej wizyty, gdy jeszcze nie stała na czele DEA, nosiła ubranie służbowe. Z czasem zauważyła, że pracownicy odnosili się do niej z większą powagą, gdy ubierała się właśnie w taki sposób. Poza tym więcej osób akceptowało jej decyzje, gdy wyglądała tak jak reszta personelu.

Otwarte drzwi prowadzące do gabinetu wiceprezydenta były dla niej sygnałem, że jest mile widziana, chociaż zaskoczyła uczestników spotkania prośbą, aby z dnia na dzień zmienili dawno ustalone plany i odwołali terminy spotkań. Dali jej dziesięć minut. Wartownik, który z nią przyszedł, uśmiechnął się i wprowadził ją do pokoju. Dawniej takie spotkania organizowano w gabinecie szefa sztabu. Rozmowy były konstruktywne, dotyczyły przyszłych działań i toczyły się w obecności koordynatora do

zwalczania handlu narkotykami z Office of National Drug Control. W tym pokoju nigdy wcześniej nie była, a na dodatek nigdy nie zetknęła się z zaproszonymi na spotkanie osobami.

Wiceprezydent Thompson wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciach. Była wysoką kobietą w średnim wieku z jasnymi włosami zebranymi w kok i w okularach w stylu z lat pięćdziesiątych. Kiedy Masterson weszła do gabinetu, Thompson, która siedziała za dębowym biurkiem, wskazała jej jedyne wolne krzesło. Masterson rozejrzała się i skinęła głową Perry'emu, który siedział na białej kanapie z puchatymi poduszkami. Szef sztabu nigdy nie był do niej wrogo nastawiony. Za to z pozostałymi dwoma toczyła regularne bitwy. W niebieskim fotelu siedział Mark Eve – szef CIA. W zielonym fotelu rozsiadł się William Riley, szef FBI. Z każdym z nich walczyła oddzielnie. Nigdy nie widziała ich w tym pokoju razem.

– Kawy?

– Nie, dziękuję.

Masterson wzięła do ręki dzbanek z wodą i plasterkiem cytryny. Nalała sobie do pełna i od razu wypła połowę. Jej rozmówcy czekali, aż zacznie. Wiedziała, że wszystko, co dotyczy listy śmierci, zależy od tych czterech osób, które wyglądały tak, jakby od dawna nie spały. Mieli na biurku sprawę porwania, do którego doszło po południu czasu amerykańskiego w niedostępnej dżungli. Porywacze mogli w każdej chwili podać im warunki. Rząd Stanów Zjednoczonych czekał na wiadomość aż do północy. Godzinę później cała czwórka spotkała się w tym pokoju. Masterson znów obrzuciła ich spojrzeniem. Mieli zmęczone, wymięte twarze.

– Siódemka Kier. El Sueco – zaczęła, zerkając na zegar wiszący nad kominkiem.

Dziewiąta pięćdziesiąt. Kiedy wybije dziesiąta, powinna to mieć za sobą. Musi ich przekonać. Muszą zrozumieć.

– Nie jest jednym z nich. To nasz człowiek.

Cztery osoby obserwowały ją tak, jak ona obserwowała ich. Trzej mężczyźni, jedna kobieta. Mimo to odnosiła wrażenie, że siedzi tu jedna bezpłciowa postać, która emanuje władzą.

– Przyszłam w sprawie listy śmierci. Jest na niej nazwisko naszego najlepszego informatora. Umieściliśmy go na niej tylko po to, żeby wzmocnić jego status. Pomysł był taki: jeśli my, zaatakowani, uznaliśmy go za niebezpiecznego dla nas, nasi przeciwnicy też go za takiego uznają.

Masterson zastanawiała się, czy ona też stała się taka jak tych czworo. Jak ktoś, kto emanuje pozbawioną płci władzą. Pozostało jej niewiele znajomych i przyjaciół, bo w miarę, jak awansowała, ich lista coraz bardziej się kurczyła. Wydawało się, że onieśmiałą ich sama sprawowana przez nią funkcja. Dotyczyło to nawet tych, którzy przez wiele lat pracowali na tym samym szczeblu co ona. Nagle, gdy została ich przełożoną, zaczęli na nią patrzeć innym wzrokiem i zupełnie inaczej ją traktowali.

– Nigdy wcześniej nie udało nam się dotrzeć tak głęboko, nigdy nie pracował dla nas ktoś tak zdolny. Na podstawie informacji pozyskanych od tego człowieka zniszczyliśmy siedem wytwórni kokainy i zablokowaliśmy piętnaście dużych dostaw. To on cztery tygodnie temu dał nam znać o największej dotychczas partii czternastu ton kokainy koło Tumaco. Dzięki niemu marynarka wojenna i policja rozbiły duże laboratorium w pobliżu terenów portowych. Zatrzymaliśmy dwadzieścia cztery osoby, zniszczyliśmy całe wyposażenie i sprzęt, skonfiskowaliśmy dziewięć łodzi wykorzystywanych do przewozu kokainy.

Błękitna wykładzina, tapety w morskim kolorze. Lustro w złotej ramie i żyrandol z długimi, błyszczącymi ramionami ze świecami, które nigdy nie były zapalane. Nawet pokój emanował zbudowaną ze stereotypów władzą.

– Mówiąc krótko: lista zawiera błąd. Trzeba go naprawić i to natychmiast.

Masterson przyglądała się twarzom swoich rozmówców, którzy próbowali zrozumieć to, o czym im przed chwilą

opowiedziała.

– Sue?

Perry odsunął od siebie poduszki, jakby się szykował do zabrania głosu.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Absolutnie.

Masterson ucieszyła się, że to Perry przemówił jako pierwszy. Bez względu na to, co zamierzał powiedzieć, była pewna, że najpierw dokonał szybkiej analizy, a jego słowa nie są wynikiem osobistych uprzedzeń.

– Jeśli tak, twoje informacje skomplikują nam cały dzień, bo nie możemy tuż po niedawno zakończonej konferencji prasowej zwracać się znów do wszystkich stacji telewizyjnych, żeby zdementować to, co dopiero ogłosiliśmy.

– Lauriel, to my go zatrudniliśmy.

– Jest przestępcą, który przekazuje nam informacje.

– Tak naprawdę jest... urzędnikiem państwowym na służbie rządu Stanów Zjednoczonych. Ma prawo do przywilejów i ochrony jak my wszyscy.

– Sue, popatrz na mnie. Urzędnik, który jest zatrudniony przez państwo, ma umowę o pracę.

– To my umieściliśmy go na liście *Most Wanted!* Uznaliśmy, że dzięki temu zdobędzie jeszcze większe zaufanie, które pozwoli mu lepiej pracować. Dla nas.

Perry znowu zaczął przesuwac poduszki leżące na kanapie. W końcu je zdjął i ułożył przed kanapą.

– Zaufanie? Zaufanie to polityka. Sama o tym wiesz. Jednak żadna polityczna wiarygodność nie jest mocniejsza niż jej najslabsze ogniwo. Kiedy podczas kampanii w Iraku tworzyliśmy podobną listę i udało nam się zdobyć dla niej polityczne poparcie na świecie, chodziło nam o zaufanie. A teraz? Świat jest zgodny, że partyzantów z PRC należy uznać za terrorystów. Kiedy zmieniliśmy status z „uznać za organizację terrorystyczną” na „wypowiedzieć jej wojnę z prawem do zabijania”, musieliśmy znów zdobyć poparcie świata, a także podtrzymać jego zaufanie. Jeśli się okaże, że popełniliśmy błąd w jednym punkcie, pozostałe też zostaną

zakwestionowane i w ten sposób legnie cała nasza wiarygodność. Bez całkowitego zaufania świata nie uda nam się prowadzić dalszych działań.

– Jeśli go zatrudniliśmy... – Masterson jeszcze nie krzyczała, ale podniosła głos bardziej, niż to było dopuszczalne w tym pokoju – ...to także my jesteśmy za niego odpowiedzialni.

– My? – spytał szef FBI. – Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem, ale czy to nie ty wpisałaś go na tę listę?

Riley nigdy nie lubił Masterson, a nawet oficjalnie sprzeciwił się jej nominacji na stanowisko szefowej DEA, ale został przegłosowany. Jej dotychczasowe zasługi i kompetencje były więcej niż wystarczające i Masterson nie wiedziała, czy Riley po prostu jej nie lubił, czy też nie tolerował kobiet na kierowniczych stanowiskach.

– Zgadza się, ja to zrobiłam, ale...

– Bez poinformowania mnie o tym?

– Jeśli wolno mi mówić otwarcie...

– Bez poinformowania FBI, które tę listę stworzyło?

– Tak – odparła Masterson, spoglądając na zegar nad kominkiem.

– W takim razie to twoja odpowiedzialność i twój problem, prawda?

Za pięć dziesiąta. Wykorzystała połowę czasu.

– Informator, a zwłaszcza informator przestępca, powinien działać tak, żeby uniknąć dekonspiracji. Przecież sami tak pracujecie, prawda? Dekonspiracja to dla niego śmierć. Każda kolejna osoba, która o nim wie, zwiększa ryzyko dekonspiracji. Pracowaliśmy w ten sposób dotąd i dalej będziemy, a wy dalej będziecie nam za to wdzięczni.

– W tym dylemacie, jeśli mogę to tak określić, nie chodzi o metody pracy, tylko o politykę.

– I moralność. A może w tym gabinecie to dwie różne rzeczy?

Masterson popatrzyła na Perry'ego, jakby szukała jego wsparcia. Ale szef sztabu nie odezwał się. Widać było, że jest wkurzony. Uszy i policzki miał zaczerwienione.

– Powiedz nam, kim on jest? – spytał Eve i krzywo się do niej uśmiechnął.

– Właśnie to próbuję wam wyjaśnić. To nasz informator. My go zatrudniliśmy.

Eve z góry wiedział, że niczego konkretnego się nie dowie. Teraz wbił w Masterson swój kłujący, przenikliwy, bezdenny wzrok. Już widywała takie spojrzenia i szybko się nauczyła, że nigdy nie powinna ich unikać. Takie spojrzenie miewali szefowie policji i szefowie gangów narkotykowych. Kryło się w nim mnóstwo władzy w ograniczonym świecie. Tacy jak oni byli najgroźniejsi. Zwłaszcza jeśli słyszeli półprawdy. Brak empatii w połączeniu z władzą, decyzje podejmowane wyłącznie na podstawie racjonalnego rozumowania.

– Pytałem, kim ten człowiek jest. Na przykład jak się nazywa, skąd pochodzi i tak dalej.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Nie znam jego prawdziwej tożsamości. Nie mam o nim żadnej wiedzy, bo taka była umowa z jego łącznikiem. Wiem tylko, że używa pseudonimu El Sueco, ponieważ pochodzi z północnej Europy.

– Z Europy?

– Tak.

– Nie jest obywatelem Stanów Zjednoczonych?

– Nie.

Eve uśmiechnął się, ale tym razem poważnie.

– W takim razie nie mamy problemu – stwierdził i zerknął triumfującym wzrokiem na pozostałe osoby.

Masterson poczuła niepokój. Miała wrażenie, że przemawia do ławy sędziowskiej, która ma rozstrzygnąć o śmierci, chociaż jej członkowie wiedzą, że oskarżony jest niewinny.

– Czego wy nie rozumiecie? To my mu płacimy, władze federalne. Ten człowiek pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych.

Masterson naląa sobie wody do pustej szklanki i od razu ją wypila.

Nie, moralność i polityka to nie to samo.

– Niech to szlag! Przecież jesteśmy w Białym Domu! Tu się nie dyskutuje o tym, jak skazać niewinnych ludzi na śmierć.

Masterson znowu podniosła głos. Rzuciła przekleństwo, które odbiło się od napuszonych ścian. W końcu odezwała się wiceprezydent Thompson, która wcześniej milczała.

– Sue?

Głos miała łagodny, ale uderzenie było twarde.

– Musimy cię poprosić, żebyś zostawiła nas samych. Musimy się nad tym zastanowić. Zaprosimy cię, gdy będziemy gotowi.

ZA KAŻDYM RAZEM NOWA twarz.

Wilson skinął głową ubranemu po cywilnemu strażnikowi, którego widział pierwszy raz w życiu. Okazał legitymację służbową, a po akceptującym skinieniu strażnika wsiadł do windy i wcisnął guzik na siódme piętro.

Kiedyś się kochali. Na pewno on kochał ją – na swój sposób. Ale nie była to miłość, która zaburzała zdolność oceny. Sue Masterson była jedyną policjantką na świecie, której w pełni ufał. Analityczny umysł, strategiczne myślenie. Była od niego pod wieloma względami lepsza. Wiedział, że nigdy jej nie dorówna. Powinien się rozluźnić, ale czuł się nieswojo.

– W jakiej sprawie?

Windę wypełnił głos niewidocznego mężczyzny. Wilson pochylił się do domofonu.

– Erik Wilson z policji. Przyszedłem was odciążyć.

Długie milczenie, a potem pełne ulgi westchnienie.

– Dziękuję.

Siódme piętro. Winda zatrzymała się, ale Wilson przez chwilę w niej został. Dopiero teraz do niego dotarło, dlaczego czuł się tak nieswojo, czemu szumiało mu w głowie

i dlaczego nagle opadł z sił. Całkowicie jej ufał – jako policjantce. Ale to już nie była policyjna robota. Teraz chodziło o politykę, a on już kiedyś miał do czynienia ze szwedzkimi politykami, którzy skazali Pieta Hoffmanna na śmierć na podstawie sfałszowanych danych z rejestru skazanych, do którego mieli dostęp. Później ich poinformowano, że popełnili błąd, że Hoffmann jest opłacany przez szwedzką policję i nie jest ich wrogiem. Następnie ci sami politycy, żeby nie stracić władzy, postanowili utrzymać oparty na fałszywych przesłankach wyrok śmierci.

Wysiadł z windy i podszedł do kolejnej budki, w której za uniesioną szybą siedział następny ubrany po cywilnemu strażnik. Chwilę potem usłyszał głos, który od razu rozpoznał. Z początku był niewyraźny, bo dochodził z daleka, ale i tak nie miał wątpliwości, do kogo należy. Kiedy podszedł bliżej, głos stał się mocniejszy i wyraźniejszy. Z domofonu dobiegał głośny monolog kogoś, kto tłuł się po ciasnej, zamkniętej na klucz celi aresztu.

– Chodź tu do mnie i wypuść mnie stąd, i to szybko!

Strażnik, młody mężczyzna o przyjaznych oczach, wzruszył ramionami.

– Słyszałeś, co powiedziałem, klawiszu?

– Słyszałem. Za każdym razem pana słyszę.

– No to wypuść mnie stąd, klawiszu!

– Nie mogę. Już panu komisarzowi wyjaśniałem.

– Otwieraj!

– Rozmawia pan z niewłaściwą osobą. Nakaz zatrzymania wystawił prokurator Ågestam i tylko on może pana wypuścić. Pan komisarz dobrze o tym wie.

– Prokurator to dupek! I nie jest to ani pomówienie, ani zniesławienie. To prawda!

Domofon nie był nowy, z tego modelu ktoś mógł być dumny bardzo dawno temu. Ustawiony był głośno. Wilson to zauważył, gdy strażnik ściszył urządzenie.

– Zachowuje się tak od kilku godzin.

– Może tak pociągnąć znacznie dłużej.

Wilson znów okazał legitymację i odznakę służbową, ale tym razem strażnik nie oglądał ich zbyt dokładnie, tylko szybko wstał i otworzył drzwi prowadzące na korytarz aresztu. Wilson szedł za nim, mijając zamknięte na klucz drzwi cel. Czuł unoszący się w korytarzu kurz, którego było tam więcej niż gdziekolwiek indziej. W końcu doszli do celi numer pięć. Ze środka dobiegały krzyki mężczyzny. Wilson domyślił się po odgłosach, że kopie on ze złością w wyposażenie celi.

Skinął głową strażnikowi, a ten domyślił się, że jego dalsza obecność jest niepożądana, odwrócił się i ruszył z powrotem do swojej kanciapy. Wilson odczekał, aż zostanie sam, i dopiero wtedy zajrzał przez wizjer do celi.

– Ewert?

Wizjer znajdował się mniej więcej na wysokości oczu. Wilson widział przez niego szerokie plecy Grensa. Komisarz ubrany był w swoją marynarkę, bo pozwolono mu zostać w cywilnym ubraniu. Może ze strachu przed jego głośnymi pogrózkami? Albo z szacunku dla przełożonego? A może po prostu dlatego, że personel aresztu nie wierzył, że Grens dopuścił się przewinienia, o które został oskarżony?

– Chcesz stąd wyjść?

Grens odwrócił się do Wilsona.

– Otwieraj!

– Jak chcesz stąd wyjść, musisz się najpierw uspokoić.

– Wilson, niech cię szlag...

Wilson zasłonił wizjer, usiadł na stojącym przed celą stołku i czekał. Minutę, dwie, trzy... w końcu w celi zapanowała cisza. Dopiero wtedy odsłonił wizjer.

– Okej?

– Wilson, do jasnej...

– Okej?

– Okej.

– To dobrze. Poczekaj chwilę.

Wilson pomachał ręką w stronę budki strażnika i wykonał w powietrzu kilka ruchów przypominających obracanie klucza w zamku. Chwilę później strażnik zjawił

się z wielkim pękiem kluczy w ręce, jakby mu się spieszyło albo jakby się bał, że komisarz, który jeszcze przed chwilą odsądzał cały świat od czci i wiary, rozmyśli się i znowu zacznie krzyczeć.

Strażnik włożył klucz do zamka i otworzył drzwi. Wilson odetchnął z ulgą. W środku ujrzał Grensa ubranego w wygniecioną marynarkę z plamami po alkoholu. Zdziwiło go to, bo wiedział, że Grens nie pił. Spodnie komisarza też były wygniecione i poplamione. Włosy, które mu jeszcze pozostały, sterczały na wszystkie strony.

Kiedy szli korytarzem do wyjścia, zapach kurzu stał się jeszcze bardziej wyczuwalny. Pewnie dlatego ze sobą nie rozmawiali. Minęli kilka zamkniętych na klucz cel, gdy nagle Grens się zatrzymał.

– Jak ty wyglądasz? – rzucił, patrząc na Wilsona.

– To chyba ja powinienem cię o to spytać?

– Włożyłeś mundur?

– Jestem policjantem. Czasem tak trzeba, gdy chodzi o śmierć i życie.

Grens spojrział na przełożonego uważnym wzrokiem i domyślił się, że sprawa musi być poważna. Nie oczekiwał jednak, że Wilson zdradzi mu szczegóły w tym miejscu i w tej chwili. Poszedł więc dalej, poruszając bolącą nogą i rozciągając zeszywniały kark. Szli w milczeniu zatopieni w myślach, aż dotarli do skrzydła zajmowanego przez dochodzeniówkę. Wilson zatrzymał się przed pokojem Grensa.

– Mam nadzieję, że wpadniesz do mnie, żeby mi wyjaśnić, co się stało. Interesuje mnie zwłaszcza jedno: dlaczego wrzeszczałeś w poplamionym winem garniturze na personel aresztu śledczego? I proszę cię, żebyś na razie dał sobie na wstrzymanie.

Ale Grens go nie słuchał. Bez słowa podziękowania albo usprawiedliwienia wszedł do pokoju i włączył stojący na półce magnetofon. Znalazł i wsunął do koperty kasetę, na której Siw Malmkvist śpiewała po szwedzku i angielsku stare przeboje Connie Francis. Wilson stał nieruchomo na

korytarzu, wsłuchując się w dźwięki *Tunna skivor* i *Everybody's Somebody's Fool*. Dopiero po dłuższej chwili domyślił się, że Grens nie ma ochoty z nim rozmawiać.

– Grens, właśnie wyciągnąłem cię z aresztu. Odpowiadam za ciebie, więc przynajmniej z tego względu zrób to, o co cię proszę.

Wilson odwrócił się i ruszył korytarzem. Towarzyszyły mu dźwięki przebojów z lat sześćdziesiątych. Radosna, pełna nadziei muzyka. Na wysokości automatu z kawą usłyszał nagle inny dźwięk – jednostajny, elektroniczny. Telefon komórkowy. Aparat wibrował w jego kieszeni.

– Słucham?

– Nie zgodzili się.

Sue Masterson.

– Postanowili nie zmieniać listy.

Sue nie była już taka odważna i pewna siebie jak kilka godzin wcześniej.

– Co takiego?!

– Nasz znajomy wciąż jest Siódemką Kier.

– Ale to oznacza dla niego śmierć!

– Tak, jeśli ktoś zna prawdę.

– Przecież to jeden z waszych agentów!

– Poszłam z tą sprawą tak wysoko, jak tylko się dało.

Niestety, moi rozmówcy pozostali przy własnym zdaniu.

Z pokoju Grensa dobiegały dźwięki kolejnego przeboju w wykonaniu Siw Malmkvist, tym razem po szwedzku. Właśnie tak się śpiewało w tamtych czasach – radosnym, szczęśliwym głosem. Wilson domyślił się, że w takich chwilach Grens zanurza się w tym co proste, żeby zapomnieć o tym co skomplikowane.

– To znaczy, że zgodziliśmy się na jego egzekucję? Zrobił swoje i może odejść?

Wilson długo czekał na odpowiedź. W słuchawce zapadła cisza, jakby Masterson się rozłączyła.

– Sue? Jesteś tam?

– Tak czasem bywa... Ale mam jeszcze jedną złą wiadomość. Od dzisiaj nie wolno mi zajmować się tą sprawą,

choć nadal jestem szefową DEA. Już sama rozmowa z tobą jest przestępstwem. Jeśli złamię zakaz, uznają, że „Dyrektorka DEA świadomie działała na szkodę interesów Stanów Zjednoczonych”. Tak to sformułowały osoby, z którymi rozmawiałam. Powiedzieli mi, że w przeciwnym razie zostanę usunięta ze stanowiska, stracę uprawnienia emerytalne i stanę przed sądem.

Wilson nie przerywał, tylko uważnie jej słuchał.

– El Sueco został skazany na śmierć. Nie wolno nam się z nim kontaktować: ani mnie, ani jego oficerowi prowadzącemu. Nie wolno mu pomagać. Ale przecież to, czego nie wolno zrobić nam, może zrobić ktoś inny. Jak myślisz?

Po tych słowach Masterson się rozłączyła.

Ale przecież to, czego nie wolno zrobić nam, może zrobić ktoś inny.

Te gnojki się nie zgodziły.

Jak myślisz?

To wyraźna aluzja do niego. Sue chciała go zachęcić do działania.

Oprócz Hoffmanna pozostały jeszcze tylko dwie osoby, które wiedzą, jakim sposobem uciekł z więzienia: jego żona i on, Wilson. Dwie inne nie mogą mu pomóc z obawy przed karą.

Wilson zatrzymał się przed automatem z kawą. Korytarz wypełniały teraz różne dźwięki: muzyka z lat sześćdziesiątych, rozmowa telefoniczna z sąsiedniego pokoju, śmiech osoby wychodzącej z sali po spotkaniu. Wilson stał i przez pewien czas się w nie wsłuchiwał, ale w końcu podszedł do automatu i zrobił sobie kawę. Na razie o Hoffmannie wiedzą tylko trzy osoby, ale wkrótce przybędzie czwarta.

BŁĘKITNA WYKŁADZINA, NIEBIESKIE tapety. Pomieszczenie emanowało spokojem, mądrością, zdecydowaniem. Wspólnie podjęli decyzję i teraz nawzajem się przekonywali, że była słuszna. Kiedy rozmowa dobiegła końca, cała czwórka wstała. Wiceprezydent Thompson zza swojego biurka, Riley i Eve z foteli, Perry, który dopijał kawę, z kanapy. Riley podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i lekko je uchylił, ale przez chwilę się wahał.

– Można jej zaufać?

Na wszelki wypadek przymknął drzwi i odwrócił się do pozostałych.

– Czy można ufać Masterson?

Perry odstawił na stolik filiżankę z kawą. Zrobił to zbyt mocno, bo porcelana zgrzytnęła na blacie.

– A czy my możemy ufać tobie, Bill?

– Jak to?

– Sue została mianowana przez prezydenta, tak jak ty. Powinniśmy ufać tym, których wybieramy. – Krople kawy spadły na stolik. Perry wytarł je szorstką serwetką i kontynuował: – Przekazaliśmy jej naszą decyzję. Wie, że nie wolno jej się zajmować tą sprawą. Zrozumiała.

Riley uśmiechnął się do niego, prawie szyderczo.

– Jesteś jej całkowicie pewien?

– Tak.

Teraz odezwała się wiceprezydent Thompson:

– Na pewno? Czy jesteś pewien, że to tylko osobiste odczucia Billa, a nie realne ryzyko?

– Tak.

– Nigdy nie powinno dojść do tego, żeby po tej rozmowie ktokolwiek zadawał nam takie pytanie. Na przykład jak to się stało, że popełniliśmy drobny błąd i osoba zajmująca jedno z najwyższych stanowisk w państwie postanowiła umieścić naszego człowieka na liście będącej elementem strategicznego planu. Człowieka, który jak to często w DEA

bywa, wywodzi się ze świata przestępczego. Na dodatek zrobiła to, nie informując o niczym przełożonych.

Thompson patrzyła tylko na Perry'ego.

– Tak jak powiedziałaś, Lauriel: zaufanie. Ono nas wzmacnia i daje swobodę działania.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Z początku nikt go nie usłyszał, bo utonęło w rozmowie. Za drugim razem było głośniejsze i bardziej natarczywe. Riley, który stał najbliżej, otworzył drzwi. W progu stał młody strażnik, ten sam, który wcześniej towarzyszył Masterson w drodze do pokoju.

– Słucham?

– Mam przesyłkę dla pana Perry'ego. To ważne.

Biała koperta, a w niej zdjęcie przedstawiające człowieka, którego szef sztabu znał osobiście.

Od razu go rozpoznał, chociaż ów człowiek wyglądał inaczej niż dwa dni temu, gdy spotkali się na korytarzu.

Przewodniczący Crouse.

Zamknięty w klatce.

WILSON JESZCZE PRZED CHWILĄ słyszał muzykę dobiegającą przez otwarte drzwi. Kiedy jednak podszedł bliżej, okazało się, że są zamknięte. Kiedy nalewał sobie kawę z automatu, Grens musiał je zamknąć, jakby dawał do zrozumienia, że chciałby zostać sam. Wilson nie mógł zapukać, bo w rękach trzymał dwa kubki, więc kopnął w drzwi czubkiem buta.

– Tak?

– Musimy porozmawiać.

– Powiedziałeś, że mam przyjść później i wszystko ci wyjaśnić. Więc przyjdę. Później.

– Nie interesuje mnie, dlaczego musiałem wyciągać cię z celi. Chcę porozmawiać o czymś innym. To pilne.

Wilson wpatrywał się w drzwi. Nie było na nich tabliczki z nazwiskiem ani żadnej innej informacji. Grens nie chciał, żeby widniało na nich jego nazwisko. Podjął taką decyzję dawno temu z powodów, których już chyba sam nie pamiętał.

– Poczekaj chwilę. Zaraz.

Wilson nie protestował. Już dawno przestał wchodzić w spory, których nie da się wygrać, nawet gdy i tak je wygrywał.

Stojąc na korytarzu, słyszał, jak Grens otwiera i zamyka szafę na ubranie. We wszystkich pokojach szafy skrzypiały tak samo. W końcu zapadła cisza. Kubki z kawą parzyły go w palce, więc postawił je na podłodze przed progiem i czekał. Korytarz tonął w ciemnościach. Wilson rozkoszował się tą chwilą. Przez ten krótki moment nie musiał nic robić ani o niczym myśleć. Po prostu stał i czekał.

– Możesz wejść.

Podniósł z podłogi kubki i nacisnął łokciem klamkę. Na podłodze leżał poplamiony garnitur Grensa. Komisarz stał obok w służbowym mundurze.

– Innego nie miałem.

Grens wskazał na stojącą w rogu pokoju szafę. Prawdopodobnie wisiało w niej kilka innych mundurów, mniejszych od tego, który włożył. Pochodziły z czasów, gdy komisarz był trochę szczuplejszy.

Wilson podał mu kubek z parującym napojem. Sytuacja była niezwykła, bo żaden z nich nigdy wcześniej nie chodził w mundurze. Siedzieli na krzesłach i mierzyli się wzrokiem. Obaj doszli chyba do wniosku, że niewiele potrzeba, aby zmienić wygląd człowieka. Obaj dobrze się znali, a jednocześnie byli sobie obcy.

– Czego chciałeś?

– Twojego laptopa.

Grens przesunął laptop w stronę Wilsona i odwrócił go ekranem w jego stronę. Wilson wyjął z kieszeni portfel, a z przegródki na monety pendrive'a, którego dostał od Jenningsa. Wsunął go ostrożnie do gniazda USB i kliknął na plik o nazwie *Siódemka Kier*.

– Podejdź do mnie.

Grens wstał z krzesła i stanął za nim.

– Popatrz.

Wilson przesunął kursorem po osi czasu, kliknął na nią i upewnił się, że znalazł właściwy fragment. Na ekranie wyświetliło się nagranie zarejestrowane przez satelitę. Obraz był trochę zamazany i niewyraźny, ale widać było dżunglę i jadącą przez nią ciężarówkę, która co pewien czas kryła się w gąszczu zieleni. Podjechała do brzegu szerokiej rzeki, zatrzymała się i chwilę potem wyskoczyło z niej dwoje ludzi, którzy zaczęli przenosić skrzynie z paki na zacumowaną przy brzegu łódź. Po zakończonym przeładunku obie postacie wsiadły z powrotem do ciężarówki.

– Co to, do cholery, jest?

– Obejrzyj to do końca.

– Przed chwilą wróciłem z celi, straciłem mnóstwo czasu.

Wybacz, ale mam mnóstwo pracy i nie chce mi się oglądać filmów przyrodniczych.

– Oglądaj.

Wilson włączył dalszą część nagrania. Krętą rzeką płynęła łódź z dwoma mężczyznami. Grens patrzył zgodnie z życzeniem Wilsona, któremu udało się dotrzeć do niego łatwiej niż zazwyczaj. Tym razem obyło się bez aroganckich komentarzy i zachowywania dystansu. Może Grens się wstydził, że trafił do celi, ale prawdziwym powodem były chyba mundury. Wilson był tego pewien. I wcale nie chodziło o to, że jako przełożony komisarza miał o kilka pasków więcej na pagonach, bo Grens nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Chodziło raczej o to, że ich osobiste konflikty zostały jakoś wymazane i nic nie stało na drodze do porozumienia.

Wilson pomyślał, że powinien częściej wkładać mundur, zwłaszcza gdy przychodzi do tego pokoju.

– Do cholery, pytam jeszcze raz, o co tu chodzi?

– Zaraz się dowiesz.

W pewnym momencie kamera pokazała z bliska mężczyznę na łodzi. Nagranie było niezbyt ostre, spod szarych kwadratów wyłaniał się zarys ludzkiej sylwetki.

Wilson obserwował twarz Grensa. Nagranie coraz bardziej go zajmowało.

Właśnie tak kiedyś wyglądał.

Trzy lata temu, gdy wsadzony do więzienia, zdekonspirowany i zagrożony śmiercią Piet Hoffmann stał się głównym bohaterem dramatu, porywając zakładników w zakładzie karnym Aspsås. To Grens siedział wtedy przed ekranem monitora i oglądał rozwój wydarzeń. To on po długich męczarniach wydał rozkaz strzelcowi wyborowemu, aby zlikwidował sprawcę.

– Ten ostatni fragment...

– Tak?

Wtedy po raz pierwszy w całej swojej karierze Grens wydał polecenie, aby zabić człowieka.

– Chcę go obejrzyć jeszcze raz.

Wilson przesunął kursor i zatrzymał go w miejscu, gdzie na nagraniu kamera uchwyciła łódź.

Widać było na niej człowieka.

Grens pochylił się w stronę ekranu. Twarz wydała mu się znajoma.

Na ogolonej głowie mężczyzny zobaczył tatuaż. Przypominał dużego wijącego się węża albo jaszczurkę.

Takiego tatuażu nie miał człowiek, którego obserwował wtedy. Był tego pewien. Na tym nagraniu nosił inne ubranie i wyglądał na szczuplejszego.

A jednak... ten sposób poruszania się. Tego nie można zmienić.

– O co tu chodzi?

– Poznajesz go?

Grens podszedł do regału, przesunął palcem po grzbietach segregatorów i wyciągnął jeden z nich. W środku znajdowała się płyta kompaktowa.

– Obserwowałem jego ruchy godzina po godzinie, dzień po dniu. Na zawsze utkwiły mi w pamięci. Takich rzeczy się nie zapomina. Potrafiłbym zawsze i wszędzie odróżnić go od innych.

Wilson przyglądał się zaczerwienionej z emocji twarzy Grensa – policjanta, który wydał rozkaz przeprowadzenia egzekucji i dopiero później się dowiedział, że decyzję podjął na podstawie fałszywych danych. Piet Hoffmann pracował dla policji, a on, komisarz policji, zachował się jak pożyteczny idiota, który na zlecenie innych dokonał zbrodni w majestacie prawa.

– Więc go poznajesz?

Wtedy to on, Grens, wpadł do pokoju Wilsona... wykrzykiwał coś o podwójnych standardach, prawdzie i kłamstwie.

– Ewert?

Teraz też powinien zacząć krzyczeć, bo okazało się, że Hoffmann żyje. Wilson wiedział o tym od samego początku, a jednak utrzymywał go w przekonaniu, że odpowiada za śmierć niewinnego człowieka.

– Owszem... rozpoznaję. – Grens wyglądał na dziwnie spokojnego i nie mówił typowym dla siebie syczącym

głosem. – To Paula. Piet Hoffmann. Ja też wiedziałem, że żyje. Przez cały czas.

Grens wyjął z plastikowej kieszonki płytę i pogwizdując cicho, wsunął ją do kieszeni laptopa.

Wilson nie spuszczał wzroku z jego twarzy. Obserwował zmiany, jakie się na niej dokonywały. Najpierw pojawiła się niechęć, potem skupienie.

Wiedziałem, że żyje. Przez cały czas.

– To kopia nagrania z kamery monitoringu w głównej wartowni zakładu w Aspsås. Z tygodnia po tym, jak Hoffmann tam... zginął. Pokażę ci nagranie z czwartej doby.

Grens przestał gwizdać. Na jego twarzy malowało się napięcie. Przesunął kursorem po osi czasu i przeskoczył o cztery dni i nocę. Zatrzymał nagranie na godzinie dwudziestej sześć.

– Wiesz, ile prowadziłem śledztw w sprawie zabójstw?

Na ekranie pojawił się krótko ostrzyżony mężczyzna w mundurze służby więziennej. Idąc, zerkał w stronę kamery. Długo wpatrywał się w obiektyw, żeby ktoś, kto kiedyś obejrzy nagranie, mógł ustalić, kogo widzi.

– Dwieście siedemdziesiąt siedem. Pięciu nie udało mi się rozwiązać. W siedmiu przypadkach sprawcę uniewinniono. Ale w tej sprawie jest inaczej. Każdego dnia, kiedy się budzę, dziękuję losowi, że udało mu się wymknąć.

Grens przesunął nagranie jeszcze dalej. Kamera towarzyszyła przebranemu mężczyźnie, gdy tamtego wieczoru przechodził przez bramę w murze – ku wolności.

– Znalazłem nagranie i zrozumiałem, że ten człowiek mnie oszukał. Mnie, nas. Postanowiłem do tego nie wracać.

Dwaj mężczyźni w mundurach. Po tej samej stronie biurka. W milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Wilson był przekonany, że całą prawdę o Hoffmannie znały tylko trzy osoby. Teraz wiedział, że był ktoś czwarty, kto przez te wszystkie lata milczał.

– Dziękuję.

Chciał spojrzeć Grensowi w oczy, czekał, aż ten skinie mu głową, jakby na potwierdzenie... „Wykonałeś kawał dobrej

roboty, ja zrobiłem swoje... czasem już tak jest”.

– Proszę.

Teraz Wilson mógł mówić dalej. Powiedzieć, z czym przyszedł do Grensa.

– Ewert... chciałbym ci zaproponować, żebyśmy to powtórzyli.

– Co?

– Musimy mu pomóc przeżyć.

TO NIE BYŁA NAJLEPSZA FOTOGRAFIA. Fatalne oświetlenie, słaba ostrość. A jednak było to najbardziej wyraziste zdjęcie, jakie szef sztabu Perry kiedykolwiek miał w ręce. Krata, klatka, w środku człowiek. Timothy D. Crouse. Przewodniczący Izby Reprezentantów, będący elementem tej samej władzy, której przedstawicielami były osoby zebrane w pokoju. Tyle że na zdjęciu nie było tego widać, bo Crouse został tej władzy pozbawiony. Równie dobrze mógł być nagi – wyszłoby na to samo.

– Adres IP doprowadził nas do kafejki internetowej w Bogocie. Widać go na samym dole kartki, tuż pod datą i godziną wykonania fotografii. Zapisał go odręcznie śledczy z NGA.

Pozostałe trzy osoby zebrane w pokoju przysunęły się bliżej Perry'ego. Teraz cała czwórka wpatrywała się w to samo zdjęcie. Każde z nich skupiło się na innym szczególe. Thompson zwróciła uwagę na to, że było ciemno, bo zdjęcie zrobiono późną nocą, i dlatego zastanawiała się, czy fotografujący celowo wybrał tę porę dnia, żeby stworzyć groźniejszy nastrój. Eve zauważył błoto wokół klatki – brązową breję z dużą liczbą śladów butów. Riley dostrzegł, że Crouse ma na sobie bardzo brudne ubranie i że to ten sam garnitur, w który był ubrany dwa dni wcześniej, gdy odwiedził ich w tym budynku.

Ostatnią rzeczą, jaką udało się odczytać z fotografii, była notatka na samej górze kartki wykonana tym samym charakterem pisma. Wynikało z niej, że jednym z adresatów był prezydent Stanów Zjednoczonych, któremu przysłano zdjęcie na oficjalny, ogólnie dostępny adres Białego Domu.

– Co to jest? Czy to...? – zaczął Perry. Wskazał palcem na podłogę w klatce. Jego uwagę zwrócił plastikowy przedmiot przypominający miskę. – To chyba miska?

Thompson westchnęła.

– Jest do połowy wypełniona jedzeniem. To jakaś breja... może ziemniaki?

Klatka. Miska z jedzeniem na ziemi. Klasyczna metoda: pozbawić człowieka godności i potraktować jak zwierzę. W lewym górnym rogu zdjęcia widać było fragment innej klatki i człowieka, który siedział na klepisku oparty plecami o jej ścianę. Wydawało się, że to kobieta. W prawym rogu zdjęcia znajdowała się broń ustawiona na stojaku wbitym w błoto.

– Rosyjski granatnik.

Szef CIA pochylił się bliżej, założył inne okulary.

– RPG-dwadzieścia Vampir. Można nim zniszczyćczołg. W czasie wojny w Libanie Hezbollah zniszczył takimi granatnikami wiele izraelskichczołgów.

Demonstracja władzy. Najprostsza, jaka może być.

– Klatka. Granatnik. I żadnych żądań.

Perry skupił uwagę na człowieku, którego znali. Kazano mu stanąć na pierwszym planie. Zaciskał ręce na bambusowych prętach.

– Nic z tego nie rozumiem. A wy? Takie zdjęcie i żadnych żądań?

Crouse kurczowo zaciskał palce na prętach klatki. Stał nieruchomo, wyprostowany. Miał pusty wzrok. Blask flesza na twarzy sprawił, że jego opalona skóra wydawała się biała.

– Na razie mamy tylko zdjęcie.

Perry wrócił na kanapę. Zdjęcie położył na szafce, odsunął je lekko od siebie, jakby nie chciał czuć na sobie przestraszonego, błagalnego wzroku. Thompson usiadła obok niego, sięgnęła po fotografię i przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu.

– Opublikowaliśmy listę trzynastu osób, które są za to odpowiedzialne. To cała zbrodnicza wierchuszka tej organizacji.

Zdjęcie trzymała tuż przed oczami, jakby rozmawiała bezpośrednio z widocznym na nim człowiekiem.

– Cała trzynastka jest do odstrzału, jeden po drugim, i żaden półbandyta bez naszego obywatelstwa nam w tym nie przeszkodzi. Zlikwidować. Jednego po drugim.

GRENS WSTAŁ Z KRZESŁA I ZACZAŁ niespokojnie krążyć po pokoju. Po chwili włożył do starego magnetofonu kasetę z przebojem *Tunna skivor* w wykonaniu Siw Malmkvist. Za każdym razem, gdy chciał się uspokoić, puszczał te same fragmenty. Usiadł przy biurku i zaczął porównywać nagranie z kamery monitoringu, na którym mężczyzna wymyka się z więzienia, z nagraniem satelitarnym, na którym widać, jak mężczyzna wsiada na barkę rzeczną.

– A więc to tak zarabia na życie...

Grens bywał ironiczny, a nawet cyniczny i złośliwy. Właśnie w taki sposób można było odebrać te słowa. Jednak tym razem jego twarz i oczy mówiły coś innego. Wilson był o tym przekonany.

– Tak. Właśnie tak zarabiał. Jeszcze pół godziny temu, zanim pracodawca go zwolnił.

Podszedł do regału i z półki nad staromodnym magnetofonem zdjął duży, gruby atlas świata. Przerzucił strony, zaczynając jak zawsze od tyłu. Zauważył kartonową kieszonkę, w której znajdował się rewers – taki, jakich używano przed wielu laty. Wyjął go, odwrócił i przeczytał, co było na nim napisane:

Biblioteka Miejska w Sztokholmie.

Termin zwrotu książki: 18 października 1989 r.

Wilson uśmiechnął się do Grensa, a ten odwzajemnił jego uśmiech.

– Chyba się przedawniło?

Wilson nie odpowiedział, tylko odsunął z biurka kubek po kawie, telefon, lampkę stołową i stos segregatorów z aktami toczących się śledztw, rozłożył na blacie atlas i otworzył go na dwieście osiemnastej stronie z dużą mapą Ameryki Południowej. Wyjął ze stojaka czerwony mazak i przeciągnął nim po dwóch liniach granicznych. Powstała figura przypominająca kwadrat, a właściwie romb

znajdujący się w lewym rogu. Po jednej stronie było Morze Karaibskie, po drugiej Pacyfik.

– Ewert?

– Tak?

– Co wiesz o Kolumbii?

– Mają najlepszą kawę, jaką piłem. Tylko trzeba pić czarną, bez cholernego mleka.

Wilson uśmiechnął się. W pokoju zapanowała na chwilę atmosfera wolna od ironii i cynizmu.

– Co jeszcze wiesz?

– Piękny i ciepły kraj, mili ludzie. Przeżarty korupcją. Wysoka przestępczość. Rozwinięta produkcja i handel narkotykami. To jeden z tych krajów, do których postanowiłem nigdy nie jechać. Nawet jeśli dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi jest tam najmilszych na świecie.

Wilson odwrócił mapę w stronę Grensu i przesunął palcem po czerwonej kresce.

– A jednak właśnie tam pojedziesz.

Grens nawet nie spojrzał na mapę. Popatrzył na Wilsona i odparł cichym głosem, prawie szeptem:

– Prawie wszystkie śledztwa, jakie tu prowadzimy, mają związek z narkotykami. Wiedziałeś o tym? Z prochami, które tam produkują.

– Gaira Café.

– Sto tysięcy przestępstw rocznie związanych z narkotykami w tak małym kraju jak nasz. W ciągu dziesięciu lat ich liczba się podwoiła. Mówię tu tylko o przestępstwach bezpośrednio związanych z narkotykami, nie o napadach rabunkowych, kradzieżach czy włamaniach, żeby zdobyć pieniądze na to gówno. Nie liczę walk gangów o teren ani ściągania długów od dilerów. To narkotyki napędzają całą przestępczość, jaką się tu zajmujemy. Czy wiesz, że całkowity koszt nadużywania narkotyków w Szwecji to prawie trzydzieści miliardów koron rocznie? Takie wydatki ponosimy na leczenie, pomoc socjalną, zwolnienia lekarskie, przedwczesną śmierć... Dodaj do tego wybite okna sklepowe, wyważone drzwi, koszty interwencji

policji, koszty sądowe i wszystko to, co wiąże się ze strzelaninami i ciężkimi pobiciami... Można by wręcz powiedzieć, że narkotyki napędzają nie tylko całą naszą przestępczość, ale także sterują całym naszym społeczeństwem! Kiedy o tym myślę, to czasem się zastanawiam, czy komuś w ogóle zależy, żeby z tym skończyć. Przecież tyle ludzi z tego żyje!

– Gaira Café w Bogocie.

Wilson nadal przerzucał kartki atlasu, który dawno powinien być zwrócony do czytelnika. Po chwili rozłożył mapę i pokazał Grensowi miejsce, którego szukał.

– Calle dziewięćdziesiąt sześć na odcinku między Carrera trzynastka a trzynastka A.

– Tak?

– Spotkasz się tam z człowiekiem, który na twoim nagraniu wymknął się z więzienia, a na moim przesiadł się z ciężarówki na barkę. Niedługo ci powiem, o której twój samolot ląduje na lotnisku El Dorado International.

Grens nie potwierdził, ale i nie zaprotestował. Wyglądał tak, jakby całą jego uwagę pochłonęła mapa, która przedstawiała zupełnie inny świat.

– Ja nie mogę tam polecieć, dlatego wysłałam ciebie. Żałuję, bo bardzo bym chciał. Gdyby mnie tam ktoś zauważył, w śledztwie wypłynęłoby nazwisko osoby, która mieszka w Stanach i której Hoffmann zaufał. Wtedy ta osoba straciłaby pracę, a jej przyszłość byłaby skreślona.

Grens podszedł do regału i pogłośnił muzykę. Właśnie leciał przebój *Tweedle Dee*, w radosnym rytmie jak z lat pięćdziesiątych.

– Słuchasz mnie, Ewert? Będę z tobą szczery, w całej naszej komendzie najmniej się do tego nadajesz. To dla mnie niezręczna sytuacja. Ale ciebie nikt nie powiąże z tamtą osobą. Poza tym znasz Hoffmanna i jesteś oprócz mnie jedynym człowiekiem, któremu zechce zaufać. To przecież do ciebie wysłał kilka godzin po ucieczce z więzienia brązową kopertę z zabezpieczonym materiałem dowodowym.

Wilson popatrzył na Grensa, który zdawał się mieć podzielną uwagę. Komisarz słuchał jego słów, a jednocześnie zachwycał się przebojem dawnej gwiazdy.

– Twoje zadanie polega na tym, żebyś odszukał Hoffmanna i pomógł mu, w zależności od okoliczności i twoich możliwości. Jak się spakujesz i odbierzesz bilet, przekażę ci szczegóły.

W końcu muzyka ucichła.

– Chcę go tu widzieć żywego.

– Niestety, nie mam paszportu, bo cholernie rzadko chce mi się jeździć za granicę.

– Jakoś to rozwiążemy.

W pokoju zapadła cisza, bo kasetę się skończyła, a Grens nie włożył następnej.

– Mam to potraktować jako polecenie służbowe?

– Nie. To nie jest polecenie ani rozkaz. Nie będziesz miał żadnych pełnomocnictw i nikt nie będzie cię chronił.

Grens, który najbezpieczniej czuł się na starej kanapie w swoim pokoju, z muzyką z dawnych lat w tle, popatrzył na Wilsona i wzruszył ramionami.

– Twoja propozycja robi się cholernie kusząca.

– Jeśli coś się stanie, to bez względu na okoliczności nikt tutaj nie potwierdzi, że wyjechałeś z oficjalną misją.

– Czyli jak typowy przestępca, gdy zostaje wtyką?

– Ewert, musisz wyjechać zaraz... natychmiast. Powinniśmy się spieszyć. Jeśli Amerykanie robią coś takiego i działają szerokim frontem, a przy okazji robią z tego wielką politykę, zawsze uderzają jako pierwsi. Tego uczy nas historia. Jestem przekonany, że wyznaczyli już pierwszy cel.

STEVE SABRINSKY NIE BYŁ PEWIEN, czy kiedykolwiek się przyzwyczai, że ta „gra telewizyjna” właśnie tak wygląda i że grając w nią, czuje to, co czuł. Wydawało mu się, że w każdej chwili może usłyszeć dochodzący z parteru głos mamy, która tak długo wołała go na posiłek, aż robił sobie przerwę, schodził do jadalni, zjadał w milczeniu coś, co przypominało pieczeń, po czym wracał do swojego pokoju, biurka i gry, która przenosiła go w inny świat.

Sabrinsky trzymał w ręce dżojstik i szukał czegoś na obu ekranach. Wciąż miał wrażenie, że to zwykła gra. Bo właśnie tak to sobie wyobrażał: że to zabawa, że ciasny pokój, w którym się znajduje, to chłopięcy pokoik, że za trafny strzał pociskiem, który odpala i kieruje w jakiegoś człowieka, dostanie punkty, a gdy gra dobiegnie końca, wciśnie „restart” i cały wirtualny świat zostanie zresetowany, a on znowu rozpocznie kolejną grę, jakby nic się nie stało.

Niestety, rzeczywistość była zupełnie inna. To co mogło być zabawą, działało się naprawdę. Człowiek uśmiercony na jego ekranie już na zawsze pozostanie martwy.

Wypił pół kubka napoju złożonego w połowie z zielonej herbaty i w połowie z coca-coli. Znajdował się w pokoju o powierzchni kilku metrów kwadratowych, który konstruktor ich okrętu postanowił wcisnąć tuż pod pokładem obok schodów. Wyglądało to tak, jakby na planie architektonicznym zostało trochę wolnego miejsca, a kierownik projektu zauważył to tuż przed rozpoczęciem budowy i dopisał: *W tym składziku może siedzieć człowiek, który będzie odbierał życie innym ludziom.* Ktoś taki jak on. Pomieszczenie było ciasne, ale wystarczyło w nim miejsca na jedno krzesło i stolik, na którym stały komputer i dwa monitory.

– Sabrinsky?

– Tak?

– Cel zlokalizowany.

W pokoiku znalazło się też miejsce dla oficera ogniowego na lotniskowcu, który właśnie stał tuż za nim. Teraz podał mu kartkę i lekko się nad nim pochylił.

– To aktualne współrzędne GPS.

Sabrinsky poczuł w oddechu swojego przełożonego zapach czosnku i kawy.

– Aktywuj dron.

Sabrinsky wprowadził współrzędne do komputera. W świecie rzeczywistym odnosiły się do prawdziwego budynku, w którym przebywali prawdziwi ludzie. Wcisnął przycisk z napisem DOWNLOAD i czekał, aż zapali się lampka.

USS Liberty.

Amerykański lotniskowiec, trzysta sześćdziesiąt pięć metrów długości, sto tysięcy ton wagi, cztery tysiące siedmiuset członków załogi, oddzielne pasy do startu i lądowania.

Prawdziwy lotniskowiec. A w pokoju za nim prawdziwy oficer ogniowy.

Sabrinsky długo czekał, żeby tu trafić. Po to był szkolony – o północy odebrał rozkaz opuszczenia bazy morskiej Naval Station przy Trzydziestej Drugiej Ulicy w San Diego. Potem leciał samolotem wzdłuż wybrzeża Pacyfiku i granic Meksyku, Gwatemali, Salwadoru, Nikaragui, Kostaryki i Panamy. W końcu dotarł tutaj, do miejsca położonego osiem mil morskich od wybrzeża Kolumbii. Kiedy wyszedł na górny pokład, zamiast suchego, naładowanego elektroniką powietrza poczuł zapach świeżej morskiej bryzy. Widział też zarysy Buenaventury.

Sprawdził, czy dron jest zatankowany do pełna i czy wprowadził do systemu właściwe dane, po czym uruchomił silnik i włączył kamerę. Potem odwrócił się do przełożonego, a ten skinął mu głową.

Sabrinsky wcisnął jeden z bocznych guzików na dżojstiku. W jednej chwili ważący dziewięćdziesiąt siedem kilogramów dron zaczął się powoli toczyć z jednego boku okrętu na drugi. W końcu dane na dole ekranu pokazały, że

dron przekroczył prędkość osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Gdy dotarł na skraj pasa startowego, Sabrinsky pociągnął za dżojstik i skierował dron w powietrze.

Dopiero teraz zauważył, że wstrzymał oddech. Dlatego powoli, stopniowo zaczął wypuszczać powietrze, żeby za chwilę znowu go zaczerpnąć.

W tym samym momencie dron zaczął nagle opadać.

Zwiększyć prędkość! Zwiększyć prędkość!

– Dobrze. Utrzymuj poziom lotu. Pięć, maksymalnie siedem metrów nad powierzchnią wody.

Prawie bezwietrzna pogoda. Żadnych fal. Powinno się udać.

– Poczekaj, aż dotrze nad Buenaventurę. Wtedy go podniesiesz.

Współrzędne celu znajdowały się w prawym górnym rogu ekranu. Wszystko się zgadzało. Dron leciał w wyznaczonym kierunku, na właściwej wysokości i z należytą prędkością. Na dole ekranu widoczna była informacja o tym, że jest uzbrojony w wyrzutnię z ładunkiem termobarycznym. Takich pocisków używa się do niszczenia nieosłoniętych celów. Podczas detonacji wywołują silną falę uderzeniową, która zabija tych, co nie zginęli w czasie eksplozji.

– Odległość od celu?

– Osiem kilometrów, proszę pana.

– Na pokładzie tego okrętu nie mówimy „proszę pana”. Zrozumiano?

– Tak jest, pro... Tak jest!

– Nad wybrzeżem podniesiesz go do wysokości stu metrów. Prowadź go nad zabudowaniami. Kierunek Cali, zgodnie z wprowadzonymi danymi. Kiedy dotrze do celu, podnieś go o kolejne pięćdziesiąt metrów. Potem skup się na celu.

To już nie była gra, tylko pierwsze zadanie w realnym świecie.

– Potwierdzenie: obiekt w zasięgu drona. Uważaj, Sabrinsky... skup się na celu.

– Potwierdzam. Sto piętnaście sekund do eksplozji.

– Kurs? Wysokość?

– Kurs bez zmian. Wysokość sto pięćdziesiąt metrów i spada.

– Odbezpieczyć ładunek.

– Ładunek odbezpieczony. Pięćdziesiąt siedem sekund do wybuchu.

Na wielkim ekranie pojawiło się coś, co przypominało tarczę strzelecką złożoną z pierścieni. W samym środku wewnętrznego pierścienia stał dom. Kiedy dron, a przez to także kamera, znalazły się bliżej, odnotowano ruch przed domem. Prawdopodobnie trzy postacie – dwie mniejsze i jedna większa.

Sabrinsky położył palec wskazujący na przycisku z poleceniem ODPALANIE. Czekał na ostateczny rozkaz, który mógł paść w każdej chwili.

– Dziesięć sekund do wybuchu.

GRENS NIÓSŁ NIEPOREĆCZNĄ WALIZKĘ i utykał trochę bardziej niż zwykle. Walizka miała brązowy kolor, nierówną, pomarszczoną powierzchnię i była zrobiona z trudnego do określenia materiału... może z jakiegoś tworzywa sztucznego, a może ze skóry i dykty. Walizkę przyniósł ze schowka na strychu, gdzie ją przed laty zostawił. Pokrywała ją gruba warstwa kurzu, jak wszystkie inne przedmioty, które się tam znajdowały. Nie była zbyt elegancka, ale i niezbyt zużyta. Kupili ją kiedyś z Anni, a właściwie to ona kupiła dwie takie walizki – dla niego i dla siebie. Pierwszego dnia pobytu w paryskim hotelu nakleiła na swoją nalepkę z Wieżą Eiffła. Nadal tam była.

– Ewert?

Za biurkiem siedział Sven Sundkvist. Drzwi jego pokoju były otwarte. Sundkvist miał słuchawki na krótko ostrzyżonej głowie i siedział lekko pochylony, wsparty na łokciach. Właśnie taką pozycję przyjmował, gdy na początku pracy w policji odsłuchiwał taśmy z przesłuchań, jeszcze zanim pozwolono mu przesłuchiwać podejrzanych. Sven znany był z dokładności.

– Wyglądasz na podenerwowanego.

– Bo jestem.

Grens poszedł dalej, chociaż jakiś czas temu zmienił zwyczaje i czasem się zatrzymywał, żeby pogadać. Opierał się wtedy o futrynę i rozmawiali... po tylu latach, choć rozmawiał w ten sposób z nielicznymi osobami. Sven podszedł do drzwi i popatrzył za komisarzem, który coraz bardziej się od niego oddalał.

– Ewert, co ty robisz?

– Nie wolno mi o tym rozmawiać.

– Walizka? Wyjeżdżasz?

– Przykro mi, Sven, ale ciebie to nie dotyczy.

Kolejne otwarte drzwi. Pokój Mariany Hermansson. Ona też nie dała mu spokojnie przejść.

– Słyszałam, że przez kilka godzin prowadziłeś inspekcję naszego aresztu?

Tym razem Grens się zatrzymał i zajrzał do środka. Hermansson siedziała tak jak Sven przy biurku i oglądała na ekranie monitora nagranie z konfrontacji świadków, w której wzięło udział kilku mężczyzn z numerami zawieszonymi na piersi. Każdy przechodził po kolei przed obiektywem kamery ustawionej po drugiej stronie lustra weneckiego. Hermansson na pewno oglądała nagranie wcześniej, a teraz robiła to znów, by się upewnić, że sąd nie odrzuci dowodu. Grens był z niej dumny, podobnie jak ze Svena.

– Na pewno nic o tym nie wiesz, bo takie informacje obłożone są klauzulą tajności. Poza tym szwedzki policjant nie łamie tajemnicy służbowej i nie rozpowiada o swoich kolegach z pracy. Mam rację?

– Komisarz sam ją z powodzeniem złamał, bo było słyhać, jak oskarżał innych policjantów, że są niekompetentni.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz... Możesz spytać każdego, czy kiedykolwiek zachowywałem się głośno.

Hermansson uśmiechnęła się, a Grens odwzajemnił uśmiech i żeby się usprawiedliwić, skinął w stronę walizki.

– Wyjeżdżasz? – spytała Hermansson.

– Owszem.

– Dokąd?

– Nic więcej nie wolno mi powiedzieć. Na biurku zostawiłem akta śledztw z szansą na aresztowanie sprawcy. Chciałbym was prosić, żebyście je przejęli ze Svenem.

– Na długo wyjeżdżasz?

– Nie wiem. Na tydzień albo dwa.

Potem Grens już się nie oglądał, tylko wsiadł do windy, a gdy zjechała na dół, wyszedł drzwiami od strony Kungsholmsgatan. Wilson już tam na niego czekał. Siedział we własnym samochodzie, z włączonym silnikiem, gotów do odjazdu. Grens rzucił walizkę na tylne siedzenie i ruszyli przez miasto, w którym jeszcze przez krótki czas miał się

utrzymywać wzmożony ruch. Jechali pasem dla autobusów do czasu, aż się skończył. Miasto opuścili drogą E4. Wilson trochę przyspieszył.

– Popatrz.

Kiedy minęli Hagę, Grens pokazał coś przez szybę.

– Właśnie tam się dziś wybierałem.

Północny Cmentarz. Leżał tam ktoś, kto od dawna był dla niego najważniejszy.

– I właściwie nadal jestem w drodze.

Dwie stłuczone butelki w samochodzie. Po powrocie do domu znowu tam wróci.

– A prokurator nadal jest dupkiem.

Potem w samochodzie zapadła cisza. Minęli Helenelund i Sollentunę, a gdy zbliżali się do Upplands Väsby, Wilson pochylił się w stronę Grensa i otworzył schowek.

– W reklamówce są dwa telefony. Użyjesz ich w sytuacji kryzysowej. Jeden służy do komunikowania się z Hoffmannem, drugi do rozmów ze mną. Obowiązuje prosty system: z każdego dzwonisz tylko na jeden numer. I odwrotnie.

Dwa niezarejestrowane telefony na karty, z każdego można dzwonić tylko na jeden numer. Gdyby ktoś wpadł na ich ślad, i tak nie mógłby ustalić, kto ich używał. Żadnych imion ani nazwisk, tylko nieznany abonent, który odbiera telefony i dzwoni do innego nieznanego abonenta.

– Dostaniesz też nowy paszport, ważny przez dwa miesiące. Na wszelki wypadek jest w nim wiza do USA.

Grens wyjął z reklamówki różowy paszport. Był cieńszy niż zwykle. Przerzucił kilka stron i znalazł swoje zdjęcie z akt osobowych.

– Na dnię reklamówki leży reszta tego, co ci będzie potrzebne.

Grens wyjął bilet na lot o godzinie dziewiętnastej dwadzieścia pięć z międzylądowaniem i noclegiem w Londynie. Łączny czas przelotu: dwadzieścia sześć godzin i dwadzieścia minut.

– W Bogocie wylądujesz jutro o szesnastej dziesięć czasu miejscowego.

Kolejny dokument – potwierdzenie rezerwacji pokoju.

– Estelar La Fontana. Pokój pięćset pięćdziesiąt pięć na najwyższym piętrze. Całkowity spokój. Sam z niego korzystam.

Następna ważna rzecz: mapa Bogoty. Grens ją rozłożył. Przypominała tę z atlasu świata, ale była od niej większa i bardziej szczegółowa. Zauważył na niej trzy duże litery namalowane czerwonym tuszem: L – lotnisko; H – hotel. Między L a H znajdowała się litera P.

– Hoffmann używa pseudonimu Paula. Ja też go tak nazywam. Spotkacie się w Gaira Café, o piętnastej. Jeszcze nie wiem, którego dnia, ale dam ci znać.

Grens trzymał w ręce paszport, dokumenty z rezerwacją lotu i hotelu i mapę z zaznaczonym miejscem spotkania.

– Od jak dawna pracujesz jako oficer prowadzący?

– Od dwunastu lat.

– To widać.

W tych słowach nie było ani ironii, ani irytacji. Wilson usłyszał w głosie Grensa powagę. Był pewien, że po raz pierwszy w całej karierze komisarz go pochwalił. Sprawilo mu to przyjemność.

– Owszem. Ale zdarza się, że przyszłych współpracowników werbuję już w areszcie.

Obaj uśmiechnęli się jednocześnie, tak jak poprzednio.

– Jest jeszcze trochę papierów do wzięcia.

Wilson wskazał na schowek, więc Grens wsunął tam rękę i zaczął w nim grzebać. W środku znalazł pięć gęsto zapisanych kartek formatu A4 w plastikowej koszulce.

– Przez cały czas prowadziłem coś w rodzaju dziennika pokładowego. Robiłem to od czasu, gdy się dowiedziałem, że Hoffmann żyje. Trzymasz w ręce jego kopię.

– To już wszystko?

Prawda i kłamstwa w tym samym budynku policji. Jedne przestępstwa ukrywane po to, żeby wyjaśnić inne. Tajne raporty, w których opisano prawdziwy przebieg wydarzeń.

Sfałszowane informacje w bazach danych i rejestrach; to na ich podstawie pewien komisarz podjął błędną decyzję. Tak to wyglądało i dlatego wszystko poszło nie tak, jak powinno.

– Owszem.

Wilson lekko zahamował, bo ciężarówka wyprzedzała inną ciężarówkę i wszystkie pojazdy na lewym pasie musiały zwolnić. Stracone sekundy w drodze na lotnisko.

– Ewert... daję słowo...

Wilson nigdy wcześniej tak nie postąpił. Pierwsza zasada oficera prowadzącego brzmi: nie informuj osób postronnych o twojej wtyczce. Teraz tę zasadę złamał. W plastikowej kieszonce znajdowało się imię i nazwisko informatora, dane jego oficera prowadzącego i osób współpracujących z informatorem. Był też opis stosowanej strategii, spis miejsc spotkań, opis sytuacji rodzinnej, adres zamieszkania, rysopis, cechy charakterystyczne i znaki szczególne, jak również pięciostronicowe streszczenie dwuletniej akcji infiltracyjnej w organizacji partyzanckiej uznawanej za terrorystyczną. Kiedyś, gdy pracował na niższym stanowisku i był dla Hoffmanna najbliższym współpracownikiem, wszystko to odręcznie spisał i włożył do czarnego skoroszytu. Pseudonim, data, notatka na temat spotkania w pustym mieszkaniu do remontu, w budynku z dwoma oddzielnymi wyjściami pod dwoma różnymi adresami. Strona po stronie, spotkanie po spotkaniu. Do dziennika była dołączona koperta z prawdziwymi danymi informatora, zabezpieczona przez oficera jasną, czerwoną pieczęcią w pierwszym dniu, w którym podjął współpracę. Skoroszyt i kopertę przechowywano w sejfie z sześciocyfrowym szyfrem i ciężkimi drzwiami.

To, co teraz robił, stało więc w całkowitej sprzeczności z tym, czego się nauczył. Niestety, nie miał wyjścia. Musiał to zrobić, żeby uratować Hoffmanna.

– Przeczytasz to w samolocie do Londynu. Kiedy wylądujesz na Heathrow, idź do toalety, zanim przejdziesz przez bramki bezpieczeństwa. Każdą kartkę podrzyj na

drobne kawałeczki, wrzucić je do różnych sedesów i spuścić wodę.

Zjazd na lotnisko w Arlandzie. Wilson skręcił w prawo, a pokonując ostatni odcinek, znacznie przekroczył dozwoloną prędkość.

– Za wszystko płacić własną gotówką. Potem rozliczymy się z konta z pieniędzmi dla informatorów.

Grens zaczął wyjmować z kieszeni marynarki różne przedmioty: odznakę policyjną, legitymację służbową i służbowy telefon. Wszystko włożył do schowka w samochodzie.

– Jedziesz tam jako turysta, więc z samolotu też wyjdiesz jako turysta. Tak jak mówiłem wcześniej, nie masz żadnych pełnomocnictw ani żadnej ochrony. Bez względu na okoliczności nikt w naszej komendzie nie wystąpi w twojej obronie.

Terminal piąty. Byli na miejscu. Grens wysiadł z samochodu i zabrał walizkę. Wilson opuścił boczną szybę i podał mu kopertę.

– W środku jest pięć biletów na lot z Bogoty do Szwecji. Wszystkie z otwartą datą.

Grens spojrzał na Wilsona, potem na kopertę, a następnie rozerwał ją i wyjął z niej bilety. Na pierwszym znalazł swoje imię i nazwisko. Na drugim imię i nazwisko Karl Haraldsson. Na pozostałych trzech biletach było to samo nazwisko i trzy różne imiona: Maria, Sebastian i William.

– To ich nowe nazwisko? Tak się teraz nazywają?

Grens był pod wrażeniem i to bardziej, niż gotów był przyznać. Wilson rzeczywiście o wszystkim pomyślał, od samego początku niczego nie zaniedbał. Zadbano o to, aby jego informatorowi nie stała się krzywda. Zabrakło mu tylko jednej rzeczy: wyobraźni.

PKH – Piet Koslow Hoffmann – Peter Karl Haraldsson.

– Postaraj się, żeby wszyscy tu wrócili: Piet, Zofia, Emil, Rasmus. Cała rodzina. Żywi i zdrowi.

EKRAN MONITORA PRZYGASŁ, ALE Sabrinsky nadal siedział nieruchomo w swoim ciasnym pokoju. Powinien być szczęśliwy, tryskać radością, śmiać się na cały głos, bo przecież o to mu zawsze chodziło – o gwałtowny przypływ adrenaliny. Tymczasem niczego takiego nie czuł. Jediną rzeczą, jakiej doświadczał, była pustka. Może dlatego, że właśnie jej powinien doświadczać? Nie było żadnego resetu. Odłożył na bok komputerowe gierki i nagle znalazł się w realnym świecie. Obserwował ludzi, którzy chodzili i oddychali, a chwilę potem zdalnie sterowany pocisk rozerwał ich na strzępy.

Do eksplozji pozostało dziesięć sekund. Sabrinsky czekał, aż człowiek stojący za jego plecami wyda mu komendę „Odpal!” Z dziesięciu sekund zrobiło się pięć, potem trzy, a na końcu jedna. Obraz na ekranie stał się jeszcze ostrzejszy, bardziej wyrazisty i dokładny. W końcu dron spuścił śmiertelny ładunek i nastąpił wybuch.

– Sabrinsky?

Oficer ogniowy. Na chwilę wyszedł z pokoju, bo kiedy już nastąpił *impact*, musiał przejść do pomieszczenia, w którym mieściła się centrala wywiadu.

– Tak, proszę pana?

– Proszę pana? Co ci przed chwilą mówiłem? Jaka zasada obowiązuje w tym pokoju?

– Pamiętam.

– To dobrze. Tutaj nie mówimy proszę pana.

Oficer ogniowy położył na ramieniu Sabrinsky'ego swoją ciężką, ciepłą dłoń.

– Chcę, żebyś na coś popatrzył. – Rozłożył na wąskim blacie, między klawiaturą a dżojstikiem, trzy fotografie. – Zrobiono je dwie minuty temu. Dostaliśmy je od naszych wywiadowców.

Pierwsze zdjęcie było czarno-białe i zrobiono je z góry po skosie. Przedstawiało dom, a właściwie to, co jeszcze przed

chwilą nim było. Z budynku pozostały jedynie betonowe fundamenty, a na nich płonące ruiny.

– Trafiłeś w cel.

Następne zdjęcie miało szerszą perspektywę. Na ziemi, w pewnej odległości od ruin, leżeli ludzie. Nie ruszali się.

– Zlikwidowałeś terrorystów.

Sabrinsky przesunął palcem po gładkiej powierzchni fotografii. Zauważył coś, co przypominało plac zabaw dla dzieci. Dwie huśtawki, które zataczały łuki, aż zatrzymały się na górze. Najpierw doszło do eksplozji, potem powstała fala uderzeniowa.

Na trzecim zdjęciu jeszcze łatwiej było określić, co przedstawia. Sabrinsky był pewien, że widzi leżącą na ziemi kobietę i dwójkę dzieci. Za to nigdzie nie mógł dostrzec obiektu. W końcu zrozumiał dlaczego. Obiekt, którego szukał, musiał znajdować się w budynku, który już nie istniał.

W DRODZE POWROTNEJ DO SZTOKHOLMU Wilson utknął na wysokości Arlandy przy wjeździe na autostradę A4. Jak okiem sięgnąć, samochód za samochodem. Korek? Tutaj? Na kilometr ciągnęła się otwarta przestrzeń i setki unieruchomionych pojazdów. Czuł, jak powoli ogarnia go złość, rozlewa się na żołądek i piersi, przechodzi przez gardło. Wiedział, że nie powinien się denerwować. Zdążył dowieźć Grensa na lotnisko, komisarz kieruje się w tej chwili do gate'u. Na tym jego rola się skończyła, więcej nie może mu pomóc. Poziom adrenaliny wzrósł w chwili, gdy usłyszał tamtą wiadomość w telewizji, a potem w drodze do ambasady amerykańskiej. Wydawało mu się, że nie zdoła nad sobą zapanować. Mimo to nie chciał się tego uczucia pozbyć. Było mu doskonale znane, bo przez długi czas żył i działał w takim stanie. Stanowiło ono całkowite przeciwieństwo spotkań, rozmów i posiedzeń w salkach konferencyjnych, czyli tego, czym zajmuje się teraz. To dobrze, niech ten stan trwa jak najdłużej. Wiedział, że wieczorem i nocą jego serce będzie bić przyspieszonym rytmem, a on obleje się potem. Potem najdą go koszmary, w których ktoś go ściga, a on ucieka. Dawniej, gdy taki stan był codziennością, leczył się alkoholem. Dziś wieczorem nie może sobie na to pozwolić, bo przestał go zachwycać efekt, jaki osiągał. Stawał się kłótniwy, a nawet agresywny. Adrenalina ogarniała stopniowo całe jego ciało, na chwilę ustępowała, a następnego dnia wracała ze wzmożoną siłą. Wraz z nią pojawiały się niepokój, apatia i strach. Wiedział, że akurat tych uczuć nie chce doświadczyć ponownie. Wyjął telefon i wybrał numer.

– Oficer dyżurny, słucham.

Wilson zbliżył telefon do ust.

– Mówi Erik Wilson, wydział śledczy. Stoję w korku w drodze z Arlandy do centrum. Możesz sprawdzić dlaczego?

– Chwileczkę.

W telefonie zapadła cisza. Słysząc było dźwięk naciskanych klawiszy.

– Zator na drodze spowodowany przez ciężarówkę, na wysokości Bredden. Pojazd leży na drodze unieruchomiony po kolizji.

– Jak to leży?

– W poprzek drogi, na wszystkich pasach.

– Ile to jeszcze potrwa?

W telefonie ponownie zapadła cisza i znowu słysząc było tylko dźwięk naciskanych klawiszy.

– Sprawdzę i oddzwonię.

Wilson westchnął. Czekał na odpowiedź z telefonem w ręce.

Gdyby przyjechał służbowym wozem, mógłby włączyć koguta i syrenę i ominąć korek awaryjnym pasem.

Herbata, którą kupił, wyjeżdżając z Arlandy, zdążyła już wystygnąć. Nawet kubek był zimny. Wyjął go z uchwytu i wypił resztę napoju. W niczym mu to nie pomogło. Nadal czuł pulsowanie w uszach.

W korku stały tysiące ludzi. Nie wiedzą, kiedy pojedą dalej. Jeden człowiek podjął błędną decyzję, która spowoduje zmiany w życiu wielu innych osób. Nie tylko dziś wieczorem, ale także jutro. Jedni spóźnią się na spotkania, inni tracą szanse i nadzieje na jakąś zmianę.

Wilson przeciągnął się i znowu spojrzął przez okno, ale i tym razem nic nowego nie zobaczył. W kubku zostało kilka kropel herbaty, w schowku znalazł tabletki na ból gardła.

Nagle zadzwonił telefon. Może to dyżurny w sprawie zatoru na drodze? Szybko mu poszło.

– Słucham.

Zakłócenia atmosferyczne, elektroniczne trzaski. Nikt się nie odezwał.

– Słucham... mówi Wilson.

Znowu zakłócenia i trzaski. Tym razem usłyszał jeszcze coś: ludzki oddech.

– Słucham...

– Jesteś sam?

Wilson poczuł się tak, jakby ktoś smagnął go batem po głowie. Poczuł też ulgę tak ogromną jak nigdy dotąd.

– Tak. Jestem sam.

Od lat nikt do niego nie dzwonił z tego numeru. Tak uzgodnili. Zbyt duże ryzyko, bo każda rozmowa pozostawia ślad. Teraz jednak, po opublikowaniu listy śmierci, taki telefon może uratować życie.

– Erik... potrzebuję twojej pomocy...

Uzgodnili tylko jeden punkt kontaktowy. Za chwilę przekaże Hoffmannowi, żeby tam poszedł.

– ...sytuacja się zmieniła.

– Wiem.

– Od czterech godzin próbuję się skontaktować z Masterson albo z Mendez, ale żadna z nich nie odbiera. Nie działa żaden z numerów, na które miałem dzwonić w razie zagrożenia. Ostatni telefon miałem trzydzieści sześć godzin temu. Nie mogę się do nikogo dodzwonić.

– O wszystkim wiem i...

Kolejny ostry trzask i w telefonie zapadła cisza. Połączenie zostało przerwane.

Wilson siedział w samochodzie, który stał w korku, w dłoni ścisnął milczący telefon.

Do tego momentu nie miał pojęcia, czy Hoffmann wiedział o swoim nowym położeniu i czy zdążył się zorientować, że Amerykanie opublikowali listę, na której znalazł się także on, i że tym samym został skazany na śmierć.

Teraz już wiedział, że Hoffmann wiedział. Jego najlepszy informator musi zrobić wszystko, żeby przeżyć. Wilson poczuł, jak ogarnia go wielka ulga. Telefon wciąż trzymał w ręce, więc od razu poczuł wibrowanie. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Przerwało nam. Ja...

– Już się zaczęło, Erik. Przed chwilą odstrzelili pierwszego z listy. Komendanta Bloque Amazonas. Zabili całą jego rodzinę.

– Król Kier.

- Co?
- Tak się nazywa na tej liście.
- Nazywał...

Strach. Tylko on potrafi go wyczuć w głosie Hoffmanna. Teraz czuł go jeszcze wyraźniej. A przecież Hoffmann nigdy się nie bał.

– Jesteś w niebezpieczeństwie, Piet, ale sytuacja nie jest jeszcze beznadziejna. To działa trochę inaczej. To nie jest... hm... regularna wojna, tylko walka z ugrupowaniem, które uznano za organizację terrorystyczną. Takich jak oni likwiduje się bardzo powoli, systematycznie. Po jednym celu naraz. Pamiętasz operację w Iraku? To była cała talia, pięćdziesiąt dwie karty. Od tamtej pory upłynęło ponad dziesięć lat. Tak tam działali, metodycznie, karta po karcie. Akcja likwidowania tych osób wciąż trwa.

– Użyli drona. Co będzie następnym razem? Wystrzelą raketę? Podłożą bombę? Zatrudnią strzelca wyborowego? Sam się ochronię, dobrze o tym wiesz, ale nie jestem w stanie chronić Zofii, Rasmusa i Emila i jednocześnie działać w partyzantce i chronić Sancheza.

– Nie masz innego wyjścia.

– Tu nie chodzi wyłącznie o moje bezpieczeństwo!

– Jeśli nagle znikniesz, od razu się domyślą. Jeśli nie teraz, to później. Wtedy to oni wykończą ciebie, Zofię i dzieci.

W telefonie znowu zapadła cisza przerywana głośnym oddechem. Wilson czekał, próbował zgadnąć, skąd Hoffmann dzwoni, jak wygląda, jakie w tej chwili realizuje zadanie.

– Erik?

– Tak?

– Co mam robić? Ja na liście śmierci? To jakiś pieprzony żart. Ty wiesz, Sue wie, jej przełożeni wiedzą... to musi być jakiś...

– Za dwa dni bądź na jedyńce. O tej samej godzinie co zawsze.

– Na jedyńce? Czy to znaczy, że zamierzasz się ze mną spotkać?

– O tej samej godzinie co zawsze, Piet.

Na autostradzie zaczął się w końcu jakiś ruch. Przez samochody przebiła się laweta z podnośnikiem, który uchwycił ciężarówkę i zaczął ją metr po metrze zsuwać na pobocze. Wyglądała jak drapieżnik, który wlecze ranną zdobycz. Wkrótce potem kilku umundurowanych policjantów z drogówki zaczęło rozładowywać korek, puszczając samochody lewym pasem.

Wilson przestał cokolwiek czuć. Stres, zdenerwowanie, niepokój – wszystko to spłynęło z niego w jednej chwili, jakby wyczerpał swoje zapasy.

Pieprzony korek i dziwny spokój.

Już wie, że Hoffmann żyje.

Grens siedzi w samolocie do Kolumbii.

Obu im ufa, zwłaszcza ich doświadczeniu i kwalifikacjom.

Na ten moment zrobił to, co mógł.

Więcej nie jest w stanie im pomóc.

CZĘŚĆ TRZECIA

TEN SAM BOKS W SALI RESTAURACYJNEJ i to samo miejsce, co zawsze – stół właściciela. La Casa Heaven otworzyła swoje podwoje o dziesiątej przed południem. Poprzedniego wieczoru gości było mniej, niż Johnny się spodziewał. Obsługiwało ich dziewięćdziesiąt dziewięć hostess – tak właśnie określał ich stanowisko w świadectwie pracy – które sprzedawały razem tysiąc trzysta sześćdziesiąt cztery drinki, po dwa obowiązkowe dla każdego gościa, który później siedział na jedno z trzech pięter hotelu i spędzał trochę czasu w pokoju z podwójnym łóżkiem i czerwoną aksamitną narzutą. Teraz, przed południem, do pracy na pierwszą zmianę przyszło zaledwie kilkanaście dziewczyn. O tej porze więcej ich zazwyczaj nie potrzeba. Każda z nich ubrana była zgodnie z zasadami jedynie w czarne szpilki i jasną koronkową bieliznę. Jedna z nich przyniosła mu kawę. Uśmiechnęła się, a Hoffmann odwzajemnił uśmiech, bo tak jak ona uczestniczył w grze. Oboje mieli się zachowywać jak trzeba, żeby nie narazić się swemu pracodawcy. Musieli go też znosić, bo nie mieli innego wyboru. Hoffmann spojrzał jej w oczy i zauważył, że dziewczyna tylko udaje radość. Miała najwyżej dwadzieścia lat, może mniej. Wieczorem, gdy zmywała makijaż, a z jej twarzy zniknął służbowy uśmiech, była już tylko małą dziewczynką.

Nagle w sali rozległ się głośny, perlisty śmiech. Potem usłyszeli tupot i ich oczom ukazała się Alejandrina, córka Johnny'ego. Rozłożyła ręce i biegła do stolika, przy którym siedział jej tata. Johnny był uszczęśliwiony jej widokiem.

– Tato, tato!

– Słucham?

– Wiesz, czego chcę najbardziej na świecie?

– Nie, kochanie, skąd mam wiedzieć? Powiedziałaś: najbardziej na świecie?

Johnny podniósł ją z podłogi i jak zwykle pogłaskał grzbietem dłoni po obu policzkach. Potem podniósł ją

jeszcze wyżej i trzymał uniesioną w górze. Zerknął na Hoffmanna, jakby chciał mu się pochwalić, że ma taką wspaniałą córkę. Ten skinął głową, jakby na potwierdzenie.

– Tak, tato... chciałabym się wykąpać.

– Wykąpać?

– Tak. W twoim basenie.

Johnny uśmiechnął się i znowu pogłaskał ją grzbietem dłoni po policzku.

– Córeczko, jestem teraz zajęty. Pracujemy z wujkiem Peterem.

– Ale ja chcę się kąpać... kąpać... kąpać... teraz!

– Teraz?

– Teraz, tato.

W lokalu zjawili się pierwsi klienci, którzy zajęli miejsca przy stolikach. Zamówili mocne drinki we wciąż pustej restauracji. Jeden z nich wychylił dwie szklaneczki, inny odstawił swoje na bok i nawet ich nie tknął, tylko od razu chwycił za rękę kelnerkę – tę samą, która przed chwilą podała Hoffmannowi kawę.

– Tatusiu... proszę...

Johnny roześmiał się i rozłożył ręce w takim geście, jakby się poddał.

– Wiesz co, kochanie?

– Co, tatusiu?

– Pójdziemy na dach i razem sobie popływamy.

Johnny ruszył w stronę schodów z dziewczynką na rękach. Hoffmann poszedł za nimi. Po drodze natknął się na parkę, która szła pod rękę. Dziewczyna miała dwadzieścia kilka lat, towarzyszył jej klient spragniony wczesnych emocji.

– Johnny?

W drodze na górę spotkali kobietę, która schodziła na dół. Nazywała się Zaneta i była żoną Johnny'ego. Miała taki sam uśmiech jak Alejandrina, jej oczy i usta. Była piękna i miła. Hoffmann rzadko ją widywał, ale od razu ją polubił. Johnny objął ją, pocałował i wskazał na córkę.

– Ktoś tu postanowił, że pójdziemy się wykąpać.

– Ale przecież chciałeś, żebym...

– Mamo... tata mi obiecał!

Pięciolatka udawała oburzenie. Dziewczynka wpatrywała się w tatę, którym dało się sterować, i w mamę, która podjęła nieodwołalną decyzję.

– Basen wam nie ucieknie, prawda, moje księżniczki?

Johnny wziął dziewczynę na barana i ruszyli przez cztery pietra. Ostatnie drzwi prowadzące na dach otworzył kartą. Dziewczynka tak szybko się rozebrała, że gdy rozległ się głośny plusk wody, Zaneta nie zdążyła zareagować.

– Tato!

Alejandrina podskakiwała w wodzie, która pachniała chlorem.

– Tato! Pospiesz się!

Johnny ubrany był w czarny garnitur w białą kratkę, czarną koszulę i czarne buty. Szybko się rozebrał i po chwili został w czarnych skarpetkach, o których, chcąc spełnić życzenie córki, całkiem zapomniał. Podszedł na brzeg basenu i wycelował rękami w podskakującą w wodzie dziewczynkę, która wprost nie mogła się go doczekać.

– Zrobimy bombę?

– Tak... bombę... chcę bombę! Wielką bombę!

W następnej chwili Johnny wskoczył do wody. W locie przyciągnął kolana do piersi, objął rękami łydki i zacisnął na nich dłonie. Gdy wpadł do wody, wzbudził wielką jak tsunami falę, która ochlapała Zanetę i Hoffmanna. Johnny znalazł się pod wodą, ale po chwili wypłynął na powierzchnię. Hoffmann poczuł, że ma przemoczone spodnie, a włosy Zanety już nie były idealnie ułożone.

Hoffmann usiadł na stojącym pod parasolem leżaku, który był tak samo mokry jak jego spodnie. Zaneta usiadła obok i obserwowała, co będzie dalej.

Johnny. El Mestizo.

Do partyzantki wstąpił w dniu, w którym skończył dwanaście lat. Pięć lat później dowództwo wysłało go za granicę, żeby się doksztacił. Miał się stać żołnierzem doskonałym. I taki się stał, a gdy wrócił do kraju, szybko

awansował, aż znalazł się na szczycie i został jednym z dwóch najbliższych współpracowników Julio Vargasa: El Loco zajmował się finansami, a on, El Mestizo, pełnił funkcję cyngla i zabijał ludzi. Kiedy władze aresztowały Vargasa i deportowały go do Stanów Zjednoczonych, pozostawił po sobie ogromną niezagospodarowaną strefę władzy. Doszło do gwałtownej i krwawej wojny, która w ciągu dwóch miesięcy pochłonęła życie sześciuset ludzi. Grupa El Mestizo zabiła czterystu ludzi El Loco, tracąc przy tym dwustu swoich. W końcowej fazie wojny interweniowała policja. El Loco trafił za kraty, a El Mestizo uniknął kary, bo wcześniej przekupił dwóch ludzi z kancelarii prezydenta.

Johnny podpłynął do krawędzi basenu i zręcznie się podciągnął. Woda spływała strumieniami z jego potężnego ciała. Kiedy szedł w mokrych skarpetkach po kamiennej posadzce, towarzyszył temu dziwny dźwięk.

– Tato, wracaj!

Usiadł na leżaku między Hoffmannem a Zanetą i pomachał córce.

– Tatuś musi wrócić do pracy.

– Ja chcę bombę... bombę... bombę!

– Mama z tobą zostanie, będziesz mogła kąpać się z nią.

Johnny pochylił się, zdjął skarpetki i je wyżył.

– Kochanie... jesteś tutaj?

W drzwiach stanęła Yolanda – druga partnerka życiowa El Mestizo, która mieszkała w drugiej hacjendzie, w zachodniej części Cali. Hoffmann nigdy nie widział obu kobiet w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Yolanda nie miała jeszcze trzydziestu lat, poruszała się energicznie, jakby chciała pokazać, że wie, dokąd zmierza – prosto do Johnny’ego. Objęła go i przytuliła się do niego. Chwilę później ona też była cała mokra. Oboje roześmiali się głośno. Yolanda podeszła do Zanety i pocałowała ją w policzek.

– Z każdym dniem jesteś coraz ładniejsza – powiedziała. – Johnny to prawdziwy szczęściarz, że cię ma.

Zaneta, trochę starsza od Yolandy, odwzajemniła jej pocałunek.

– A ja uważam, że Johnny jest szczęściarzem, bo ma ciebie.

Ceremonia powitalna dobiegła końca. Hoffmann uśmiechnął się. Takie rzeczy zdarzały się tylko tutaj. Cyngiel i właściciel burdelu kąpie się w skarpetkach z córką, a potem siedzi przy basenie z żoną i kochanką.

Johnny pocałował obie kobiety i stanął nad brzegiem basenu, żeby pomachać Alejandrinie. Dziewczynka podплыnęła do niego, wykonując niezręczne ruchy początkującego pływaka. Pochylił się, chwycił ją za ręce i pocałował w oba policzki i czubek nosa.

– Tatuś wróci do domu wieczorem.

– Tatusiu... zrobmy jeszcze jedną bombę! Proszę!

– Jutro! A teraz będzie inna bomba!

Chwycił dziewczynkę za ręce i tak mocno ją rozhuśtał, że zaczęła głośno krzyczeć, ale nie ze strachu, lecz z zachwytu. Po chwili wrzucił ją do basenu. Rozległo się głośne plaśnięcie i w górę trysnęła niewielka fontanna. Johnny poczekał, aż Alejandrina wypłynie na powierzchnię, pomachał jej na pożegnanie i wysłał symbolicznego całusa. Dziewczynka zrobiła to samo.

Samochód stał przed wejściem do budynku. El Mestizo kazał zamocować tam słupek, żeby zaznaczyć, że to jego prywatne miejsce parkingowe. Zawsze prowadził sam, jakby nie chciał stracić kontroli nad sytuacją. Dziesięć kilometrów za miastem przedstawił Hoffmannowi ogólny plan działania.

– Najpierw spotkamy się z Libardo Toyasem, żeby mu przypomnieć. Potem odwiedzimy faceta, który siedzi w klatce, żeby skłonić go do mówienia.

El Mestizo miał zadowoloną minę. Prawie taką samą jak przed chwilą na basenie. Widać było, że tylko czeka na pytania Hoffmanna. Taki miał zwyczaj. Nigdy nie mówił o wszystkim od razu, jeśli nie było to konieczne.

– W klatce?

– Tak jest, Peter boy.

– Chcesz zmusić faceta, który siedzi w klatce, żeby zaczął mówić?

– Tak. Tym razem zrobię z nim wszystko, co tylko będę chciał. Nie mogę go tylko zabić.

Hoffmann nie mógł usiedzieć na miejscu. Ogarnął go ten sam rodzaj niepokoju co zawsze, gdy nie był pewny, czy się właściwie przygotował i czy zdąży wyprzedzić ruchy przeciwników.

Klatka. Zakładnik. Nieraz już to przerabiali. Jednak tym razem El Mestizo wyglądał na zadowolonego, a nawet dumnego. Pewnie się szykował na bardziej wyrafinowane tortury.

– Chodzi o niego?

W normalnych okolicznościach El Mestizo opowiedziałby mu o szczegółach wyjazdu z krótkim wyprzedzeniem. Potem kazałby mu się zamknąć i czekać. Jednak tym razem chciał się pochwalić, więc po długim milczeniu, które utrzymywało się przez kilometr jazdy, skinął lekko głową.

– Tak... o niego.

Hoffmann pomyślał, że ludzkie życie bywa czasem naprawdę dziwne. Już wkrótce ujrzą człowieka, przez którego trafił na listę śmierci. Od niedawna mówi o nim cały świat. Wkrótce się z nim spotkają, żeby przekonać go do mówienia.

Doszedł do wniosku, że nie może dłużej czekać.

Od kiedy ujrzał swój pseudonim na liście śmierci, serce biło mu jak młotem. Stracił kontakt z Sue i Lucią, w ataku drona zginęła cała rodzina. Postanowił poczekać, aż będą sami i wszystko inne zostawią daleko za sobą: basen na dachu, córkę, kobiety i kochanki. Dopiero teraz dostrzegł absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazł – wszystko, co ostatnio robił, wykonywał na zlecenie rządu Stanów Zjednoczonych, który go teraz poszukiwał.

Nagle El Mestizo gwałtownie zahamował. Nie zaklął jednak i nie opuścił bocznej szyby, nie rzucił wiązanki w kierunku starszego mężczyzny, który próbował przejść

z psem przez ulicę. Najwyraźniej był w dobrym humorze. Niedawno bawił się z Alejandriną, a potem całował żonę i kochankę, ale tym razem było to coś więcej. Wyglądał jak ktoś, kto nie chce przyjąć do wiadomości, że jego sąsiad w okolicy kupił jeszcze większy dom.

– Chodzi o atak drona?

– Peter boy, porozmawiajmy o czymś innym. Nie zamierzam brać udziału w gierkach Amerykanów.

– Ale już bierzesz, tak jak i nasze rodziny. Tylko że to nie jest gra, a my nie mamy wyjścia. Tak samo jak człowiek, którego zdehumanizowali, nazywając go Królem Kier: on też nie miał wyboru. Zrobili z niego pieprzoną kartę do gry, żeby odebrać życie jemu i jego rodzinie. Ich syn miał chyba na imię Joaquín, prawda?

Hoffmann zerknął na El Mestizo, który najwidoczniej postanowił przepuścić owce przez drogę, bo zdjął ręce z kierownicy i przez długi czas stali w miejscu. Zsunął skórzane rękawiczki, które trzymał w samochodzie, i przeciągnął dłonią po włosach i twardym zarostie.

– Lubieś go, Johnny, prawda?

Hoffmann obserwował, jak El Mestizo pociąga zdenerwowanym ruchem za swój długi warkocz i poprawia różową gumkę przetykaną srebrnymi nićmi. Widać było, że przeżywa to, co się zdarzyło. Czuje złość i niepokój. To dobrze. Powinien się niepokoić, zamiast oddawać się intelektualnym rozważaniom, bo przecież właśnie tak radzi sobie z uczuciami, których chce uniknąć. Jeśli będzie się obawiał o siebie i rodzinę, zadziała znacznie szybciej.

Starszy zgarbiony mężczyzna poruszający się powłóczystym krokiem przegnał na drugą stronę ulicy ostatnią owcę, więc El Mestizo znowu położył dłonie na kierownicy, wrzucił jedynkę i ruszył.

– Masz rację, powinniśmy zachować czujność, ale to, co się stało, niczego nie zmienia, Peter boy. Zawsze zachowujemy czujność. Ciągłe coś nam zagraża, różni ludzie próbują coś uszczknąć z naszego tortu. Ale popełnili błąd: znaleźli się tutaj, w mojej dżungli! Moi przyjaciele zginęli, bo

nie byli przygotowani, ale ja już wiem i przygotowałem się! Nikt mnie skrycie nie podejdzie, nie przeszkodzi mi w codziennej pracy. Zachowamy ostrożność, ale nie będziemy się ukrywać.

Cartago. Hoffmann bardzo lubił to miasto położone przy drodze z Cali do Medellín. W wolnych chwilach jeździł tam z Zofią i chłopcami. Robili zakupy na zatłoczonym targowisku, jedli w restauracji, zatrzymywali się przy pomalowanej na biało katedrze, a potem z Rasmussem i Emilem na rękach wchodzili schodami na wieżę, aby z jej szczytu udawać, że widzą na horyzoncie, po drugiej stronie Atlantyku, swój rodzinny kraj – Szwecję.

Libardo Toyas mieszkał w hacjendzie dziesięć kilometrów na wschód od miasta. Był jednym z najbogatszych baronów narkotykowych i słynął z dużych dostaw do Stanów. Nazywano go El Diablo. Tym razem wizyta w jego posiadłości nie dotyczyła jednak sprzedaży, przemytu, kupna ani decydowania, kogo i dlaczego trzeba znów przekupić. El Diablo odmówił zapłaty za partię trzech ton kokainy, a jego dług rósł wraz z odsetkami. Kiedy zwolnili i podjechali pod mur, El Mestizo poinformował Hoffmanna, że dowództwo PRC bardzo wyraźnie określiło cel i charakter ich wizyty. Toyas miał dostać jeszcze jedno ostrzeżenie – ostatnie.

Żelazna brama zrobiona była z gęsto osadzonych prętów z końcówkami w kształcie grotu strzały. Strażnik, który wychylił się z budki, miał na głowie czapkę z daszkiem w tym samym, czerwonym, kolorze, co pozostałe elementy umundurowania. Zerknął na El Mestizo i skinął głową na znak, że go rozpoznał, po czym skrzydła bramy powoli się rozchyliły. Hacjenda przypominała dzieło sztuki. Białe kolumny, tryskające fontanny, lśniące złotem baseny, parskające konie i wspaniałe rzędy palm, a do tego barwne kwiaty w wypełnionych ziemią donicach na marmurowych posadzkach, oddzielające jedną strefę od drugiej. Kamienne schody w kształcie wachlarza i kolejne kolumny – czarne, skrzące się w blasku słońca, połączone poręczą z okrągłymi

gałkami z kości słoniowej. Właśnie tymi schodami weszli do głównego budynku.

Toyas otworzył im osobiście, jeszcze zanim dotarli do drzwi. Przyjął ich sam, bo w przeciwieństwie do innych baronów narkotykowych nie towarzyszyła mu gromada ochroniarzy. Toyas był bowiem przekonany, że jest nietykalny. Chciał w ten sposób pokazać, że El Mestizo jest dla niego jedynie wykonawcą cudzych rozkazów, nuworyszem, który nie ma *cojones*, żeby podnieść rękę na prawdziwego bossa narkotykowego. Hoffmann przywitał się z człowiekiem, który za każdym razem, gdy go widział, coraz bardziej przypominał mu bohatera dawnych westernów, wznawianych co jakiś czas przez szwedzką telewizję: miał ciemne, równo przystrzyżone włosy, drobne zmarszczki na policzkach, lekko zakrzywiony nos, śnieżnobiałe zęby, zmarszczki wokół oczu, a nawet zamszową marynarkę ozdobioną długimi frędzlami, podobną do tej, którą nosił Manolito z serialu *The High Chaparral*. Tak się chyba nazywał.

– Już ci mówiłem: nie mam pieniędzy.

– Wiesz nam za jedną tonę. Tysiąc kilo.

– Nie mam kasy, bo gliny zajęły mi cały towar, kiedy łódź wpłynęła do portu w Miami. O wszystkim wiedzieli. Od razu zajrzeli do pojemnika pod kadłubem. Ktoś sypanął. W takiej sytuacji, przyjacielu, nie płacę.

Hoffmann już podczas pierwszej wizyty u Toyasa zorientował się, o co chodzi. Pojechali z El Mestizo, żeby udzielić mu pierwszego ostrzeżenia. Najciekawsze, że to właśnie on, Hoffmann, przymocował skonfiskowany pojemnik z towarem, o którym Toyas i El Mestizo teraz rozmawiali. Właśnie za ten towar El Mestizo chciał odzyskać pieniądze od Toyasa. Teraz, gdy stali na werandzie, o wszystkim sobie przypomniał. Celnicy i policjanci udawali, że niczego nie widzą, bo byli zajęci liczeniem pieniędzy, które dostali w ramach łapówki. W tym czasie on przymocował sznurem pojemnik załadowany toną owiniętej w folię kokainy do dna okrętu, który stał zacumowany

w porcie Puerto de La Guairas. Godzinę później załoga miała wciągnąć kotwicę i w ciągu dwóch dób pokonać Morze Karaibskie, wpłynąć na Zatokę Meksykańską, opłynąć od południa Florydę i zacumować w Miami.

– Przecież masz mnóstwo forsy, o wiele więcej, niż nam wisisz.

– To prawda, ale nie mam waszych pieniędzy.

Tak działa każda umowa związana z przemytem narkotyków: sprzedający odpowiada za towar do momentu, aż znajdzie się on na lotnisku, w porcie albo na łodzi podwodnej. Kupujący odpowiada za to, co z ładunkiem dzieje się później. Ten towar Hoffmann ochraniał wraz z grupą dziesięciu dowodzonych przez niego ludzi podczas transportu przez Kolumbię i Wenezuelę. Jednak od momentu, gdy pojemnik został przywiązany do kadłuba okrętu, ich odpowiedzialność się skończyła, a on znowu stał się wtyką. Wrócił do Bogoty, dwanaście godzin później spotkał się z Lucią i przekazał jej informacje związane z transportem: nazwę statku, przebieg trasy i sposób oraz miejsce ukrycia towaru. DEA miała wystarczająco dużo czasu, żeby się przygotować. Agenci wkroczyli na pokład w chwili, gdy załoga rzuciła trap na nabrzeże.

– Dlatego, przyjacielu, i tym razem nic wam nie zapłacę.

Toyas stał przed nimi w aroganckiej pozie i szyderczo się do nich uśmiechał. Był tak pewny siebie, że postanowił nie płacić. Uznał, że gdyby to zrobił, osłabiłoby to jego prestiż i pozycję, a tym samym władzę.

– Nie zapłacę za coś, co zostało skonfiskowane, bo wy nie umieliście dopilnować, żeby wasi ludzie trzymali język za zębami.

– To była tona towaru. W Kolumbii płacą po trzy tysiące dolarów za kilogram. Zgadza się? Ty kupiłeś dużo, bo zawsze dużo kupujesz, i dlatego dostałeś od nas dobrą cenę. Dwa tysiące pięćset za kilogram za pierwsze pół tony, dwa tysiące trzysta za kilogram za drugie pół tony. Więc nie rób sobie z nas jaj! Dostałeś, co zamówiłeś. To, co dzieje się

z ładunkiem później, nic nas nie obchodzi. To twój problem i twoje ryzyko. To nasze ostatnie ostrzeżenie.

El Mestizo wykonał zamaszysty ruch ręką obejmujący dom Toyasa, jego całą posiadłość i to, co znajdowało się za murami ogrodu.

– W interesie jesteś od dawna, masz wypasioną hacjendę, stada koni po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy dolców za sztukę, w garażu stoją rzędy ferrari i rolls-royce'ów. Tak, tona towaru to kupa szmalu, ale tobie go nie brakuje!

– Ty chyba nie kapujesz? Powtarzam, że tych pieniędzy nie mam!

– Możesz wysłać proszek, dokąd tylko chcesz: do Stanów, do Chile, Argentyny, dokądkolwiek. To twoje zmartwienie. Możesz go nawet wysłać do Hiszpanii albo Gibraltaru. Gównu mnie to obchodzi. Daliśmy ci dobrą cenę, zgodziłeś się na warunki i dostałeś towar w Kolumbii. Możesz go potem wsadzić w cipę swojej matce albo sobie w dupsko. To twój problem, nie mój.

– Czego ty nie rozumiesz? Nie będę płacił za coś, za co sami jesteście odpowiedzialni. Macie dopilnować, żeby nikt nie chlapnął językiem o produkcji, dilerach, dostawcach. Koniec rozmowy.

Toyas odwrócił się od nich demonstracyjnie i chciał wejść z powrotem do swojej ogromnej willi, ale El Mestizo chwycił go za ramię. Był tak rozzłoszczony, że poczerwieniał na twarzy.

– Pojebało cię, stary. Zachowujesz się jak krety. Sam będziesz sobie winien.

Nagle El Mestizo głośno się zaśmiał.

– To miało być ostatnie ostrzeżenie, ale zmieniłem zdanie. Nie zamierzam wracać za tydzień, chcę dostać forszę teraz. Kładź ją na stół, bo jak nie, to wiesz, co cię czeka. Zacznę od najmłodszego, potem zabiję całą rodzinę. Nigdy nie robię tego w odwrotnej kolejności, znasz mnie. I nie przestanę, póki nie zapłacisz. Najpierw załatwię najmłodszą, potem starszą, potem twoją kobietę, matkę i brata, kuzynów i przyjaciół, aż oddasz kasę.

– Grozisz moim dzieciom?

– Wiesz, jak to działa.

Toyas uwolnił się z uchwytu.

– Robię interesy z partyzantką od siedmiu lat. Zawsze płaciłem. Ty głupi Metysie, jesteś u mnie, stoisz na mojej werandzie ze swoją europejską dziewczyną do towarzystwa i grozisz, że zabijesz moje dzieci? Za co? Bo z powodu wtyki, której nie umiecie znaleźć, straciłem cenny ładunek? Zapamiętaj jedno: następnym razem, jak któryś z was zechce mnie odwiedzić, chcę rozmawiać z mózgiem, a nie z dupą.

El Mestizo znów zarechotał, tym razem głośniej i ostrzej. Zabrzmiało to nieprzyjemnie.

– Tak. Twoje dzieci. Na początku zabiję twoją córkę. Jak ona ma na imię? Mirja? Bardzo ładne imię.

El Mestizo popchnął Toyasa na futrynę i wszedł do holu, który bardziej przypominał długą, wysoką i szeroką salę. Toyas nie zdążył zareagować. Dopiero gdy El Mestizo zawołał: „Mirja, Mirja!” i ruszył w głąb budynku, Toyas rzucił się na niego i krzyknął przenikliwym, wściekłym głosem: „Co ty, kurwa, wyprawiasz?!”. Dopiero teraz zrozumiał, co El Mestizo zamierzał zrobić. Hoffmann też się tego domyślił po jego głosie. Toyas krzyczał i groził: „Zostaw moją córkę w spokoju!”. Hoffmann nie miał wyjścia, musiał chronić swojego szefa. El Mestizo nadal wołał dziewczynkę, wypowiadając jej imię przerażająco spokojnym głosem. Nagle Toyas odwrócił się od nich, pobiegł do kuchni, stanął przy szafce, otworzył szufladę i wyjął z niej rewolwer. Odbezpieczył go i wymierzył w El Mestizo, który ciągle wołał: „Mirja, Mirja, gdzie jesteś?!”. Hoffmann wyciągnął z kabury rewolwer, wycelował w Toyasa i zawołał:

– Rzuć broń! Natychmiast.

Ten nie zareagował, więc Hoffmann przestrzelił mu bark. Potem podszedł do jęczącego barona narkotykowego, który opadł na kolano.

– Nie ruszaj się i zamknij gębę!

Toyas natychmiast się uspokoił.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie: jeszcze przed chwilą El Mestizo wołał „Mirja, Mirja!”, a Toyas wrzeszczał „Zostaw ją, kurwa, w spokoju!”. El Mestizo stał odwrócony do Hoffmanna plecami. Po wejściu do budynku ani razu się nie odwrócił. Był pewien, że jego ochroniarz jest tuż za nim i dobrze go strzeże.

W domu zapanowała cisza. Nagle usłyszeli dziecięcy głos. W ich stronę biegła przestraszona i zdyszana dziewczynka.

– Tatusiu!

Po tupocie nóg poznali, że jest coraz bliżej.

– Tatusiu, słyszałam jakiś hałas...

Nagle zatrzymała się w miejscu. Ciemne włosy miała związane w kucyk, ubrana była w białe sandały i sukienkę w zielone kwiatki. Próbowwała zrozumieć, co się stało. Najpierw ujrzała obcego, potężnego mężczyznę, który kucał i uśmiechał się do niej. Za nim, tuż przy wyjściu, klęczał na podłodze jej tata. Przed nim stał nieznajomy z wycelowanym w jej tatę pistoletem.

– Tato...?

– Mirja... a więc tak wyglądasz...

– Tatusiu!

Dziewczynka popatrzyła na wielkiego mężczyznę, który wypowiedział jej imię, a teraz rozłożył ręce, żeby nie mogła przejść.

– Mirja, mała Mirja... to nic groźnego.

Dziewczynka próbowała go obejść, żeby nie wpaść w jego długie jak macki ośmiornicy ramiona. Znalazła nawet miejsce, gdzie mogłaby się prześlizgnąć, ale mężczyzna był szybszy i zablokował jej drogę jak opuszczony szlaban na przejeździe kolejowym.

– Jestem wujek Johnny. Możesz do mnie przyjść. Nie zrobię ci krzywdy. Pobawimy się.

– Nie chcę się z tobą bawić! Chcę do taty!

Hoffmann czuł, jak ogarnia go dziwne mrowienie, od stóp po żołądek. El Mestizo nigdy się przy nim tak nie zachowywał. Jego ruchy i ton głosu były inne. Nagle, bez ostrzeżenia, rozłożył ręce, chwycił dziewczynkę, podniósł ją

z podłogi i wyprostował się. Potem postawił ją przed krzyczącym histerycznie Toyasem, ale wciąż nie zwalniał uchwytu. Dziewczynka przypominała posąg, który ktoś kupił do domu i próbował znaleźć dla niego odpowiednie miejsce.

– Ty gnoju, ty...

– Nie będzie już żadnych ostrzeżeń, Toyas. Ani ostatniego, ani żadnego innego. Pieniądze na stół. Natychmiast.

– ...ty bydlaku, zostaw moją córkę!

El Mestizo wyjął z kabury swój ulubiony rewolwer na kule .357 magnum i przyłożył lufę do czoła dziewczynki.

– A teraz, Mirja, pobawimy się. Ty i ja. Zamknij na chwilę oczy i pożartujemy sobie z taty.

– Nie chcę!

– To tylko zabawa. Zamknij oczy.

– Chcę do taty! – Dziewczynka próbowała się wyrwać z uścisku El Mestizo, szarpała się i drapała.

– Tym razem, Toyas, zastrzelę ją bez mrugnięcia okiem. A jeśli i wtedy nie zapłacisz, wezmę się za następną.

Hoffmann patrzył, słuchał i słyszał, ale nic z tego nie rozumiał. Coś się nie zgadzało. Za każdym razem było „ostatnie ostrzeżenie”. Ale dzisiaj? Chciał popatrzeć El Mestizo w oczy, lecz ten unikał jego wzroku.

– Johnny... co ty wyprawiasz?

El Mestizo nawet nie spojrzął na ochroniarza. Całą uwagę skupił na Toyasie i jego córce.

– Johnny, kurwa, co ty robisz? Przecież uzgodniliśmy... nigdy dzieci!

– My? Ja robię swoje, ty też zajmij się swoją robotą.

Potem wszystko rozegrało się szybko.

El Mestizo popchnął lekko dziewczynkę, żeby stanęła tuż przed swoim ojcem. Naciągnął kurek rewolweru i rozległo się podwójne kliknięcie. Bęben się obrócił i komora z pociskiem ustawiła się na przedłużeniu osi lufy. El Mestizo przesunął lufę – już nie dotykała czoła dziewczynki, tylko

panionowo przylegała do jej głowy. Końcówka lufy znikła w jej włosach. Broń była gotowa do strzału.

Toyas krzyczał w niekontrolowany sposób. Słowa, które z siebie wyrzucał, były przepełnione strachem i bezradnością. Nie dało się ich zrozumieć, ale kryła się w nich cała rozpacz udęconego rodzica.

– Czego wrzeszczysz, Toyas? Mirja, kochanie, czemu on tak krzyczy?

El Mestizo kopnął go w rękę, żeby skupił się na tym, co miało się zaraz wydarzyć.

– Twoja córka miała ładnie na imię.

Pociągnął za spust. Iglica uderzyła w spłonkę. Powinien się rozleć huk wystrzału, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Kurwa... widocznie zapomniałem załadować.

Opuścił rękę z rewolwerem, pocierając bronią o policzek dziewczynki. Otworzył bębenek i wcisnął eżektor – z bębena wysypało się na podłogę sześć naboju. Hoffmann i Toyas patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami. W bębenu znajdowało się pięć ostrych pocisków i jedna pusta łuska. To ona tkwiła w lufie, gdy El Mestizo mierzył w dziewczynkę. Łuska nie mogła wyrzucić jej krzywdy.

– Za tydzień wrócę po pieniądze. Mają na mnie czekać. Tym razem na pewno wcześniej sprawdzę, co mam w bębenu.

Wypuścił Mirję. Dziewczynka podbiegła do ojca i położyła się przy nim.

– Mirja, kochanie, wiesz, co ci powiem? – El Mestizo znowu mówił zmienionym głosem. – Kiedy tu wrócę za tydzień, a twój tata nie będzie miał dla mnie pieniędzy, ten rewolwer będzie załadowany jak trzeba, a wtedy... klik! I już cię nie będzie. Dziwne, prawda?

Pogłaskał dziewczynkę grzbietem dłoni po obu policzkach i ruszył w kierunku wyjścia.

Hoffmann stał nieruchomo i patrzył na Mirję, trochę młodszą od jego synów. Dziewczynka leżała skulona na podłodze obok swojego taty.

EL MESTIZO ZACISNAŁ NA KIEROWNICY dłonie w cienkich skórzanych rękawiczkach. Jechali o wiele za szybko drogą numer dwadzieścia pięć, ale byli spóźnieni i zwolnił dopiero za miejscowością La Estrella, gdy stanęli, żeby się wysikać wśród wypłowiałych od słońca kaktusów i nędznych krzewów mimozy. Jechali w milczeniu, jak to często bywało, ale tym razem milczenie było inne, tym razem nie było wiadomo, co się dalej wydarzy.

– Johnny, co to miało, do cholery, być?

Dla informatora takie milczenie mogło oznaczać koniec wszystkiego.

– Słucham?

– Nie zabijamy dzieci.

– Przecież jej nie zabiłem, Peter boy. Tylko pogroziłem, że to zrobię.

– Tego też nie robimy. Nie w ten sposób. To nie dzieci mamy straszyć.

Nigdy wcześniej tego nie robił. Nie wprost. Nie kwestionował metod El Mestizo. Czasem mu się sprzeciwiał, ale tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia, gdy sprzeciw był konieczny, aby uniknąć śmierci. Nie kwestionował metod pracodawcy, ponieważ nie na tym polegała jego rola.

– Przykro mi, Peter boy, ale tutaj tak działamy. Wykorzystujemy dzieci, żeby ubić interes. Widzę, że nadal musisz się sporo nauczyć.

– Ja tak nie działałam, więc wyjaśnij mi, co to, do diabła, miało być?

Hoffmann wiedział, że nigdy nie powinien go prowokować ani skupiać na sobie jego uwagi. Bo gdyby El Mestizo uważnie mu się przyjrzał, mógłby zobaczyć, kim naprawdę jest, a wtedy by go zabił. Czasem jednak, gdy ktoś przekraczał granicę, nie umiał nad sobą zapanować.

El Mestizo gwałtownie zahamował, blokując ruch na pasie. Samochody i minibus za nimi też musiały zahamować. Tylko tir za późno ich zauważył i w ostatniej

chwili zjechał na pas awaryjny. Połowa ciężko załadowanego pojazdu znalazła się poza asfaltem. El Mestizo popatrzył na Hoffmanna, nie zwracając w ogóle uwagi na stojące samochody. Kierowcy zaczęli na niego trąbić.

– Spaprałeś robotę, a na dodatek w obecności klienta zakwestionowałeś moje decyzje. Tym razem ci daruję. Na pytania, które mi zadałeś, odpowiedziałem. A ty stawiasz następne! Normalnie już bym cię zabił, ale uratowałeś mi życie, Peter boy, i to kilka razy. Zasłużyłeś, aby żyć. Więc teraz to ja ratuję twoje. – El Mestizo ruszył. Szybko zmieniał biegi, aż osiągnęli wcześniejszą prędkość. – I tylko dlatego jeszcze żyjesz.

Hoffmannowi przypomniawszy się scena w burdelu, gdy El Mestizo trzymał w uniesionych rękach swoją pięcioletnią córkę i głaskał ją po policzkach tak jak Mirję, córkę Toyasa.

– Alejandrina to świetna dziewczynka.

Na twarzy El Mestizo pojawił się uśmiech.

– Wiem.

– Poszcęściło ci się z nią. Też bym chciał taką mieć, gdybym nie miał moich chłopców.

– Jest dla mnie wszystkim.

Uśmiech nie zniknął z twarzy El Mestizo. Szybko przejechali przez niewielką miejscowość o nazwie Alcalá i znowu znaleźli się na szerokiej drodze.

– Bierzesz ją na ręce, bawisz się z nią... i jest szczęśliwa.

– Tak przecież trzeba.

– Nie rozumiem.

– Trzeba je brać na ręce, głaskać po policzkach.

– Aha, tak trzeba.

– Tak. Wiem, jak dbać o dzieci. I wiem, jak je wykorzystywać.

Hoffmann próbował zebrać myśli, chociaż bardziej próbował odgadnąć myśli swojego szefa. Wrodzone cechy, które El Mestizo co jakiś czas ujawniał, przerażały go czasem bardziej niż groźby śmierci wobec klientów. Hoffmann nie chciał się taki stać, nie chciał go naśladować,

bo tak jak El Mestizo postępują tylko ludzie pozbawieni uczuć. On jeszcze taki nie jest i dlatego ryzykował życie, żeby się takim nie stać.

– Mirja też jest wszystkim dla Toyasa.

– Wiem, do czego zmierzasz.

El Mestizo wypowiedział te słowa przytłumionym głosem.

– On też bierze ją na ręce i się z nią bawi.

Zmienił bieg tak gwałtownie, że coś zgrzytnęło w skrzyni. Minęli szary mur, który kończył się w centrum Montenegro – małej, sennej miejscowości położonej przy drodze krajowej. Nie można jej było ominąć.

– Radzę ci, żebyś już nic więcej nie mówił.

– Jego córka jest dla niego tym, czym twoja dla ciebie.

– Kurwa, skończ gadać!

El Mestizo znowu gwałtownie zahamował. Tym razem znajdowali się na stromej, wąskiej ulicy. Po jednej stronie mieli zamkniętą drogerię, po drugiej pustą lodziarnię. El Mestizo wyszarpnął z kabury rewolwer, ale nie naciągnął kurka, tylko wycelował w Hoffmanna i trzymał go na muszce.

– Chyba ci, kurwa, coś powiedziałem. Tak czy nie? Uratowałeś mi życie i dlatego ci darowałem. Tylko dlatego żyjesz!

Przez chwilę bawił się rewolwerem, po czym odłożył go na kolana, wrzucił jedynekę i ruszył.

– Jesteśmy kwita. Spłaciłem dług wdzięczności. Następnym razem, jak znowu mi się sprzeciwisz, nic ci nie pomoże.

Przyspieszył. Przejechali przez miasto i znowu znaleźli się na otwartym terenie.

ZOSTAŁA IM NIECAŁA GODZINA JAZDY. W samochodzie zapadła cisza. Przemierzali pustą okolicę, więc gdyby któryś z nich opuścił boczną szybę, ciszę w samochodzie zastąpiłaby cisza panująca na terenach, przez które jechali. W pewnej chwili El Mestizo po raz czwarty zwolnił i zmienił kierunek jazdy. Wcześniej jeszcze raz stanęli, żeby się wysikać, a on dwa razy gwałtownie zahamował, bo wciąż rozsadzała go złość. Tym razem też zablokowali ruch na swoim pasie. Droga numer czterdzieści zamieniła się w sieć lokalnych wąskich dróg biegnących na południe od miejscowości Ibagué. Jedną z nich prowadziła do helikoptera stojącego na ukrytej pośród mahoniowców polanie. Maszyna była gotowa do lotu, pilot siedział już za sterami. Przeloty samolotami i helikopterami pozwalały na znaczną oszczędność czasu. Kolumbia to kraj poprzecinany długimi, monotonnymi drogami prowadzącymi do małych lokalnych lotnisk. Rzadko z nich jednak korzystano, bo lotniska i helikoptery miały jedną poważną wadę: były łatwe do namierzenia przez radary i satelity. Na dodatek można je było obserwować ze zwykłych stacji naziemnych. Podróż helikopterem uważano więc za wyjście ostateczne. Tak jak teraz, gdy El Mestizo miał do wypełnienia kolejne zlecenie, w samym środku dżungli, gdzie w bambusowej klatce trzymano człowieka. Na miejscu będą za cztery godziny. Podróż samochodem trwałaby trzy razy dłużej.

Lecieli wysoko nad krętymi drogami i niewielkimi miejscowościami. W pewnej chwili pojawiła się kolejna bogata posiadłość z żyznymi, rozległymi sadami.

– Tylko popatrz! To są domy naprawdę bogatych ludzi.

El Mestizo wskazał przez okno na rozciągający się pod nimi krajobraz. Miał zadowoloną minę, jak rankiem, gdy kąpał się w basenie z córką. Hoffmann uświadomił sobie, że człowiek, który obok niego siedzi, ma wiele twarzy. Jest El Mestizo, który przykłada dziewczynce pistolet do głowy i głośno przy tym rechocze; jest Johnny, który bywa ludzki

i można z nim normalnie porozmawiać; jest ojciec, który kąpał się w skarpetkach, bo tego chciała jego ukochana córeczka; jest wreszcie członek partyzanckiej organizacji przestępczej, który potrafi zatrzymać samochód na środku drogi i grozić rewolwerem własnemu ochroniarzowi. Tym razem pokazał radosne oblicze, a Hoffmann wciąż nie wiedział, skąd wzięła się tak nagła zmiana. Mimo to zerkał przez okno na to, co El Mestizo mu pokazywał, i doszedł do wniosku, że jego szef miał rację: posiadłości, które zdawały się nie mieć granic, wyglądały fantastycznie.

– To pewnie też baronowie narkotykowi? Jak Toyas?

– Toyas boy? Żartujesz, czy mówisz serio, Peter? Ja też mam taki dom jak ten gnojek. Nawet więcej. Mam dwie hacjendy!

– No i dwie kobiety.

Hoffmann rzadko widywał go w tak dobrym nastroju.

– Masz rację! Dwie kobiety! Nie jak ten tchórz, który nawet nie potrafił ochronić swoich dzieci. Pewnie nawet, kurwa, nie są jego! Stawiam tysiąc dolarów, że ten pieprzony impotent adoptował je razem ze swoim kochasiem.

W miarę upływu czasu miejsce niekończących się plantacji i posiadłości zaczęła zajmować dżungla. Dopływy Amazonki stale się rozgałęziały, tworząc setki kolejnych arterii wodnych.

– Mam dwie hacjendy, Peter boy. I więcej samochodów niż on, więcej koni i dzieci. No i kont w Kolumbii i Panamie.

El Mestizo promieniał prawdziwym szczęściem. Tryskał euforią, zrobił się gadatliwy. Nigdy wcześniej tyle o sobie nie mówił. Był tak radosny, że wręcz odpychający, choć Hoffmann nie rozumiał dlaczego.

Nad sobą mieli rozżarzone słońce, pod spodem zielony ocean dżungli. W tej chwili cały świat należał do nich.

– Już wkrótce zobaczysz klatkę, o której ci mówiłem, Peter boy.

– Tak?

– Pomożemy mówić facetowi, który w niej siedzi.

– To znaczy?

– Jest odpowiedzialny za to, że twoje i moje nazwisko jest na liście śmierci. To przez niego zginął Joaquín i przez niego będą ginąć inni! Aż do czasu, gdy on sam zginie.

Hoffmann dopiero teraz zrozumiał, dlaczego euforia El Mestizo wydała mu się tak odpychająca. To na pewno nie będą zwykłe tortury.

Setki kilometrów gęstej dżungli, żadnych dróg, żadnych ludzi. Olbrzymie odległości. Porywacze bardzo dokładnie wybrali miejsce, w którym więzili Crouse'a. Hoffmann zamknął oczy i wrócił myślami do czasów, kiedy jako młody chłopak mieszkał na bezpiecznym przedmieściu na południe od Sztokholmu. Gdyby ktoś mu wtedy powiedział: „Piet, posłuchaj... pewnego dnia zamieszkas w kraju, który nazywa się Kolumbia. Twoje dorosłe życie będzie wyglądać tak: jednego dnia ochraniasz transport narkotyków, drugiego wytwórnę kokainy, a trzeciego lecisz helikopterem nad dżunglą, żeby torturować ważnego amerykańskiego polityka. Nie masz innego wyjścia; bo uniknąłeś długiej odsiadki w więzieniu, bo skazała cię na śmierć polska mafia, którą infiltrowałeś na zlecenie szwedzkiej policji, bo zostałeś zdekonspirowany i ta sama policja zostawiła cię na pastwę losu”, uznałby to za ciekawą, choć nierealistyczną bujdę. Żeby kłamstwo stało się prawdą, trzeba w nie najpierw uwierzyć.

Helikopter wylądował nad brzegiem jednego z szerokich, pięknych dopływów Río Vaupés. Woda była brązowoniebieskozielona. Hoffmann pochylił się, żeby umyć w niej ręce.

Człowiek, który na nich czekał, powiedział, że nazywa się Cristobal i jest przedstawicielem PRC odpowiedzialnym za transport wodny w departamencie Guaviare. Wskazał im ręką łódź, która unosiła się na wodzie blisko brzegu i była przymocowana do dwóch pni drzew. Jeden miał łukowaty kształt, drugi wystawał z rzeki, był popękany i zniszczony od słońca i wody. Jedna lina łączyła drzewo z rufą, druga z dziobem. Łódź mogła pomieścić pięciu żołnierzy z pełnym

uzbrojeniem, miała silnik o mocy stu koni mechanicznych i płaskie dno, żeby mogła dobijać do kamienistego brzegu i nie utknąć na mieliźnie. Hoffmann i El Mestizo weszli na pokład, Cristobal uruchomił silnik, wciągnął liny i wpłynął na bystry nurt, po czym popłynęli z prądem na zachód. Hoffmann uważnie go obserwował. Widać było, że Cristobal z dumą wykonuje swoje obowiązki. Siedział wyprostowany i zręcznie manewrował łodzią. Ubrany był w kamuflujący mundur, przez plecy miał przewieszoną kałasznikowa. Wyglądał na starszego niż inni partyzanci. Hoffmann ocenił, że są mniej więcej rówieśnikami, ale nie miał pewności, bo życie w partyzantce postarzało inaczej. Z zainteresowaniem obserwował, jak Cristobal manewruje łodzią niesioną silnym prądem. Kurs kontrolował poprzez zwiększanie lub zmniejszanie prędkości, zwłaszcza gdy pokonywali wiry.

Płynęli tak przez wiele kilometrów, otoczeni dziką roślinnością. Zewsząd dobiegały głosy zwierząt, jakby chciały zaznaczyć, że to ich królestwo, że to one w nim rządzą. Nad sobą mieli błękitne niebo i bezlitosne słońce.

Przez pewien czas płynęli niespokojnymi meandrami, aż Cristobal znów włączył silnik i łódź skręciła w stronę skrawka lądu leżącego na lewym brzegu. Zawołał „Swoi w łodzi!”, odczekał kilka sekund, po czym przyspieszył, kierując się wprost do brzegu. Przepłynął przez porośniętą gęstymi trzciniami płyciznę, nad którą zwisały pnącza i gałęzie mangrowców. Potem łódź szorowała dnem po piasku i kamieniach. W końcu wyskoczyli na brzeg między czterema *potrillos* – czółnami z balsamowego drewna.

Cristobal szedł przodem i ścinał maczetą gałęzie, które próbowały ich opleść ze wszystkich stron. Wokół unosił się nieprzyjemny zapach, jakby maszerowali przez bagna. Było gorąco i wilgotno, wszędzie roiło się od owadów. Po pewnym czasie wąska ścieżka zamieniła się w błotnistą przecinkę. Po kolejnych dwustu metrach stanęli w obozie. Partyzanci budowali je zawsze w podobnych miejscach, które przerażały zarówno regularne jednostki kolumbijskiego wojska, jak i policjantów. Gdyby chcieli

zaatakować, wielu z nich by zginęło, a partyzanci uciekliby w głąb dżungli, która dawała im bezpieczne schronienie.

Na skraju obozu minęli ciężarówkę, która przywiozła dwudziestu młodych partyzantów. Teraz siedzieli na ziemi, oparci o plecaki, i na coś czekali.

Cristobal poprowadził El Mestizo i Hoffmanna na otwarty plac. Stały na nim szałas, namioty i proste drewniane stoły jak na miejskim targowisku.

– Można tam pooglądać telewizję. Czasem odbiór jest całkiem niezły.

Ich oczom ukazał się niewielki telewizor zawieszony na gałęzi. Przypominał ten, który Hoffmann widział w poprzednim obozie.

Za szałasami była grupa mężczyzn. Podobnie jak żołnierze, siedzieli na ziemi i na coś czekali.

– To nasi jeńcy i zakładnicy. Nikt szczególny.

Hoffmann doliczył się dwunastu. Byli brudni, ubrani w podarte ubrania, mieli długie włosy i brody i łańcuchy na szyi.

– Nie są wiele warci, ale dobrze, że tu są. Wymienimy ich na naszych ludzi. Zamierzamy ich przenieść do innego obozu.

Hoffmann domyślił się, że to z powodu zakładników przybyli tu żołnierze. Podchodzili do skutych zakładników i łączyli ich ze sobą łańcuchami. Powstała w ten sposób kolumna ludzi, którzy wkrótce mieli wyruszyć przez dżunglę ze swym skromnym dobytkiem: siennikami i drobiazgami, które mieli przy sobie przed kilkoma laty w dniu porwania i które mimo codziennych przeszukań nie zostały im skonfiskowane.

Cristobal wskazał im maczetą gęste krzewy. Oznaczało to, że nadeszła pora wymarszu. Podczas krótkiego postoju Hoffmann starał się utrwalić w pamięci położenie bazy i układ chat, jak również dolinę, która kończyła się stromym urwiskiem po prawej stronie. Cristobal torował sobie drogę ostrą maczetą i po pewnym czasie doszli do polany, zostawiając gęstwinę na pewien czas za sobą. Pojawiło się

jasne niebo, Hoffmann był pewien, że rozpoznał głos czapli. Po drodze liczył kroki: dwieście, pięćset, tysiąc dwieście... Coraz bardziej zagłębiali się w mroczną, wilgotną puszcze. W końcu dotarli na miejsce. Ich oczom ukazał się *Campo Importante* – nowy obóz będący więzieniem dla zaledwie czterech więźniów politycznych. Ich wartość znacznie przewyższała łączną wartość tysięcy innych więźniów – kolumbijskich żołnierzy i policjantów, którzy w wielu innych obozach rozrzuconych po dżungli czekali, co przyniesie im los. Stanowili zdobycz, która miała posłużyć partyzantom w transakcjach wymiennych. Jeśli do wymiany nie dochodziło, partyzanci nadal ich przetrzymywali. Trwało to miesiącami albo latami, aż któregoś dnia trafiała się okazja, żeby sfinalizować transakcję. Najcenniejsze klejnoty umieszczane są zawsze w głębi sejfu. Co jakiś czas się je wyjmuje, aby popatrzeć, jak błyszczą, nacieszyć się tym, że się je posiada, po czym trafiają z powrotem do sejfu i leżą w nim do czasu, aż ktoś będzie miał ochotę znów je obejrzeć.

– Tutaj was zostawię.

Po tych słowach Cristobal zniknął w dżungli. W tym samym momencie wyłonił się z niej niewysoki mężczyzna w czerwonym szalu zawiązanym podwójnie wokół głowy i z dzwięczącymi ostrogami przy zabłoconych butach. Hoffmann zastanawiał się przez chwilę, czy nieznajomy chodzi w nich na co dzień, czy też przypiął je ze względu na nich.

– Witajcie.

Mężczyzna podał im rękę, ale uścisk dłoni miał słaby.

– Nazywam się Maximiliano Cubero i jestem szefem Frontu Wyzwolenia PRC. Wszyscy nazywają mnie komendantem, ale wolę, żebyście mówili mi po imieniu. Oto mój obóz. Żołnierzy wybrałem osobiście. Są przeszkoleni i zdolni do walki. To elita PRC. A to...

Komendant odwrócił się, wskazując na klatkę ustawioną w rogu obozu.

– ...to jest wasze zadanie.

Klatka. Tak blisko.

Hoffmann powiedział, że musi się załatwić, i poszedł w głąb obozu, a El Mestizo został z komendantem. Minął szeregi młodych żołnierzy, w tym wiele kobiet zwerbowanych w najbiedniejszych zakątkach Kolumbii. Miały do wyboru pracę w burdelu albo służbę w PRC. Hoffmann tak jak w poprzednim obozie narysował w głowie mapę, żeby nikt nie miał do niej dostępu. Umieścił na niej szalasy z luźnymi deskami służącymi za podłogę, ścianami z palmowych liści i drzwiami z pustych worków po ryżu. W końcu znalazł się w miejscu, które było celem ich wizyty. Ujrzał zmęczone, pozbawione życia oczy mężczyzny, ale od razu poznał, że to przewodniczący Izby Reprezentantów Crouse, bo jego fotografię opublikował dziennik „El Spectador”. Z szyi zwisał mu gruby łańcuch, którym miał też oplecione nadgarstki i kostki. Crouse siedział na podłodze z desek i jadł z miski placki z mąki i wody usmażone na oleju.

Hoffmann dopiero z bliska zauważył więcej szczegółów: nierówne opuchnięcia, rozległe siniaki, nabiegłe krwią bąble. Widać było, że Crouse był regularnie bity. Potem zobaczył jego prawą stopę. Oprawcy zdarli mu z palców paznokcie, zostały po nich ropiejące rany. To dlatego siedział na podłodze. Hoffmann domyślił się, że partyzanci go torturowali, ale nic z niego nie wyciągnęli, więc wezwali na pomoc El Mestizo. Domyślił się też, że to dlatego El Mestizo był tak uszczęśliwiony, zarówno w samochodzie, jak i w helikopterze.

Jeszcze nie wiedział, w jakim celu Crouse miał być torturowany i jakie informacje partyzanci chcieli z niego wydobyć, gdy El Mestizo zakończy brudną robotę.

Crouse dopiero teraz go usłyszał. Uniósł głowę znad miski i popatrzył na Hoffmanna. Miał zmęczone oczy człowieka, którego mimo bólu, jaki mu zadawano, nie udało się złamać.

CROUSE UPUŚCIŁ MISKĘ, BO zauważył, że ktoś podszedł do klatki. Tym razem nie był to ani żołnierz, który go pilnował, ani komendant, który wpadał na kontrolę. Nieznajomy mężczyzna nie nosił munduru i patrzył na niego wzrokiem pozbawionym pogardy. Crouse chciał sprawdzić, kto go odwiedził, ale ból w stopie był tak silny, że przy każdym oddechu promieniował na całe ciało. Przypominał ukłucia nożem. Czuł go w karku, plecach i biodrach. Zaczynał się w górnej części ciała i docierał do związanych dłoni i stóp.

Crouse jakoś sobie radził z bólem wywołanym biciem. Gorzej było z jego konsekwencjami – na krótki czas tracił zdolność jasnego myślenia i wnikliwej analizy, walczył z odurzeniem, jakie powodował ból. A przecież zanim trafił do niewoli, jego umysł i ciało działały zupełnie inaczej. To pewnie dlatego nie od razu skojarzył mężczyznę stojącego przed klatką, chociaż wiedział, że kiedyś go gdzieś widział.

Te ruchy... mężczyzna nie był już młody, ale za to wysportowany.

Zauważył też tatuaż na jego czaszce. Przedstawiał jaszczurkę albo węża. Zielony ogon ginął na karku pod kołnierzem.

Crouse wyprostował prawą nogę i ustawił ją pod innym kątem. Ból nie ustąpił, ale na chwilę zelżał. Podjął kolejną próbę – jeszcze raz zerknął na nieznajomego i wyteżył pamięć. Dopiero teraz go rozpoznał.

To ty. To ciebie widziałem na ekranach monitorów w NGA.

Charakterystyczny chód, ogolona głowa... właśnie to zauważył na nagraniach zarejestrowanych przez satelitę. Obraz nie był ostry, ale jednak... Stanowił sumę tysięcy godzin obserwacji prowadzonej z satelitów szpiegowskich. To ty.

Ani operator, ani śledczy nie ustalili twojej tożsamości.

Widziałem cię, a ty o tym nie wiesz. Nie dostaniesz mnie, ale ja dostanę ciebie. Ten sam los czeka innych, którzy też mnie nie dostaną.

Za każdym razem, gdy cię obserwowaliśmy, byłeś z człowiekiem, który stosował przemoc. Udało nam się ustalić jego tożsamość. Nazywa się Johnny Sánchez – El Mestizo.

Do tej pory nie miałeś twarzy. Teraz już ją masz. Widzę cię. Poznają.

To ty.

HOFFMANN SPOJRZAŁ CROUSE'OWI w oczy. Wzrok Amerykanina, który z początku był mętny i zamglony, nagle stał się jasny i czujny, jakby coś go ugryzło albo ktoś przeszył go ostrą klingą. Hoffmann miał ochotę pochylić się w stronę kraty i szepnąć: „Crouse, jeszcze tego nie wiesz, ale obaj jesteśmy po tej samej stronie. Zwerbowały mnie wasze służby, współpracuję z wami, biorę udział w waszej akcji, mam przeniknąć do tych, którzy trzymają cię w niewoli i cię krzywdzą”. Niestety, wiedział, że nie może tego zrobić. Dziewczyna, która pilnowała klatki, stała zbyt blisko. Gdyby coś usłyszała, zobaczyła albo się domyśliła, byłoby po nim. Postanowił więc spróbować później, gdy tamci nie będą patrzeć. Wtedy powie mu prawdę.

– Pan Przewodniczący Pielucha.

Na dźwięk tych słów wyraz twarzy Crouse'a gwałtownie się zmienił. Wydawał się udręczony, ale w jego oczach pojawiły się też niechęć i obrzydzenie.

– Jest pan dla nas bardzo ważny, panie Przewodniczący Pielucha.

Komendant podszedł do klatki w towarzystwie El Mestizo. Stali po obu bokach Hoffmanna i patrzyli na człowieka siedzącego na podłodze z łańcuchem na szyi.

– Obaj panowie przyjechali tutaj przez wzgląd na pana. Są z wielkiego miasta. Chcą z panem porozmawiać, bo pan nie chce rozmawiać z nami.

Crouse się nie poruszył. Nie próbował uciec, żeby skulić się w kącie klatki, jak najdalej od człowieka z brzęczącymi ostrogami. Nie odpowiedział też na jego zaczepkę, tylko

siedział nieruchomo i patrzył na nich spokojnie, chociaż wiedział, co go wkrótce czeka i po co tu przybyli.

– Widzicie? Nie jest zbyt rozmowny.

Wydawało się, że Crouse zmienił nagle zdanie, bo dźwignął się z wysiłkiem na kolana. Widać było, że każdy ruch sprawia mu ból. Policzki miał zaczerwienione, szczęki zaciśnięte, oczy załzawione. Oparł się łokciami o podłogę, uniósł korpus, chwycił dłońmi za dwie bambusowe kraty i zaczął się powoli prostować, jakby chciał pokazać, że jest w stanie stanąć na obu nogach – także na tej bez paznokci, które mu zdarto. Popatrzył na nich i w końcu całkowicie się wyprostował.

STRAŻNICY, KTÓRZY WIELE RAZY podkreślali, jacy są dumni, że to właśnie im powierzono tak ważne zadanie jak pilnowanie amerykańskiego zakładnika, wycofali się. Nie dlatego jednak, że im tak kazano. Po prostu, w miarę jak El Mestizo posuwał się dalej w torturach, oni cofali się o kolejny krok. Potem, gdy nie mieli już dokąd się cofnąć, odwracali głowy, a jeden z nich zakrył uszy rękami.

Poprzedniego dnia jeden z nich pobił Crouse'a pięściami, ale nic to nie dało. Był to dwudziestokilkuletni żołnierz, który na polecenie El Mestizo zaprezentował podczas tak zwanej „walki z cieniem” różnego rodzaju ciosy, jakie zadał Crouse'owi, w tym kilka kopniaków w drzewo, które symbolizowało klatkę piersiową przewodniczącego. Rano inny więzień go obsikał, ale też bez efektu. El Mestizo zażądał, żeby mu pokazano, jak i gdzie się to wszystko odbyło, bo przecież zawodowiec powinien być dobrze przygotowany i zacząć tam, gdzie skończyli jego poprzednicy. Kije, którymi strażnicy okładali plecy przewodniczącego, jego pośladki i tył ud, były czerwone od krwi. Pręgi na ciele tworzyły wyraźny wzór. Młoda strażniczka, której powierzono to zadanie, miała włosy splecione w dwa warkocze, a na czerwonych od szminki ustach gościł uśmiech. Widać było, że uderzeniami kija

próbowała wypisać Crouse'owi na plecach litery PRC. Napis miał nierówne brzegi, które Hoffmannowi przypominały graffiti na ścianach budynków na przedmieściach Sztokholmu. Chłopcy wypisywali na nich sprejem pseudonimy, którymi posługiwali się w gangach. Potem ktoś przyniósł obcęgi i zdarł przewodniczącemu paznokcie z palców prawej stopy, ale i to nic nie dało. Komendant pokazał je El Mestizo i przyznał się, że zrobił to sam w towarzystwie swojego zastępcy, który przytrzymał Crouse'owi nogę. Żeby pokazać, jak to robił, złożył dłonie w taki sposób, żeby przypominały obcęgi, i poruszał nimi. Wydawał przy tym głośne wrzaski, które miały przypominać okrzyki bólu więźnia. Żołnierze w obozie głośno się śmiali, ale tylko wtedy, gdy widzieli, że ich komendant też się śmieje i tego samego oczekuje od nich.

Teraz w końcu doczekają się rezultatu.

Hoffmann podszedł do klatki i zatrzymał się przed nią, bo do środka miały wejść tylko dwie osoby: El Mestizo i lekarz. Starał się zachowywać jak zawsze; zmuszał się do myślenia o pierwszym razie, gdy takie tortury były mu obce, gdy chodziło o pojedyncze przypadki torturowania w mieście. Wprawdzie nie należało to do jego obowiązków, ale nalegał, żeby mu pozwolono. Chciał udowodnić swoją przydatność i pokazać, że mogą mu ufać. Pracował wtedy dla El Mestizo już od kilku miesięcy i był tylko jednym z jego wielu ludzi. W końcu miał już po dziurki w nosie ich uwag w rodzaju: „Jesteś Europejczykiem, czyli nikim”. Nie wystarczyło im, że wcześniej siedział w więzieniu i miał na koncie dwie egzekucje, nie licząc ludzi, których zastrzelił w Kolumbii. Śmierć to prosta sprawa, usłyszał w odpowiedzi, o wiele trudniej jest zabijać powoli.

Nauczył się metod stosowanych przez El Mestizo, który zaczynał od bicia pięściami i kijem, potem zdierał paznokcie, a jeśli i to nie pomagało, raził prądem.

To dlatego dwaj młodzi żołnierze wnieśli do klatki ramę zrobioną z czterech zespawanych ze sobą rurek. Wsunęli ją do środka krótszym końcem. Miała dwa metry na metr i gdy

ustawili ją pionowo, prawie sięgała sufitu. Ci sami żołnierze usunęli z podłogi dwie deski i odsłonili znajdującą się pod nimi glebę, żeby przewodzenie prądu było lepsze. Następnie wbili w ziemię cztery sterczące w górę żelazne pręty, każdy o długości piętnastu centymetrów. Doskonale pasowały do czterech otworów wywierconych w dolnej części ramy. Została na nie jakby nawleczone, dzięki czemu stała stabilnie na środku klatki.

Na polecenie El Mestizo strażniczka przecięła sznurek podtrzymujący spodnie Crouse'a, a następnie opuściła mu je razem z majtkami do kostek.

Dwaj żołnierze, którzy zamontowali ramę, podprowadzili do niej Crouse'a, założyli mu kajdanki na nadgarstki i przymocowali je do metalowej konstrukcji. Dłonie unieśli mu nad głowę, prawy nadgarstek obwiązali mu kilkakrotnie dziesięciometrowej długości miedzianym drutem. Potem przeciągnęli go do lewego nadgarstka, obwiązali go nim, przewlekli przez ramę, przeciągnęli po przekątnej do prawej kostki, kilka razy ją nim obwiązali, a następnie to samo zrobili z lewą.

Hoffmann udawał, że wszystko uważnie obserwuje, bo tego od niego oczekiwano. Jednak w rzeczywistości patrzył w bok, bo gdy skupiał wzrok na wybranym punkcie, rozgrywającą się przed nim scenę i biorących w niej udział ludzi widział jak przez mgłę.

Dawniej uczestniczył w torturach, żeby być wiarygodnym. Najczęściej torturowanemu człowiekowi strzelał w różne części ciała. Czasem ciął ich nożem. Nigdy jednak nie musiał się posuwać tak daleko, żeby krzyk torturowanej ofiary wwiercał mu się głęboko w mózg. Najczęściej jechali z takim nieszczęśnikiem nad Río Cali. Przypominało to wycieczkę na wysypisko śmieci. Tam albo strzelali do swoich ofiar, albo je ciąli, rzadziej wykluwali im oko. Ludzie krzyczeli głośno z bólu, ale nigdy tak jak teraz. Nigdy nie tak głośno jak przewodniczący Crouse.

Z torby, którą El Mestizo kazał sobie dostarczyć rano i która teraz stała w klatce, wyjął dwa kable, trochę grubsze

od kabli do akumulatora w samochodzie. Plusowy z czerwoną końcówką podłączył klemą do żelaznej ramy; minusowy z czarną, do dużego palca stopy Crouse'a, na którym nie było paznokcia. Potem rozciągnął oba kable na taką długość, żeby sięgnęły do napędzanego benzyną agregatu, który przynieśli żołnierze. Dwa razy pociągnął za linkę rozrusznika i uruchomił generator. Jego dźwięk przypominał kosiarkę do trawy albo stary silnik motorówki. Końcówkę czerwonego kabla El Mestizo podłączył do generatora, niebieską przytknął do ziemi i trzymał je tak dokładnie przez dwie sekundy. Z żelaznej ramy posypały się syczące iskry, a wokół ciała Crouse'a doszło do wyładowań i pojawił się łuk elektryczny. Głowa opadła mu na pierś, krzyk przeszedł w dyszenie, ciałem wstrząsnęły drgawki. Lekarz przerwał tę torturę, tak jak polecił mu wcześniej El Mestizo. Był to bardzo młody mężczyzna, którego PRC zwerbowała pod koniec drugiego semestru studiów medycznych. Do partyzantki rzadko trafiali bardziej doświadczeni lekarze. Dla dowództwa byli tylko narzędziem. Jego zadanie polegało na tym, aby szeptać ofierze do ucha: „Po co pan milczy, ten dureń to szalenie, będzie pana dalej torturował. Niech pan przemówi do kamery, tak jak chcą”. Miał też podtrzymywać zakładnika przy życiu, obdarzać go ciepłem i odgrywać rolę „tego dobrego”. „Nie ma potrzeby, żeby pan przez to przechodził. Proszę z nimi współpracować. Ten człowiek nigdy nie rezygnuje”.

Lekarz wziął do ręki stetoskop i przyłożył go Crouse'owi do piersi. Uważnie osłuchiwał płuca i serce.

– Przepuścił pan prąd przez całe ciało?

– Tak.

Lekarz zbadał jeszcze stopę. Z miejsca, w którym przymocowana była klema, unosił się dym.

– W którą stronę?

– Od palców u nóg aż do ramion.

Lekarz nie był zbyt dobrym aktorem, zbyt gwałtownie zareagował na widok spalonego ciała. Rozmawiał z El

Mestizo tak, jakby recytował gotowe kwestie zapisane w scenariuszu.

– Serce bije nierównym rytmem.

– Naprawdę?

– Może pan kontynuować, ale trzeba obniżyć natężenie prądu. W przeciwnym razie serce nie wytrzyma i ten człowiek umrze.

El Mestizo odwrócił się do Crouse'a i wykonał kilka teatralnych gestów.

– Słyszał pan, panie przewodniczący? Musimy przymocować kable gdzie indziej. Będzie pan bezpłodny, ale za to zachowa życie.

Poluzował końcówkę czerwonego kabla przyczepionego do ramy i podsunął go Crouse'owi pod twarz.

– Panie przewodniczący?

Crouse nadal stał z głową zwieszoną na piersi, z ust sączyła mu się ślina.

– Chyba już czas, żeby zacząć mówić?

Ale Crouse milczał.

– No cóż, sam pan tego chciał. To zły wybór. Po co być tak upartym?

El Mestizo przytknął końcówkę czerwonego kabla do dolnej nagiej części ciała Crouse'a. W chwili gdy dotknął jąder, Amerykanin wydał z siebie przeraźliwy krzyk, który rozszedł się po dżungli. Hoffmann próbował go w sobie zagłuszyć, ale stał tak blisko, że było to niemożliwe.

EL MESTIZO OD PRAWIE DZIESIĘCIU minut krążył bez celu po obozie dla zakładników. Wędrował od jednej *caleta* do drugiej, wchodził do nich, obchodził je dokoła, a nawet dwa razy wspinał się na dach. Potem udał się w miejsce, gdzie znajdował się wielki dół. Zgodnie z przepisami miał trzy metry głębokości i wykopano go na samym początku, gdy obóz dopiero powstawał. Na pierwszy rzut oka przypominał grób, ale bijący od niego smród wskazywał na to, że pełnił funkcję latryny. Stamtąd El Mestizo poszedł do

kuchni, pralni i magazynu z żywnością. W końcu wrócił pod klatkę i wszedł do niej z zadowoloną miną, jakby po długiej podróży znalazł wreszcie to, czego szukał.

– Panie przewodniczący?

Miedziane druty, którymi Crouse miał obwiązane nadgarstki i kostki, leżały przecięte na ziemi, a Amerykanin nie wisiał już na żelaznej ramie. Strażniczka biła go i kopała, ale Crouse nie chciał usiąść, tylko resztką sił utrzymywał się w pozycji stojącej. Stał lekko pochylony z dłońmi zaciśniętymi na bambusowych prętach.

– Więcej prądu i już by pan nie żył. Ale pan nie ma umrzeć, tylko cierpieć. Do czasu, aż pan przemówi.

El Mestizo wyciągnął ręce i pokazał Crouse'owi to, co znalazł podczas swojej wędrówki po obozie: plastikową rurkę i zardzewiały drut kolczasty.

– Kiedy prąd nie daje efektu, stosuję podtapianie. Jednak w pana przypadku zrobię wyjątek i od razu przejdę do tego.

El Mestizo przysunął oba przedmioty do oczu Crouse'a, jakby chciał się upewnić, że ten na pewno je zobaczył.

– Ta metoda pochodzi z Europy, tam zobaczyłem ją po raz pierwszy. Rurka ma piętnaście centymetrów długości, znalazłem ją pod lodówką w kuchni. Włożę ją panu do odbytnicy i do jelita. Potem wezmę ten drut. Znalazłem go na dachu klatki dla więźniów. Jak pan widzi, nie ma na nim zwykłych, krótkich kolców, tylko długie, wąskie, lekko zakrzywione. Robią większą krzywdę.

Przeciagnął ostrymi kolcami po brodzie i policzku Crouse'a. Krew zalała przewodniczącemu szyję i kołnierz koszuli, która przestała być biała.

– Do tej pory najwyraźniej nic pan nie czuł. Teraz włożę panu tę rurkę do odbytnicy. Poczujecie się pan jak podczas pomiaru temperatury albo badania prostaty. Dopiero z drutem zrobi się nieprzyjemnie.

El Mestizo otarł mokre od krwi kolce drutu o rękaw koszuli Crouse'a.

– Do rurki, która będzie w jelicie, wsunę ten drut. Na początku nic pan nie poczuje, bo drut będzie tkwił w rurce.

Spytam wtedy jeszcze raz, co pan woli: wyrecytować przed kamerą tekst podyktowany przez pana komendanta czy też stawiać opór. Jeśli dokona pan niewłaściwego wyboru, sytuacja stanie się dla nas wszystkich niewygodna. Wyciągnę plastikową rurkę, ale drut zostawię. Potem za niego pociągnę, a wtedy wszystkie kolce wbiją się panu w jelito i przebiją ścianki. Kiedy wyciągnę drut na zewnątrz, już na zawsze pozostanie pan kaleką. Do końca życia będzie pan nosił na brzuchu specjalny worek, a przy każdym opróżnieniu zniszczonego jelita będzie pan dosłownie wyl z bólu.

KAMERA NIE WYGLĄDAŁA NA DROGĄ, ale można nią było robić zdjęcia i nagrywać krótkie filmy. Obsługiwał ją komendant. Crouse siedział na podłodze w klatce i przemawiał wprost do obiektywu. Był całkowicie wyczerpany i nie mógł już dłużej stać. Wolnym głosem odczytywał zapisany ręcznie i sformułowany poprawną angielszczyzną tekst. Hoffmann zastanawiał się, kto go ułożył, bo przecież żaden żołnierz w obozie nie znał angielskiego aż tak dobrze. Ci, którzy znali go choć trochę, mówili z twardym akcentem i mieli niewielki zasób słów.

Crouse zrezygnował z dalszego oporu w chwili, gdy El Mestizo dotknął go plastikową rurką. Wiedział, że to, czego żądali od niego partyzanci, nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Zależało mu tylko na tym, żeby te gnojki nie wygrały albo nie pomyślały sobie, że wygrały. Kiedy jednak usłyszał, jakie męki przyjdzie mu znosić do końca życia, podniósł ręce, zawołał „Stop!” i wskazał ustawioną na statywie kamerę.

PO DWÓCH LATACH HOFFMANN dotarł w końcu do samego jądra partyzanckiego ugrupowania. Innymi słowy, wykonał robotę, za którą mu płacono. Miał jednak pecha, bo urwał mu się kontakt z mocodawcami, a on trafił na listę

skazanych na śmierć. Niewykluczone, że już wkrótce zlikwidują go ci, dla których pracował.

Crouse skończył właśnie nagranie, które następnego dnia zostanie zawieszono do miasta, do komputera z dostępem do internetu. Komendant zaczął składać statyw i kamerę. Nagle z jednej z chat, do której nikt nie miał dostępu, wyszła kobieta – Catalina Herrador Sierra, czyli Mona Lisa, Dama Kier. Wysoka, szczupła i ładna, po czterdziestce, ubrana w taki sam mundur jak wszyscy żołnierze w obozie, z tą różnicą, że miała na nim dystynkcje, których Hoffmann nigdy wcześniej nie widział. Sierra była trzecią w hierarchii osobą w strukturach PRC. Wchodziła w skład gremium podejmującego kluczowe decyzje. We wszystkich oficjalnych i nieoficjalnych dokumentach nazywano ją głównym ideologiem ugrupowania.

Sierra należała do osób określanych mianem Cieni.

Wcześniej El Mestizo pozwalał Hoffmannowi towarzyszyć sobie tylko do pewnego miejsca, w którym ten miał przenocować razem z innymi, którym także nie było wolno zagłębiać się zbyt daleko. Cienie. Tak nazywano takie osoby jak Sierra, bo tylko nieliczni wiedzieli, gdzie Cienie przebywają i jak można nawiązać z nimi kontakt. Najczęściej w takim miejscu jak ten obóz w dżungli.

Hoffmann już miał do czynienia z Cieniami. Był wtedy informatorem szwedzkiej policji w polskiej mafii działającej na terenie Szwecji. Pewnego dnia wezwano go niespodziewanie do Warszawy. W tamtym okresie też mu się udało zajść bardzo daleko w strukturach organizacji, ale nadal nie pozwalano mu na spotkania z samą wierchuszką. Z lotniska pojechał prosto do siedziby polskiej firmy ochroniarskiej, gdzie spotkał się z Maciejem Bosackim i Karlem Lagerem. Tamten wyjazd wiele zmienił; stanowił pierwszy krok w rozpisany na lata planie. Jego polski kontakt, Henryk, był jednym z tych, którzy mu zaufali i nie mieli pojęcia o jego podwójnej grze. Henryk umówił go z wicedyrektorem firmy i drugą ważną osobą. Obaj kierowali przestępczym interesem z domu na Mokotowie.

Tym razem jego pośrednikiem był El Mestizo, który doprowadził go aż do Damy Kier. Jej uśmiech wydawał się szczery, a gdy ujrzała El Mestizo, objęła go mocno i serdecznie, jak kogoś, komu się ufa i podziela jego poglądy.

– To El Sueco? – spytała. – Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Podąła Hoffmannowi rękę.

– Wojna tworzy nowe sytuacje i okoliczności. Listy ludzi do odstrzału również. Dlatego wszyscy, którzy się na niej znaleźli, powinni sobie wzajemnie ufać. Johnny postanowił ci zaufać i poręczył za ciebie.

Hoffmann uściśnął jej dłoń, a wtedy Sierra zrobiła krok w przód i objęła go.

Johnny postanowił ci zaufać i poręczył za ciebie.

Hoffmann objął kobietę, która posiadała tak wielką władzę, i pomyślał, że wszystkie „pierwsze razy” też mają swój pierwszy raz. El Mestizo już po dwóch miesiącach znajomości postanowił zrobić z nowo zatrudnionego Europejczyka swojego osobistego ochroniarza. Dopiero wtedy pozwolił mu mówić do siebie „Johnny”. Hoffmann nigdy wcześniej nie zbliżył się tak bardzo do kogoś równie niebezpiecznego, kogo polubił i kto – jak mu się zdawało – polubił jego. Podczas jednego z pierwszych wyjazdów w teren przybyli do położonego w dżungli obozu dla więźniów. El Mestizo oznajmił mu, że zabierze go na spacer, bo chce go oprowadzić po okolicy. Hoffmann myślał, że był to prawdziwy cel ich spaceru, i dopiero później zrozumiał, że chodziło o coś innego: El Mestizo chciał po prostu wszystkim „pokazać” swojego nowego ochroniarza. Chodziło o to, żeby cały obóz zobaczył, że El Sueco jest przyjacielem El Mestizo i od tej chwili wszystko, co dotyczyło El Sueco, będzie też dotyczyło El Mestizo. Tym samym Hoffmann został obdarzony zaufaniem, które już wkrótce będzie musiał zawieść.

Zrozumiał bowiem, że zamknięty w bambusowej klatce amerykański polityk jest jedynym sposobem na to, aby

uratować nie tylko życie Hoffmanna, ale także życie Zofii, Rasmusa i Emila.

DŻUNGLA NOCĄ TO ZACZAROWANY świat. Dźwięki, zapachy, moce, które wymykają się spod władzy człowieka – dżungla to przecież królestwo zwierząt. Na ziemi leżały zwinięte moskitiery, które kształtem przypominały dwa twarde konary. Hoffmann rozwinął je i przymocował sznurkiem do wejścia, żeby chronić się przed chmarami owadów brzęczących w ciemnościach. Ptaki wrzeszczały i trzepotały skrzydłami na tle czarnego nieba. Szybko zrobiło się zimno. Chłód w nocy był równie intensywny i dokuczliwy, jak upał za dnia.

Dwie godziny wcześniej Hoffmann zajął chatę, w której miał przenocować. Położył się na sienniku leżącym na rozciągniętym na ziemi podkładzie, który miał mu posłużyć za łóżko, ale nie mógł zasnąć. Czekał, aż strażnicy pogrążą się w sennym letargu, a El Mestizo, który kilka razy wychodził ze swojej chaty z telefonem satelitarnym w ręce, położy się spać. Nie słyszał, z kim i o czym rozmawiał, ale ton jego głosu był inny niż ten, którego używał na co dzień. Zazwyczaj starał się mówić opanowanym, kontrolowanym i cichym głosem. Niezależnie od tego, z jak niebezpieczną sytuacją miał do czynienia albo jak niebezpieczne zadanie miał do wykonania. Jednak tym razem rozmawiał podniesionym głosem, w którym co jakiś czas pobrzmiwały groźne tony i zwykła rozpacz.

Hoffmann wstał z nierównego legowiska i usiadł przy drewnianej skrzyni pełniącej funkcję stołu. Wyjął z kieszeni długopis, urwał kawałek papieru toaletowego i zanotował na nim pierwsze słowo:

Współrzędne

Właśnie tym musi się zająć w pierwszej kolejności. Kiedy strażnicy popatrzą w inną stronę, a El Mestizo wyłączy telefon, wymknie się z chaty.

Niska orbita okołozemska

To następny punkt jego planu. Zmusić tych drani, żeby skreślili go z listy śmierci. Ocalić życie.

Okno czasowe

Cez 137

Granat rozpryskowy typu „Prisma”

Magnetyczne sanie

Kilka razy złożył papier na czworo, wcisnął go na samo dno skórzanej pochwy na nóż i wyszedł na dwór. Chłód otoczył go niczym stado dzikich zwierząt. Hoffmann ruszył w kierunku latryny, od której śmierdziało odchodami. Skręcił w prawo, między klatkę Crouse’a a kuchnię i strażnika, który siedział przed klatką i nawet nie zauważył, że przed chwilą przemknął koło niego człowiek. Kiedy Hoffmann dotarł do pierwszego zaznaczonego punktu – orzechowca prawie trzydziestometrowej wysokości – i wąskiej ścieżki, którą Cristobal wyrąbał maczetą, ogarnęły go całkowite ciemności. To co przed chwilą było ciemne, nagle stało się czarne. Hoffmann wiedział jednak, że nie wolno mu włączyć latarki ani poświecić sobie zapalką. W tak ciemnym gąszczu promień światła byłby zbyt dobrze widoczny.

Tysiąc sześćset kroków.

Skierował się na polanę leżącą między obozem dla więźniów a bazą, której nie zasłaniała gęsta warstwa liści. Potykał się o pnie drzew i rozgałęzione korzenie, czuł, jak kolce roślin przebijają mu spodnie i drapią po dłoniach. Przypomniały mu się pokrzywy porastające rowy wzdłuż szwedzkich dróg. Zrobił to samo co wcześniej, gdy był nad brzegiem rzeki podczas wizyty w wytwórni kokainy. Z kieszonki w kuloodpornej kamizelce wyjął GPS, nacisnął guzik i odczytał zakodowane współrzędne, które po przetworzeniu wskażą dokładną długość i szerokość geograficzną miejsca, w którym się znajdował:

68.779812, 22.3529645

W normalnych okolicznościach współrzędne mogłyby dotyczyć lokalizacji wytwórni kokainy, miejsca, gdzie znajduje się transport towaru albo magazynu, w którym go

składowano. Taka informacja trafiłaby szybko do właściwego analityka w DEA. Ale nie dzisiaj, bo tym razem szereg cyfr miał posłużyć tylko jemu. Miał mu otworzyć drzwi do klatki i trzymanej w niej zdobyczy.

Życie za życie.

KIEDY HELIKOPTER UNOSIŁ SIĘ ku bezchmurnemu niebu, zostawiając pod sobą kępy suchej trawy porastającej zagubioną w dżungli polanę, towarzyszył temu dziwny dźwięk. Głuchy, pulsujący, nieprzyjemny. Ścisnął za pierś, gdy obracające się płyty wirnika przecinały powietrze. Hoffmann nie lubił helikopterów. Uważał, że są nielogiczne. Zbudowane z połączonych płatów blachy i sztucznego tworzywa maszyny przelatywały nad dużymi powierzchniami, aby potem znieruchomieć na wysokości kilkuset metrów. Ale tutaj, nad wzburzoną rzeką i w samym sercu dżungli, w której brakowało dróg, nie było innego sposobu na pokonywanie dużych odległości. Hoffmann podziękował Cristobalowi, objął Damę Kier i pożegnał się z jej świtą, a po wymianie uprzejmości każda z ekip znikła we wnętrzu własnej maszyny, aby odlecieć w swoją stronę.

Hoffmann i El Mestizo wylądowali w miejscu, gdzie poprzedniego dnia zaparkowali samochód. Wsiadli do niego i od razu poczuli duszący zapach zatechłego powietrza, więc szybko otworzyli okna. Przejechali około dziesięciu kilometrów piaszczystą drogą, która w końcu przeszła w asfaltówkę. Dopiero wtedy zaczęli rozmawiać.

– Jedziemy do Medellín, Peter boy.

– Do Medellín?

– Tak.

Hoffmann wyczuł w głosie El Mestizo niepokój, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszał. *Jedziemy do Medellín, Peter boy.* Ten sam niepokój co ostatniej nocy. Głos człowieka, który rozmawiając przez telefon satelitarny, był przekonany, że w wilgotnej dżungli, pośród głośnych krzyków więźniów, nikt go nie słyszy.

– Chcesz jechać okrężną drogą? Zrobimy ponad tysiąc kilometrów więcej.

– Tak.

– To dziewiętnaście godzin jazdy.

– Masz z tym jakiś problem? A może gdzieś się wybierasz?

Tak, mam z tym cholerny problem. Tak, chcę się wybrać do domu, żeby sprawdzić, czy mojej rodzinie nic nie grozi, a potem pojechać, dokąd zechcę, na przykład do kawiarni w Bogocie na spotkanie z Erikiem Wilsonem, moim dawnym oficerem prowadzącym, który zrobił ze mnie informatora i kazał mi na ciebie donosić. Może spotkam się z kimś innym, kogo Erik wysłał. Może ten ktoś wyrwie mnie z pułapki, w której grozi mi wyrok śmierci.

Ale o tym Hoffmann nie mógł nikomu powiedzieć.

El Mestizo znowu mu pokazał, że wprowadzić mógłby z nim porozmawiać o swoich planach, ale nie zamierza tego robić. Z kolei Hoffmann już dawno postanowił, że nie zniszczy więzi, jakie ich łączyły, i nadal będzie gromadził informacje dla swojego prawdziwego zleceniodawcy. Nie będzie już tak uparty i nie będzie próbował tłumaczyć El Mestizo, jak trudno jest być wzorowym ochroniarzem, gdy chroniony ciągle podejmuje zaskakujące decyzje.

Jak zwykle postanowili, że będą się zatrzymywać co dwieście kilometrów, żeby rozprostować kości i zmienić się za kierownicą. Stało się jednak inaczej, bo mniej więcej w połowie drogi El Mestizo zasnął kamiennym snem. Hoffmann przyspieszył, żeby zyskać trochę na czasie. W pewnej chwili jednak poczuł niepokój. El Mestizo nigdy wcześniej nie spał w jego obecności. Przez dwa i pół roku znajomości Johnny Sánchez zawsze zachowywał czujność. Hoffmann próbował to zbagatelizować. Uznał, że szef jest wyczerpany, że krzyki Amerykanina podziałały także na niego i być może nadal miał przed oczami widok torturowanego człowieka. On, który uczucia okazywał tylko wtedy, gdy mówił o córce. Może więc do siedzącego obok mężczyzny o kwadratowej twarzy, który zabijał, ranił i torturował ludzi, a także zmuszał ich do robienia różnych rzeczy, można jakoś dotrzeć albo nawet go wzruszyć? A może zasnął, bo z każdym kilometrem przejechanym

w kierunku położonego na dużej wysokości miasta powietrze robiło się coraz duszniejsze?

Powoli zapadał zmrok. Po drodze mijali nieliczne pojazdy i przejeżdżali przez niewielkie miejscowości. Kiedy Hoffmann opuścił boczną szybę, wewnątrz pojazdu wypełniła cisza – tak jak kilka godzin wcześniej wypełnił je upał. Włączył radio. La FM Bogotá 94.9. Gorąca dyskusja między politykami, którzy wzajemnie sobie przerywali. Prowadząca program dziennikarka próbowała ich uspokoić. W Radio 99.9. kolejna rozmowa o niczym, za to w spokojniejszym tonie, jakby jej uczestnikom zależało, aby wszyscy ich słuchali, bo inaczej to, o czym mówią, straci sens.

Hoffmann wyłączył radio. W otaczających go ciemnościach towarzyszył mu jedynie regularny oddech El Mestizo. Prawie się ucieszył, gdy brzęcząca irytująco mucha spacerująca po wewnętrznej stronie szyby przeniosła się na jego czoło, a on jej nie odgonił.

Wciąż odczuwał niepokój, którego nie potrafił się pozbyć ani zrozumieć. El Mestizo spał obok. Hoffman wiedział, że jedno z drugim ma jakiś związek, ale nie wiedział jaki.

Pokonywał kolejne dziesiątki kilometrów, a wieczór zamieniał się w noc. W końcu, na wysokości Puerto Triunfo, w miejscu, w którym droga numer czterdzieści pięć przechodzi w drogę numer sześćdziesiąt, El Mestizo się obudził. Drgnął, przetarł oczy jak dziecko i spytał prawie agresywnym tonem:

– Gdzie jesteśmy?

Jak zwykle czujny, chociaż przed chwilą ta czujność go opuściła.

– Właśnie minęliśmy La Esperanza.

El Mestizo pochylił się w stronę deski rozdzielczej i wyjął z uchwytu kubek z zimną kawą. Szybko go opróżnił i zgniótł. Zastanawiał się, jakim cudem on, który zawsze zachowywał czujność, nagle ją stracił? Na chwilę stał się kimś innym, zamkniętą w samochodzie osobą, która zaufała obcemu człowiekowi. Zezłościło go to, wściekłość wprost rozsadała

mu skronie. Wstydział się przed samym sobą, że się tak obnażył.

– Zatrzymaj samochód.

– Tutaj?

– Zatrzymaj, kurwa!

Ciemna droga na pustkowiu. Lepsza nawierzchnia, więcej wyschniętych łąk.

– Teraz ja poprowadzę.

El Mestizo otworzył drzwi, wysiadł, okrążył samochód i skierował palec wskazujący w twarz Hoffmanna.

– No już!

Zachowywał się tak, jakby komuś groził, chociaż sam nie wiedział komu. Prowokował, poniżał, obrażał. Kiedyś Hoffmann zareagowałby przemocą, ale nie teraz. Dziewięć lat jako informator szwedzkiej policji – połowę dorosłego życia spędził jako przestępca i banita działający w samym sercu przestępczości zorganizowanej – sprawiły, że nauczył się nad sobą panować, wybierać cel i uderzać. Cel uświęcał środki.

Dlatego nie chwycił El Mestizo za palec i nie złamał mu go. Nie wyjął noża, żeby go wbić między trzecie a czwarte zebro. Po prostu milczał. Skinął głową temu, którego miał chronić, a potem wydać władzom, wysiadł z wozu i obszedł go dokoła. Lekki powiew wiatru chłodził mu spocone plecy.

– Pas bezpieczeństwa. – El Mestizo przekręcił demonstracyjnym gestem kluczyk i czekał na Hoffmanna.

Ten zapiął pas i denerwujące pikanie dobiegające z deski rozdzielczej ustało. El Mestizo chwycił za kierownicę, wrzucił bieg i od razu przyspieszył do dużej prędkości. Wiedział, że się obnażył przed ochroniarzem, za bardzo pozwolił mu się do siebie zbliżyć. A przecież podczas snu ten facet mógł go obezwładnić, oddać w ręce policji, wojska, oddziałów paramilitarnych, a nawet zabić.

Jeszcze bardziej przyspieszył. Opuścił szybę, żeby do środka wleciało trochę powietrza. Samochodem niebezpiecznie zarzucało.

Nigdy nikomu nie ufał. To nie w jego stylu. Uważał, że to ryzykowne. Każdy mógłby go zdradzić.

– W dżungli nikt nie słyszy, że płaczesz.

El Mestizo znowu przyspieszył. Otaczały ich ciemności. Mówił dalej, ale robił to tak, jakby kierował słowa w pustkę.

– Tak mawiał mój dziadek: „W dżungli nikt nie słyszy, jak płaczesz, więc zachowuj się jak mężczyzna. Czujesz, co masz tam, na dole, Johnny? To poczuj! Chyba masz jaja, co?”. To on zabrał mnie do burdelu, gdy miałem dziesięć lat. Teraz ten burdel należy do mnie.

To nie była rozmowa. Nawet na siebie nie patrzyli.

– Masz dzieci, Peter boy.

Samochodem znowu zarzuciło, tym razem mocniej. El Mestizo wyjął z kabury pistolet. Zrobił to bez uprzedzenia, mechanicznym ruchem.

– Masz dwóch chłopaków. Jesteś ojcem, więc rozumiesz.

Przyłożył pistolet do czoła, przycisnął palec do kurka i odciągnął go, aż rozległo się kliknięcie. Końcówka lufy uciskała go w skórę.

– Zanim urodziła mi się córka, nie szanowałem nawet własnego życia! Godzinami wysiadywałem w barze, grałem w rosyjską ruletkę, wkładałem do bębena dwa naboje i obracałem nim... o tak... a potem naciskałem spust. Bum! A gdy szliśmy spuścić wpierdol komuś, kto nie chciał bulić, przekonywałem innych, że szkoda tracić czas na gadanie, bo wcale nie musimy dawać facetowi wyboru. Mówiłem: „Przecież możemy przestrzelić cipę jego kobiety albo zabić na jego oczach gówniarza, może wtedy zrozumie”. Teraz daję im wybór, ostrzegam i dopiero gdy to nie skutkuje, robię bum!

Samochód jeszcze bardziej przyspieszył, gdy rozległ się „strzał” na niby. Potem El Mestizo zabezpieczył rewolwer i wsunął go z powrotem do kabury. Wyjął z kieszeni zwitek zielonych studolarówek i chwycił za gumkę, którą były owinięte.

– Dolary! – zawołał i pomachał nimi w powietrzu. – Tak czy inaczej, zawsze chodzi o pieniądze! Forsa i dolary

oznaczają władzę, Peter boy. Forsa i przemoc!

Wcześniej droga pięła się stromo pod górę. Teraz dla odmiany jechali w dół, ale po chwili znowu pojawiło się wzniesienie. Coraz trudniej było im oddychać.

– Jak chcę, mogę kupić pozwolenie na broń, przekupić policjantów, wojskowych i polityków. Wiem, że wolno mi zabić gliniarza, bo zapłacę cztery tysiące i wyjdę na wolność.

W samochodzie zapadła cisza. El Mestizo odezwał się dopiero, gdy dotarli na przedmieścia Medellín i zaczęli się zbliżać do centrum miasta. To ono stanowiło cel ich podróży.

– To jasne, że pieniądze są wszystkim.

Tym razem El Mestizo nie mówił już podwyższonym, agresywnym tonem. Głos miał miękki jak szept. Mówił tak cicho, że trudno go było usłyszeć nawet Hoffmannowi, który siedział tuż obok.

– Rozumiesz?

Hoffmann nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał i czy te słowa rzeczywiście wypowiedział siedzący obok niego człowiek, który był w stanie wojny z całym światem, osobiście odpowiadał za śmierć setek ludzi i krwawe jatki podczas walk o strefę wpływów. Dlatego po raz pierwszy podczas liczącej setki kilometrów jazdy odwrócił się do niego, żeby spojrzeć mu w oczy.

– A co tu jest do rozumienia?

Nie udało mu się jednak napotkać jego spojrzenia.

– Johnny?

Ale on już nie patrzył. Coś było zupełnie inaczej niż dotychczas. Coś, co nie miało związku ze snem i niepokojem i nie przypominało niczego, co El Mestizo kiedykolwiek wcześniej zrobił albo powiedział.

Jechali przez miasto prawie dwa razy większe od Sztokholmu, za którym Hoffmann coraz bardziej tęsknił. Ulicami, które zaczynały się w dzielnicach nędzy i kończyły na osiedlach dla bogaczy. Medellín to miasto, które lepiej omijać szerokim łukiem, bo liczba zabójstw jest w nim najwyższa na świecie. Stolica regionu, w którym wielu

Szwedów i obywateli innych państw skandynawskich porwano dla okupu, bo dochody ze sprzedaży kokainy okazały się niewystarczające. Medellín.

To tu wszystko się zaczęło i nabrało kształtu. To tu wybuchła wojna, która dała początek innym wojnom o wpływy w regionach. O terytorium i prawo do rządzenia i sprzedawania narkotyków.

Kartele z Cali, gdzie mieszkała jego rodzina, walczyły przeciwko kartelom z Medellín. Tak było na początku, w tamtej wojnie wojen. Wtedy wszystko wydawało się prostsze. Z czasem sytuacja znacznie się pogorszyła. Teraz tylko tutaj walczy przeciwko sobie piętnaście gangów. Wojna o wpływy rozprzestrzeniła się jak epidemia, która wybucha i gaśnie, i zagnieżdża się w każdym zakątku świata, w każdym państwie i mieście.

Zaparkowali na placu, wysiedli z wozu i wtopili się w tłum przechodniów. Razem weszli do hali targowej pełnej boksów i stoisk, na których piętrzyły się stosy świeżych owoców i warzyw. W hali unosił się nieprzyjemny zapach pieczonych potraw dochodzący z małych restauracji, obok których drobni kupcy oferowali błyszczącą biżuterię i kolorowe materiały. Hoffmann przypomniał sobie, jak w dawnych czasach, gdy był dzieckiem, przyjechał na rynek w Kivik w południowej Szwecji, a potem, jako dorosły, przychodził na plac Hötorget w centrum Sztokholmu i cieszył się obfitością towarów. Przypomniał sobie dawny rytuał, gdy targował się o cenę, aż do momentu, kiedy obie strony uznały, że są zadowolone. Jednak te wspomnienia nie miały nic wspólnego z tym, co zastał tutaj. Na targu w Medellín było tak ciasno, że co chwilę ktoś wbijał mu łokieć w bok i przez cały czas otaczały go spocone karki ludzi.

Najbardziej przeszkadzał mu wszechobecny smród. W miarę jak zagłębiali się między stragany, stawał się coraz intensywniejszy. Czuć było zbyt długo leżące ryby. Kiedy tu weszli, chciało mu się jeść, ale głód szybko minął.

Ktoś chwycił go za lewą rękę i pociągnął do siebie. Okazało się, że starszy mężczyzna chce mu sprzedać portfel z miękkiej skóry. Hoffmann nie zdążył się od niego odpowiednio szybko uwolnić, więc chwilę później dołączyła do nich kobieta, która mogła być żoną mężczyzny. Pokazała mu koszyczki wyplecione z kory. Uwolnił się od natrętnej pary i ruszył przed siebie ciasnym przejściem. Starał się iść jak najszybciej, aby mieć na oku tego, którego miał chronić.

W końcu obaj wyszli na zewnątrz. Minęli ostatnie stragany wypełnione kapustą, mięsem i kalafiorami i chwilę później ich oczom ukazał się pusty wyasfaltowany plac. Stały na nim zbite z desek krzesła i stoły, przy których siedziało dwunastu chłopców. Najmłodszy mógł mieć dziewięć albo dziesięć lat, najstarszy – trzynaście, nie więcej niż piętnaście.

Chłopcy siedzieli i czekali, jakby nie mieli nic innego do roboty. Aż do momentu, gdy ujrzeli El Mestizo.

Cała dwunastka jak na dany sygnał wstała i ruszyła w jego kierunku. Dwaj najstarsi mieli broń zatknietą za paski spodni. Na ich widok Hoffmann rzucił się do przodu, wyciągając z kabury rewolwer. El Mestizo powstrzymał energicznym ruchem ręki jego i chłopców. Hoffmann stanął pięć kroków przed nim, chłopcy zatrzymali się przy stołach i krzesłach.

Stali nieruchomo i udawali dorosłych. Chudzi, pryszczaci, niektórym sypnął się pierwszy wąs. Wpatrywali się w El Mestizo intensywnym wzrokiem z nadzieją, że wybierze któregoś z nich. Ten skinął po chwili ręką do jednego z chłopców siedzących pośrodku. Był niewysoki, w uszach miał duże, okrągłe kolczyki. Widać było, że jest z nich dumny, bo specjalnie zaczesał długie włosy za uszy, żeby ich nie zasłaniać. Ubrany był w czarny, trochę za duży T-shirt i wytarte dżinsy. Jego głos wskazywał na to, że zaczął przechodzić mutację. Mógł mieć najwyżej dwanaście lat, dopiero zaczął dojrzewać. Wyglądał jak inni chłopcy, ale tylko do momentu, gdy się poruszył. Jego chód i powaga, z jaką przywitał się z obu przybyszami, a także sposób,

w jaki śmiejąc się, odrzucał głowę, zdradzały pewność siebie. Nie był nadęty ani zarozumiały, a El Mestizo nie wybrał go tylko dlatego, że wysunął się przed innych chłopców. Nie musiał, bo była od niego powaga i autorytet, jakie rzadko dostrzega się u dzieci w jego wieku. Chłopiec wziął od El Mestizo zawiniątko, w którym była broń z magazynkiem, i trzymał je z szacunkiem, wciąż poważny i pewny siebie. Na pewno nieraz odbierał takie zawiniątko.

– Calle trzy S. Koło Carrera pięćdziesiąt dwa. Klatka schodowa siedemnaście. Czwarte piętro. Na drzwiach tabliczka z nazwiskiem Rodriguez.

Chłopak z uwagą słuchał wskazówek, które przekazywał mu El Mestizo. Nie miał kartki ani długopisu, wszystko musiał zapamiętać, żeby nie dostarczyć śledczym żadnych poszlak.

– Facet ma rzadkie, siwe włosy i okulary z czerwonymi oprawkami wiszące na łańcuszku. Siedemdziesiąt sześć lat. Nazywa się Luiz Rodriguez. Najpierw go spytaj, jak się nazywa. To ważne.

Żadnych pytań, żadnego wahania. Chłopak stał wyprostowany z zawiniątkiem w ręce. Jego zadanie polegało na tym, żeby zastrzelić człowieka, który podczas ich wizyty chronił swojego syna w taki sposób, że aż wzruszył Hoffmanna. Staruszek groził nawet El Mestizo.

– W magazynku masz dwa naboje.

Chłopiec uśmiechnął się, obnażając białe, zdrowe zęby.

– Wiem. Jeden w pierś, drugi w czoło.

Miał zaraźliwy uśmiech. Popatrzył najpierw na Hoffmanna, a potem na El Mestizo.

– To twój przyjaciel?

– Tak.

– Mam na imię Camilo. Jestem *sicario*. Współpracuję z twoim kumplem od trzech lat. Wykonałem dwadzieścia cztery zlecenia.

Camilo podał Hoffmannowi chudą rękę i mocno go uściśnął. Długo patrzył mu prosto w oczy. Hoffmann już widział takie spojrzenia w szwedzkich więzieniach, gdzie

odsiadywał wyroki. Była w nich gotowość do zabijania i to nie raz, tylko wiele razy, bez końca.

– *Dar papaya*, okej?

El Mestizo wyjął z pliku banknotów owiniętych gumką dwie studolarówki.

– *Dar papaya*.

Chłopak znowu się uśmiechnął. Oczywiście, że zrobi to bez zbędnego ryzyka. Gwarantował to przy każdym zleceniu. Odwrócił się i ruszył w stronę targu, minął kram z owocami, restaurację i wtopił się w tłum.

– Ten chłopak to prawdziwy weteran, Peter boy. Znam go na tyle dobrze, że mogę mu zapłacić z góry. Robi swoje, wraca i oddaje broń. Za każdym razem używa dwóch kul. Tak jak wtedy, gdy zaufałem mu pierwszy raz.

Zostawili za sobą zбитy z desek stół, ale zanim skręcili za róg, Hoffmann jeszcze raz się odwrócił i popatrzył na chłopców, którzy nadal siedzieli w tym samym miejscu z nadzieją, że następne zlecenie trafi w ich ręce.

Kiedy doszli do samochodu, El Mestizo znowu usiadł za kierownicą.

– Mamy jeszcze jedną sprawę.

Jaką sprawę? Hoffmann zerknął na zegarek. Do spotkania z Wilsonem została mu niecała doba.

– Jesteśmy blisko, a ja i tak muszę poczekać na odbiór broni od chłopaka. Clínica Medellín na Carrera siedem. To niedaleko.

Ten głos... Znowu czaił się w nim niepokój. Hoffmann był już pewien – to właśnie z tego powodu szef kazał mu jechać okreśną drogą. Chciał odwiedzić kogoś w szpitalu. Dwudzieste piąte zlecenie dla Camilo wcale nie było głównym powodem ich obecności tutaj – chłopak dostał je jakby przy okazji.

Niepokój. Tylko z jakiego powodu?

El Mestizo, którego Hoffmann znał i z którym współpracował, był inny. Groził, zabijał, ranił i nigdy nie okazywał strachu ani żalu.

– Mój ojciec chodził na kurwy.

Ale był też inny El Mestizo, a raczej Johnny. A gdy Johnny mówił do niego tak jak teraz albo kilka godzin wcześniej, całkowicie nie przypominał El Mestizo.

– Moja mama była prostytutką. Dwa razy próbowała mnie podpalić... rozumiesz? Chciała się mnie pozbyć. Oblała mnie benzyną z kanistra i podpaliła. Czasem myślałem, że przeprosi, ale nie zrobiła tego. Kiedyś zjawili się inni... Robili to, co my teraz. Nauczyli mnie życia. Wśród tych wszystkich okropności, takich jak dzisiaj i wczoraj, zaopiekowali się mną. Rozumiesz, co mam na myśli? Byli dla mnie wszystkim, więc robiłem, co mi kazali, a nawet więcej. Dla nich strzelałem. A potem znowu. I dalej to robię.

W całym mieście panował ożywiony ruch. Dwa razy gwałtownie zahamowali, żeby nie wjechać w jadący przed nimi samochód, który chwilę wcześniej też nagle zahamował. Trąbili na innych kierowców, a ci trąbili na nich. Omijali przechodniów, którzy odskakiwali sprzed maski.

W końcu dotarli na miejsce.

Wielka tablica informacyjna wskazywała dojazd do głównego wejścia do szpitala. Asfaltem dojechali do wysokiego na dwadzieścia pięter budynku z białą fasadą. Hoffmannowi przyszły na myśl trzy słowa: jak tu czysto. Zupełnie jakby przed chwilą ktoś rozpakował gotowe elementy, złożył je w całość i postawił dom.

– Dorastałem w moim burdelu w Cali. Tam pracowała moja mama. Nawet się tam urodziłem. Katolicki ksiądz przyjął poród w łóżku, które było miejscem pracy mojej mamy. Pokój numer osiem. Teraz stoi pusty i nikomu nie wolno z niego korzystać. W tym samym łóżku zostałem poczęty. Ale zmienili w nim pościel. Mama czasem wspomina: „Zażądałam, żeby zmienili pościel, miała być czysta, gdy przyjdiesz na świat”.

Przed budynkiem znajdowały się dwa miejsca postojowe dla niepełnosprawnych. El Mestizo wjechał na nie, zajmując oba. Zazwyczaj nie robił takich rzeczy. Był człowiekiem brutalnym, ale nie złośliwym i nie grał despoty. Zresztą nie

musiał, bo jego władza była oczywista. Tylko ktoś, kto nie jest pewien swojej pozycji i władzy, niepotrzebnie zajmuje miejsce. Hoffmann zupełnie go nie poznawał: był to El Mestizo, który próbował sobie zrekompensować coś, czego nie był pewien, czy nadal to ma.

W bagażniku samochodu stała przenośna lodówka. Od Cali wydawała z siebie głośnie brzęczenie, bo przez całą drogę była włączona do prądu. Johnny odebrał ją z portu w Buenaventurze, gdy byli na pokładzie tego samego meksykańskiego okrętu, na którym raz na tydzień kupowali do burdelu alkohol z przemytu. Johnny sam zniósł lodówkę z pokładu, a teraz wniósł ją przez główne wejście szpitala. Minął kwiaciarnię, jadalnię i recepcję i skierował się do wind.

Nacisnął guzik z liczbą osiemnaście i winda szybko ruszyła w górę. Taką jazdę czuje się w żołądku. Hoffmann przypomniał sobie, jak czasem chodzili z Rasmusem i Emilem do wesołego miasteczka Gröna Lund w dzielnicy Djurgården w Sztokholmie. Śmiali się potem całą drogę do domu.

W budynku pachniało szpitalem. Wystarczyło zrobić jeden krok i już było się w miejscu, w którym nadzieja mieszała się z chorobą i śmiercią. Johnny nikogo o nic nie pytał i nawet się nie rozglądał. Wyglądało na to, że wie, dokąd idzie. Oczekiwał tylko jednego: że jego ochroniarz pójdzie za nim.

Mijali sale gęsto zastawione łózkami. Chorzy spoglądali na nich zmęczonymi, pustymi oczami, jakby chcieli powiedzieć: „Wejź i zabierz mnie stąd”. Właśnie tego chcieli. Hoffmann to widział i czuł. Ci ludzie chcieli do domu i nie mieli ochoty przyzwyczajać się do szpitalnego zapachu.

Zrównał się z El Mestizo i zerknął na jego twarz. Nie zauważył na niej śladów niepokoju, tylko jakby strach. Dziwne, jak na człowieka, który nigdy niczego się nie boi.

Pokój znajdował się na samym końcu korytarza. W środku przebywała tylko jedna pacjentka, więc było w nim dużo wolnego miejsca. Kobieta leżała na metalowym

łóżku na kółkach i miała zamknięte oczy. Być może spała. Spoczywała na plecach, na wygniecionej pościeli. Pociła się, włosy przykleiły jej się do czoła i policzków, na skórze wykwitły czerwone plamy. El Mestizo otworzył okno i do środka wpadło ciepłe powietrze. Hoffmann zerknął na kobietę. Nie umiał określić jej wieku, bo była zniszczona życiem, ale ocenił, że może mieć sześćdziesiąt lat albo nawet więcej. Przewód łączący jej lewą rękę z plastikową torebką wisiał na chybotliwym metalowym stelażu i doprowadzał do jej ciała po jednej kropli jakiejś cieczy, pewnie lekarstwa.

Kobieta miała farbowane włosy. Odrosty były posklejane i siwe. W zgięciu prawej ręki widać było wyraźne ślady po igle. Tuż nad nimi Hoffmann zauważył nieregularne blizny. Przypuszczał, że powstały od cięć zadanych cienkim ostrzem brzytwy. Domyślił się, że kobieta cięła się przed laty. Grzbiety obu dłoni wyglądały tak samo jak spody stóp – pokryte drobnymi śladami po setkach nakłuć. Z czasem zsiniały i podeszły ropą. Gdyby ktoś zawiesił wokół jej kostki kartkę, jaką w szpitalach oznacza się zmarłych pacjentów, można by ją przenieść do kostnicy.

El Mestizo podszedł do łóżka i wziął ją za rękę. Kobieta obudziła się. A może tylko otworzyła oczy?

– Dzień dobry, mamó.

Zerknęła na rozświetloną jarzeniówkę pod sufitem.

– Johnny.

Zręczliwy, słaby głos, jakby za chwilę miał się załamać. Nagle zebrała siły, a jej głos nabrał ostrości.

– Gdzie moje pieniądze?

El Mestizo nadal trzymał ją za dłoń. Drugą ręką wskazał okno.

– Bóg jeden wie, gdzie są twoje pieniądze, mamó. Ale domyślam się, że mówisz o moich pieniądzach?

Kobieta leżała do tej pory nieruchomo, jak nowo narodzone pisklę. Nagle dokonała się w niej gwałtowna zmiana; usiadła w łóżku, oparła się mocno na rękach i krzyknęła:

– Ty brudny, pieprzony mieszańcu, oddawaj mi pieniądze! Natychmiast!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu. Był w średnim wieku, na klapie fartucha miał plastikowy identyfikator. Wynikało z niego, że jest lekarzem.

– Dzień dobry.

Przywitał się z El Mestizo. Widać było, że się znają.

– Udało nam się zbić wysoką gorączkę, o której informowałem pana w nocy. Ustąpiła kilka godzin temu.

Lekarz rozmawiał tylko z El Mestizo i tylko na niego patrzył. W ogóle nie zwracał uwagi na kobietę, która siedziała w łóżku z zaczerwienioną twarzą i gwałtownie oddychała. Po jego minie widać było, że nie lubi swojej hałaśliwej pacjentki i woli rozmawiać z jej synem, który za wszystko płacił.

– Ze względu na jej stan sugeruję, aby przyspieszyć dostawę.

Potem skinął im głową, wziął przenośną lodówkę i wyszedł na korytarz.

– No to dostałaś, czego ci potrzeba, i to za moje pieniądze.

Kobieta znowu chciała krzyknąć, ale El Mestizo ją uprzedził.

– Za to nie dostałaś tego, co chciałaś.

Pocałował ją w policzek i wyszedł z pokoju. Hoffmann ruszył za nim, ale zdążył jeszcze zerknąć na kobietę, która nie przypominała już pisklęcia. Miała jasną cerę, co oznaczało, że to ojciec El Mestizo był Indianinem.

Jej ostry głos przebijał się przez zamknięte drzwi i ścigał ich na korytarzu. Kobieta klęła po hiszpańsku, używając miejscowych zwrotów, które Hoffmann często słyszał na targowiskach. Zrozumiał tylko ten ostatni, gdy posyłała ich obu do wszystkich diabłów.

Długo czekali na windę, która miała ich zwieźć z osiemnastego piętra na parter. Hoffmann dopiero teraz zrozumiał, skąd wziął się niepokój Johnny'ego i jego ciężki sen. Nie chodziło o to, że miał wyrzuty sumienia, bo

skrzywdził człowieka, albo nie mógł znieść krzyków torturowanego w dżungli Amerykanina. Chodziło tylko o krzyk jego matki połączony z jej pogardą dla niego.

Windą jechali w milczeniu. W końcu Hoffmann nie wytrzymał i spytał:

– Twoja matka oblała cię benzyną i podpaliła?

– Tak.

– Wyrzuciła cię z domu, gdy miałeś jedenaście lat? Chciała się ciebie pozbyć?

– Tak.

– A ty zapewniasz jej taką opiekę?

– To moja matka. Z krwi i kości. Czy w twoim kraju ludzie nie rozumieją takich rzeczy, Peter boy?

Po chwili znaleźli się w holu przy wejściu. Przy ścianach stały wózki szpitalne. Pacjenci wychodzili na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, albo kierowali się do któregoś ze stolików w kawiarni. Nagle El Mestizo się zatrzymał.

– Matka mieszka w małym domu, który jej kupiłem. Regularnie ją odwiedzam, a w przenośnych lodówkach przywożę jej leki antyretrowirusowe, które ciężko u nas dostać. Matka ma HIV. Daję jej też jedzenie, ale nie pieniądze. Tylko jedzenie.

Hoffmann spuścił wzrok, jakby chciał zasygnalizować, że nie musi tego wszystkiego wiedzieć. Ale El Mestizo nie zamierzał kończyć. Widać było, że ma jeszcze coś do opowiedzenia.

– Właściwie mógłbym jej dać więcej, bo pewnie zauważyłeś, że żąda ode mnie więcej. Ale wtedy pomógłbym jej zaćpać się na śmierć.

Podczas rozmowy przeszli przez poczekalnię i znaleźli się przy wyjściu. Drzwi rozsunęły się przed nimi. W tym miejscu wiatr był prawie niewyczuwalny. Kiedy znaleźli się przy samochodzie zaparkowanym na miejscach dla niepełnosprawnych, pod wejście do izby przyjęć podjechała karetka z pulsującym niebieskim światłem i włączoną syreną. El Mestizo ruszył w jej stronę pospiesznym krokiem.

Gdy pierwszy sanitariusz wysiadł z wozu, żeby otworzyć tylne drzwi i wyciągnąć nosze, El Mestizo stanął przy nim i chwycił go za ramię.

– Co się stało?

– Nie mogę powiedzieć.

Jeszcze zanim sanitariusz skończył mówić, El Mestizo wyjął z kieszeni plik banknotów, połuzował gumkę, którą były związane, i wysupłał z niego studolarowy banknot.

– Spytałem jeszcze raz: co się stało?

Sanitariusz wzruszył ramionami i pochylił się w jego stronę.

– No dobrze... ten, co tu leży, i tak nie usłyszysz. – Mówiąc to, wskazał na nosze i człowieka przykrytego prześcieradłem. – Była strzelanina.

– Czy to poważna sprawa?

– Śmierć to poważna sprawa.

– Jak zginął?

– Dostał dwie kule... jedną w pierś, drugą w czoło.

El Mestizo zerknął na nosze, a potem na Hoffmanna. Był zadowolony. Podczas krótkiego pobytu udało mu się załatwić dwie sprawy.

HOFFMANN ZAPARKOWAŁ NA JEDNYM z dwóch prywatnych miejsc należących do El Mestizo przed wejściem do La Casa Heaven. Począł, aż Johnny wysiądzie z wozu, i przesiadł się do własnego samochodu zaparkowanego za hotelem. Zapalił silnik i zamierzał ruszyć, ale w tej samej chwili El Mestizo otworzył drzwi od strony pasażera i wsunął głowę do środka.

– Chodź ze mną.

– Jadę do Marii i chłopców. Stęskniłem się za nimi.

– Zrób sobie przerwę. Napijemy się kawy albo piwa. A może masz ochotę na młodą kobietę? Firma stawia.

El Mestizo zawsze był wymagający. Jego słowa, oczy, nacisk... Jednak tym razem był inny niż wtedy, gdy komuś trzeba było pogrozić albo nawet zabić. Hoffmann zauważył, że Johnny ma radosną minę. Szukał z nim kontaktu, jak zawsze, gdy coś mu się udało i chciał się tym nacieszyć. Teraz wydawało się, że nie ma się z kim podzielić radosną nowiną. Był tutaj sam, chociaż zapadł wczesny wieczór, a w środku czekało ponad osiemdziesiąt kobiet, które zostaną dopóty, dopóki mężczyźni, którzy zjawiają się w burdelu, będą traktować je jak inwestycję, która ma dać dochód.

– Przykro mi, Johnny, ale obiecałem Marii i muszę jechać do domu.

Hoffmann znowu uruchomił silnik i odjechał. Dopiero potem, gdy zostawił za sobą El Mestizo i ulicę z burdelami, poczuł gwałtowny natłok myśli. Dopóki był z nim – w samochodzie, helikopterze albo w obozie partyzantów – nie chciał myśleć. Teraz, gdy został sam, nie miał już wyjścia. Nie chodziło o wspomnienie torturowanego prądem i zamkniętego w klatce człowieka, bo takie zdarzenia w tym świecie powszednieją. Chodziło o drony i listę śmierci, z której już dobiegła publikacja odhaczono pierwsze nazwisko, chociaż Wilson i El Mestizo zapewniali go, że wojna będzie się toczyć długo. Chodziło o rodzinę, którą

rozerwała bomba, o dym, ogień i dom, który zamienił się w ruinę. O szczątki mężczyzny, kobiety i dwójki dzieci zidentyfikowanych tylko dzięki kartom dentystycznym i testom DNA.

– Cześć... to ja.

Nie powinien dzwonić z samochodu, ale chciał usłyszeć jej głos, za którym tęsknił i który go uspokajał.

– Żyjesz. – Zofia starała się mówić spokojnie, ale z trudem panowała nad głosem.

– Tak.

– Piet?

– Słucham?

– Musimy porozmawiać.

Wiedział, że kiedyś do tego dojdzie. Nad Zofią i ich dziećmi ciążył wyrok śmierci. Wydano go na niego, a przy okazji na nich. I dotychczas nie mogli o tym porozmawiać, dźwigać tego brzemienia wspólnie. Zastanawiał się, gdzie była, kiedy usłyszała wiadomości i zrozumiała, że to jej mąż ma umrzeć. Powinien być przy niej, wziąć ją za rękę, bo gdy trzymają się za ręce, wszystko inne przestaje istnieć.

– Odbiorę Rasmusa i Emila.

Zastanawiał się, jak to zabrzmiało. Wiedział, że powinien być poruszony, że jego reakcja nie była normalna. Groziła mu śmierć, więc powinien odczuwać strach, złość albo zdecydować się na ucieczkę, albo też wszystko naraz. Tyle że jego życie wygląda tak od dawna. Dzieci zabijały na zlecenie, on zabijał ofiary strzałem w czoło, jedni ludzie byli torturowani, inni grzebali trupy za parę tysięcy dolarów na głowę.

– Jesteś ostatnią osobą, która powinna ich odbierać.

– Tylko ja zapewnię im bezpieczeństwo w drodze od señory Vegi do domu.

W pierwszym roku po przyjeździe do Kolumbii Zofia i chłopcy nie wychodzili z domu. Dawała im lekcje, a hiszpańskiego uczyli się razem z płyt CD jakiegoś wydawnictwa edukacyjnego. Szybko się okazało, że chłopcy opanowali nowy język lepiej od rodziców. Potem trzeba było

poszukać innego rozwiązania. Zofia tęskniła za normalnym życiem, a dzieci musiały się dalej kształcić. Ona znalazła pracę jako nauczycielka angielskiego, a dla dzieci zatrudnili prywatną nauczycielkę, której przeszłość gwarantowała, że będzie przestrzegać zasad bezpieczeństwa ustanowionych przez oficer prowadzącą Lucię Mendez. Señora Vega codziennie uczyła chłopców w swoim domu. Jeden miał sześć lat, drugi osiem. Obaj przewyższali wiedzą rówieśników, bo mieli stały i bezpośredni kontakt z nauczycielką. Za to pod względem społecznym znajdowali się daleko za nimi. Brak kontaktów z innymi dziećmi stał się z czasem bardzo odczuwalny. Cała rodzina płaciła wysoką cenę za życie, które zafundował im Hoffmann.

– Dobrze. Odbierz ich, a potem porozmawiamy.

O tym, o czym nie mogli rozmawiać przez telefon... O tym, że przez niego zginą nie tylko oni, ale także ich dzieci.

– Zgoda... ale potem. Najpierw spędzimy razem wieczór. We czwórkę. Kolacja, telewizja, usypianie chłopców i... – Rozłączył się. Nie był jeszcze gotowy.

A przecież nigdy nie płakał.

Zatrzymał się przed wejściem do trzypiętrowego budynku przy Valle del Cauca. Zadbany dom w tej samej dzielnicy, w której mieszkali oni. Biało-żółta fasada lśniła czystością.

Wysiadł z samochodu i podszedł do starego golfa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Zapukał w zaciemnioną szybę od strony kierowcy i po sekundzie ktoś ją opuścił. Hoffmann przywitał się z uzbrojonym mężczyzną z prywatnej firmy ochroniarskiej, którą poleciła mu Mendez, gdy pierwszy raz rozmawiali. Zerknął na ochroniarza i zauważył, że pasek zabezpieczający rewolwer w kaburze przy biodrze jest odpięty. Rutynowe postępowanie, gdy ktoś się zbliża. Na tylnym siedzeniu leżał rottweiler. Hoffmann rzucił mu trochę psich smakołyków, bo wiedział, że pies na nie czeka.

– Wszystko w porządku, Zacarias?

– Tak, proszę pana.

– To dobrze. Możesz jechać do domu. Pozdrów ode mnie Palmirę.

Hoffmann przeszedł na drugą stronę ulicy i uważnie się rozejrzał, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wbił kod do domofonu i przez chwilę obserwował ruch kamer monitoringu. Mieszkanie, do którego szedł, znajdowało się na trzecim piętrze. Drzwi otworzył mu Rasmus. Zawsze był szybszy od brata.

– Tata!

Chłopiec mocno go objął. Był jeszcze w tym wieku, że nie wstydział się czułości.

– Tato, a co to jest?

– Co?

– To.

Rasmus dotknął czubkiem palca długiego rozdarcia na wysokości piersi po lewej stronie kamizelki kuloodpornej. Hoffmann dopiero teraz zauważył osmalone miejsce. To musiało się zdarzyć w czasie jednego z najsilniejszych wyładowań elektrycznych, gdy El Mestizo torturował Crouse'a.

– To zwykła dziura. Zaczepiłem o kolczasty krzak. Tobie też się to czasem zdarza.

Teraz chłopiec jeszcze bardziej zainteresował się kamizelką, ale Hoffmann odsunął jego dłoń. Postanowił wymienić kamizelkę na nową.

– Tato? – W przedpokoju pojawił się Emil ze słuchawkami na głowie. W przeciwieństwie do Rasmusa nie objął ojca. Głowę miał lekko przechyloną.

– Tak?

– Mogę usiąść za kierownicą i zawieźć nas do domu? Tak jak wtedy, gdy Rasmus był chory i przyjechałeś tylko po mnie?

– Trochę nam się spieszy, synku. A nawet gdybym się zgodził, to i tak posadziłbym za kierownicą Rasmusa. Tak byłoby sprawiedliwiej, prawda?

– Ale on jest jeszcze mały.

– Ty też.

Po czternastu minutach Hoffmann stanął przed domem. W oknie zauważył Zofię. Mimo że dzieliła ich odległość, wiedział, że chociaż żona nie okazuje emocji, pod maską spokoju kryje się strach. Widać było po niej ślady zmęczenia. Od ich ostatniego spotkania źle sypiała. Przy oknie musiała stać już od jakiegoś czasu. Na ich widok wyszła z domu.

– Moi kochani.

Najpierw serdecznie uściskał ją Rasmus, potem bardziej powściągliwie Emil, który trochę się wstydził także przed mamą. W końcu Zofia objęła Hoffmanna. Przez chwilę liczyło się tylko to, że są mężem i żoną – byli tylko oni, spokojni i bezpieczni. Zofii przypomniał się dzień, gdy postanowiła mu towarzyszyć, wytrwać u jego boku, uciec do innego kraju. Zgodziła się pod jednym warunkiem – że od tej pory będzie o wszystkim jej mówił. Zrezygnuje z kłamstw, bo te nigdy się nie kończą, a w miarę upływu czasu zmieniają formę i treść, dopasowując się do rzeczywistości i do kolejnego kłamstwa. Wieczór przebiegał zgodnie z jego życzeniem. Nie rozmawiali o niepewności, która nie dawała im spokoju i szukała ujścia. To miał być zwykły rodzinny wieczór. Jedli, pili, bawili się z dziećmi, rozmawiali o lekcjach, siedzieli razem na kanapie przed telewizorem, Hoffmann przeczytał chłopcom bajkę na dobranoc, a kiedy skończył, obaj leżeli z zamkniętymi oczami i lekko pochrapywali. Tylko raz jego codzienność zakłóciła ten wieczór – gdy rozległ się głośny trzask na piętrze, zareagował instynktownie, wyszarpnął z kabury rewolwer i kilkoma susami pobiegł na górę. W pokoju zastał Rasmusa, który stał nad rozbitą doniczką. Chłopiec tłumaczył się: „Przepraszam, tato, nie chciałem” i wtedy Hoffmann zrozumiał, że trzask rozbitej doniczki przypomina huk wystrzału.

Kiedy zszedł na dół, Zofia siedziała przy stole, na którym leżała nierozwiązana krzyżówka. W ręce trzymała długopis. Dziwne, bo zawsze wolała rozwiązywać krzyżówki ołówkiem. W razie błędu litery można było zetrzeć i wpisać

nowe. Jednak tym razem krzyżówka miała pozostać niedokończona.

Hoffmann pocałował ją w policzek i wziął za rękę. Czekał. W końcu Zofia odłożyła długopis i popatrzyła na niego uważnym wzrokiem.

– Już się zaczęło – powiedziała.

Hoffmann od razu zrozumiał, co miała na myśli.

– Nie tylko on – dodała. – Cała jego rodzina. Słyszałeś o tym?

– Tak.

Wzięła do ręki pilota od telewizora, który leżał w misie z owocami, i włączyła lokalny kanał. Akurat szły wiadomości. W pierwszej relacji pokazano, co pozostało z miejsca, w którym doszło do ataku drona; potem przebitka na Biały Dom, a na końcu pojawiła się lista z nazwiskami na tle kart. Zofia przełączyła na następny kanał – państwową Señal Colombia, a potem na CNN, BBC i Al Jazeera World. Na każdym kanale prezentowano te same materiały. Zagubienie, które kryło się w oczach Zofii, gdy Hoffmann wrócił do domu, znikło jak za dotknięciem różdżki. Teraz jej oczy były jasne i bystre.

– Rozumiesz? Oni nie żartują. To się dzieje naprawdę, Piet. Teraz, na naszych oczach.

Zofia nie krzyczała. W jej głosie nie było strachu, paniki ani złości. Mówiła rzeczowym, spokojnym, a nawet zbyt spokojnym tonem.

– Szukają i ciebie, i nas. Wiedzą, że używasz pseudonimu El Sueco i masz północnoeuropejską urodę. W jakimś programie podali nawet, że skandynawską, więc możesz być Szwedem, Duńczykiem, Norwegiem, Finem albo Islandczykiem. Jak myślisz, ile czasu potrzebują, żeby namierzyć w Kolumbii kogoś, kto oficjalnie nazywa się Peter Haraldsson i mieszka w Comuna pięć w Cali?

Po raz pierwszy poszukała jego dłoni i mocno chwyciła za trzy palce, jakie mu pozostały.

Wtedy w hotelu we Frankfurcie... Zrobili tam pierwszy postój po ucieczce ze szwedzkiego zakładu karnego

o zaostrowym rygorze, dzięki czemu wymknął się także z rąk polskiej mafii, w której działał jako wtyka szwedzkiej policji. Wtedy Zofia też trzymała go za rękę, tak jak teraz, tyle że w palce wdało się zakażenie. Kiedy bowiem wychodził z rury wentylacyjnej, w której ukrywał się przez cztery dni, i chwycił dłonią za metalowy brzeg, żeby się z niej wydostać, był pod tak silnym wpływem adrenaliny, że nawet nie zauważył, że skórę i tkankę mięśniową z czubków palców zdarł sobie aż do kości. Dwa palce były w tak złym stanie, że nie dało się ich uratować i zostały amputowane. To ona usunęła martwą tkankę, a kikuty owinęła w sterylny opatrunek, który zmieniała kilka razy dziennie. Wmuszała w niego potężne dawki antybiotyku, a gdy po ośmiu dniach kuracji miała pewność, że nie zdołała powstrzymać infekcji, postanowiła jeszcze bardziej skrócić kość. Użyła długiego noża do krojenia warzyw, który wygotowała we wrzącej wodzie, a przed zabiegiem podała mu pięć tabletek morfiny. Wykonała cięcie, aż dotarła do zdrowej, czystej tkanki. Fragment skóry skleiła klejem chirurgicznym. Kiedy nóż zawiódł, wymieniła go na mały sekator, którym łatwiej było ciąć kość.

– Nie zostaniemy ani w Kolumbii, ani w ogóle w Ameryce Południowej. Mówię o sobie i o chłopcach. To bez znaczenia, że zwykli ludzie, których tu spotykamy, są mili, jeśli ci, których ty znasz, gardzą życiem.

– Nie mogę teraz wrócić do Szwecji. Czeka mnie dożywocie. Nie mogę iść siedzieć. Nie zniosę tego. My tego nie zniesiemy. Byłoby tak, jakbym was porzucił, moją rodzinę.

– To nie podlega negocjacji. – Zofia zaakcentowała każde słowo oddzielnie, wyartykułowała je boleśnie powoli, jakby chciała, żeby docenił ich wagę. W końcu jej decyzja miała całkowicie zmienić ich życie. – Dożywocie to nie śmierć. Śmierć w tym kraju to po prostu inna forma porzucenia rodziny.

– Posłuchaj...

– Kiedy nas dopadną? Jak nie wyjedziesz z nami, my wyjedziemy bez ciebie. Do domu. Na zawsze.

– To nie jest taka wojna, jak myślisz. Zanim nas dopadną, minie trochę czasu. Jestem jedyną osobą z listy, o której prawie nic nie wiedzą. – Hoffmann pogłaskał ją po policzku. Zofia lekko się przed nim uchyliła. – Będziemy musieli poprawić nasze bezpieczeństwo. Od tej pory chłopcy nie będą już chodzić do señory Vegi, a ty zrezygnujesz z pracy w szkole. Nie możemy też tu dłużej mieszkać. Już kiedyś mieliśmy nieproszonych gości, a jeśli partyzanci znają to miejsce, inni też mogą się o nim dowiedzieć. Jutro przed świtem wyprowadzimy się z Los Guayacanes. Do czasu, aż sytuacji się ułoży, zamieszkamy gdzie indziej.

Hoffmann miał na myśli swoją kryjówkę w innej części Cali. Za mieszkanie w najbiedniejszej dzielnicy, Comuna 6, zapłacił niezbyt wygórowaną kwotę. Pełne wąskich zaułków osiedle znajdowało się bezpośrednio nad brzegiem rzeki i groziła mu zagłada, chociaż władze miasta stale naprawiały wały. Hoffmann przerobił nowe mieszkanie na coś w rodzaju bunkra ochronnego, w którym zagrożenie zredukował do poziomu numer dziewięć na swojej własnej skali bezpieczeństwa. Tym samym zbliżył się do zabezpieczeń, jakimi cieszył się w Białym Domu prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Piet... ty mnie chyba nie słuchasz. Nie zamierzam się nigdzie przeprowadzać. Nie chcę ciągle uciekać. Chcę wrócić do domu.

– Daj mi tydzień na rozwiązanie tego problemu. Mam plan. Zaufaj mi. Jutro idę na spotkanie, to pierwszy etap tego planu. Mam się spotkać w Bogocie z Wilsonem. Jutro zadzwonisz do szkoły i powiesz, że jesteś chora. Potem zadzwonisz do señory Vegi i powiesz, że chłopcy też zachorowali. Nie musimy się pakować ani kupować jedzenia. Tam będziesz musiała tylko przestrzegać zasad, które ci przekażę. W najgorszym wypadku użyjesz broni. Umiesz się nią posługiwać.

Zważywszy na sposób, w jaki były zabezpieczone drzwi, do takiej sytuacji nie powinno w ogóle dojść. Hoffmann miał jednak nadzieję, że dzięki jego słowom Zofia poczuje się pewniej.

– Broni?

Od razu zrozumiał, że jego nadzieje były płonne.

– Już zacząłem realizować mój plan. Obiecuję, że przeżyjemy.

– Mówiłam, że nie chodzi mi tylko o to, żeby przeżyć.

Zofia przestała nad sobą panować. Była tak zrozpaczona, że zaczęła krzyczeć.

– Powiedziałam ci, że chcę żyć! I to nie sama, ale z tobą i z dziećmi.

Jej głos sprawiał Hoffmannowi ból. Odbił się echem w jego wnętrzu i wypełnił cały dom. Chwilę odczekał, a potem znowu ją objął.

– Zofio, ja...

– Daję ci tydzień. Na ten czas zgadzam się siedzieć w zamknięciu.

Zerknęła w kierunku schodów prowadzących na piętro i ściszyła głos prawie do szeptu.

– Potem przestanę czekać. Nawet na ciebie.

DOCHODZIŁA WPÓŁ DO TRZECIEJ w nocy. Dyżurna przeprosiła szefa sztabu, że dzwoni do niego o tak późnej porze. Poinformowała go, że e-mail, który przed chwilą wpłynął na oficjalny adres Białego Domu, zawierał załącznik, którym jej zdaniem ktoś powinien się natychmiast zająć. Był to film o długości minuty i czterdziestu trzech sekund.

Specjalista z NGA stwierdził później, że nadawca wysłał mail z innej kafejki internetowej i innego adresu IP niż za pierwszym razem, ale kafejka też znajdowała się w centrum Bogoty, a adresatem również był prezydent Stanów Zjednoczonych.

Film składał się z jednego, długiego ujęcia, które nie zostało poddane obróbce. Posłużono się statywem, który stał dwa metry przed zamkniętą klatką.

Po obejrzeniu filmu szef sztabu Perry i wiceprezydent Thompson długo nie mogli dojść do siebie. Kiedy na ekranie monitora stojącego na niskim stoliku kawowym pojawiło się ostatnie, nieruchome ujęcie, zamilkli i czekali, aż ktoś odezwie się i puści nagranie od początku. Oglądali je siedem razy i za każdym razem dostrzegali coś nowego.

Od razu rozpoznali siennik i czerwoną plastikową miskę na jedzenie. Widzieli je na pierwszym nagraniu, które dostali jako dowód, że przewodniczący Crouse wciąż żyje. Łańcuch wokół szyi zauważyli dopiero w połowie drugiego odtwarzania, gdy pojawił się ciemny cień. Podczas czwartego Perry zwrócił uwagę na prawą stopę Crouse'a i głębokie rany na palcach, z których zdarto paznokcie. Za piątym razem zauważyli opuchliznę na dłoniach i rękach, siniaki i zadrapania na skórze. W trakcie siódmego odtworzenia rzucił im się w oczy otwór zrobiony w podłodze klatki i przewody elektryczne. Domyślili się, że porywacze posłużyli się metodą tortur, o której wcześniej słyszeli, choć nigdy nie mieli do czynienia z konsekwencjami jej stosowania.

Tym razem nagranie zawierało dźwięk i żądania.

Perry jeszcze raz przesunął kursorem po ekranie i ustawił go na osi czasu na trzydziestej drugiej sekundzie. Przewodniczący Crouse trzymał się mocno bambusowych krat i cichym głosem, prawie szeptem, odczytywał tekst umieszczony na czymś w rodzaju tablicy na wysokości obiektywu kamery. Jego zmęczone oczy śledziły rzędy liter tworzące angielski sztywny i nieco biurokratyczny tekst:

– Ja, Timothy D. Crouse, jestem w bardzo dobrej kondycji. Moi gospodarze traktują mnie dobrze i z szacunkiem.

Perry i Thompson znali już na pamięć każde słowo, które Crouse wypowiadał z widocznym bólem. Czuli go nawet tutaj, w wygodnych fotelach pięknego gabinetu w Białym Domu.

– Panie prezydencie, wciąż żyję, ale jak długo jeszcze? To zależy od pana.

Tim Crouse był silnym i upartym człowiekiem. Takim jak on niełatwo złamać kręgosłup.

Na jego skórze widać było ślady bicia. Wstrząsały nim drgawki obejmujące brzuch, ręce i nogi, wywołane porażeniem elektrycznym. Pusty wzrok przewodniczącego świadczył o tym, że poddawano go też innym torturom.

Łamali go systematycznie, krok po kroku.

– Apeluję więc, aby oddziały, które osobiście tworzyłem z myślą o ich wykorzystaniu na terenie Kolumbii, zostały natychmiast rozwiązane. Niech ustanie nasza imperialistyczna agresja i prowokacje wymierzone w kolumbijski naród.

Stało się jasne, jaki był powód porwania Crouse'a. Chodziło o jego oddziały.

Ich zadanie polegało na rozbijaniu całego łańcucha produkcyjno-transportowo-dystrybucyjnego na terenie Kolumbii. Swoją misję realizowały poprzez niszczenie wytwórni kokainy, konfiskatę dostaw, przejmowanie transportów broni, niszczenie magazynów, palenie upraw koki. Krótko mówiąc, miały unicestwić całą kokainową infrastrukturę.

– Jeśli będziecie współpracować, będę mógł dalej żyć u boku moich bliskich. Tak jak wy żyjecie u boku swoich.

Przekaz zawierał też informację o tym, że apel przewodniczącego Crouse'a, nagrany przez niego z własnej nieprzymuszonej woli, powinien zostać rozesłany bez ingerowania w jego treść do wybranych mediów.

– Najważniejsze jest to, żebyście działali szybko. Panie prezydencie, czekam na pańską odpowiedź.

Perry przerwał nagranie i wyłączył komputer. Nie znosił jego szumu. Poza tym i tak wiedział, co zobaczą dalej. Na końcu znajdowało się zdjęcie, na którym widać było ciało Crouse'a pokryte straszliwymi ranami, których ani on, ani Thompson nie byli w stanie ponownie oglądać. Postanowili więc działać szybko – tak jak apelował Crouse. Porywacze dostaną odpowiedź.

Usłyszą, że amerykański naród nie ugina się pod groźbami, a polowanie na takich jak oni nabierze tempa. Biały Dom opracuje kolejny atak, aby z listy śmierci skreślić kolejne nazwisko.

DLA BERNHARDA GLENA BYŁ TO ostatni rejs.

Można go odbyć tylko raz w życiu, podobnie jak pierwszy, który też zdarza się tylko jeden raz. Oba są równie wyraziste i niezwykle. Pozostałe niczym szczególnym się nie wyróżniają. Po prostu są.

Glen obserwował ekran monitora. Siedział na zwykłym krześle przy zwykłym stole, trzy poziomy pod pokładem okrętu za grubą ścianą z pancernej stali. Znajdował się w Centrum Dowodzenia USS *Dwight D. Eisenhower*, w samym sercu potężnego lotniskowca. Przed sobą widział plecy dowódcy, Nortona, który rozmawiał z jednym z operatorów. W innej części pomieszczenia stał kapitan okrętu, Eriksen, ze słuchawką telefoniczną w ręce. Wszędzie panowała cisza i spokój, chociaż w ciasnym pomieszczeniu przez całą dobę czuwało osiemnastu ludzi, a do chwili, w której operator przekręci jednocześnie dwa klucze i otworzy pokrywę przycisku do odpalania pocisków, pozostało sto osiemdziesiąt sekund.

Podczas pierwszego rejsu miał dwadzieścia dwa lata. Załapał się na operację Pustynna Burza. Spędził wtedy kilka niezwykle miesięcy w Zatoce Perskiej. Tak to właśnie było w tamtych czasach – jeszcze do niego nie dotarło, że to jest na serio, czuł napięcie, na które dzisiaj nie mógłby sobie pozwolić. Dojrzały wiek i świadomość, że strzelają do żywych ludzi, zmieniły jego nastawienie. Nadal jednak czuł i pamiętał powiew suchego, gorącego wiatru w czasie operacji Southern Watch w Iraku (miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat), podobnie jak wciąż doskonale słyszał grzmot fal Oceanu Indyjskiego, gdy siedem lat później, w pogoni za Al-Kaidą, przenieśli się z Dżibuti do Somalii.

Czas minął mu szybko. Jego kariera rozwijała się na styku śmierci. W końcu przyznano mu specjalistyczny stopień oficerski. Miał wesprzeć inżynierów i naukowców, którzy projektowali nowe hybrydy uzbrojenia albo łączyli różne systemy sterowania pociskami raketowymi ziemia-

powietrze lub pociskami manewrującymi. Wszystko po to, żeby lepiej strzelać i zabijać.

– Sto dwadzieścia sekund... Gotowy?

Eriksen przerwał panującą w pomieszczeniu ciszę. Glen skinął głową.

– Tak jest.

Jego ostatni rejs rozpoczął się dziewięćdziesiąt sześć godzin wcześniej, gdy odebrali sygnał i wypłynęli z bazy marynarki wojennej Norfolk w stanie Wirginia. Czterdzieści osiem godzin temu przeszli na kod pomarańczowy, bo oddział Delta Force zlokalizował Damę Kier i Dziesiątkę Kier w niewielkiej posiadłości w La Cuchilla. Dwadzieścia cztery godziny temu, gdy strzelec wyborowy wystrzelił z odległości trzystu pięćdziesięciu metrów pocisk zawierający kwas węglowy, przeszli na kod czerwony. Pocisk, który wbił się w trawnik przed strzeżoną posiadłością, zawierał mikroczip, który zaczął wysyłać sygnały na ustalonej częstotliwości.

– Dziewięćdziesiąt sekund. Status?

– Urządzenie do automatycznego naprowadzania skalibrowane z systemem samonaprowadzania. Współrzędne miejsca skoordynowane ze współrzędnymi celu. Kod odpalania wyrzutni i pocisku gotów.

Morze Karaibskie. To jego ostatni cel.

Jeszcze nie tak dawno obserwował z pokładu okrętu wybrzeże Kolumbii, zarysy miasta Cartagena. Teraz na monitorze widział ustalony cel. Według danych, które pojawiły się w lewym dolnym rogu, okręt dzieliło od niego dwieście siedemdziesiąt osiem mil morskich.

Dowództwo w Waszyngtonie wyznaczyło do tej misji USS *Liberty*, który znajdował się na Pacyfiku w pobliżu kolumbijskiego wybrzeża. Z pokładu okrętu miał być odpalony dron. Tymczasem wywiadowcy z Delta Force ustalili, że posiadłość wyposażona jest w sprzęt zakłócający, który bez problemu odparłby atak. Rozwiązaniem stał się pocisk manewrujący, który on, Glen, sam zaprojektował. Wyposażony był w autopilota zmodyfikowanego dla potrzeb sterowania satelitarnego, kierowania wizualnego i nawigacji

inercyjnej. Ostatecznie zapadła decyzja, że pocisk zostanie wystrzelony z pokładu lotniskowca, a nie korwety, i że zrobi to on, Bernhard Glen.

– Sześćdziesiąt sekund.

Ostatni rejs. Co potem?

Wprawdzie wiedział, że powinien się nad tym zastanowić, ale nigdy nie miał ochoty wybiegać w przyszłość. Przecież nic więcej nie umie. I jeśli ktoś nie wie dlaczego, nie chce też wiedzieć dokąd.

– Czterdzieści pięć sekund.

Może jako wykładowca? Ostatnio otrzymał sporo takich ofert. Kiedyś nawet postanowił spróbować swoich sił w tej dziedzinie. Wydawało mu się wtedy, że spokój na zewnątrz to to samo co spokój w środku. Przeniósł się więc z morza na ląd, do sali wykładowej. Atak na Króla Kier przeprowadził Steve Sabrinsky, którego w tamtym czasie osobiście szkolił. Wyobrażał sobie, że w pewnym sensie on też brał udział w tym ataku.

Zawsze jest tak, że ktoś oddaje swój pierwszy strzał. Ktoś inny strzela po raz ostatni. Nie chce już tu wrócić. Nigdy więcej. Był tego pewien.

– Trzydzieści sekund.

Obsługa opuściła rampę, kamera na czubku robota została wycelowana w niebo.

Dwadzieścia cztery cyfry i litery – taką długość ma kod wprowadzony do komputera, który umożliwi odpalenie pocisku.

– Piętnaście sekund.

Mamie.

Ktoś tak ochrzcił nowy pocisk manewrujący. Tak miała na imię żona Eisenhowera. On nie był pewien, czy to odpowiednia nazwa dla pocisku.

– Dziesięć sekund.

Glen powoli oddychał, jakby w ostatniej chwili chciał zastygnąć w bezruchu. Niestety, zaraz potem następował natłok nowych chwil, które wypierały te poprzednie.

– Pięć sekund.

Jeszcze nie wiedział, że już wkrótce zacznie tęsknić za żargonem, który obowiązywał tylko na tym okręcie. Przez długi czas nim pogardzał, nie chciał go uznać za swój, bo uważał, że jest straszny i szczeniacki.

Czas na partię pokera, Glen.

– Cztery sekundy, trzy...

Z żargonem spotka się już wkrótce, gdy to wszystko dobiegnie końca.

Dobrze rozegrane, Glen: Król Kier, a teraz Dama Kier i Dziesiątka Kier. Jeszcze dwie i będzie królewski poker.

– ...dwie, jedna...

– ...teraz!

DO BOGOTY ZOSTAŁO NIEWIELE kilometrów. Hoffmann próbował znaleźć w radiu muzykę, ale bez względu na to, ile razy przełączał kanały, zamiast piosenek słyszał fałszywie brzmiące tony i agresywne zapowiedzi serwisów informacyjnych. Od czasu do czasu rozlegały się pozbawione harmonii atonalne dźwięki. Postanowił więc jechać w ciszy, lecz choć uważnie wpatrywał się w krajobraz za szybą samochodu, wszędzie słyszał głos Zofii. *Jeden tydzień. W zamknięciu. Potem przestanę czekać. Nawet na ciebie.*

Głowę owinął czarną chustą. Przylegała do czaszki, żeby ukryć wszystkie widoczne szczegóły. Niestety, zrobiło mu się w niej gorąco, skóra zaczęła go swędzieć, więc poluzował węzeł na karku. Jeśli jedynym konkretnym elementem jego rysopisu, jakim dysponują służby, jest jaszczurka, będzie musiał coś z nią zrobić. Na przykład zapuścić włosy. Lepiej, żeby Piet Hoffmann wyglądał mniej groźnie, niż żeby przypominał Petera Haraldssona.

Rano i przed południem uważnie wysłuchał wiadomości. Za każdym razem zajęło mu to pół godziny. Tak się umówił z Zofią, bo tak będą musieli teraz żyć – na bieżąco. Kiedy wybiła jedenasta i dotarli na przedmieścia, stało się to jeszcze bardziej aktualne. Monotonny głos prezentera został nagle przerwany emocjonującą relacją na temat ataku z użyciem pocisku sterowanego. Pocisk zabił dwoje ludzi. Chwilę potem dziennikarz odczytał oficjalny komunikat rządu Stanów Zjednoczonych zawierający szczegółowe informacje o ataku. Na końcu wspomniano o tym, że rząd USA poszukuje pozostałych dziesięciu osób z listy śmierci w ramach Ostatecznej Wojny z Narkotykami.

Zacząła się prognoza pogody, gdy zadzwonił telefon.

– Słyszałeś?

Zofia. Tak bardzo ją kochał.

– Tak.

– Następnym razem...

– Zajmę się tym. Obiecuję. Przeżyjemy. I będziemy żyć.

Tak jak poprzednim razem zaparkował na osiedlu położonym na zachód od El Parque Metropolitano Tercer Milenio. Stamtąd przeszedł piechotą przez centrum rekreacyjne. Z trudem stłumił impuls, żeby wejść na boisko do koszykówki i przez chwilę pograć. Wzruszył ramionami na widok zawiedzionych min dwóch tenisistów, którzy byli pewni, że zatrzyma uderzoną w niewłaściwym kierunku piłkę, po czym ruszył dalej zatłoczoną ulicą biegnącą wschodnim skrajem parku. Lokalne biuro World Orbital Systems – jedno z czterdziestu siedmiu biur istniejących w stolicach na całym świecie – miało siedzibę na parterze nowo wzniesionego budynku, w którym mieściły się firmy informatyczne. Prezes – lekko otyły, wąsaty mężczyzna – nie poznał Hoffmanna, który był tu kiedyś, żeby zapoznać się z ofertą. Mimo to na jego twarzy pojawił się równie uprzejmy uśmiech co wtedy. Zachowywał się tak, jakby miał do dyspozycji mnóstwo czasu, który zamierzał poświęcić tylko jednemu klientowi.

– Jak pan widzi, nazywamy je satelitami szpiegowskimi. To ich dawna nazwa. Głównie dlatego, że lepiej się pod nią sprzedawały.

Właściciel sklepu mrugnął do Hoffmanna, jakby chciał, żeby to, co przed chwilą wyjawiał, zostało wyłącznie między nimi.

– Poruszają się dokładnie tak samo jak wszystkie inne satelity. Ruchem obiegowym wokół Ziemi, ale bliżej powierzchni. Niska orbita okołoziemiska. Muszą więc lecieć znacznie szybciej, bo inaczej po prostu spadną. Nasze satelity potrzebują niecałej godziny, żeby wykonać pełny obieg.

Hoffmannowi spodobało się zachowanie sprzedawcy. Widać było, że wie, na czym polega pozyskiwanie nowych klientów. Trzeba ich potraktować tak, żeby czuli się wybrani spośród wielu. Należy wzbudzić ich zaufanie i zbliżyć się do nich. On sam zachowywał się podobnie jako informator. Dlatego w odpowiedzi też mrugnął.

– Ile to zajmie? Jeśli podam współrzędne i zapłacę?
– Pyta pan o czas?
– Tak. Ile będę musiał czekać, żeby wystrzelić mojego własnego satelitę?

- Powiedzmy... pięć dni roboczych.
- A gdybym chciał go mieć na orbicie już dzisiaj?
- Byłoby to trudniejsze, ale możliwe.
- A jeśli podwoję zapłatę?

Prywatny satelita wystrzelony z rakiety na wysokość ponad trzystu kilometrów. Trzydzieści centymetrów długości, siedemset pięćdziesiąt gramów wagi. Trwałość: trzy miesiące. Więcej, niż potrzebował.

- Wtedy będzie to możliwe w zasadzie od ręki.

Sprzedawca zerknął na ekran monitora i zrobił taką minę, jakby znalazł to, czego szukał.

– Satelita... jeszcze dzisiaj... zobaczymy... jeśli przesunę jednego z trzydziestu klientów, którzy zapłacili za miejsce i czekają na następny start, powstanie wolne miejsce. Wciśniemy w nie pana. Co za szczęście! Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, żeby je zająć?

Kolejne mrugnięcie okiem.

– Pozostaje nam określenie celu misji.
– Filmowanie powierzchni Ziemi.
– Oficjalnie? – Sprzedawca był, jak widać, dobry także w odgadywaniu myśli klientów, którzy kupowali u niego prywatne satelity, aby kogoś albo coś obserwować. Potrafił zachować dyskrecję.

- Niech pan wpisze cokolwiek.

– Pomiary ziemskiego pola magnetycznego? Test sprzętu elektronicznego? Badania biologiczne? Stacja przekaźnikowa na potrzeby amatorskiego radia?

- Proszę wpisać, co pan chce.

Uśmiechnięty sprzedawca zdecydował się na pierwszą opcję: pomiary ziemskiego pola magnetycznego.

– Zapewne pan wie, że w satelicie jest miejsce na własny ładunek, ale nie więcej niż dwadzieścia dekagramów.

- To ma być filmowanie. Wystarczy mi to, co jest.

Hoffmann zapłacił, ale zamiast dziesięciu tysięcy musiał wyłożyć dwa razy więcej. Sprzedawca pozwolił mu za to zostać w sklepie i obserwować wystrzelenie satelity na ekranie monitora. W drodze powrotnej, gdy Hoffmann szedł przez park w centrum Bogoty, jego prywatny satelita opuścił bazę raketową ulokowaną na jednej z wielu Wysp Tonga na Pacyfiku. Teraz będzie musiał się zająć tym, co obiecał Zofii – stworzyć warunki do przeżycia, a potem do życia. *Za dwa dni. Masz się stawić na jedyńce. O tej samej godzinie co zawsze.* Mimo niezapowiedzianego wyjazdu do Medellín udało mu się ze wszystkim zdążyć. Teraz pozostał mu już tylko krótki odcinek do kawiarni z bambusowymi ścianami i zielonymi drzwiami.

Na spotkanie z człowiekiem, który kiedyś próbował go zabić. Ale o tym, że ma się spotkać właśnie z nim, Hoffmann jeszcze nie wiedział.

GRENS ZASTANAWIAŁ SIĘ, CZY TRAFIŁ we właściwe miejsce. Drzwi wejściowe sprawiały dziwne wrażenie. Komisarz doszedł do wniosku, że ten, kto je pomalował w zielone esy-floresy, najwidoczniej miał mnóstwo czasu i przecenił swój talent. Dom obłożony był bambusowymi rurkami tworzącymi coś w rodzaju dodatkowej okładziny. Fragmenty ścian były pokryte drewnianymi panelami.

Nazwa się zgadzała, Gaira Café.

Grens zastanawiał się, jak Wilson znalazł ten lokal i czy miejsce spotkania było podobne do innych.

Słabe oświetlenie, krzeselka dla osób o drobnej budowie ciała. Do tego przyjemna muzyka i uprzejmy kelner, który przyniósł mu na tacy niewielką filiżankę kawy i miseczkę z cukrem trzcinowym.

Kawa smakowała fantastycznie. Sporządzona z kolumbijskich ziaren, których nie trzeba było transportować na drugą półkulę. Prawie tak dobra jak kawa w automacie stojącym w oddziale śledczym w komendzie w Sztokholmie. Chyba nic nie może się z nią równać.

Jego podróż zaczęła się dwadzieścia sześć godzin temu na lotnisku Arlanda. Wcześniej nie miał pojęcia, co to znaczy trafić do innej strefy czasowej. Dowiedział się o tym po gorączkowej nocy spędzonej na granicy jawy i snu w hotelu Estelar La Fontana. Jego pokój znajdował się na najwyższym piętrze. Grens widział z niego ulice Bogoty, na których życie toczyło się przez całą dobę.

Przyleciał na kontynent, który go nigdy nie pociągał. Do miasta, którego nawet nie umiał sobie wyobrazić.

Kolejna filiżanka kawy. Jeszcze lepsza niż poprzednia.

Trzydzieści dziewięć lat pracy w policji. Dawniej ani on, ani jego koledzy nie przypuszczali, że w przyszłości będą musieli zajmować się całkiem nowymi rodzajami przestępstw, a w czasie jego kariery w policji liczba przypadków śmierci związanych z narkotykami wzrośnie

siedemnaście razy. Tysiąc siedemset procent. I będzie dalej rosła.

Zrozumieli, że mają do czynienia z zupełnie innymi siłami, które popychają ludzi do przestępstw. Pojawiła się przestępczość powiązana z narkotykami, z ich używaniem i zarabianiem na nich.

Teraz stanowią one główną gałąź zorganizowanej działalności przestępczej. Wielki przemysł naszych czasów, roczny handel o obrotach w wysokości 2 250 000 000 000 koron szwedzkich, ogromne zyski. Rozgałęzienia prowadzonych przez niego w Sztokholmie dochodzeń sięgały aż tutaj, a wiodąca do nich droga znaczone była przemocą, krwią i trupami. A gdy już ktoś zbudował sprawnie funkcjonującą strukturę służącą do przemytu i handlu narkotykami, mógł ją równie dobrze wykorzystać do handlu kobietami i bronią. Jeśli i to nie wystarczyło i trzeba było jeszcze bardziej zwiększyć zysk, struktura tworzyła fundament dla bardziej pospolitych przestępstw, takich jak rabunki, wymuszenia i przestępstwa finansowe.

Nadeszły nowe czasy, w których społeczeństwem rządzi organizacja handlująca narkotykami.

Grens wstał z krzesła. Celowo zjawił się wcześniej, bo nie był pewien, czy nie zabłądzi w tak wielkim mieście, które znacznie różniło się od Sztokholmu. Pierwszy odcinek pokonał z mapą, na której Wilson zaznaczył czerwonym mazakiem trzy duże litery. Potem odbył długą podróż autobusem i znowu część trasy pokonał piechotą. Okolica bardzo mu się spodobała. Czuł się swobodnie, ulice i domy nie wydawały się takie czujne jak w Sztokholmie. Stare myśli i odczucia zostały w domu albo za nim nie nadążyły – przecież leciał samolotem.

Już wkrótce spotka się twarzą w twarz z człowiekiem, którego wcześniej nie poznał. Był pewien, że ten człowiek zginął na jego rozkaz, ale okazało się, że oszukał ich wszystkich. Powinien być martwy, tymczasem chodzi po ulicach. Kim się stał? Upiorem?

Pamiętaj, Ewert. On ma tu wrócić. Żywy.

Przed odlotem z terminalu piątego Wilson wręczył mu pięć biletów lotniczych z otwartą datą powrotu. Jeden był wystawiony na nazwisko Ewert Grens. Pozostałe cztery na nazwisko Haraldsson dla osób o imionach Peter, Maria, William, Sebastian.

Nie przywiezie go z powrotem do kraju wbrew jego woli.

Było to jedyne śledztwo w całej jego karierze, po którym cieszył się, że sprawca uniknął kary. Był wdzięczny losowi, że nie udało mu się doprowadzić tamtej sprawy do końca, ponieważ zabójca, z którym miał do czynienia, został wykorzystany. Tak jak on. Dlatego zabranie go do Szwecji wbrew jego woli uznał za wykluczone. Gdy tylko wylądują na lotnisku w Szwecji, każdy z nich wejdzie w swoją rolę. Hoffmann stanie się – zarówno dla służb penitencjarnych, jak i dla zorganizowanych grup przestępczych – poszukiwanym podwójnym zabójcą. A on stanie się na powrót komisarzem policji kryminalnej. Jeśli więc przywiezie Hoffmanna do kraju, będzie też musiał dopilnować, żeby go aresztowano i skazano. Hoffmann trafi na wiele lat do więzienia, dostanie dożywocie. W celi będzie go musiał chronić przed tymi, co nienawidzą kapusiów kolaborujących z policją. A wtedy cała ta historia będzie mieć złe zakończenie.

W tym momencie do zaciemnionego lokalu wszedł Hoffmann.

Ubrany był w dzinsy, czarne buty, kamizelkę myśliwską i cienką koszulkę z krótkimi rękawami. Mimo opalenizny wyglądał na zmęczonego. Bardzo się postarzał, chociaż od ucieczki ze Szwecji upłynęło niewiele lat.

Grens obserwował, jak Hoffmann rozgląda się czujnym wzrokiem po lokalu. Kiedy zdjął z głowy czarną chustę, oczom Grensa ukazał się wielki tatuaż na ogolonej czaszce.

- Akurat pana tu przysłali?
- Nie mylisz się.
- Spodziewałem się Wilsona.
- Nie mógł przylecieć.

Grens skinął głową barmanowi za kontuarem.

– Napijesz się kawy? Jest fantastyczna.

Ale Hoffmann się wahał. Miał taką minę, jakby się zastanawiał, czy powinien zostać. W końcu sięgnął po krzesło i postawił je po drugiej stronie stolika.

– Nie, dziękuję. Poproszę aguapanelę.

Grens popatrzył na człowieka, o którym tyle myślał, chociaż rozmawiał z nim tylko raz w życiu. Była to krótka wymiana zdań przez telefon, zanim wydał rozkaz, żeby go zastrzelić.

– Nie umiem tego nawet wymówić. Czy to w ogóle legalne?

– To tylko masa cukrowa z ciepłą wodą. Myślę, że pan komisarz może się śmiało napić bez ryzyka złamania prawa.

Grens podszedł do kontuaru i zamówił napój, o który prosił Hoffmann. Bardzo się przy tym starał, żeby poprawnie wypowiedzieć nazwę. Ostatecznie zamówił dwa napoje. Wrócił do stolika i usiadł na krześle.

– No więc to ja cię zabiłem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Aż obejrzałem nagrania z kamer monitoringu w więzieniu. I za kolejnym razem zauważyłem mrugnięcie.

Mężczyzna ubrany w mundur strażnika zatrzymał się w drodze do głównej wartowni, zerknął w stronę obiektywu kamery i mrugnął prawym okiem.

– Mrugnąłem do pana, komisarzu.

– Dlaczego?

– Bo żeby pan kazał oddać śmiertelny strzał, musiało dojść do manipulacji. Pana zwierzchnicy kazali panu z tym żyć. Nie miałem wyboru, musiałem oszukać policjanta, który miał ponieść odpowiedzialność za ten strzał. Padło na pana. Ale nie uważałem, że powinien pan potem z tym żyć.

Hoffmann mówił cichym, opanowanym głosem, chociaż kiedy wracał wspomnieniami do dawnych wydarzeń, miał ochotę głośno krzyczeć i czuł nienawiść. Wysocy rangą funkcjonariusze policji poświęcili go tylko po to, żeby zachować stołki. Najbardziej zawiódł go Göransson. Ten skurwiel obiecywał mu bezwarunkowe wsparcie, a potem zostawił na lodzie.

– Słyszałem o panu wcześniej. Wiedziałem, że to pan prowadził śledztwo w sprawie strzelaniny na Västmannagatan. Spytałem wtedy Wilsona, jeszcze zanim popełniłem przestępstwo, żeby dać się zamknąć jako wasz informator, dlaczego on też się przestraszył, tak jak Göransson, kiedy zaczął pan grzebać w całym tym gównie.

Uśmiechnięty kelner postawił na ich stoliku dwie filiżanki z parującym napojem. Na brzegach obu podstawek leżały plasterki cytryny. Aguapanela. Grens doszedł do wniosku, że napój przypomina zwykłą herbatę.

– Myślałem... – zaczął Grens. – Najpierw spróbuję.

– Zawiera mnóstwo witaminy C. Niech pan pomyśli, panie komisarzu.

Grens sącył powoli gorący napój.

– I dużo cukru – zauważył.

– Tak to pijemy w Kolumbii.

Kolejny porządny łyk i zaraz potem następny.

– Uparty – powiedział Hoffmann. – Prawdy poszukuje tak długo, jak to możliwe, zwłaszcza gdy podejrzewa, że od samego początku znali ją jego koledzy z pracy. Nigdy się nie poddaje.

Popatrzył na Grensa.

– Tak pana mniej więcej opisali, on i Göransson.

Trudno było powiedzieć, czy Grens – który ze względu na swój wiek mógłby być ojcem Hoffmanna – poczuł się dumny. Tak to przez krótką chwilę wyglądało. Było to jednak ulotne wrażenie, które szybko minęło.

– List, który pan wtedy dostał... Na pewno pan zrozumiał, że mógł pochodzić wyłącznie ode mnie. Gdyby się okazało, że jest pan tak dobry, jak twierdził Wilson... gdyby zaczął się pan czegoś domyślać, mieć wątpliwości, grzebać w sprawie... liczyłem na to, że zauważy pan tamto mrugnięcie i domyśli się, że oszukałem pana i całą policję. Wiedziałby pan, że pana domysły były słuszne. Gdyby pan jednak niczego nie zauważył... gdyby nie był pan tak cholernie dobry, jak wszyscy mówili... musiałyby pan żyć

z poczuciem winy. I na pewno byśmy się tu dzisiaj nie spotkali.

Hoffmann mrugnął prawym okiem, tak jak wtedy do kamery monitoringu i niedawno do sprzedawcy satelitów. W tym samym momencie zadzwonił jeden z trzech telefonów, które położył obok filiżanki. Dzwonek był cichy. Grens próbował odczytać na wyświetlaczu, kto dzwoni.

Rasmus.

– Muszę odebrać – rzucił Hoffmann. – To ważne.

Wstał od stolika i odebrał w chwili, gdy doszedł do pomalowanych na zielono drzwi. To była jedna z jego żelaznych zasad: zawsze odbierać, gdy dzwoni któryś z synów. Bez względu na to, co robił i gdzie się znajdował, przerywał i odbierał. Niech chłopcy wiedzą, że mogą do niego zadzwonić o każdej porze dnia i nocy.

– Mamie jest smutno.

– Jak to smutno?

– No smutno, chociaż nie chce, żebym wiedział. Ale ja i tak wiem. – Rasmus mówił słabym, choć opanowanym głosem, jakby chciał wziąć na siebie odpowiedzialność, której mały chłopiec nie powinien ponosić.

– Synku?

– Tak?

– Wszystko się ułoży.

– Co?

– To co tak smuci mamę.

– Jak to?

– Ja się o to postaram. A potem... wszystko znowu będzie dobrze.

Kiedy Hoffmann wrócił do stolika, Grens dopijał gorący napój. Widać było, że mu smakuje.

– Rasmus?

– Mój syn.

– Sebastian Haraldsson?

– Tak.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, ale to Grens jako pierwszy spuścił wzrok.

– Mnie się nie udało.

Przez dłuższą chwilę milczał.

– To znaczy nie mam dzieci... No cóż... czasem tak bywa.

Być może Hoffmann powinien to jakoś skomentować, ale nie miał Grensowi nic do powiedzenia. Siedzieli więc obaj w milczeniu, aż w końcu odezwał się Hoffmann.

– Czasem jest, jak jest. Wtedy trzeba po prostu przeżyć i żyć dalej. Zwłaszcza gdy jest ktoś taki jak Rasmus. Do tego potrzebuję pańskiej pomocy.

– Po to tu przyjechałem.

– Więc jutro rano poleci pan do Waszyngtonu.

Hoffmann przyniósł na spotkanie niewielką, czarną torbę. Teraz ją otworzył i wyjął z niej laptopa.

– Na miejscu pojedzie pan do Arlington. Nie ruszy się pan stamtąd, zanim nie porozmawia pan z Sue Masterson.

Hoffmann odwrócił w stronę Grensa ekran laptopa i kliknął na jeden z folderów. Przez chwilę czekał, aż się otworzy.

– Sue jest generalnym dyrektorem DEA. Jedną z trzech osób, które wiedzą, kim jestem. Pierwszą jest Erik Wilson, mój oficer prowadzący w Szwecji. Drugą Lucia Mendez, moja oficer prowadząca w Kolumbii. To Sue podjęła decyzję, żeby mnie zwerbować.

– W takim razie teraz jest nas czwórka.

Grens uśmiechnął się do Hoffmanna, a ten odwzajemnił uśmiech.

– Z Erikiem nie wolno mi rozmawiać. Lucia i Sue zerwały ze mną kontakt.

– Jestem jeszcze ja.

– To prawda.

Ekran laptopa wypełniło nowe duże zdjęcie. Nie było ostre, miało za niską rozdzielczość. Przypominało zdjęcia, które Grens widział w pokoju Wilsona. Zrobiono je z satelity. W tle widać było zieleni. Może dżunglę?

– Żeby przeżyć i móc żyć dalej, muszę zacząć negocjować. Z tymi, którzy chcą mnie zabić. Czy to coś panu przypomina?

Tak. Sytuację sprzed trzech lat. Grens dobrze wiedział, co Hoffmann miał na myśli.

– Skoro mam z nimi negocjować... czegoś od nich chcieć... to muszę im coś zaoferować.

Hoffmann wskazał na zamazane zdjęcie.

– Zaoferuje im pan to.

Grens wpatrywał się w zdjęcie na ekranie, ale nadal nie wiedział, do czego Hoffmann zmierza.

– Nie widzi pan, prawda? To szare... na zielonym tle... to dach klatki. Siedzi w niej człowiek.

– Człowiek w klatce?

– Tak.

Komisarz zatrzymał wzrok na zdjęciu. Dopiero teraz zauważył, że obraz jest ruchomy, bo wokół latały ptaki, a korony drzew lekko się pochylały.

– Masz na myśli człowieka poszukiwanego najbardziej na świecie?

– Właśnie o nim mówię.

Grens dopiero teraz zauważył. Niewielki przestrzał w dżungli, w środku klatka z dachem.

– Wiem, gdzie to jest. Obserwuję to miejsce z laptopa. Wszystkie informacje mam z mojego satelity.

Kelner postawił na ich stoliku kolejne filiżanki słodkawego napoju, chociaż niczego nie zamawiali. Grens podziękował i zaczął popijać napój, do którego powoli się przekonywał.

– Nie wiedziałem, jak się wymawia nazwę lury, którą pijemy, a tym bardziej nie znam się na satelitach.

– Proszę sobie takiego kupić. Zgodnie z prawem każdy może. Osiem tysięcy dolarów za ważącego siedemset pięćdziesiąt gramów satelitę krążącego wokół Ziemi. Nie jest aż tak dokładny i ma gorszą rozdzielczość, ale nie potrzebuję widoku twarzy. Wystarczy, że wiem, że obóz wciąż jest w tym samym miejscu.

Grens patrzył na klatkę i na Hoffmanna.

– Co dalej?

– Zamierzam uwolnić zakładnika. Moje życie za jego życie.

– Chcesz to zrobić sam?

Zawsze sam.

– Nie.

Ufaj tylko sobie.

– Tym razem zrobię to z pańską pomocą, komisarzu Grens.

Popatrzyli na siebie. W końcu Grens skinął głową.

– Do czego będę ci potrzebny?

– Do nawiązania kontaktu z Sue Masterson.

– Wiem, kim jest.

– W takim razie wie pan też...

– Zanim tu przyleciałem, nasz wspólny przyjaciel poinformował mnie dokładnie, kto... gdzie... jak i tak dalej. Na wszelki wypadek. Potem dał mi klucz do niej, którym mam się posłużyć, gdyby zawiodły inne sposoby.

– Klucz?

– Tak. Prywatny klucz Wilsona.

Hoffmann odwrócił lekko swój laptop. Światło, które wdzierało się przez jedno z małych okienek kafejki, oświetliło ekran.

– Muszę ustalić, jak wygląda tor, po którym satelity obiegają Ziemię. Chodzi mi o jedno konkretne miejsce. I właśnie pan się tego dla mnie dowie.

Grens wskazał palcem niewyraźny zarys klatki na ekranie.

– Mówisz o tym miejscu?

Hoffmann pokręcił głową.

– Nie. Te współrzędne są moim ubezpieczeniem na życie. Nikomu o nich nie powiem. Chodzi mi o zupełnie inne miejsce. Muszę ustalić, kiedy powstaje okno czasowe, w którym tory satelitów nie zachodzą na siebie, a kamery nie obserwują tego samego miejsca. Jeśli podczas takiego okna ktoś w tym miejscu coś zrobi, żaden satelita tego nie zarejestruje. Poza tym...

Pochylił się w stronę Grensa i chociaż nikt ich nie słuchał, ściszył głos.

– ...poza tym chcę, żeby Sue oddała mi do dyspozycji ośmiu przeszkolonych, godnych zaufania ludzi z doświadczeniem bojowym.

– Po co?

– Do negocjacji. Życie zakładnika za moje życie.

– Gdzie?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

– Gdzie?

– Lepiej, żeby nikt nie wiedział. To dla pańskiego dobra.

– Jeśli mam pomóc, muszę o wszystkim wiedzieć.

– Ale się pan nie dowie.

– Posłuchaj mnie, Paula... El Sueco... Haraldsson... Koslow... Hoffmann czy jak cię tam zwa. Mam to w dupie. Sprawa wygląda tak. Kiedyś kazałem do ciebie strzelić, bo nie wiedziałem wszystkiego. Drugi raz nie kiwnę palcem, jeśli nie poznam całej prawdy. Więc daję ci wybór: albo powiesz mi wszystko, albo radź sobie sam.

Hoffmann pochylił się jeszcze bardziej w jego stronę. Ich głowy znalazły się tak blisko siebie, że komisarz dostrzegł wahanie w oczach rozmówcy. Widać było, że Hoffmann szuka innego wyjścia.

– Operacja wygląda tak.

Wyciągnął z pochwy nóż i wyjął z niej to, co miał ukryte na jej dnie – dwie złożone kartki. Pierwszą, na której znajdował się ręcznie napisany tekst, odłożył z powrotem. Drugą pokazał z uśmiechem Grensowi.

– Teraz to mój jedyny sejf.

Hoffmann rozłożył kartkę na blacie stolika. Tekst napisany był na starej maszynie, żeby w internecie nie pozostał po nim ślad:

Godz. xx. xx (odprawa Calamar)

Godz. xx. xx (odjazd pojazdu terenowego)

Godz. xx. xx (przybycie nad rzekę)

Godz. xx. xx (przybycie do obozu bazowego)

Godz. xx. xx (przybycie do głównego obozu)
Godz. xx. xx (atak, wkraczamy)
Godz. xx. xx (przybycie helikoptera)
Godz. xx. xx (lądowanie na Isla Tierra Bomba)
Godz. xx. xx (pod wodą)
Godz. xx. xx (podpłynięcie pod okręt)
Godz. xx.xx.xx – xx.xx.xx (okno czasowe)

Grens przeczytał kilka razy treść kartki i odsunął ją w stronę Hoffmanna.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Godzin kolejnych faz operacji jeszcze nie ustaliłem, bo musi się rozpocząć w ostatniej chwili, żeby nie narazić nikogo na niebezpieczeństwo. Zakończy się na morzu.

– To mi nie wystarczy.

– Na Morzu Karaibskim.

– Za mało.

– Północny skrawek wybrzeża Kolumbii, około dziesięciu kilometrów od Cartageny. Okręt będzie tam stał na kotwicy i czekał na sygnał.

Grens spojrzał Hoffmannowi w oczy. Znikło z nich wahanie, pojawiła się pewność siebie. Okręt? Cartagena? Niech to szlag! Wdepnął w tę sprawę niecałe dwie godziny temu!

Wcześniej, w pokoju hotelowym, żeby pozbyć się uczucia samotności, wziął do ręki pilota i zaczął skakać z kanału na kanał. Wszędzie trafiał na te same obrazy, bez względu na to, czy oglądał CNN, czy BBC. Najbardziej wstrząsające były te, które znalazł na lokalnym kanale El Tiempo. Czarny dym, żarłoczny ogień, całkowite zniszczenie. Królowa Kier i Dziesiątka Kier. Specjalne wydania serwisów informacyjnych stacji lokalnych i międzynarodowych. Podekscytowane głosy fotoreporterów. *Royal straight flush*. Posiadłość zrównana z ziemią.

– Około dziesięciu kilometrów od Cartageny?

– Tak.

– Okręt?

– Tak.

– Amerykański lotniskowiec? Jak ten, który niedawno wyeliminował dwóch twoich kumpli? Którzy, tak się składa, są na tej samej liście śmierci co ty?

– Tak.

– Powiedziałeś: przeżyć?

– Powiedziałem: przeżyć, aby żyć.

Na dnie filiżanki zostało trochę słodkiego napoju. Hoffmann dopił go i wstał z krzesła. Na stoliku położył białą kopertę.

– Tu są bilety i cała reszta. Niech pan pozdrowi ode mnie Sue.

Potem skinął głową człowiekowi, którego nie znał, ale któremu ufał, odwrócił się i wyszedł.

LOT TRWAŁ CZTERY I PÓŁ GODZINY. Ewert Grens po raz pierwszy w życiu ujrzał stolicę Stanów Zjednoczonych. Kiedy byli blisko lotniska Dulles International Washington, samolot zaczął wypuszczać podwozie, a pilot linii lotniczych United Airlines poprosił pasażerów, aby wrócili na miejsca i zapięli pasy bezpieczeństwa.

Stewardesa już w Bogocie rozdała im najnowsze wydanie „New York Timesa” i „Washington Post”, więc Grens miał mnóstwo czasu, żeby zapoznać się ze wszystkimi artykułami związanymi z porwaniem jednego z najważniejszych i najpotężniejszych amerykańskich polityków, po którym zaginął wszelki ślad. Sporo uwagi poświęcił też tekstowi o ataku na dwa spośród trzynastu wybranych celów w ramach akcji nazwanej Ostateczną Wojną z Narkotykami. Doszedł do wniosku, że ten wyjazd jest naprawdę niezwykły.

Jeszcze kilka godzin temu siedział w mrocznej kawiarni naprzeciwko jedynej człowieka niezwiązanego z porwaczami, który wiedział, gdzie obecnie przebywa Crouse, a jednocześnie sam znajdował się na liście dziesięciu celów, jakie pozostały na liście śmierci.

Kierowca, który czekał na Grensa w zamówionej wcześniej taksówce przed wejściem do terminalu, mówił po angielsku z jeszcze mocniejszym akcentem niż on. Kiedy po dość szybkiej i ryzykownej jeździe dotarli na miejsce, doszło do pewnego nieporozumienia – Grens chciał zapłacić gotówką, tak jak polecił mu Wilson, ale kierowca stanowczo twierdził, że nie ma drobnych i nie będzie mógł wydać mu reszty. Na szczęście okazało się, że taksówkarze w Ameryce są bardziej uprzejmi i nie dzwonią od razu do prokuratora, gdy coś nie idzie po ich myśli. Udało im się dojść do porozumienia i chwilę później Grens zmierzał do budynku, który był znacznie niższy od domów mijanych po drodze. Wyglądał tak, jakby go zaprojektowano z myślą o tajnych informatorach – był dyskretny, wtopiony w otoczenie, słabo

widoczny. Przy okazji Grens poczuł, że łatwiej mu się tu oddycha. Zamiast rzadkim powietrzem położonej na wysokości ponad dwóch tysięcy sześciuset metrów Bogoty, oddychał wilgotnym, bogatym w tlen powietrzem amerykańskiej stolicy.

Kontrola dokumentów przy wejściu. Przejście przez bramkę kontrolną. Osobista kontrola. Recepcja przy lobby za głównym wejściem.

– Nazywam się Erik Wilson.

– Tak?

– Szukam pani Sue Masterson.

Recepcjonistka uśmiechnęła się i spojrzała na ekran monitora.

– Pan Wilson?

– Tak, Erik Wilson.

– Nie mam umówionego spotkania na takie nazwisko.

– Mimo to chciałbym się z nią zobaczyć.

– To, niestety, niemożliwe. Muszę pana poprosić o zastosowanie się do obowiązujących zasad. Tak jak wszyscy powinien się pan umówić na spotkanie.

– Nie mam tyle czasu, za to posiadam informacje, które zainteresują panią Masterson. Jeśli ma uznać, że nie jest nimi zainteresowana, niech podejmie taką decyzję sama.

Uśmiech nie zniknął z twarzy recepcjonistki. Mimo to zaczęła zerkać w kierunku umundurowanych ochroniarzy stojących koło bramki.

– A jednak muszę pana poprosić, żeby...

– Pani Masterson na pewno będzie chciała się ze mną spotkać. Wystarczy, że zadzwoni pani do niej z telefonu, który stoi na tym biurku, i powie, że chce się z nią spotkać Erik Wilson. Kiedy się dowie, opuści pokój i zbiegnie do nas po schodach. Proszę mi wierzyć.

– Jest pan tego pewien?

– Absolutnie.

– PANI DYREKTOR?

– Tak?

– Dzwonię z recepcji. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale na dole jest ktoś, kto chce się z panią spotkać, chociaż nie był wcześniej umówiony. Nie jest Amerykaninem, nie wydaje się groźny, nie zwróciłam się o pomoc do ochrony... na razie. Jest bardzo uparty... więc poprosiłam go, żeby usiadł i poczekał. Twierdzi, że nazywa się... chwileczkę... twierdzi, że nazywa się Erik Wilson.

Masterson rzadko się bała. Najczęściej jako dziecko, potem jako nastolatka, ale pewnego dnia uznała, że czas z tym skończyć, bo strach to ponury, paskudny towarzysz, który przeszkadza w życiu. Urzędując w swoim wielkim gabinecie pełnym drogocennych mebli, zajmując eksponowane stanowisko, nigdy nawet nie zbliżyła się do uczucia, które można by określić strachem. I nagle strach powrócił. Coś jej się nie zgadzało. Nie mogło się zgadzać. Wilson? Tutaj? Absolutnie nie mogą się spotkać. Jasno mu to dała do zrozumienia, a on przyjął to do wiadomości! Na pewno wiedział, że przychodząc do jej biura, naraża ją na skrajne niebezpieczeństwo. Równie dobrze mógłby jej przyłożyć naładowany pistolet do skroni.

Wzięła do ręki myszkę i kliknęła na ikonę kamery monitoringu. Szybko odnalazła kamerę nad recepcją. Była skierowana na trzy proste krzesła, które tworzyły coś w rodzaju poczekalni.

Na jednym z nich siedział ubrany w garnitur barczysty mężczyzna po sześćdziesiątce. Nigdy wcześniej go nie widziała. Nic z tego nie rozumiała. O tym, co łączyło ją z Wilsonem, wiedziały tylko trzy osoby: ona, Erik i Hoffmann. Nikt więcej. A ten? Najwidoczniej jest ich czwórka.

Na początku w miejsce strachu pojawiła się złość. W pierwszym odruchu chciała kazać wyrzucić tego człowieka na ulicę. Na szczęście się opamiętała. Zaczęła podejrzewać, że być może Wilson próbuje się z nią skontaktować w tak niekonwencjonalny sposób.

Jeszcze raz zerknęła na obraz z kamery.

Starszy mężczyzna nie wyglądał ani sympatycznie, ani groźnie. Kim, u diabła, był?

– W porządku. Zaraz zejść. Niech ochrona ma go na oku.

W szafie stojącej w rogu pokoju wisiał rzadko używany mundur. Obok niego wisiała kabura na rewolwer. Colt 45, jej osobista broń. Woląca go od standardowej broni służbowej. Przewiesiła kaburę przez ramię, włożyła żakiet i zjechała windą na parter.

KRZESŁO NIE BYŁO ZBYT wygodne. Pewnie dlatego, że i tak nikt nie miał siedzieć na nim zbyt długo. Twarde szczeble wbijały się Grensowi w plecy, oparcie uciskało kręgosłup. Już chciał wstać, żeby się przeciągnąć, gdy ujrzał idącą w jego kierunku kobietę.

Była piękna, biła od niej władza i powaga, oczy tryskały energią, inteligencją i zdecydowaniem. Przypominała mu policjantkę, która miała swój pokój kilkanaście metrów za jego pokojem na komendzie policji w Sztokholmie, Marianę Hermansson. Mariana tak by właśnie wyglądała, gdyby to ona była szefową amerykańskiej agencji rządowej.

– Erik... Wilson?

Grens wstał z krzesła i wyciągnął rękę na powitanie. Masterson udała, że tego nie widzi.

– Dziękuję, że pani...

– Pytam poważnie. Erik Wilson?

– Nie.

Ochroniarz, który już wcześniej szykował się do interwencji, podszedł bliżej. Masterson dała mu ręką znak, żeby wrócił na swoje miejsce.

– Oboje wiemy, że nie – rzuciła.

Grens pochylił się i dodał ściszym głosem:

– Oboje wiemy też, kim jest El Sueco i w jakiej sytuacji się znajduje.

Masterson obrzuciła Grensa czujnym wzrokiem. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Ostatnio cały świat zajmował się człowiekiem używającym pseudonimu El

Sueco, więc nawet jeśli w jej biurze zjawił się nieznajomy, który o nim wspomniał, nic musiało to jeszcze nic znaczyć.

Grens spodziewał się takiej reakcji, bo sam zachowywałby się podobnie. Dlatego jeszcze bardziej ściszył głos.

– W Szwecji, w wydziale śledczym policji miejskiej w Sztokholmie, gdzie Erik jest moim szefem, nazywamy go Paula.

Znowu żadnej reakcji. Masterson nie tylko wyglądała na profesjonalistkę, ale i tak się zachowywała.

– Chce pani usłyszeć więcej? Poznać szczegóły, które zna tylko ktoś, kto zjawił się tutaj z polecenia Erika?

Nie odpowiedziała; obrzucała go przenikliwym spojrzeniem, którego wolałby uniknąć.

– Naprawdę nazywa się Piet Koslow Hoffmann.

Żadnej odpowiedzi.

– Powszechnie uważany jest za martwego.

Nadal żadnej odpowiedzi.

– Dlatego ostatnio używa nazwiska Haraldsson.

Brak reakcji. Masterson coraz bardziej mu się podobała.

– Widzę, że będę musiał sięgnąć po rozwiązanie alarmowe. – Grens się uśmiechnął. – Erik uprzedził mnie, że nasza rozmowa będzie tak wyglądać. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek będę musiał się z panią skontaktować, stanąć z panią twarzą w twarz w tym budynku, zareaguje pani właśnie tak. Dlatego dał mi coś, co nazwał hasłem alarmowym. Teraz je wykorzystam.

Masterson zmieniła pozycję i pomyślała o uzgodnionym kiedyś hasle, które brzmiało: Atlanta, dziewiąty czerwca dwa tysiące szóstego roku.

– Prosił, żebym powiedział, cytuję: Atlanta, dziewiąty czerwca dwa tysiące szóstego roku.

Wciąż patrzyła na Grensa neutralnym wzrokiem. A właściwie próbowała, bo nie do końca jej się to udało. Nagle w jej oczach pojawił się błysk. Był krótki i intensywny, ale na pewno nie neutralny. W końcu ona też uśmiechnęła się do Grensa.

– Należy dodać, że to były niesłychanie krótkie zaręczyny.

I szepnęła:

– Saxby’s Coffee, godzina osiemnasta, Trzydziesta Piąta Ulica w Georgetown, trzy przecznice od Potomacu. Poproszę o czarną kawę i ciastko orzechowe, to przełożone dżemem.

Po tych słowach Masterson odwróciła się i ruszyła do windy. W połowie drogi zatrzymała się i powiedziała trochę głośniej:

– Przepraszam za to wszystko.

Potem dała znak czterem ochroniarzom stojącym w pewnej odległości od niej.

– Proszę wyprowadzić stąd tego człowieka.

Grens nie zdążył nawet zareagować, gdy podbiegli do niego czterej ochroniarze. Dwaj chwycili go za ręce, trzeci szedł przed nim, czwarty z tyłu. Wyprowadzili Grensa za drzwi i na dół po schodach. Jeden kazał mu się chyba wynieść do diabła, a drugi ostrzegł, że jeśli jeszcze raz zjawi się w budynku, zostanie aresztowany i stanie przed sądem.

CIASNA, PRZYTULNA KAWIARENKA z długim kontuarem w tym samym odcieniu co świeżo zmielona kawa. Klienci siedzieli albo stali stłoczeni. Grens pomyślał, że on też wybrałby takie miejsce na spotkanie, łatwe do kontrolowania i obserwowania. Zgodnie z prośbą Masterson o ustalonej godzinie zjawił się w Georgetown, jednym z niewielu miejsc na świecie, na które mógłby zamienić swoją Sveavägen w Sztokholmie. W malowniczej dzielnicy Waszyngtonu panował spokój, który powinien go drażnić, ale było na odwrót. Bardzo mu się tam spodobało. Saxby’s Coffee znajdowała się na rogu O i Trzydziestej Piątej Ulicy. Grens zastanawiał się, czy po spotkaniu z Masterson nie powinien wejść do sąsiedniego budynku, udać się schodami na drugie piętro, zapukać do pierwszych z brzegu drzwi i spytać, czy nie mógłby wynająć pokoju na nieokreślony czas. Wczoraj Bogota, dzisiaj Waszyngton. Te same uczucia –

komisarz policji kryminalnej Ewert Grens, ograniczony gęstą siatką rutynowych czynności, poczuł nagłą potrzebę, żeby latać, smakować, wdychać zapachy i zwiedzać, zanim życie minie i będzie za późno.

Obiecał sobie, że zrobi to później, gdy rozwiąże problem Hoffmanna.

Zerknął na zegar wiszący na ścianie. Trzydzieści trzy minuty po wyznaczonym czasie. Masterson albo była spóźniona, albo zachowywała się jak na profesjonalistkę przystało. Pewnie teraz gdzieś siedzi i obserwuje, czy przyszedł sam i jak sobie radzi ze stresem związanym z czekaniem i udawaniem kogoś innego.

W końcu przyszła. Rozejrzała się po sali, a gdy się upewniła, że Grens jest sam, podeszła do jego stolika, na którym stała filiżanka z kawą, a obok talerzyk z ciastkiem orzechowym z dżemem.

– Kawa trochę ostygła. Gdzie pani była? To znaczy, jak mnie pani obserwowała. Zauważyła pani coś podejrzanego?

Masterson skinieniem głowy wskazała drewniany dom po drugiej stronie ulicy, równie piękny jak ten, w którym byli. Miał zielone okna, które odcinały się na tle białego sidingu.

– Gdyby tak było, kazałabym pana aresztować.

– Kawa już się do niczego nie nadaje, ale ciastko jest chyba takie, jakie pani chciała. Ja stawiam. Może dzięki temu już mnie pani nie wyrzuci za drzwi?

Uśmiechnęła się, ale od razu spoważniała.

– Nasze spotkanie nie może trwać zbyt długo. Prokurator federalny uznałby je za współudział w zdradzie państwa. Ale zanim zaczniemy, proszę mi podać nazwisko.

– Jakie nazwisko?

– Pańskie.

Grens pochylił się w jej stronę.

– Nazywam się Ewert Grens, jestem komisarzem policji kryminalnej w wydziale śledczym w Sztokholmie. Moim przełożonym jest Erik Wilson.

– Grens?

– Tak.

– Czy to nie pan rozkazał zastrzelić Hoffmanna? To pan jest tym policjantem, o którym obaj z Erikiem wspominali?

– Tak.

Masterson obrzuciła go przeszywającym spojrzeniem.

– W takim razie już rozumiem, dlaczego ktoś w pańskim wieku i, proszę wybaczyć, w nie najlepszej kondycji jedzie do Kolumbii, a potem przyjeżdża tutaj, udając oficera łącznikowego Hoffmanna. Ewert Grens... Napędza pana ta sama siła co mnie.

– Tak.

Jestem tutaj, bo to przeze mnie Piet Hoffmann został zmuszony do ucieczki. Za to ty przyszedł na spotkanie ze mną, bo to przez ciebie znowu będzie musiał uciekać. Siedzimy tu oboje, ponieważ poczucie winy to potężna, odurzająca siła napędowa.

– Ta sama siła.

Na lotnisku w Bogocie Grens kupił niewielki laptop, który mieścił się w równie małej torbie przewieszanej przez ramię. Teraz ustawił go na stoliku.

– Lista śmierci. Ta, z której go pani nie skreśliła. Hoffmann znalazł własne rozwiązanie.

Z koperty, w której znajdował się bilet lotniczy do Waszyngtonu, Grens wyjął pendrive'a. Wsunął go do wyjścia USB i otworzył plik z kopią nagrania z satelity, z której Hoffmann usunął współrzędne.

– Rozwiązanie, o którym wspomniałem, znajduje się tutaj.

Masterson zareagowała tak samo, jak Grens dobieg wcześniej. Popatrzyła na ekran, ale nic nie widziała.

– Co to jest?

– Klatka. W środku siedzi najbardziej poszukiwany człowiek świata.

Nie spuszczała wzroku z ekranu.

– Wciąż nie rozumiem.

– Hoffmann kupił sobie małego satelitę. Niech pani nie pyta gdzie i jak. Krótko mówiąc, obserwuje tę klatkę na

komputerze.

Masterson wpatrywała się intensywnie w obraz na ekranie. Nie widziała ani Grensa, ani żadnych innych otaczających ją osób, które nie tak dawno czujnie obserwowała. Dopiero teraz zaczęła powoli rozumieć, o co toczy się gra.

– A więc to jest...

– Tak.

– ...Crouse?

– Tak twierdzi Hoffmann. Czy pani mu ufa?

Przez długą chwilę siedziała w milczeniu.

– W klatce?

– Nasz wspólny znajomy ma pewną propozycję. Chce, żeby usunąć jego nazwisko z listy śmierci. W zamian za to uwolni osobę zamkniętą w klatce.

Masterson sięgnęła po ciastko orzechowe i zjadła je w dwóch kęsach, po czym skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Mów dalej”.

– Okno czasowe. Kiedy satelity nie obejmują swoim zasięgiem jakiegoś miejsca. Taka dziura czasowa. Hoffmann chce wiedzieć, kiedy takie okna pojawiają się w określonych miejscach. Wkrótce przekażę pani współrzędne. Potrzebuje tych informacji, ale nie powie, w jakim celu.

Popatrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Grens domyślił się dlaczego.

– Wiem, o czym pani pomyślała, ale nie chodzi o miejsce, w którym znajduje się klatka. To jego polisa na życie i tych danych nigdy nikomu nie zdradzi. Chodzi o inne miejsce, na Morzu Karaibskim.

Podał Masterson zapisaną odręcznym pismem kartkę z długimi rzędami cyfr. Zerknęła na nią, ale widać było, że nie bardzo wie, co na niej jest. Dla niej te cyfry nie niosły żadnej treści. Liczyło się tylko to, że siedzi przed nią człowiek, który twierdzi, że jest wysłannikiem kogoś, komu udało się ustalić, gdzie jest uwięziony Crouse. Coś w niej krzyczało: „Wezwij posiłki, każ go aresztować, natychmiast”, ale nie zrobiła tego. Nic by to nie dało, bo Grens i tak nie

wiedział, gdzie znajduje się klatka. Nawet gdyby kazała swoim ludziom przycisnąć go w czasie przesłuchań, niczego by nie uzyskała. Jej błąd polegał na tym, że Hoffmann znalazł się na liście śmierci. Jeśli jednak lina, na której tak niebezpiecznie balansuje, wytrzyma, zrzuci z siebie winę i dopilnuje, aby Hoffmann nie był ograniczany w swoich działaniach. Tylko on, oprócz partyzantów z PRC, wie, gdzie przebywa przewodniczący Crouse.

– Panie komisarzu?

– Tak?

– Mam znajomości w NGA, National Geospatial-Intelligence Agency. Współpracujemy przy różnych akcjach. Załatwię panu spotkanie z osobą, która da panu to, o co pan prosił. Rozpiskę obiegu satelitów wokół Ziemi. Ta osoba rozumie okoliczności, więc spotkanie będzie nieoficjalne. Proszę więc przygotować się na kolejną filiżankę kawy w tej kafejce za... powiedzmy...

Masterson zerknęła na wiszącą na ścianie zegar.

– ...trzy godziny i siedemnaście minut. Będziecie mieć pół godziny, bo lokal jest czynny do dziesiątej.

Bawiła się kartką z wypisanymi na niej rzędami cyfr. Wiedziała, że w opinii swoich przełożonych dopuszcza się zdrady stanu. Przekracza wyznaczoną jej granicę. Ale przecież pomoc udzielona dwojgu ludziom, stworzenie im warunków na przeżycie nie może być uznane za zdradę państwa! A jeśli tego nie zrobi? Hoffmann zabierze swoją tajemnicę do grobu i wtedy już nikt oprócz porywaczy nie będzie wiedział, gdzie Crouse jest przetrzymywany.

– Panie komisarzu... czy wszystko jasne?

– Tak, jeśli chodzi o okna czasowe. Hoffmann pewnie sam wyliczy terminy.

Masterson chyba nieświadomie składała kartkę ze współrzędnymi na coraz mniejsze kwadraty. W końcu zwitek zrobił się tak mały, że bardziej nie dało się go złożyć. Zauważyła to i zaczęła go rozwijać, a w końcu odłożyła kartkę na stół.

– A co on właściwie zamierza zrobić?

– Tego nie wiem.

Popatrzyła na Grensa i domyśliła się, że komisarz naprawdę nic nie wie. Najwidoczniej on też postanowił zaufać Hoffmannowi.

– Za to wiem, że ma jeszcze jedno życzenie.

– Jakie?

– Chce, żeby mu pani oddała do dyspozycji ośmiu przeszkolonych, nieprzekupnych ludzi, w tym pilota z helikopterem. Mają za siedemdziesiąt dwie godziny czekać na sygnał w mieście Calamar, w niewielkim kościele w pobliżu Registraduría Municipal del Estado Civil. Oddział ma być w pełni uzbrojony i wyposażony, zdolny do wykonywania operacji na wodzie, w dżungli, do walki nocą i do operacji desantowych. Hoffmann chce ich mieć podczas całej akcji, to znaczy przez dwanaście godzin.

Wcześniej Masterson nawet nie ruszyła zimnej kawy. Teraz ją wypila, głównie po to, żeby się czymś zająć. Zastanawiała się, co starszy komisarz ze Szwecji, któremu udało się zdobyć zaufanie Erika i Hoffmanna, próbuje ugrać i w jakim celu to robi. Zastanawiała się też, jak ona – szefowa DEA – zdobędzie to, czego chciał od niej Hoffmann.

– Co potem, panie komisarzu?

Ośmiu nieprzekupnych ludzi w kraju, w którym przekupstwo jest czymś normalnym. Od razu nasunęło jej się jedyne rozwiązanie: jednostka Crouse'a. Żołnierze byli szkoleni w Stanach Zjednoczonych, a ich żołd opłacała DEA.

– To znaczy?

– Gdy się na wszystko zgodzę, gdy nawiążę kontakt z dowódcą oddziału Crouse'a i zaproponuję mu, żeby pomógł nieznanemu, bezimiennemu informatorowi i odzyskał szacunek, który stracił podczas ataku partyzantów? O co jeszcze poprosi nas człowiek, którego pan reprezentuje?

– Chciałby zwykły kuter rybacki. Ma czekać przy pomoście na południe od Caño de Loro, na wyspie Isla Tierra Bomba.

– Kuter rybacki?

– Pod brezentem mają leżeć cztery loftki kalibru dwanaście, załadowane najcieńszą nitką z włókna węglowego pociętą na dziesięć dwumetrowych kawałków. Do tego wodoszczelny odtwarzacz mp trzy z nagraniem rosyjskiej łodzi podwodnej, która wydmuchuje powietrze w zanurzeniu i po minucie ciszy otwiera luki torpedowe. Do tego niewielki pojemnik z cezem sto trzydzieści siedem. Jeśli to wszystko dostanie, będzie naprawdę zadowolony.

Masterson uważnie obserwowała Grensa, który też nie spuszczał z niej oczu. Cez 137 to radioaktywny pierwiastek. Oboje wiedzieli, że spotkanie dobiegło końca. Od stolika wstali równocześnie. Grens zaczął szukać w kieszeni marynarki innego skrawka papieru zawierającego rzędy cyfr.

– To mój numer telefonu na kartę. Na wypadek gdyby pani musiała się ze mną skontaktować. Mamy przecież... wspólne zainteresowania.

Masterson wzięła od niego kartkę, z kieszeni torebki wyjęła długopis, a ze stojaka na stoliku serwetkę, po czym napisała na niej swój numer i podała ją Grensowi. Na koniec uśmiechnęła się do niego.

– Bowling, prawda?

– Co takiego?

– Bowling. Nasze wspólne zainteresowanie.

Grens też się do niej uśmiechnął.

– Właśnie to miałem na myśli.

TEN SAM STOLIK. TEN SAM gatunek kawy i ciastko orzechowe. Grens postanowił, że go spróbuje.

Po spotkaniu z Masterson przez trzy godziny włóczył się po dzielnicy, w której chyba mógłby zamieszkać. Podziwiał piękną zabudowę Georgetown, pił wodę mineralną z plasterkami cytryny, rozmawiał po angielsku z amerykańskim akcentem – na co się wcześniej nie odważył – z przechodniami, kelnerkami i nieznanymi, których spotkał przy barze.

Kiedy w końcu wrócił do kawiarni, właściciel skinął mu głową jak stałemu klientowi i zaczął mielić ziarna kolumbijskiej kawy – jeszcze zanim Grens zdążył ją zamówić. Punktualnie o wpół do dziesiątej do lokalu wszedł młody mężczyzna.

Beżowe krótkie spodnie, biała koszulka i ciemna grzywka przyklejona od potu do czoła. Mężczyzna nie rozglądał się po sali, bo dokładnie wiedział, po co przyszedł. Zdecydowanym krokiem podszedł do stolika, przy którym szwedzki komisarz policji kryminalnej siedział przy filiżance kawy.

– Chciał się pan ze mną spotkać?

– Proszę usiąść.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył. Nie tu i nie z panem. Przyszedłem tylko, żeby to panu dać.

Mężczyzna położył na stoliku pendrive'a. Grens zdążył się już przyzwyczaić.

– Może pan jednak usiądzie? Inaczej ktoś może potraktować nasze spotkanie właśnie tak, jak by pan nie chciał. Potem może pan sobie iść. Zamówiłem cholernie dobrą kawę. Nie musi pan pić, ale od stolika odejdzie pan dopiero za kwadrans.

Grens przyglądał się mężczyźnie. Z czoła ściekał mu pot, a wyraz oczu i sposób poruszania się wskazywały na to, że strasznie się czegoś bał.

– Mówmy sobie po imieniu, tak będzie prościej. I tak musimy ze sobą rozmawiać, żeby nasze spotkanie wyglądało normalnie.

Młody mężczyzna usiadł na krześle i spuścił wzrok. Był niezbyt pewny siebie, bezradny.

– Musimy rozmawiać – rzucił Grens. – O czymkolwiek. I uśmiechaj się do mnie.

Czekał. W końcu mężczyzna wziął się w garść i też na niego spojrzał.

– Mam na imię Eddie. To powinno wystarczyć. Pracuję jako operator satelitarny w NGA. Wiele osób myli nas z NSA.

Jestem jedną z czterech osób, które odpowiadają za obserwację Kolumbii.

– Dobrze. Napij się kawy. – Grens przesunął wysoką, wypełnioną po brzegi filiżankę, w stronę młodego mężczyzny.

Ten uniósł ją do ust, napił się i odchrząknął.

– Sue powiedziała, że w tej sprawie chodzi o przewodniczącego Crouse’a? I że to, co robimy, może mu bardzo pomóc. I że jeden z informatorów DEA potrzebuje tych danych, żeby go odnaleźć? – Spocony mężczyzna po raz pierwszy poszukał wzroku Grensa. Jakby chciał znaleźć potwierdzenie. Szwed skinął głową.

– Dokładnie tak to wygląda.

– Przewodniczący Crouse... często nas odwiedzał w NGA. Siadał wtedy obok mnie i brał udział w obserwacjach. Właściwie tylko on mówi do mnie Eddie. Porządny człowiek. Robię to dla niego, przekazuję informację cudzoziemcowi, ryzykuję swoją przyszłość, narażam się na więzienie. Robię to dla niego.

Eddie nawet nie spojrzał na filiżankę. Wziął do ręki pendrive’a.

– Tutaj są moje przestępcze czyny. Liczba satelitów. Okno czasowe nad całym światem – *level of classified: cosmic top secret atomic*. Tamto miejsce ma jedno dłuższe okno czasowe, w którym orbity satelit na siebie nie zachodzą: od godziny zero zero kropka trzydzieści siedem kropka zero jeden do godziny zero zero kropka czterdzieści kropka zero zero. Dokładnie trzy minuty. Przekazuję te dane na prośbę Sue Masterson. Robię to tylko dlatego, że jej ufam.

Eddie zerknął na zegarek. Widać było, że jest podekscytowany. W końcu się odprężył i odłożył pendrive’a na stolik.

– Minęło nasze piętnaście minut– rzucił.

Wstał z krzesła tak gwałtownie, że zaszurało po podłodze.

– Nigdy się nie spotkaliśmy.

Po tych słowach wyszedł i nawet się nie odwrócił. Szedł tak samo zdecydowanym krokiem jak wtedy, gdy wchodził do lokalu.

Grens odczekał, aż Eddie wyjdzie na ulicę i zniknie w ciemnościach. Potem sięgnął po leżącego na stoliku pendrive'a. Popatrzył na nieruszoną filiżankę z kawą i pomyślał, że szkoda będzie wylać tak pyszny napój do zlewu.

SZESNAŚCIE KAMER MONITORINGU na klatce schodowej – przy wejściu, w garażu i na terenie całego osiedla w promieniu trzystu metrów. Wszystkie wyposażone w czujniki ruchu. Nawet mysz się nie prześlizgnie. Hoffmann przewinął szybko nagranie z nocy, ale nie zauważył niczego, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Na końcu zrobił zapasową kopię i przeniósł ją na zewnętrzny dysk. To na wypadek, gdyby jej kiedyś potrzebował.

W domu panowała cisza. Wszedł do kuchni ich nowego, tymczasowego, trzypokojowego mieszkania. Zofia spała w ich wspólnej sypialni, chłopcy w swojej przy otwartych oknach. Słysząc było ich głębokie oddechy, które przypominały chór głosów o różnej tonacji i tempie.

Wstał o świcie i wykonał te same czynności, które powtarzał od dnia wizyty w miejscu, w którym był przetrzymywany Crouse. Wprowadził do komputera współrzędne, a stamtąd przesłał je do swojego prywatnego satelity. Tylko w świetle dnia mógł zobaczyć klatkę w dżungli i obóz, w którym był przetrzymywany Crouse. Najpierw kliknął na umieszczoną w prawym górnym rogu ikonę o nazwie Klatka. Następnie wpisał hasło złożone z dwunastu znaków – cyfr oraz małych i dużych liter, do tego średnik, a w samym środku dwa wymyślone przez niego cyfrowe „płatki śniegu”. Kiedy hasło zostało zaakceptowane, prawym kciukiem nacisnął inną ikonę. Po dwóch sekundach program się uruchomił i ruszyła transmisja.

Najpierw z czarnego tła wyłoniła się szarość. Tak naprawdę była to soczysta zieleń, ale przy słabym świetle i w tak niskiej rozdzielczości niuanse ginęły. Na ekranie widać było ludzi, którzy przed chwilą się obudzili i zaczęli nowy dzień. Hoffmann nie wiedział, dokąd idą i co będą robić, bo nie to było dla niego najważniejsze. Musiał się przede wszystkim upewnić, czy trzynastocentymetrowy

satelita uchwyci żółtą plamę z odrobiną czerni i czy klatka, w której przetrzymywano człowieka, o którym mówił cały świat, dalej stoi w tym samym miejscu. Ci, którzy go poszukiwali, nie znali miejsca jego pobytu, ale to z jego powodu amerykański naród wypowiedział partyzantom wojnę.

Chciał sprawdzić, czy jego przyszła zdobycz nadal żyje.

Przeciągnął się i poszedł do Zofii. We śnie wyglądała naprawdę pięknie i to mimo chaosu, jaki zapanował w ich życiu. Potem poszedł do chłopców. Obaj spali na lewym boku, ale ułożeni w różne strony. Przypomniał sobie rozmowę z Zofią. Poprosił ją o tydzień. Zamknął swoją rodzinę w małym domu, który w ciągu dwóch lat zamienił w pilnie strzeżony bunkier.

Poszedł do kuchni, wypił na stojąco filiżankę kawy i wrócił do laptopa. Słońce stało już wyżej, obóz w dżungli nabierał coraz wyrazistszych barw.

W pewnym momencie zadzwonił jego kolumbijski telefon. Hoffmann odebrał po pierwszym sygnale. Nie chciał nikogo obudzić.

– Słucham?

– Peter boy? Widzę, że nie śpisz.

El Mestizo. Silny, energiczny głos tryskający radością.

– Już wstałem.

– Przyjadę po ciebie za dwadzieścia minut. Mamy zlecenie.

– Co?

– Dowiesz się na miejscu. Przygotuj się jak zawsze.

Standardowe uzbrojenie. Pistolet z Radomia, nóż, mini Uzi.

– Za dziewiętnaście minut. Przed twoim domem.

El Mestizo się rozłączył. Za dziewiętnaście minut. To znaczy za dziesięć.

Hoffmann chwycił spakowaną torbę, zbiegł po schodach i ruszył w stronę garażu, do samochodu. O tej porze na ulicach jest mały ruch, więc powinien zdążyć.

Północno-wschodnia dzielnica Cali, ponad cztery kilometry od mieszkania w biednej Comuna 6 do domu dla ludzi o średnich dochodach w dzielnicy Los Guayacanes w Comuna 5. Jedną przecznicę zablokowała ciężarówka, więc musiał się cofnąć o kilkaset metrów. Potem jeszcze raz zwolnił, bo środkiem ulicy jechały dwa wózki z warzywami. I to wszystko. Żadnych innych pojazdów, tak jak się spodziewał. Osiem minut. Stał przed pustym domem z zaciągniętymi żaluzjami i czekał.

Czekał, chociaż nie miał czasu. Miał przecież plan, według którego zamierzał ułożyć sobie życie. Tymczasem jego były zleceniodawca, którego dawniej zaopatrywał w ważne informacje, teraz tylko czekał na okazję, żeby go zlikwidować. On musiał jednak nadal tkwić w swojej fałszywej roli, bo inaczej El Mestizo nabrałby podejrzeń i stałby się jego kolejnym, jeszcze groźniejszym przeciwnikiem. Musi jeszcze trochę wytrwać, aż sprawa się wyjaśni i będą mogli zrobić to, czego zażądała od niego Zofia. Wtedy stąd wyjadą.

– Dzień dobry, Peter boy.

El Mestizo wyhamował tuż przed Hoffmannem. Jak zwykle miał czujną minę, tak jak czujny był jego głos.

– Dzień dobry.

Hoffmann wszedł do samochodu i czekał, aż El Mestizo ruszy. Ale on zerknął na dom i wskazał na niego palcem.

– Ciemno tam.

– Wszyscy jeszcze śpią.

– Nauczycielka i dwóch uczniów?

– Została im jeszcze godzina snu. Zapomniałeś, Johnny, jak to było? Jak sam chodziłeś do szkoły? Szmata czasu, co?

El Mestizo się uśmiechnął. Widać było, że jest w dobrym humorze. Podczas trwającej trzy godziny jazdy Hoffmann aż cztery razy pytał go o nowe zlecenie i cel jazdy, ale za każdym razem odpowiadało mu milczenie. W końcu przestał pytać. Minęli Cartago i zbliżyli się do żelaznego ogrodzenia z gęsto osadzonymi prętami zakończonymi ostrymi szpicami. Wjechali na dziedziniec z tryskającymi

fontannami i kwiatami o płomiennych barwach w glinianych donicach ustawionych na marmurowych podłogach.

Nagle El Mestizo chwycił Hoffmanna za rękę. Niezbyt mocno i niezbyt groźnie, bo chyba bardziej zależało mu na tym, aby stworzyć nastrój jakiejś niezwykłej, nieoczekiwanej bliskości. Trzymał go nadal, gdy siedzieli w samochodzie, kilka kroków od schodów w kształcie wachlarza i poręczy z okrągłymi gałkami z kości słoniowej, które gość miał napotkać dłonią w drodze do głównego wejścia.

– Wiem, że tego nie lubisz, ale może będziemy musieli dzisiaj znowu postraszyć to dziecko. Jeśli tak, Peter boy, to tylko dlatego, że musimy. To вина ojca, który nam nie płaci. Rozumiesz, o czym mówię?

El Mestizo trzymał Hoffmanna za przedramię.

– Bez względu na to, co o tym myślisz, Peter boy... jak mus, to mus. Tylko że dzisiaj do tego nie dojdzie. Toyas jest głupi jak but, ale kocha córkę tak, jak ja kocham swoją, więc zapłaci, a mała będzie mogła się dalej bawić. To dobrze, że możemy ją wykorzystać w negocjacjach, żeby potem wrócić do domu z pieniędzmi, na które partyzanci od dawna czekają.

– Wykorzystać... w negocjacjach?

– Tak.

– I nic więcej?

– Nic więcej.

Hoffmann wiedział, że znowu posunął się za daleko. Kwestionując decyzje szefa, ryzykował własne bezpieczeństwo. Ale cóż, czasem tak trzeba.

– I nic złego jej się nie stanie?

El Mestizo zawahał się, jakby jeszcze nie podjął decyzji albo nie do końca wiedział, gdzie postawi granicę.

– Peter boy, czy do ciebie...

A może powinien dać sobie spokój, żeby nie marnować energii przed zadaniem, które będzie wymagać jego pełnego zaangażowania?

– ...naprawdę nie dociera? Słuchaj, co mówię. Dziewczynce nic się nie stanie.

Wysiedli z samochodu.

Wielkie drzwi hacjendy otworzyły się i stanął w nich właściciel. Pistolet miał demonstracyjnie zatknięty za pasek na tle czarnej, ciasno przylegającej do ciała koszuli. Tym razem towarzyszył mu ochroniarz, który szedł kilka metrów za nim. Tylko jeden, jakby Toyas chciał zaznaczyć, że przelewanie krwi to niezbyt mądry sposób na robienie interesów.

– Señor Toyas? Dzień dobry!

El Mestizo klasnął w dłonie i ruszył w stronę wejścia, głośno rechocząc. Znowu ten rechot! Hoffmann zajmował taką pozycję, aby stanąć między El Mestizo a ochroniarzem Toyasa. Tworzył w ten sposób ludzką tarczę. Przeszli do werandy pełnej pięknych roślin. Stały na niej złote krzesła i błyszczące marmurowe stoliki. El Mestizo zatrzymał się kilka kroków przed Toyasem i nawet nie podał mu ręki. Nikt go tu przecież nie zapraszał.

– Twój dług, Toyas. Tona kokainy. Przyjechałem, żeby odebrać to, co nam się należy. Dwa tysiące pięćset dolarów za kilo za pierwszą połowę towaru i dwa tysiące trzysta dolarów za kilo za drugą połowę. Razem dwa miliony czterysta tysięcy dolarów. Do tego trochę odsetek. Powiedzmy, że razem jesteście nam winieni dwa i pół miliona.

Pochylił się w stronę Toyasa, żeby spojrzeć mu w oczy. W podobnych sytuacjach właśnie tak się zachowywał. Ale Toyas unikał jego wzroku; spoglądał obok i nad głową niespodziewanego gościa, ale ani razu nie spojrzął prosto na niego. Nie dlatego jednak, że się go bał. Po prostu w ten sposób okazywał ludziom pogardę.

– Nie mam wobec was żadnego długu. Już ci tłumaczyłem poprzednim razem. Zapomniałeś?

– A ja ci tłumaczyłem, że to nie moje zmartwienie. Czy wsadziłeś towar w dupę swojemu ojcu, czy wcisnąłeś go matce w cipę, to mnie w ogóle nie obchodzi. Twój problem.

Toyas zachowywał się tak samo jak poprzednim razem. Używał też tych samych argumentów.

– Ktoś z waszych sypnął. Moje zamówienie nie dotarło do odbiorcy. Już ci mówiłem, że będę rozmawiał z głową, nie z dupą.

El Mestizo pochylał się nisko, a ponieważ był wyższy od Toyasa, jego oddech owiewał mu czoło. Nagle – równie szybko, jak niespodziewanie – wyszarpnął z kabury rewolwer i przytknął go Toyasowi do prawej skroni.

– Zamówiłeś i kupiłeś u mnie. Będiesz rozmawiał ze mną i ze mną się rozliczysz. – Nie odrywając rewolweru od głowy Toyasa, zerknął na jego ochroniarza, by się upewnić, że nie stanowi zagrożenia. Potem odwrócił się do Hoffmanna. – Peter, przyprowadź tutaj... Jak ona miała na imię? Mirję.

El Mestizo znowu popatrzył na Toyasa. Tym razem jego usta znalazły się na wysokości policzków barona narkotykowego, który stał na lekko ugiętych nogach.

– Mam z tobą pewien problem, Toyas. Jeśli cię zabiję, nie odzyskam pieniędzy. Dlatego załatwię to w inny sposób. Zlikwiduję po kolei całą twoją rodzinę.

Hoffmann stał nieruchomo, przypomniła mu się ich pierwsza wizyta. Mała dziewczynka, trochę młodsza od jego synów, zamieniła się w piękny posąg, rekwizyt w scenie, w czasie której miało dojść do pozorowanej egzekucji.

– Peter? – El Mestizo skinął głową w stronę domu, jakby chciał pokazać, skąd Hoffmann ma przyprowadzić dziecko.

– Nie.

– Co nie?

– Wiesz co.

– A ty wiesz, co ci mówiłem w samochodzie.

Dzisiaj nic złego się nie zdarzy. Toyas jest głupi jak but, ale kocha swoją córkę tak jak ja kocham swoją, więc zapłaci.

– No, idź już!

Hoffmann znalazł małą w kuchni.

Dziewczynka, która miała na sobie kanarkową sukienkę, wspięła się po wysokim stołku barowym na kuchenny blat

i siedziała naprzeciwko aneksu ze zlewozmywakiem i kuchenką. Odsunęła stojaki na noże i deski do krojenia, żeby zrobić miejsce trzem starannie ubranym lalkom. Wyglądało to tak, jakby lalki coś piekły, wyrabiały ciasto.

Zapłaci, a mała będzie się mogła dalej bawić.

Dziewczynka zauważyła go dopiero wtedy, gdy się do niej podkradł. Chwycił ją, uniósł i wyszedł z kuchni. Dopiero wtedy Mirja zaprotestowała, więc Hoffmann zawrócił i zabrał też jej lalki. Dziewczynka przestała wymachiwać rękami, a on nie musiał zatykać jej ust dłonią.

– Mirja? – El Mestizo stał tak samo jak wcześniej, na środku werandy, z rewolwerem przytkniętym do głowy Toyasa. – Droga, kochana Mirja... poznajesz wujka Johnny’ego?

– Tato! – krzyknęła dziewczynka.

Upuściła lalki. Szarpała Hoffmanna za ręce i płakała.

– Tato... tato... tato!

El Mestizo wyciągnął do niej wolną rękę i pogłaskał ją po policzku.

– Toyas? Co ty na to? Płacisz czy wolisz, żebym się nią zajął?

Toyas nie odpowiedział, tylko splunął w kierunku El Mestizo.

– No cóż, to twoja decyzja. Peter! Puść małą.

– Puścić ją?

– Tak.

Hoffmann postawił dziewczynkę ostrożnie na podłodze. Mirja od razu podbiegła do ojca.

Właśnie na to liczył El Mestizo. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Chwycił dziewczynkę i przytknął jej lufę rewolweru do głowy.

– Dobra, kochana Mirja... Poznajesz ten przedmiot? To dobrze. Bardzo dobrze. Teraz znowu się pobawimy, ty i ja. Pamiętaj zasady? Zamkniesz oczy i pożartujemy trochę z taty.

Mirja popatrzyła ostrożnie na ojca, który aż się trząśł z wściekłości. Został publicznie poniżony, ale skinął głową

ochroniarzowi, żeby nie interweniował, dopóki jego córka jest w niebezpieczeństwie. Potem słabo się do niej uśmiechnął.

– Toyas, ty pieprzony durny ośle. Posłuchaj, co ci powiem! Miałeś zapłacić dziesięć dni temu. Nie zapłaciłeś. Dałem ci ostatnie ostrzeżenie. Ale i wtedy nie zapłaciłeś.

Mirja się rozpląkała. Hoffmann miał ochotę unieść ją z podłogi i zanieść do kuchni, żeby dalej mogła się bawić lalkami. Pomyślał, że zaraz to zrobi, bo przecież Toyas zgodzi się spłacić dług.

– Ostrzegałem cię, co się stanie. – El Mestizo tak jak poprzednim razem przesunął lufą rewolweru po głowie dziewczynki i jej gęstych włosach.

– Dostałem swoje rozkazy, a ty swoje. Tylko ty możesz to jeszcze zmienić. Teraz.

– I kto to mówi? Żałosny mieszaniec.

Hoffmann mierzył z rewolweru do barona narkotykowego. El Mestizo przystawiał lufę rewolweru do skroni jego córki, a jednak Toyas był pewien, że dokładnie wie, gdzie przebiega granica i jak działa ten szantaż.

– Mieszaniec, który kryje się za plecami swojej nędznej, europejskiej *chica compañera*? – Na szerokich zaciśniętych ustach Toyasa pojawił się szyderczy uśmiech. – Co? Nie spodobało ci się, jak cię nazwałem? Metys... mieszaniec. Produkt przypadkowego wytrysku jakiegoś faceta. Ale tym właśnie jesteś! Strzelaj, kurwa! Obaj wiemy, że to teatr. Dowództwo partyzantów nigdy by się nie zgodziło, żebym...

To, co się potem wydarzyło, trwało tylko chwilę, ale Hoffmann wiedział, że ta chwila się przedłuży i to bardzo.

El Mestizo wystrzelił. Kula przebiła głowę dziewczynki.

Toyas trzymał ją mocno w objęciach, a ona zwiśla mu bezwładnie na rękach jak mała szmaciana lalka pozbawiona życia.

HOFFMANN NIEZBYT DOKŁADNIE pamiętał, co działo się od chwili, gdy ujrzał martwą dziewczynkę zwisającą bezwładnie na rękach jej ojca, do chwili, gdy znalazł się tutaj, na brudnych schodach z widokiem na rynek pełen ludzi sprzedających warzywa, owoce, ryby, mięso, torebki i paski i na dzieci, które sprzedawały śmierć.

Siedział na schodach i obserwował ruch na targowisku. W ręce trzymał kubek gorącej kawy. Od pewnego czasu przyglądał się grupie chłopców siedzących przy drewnianych stołach na asfaltowym placu, na którym ruch zaczął się po zamknięciu targowiska. Chłopcy stanowili część społeczeństwa i pełnili w nim tylko jedną funkcję – odbierali pistolet i szli pod wskazany adres. Byli narzędziem tam, gdzie ludzkie życie nie miało wartości, bo liczyły się tylko narkotyki i zyski, jakie dawały.

Zapamiętał domy, białe zarysy katedry i tablicę z nazwą Cartago. Zapamiętał też lalkę i dziewczynkę, która ją trzymała. Cały czas miał w pamięci jej gasnące oczy, których widok go prześladował, domagając się uwagi. Usiadł za kierownicą, ale zamiast wrócić z El Mestizo na południe do Cali, nagle oznajmił, że ma do załatwienia sprawę w Medellín i dlatego wysiadzie i wynajmie sobie wóz. Potem przejechał dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północ. Aż trafił tutaj, do tego dziwnego miejsca, które wcześniej odwiedził tylko raz.

Popatrzył na chłopców – większość z nich była w wieku jego synów. Wydawali się podobni, a jednak różnili się od siebie. Zastanawiał się, jak jeden człowiek może być dwiema osobami. Jak ktoś, kto zastrzelił dziecko, może być tym samym człowiekiem, którego on i Zofia odwiedzili kiedyś w jednej z jego posiadłości, gdzie mieszkał ze swoją trochę starszą od siebie kobietą. Hacjenda leżała na zachód od Cali, a El Mestizo czekał na nich przy wejściu razem z Zanetą i córką – rozluźniony, w dobrym humorze. Zachowywał się jak przepełniony miłością ojciec rodziny; do córki i ich

synów odnosił się czule. Był wrażliwy, łagodny. Miłość, którą okazywał, nie była fasadą. Ucałował Rasmusa i Emila w czoło, podniósł ich z ziemi, a potem zabrał, by pokazać im hacjendę. Z godziny zrobiły się dwie. Odwiedzili stajnię i oglądali konie, podczas gdy on, Zofia i Zaneta rozmawiali, głośno się śmiali i popijali ciemny kolumbijski rum, w którym z czasem tak bardzo się rozsmakował. Kiedy El Mestizo wrócił z dziećmi, wyglądał na szczęśliwego. Hoffmann nigdy go takiego nie widział, ani przedtem, ani potem. To była szczera radość.

A teraz? Tamta dziewczynka też była czyjąś córką. W podobnym wieku. I zwisała bezwładnie na rękach ojca.

El Mestizo to ten sam człowiek, który zabił dziecko. Ten sam, który bawił się z córką, z jego synami i z dziećmi dwóch prostytutek z burdelu, traktując je z prawdziwą czułością. To ten sam człowiek, który kazał przemeblować jeden z pokoi w swoim burdelu. Zabrał z niego łóżko z czerwoną pościelą i szafkę z dildo i kulkami do kneblowania i wstawił dziecięcy kojec, krzeselka i komody z zabawkami tylko dla dzieci, a na dodatek zatrudnił starszą kobietę jako opiekunkę. Za własne pieniądze utrzymywał w burdelu przedszkole.

Tak, to ten sam człowiek.

Hoffmann dopił kawę i wstał. W pobliżu znajdowała się niewielka restauracja. Na jednym ze stolików, był tego pewien, stał dzbanek z kawą.

Wolnym krokiem ruszył w tamtym kierunku. Po drodze zbliżył się do grupy chłopców, którzy czekali na zlecenie. El Mestizo współpracował z *sicarios* od prawie dwudziestu lat. Na pewno przewinęło się ich tutaj kilkuset. Najpierw dostawali sto dolarów, potem dwieście, ale zawsze za takie samo zlecenie. Dawał im do ręki broń i mówił, kogo mają zabić. Potem tylko czekał na wykonanie zlecenia. Jakby posługiwał się psem. Hoffmann wiedział, jak na to patrzyli. Dla nich właśnie tutaj zaczynało się wszystko. Kariera. Z czasem, jako płatni zabójcy, zaczęną współpracować z tymi, którzy mają władzę i jeszcze większe pieniądze. Ja płacę, ty

dla mnie zabijasz. Hoffmann nalał sobie kawy, która była tak mocna, jak się obawiał. Zabójca. Przecież on też nim jest. Tyle że w jego przypadku istnieje różnica – są różni zabójcy. Jedni zabijają innych ludzi, żeby przeżyć, tak jak on. W szwedzkich więzieniach zabijał, żeby przeżyć. Tutaj też zabija w tym samym celu. A może nie? Czy zabójca zawsze jest taki sam? Czy on, Piet Hoffmann, jest tylko pewną odmianą tych, co zabijają za dwieście dolarów, a potem w drodze do domu przestają myśleć o śmierci i za zarobione pieniądze kupują matce prezent? Czy jest jakaś różnica, gdy zabija Piet Hoffmann, który nie ma innego wyjścia? Czy ci chłopcy mają wybór? Czy El Mestizo nie przesunął granicy tak, że zabijanie stało się zwykłym zleceniem? Tak jak dla chłopców, na których Hoffmann patrzył? Kiedy w takim razie i on przesunie swoją granicę? Jak długo musi tu jeszcze pomieszkać, żeby i on był gotów zastrzelić dziecko, które ojciec trzyma na rękach?

Kolejny, tym razem niepełny, kubek kawy. Kobieta, która wzięła od niego pomięty banknot, skinęła głową i dołała mu czarnego napoju.

Kiedyś wpadło mu w ręce coś w rodzaju katalogu; El Mestizo zapisywał w nim wszystkich chłopców, którym ufał. Pewnego wieczoru, gdy zbyt dużo wypił, otworzył jeden z sejfów stojących w specjalnie zabezpieczonym pokoju w burdelu i zaczął się chwalić jego zawartością. Z dumą pokazał mu stan swoich kont bankowych, w Kolumbii i Panamie, a potem ów katalog. Wyjaśnił mu też treść. Strona po stronie, imię, nazwisko, liczba zleceń i pocisków użytych do wykonania zlecenia. Na końcu – dotyczyło to prawie wszystkich chłopców, którzy pracowali już parę lat – data śmierci.

Hoffmann odstawił pusty kubek na stolik i podziękował kelnerce. Nagle przyszło mu do głowy, że wszyscy ci chłopcy, którzy tu siedzą i czekają na zlecenie, za dziesięć lat będą martwi. Tak wynikało ze statystyk, które prowadził El Mestizo. Prawdopodobieństwo poparte było liczbami odmierzającymi długość życia skrytych zabójców.

Trzej z was zostaną zabici przez osoby, na które dostaniecie zlecenie. Dwaj przez kogoś, kto będzie chciał pomścić śmierć bliskiej osoby. Dwaj za dużo się nawciągają. Dwaj za dużo sobie wstrzykną. Trzej zginą, bo za dużo wiedzą. Trzej padną ofiarą policyjnych kul i na zawsze znikną z ulic. Kilku z was, którym uda się dożyć dwudziestych urodzin, odbierze sobie życie, gdy дума z tego, że was wybrano, się skończy, a jej miejsce zajmie wstyd za to, co robiliście.

Tak to już jest. Handel narkotykami i zyski otwierają wszystkie drzwi prowadzące do ciemnych zakamarków ludzkiej duszy. Najmroczniejszych.

Hoffmann znów ruszył w kierunku chłopców, ale uprzedziła go jakaś kobieta. Była elegancko ubrana, miała ciemną karnację i długie włosy starannie związane w kok. Mogła mieć najwyżej trzydzieści kilka lat. Odróżniała się od reszty przechodniów przemierzających przepelnione ulice miasta. W sposobie, w jaki się poruszała pośród tętnącego życiem tłumu, było coś, co czyniło ją inną. Wydawało się, że ma władzę i właśnie zdecydowała, że jakiś człowiek przestanie niedługo żyć. Hoffmann obserwował, jak kobieta podchodzi do chłopców, którzy zaczęli się wokół niej tłoczyć. Szybko wybrała jednego z nich. Chłopak był dość wysoki, miał czapkę z daszkiem zsuniętym na tył głowy. Pozostali rozczarowani jej wyborem, wrócili na swoje miejsca, żeby czekać na następnego zlecniodawcę.

Hoffmann odczekał, aż kobieta załatwi sprawę i opuści plac razem z wybranym chłopakiem. Potem ruszył w kierunku tych, którzy zostali na placu. Jeszcze zanim do niego dobiegli, powstrzymał ich ruchem ręki. Wskazał jednego z nich i przywołał go do siebie.

– Poznajesz mnie?

– Jasne.

– Jesteś pewien?

– Jest pan przyjacielem Metysa.

Hoffmann wskazał głową na schody, na których długo siedział. Pokazał chłopakowi, dokąd ma za nim iść.

– Siadaj.

– Tutaj?

– Tak.

Chłopak ubrany był w luźny T-shirt i miał dwanaście lat.

– Masz na imię Camilo, tak?

– Tak.

– Czekasz tu na zlecenia?

– Codziennie. Co pan ma?

Powaga i szacunek. Hoffmann przypomniał sobie, że właśnie taki wydawał mu się chłopiec, kiedy widział go poprzednim razem. Od dwunastolatka, który ani nie imponował wzrostem, ani nie wyglądał groźnie, była pewność siebie. Podobnie jak od kobiety, która niedawno tu była. Oboje decydowali o czyimś życiu.

– Ile razy już...?

– Do tej pory?

– Tak.

– Dwadzieścia pięć, señor. – Chłopak był dumny i jeszcze bardziej się wyprostował.

Dwadzieścia pięć razy.

– Jakie dostanę zadanie? – spytał. – Jestem szybki i używam dwóch kul.

Uniósł dłoń ułożoną w taki sposób, że przypominała pistolet, po czym wykonał ruch, jakby oddał dwa strzały: we własną pierś i w czoło.

– Co robisz z pieniędzmi, jak wykonasz zlecenie?

– To moja sprawa.

– Jeśli chcesz dostać zlecenie, musisz mi odpowiedzieć.

Chłopak, który był zawodowym zabójcą i miał na imię Camilo, przyglądał się Hoffmannowi, jakby chciał go ocenić. W końcu wzruszył ramionami.

– Jedną setkę daję mamie. Drugą wkładam do skarbonki.

– Do skarbonki?

– Tak. Do blaszanego pudełka po czekoladkach.

– Po co ci te pieniądze?

– Oszczędzam.

– Na co?

– Na przyszłość.

Hoffmann popatrzył na targ, który tętnił życiem. Oszczędza? Na przyszłość? Czyżby nie wiedział, że długo nie pożyje? Tak jak jego koledzy?

– W porządku. Dam ci zlecenie.

Chłopak w jednej chwili stał się kimś. Jego oczy na moment rozbłysły. Hoffmann wyjął z kieszeni marynarki plik banknotów.

– Twoje wynagrodzenie.

Podał chłopcu dwa banknoty. Ten wziął je od niego i czekał z wyciągniętą ręką. Na więcej?

– Coś jeszcze... rewolwer.

– Dzisiaj obędzie się bez niego.

– Da mi pan pistolet? Z pistoletu też umiem strzelać.

– Nie dostaniesz żadnej broni.

Camilo spojrział na swojego nowego zleceniodawcę uważnym wzrokiem, przyłożył dłonie do szyi i udał, że je zaciska.

– Bez broni? Chce pan... żebym... zabił gołymi rękami?

– Dzisiaj w ogóle nie zabijesz.

– Nie rozumiem.

– Masz nikogo nie zabić.

– Dostanę zlecenie czy nie?

Hoffmann wyjął ze zwitka banknotów następne dwieście dolarów.

– Twoje zlecenie to nikogo dzisiaj nie zabić.

– Dalej nie rozumiem.

– Jeśli pójdziesz teraz do domu, zapłacę ci podwójnie. Mamie dasz dwieście dolarów. Drugie dwieście odłożysz do skarbonki. W zamian za to nie chcę cię tu widzieć przez cały miesiąc.

– Cały miesiąc? Nie da rady.

– Daję ci za to pieniądze. Podwójną stawkę. Żebyś przez miesiąc nikogo nie zastrzelił.

Camilo siedział na brudnych schodach i patrzył w pustkę. Nie zauważał tłumu, bo zawsze tam był. Nie słyszał szumu głosów, bo one też były zawsze. Przed chwilą ten człowiek

zaoferował mu czterysta dolarów za nic. W jego świecie taka kwota to prawdziwy majątek. Powinien się cieszyć, śmiać i tańczyć, ale nie zrobił tego.

– Niech pan spojrzy, to nowicjusze. – Camilo wstał ze schodów i wskazał ręką ławki.

Hoffmann domyślił się, że to miejsce wydzielone dla najmłodszych zabójców.

– Ci tam... – Camilo wskazał chudą ręką grupkę trochę starszych chłopców. – ...zastrzelili po kilka osób. Ale ja... – uderzył się mocno pięścią w pierś. – ...ja jestem *sicario*.

– Naprawdę?

– Załatwiłem dwudziestu pięciu ludzi. Za każdym razem patrzyłem im prosto w oczy. Za każdego dostaję dwieście dolarów i ...

– To prawda. A teraz dostaniesz czterysta, żebyś do nikogo nie strzelał.

Chłopiec stał w miejscu i nadal bił się pięścią w pierś. Wykolejony w wykolejonym społeczeństwie, a jednak był z siebie dumny. Chodziło nie tylko o pieniądze, ale także o coś ważniejszego, o status i tożsamość. W swoim świecie był *sicario*. Tymczasem ten facet chciał mu to wszystko odebrać. Zaoferował mu pieniądze za nic, nie żądając w zamian żadnej przysługi.

– Zgadzasz się? – Hoffmann patrzył na chłopca, który zraniony rozważał to dziwne pytanie, czy więcej warte jest nie zabijać ludzi. Taki jest świat narkotyków. W tym świecie ludzkie życie warte jest dwieście dolarów, a wykonawcy wyroków mają po dziesięć, dwanaście lat.

– Tak. – Chłopak skinął na potwierdzenie głową, wyciągnął rękę i odebrał od Hoffmanna dodatkowe dwieście dolarów.

– Zostanę w domu. Przez miesiąc.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Camilo, dwadzieścia pięć egzekucji. Kiedy z tym skończysz?

Po trzydziestej ofierze? Czterdziestej? Pięćdziesiątej? Ilu ludzi zdążysz jeszcze zabić, zanim ktoś zabije ciebie?

Chwilę potem chłopiec wtopił się w tłum. Hoffmann
wsiadł do samochodu. Czas wracać do domu.

SUE MASTERSON WYSZŁA Z BUDYNKU i od razu zderzyła się z gorącą, wilgotną ścianą powietrza. Działo się tak za każdym razem, gdy o tej porze roku mijala umundurowanych strażników i wychodziła na ulicę, aby po długim dniu pracy w głównej siedzibie DEA pójść do domu. Ale cóż, tak właśnie jest w Waszyngtonie. Codziennie spędza w chłodnych, klimatyzowanych pomieszczeniach wiele godzin i zapomina, że na zewnątrz panuje prawie subtropikalny upał. Ledwo przeszła kilkaset metrów, poczuła, że zaczyna się pocić. A jednak lubiła to uczucie, właściwie go potrzebowała. Dzięki niemu wiedziała, że czas, który spędzała pod ochroną strażników, dobiegł końca. Każdego dnia, bez względu na porę roku, pokonywała piechotą drogę do pracy i z powrotem między domem na Reservoir Road a biurem w Georgetown. Trzy kwadranse wczesnym rankiem i trzy kwadranse późnym popołudniem. Przeskakiwała na zmianę z jednego świata do drugiego, oddychała mieszanką chaosu i spokoju.

W sklepiku na rogu jak zwykle kupiła butelkę wody mineralnej. Prowadziło go małżeństwo, które często głośno się kłóciło. Czasem jej się wydawało, że w ogóle im nie przeszkadza, że do kłótni dochodzi na oczach klientów. Usłyszała, że dzwoni jej prywatny telefon. Przychodząca rozmowa z nieznanego numeru. Nie, to chyba za wcześnie. Przecież dopiero wyszła z biura i jeszcze do niej nie dotarło, że wraca do domu. To jej prywatny czas i prywatny telefon. Postanowiła nie odbierać i włożyła aparat do torebki, którą niosła przewieszoną przez oba ramiona, jak mały plecaczek. Po chwili telefon znowu zadzwonił i na wyświetlaczu ukazał się ten sam numer.

– Słucham? – Głos miała poirytowany, ale celowo nadała mu takie brzmienie.

– Dzień dobry, Sue. – Jej rozmówca chyba tego nie wyczuł. A jeśli nawet, zignorował to. – A może powinienem

powiedzieć „dobry wieczór”? Sam już nie wiem, bo nie znam się na zmianach czasu. Mój organizm też się pogubił.

Męski głos, obcy akcent.

– Mówi pani znajomy z kawiarni. Spotkaliśmy się wczoraj.

Masterson dopiero teraz się domyśliła, że dzwoni komisarz Grens.

– Dobry wieczór. Myślałam, że wczoraj wszystko omówiliśmy i już pan opuścił Waszyngton.

– Zmieniłem zdanie. Tak mi się tu spodobało, że... wróciłem do kawiarni. Siedzę przy tym samym stoliku w Saxby's Coffee na Trzydziestej Piątej Ulicy. Spędziłem tu sporo czasu. Szczerze mówiąc, dzień. Serwują tu fantastyczne śniadania i lunche. Wiedziała pani o tym?

– Nie, nie miałam pojęcia.

– Kawa. Pączki. Nawet pani nie wie, co traci.

– Potrzebuje pan czegoś, czy chciał pan tylko omówić menu?

W telefonie rozległ się brzęk porcelany, jakby filiżanka uderzyła o spodek. Potem Masterson usłyszała nieskrępowane siorbanie.

– Chciałbym się spotkać. Jeszcze raz. Zaprosić panią na kawę.

Masterson szła duszną, wilgotną ulicą. Grens na pewno nie był pijany. Mówił z mocnym akcentem, szkolnym angielskim, lecz była pewna, że dobrze go zrozumiała.

– Przykro mi, panie komisarzu, ale w tej chwili marzę o zimnym prysznicu.

– W takim razie muszę panią poprosić, aby zechciała pani rozważyć późniejszy powrót do domu.

Uliczny ruch, czerwone światła i prawie pusta butelka po wodzie.

– To będzie nasz ostatni raz...

– Zależy mi na tym. Chodzi o bowling... wie pani.

– Bowling?

– Nasze wspólne hobby. Nie zdążyliśmy wszystkiego omówić.

GRENS RZECZYWIŚCIE SIEDZIAŁ przy tym samym stoliku. Na blacie stała filiżanka czarnej kawy i talerzyk z okruchami z przynajmniej trzech różnych ciastek. Tam gdzie miała usiąść Masterson, stała duża filiżanka kawy przykryta talerzykiem, żeby napój nie wystygł. Grens odsunął nawet krzesło, żeby łatwiej jej było usiąść.

– Bardzo proszę, madame.

Masterson przez chwilę się wahała. Poczowała się nieręcznie, jakby Grens się do niej zalecał.

– Być może źle mnie pan zrozumiał, panie komisarzu, więc na wszelki wypadek wyjaśnię, że jestem singielką i bardzo mi z tym dobrze.

Wskazał jej krzesło i uśmiechnął się.

– Proszę usiąść, pani dyrektor Masterson z DEA. Zaczynam rozumieć, co Wilson w pani widział. Ja też jestem singlem i naprawdę łakomym kaskiem: ciało dwudziestolatka i to samo ubranie co wczoraj. Ale nie chodzi ani o mnie, ani o panią, tylko o nasze wspólne dziecko.

Komisarz czekał cierpliwie, aż Masterson w końcu usiadzie.

– Poza tym, tak jak pani, zakochałem się kiedyś w kimś z pracy, ale nie skończyło się to dobrze. Dla mnie też nie. Więc chociaż wiem, że nie można mi się oprzeć, apeluję, żeby zachowywała się pani profesjonalnie.

Grens znowu się uśmiechnął, więc Masterson usiadła na krześle i zdjęła talerzyk z filiżanki. Poczowała, jak unosi się z niej ciepła para.

– Już dobrze?

– Panie komisarzu, podobnie jak pan, jestem przyzwyczajona do bezsensownych ceregieli. I podobnie jak pan mam ich po dziurki w nosie. Powie mi pan, o co chodzi? Mój prysznic czeka.

– Tak. Chciałbym poprosić, żeby coś pani dla mnie zrobiła... a właściwie dla naszego wspólnego znajomego.

– Już zrobiłam, wczoraj. Zadbałam o to, żeby dostał informacje, o które prosił. Zajmowałam się jego sprawami prawie cały dzień. Łatwo poszło mi z włóknami węglowymi, dźwiękami, jaki wydają rosyjskie łodzie podwodne, i z ośmioma przeszkolonymi ludźmi. Na czes sto trzydzieści siedem potrzebowałam więcej czasu. Naraziłam się na ryzyko, o którym nie ma pan pojęcia. Wystarczy.

Masterson odstawiała filiżankę.

– Jest jeszcze jedna rzecz.

– Jaka?

– Konieczna, żeby obaj przeżyli. On i Crouse.

– Już dosyć zrobiłam.

– To już ostatnia rzecz. Potem o nic więcej nie poproszę.

Obrzuciła Grensa ostrym spojrzeniem. Jego Anni też tak na niego patrzyła, gdy posuwał się za daleko. Każdego dnia brakuje mu jej spojrzenia.

– No to dlaczego, do cholery, nie powiedział mi pan o tym wczoraj?

– Bo chciałem, żeby się pani zdążyła zaangażować. Żeby sobie to pani przemyślała, przespała się z tym. Jeślibym już wczoraj o tym powiedział, od razu wymienił wszystkie żądania i za mocno panią naciskał, toby pani odmówiła i nie zaszlibyśmy daleko.

Masterson przez długą chwilę milczała.

– Jest pan przynajmniej szczery.

– Zwłaszcza gdy mogę coś ugrać.

Obok nich przeszedł kelner, ale nawet go nie zauważyli. W końcu zatrzymał się przy ich stoliku, zebrał naczynia i spytał, czy czegoś jeszcze sobie życzą. Grens spojrział na Masterson.

– Zamówić coś?

– Nie, dziękuję.

Skinął kelnerowi głową.

– Za to ja poproszę kawę, taką jak wcześniej, czarną. I jeszcze jedno malutkie brownie.

– Są w jednym rozmiarze.

– To właśnie w takim.

Grens rozłożył ręce i mrugnął okiem do Masterson.

– Ciało jak u dwudziestolatka. Jedno ciasteczko naraz. –
Potem pochylił się nad stołem i dodał: – Nasz przyjaciel
potrzebuje pomocy w jeszcze jednej sprawie. Chodzi
o formalne porozumienie z Białym Domem.

– Porozumienie?

– O tym, że nasz przyjaciel uwolni przewodniczącego
i przywiezie go do kraju. W zamian wy skreślicie go z listy
śmierci. Dokument ma być podpisany.

Nagle salę wypełnił potężny trzask tłuczonego szkła. To
szklanki spadły razem z tacą na podłogę i rozbiły się na
kawałki. Kelner wyrzwał po chwili z kuchni z zaczerwienioną
ze wstydu twarzą. Tymczasem spojrzenie Masterson
z ostrego stało się lodowate. Tak jak u Anni, gdy zdarzyło mu
się posunąć jeszcze jeden krok za daleko.

– A kto, pana zdaniem, powinien się pod nim podpisać?

– Myślę, że pani dyrektor DEA ma za sobą szkolenie
z negocjacji, więc będzie odpowiednią kandydatką?

– W takim razie będą to negocjacje z elementami
kryminalnymi.

– A jak Biały Dom potraktował Hoffmanna?

PÓŻNY WIECZÓR. POPROSZONO JĄ, żeby cierpliwie poczekała na odpowiedź, bo w wypełnionych rubrykach kalendarza od dawna brakowało wolnych terminów. Czas oczekiwania wypełnił jej spacer do domu, długi prysznic, szybki posiłek i bardzo długi spacer z powrotem – do Białego Domu. Teraz znowu przemierzała jego korytarze, a jej kroki odbijały się echem od ścian i sufitów. Czuła się tak jak poprzednim razem, choć trochę inaczej. Tym razem towarzyszyło jej dwóch ochroniarzy z Secret Service ubranych w czarne mundury ze złotymi identyfikatorami na piersi i mających nowe instrukcje dotyczące jej osoby – jeden miał iść przed nią, drugi za nią. To, co poprzednim razem było wyrazem grzeczności, teraz zamieniło się w podejrliwość.

Syndrom ocalańca. Poczucie winy, którego doznaje ktoś, komu nie udało się uratować innej osoby od śmierci, a sam przeżył.

Właśnie dlatego zgodziła się na prośbę komisarza Grensa i podjęła próbę zorganizowania spotkania w sprawie, od której – jak ją z naciskiem poinstruowano – miała się trzymać jak najdalej.

Drzwi do gabinetu wiceprezydent, które poprzednim razem stały otworem, tym razem były zamknięte. Masterson zapukała, poczekała na „Proszę wejść” i pozdrowiła skinieniem głowy jasnowłosą kobietę siedzącą przy biurku. Tym razem włosy miała rozpuszczone, a okulary z czerwonymi oprawkami nie wisiały na łańcuszku, tylko tkwiły na czubku głowy, tworząc jakby dodatkową parę oczu. Szef sztabu Perry przeniósł się na drugą stronę kanapy i zsunął na podłogę pękate poduszki. Poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Na widok Masterson skinął lekko głową.

– Doceniam, że zgodziliście się ze mną tak szybko spotkać.

Ogień na kominku był wygaszony. Masterson przeszła koło wielkiego lustra ze złotymi ramami i zatrzymała się między dwoma fotelami – niebieskim i zielonym – w których podczas jej poprzedniej wizyty zasiadali szefowie CIA i FBI. Wciąż czekała, aż ktoś ją poprosi, żeby usiadła.

Policzki i szyja wiceprezydent były czerwone.

– Powiedzieliśmy, że jeśli chcesz zachować stanowisko, masz zerwać kontakty z informatorem. Wyjaśnij, której części polecenia nie zrozumiałaś.

– Zrozumiałam je dobrze. I dlatego się z nim nie kontaktowałam.

– W takim razie chyba błędnie zrozumiałam prośbę o rozmowę, którą przekazałaś mi przez sekretarza? Określiłaś ją jako „rozstrzygającą dla naszej operacji w Kolumbii i dla bezpieczeństwa państwa”.

Masterson nadal stała. Nikt nie poprosił, żeby usiadła.

– Zasięgnęłam informacji od osoby trzeciej.

– To nie to samo?

– Absolutnie nie.

– To bardzo swobodna interpretacja.

– Ale dzięki temu nie złamałam waszych poleceń.

Dziwnie się czuła, patrząc na przedstawicieli najwyższych władz z góry. Zauważyła, że wiceprezydent ma farbowane włosy, bo widać było siwe odrosty. Perry, który siedział skulony na kanapie i przeglądał papiery, zaczął powoli łysieć.

– Poproszono mnie, abym wam przekazała pewną ofertę.

Ani Perry, ani Thompson się nie odezwali.

Masterson nie mogła mówić do nich obojga naraz, więc postanowiła skupić uwagę na pozbawionym wyrazu spojrzeniu wiceprezydent Thompson.

– Można powiedzieć, że działałam w imieniu osoby, która znajduje się teraz w Kolumbii i wie, gdzie przebywa przewodniczący Izby Reprezentantów porwany przez partyzantów z PRC. Osoba ta chce, abym w jej imieniu poprowadziła negocjacje. Tu, na terenie USA. Jeśli zgodzicie się na zaproponowane ustalenia i podpiszecie

porozumienie, przewodniczący Crouse zostanie uwolniony i uratowany od śmierci.

– Wiele razy podkreślaliśmy, że administracja Stanów Zjednoczonych nie negocjuje z przestępcami.

– A ja podkreślałam, że osoba, w imieniu której tu przyszłam, była przez nas zatrudniona, opłacana i wykonywała nasze zlecenia.

Masterson wyjęła z kieszeni pendrive'a od Grensa – który z kolei dostał go od Hoffmanna – podeszła do biurka i położyła go na blacie.

– Proszę, żeby pani to obejrzała. W tej klatce siedzi Crouse. Osoba, która poprosiła mnie o kontakt z wami, wie, gdzie Crouse jest trzymany. Wie też, jak można go uwolnić.

– Wie, gdzie jest Crouse?

– Tak.

– Przykro mi, Sue. Nie przekonasz ani mnie, ani Perry'ego, że to prawda.

– Zna dokładną pozycję klatki i uwolni Crouse'a, ale żąda pisemnej gwarancji. Jeśli przewodniczący wróci do nas żywy, skreślicie Siódmkę Kier z listy śmierci. Proponuje życie za życie.

– Nie – uciął Perry. – Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to przecież już o tym rozmawialiśmy. Chodzi o zaufanie świata zewnętrznego.

– Jeśli przewodniczący Izby Reprezentantów, jeden z najpotężniejszych ludzi w naszym państwie, zostanie uwolniony i wróci do kraju, a potem będą o tym trąbić media, to zaufanie świata zewnętrznego raczej wzrośnie.

– Nie. – Thompson przyłączyła się do Perry'ego. – Negocjowanie z przestępcami jest tak samo niemożliwe, jak to, że jedna osoba odnajdzie, uwolni i dostarczy porwanego zakładnika z powrotem do kraju.

– Wiecie, do czego ten człowiek jest zdolny.

– Wiemy tylko to, co usłyszeliśmy o nim od ciebie.

– Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie? To najlepszy informator, jakiego zatrudniłam, odkąd kieruję DEA. Mamy mnóstwo innych informatorów, z którymi możemy go

porównać. Sami o tym wiecie. Nasz człowiek zaszedł najdalej i to w ugrupowaniu, które porwało i torturowało Crouse'a. I tylko on wie, gdzie Crouse przebywa. Miejsce pobytu przewodniczącego to dla niego coś w rodzaju liny ratowniczej. Nigdy... w żadnym wypadku... nie zdradzi nam tych danych bez gwarancji. Jeśli go skreślicie z listy śmierci, dostarczy nam Crouse'a. Co macie do stracenia? Coś więcej oprócz twarzy?

WICEPREZYDENT ELENA THOMPSON i szef sztabu Lauriel Perry szli obok siebie równym krokiem. Raczej maszerowali: lewa ręka, prawa noga, prawa ręka, lewa noga. O niczym konkretnym nie myśleli. Był późny wieczór, zbliżała się noc, oboje byli już zmęczeni, poirytowani i dlatego spieszyło im się, żeby jak najszybciej przejść korytarzem, a potem schodami na niższe piętro. Szli do tak zwanego *situation room*. Było to najbardziej strzeżone pomieszczenie w całym Zachodnim Skrzydle. Nie chodziło jednak o jego wygląd ani rozmiary, bo w Białym Domu nie brakuje pomieszczeń, których powierzchnia sięga pięciuset metrów kwadratowych, tylko raczej o sprawy, które w nim inicjowano i kończono. W pokoju stały meble, które kazał tam wstawić John F. Kennedy. Tylko ten pokój gwarantował, że o tej porze dnia nawet z kilkuminutowym wyprzedzeniem będzie można liczyć na to, iż znajdzie się w nim do dyspozycji wykwalifikowany personel i profesjonalny sprzęt. Masterson poproszono, aby poczekała na nich w pokoju Thompson. Nie było jednak pewne, czy ma czekać, stojąc, bo wciąż nikt nie zaoferował jej siedzenia.

– Czy obiekt wciąż jest na miejscu?

Ten sam co przedtem operator skinął jej na powitanie głową i wrócił do swojej monotonnej pracy. Wraz z innymi operatorami obserwował wielki ekran wiszący na krótkiej ścianie sali konferencyjnej.

– Tak. Obiekt wciąż tam jest. Czekamy tylko na następny.

Jedyny ekran, który był włączony, przekazywał satelitarny obraz ulicy w mieście, które mimo panujących ciemności nadal tętniło życiem. W hotelowych oknach paliły się światła, burdele były pełne klientów. Typowa ulica w kolumbijskim mieście Cali. Następnym celem w Ostatecznej Wojnie z Narkotykami. Nieruchomość należała do człowieka zwanego El Mestizo, który przebywał na jej terenie już całą dobę. Walet Kier. Ale nie tylko on był obiektem. Operatorzy czekali na moment, aż w budynku zjawi się nieodstępujący go ochroniarz, El Sueco. Siódemka Kier. Następnym razem skreślą z listy kolejne nazwiska po przeprowadzeniu podwójnego ataku.

– Znamy ich zwyczaje. To tam się spotykają. Jestem prawie pewny, że to już niedługo.

– Jaką funkcję pełni ten ekran? – Szef sztabu wskazał na drugi duży ekran wiszący na ścianie. – Możemy go zająć na parę minut?

– Przekazuje obrazy z kamer na hełmach żołnierzy z Delta Force, ale używamy ich tylko podczas akcji.

– To dobrze. Włączysz go?

Szef sztabu podał operatorowi pendrive'a. Operator wsunął go do gniazda USB, włączył monitor i podał Perry'emu pilota.

– Działa jak zwykły pilot domowy. „Play”, „pauza”, „dźwięk” i tak dalej.

Obraz satelitarny, taki sam jak na sąsiednim ekranie. Tylko że ten niczego nie przedstawiał. Masterson wspominała o dżungli, błocie i dachu klatki. Tymczasem na ekranie widać było zamazane, zielono-brązowe tło, trochę szarości i jakieś żółtawe plamy. Nieostry film mogący przedstawiać cokolwiek.

Długość nagrania: dwadzieścia pięć minut.

Bez względu na to, w którym miejscu ścieżki czasowej ustawiali kursor, obraz się nie zmieniał.

– Masz trochę czasu? – Thompson położyła dłoń na ramieniu operatora. – Pomożesz nam wyjaśnić, co jest na tym ekranie?

Operator poczerwieniał na twarzy. Sama wiceprezydent położyła mu dłoń na ramieniu!

– Oczywiście, pani wiceprezydent.

Operator obserwował obraz na ekranie mniej więcej przez dwie minuty.

– To dżungla. Zdjęcie zrobiono z satelity.

– Tyle też się domyśliliśmy. Coś więcej? – Thompson wskazała palcem na żółtą plamę mniej więcej na środku obrazu, a potem na ciemny punkt pośrodku. – Co można z tego wyczytać?

Operator powiększył obraz.

– Bardzo mi przykro, ale nie umiem pomóc. Widzimy już powiększony obraz. Bardziej się nie da. Żółta plama i czarny punkt znikną, jak tylko spróbuję coś zrobić.

– Ale co widzisz? Przecież codziennie opisujesz takie zdjęcia. – Thompson wciąż trzymała rękę na ramieniu operatora.

– Mógłby to być... na przykład bardzo mały domek. Szałas w dżungli. Ale i duży kamień.

Operator pochylił się bliżej ekranu.

– Mógłby to też być... nie wiem, może to przesada, ale nie można wykluczyć... że to bambusowy dach. A to tutaj wygląda jak bambusowe kraty. Albo to złudzenie optyczne i to jest coś zupełnie innego. To dlatego, że rozdzielczość jest za mała.

– A ten ciemny punkt w środku żółtej plamy?

– Przy odrobinie wyobraźni mógłbym uznać, że to... hm... człowiek. Ale tak jak mówiłem, to może być złudzenie spowodowane kiepską jakością obrazu. Może to po prostu kondor, który siedzi i odpoczywa na powalonym drzewie kauczukowym? Albo duża małpa, która stoi na pniu drzewa i rozgląda się po okolicy. Albo... cokolwiek... sami państwo rozumieją...

– Rozumiemy, że to kłamstwo desperata. Dziękujemy.

Thompson i Perry odczekali, aż operator wróci do obserwowania tego, co było na sąsiednim ekranie, czyli burdelu Waleta Kier, oraz cierpliwego oczekiwania na jego

ochroniarza, Siódemkę Kier. Kiedy obaj znajdą się na miejscu, padnie sygnał do ataku.

Między Thompson a Perrym rozgorzała ożywiona dyskusja.

– Masterson kontaktowała się z człowiekiem, z którym zabroniliśmy się jej kontaktować.

Oboje o tym wiedzieli.

– I jest gotowa upierać się przy kompletnych bzdurach.

To już jej koniec.

– Właśnie straciła pracę.

Pendrive, z którego nic nie dało się odczytać, zabrała Thompson. Chciała wyjść z pokoju, gdy w ostatniej chwili powstrzymał ją Perry.

– Poczekaj chwilę.

Zatrzymała się.

– Sue odejdzie. Przykro mi z tego powodu i dobrze o tym wiesz. Lubiłem ją i nadal lubię. Odejdzie, ale jeszcze nie teraz. Póki zajmujemy się tą sprawą, powinniśmy działać spokojnie. Nie zachowujmy się jak zwolnieni z pracy szefowie, którzy publicznie dają upust złości. Niech media wciąż interesują się wojną odwetową, którą prowadzimy z handlarzami narkotyków. Zgoda?

Perry jeszcze bardziej ściszył głos.

– Wrócimy do niej uśmiechnięci. Powiemy jej, że się zgadzamy i jesteśmy gotowi do negocjacji. Jeśli Siódemka Kier, którym zajmujemy się teraz z całkiem innych powodów, otworzy kłatkę, o której Sue nam opowiadała, i przyprowadzi Crouse'a, zawrzemy umowę.

Skinął głową w kierunku monitora, na którym operator obserwował burdel w zachodniej dzielnicy Cali.

– To powinno wystarczyć, żeby się uspokoiła. Przecież nie wie, że wkrótce go zlikwidujemy. Nigdy się też nie dowie, jak do tego doszło. Pewnego dnia po prostu straci z nim łączność.

GRENS SIEDZIAŁ W SAXBY'S COFFEE do momentu, aż właściciel kawiarni grzecznie go poprosił, żeby dopił kawę i wyszedł, bo jest już późno i chce zamknąć. Poza tym, dodał mrugając do Grensa, kawa i ciastka już się skończyły, bo jeden z nowych klientów wyjadł i wypił cały zapas. Dwie przecznice dalej, na Trzydziestej Siódmej Ulicy, Grens znalazł całonocny bar. Wszedł do środka i usiadł przy stojącym w głębi sali stoliku, skąd miał widok na cały lokal. Zamówił butelkę wody mineralnej i omlet z czarnymi oliwkami i greckim serem. Co jakiś czas przysiadali się do niego stali goście w różnym stopniu upojenia alkoholowego i próbowali nawiązać rozmowę z samotnym, nowym klientem. Każdy szybko rezygnował, bo Grens konsekwentnie wzruszał ramionami i odpowiadał po szwedzku.

Poza tym czekał na odpowiedź. Zagrał ostatnią kartą w rozdaniu, a na stole leżało kilka kierów. Zagrał wysoko. Jeśli propozycja Sue Masterson, z którą zwróciła się do wysokich rangą urzędników Białego Domu, spotka się z odmową, innych rozwiązań nie będzie, a Hoffmann pozostanie na liście śmierci, która stawała się coraz krótsza.

Pół godziny po północy zjawiała się Masterson. Grens obserwował, jak otwiera drzwi, wchodzi do środka, rozgląda się po sali i rusza w kierunku jego stolika.

Próbował wyczytać z jej twarzy, jaką odpowiedź przynosi, ale miała neutralną minę. Zagrała swoją kartą i ukryła przed przeciwnikiem swoje atuty. Grens doszedł do wniosku, że wolałby nie być przez nią przesłuchiwany. Ktoś ryzykował życie i jego przetrwanie zależało od tego, co Masterson miała do powiedzenia. Tymczasem jej twarz była pozbawiona wyrazu. Zachował się więc tak jak poprzednio. Pomachał jej ręką, odsunął krzesło i starał się zachować spokój, chociaż był wyjątkowo podekscytowany.

– Piwa?

Masterson pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.
- Coś mocniejszego?
- Przyszłam, żeby tylko przekazać wiadomość.

Grens nalał do szklanki resztę wody z butelki i od razu wypił połowę.

- No więc?
- Co?
- Wie pani, o co pytam.

Ciągle ten jej neutralny wyraz twarzy. Jeśli odpowiedź jest negatywna, Masterson będzie zwlekać, bo żeby coś takiego powiedzieć, trzeba mieć mocne nerwy. Jeśli odpowiedź jest pozytywna, też będzie zwlekać, bo wtedy efekt będzie większy.

- Tak... wiem.

Na dodatek może się z nim trochę podrażnić. On też tak czasem robi, gdy kogoś przesłuchuje.

- Niechże pani coś w końcu powie!
- Macie zielone światło.
- Na piśmie?

– Oferta została zaakceptowana w całości. Na razie ustnie. W gabinetach ważnych urzędników tak się zawiązuje formalne umowy. Życie Crouse'a za życie Hoffmanna.

Grens miał ochotę ją objąć, już nawet wstawał z krzesła z rozłożonymi ramionami, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Masterson już raz pomyliła jego entuzjazm z zalotami. Dlatego szybko usiadł i uniósł szklankę jak do toastu. Zapewnił, że od tej pory on i jego zleceniodawca dadzą jej spokój. Poczeka w barze, aż Masterson wyjdzie na ulicę, poprosi o rachunek i zadzwoni z aparatu, z którego kontaktuje się tylko z jedną osobą.

Zrobili kolejny krok do przodu. Hoffmann dostał to, o co prosił. Dzięki temu będzie żył.

HOFFMANN WYŁĄCZYŁ TELEFON, którego używał do rozmów z jedynym odbiorcą. Grens i Sue wykonali swoją robotę. Teraz jego kolej.

Wysiadł z samochodu, wyszedł z garażu koło jego tymczasowego mieszkania w Comuna 6 i zaczął krążyć w ciemnościach po okolicy, żeby sprawdzić, czy panujący w niej spokój nie jest pozorny. Żeby zyskać pewność, robił zazwyczaj kilka rund w różnych kierunkach.

Powinien się bardziej cieszyć, bo przecież dostał zgodę. Amerykanie zaakceptowali ofertę „życie za życie”. Ale umowa, która jeszcze kilka dni temu była dla niego czymś najważniejszym, teraz przestała mieć aż tak duże znaczenie. Już mu nie wystarczyło, że załatwił tę sprawę. Pojawiło się coś więcej. Coś, co od niedawna nie dawało mu spokoju – szmaciana lalka.

Zakończył pierwszą rundę i zmienił kierunek. Szedł przez biedną dzielnicę, prawie całkiem pozbawioną ulicznego oświetlenia. Pilnował się, żeby nie objęły go kamery monitoringu. Podczas drugiej rundy zauważył tablice rejestracyjne dwóch samochodów, których nie widział tu wcześniej. Był to samochód osobowy i pick-up. W telefonie sprawdził oba numery rejestracyjne i dane właścicieli. Okazało się, że pojazdy należą do osób, które mieszkały tu od dawna. Kierując się do drzwi wejściowych, stanął przed kamerą numer czternaście, która była zawieszona trochę wyżej od pozostałych i obejmowała zasięgiem większą część wejścia. Przekreślił ją trochę w prawo, aby zmniejszyć martwy punkt, który zauważył w miejscu, gdzie korytarz prowadzący do zsypu przecinał się z korytarzem prowadzącym do schowka na rowery, w którym przetrzymywano stare meble i stopy opon.

Mieszkanie na trzecim piętrze, wszyscy śpią. Słyszc oddechy, które tak bardzo lubił słyszeć. Cała jego rodzina żyje.

Żadne z nich nawet nie wie, jak wygląda mała dziewczynka, która nie osunęła się na ziemię tylko dlatego, że jej tata kurczowo trzymał ją na rękach... i wciąż nie rozumiał, co się stało.

Chciał iść do kuchni, usiąść przy stole i to wszystko przemyśleć. Zastanović się, jak potraktować to, co się wydarzyło, i podjąć decyzje związane z jego planem. Zaczął go już realizować, bo sobie i rodzinie miał umożliwić powrót do normalnego życia. Plan zaczął nabierać jeszcze bardziej realnych kształtów w chwili, gdy El Mestizo pozbawił życia dziewczynkę, bo jej ojciec nie spłacił długu. Brakowało mu tylko sił. On, który zawsze sobie radził, nie mógł tego wszystkiego już dłużej wytrzymać. Tutaj, wśród bliskich, przestał być czujny. Poczul to w chwili, gdy otwierał drzwi. Opadł na krzesło i jakby się skurczył, a gdy napięcie, które utrzymywało go w stanie ciągłej gotowości, nagle opadło, a jego ciało straciło oparcie, stał się niczym. Na krótkim odcinku do sypialni dwa razy się poślizgnął i stracił równowagę, a potem uderzył łokciem i czołem w futrynę. W sypialni rzucił się w ubraniu na łóżko, przysunął do nagiego, ciepłego ciała Zofii, objął ją ręką i od razu zasnął.

Śniło mu się, że któryś z dłużników wyklóca się o pieniądze, więc go zastrzelił. Kula zrobiła mu wielką dziurę między oczami. Ofiarę zakopano w ziemi. Śnił mu się chłopiec, który dostał zlecenie na czyjeś życie, i mężczyzna trzymany w klatce, który nie przestawał przeraźliwie krzyczeć i ciągle próbował uciec od prądu i drutu kolczastego. Cała trójka wracała do niego we śnie, biegła w jego kierunku, więc do nich strzelał. Potem dźgał ich nożem, a oni upadali, ale zaraz wstawali i znowu rzucali się na niego. On znowu zadawał im ciosy, a oni upadali i znowu się podnosili. Tymczasem on nie mógł już biec, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Poślizgnął się i leżał, a oni byli coraz bliżej.

– Piet?

W nocy budził się kilka razy. Spocony, z kołdrą zwiniętą przy nogach. Ostatnim razem śniła mu się szmaciana lalka.

Patrzyła na niego i rozmawiała z nim, chociaż nie miała głowy.

– Piet! Obudź się!

Obudził się dopiero wtedy, gdy Zofia, siedząc na brzegu łóżka, szarpnęła go za ramię. Płakała. Przez to, jak krzyczał. Objął ją i poprosił, żeby położyła się obok. Zapewnił, że to tylko koszmary. Potem leżał przy niej nieruchomo, aż się upewnił, że zasnęła. Pocałował ją i poszedł po ciemku do kuchni. Do świtu było jeszcze daleko, więc zapalił lampę nad kuchenką, bo świeciła słabiej od innych.

Koszmary atakowały go we śnie. Dopadały go i brały we władanie, gdy nie mógł się bronić. Czasem śniły mu się jego pierwsze strzelaniny w Kolumbii. Najczęściej mężczyzna z kobietą, których zastrzelił w burdelu w pierwszym miesiącu pracy dla El Mestizo. Potem się domyślił, że to był test. Czasem w jego snach pojawiali się dwaj osadzeni, których zabił w więzieniu Aspsås w Szwecji, żeby ratować życie.

Ale to były inne koszmary niż ten o szmacianej lalce.

Usiadł przy kuchennym stole i otworzył gazetę na stronie z krzyżówką. Zofia zabrała ją z poprzedniego domu, którego – podobnie jak tego ciasnego lokum – nie uważała za ich dom, chociaż starała się przystosować. Krzyżówka, w której jeszcze ostatniej nocy widział wiele pustych kratek, teraz była wypełniona do połowy. Jak zawsze Zofia użyła ołówka.

Tamta dziewczynka długo leżała martwa w objęciach ojca. Nie chciał jej wypuścić, bo to tak, jakby wypuścił życie.

Toyas żył ze sprzedaży kokainy i to on powinien zapłacić. El Mestizo żył z pilnowania interesu i to on strzelił.

Ale i ten, którego nazywano El Sueco, żył dzięki kokainie, a nawet brał pieniądze od dwóch panów. Dlatego najpierw dostarczył ładunek kokainy na statek, a potem dopilnował, żeby skonfiskowali go celnicy. Z tego samego powodu poszedł w hacjendzie do kuchni i przyniósł z niej pięcioletnią dziewczynkę. To on stworzył warunki do oddania strzału, chociaż to nie on strzelił. Ale i nie powstrzymał El Mestizo.

Przekroczył pewną granicę i wiedział, że nigdy o tym nie zapomni, bo do końca życia będą nawiedzać go koszmary. To będzie jego kara. Za każdym razem, gdy zapadnie noc, a on zaśnie, wpuści do swoich snów także tę, która wisiała bezwładnie w ramionach ojca.

Zapisana odręcznie kartka znajdowała się tam, gdzie dobę wcześniej ukrył ją w drodze do dżungli. Zwinięta na dnie skórzanej pochwy razem z kartką zapisaną na maszynie. Przeczytał słowa, które przekreślił. Potem na samym dole napisał nowe słowo. Zostało mu wystarczająco dużo miejsca na opisanie tego, czego jeszcze potrzebował.

Walizka.

Zofia miała rację.

Muszą się stąd wyrwać.

Do domu.

ŚWIT. WSZYSCY JESZCZE SPALI. Zofia, Rasmus, Emil. Ci, których kochał najbardziej. Jeśli ich zabraknie, wszystko inne przestanie się liczyć. On też, bo istnieje wyłącznie dzięki nim i dla nich.

Nie mógł zasnąć. W jego głowie powstawał plan. W pewnej chwili drzwi sypialni zaskrzypiały i w progu stanęła bosa Zofia. Objęła go ciepłymi od snu ramionami i dwa razy pocałowała w kark.

– Co robisz? – spytała.

– Rozmyślam.

– O tej porze?

– Wkrótce będę musiał wyjechać. – Chwycił ją za rękę i każdą po dwa razy pocałował. – Dałaś mi tydzień. Minęły dwie doby. Nie będzie mnie dwa dni. Kiedy wrócę, mój wyrok śmierci będzie nieaktualny.

Do pierwszego postoju nie było daleko. Pół godziny jazdy samochodem w kierunku południowych przedmieść Cali, kawałek za Jamundí. Jechał sam, więc nie zabrał dodatkowego sprzętu ani uzbrojenia, jak podczas wyjazdów z El Mestizo. Teraz nie był już taki pewien, czy uda mu się wykonać to, co zaplanował i w co kazał wierzyć Zofii. Czy mu uwierzyła? Nie wiedział. Raczej nie. Znała go przecież lepiej, niż on znał siebie; w jego głosie i ruchach wyczytywała to, czego on sam nie dostrzegał. Na szczęście milczała i niczego nie dawała po sobie poznać, bo tak jak on rozumiała, że wspólny niepokój donikąd ich nie zaprowadzi.

Zatrzymał się przy niewielkim obiekcie przemysłowym stojącym na byle jak wyasfaltowanej działce. Niedawno mieściła się tam drukarnia, która zbankrutowała. W takich pustostanach zakładano często tymczasowe wytwórnie kokainy. Wynajmowano je na kilka miesięcy, gdy właściciel szukał nowego najemcy. Z chemikiem Carlosem – który nazywał się tak jak wszyscy chemicy – Hoffmann spotkał się dwa razy, ale nigdy tutaj. Jakiś miesiąc temu baza została przeniesiona do podobnego lokalu w Medellín. Carlos

należał do najbardziej rozchwytywanych chemików, ponieważ był jednym z niewielu w Kolumbii, którzy potrafili zamienić kokainę w pozbawione zapachu próbki towaru ukryte w skórzanych walizkach i torbach podróżnych.

Hoffmann zapukał do drzwi. Chemik będzie potrzebował kilku minut, żeby sprawdzić wszystkie kamery monitoringu i zdecydować, czy wpuści go do środka.

Podali sobie ręce, bez wylewności, bo nie znali się za dobrze.

Mężczyzna był silnej budowy. Pod białym fartuchem nosił garnitur, posługiwał się eleganckim językiem, jakby mu zależało, żeby jego akcent brzmiał jak z Madrytu. Uważał, że Europa jest lepsza od Kolumbii, i stosownie do tego się zachowywał. Kiedy wprowadzał Hoffmanna do środka, cmokał, jakby chciał pokazać, że jest ważny. Starał się naśladować tych, którzy zachowują się elegancko i mają dużo pieniędzy.

W lokalu było jedno duże pomieszczenie ukryte za opuszczonymi żaluzjami. Wszędzie poniewierały się grube, poskręcane rury. Kiedyś doprowadzały wodę do maszyn drukarskich, teraz były zaplombowane. W niektórych dzielnicach Bogoty woda stała się produktem deficytowym i kusila złodziei. Dlatego przy porzewiałych pojemnikach na gaz i niebieskich pojemnikach na chemikalia stał szereg kontenerów z wodą. Wytyczona ścieżka prowadziła do opalanego gazolem pieca, który stał na drewnianej płycie ułożonej na dwóch drewnianych kozłach.

Walizka czekała na Hoffmanna w jedynym pokoju, który przylegał do głównego pomieszczenia. Przypominał pokój socjalny przebudowany na suszarnię. W środku słychać było szum wentylatora, który wtlaczał do środka chłodne powietrze.

- Trzy kilogramy, zgodnie z zamówieniem.
- Czysta kokaina?
- Najczystsza, jaką widziałem.
- Ile procent?

– Od dziewięćdziesięciu czterech do dziewięćdziesięciu sześciu.

Oznaczało to właściwie sto procent. Hoffmann odwiedził wiele wytwórni kokainy na terenie całej Kolumbii i nigdy nie widział próbek o większej zawartości niż dziewięćdziesiąt sześć procent. Gdyby chciał ją porównać z rozcieńczonym towarem, który sam kiedyś rozprowadzał na ulicach szwedzkich miast, te dwa produkty dzieliłby wszechświat.

Zawartość w jednym gramie towaru staje się tym mniejsza, im bliżej do ostatecznego nabywcy. Jednocześnie towar staje się coraz droższy.

Trzy kilogramy narkotyku w postaci brązowej skórzanej walizki. Takiej samej, jakie niedawno temu widział w dżungli.

Hoffmann podał chemikowi kopertę z pieniędzmi.

– Twoje wynagrodzenie.

– Znasz proces przemiany?

– Tak.

– Obchodź się z nią bardzo, ale to bardzo ostrożnie, bo inaczej ją spalisz. A wtedy będzie bezużyteczna. Nie uda się jej odzyskać. Ulegnie zniszczeniu.

W drodze do samochodu Hoffmann przeprowadzał w myślach dziesiątki przeliczeń. Kilogramy, procenty, euro, gramy, korony... W Szwecji na ulicy można kupić kokainę trzydziestoprocentową. Z trzech kilogramów dziewięćdziesięciosześcioprocentowego proszku można uzyskać przynajmniej dziewięć kilogramów wymieszanego proszku. Siedemdziesiąt pięć euro za gram to siedemdziesiąt tysięcy euro za kilogram, co daje sześć milionów dwieście siedemdziesiąt tysięcy za walizkę.

PRYWATNY PARKING EL MESTIZO był mniej więcej od roku podzielony na dwa miejsca. Pierwsze, trochę większe, było przeznaczone wyłącznie dla niego. El Mestizo stawił na nim czarnego mercedesa G. Na drugim parkował Peter Haraldsson, czyli El Sueco. Tym razem też tam podjechał, wysiadł z wozu i upewnił się, czy bagażnik jest zamknięty na klucz i czy nie ma na nim śladów z laboratorium w dawnej drukarni, z której właśnie odebrał walizkę. Zdarzało się, że zapach nadmanganianu potasu i kwasu siarkowego wżerał się we włókna ubrań i już w nich zostawał, że proces zamiany gęstej masy w skórę walizki albo skóry walizki w gęstą masę zostawiał po sobie ślady, których człowiek nawet nie był świadomy. Dlatego w drodze na spotkanie z szefem zatrzymał się w niewielkim motelu, przebrał się i wziął prysznic. Jeśli El Mestizo dowie się, że jego zaufany ochroniarz szykuje się do drogi, to nie dlatego, że Hoffmann czegoś zaniedbał.

Odczekał chwilę przed wejściem, żeby uregulować oddech. Już wkrótce w wielkiej sali burdelu rozpocznie się kolejny dzień pracy. Nie powinien się niczym różnić od innych dni. Trzeba tylko uważać na El Mestizo, bo to on stanowił pierwszą przeszkodę do pokonania. A właśnie takich przeszkód powinien unikać, aby następnego dnia móc zrealizować swój plan. Otworzył drzwi i przez chwilę się wahał. Miał dziwne uczucie, jakby był obserwowany. Nawet nie podejrzewał, że tak właśnie było.

OPERATOR DYŻURUJĄCY w *situation room* w Białym Domu pochylił się w stronę plazmowego ekranu wiszącego na krótkiej ścianie sali konferencyjnej.

Jest!

Na miejsce parkingowe wjechał samochód i wysiadł z niego mężczyzna.

To on.

Drugi obiekt, na który od dawna czekali. Dwaj terroryści, którzy często podróżują razem do tych samych miejsc. Dzięki temu będzie ich można zaatakować jednocześnie.

Operator sięgnął po telefon i zgodnie z instrukcją wybrał ustalony numer.

– Proszę pana?

– Słucham?

– Myślę, że to właściwa chwila. Obiekt towarzyszący zjawił się na miejscu.

Zduszone ziewnięcie. Operator zerknął na zegarek. Jego monotonna dwunastogodzinna zmiana wkrótce się skończy. Przez cały czas prawie nie odrywał wzroku od ekranu. Obraz satelitarny trafiał do jego komputera, a kilkadziesiąt kilometrów dalej sygnał był szyfrowany przez innego operatora. Odbywało się to w tak zwanej Sali Crouse'a w NGA. Następnie obraz wracał do jego pokoju, do dalszej analizy, w celu podjęcia decyzji. Na nagraniu widać było pełną burdeli ulicę. Ich następny cel. Operator obserwował to miejsce przez cały czas z jedną krótką przerwą. Wczoraj późnym wieczorem pani wiceprezydent i szef sztabu Perry niespodziewanie zajrzeli do jego pokoju, spytali, jak mu idzie i czy mógłby im udostępnić drugi ekran, używany tylko podczas ataków.

Wziął do ręki pilota i włączył drugi ekran. Wyświetlił się na nim kolaż z obrazów z kamer na hełmach czterech żołnierzy z jednostki Delta Force. Znajdowali się naprzeciwko burdelu, po drugiej stronie ulicy.

RANEK W DUŻEJ SALI BURDELU. O tej porze, to znaczy między wyjściem ostatniego klienta nocnego a pojawieniem się pierwszego klienta porannego, panował w niej pozorny spokój.

W budynku byli już dwaj mężczyźni, którzy wkrótce spotkają się na kawie przy stoliku właściciela. Wydawali się czymś zaniepokojeni. Niepokój było widać zwłaszcza na twarzy El Mestizo. Nie dlatego, że tego dnia policjanci z jego

listy płac mieli się zgłosić po comiesięczną dołę. Istniała tylko teoretyczna obawa, że przy okazji wetkną nosy w nie swoje sprawy. Akurat to go nie martwiło. Jego niepokój wywołały zmiany, jakie w ciągu kilku ostatnich dni zauważył w zachowaniu swojego najbardziej zaufanego człowieka. Nie potrafił ich zdefiniować, ale to, co inni nazywali paranoją, dla niego było zdrową podejrzliwością. Czuł, że od kiedy pojawiła się ta pieprzona lista śmierci, Hoffmann nie był sobą. A jednocześnie jakby dokądś zmierzał. On sam zachowywał się podobnie, gdy wpadał w prawdziwą paranoję. Biegał z mokrą ścierką, wycierał kontuar i stoliki, zdejmował krzesła z blatów na podłogę i ustawiał je przy stołach, a nawet brał odkurzacz i sprzątał brudną podłogę. Robił to wtedy, gdy było mu to potrzebne. Niekoniecznie, gdy potrzebował tego jego burdel.

Hoffmann wszedł do sali i usiadł przy stoliku właściciela, w miejscu, które już prawie uważał za swoje. Rzucił „Cześć”, ale odpowiedziała mu cisza. Poczował to, co widział: z jakiegoś powodu Johnny był tak samo niespokojny jak on. Nie zamierzał sam go pytać, bo nigdy tego nie robił, chyba że było to konieczne, więc uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać, aż El Mestizo sam zacznie mówić. Zdążył się nauczyć, że naciskanie go nie ma sensu. Jego szef taki właśnie był. Sprzątanie i pucowanie było jego sposobem na rozładowanie emocji i zmierzenie się z problemem. Tak samo było teraz. Hoffmann uznał, że to dobrze. Dzięki temu zyska trochę czasu i ukryje własny niepokój, który skłonił go do zakupu walizki nasączonej narkotykiem i przekonania komisarza policji, żeby podjął w jego sprawie negocjacje. I to tak, żeby człowiek, którego powoli zaczynał nienawidzić, niczego nie zauważył.

W końcu El Mestizo skończył sprzątać i potoczył się w kierunku stolika. W ręce trzymał filiżankę kawy; podsunął ją Hoffmannowi. Sam też się trochę napił, ale syknął poirytowany i odsunął krzesło od stolika, aż zatrzeszczało.

– Zimna. Przyniosę świeżą. Ty w tym czasie obejrzyj to. – El Mestizo wyjął z kieszeni marynarki różową kopertę. – Pamiętasz, co się stało, zanim pojechaliśmy odwiedzić Rodrigueza w Medellín?

– Tak. I co?

– Właśnie mi to przysłali. Chciałem ci pokazać, ale akurat przyjechała ciężarówka z dostawą wódki.

El Mestizo wyjął z koperty plik zdjęć i ułożył je w półkole, po czym poszedł do baru i wyczyszczonego ekspresu do kawy. Do stolika wrócił kilka minut później, z filiżanką świeżo zaparzonej kawy. Wypił ją jednym haustem i popatrzył spode łba na Hoffmanna.

– Zrobiło się zamieszanie i zapomniałem ci je pokazać... Ale pewnie chciałbyś zobaczyć, co się stało. Chodzi mi o to, co wydarzyło się w Amsterdamie.

Wydawało się, że El Mestizo próbuje rozładować napięcie, które wciąż między nimi było. Zamierzał do tego wykorzystać ich wspólny triumf, którego dowodem było pięć kolorowych fotografii dobrej jakości. Hoffmann potrzebował dłuższej chwili, żeby dotarło do niego, co widzi.

Najpierw zauważył podłogę. Leżeli na niej ludzie, na plecach. Na każdym zdjęciu inni. Brakowało im głów i rąk. Ich skórzane kamizelki też leżały na podłodze, ale trochę dalej. Lalki-wycinanki.

To było jego pierwsze skojarzenie.

Kiedy on i jego siostra byli mali, wycinali razem papierowe figurki dołączane do tygodników, które prenumerowała ich mama. Postać i ubranie łączyły się w całość.

Tych też można było połączyć w całość. Głowy i ręce znajdowały się na osobnych fotografiach. Leżały przy rozłożonych skórzanych kamizelkach z napisem HELLS ANGELS HOLLAND na plecach i AMSTERDAM po lewej stronie piersi. Kończyny leżały ułożone w równym rzędzie. Na fotografiach widać było profesjonalnie wykonane cięcia. W każdej odciętej głowie znajdował się wlot po kuli na skroni i wylot z tyłu.

– Te zdjęcia dowodzą, że przeciek nie wyszedł od nas. Ani od ciebie, ani od żadnego z naszych.

Śmiech. Cichy, bulgoczący.

El Mestizo brał do ręki zdjęcia i po kolei je oglądał, uważnie i z bliska. Przedstawiwały członków gangu motocyklowego w europejskiej stolicy. Niezły klient, handlowali z nim od wielu lat.

Wszystko układało się dobrze, gdy dwa miesiące temu coś nagle się popsuło. Poszedł transport trzystu kilogramów kokainy – tą samą metodą, tą samą drogą. Umieszczono go w trzech pojemnikach, załadowano na trzy różne statki, wysłano do trzech różnych portów: Rotterdamu, Amsterdamu i Ostendy. Po pewnym czasie ich holenderski partner sam zadzwonił do El Mestizo.

– Ładunek nie dotarł. Brakuje wszystkich pojemników.

– O czym ty, kurwa, mówisz...

– Nie ma ładunku, nie ma zapłaty...

Podczas tamtej rozmowy El Mestizo wcale się nie śmiał. Jego złość zamieniła się we wściekłość, a ta w nienawiść. Rozpoczął własne śledztwo, żeby ustalić, kogo powinien ukarać śmiercią. Wkrótce znalazł odpowiedź.

Towar trafił na pokłady statków. Trzysta kilogramów kokainy załadowano do drewnianych skrzyń, jak podczas każdej dostawy. List przewozowy i pieczętki stanowiły dowód na to, że skrzynie zawierały ziarna kawy Arabica i że wszystko odbyło się zgodnie z przepisami Narodowego Związku Plantatorów Kawy w Kolumbii – jak przy każdej dostawie.

Kolejna rozmowa z partnerem handlowym.

– Macie zapłacić albo zginiecie.

– Chcesz, żebyśmy zapłacili za trzysta kilogramów, które do nas nie dotarły?

– To wasz problem.

– W takim razie to ty chcesz nasz oszukać.

– Moja odpowiedzialność kończy się w chwili, gdy produkt trafi na statek i opuści Kolumbię. Wiesz o tym

równie dobrze jak ja. Macie dwa tygodnie na uregulowanie długu!

Tymczasem El Mestizo prowadził własne śledztwo. Chciał dopaść skurwiela, który doniósł o transporcie policji. Zamierzał ustalić, kto ich wydał, i wymierzyć karę śmierci. Badał, kto wiedział o dostawie i kto postanowił przenieść się na tamten świat.

Trzech kapitanów załóg. Siedmiu ludzi z PRC i El Sueco, jego zaufany ochroniarz. Wszyscy oni wiedzieli o dostawie.

Czuł, jak ogarnia go coraz większa paranoja. Po raz pierwszy od dwóch lat zaczął podejrzewać Hoffmanna, lecz ten odpowiedział mu pewnością siebie i spokojem, choć to spokoju najbardziej mu brakowało. Miał przecież tajemnicę, która ciążyła mu bardziej niż trzysta kilogramów kokainy.

– Peter... El Sueco... już sam, kurwa, nie wiem, kim ty jesteś.

– Wiesz dokładnie, kim jestem.

– No to kim, kurwa, jesteś?

– Jestem tym, który stoi u twojego boku. Jestem człowiekiem, któremu zaufałeś i powierzyłeś swoje życie.

Hoffmann zdążył się już nauczyć, że zwykłe kłamstwa nie rozwieją wątpliwości. Musiał stać się tym, kim nie był, i to w każdym calu. Kłamstwo można sprzedać tylko wtedy, jeśli brzmi prawdziwie.

– To prawda, stoisz u mojego boku, ale kim jesteś? Przyjacielem czy wrogiem?

Tylko przestępca może udawać przestępcę.

– Jeśli uważasz, że to ja...

– To ty mnie, skurwielu, wydymałeś? No mów!

– Jeśli tak uważasz, zastrzel mnie.

Przez dwa lata spoglądał El Mestizo w oczy, czytał mu w myślach, wysłuchiwał grózb, odpierał wybuchy nienawiści. Na zewnątrz emanował siłą, wątpliwości ukrywał w środku. Pomyślał, że jeśli El Mestizo go przejrzy, jeśli zacznie węszyć w jego przeszłości i zainteresuje się czymś więcej niż straconą partią kokainy, dla niego będzie

to oznaczać koniec. Taka jest rzeczywistość informatora. Jeśli zostanie zdekonspirowany, będzie musiał umrzeć.

I oto nagle sytuacja uległa całkowitej zmianie. Na te same pytania padły inne odpowiedzi.

Pewien zatrudniony w Interpolu niemiecki policjant, który zajmował wysoką pozycję na liście płac PRC, doniósł, że policja we Frankfurcie skonfiskowała dużą partię kokainy. Podczas badań laboratoryjnych okazało się, że to ta sama partia, którą wysłał El Mestizo. Syntetyczne DNA, które chemicy PRC umieszczali w każdej wysyłanej partii – dzięki czemu miały swój unikalny profil – znajduje się na drugim brzegu Atlantyku. Ładunek dotarł więc na miejsce. El Mestizo skontaktował się z prezesem klubu motocyklowego, który podjął stosowne działania.

Egzekucja pięciu członków klubu, którzy chcieli handlować na własną rękę, świadczyła o tym, jak bardzo władze klubu ceniły sobie dotychczasowe relacje handlowe. Hoffmann miał przed sobą zdjęcia przedstawiające korpusy pozbawione głów. Policjant z niemieckiego Interpolu dostał nagrodę – obiecano mu, że jego syn, który dostał się na uniwersytet, będzie otrzymywał środki na sfinansowanie nauki. Nie dlatego jednak, że kwota za studia odpowiadała wartości informacji, tylko dlatego, że informacja miała decydujące znaczenie w sprawie tego, komu można, a komu nie można ufać.

– Co ty na to, Peter boy?

– Na co?

El Mestizo uśmiechnął się. Wyglądało na to, że się uspokoił i odzyskał samokontrolę. To dobrze.

– Chcę, żebyś jeszcze raz dokładnie obejrzał te zdjęcia, Peter boy. Ja w tym czasie jeszcze posprzątam. Potem mi powiesz, co o tym myślisz.

El Mestizo wrócił do baru i zabrał się do pracy. Zamierzał zebrać szklanki z kuchennego blatu, żeby powkładać je w stelaż zwisający z sufitu. A ponieważ dzieliła ich duża odległość, Hoffmann musiał zawołać.

– Co myślę o czym?!

– O tym, jaki los czeka zdrajców.

SZEF SZTABU PERRY ZŁOŻYŁ telefon komórkowy i wsunął go do kieszeni marynarki. Szykował się do wyjścia, bo przed chwilą zadzwonił do niego operator z informacją, że na miejscu zjawił się ochroniarz El Mestizo. Perry uznał, że to odpowiedni moment. Za jednym razem ustrzelą dwa nazwiska.

Zanim jednak wyszedł z gabinetu, postanowił jeszcze przez chwilę posiedzieć przy biurku. Rozejrzeć się po pokoju, który tak bardzo polubił.

Dzień, w którym jako nowy szef sztabu i zaufany człowiek prezydenta zjawił się w Białym Domu, był też pierwszym dniem, jaki w ogóle tu spędził. Wysoko zawieszony sufit, funkcjonalne meble przy ścianach, drewniana podłoga. Wszystko było tu jasne i oczywiste. Perry umiał to docenić, bo miał porównanie z poprzednią pracą.

Przesunął wzrokiem po ścianach, przy których stały regały. Nie było na nich książek, tylko segregatory, teczki różnego koloru, skoroszyty i stosy luźnych kartek. Po prawej stronie leżały kartki formatu A3, po lewej formatu A5. Do tego skrypty, stosy krajowych i zagranicznych gazet, czasopisma fachowe i wiele przegródek na płyty CD, DVD i pendrive'y. Każdego dnia przed wyjściem do domu zapisywał odręcznie wyniki całodzienniej pracy. Ciągłe się niepokoił, że któregoś dni elektronika zawiedzie, podobnie jak pamięć.

Zawsze lepiej jest wiedzieć więcej niż inni. Niech wiedzą, że jest doradcą i zna odpowiedzi na pytania, których oni nie znają.

W środkowym regale przechowywał dokumentację dotyczącą Akcji Kier. Trzynaście segregatorów. Na każdym czerwone serce. Pod nim symbol i cyfra. Wstał od biurka i wysunął dwa segregatory z dokumentami dotyczącymi Waleta i Siódemki Kier.

Obiekt numer cztery i obiekt numer pięć.

Wziął oba segregatory pod pachę i ruszył korytarzem. Czuł się tak, jakby niósł coś znacznie cięższego niż dokumenty. Wiedział, że jeden z obiektów nie powinien zginąć.

To tylko decyzja polityczna.

Idąc korytarzem, mijał inne pokoje, a po wejściu do windy wyjął z kieszeni plastikowy identyfikator ze zdjęciem, który dawał mu dostęp do wszystkich pomieszczeń w Białym Domu. Nie minęły jeszcze dwie kadencje, a mężczyzna ze zdjęcia wydawał się znacznie młodszy niż on.

Podziemna kondygnacja. Był na miejscu. Ostatni wąski korytarz prowadzący do *situation room*. Inni byli już na miejscu: wiceprezydent Thompson i szef CIA stali po jednej stronie stołu konferencyjnego, który kazał tu wstawić John F. Kennedy. Szef FBI i mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział – po drugiej stronie.

Perry podał mu rękę. Nieznajomy ubrany był w mundur i miał ponad czterdzieści lat. Różnił się od nich wyglądem: był niski i miał długie włosy. Z oczu i tonu głosu biła powaga i autorytet.

– Witam. Nazywam się Lauriel Perry, jestem szefem sztabu.

– Poznaję pana. Nazywam się Michael Cook i jestem dowódcą Delta Force.

– Naszą szpicą w walce z terroryzmem.

– Dziękuję, to nasz obowiązek.

– Kiedy pan przyjechał?

– Dwadzieścia godzin temu, gdy wyznaczaliśmy pozycje członkom naszej małej grupy. Od tamtej pory biegam od sali z monitorami do sali konferencyjnej i z powrotem.

Perry od razu polubił tego człowieka, który przyleciał tu z Karoliny Północnej i nawet nie próbował udawać, że ten pokój i wszystko, co wkrótce miało się zdarzyć, nie jest dla niego niczym niezwykłym.

– Zdążył pan się przespać?

– Zrobię to, jak będzie po wszystkim.

Dowódca jednostki Delta Force uśmiechnął się i odwrócił w stronę obu ekranów zawieszonych na ścianie. Na pierwszym widać było ruchomy obraz satelitarny przedstawiający szereg budynków przypominających hotele. Jeden z nich zaznaczono pulsującą czerwoną strzałką umieszczoną na dachu. Był tam basen, w którym teraz nikt się nie kąpał. Ten sam obraz z Cali w Kolumbii Perry obserwował z wiceprezydent Thompson poprzedniego dnia. Na drugim ekranie – tym, na którym wcześniej oglądali nagranie z pendrive’a – obraz był podzielony na cztery duże pola. Przesyłały go kamery umieszczone na czterech hełmach. Ich właściciele byli w ciągłym ruchu. Sekwencje przenosiły się z jednej strony ekranu na drugą. Łatwo się było domyślić, że cała czwórka przebywa w jakimś hotelu, bo co jakiś czas pojawiała się podwójne łóżko, duże lustro i uchylone drzwi prowadzące do brzydkiej łazienki. Jednak to, co najbardziej interesowało zebranych, znajdowało się po drugiej stronie ulicy, gdzie stał burdel.

Perry zerknął na zegar, który z braku miejsca wciśnięto między oba monitory. Ósma pięćdziesiąt jeden i dziesięć sekund. Do rozpoczęcia akcji pozostało osiem minut i pięćdziesiąt sekund.

DWADZIEŚCIA DWIE OSOBY w pokoju, który nie nadawał się do tak licznych zgromadzeń. Zamknięte okna, zamknięte drzwi, okropny zaduch. Mimo to Masterson nie miała wyboru. To jedyne pomieszczenie, z którego nigdy nie było przecieków.

Stała przed ścianą od strony wewnętrznego dziedzińca, na której wisiała wielka kolorowa mapa Stanów Zjednoczonych. Zajmowała całą jej powierzchnię i była podzielona na dwadzieścia jeden pól – tyle samo, ilu gości zjawiało się w pokoju. Każdy z nich był szefem lokalnego oddziału DEA. W każdym polu na mapie było zaznaczonych po kilka miejsc. Gdyby mimo upału komuś chciało się je

policzyć, okazałoby się, że jest ich sto dziewięć. Każde symbolizowało węzeł najaktywniejszych w USA dilerów narkotykowych. Białe punkty oznaczały wytwórnice, w których kokainę zamieniano na crack; czarne punkty – hurtownie; zielone – miejsca, w których rezydowali najważniejsi dilerzy w branży; żółte punkty oznaczały spedytorów. To właśnie w takie dni jej praca – polegająca czasem na tym, że musiała wtaczać kamień pod górę, obserwować, jak stacza się, i wtaczać go z powrotem na górę – nabierała sensu. Przygotować atak na sto dziewięć takich punktów jednocześnie, zniszczyć pozostałe ogniwa łańcucha, zniszczyć działalność dilerów z kolejnego kartelu z Meksyku...

Dwadzieścia jeden zmęczonych twarzy. Duszny pokój. Masterson domyślała się, że niektórzy z nich chcieliby wstać od stołu, odetchnąć świeżym powietrzem, wyprostować nogi albo zaciągnąć się dymem z papierosa. Postanowiła, że na razie im na to nie pozwoli. Jeszcze nie. Wiedziała, że ludzie szepczą o niej na korytarzach, ale zaszła już tak wysoko, że nauczyła się z tym żyć i podchodzić do takich spraw obojętnie. Przecież innym stawiała takie same wymagania jak sobie. Teraz znowu musiała przez to przejść.

Zamierzała skoordynować sto dziewięć pojedynczych uderzeń i zaatakować wspólnie. Chciała jeszcze raz omówić ze wszystkimi szczegóły: od pierwszych obserwacji wywiadowców aż po skutki ostatnich zatrzymań. Jako przykład wybrała oddział w San Francisco i obóz we Fresno. Już chciała zacząć, gdy nagle zadzwonił telefon. Zdziwiło ją to, bo aparaty miały być wyłączone, przecież takie wydała polecenie. Telefon nie przestawał dzwonić: trzy sygnały, cztery... pięć. Dopiero po chwili zorientowała się, że sygnał dobiega z kieszeni jej żakietu. Dzwonił jej prywatny telefon.

– Słucham?

– Jest pani sama?

Masterson dopiero po chwili domyśliła się, kto dzwoni. Nigdy nie spotkała się ze swoim rozmówcą, ale za każdym

razem, gdy się z nią kontaktował, w jego głosie wyczuwała napięcie i strach.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię za pół godziny.
- Wtedy już może być za późno.

Masterson uniosła wzrok i ujrzała, że wpatruje się w nią dwadzieścia jeden par oczu.

- Chwileczkę.

Odsunęła telefon od ucha.

– Wiem, że prosiliście o przerwę. Proponuję zrobić ją teraz.

W sali rozległo się szuranie krzeseł o podłogę. Uczestnicy spotkania wstali, żeby jak najszybciej wyjść z sali, zanim Masterson zmieni zdanie. Odczekała, aż ostatnia osoba wyjdzie na korytarz, i zamknęła drzwi. Potem znowu przystawiła telefon do ucha.

- Teraz słucham.

– Mówi Eddy... Dwa dni temu prosiła mnie pani, żebym w związku ze sprawą przewodniczącego Crouse'a przekazał informacje jednemu obcokrajowcowi. Miałem też pani powiedzieć, gdybym na nagraniach zauważył pewną osobę.

- Pamiętam.

- Wydaje mi się, że właśnie go widzę.

Człowiek, którego Masterson spotkała w tak zwanej Sali Crouse'a. Operator NGA, który spędzał czas pośród monitorów pokazujących obraz z satelitów zawieszonych nad Kolumbią, krajem kokainy. W Stanach Zjednoczonych szykowano kolejne uderzenie wymierzone w producentów.

- No i?

Jej rozmówca mówił coraz cichszym głosem.

– Od dwóch godzin nasz satelita wisi nad domem w Cali. To hotel albo burdel. Na tej samej ulicy są też inne burdele. Satelita wisi tam na polecenie Białego Domu. Zdjęcia przekazują do *situation room*, w którym na polecenie pani wiceprezydent siedzi inny operator. Niecałe trzydzieści minut temu, tak długo szukałem pani pod innymi numerami telefonów, zauważyłem, że na teren tego domu weszła osoba, której kazała mi pani szukać.

Masterson słyszała w słuchawce głośny oddech Eddy'ego. Przypomniła sobie, jakim mówił głosem i jak wyglądał po tym, jak szwedzkiemu komisarzowi policji kryminalnej przekazał tajne informacje o oknach czasowych. Eddy tak jak ona działał w zgodzie z własnym przekonaniem o tym, co jest, a co nie jest słuszne. Zależało mu na tym, aby Crouse odzyskał wolność. Z kolei dla niej była to sprawa honoru, bo walczyła też o utrzymanie przy życiu osoby, za którą odpowiadała. Po głosie Eddy'ego domyśliła się, że jest coraz bardziej podenerwowany...

– Przed chwilą kazali mi obrobić i odesłać cztery zdjęcia. Dostałem je od tego samego operatora z Białego Domu co poprzednie. Jest na nich obraz z kamer na hełmach czterech żołnierzy Delta Force, którzy przygotowywali się do ataku. Ja mam te zdjęcia zaszyfrować. To znaczy, że widzę to, co nie zostało jeszcze zaszyfrowane. Na przykład to, co widać przez okno w budynku po przeciwnej stronie ulicy.

Masterson odłożyła telefon na biurko. Zawsze tak robiła, gdy musiała się nad czymś zastanowić, nabrać dystansu.

– Jest pani tam?

– Tak, jestem.

– Jest jeszcze jedna rzecz... Kiedy sprawdzałem te zdjęcia, widziałem też zegar. Taki, na którym trwa odliczanie. Teraz zostały na nim... cztery minuty i dwadzieścia sekund.

Masterson zastanawiała się, czy powinna ostrzec swojego informatora, że grozi mu niebezpieczeństwo. Tak jej podpowiadało poczucie obowiązku. Ale przecież w ten sposób ryzykuje życie amerykańskich żołnierzy...

– Halo? Jest pani tam?

Cali. Burdel. Walet Kier.

– Dziękuję, Eddy...

Siódemka Kier.

– ...bardzo dobrze, że zadzwoniłeś.

WCIAŻ TEN DZIWNY PORANNY niepokój. Hoffmann siedział w pustym burdelu przy stoliku właściciela. Trzecia

filiżanka kawy, szklanka wody i pięć fotografii, które miał skomentować. W całym budynku panowała cisza. El Mestizo wciąż robił porządki... Przed chwilą zniknął za kontuarem, żeby odkręcić wężyk od pustej baryłki po piwie i podłączyć go do pełnej. Potem sprawdził, czy wszystko działa jak należy. Podsunął szklanke pod kranik i nalał sobie zimnego trunku.

– Fuj... Co za syf! – stwierdził i wylał zawartość szklanki do zlewu. – Takiego paskudztwa nie wolno sprzedawać nawet naszym klientom! Smakuje jak siki... albo stare siki. Już ja pogadam z tymi, którzy nam te szczyny sprzedali.

El Mestizo podszedł do stolika, przy którym siedział Hoffmann, żeby przed kolejnym wyjazdem po zaległy dług usłyszeć odpowiedź na swoje pytania.

– Zastanowiłeś się, Peter boy? Co sądzisz o tych pięknych zdjęciach? O tym, co spotyka ludzi, którzy zdradzają?

– Co sądzę? Że te białe trupy to właściwe zakończenie tej historii.

Pięć fotografii. Białe ciała. To im przyglądał się najdłużej. Nagie, poćwiartowane jasne korpusy. Skóra pokryta grubą warstwą kokainy. To było przesłanie – pieniądze nie są ważne, liczy się zaufanie.

– Prawie przestałem ci wtedy ufać, Peter boy. Tymczasem okazało się, że to oni nas wykiwali.

El Mestizo wskazał palcem na pięć zdjęć.

– Gdybyś mnie jednak kiedyś zdradził...

Nigdy nie było pewności, o co chodziło El Mestizo, kiedy tak siedział z pochyloną głową, zgiętym karkiem, gdy oczy żarzyły mu się jak dwa węgle, a na wargach czał się słaby uśmiech.

– ...gdybyś stracił perspektywę i przestał być lojalny... to wiesz, co cię czeka.

Może był poważny, a może żartował. Pewnie sam nie był pewien.

Zebrał zdjęcia i włożył je do koperty. W tym momencie zadzwonił telefon Hoffmanna.

El Mestizo zrobił taką minę, jakby chciał powiedzieć, że nie lubi, gdy ktoś mu przerywa. Nawet jeśli ten, kto dzwoni, nie wie, że przeszkadza w rozmowie.

Hoffmann nie odbierał, ale telefon wciąż dzwonił. W końcu wyjął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz.

Sue? Przecież postanowiła zerwać z nim kontakt.

Zacisnął dłoń na aparacie, który wibrował mu w palcach. Ostrożnie zerknął na Johnny'ego – nie powinien nawet podejrzewać, kto dzwonił.

Dźwięk telefonu wywoływał w nim coraz większą irytację. Przez ostatnie dni wiele razy próbował się z nią skontaktować, ale bezskutecznie. Potrzebował jej pomocy, musiał sobie jakoś poradzić z listą śmierci, na której nie powinno go być. Wiedział jednak, że nie wolno mu odbierać tutaj i teraz, w obecności El Mestizo.

W końcu telefon ucichł. Hoffmann odetchnął z ulgą. Chciał go wsunąć z powrotem do kieszeni, ale telefon znowu zadzwonił. Sue. Dwanaście sygnałów. W końcu odebrał.

– Słucham?

– Wiesz, kto dzwoni?

Sue. Tak, to ona. Od razu rozpoznał jej szorstki głos.

– Tak.

– Biały Dom zamierza złożyć wizytę w burdelu dokładnie za minutę i czterdzieści sekund. Będzie czterech klientów.

SITUATION ROOM.

Perry rozejrzył się. Wokół okrągłego stołu konferencyjnego stało trzynaście krzeseł. Pięć było zajętych. Ich łączna liczba zgadzała się z liczbą kierów, które systematycznie eliminowali z gry.

Co jakiś czas zerkał w kierunku Thompson, chociaż właściwie to ona przez cały czas szukała jego wzroku, jak gdyby chciała kontynuować niezwykle spotkanie poświęcone obrazowi klatki w dżungli, o którym wiedziały w tym pokoju tylko dwie osoby. Rozpaczliwe kłamstwo Sue

Masterson, która chciała uratować przed śmiercią człowieka z ekranu. Na szczęście oboje z Perrym ją przejrżeli.

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko monotony, elektroniczny głos, zgrany z zegarem na dole ekranu. Głos odliczał upływający czas i dla zebranych w pokoju, i dla tych w ciasnym hotelu w Cali.

Sześćdziesiąt sekund do rozpoczęcia akcji.

Zacięte, skupione twarze obserwujących to, co pokazywały dwa duże ekrany. Szef CIA i szef Delta Force wydawali się bardziej zainteresowani tym, co działo się na drugim ekranie, na który trafiał obraz z czterech kamer na hełmach żołnierzy czekających niecierpliwie na rozkaz.

Czterdzieści pięć sekund.

Thompson i Perry byli wpatrzeni w ekran, na którym obraz był z góry. Przedstawiał budzącą się do życia ulicę w Cali, hotel albo coś podobnego. Przy tej ulicy stało wiele takich budynków. Jeden został zaznaczony czerwoną strzałką. Należał do człowieka, który nazywał się Johnny Sánchez, pseudonim El Mestizo, a od niedawna także Walet Kier.

Trzydzieści sekund.

Przez ostatnią dobę stopniowo go namierzano. Z czasem ograniczono się do obserwacji trzech adresów: dwóch hacjend – jedna leżała we wschodniej, druga w zachodniej części Cali – i jednego burdelu w centrum miasta. Po dłuższej obserwacji właśnie burdel wyznaczono na główny cel ataku. Między siódmą a dziesiątą rano obiekt był prawie pusty, a ludzie wyznaczeni do przeprowadzenia akcji mieli go jak na patelni.

Piętnaście sekund.

Postanowiono jednak poczekać na człowieka, którego widywano w towarzystwie Waleta Kier. Chodziło o to, aby obu wyeliminować równocześnie.

Okazja trafiła się pół godziny temu.

Mężczyzna odpowiadający rysopisem Siódemce Kier zaparkował przed wejściem do burdelu, rozejrzał się czujnym wzrokiem po okolicy i ruszył w kierunku wejścia.

Pozostało pięć sekund, cztery, trzy, dwie, jedna... teraz!

Osoby zebrane w pokoju skupiły uwagę tylko na jednym ekranie. Obserwowali, jak czterej żołnierze z kamerami na hełmach przebiegają z jednej strony ulicy na drugą i ustawiają się przed oknami na parterze.

Przy każdym oknie po dwóch żołnierzy. Wszystko przebiegało w sposób skoordynowany, jak w zespole gimnastycznym wykonującym ten sam układ.

Dwaj żołnierze z dwóch górnych pół ekranu rozbili szyby w oknach, przy których stali. Dwaj żołnierze z dolnych pół wyciągnęli zza pasków granaty hukowe i wrzucili je do środka.

Wybuch sprawił, że ekran wypełnił na chwilę ostry jasny blask, który wkrótce zciemnił obraz, zanim uległ on ponownej kalibracji. Zanim ktokolwiek zdążył wyłączyć mikrofon, rozległy się w nim głośne trzaski.

Po czterdziestu siedmiu sekundach było już po wszystkim.

Pięć par oczu obserwowało te same nagrania, które równolegle wyświetlały ekrany. Te same skoordynowane ruchy, chociaż ubrani w mundury elitarniej jednostki żołnierze wdarli się do sali przez dwa różne okna. Najpierw kolbami automatycznych karabinów usunęli z futryn resztki szkła, które spadły na podłogę. Potem złożyli kolby karabinów, żeby przygotować się do walki z bliska. Dzielili ich dziesięć metrów, chociaż na ekranie tylko kilka centymetrów. Dwaj pozostali żołnierze wrzucili do środka

kolejny granat hukowy, a potem oni też wskoczyli skuleni do sali i wylądowali miękko na podłodze. Jeśli ktoś tam był, nic nie zauważył ani nie usłyszał, bo został oślepiiony błyskiem wybuchu i ogłuszony hukiem.

Żołnierze od razu zerwali się z podłogi i w taki sam, zsynchronizowany sposób wykonali kilka kroków naprzód. Nagle na ich mundurach pojawił się zielony promień lasera i chwilę później padły dwa głucho strzały. Obaj upadli twarzami na podłogę. Dwie kratki na ekranie znieruchomiały. Jedna głowa leżąca na podłodze była obrócona w lewo, druga w prawo.

Jedenaście sekund.

Ktoś do nich strzelił. Obraz w dwóch kratkach na ekranie zastygł, bo dwa hełmy z kamerami przestały się poruszać. Znieruchomiały, skierowane donikąd.

Osoby zgromadzone w tajnym pokoju w Białym Domu wymieniły spłoszone spojrzenia. W ich oczach pojawił się strach. Jakby to oni sami leżeli martwi na podłodze burdelu w Kolumbii.

Na ekranie pozostały jeszcze dwie dolne kratki. Obie wciąż się poruszały. Byli to dwaj żołnierze, którzy później wskoczyli do sali. Oni też wykonywali wszystkie ruchy jednocześnie.

Popatrzyli na leżące na podłodze ciała, a kamery na ich hełmach podążyły za ich ruchami. Pierwszy z martwych żołnierzy miał otwór wlotowy w kości klinowej, rana miała okrągłe i równe brzegi, powoli sączyła się z niej krew. Strzał został oddany prawdopodobnie na stojąco. W głowie drugiego żołnierza otwór wlotowy znajdował się pod nosem. Kula wyszła z tyłu przez hełm. W tym przypadku strzelający musiał leżeć na podłodze i mierzyć pod kątem w górę. Płyny z roztrzaskanej czaszki zebrały się pewnie wewnątrz hełmu.

Żołnierze przeszli nad zwłokami i ruszyli w głąb sali.

Pierwszy szedł bardziej pochylony niż drugi. Kamera pokazywała coś, co przypominało drewnianą podłogę. W pomieszczeniu stało wiele stołów i krzeseł i coś w rodzaju podwyższenia, jakby niewielka scena.

Po chwili na ekranie pojawiły się nowe obrazy.

Żołnierz idący po lewej stronie wyprzedził drugiego. Zbliżył się do baru, skulił się, jakby zamierzał przez niego przeskoczyć i wylądować po drugiej stronie... ale nagle obraz z jego kamery zawirował, jakby wszystko uniosło się w górę: stoły, krzesła, ściany. A może to żołnierz poleciał bezwładnie w dół?

Perry zerknął niespokojnie na stojące blisko niego osoby. Wszyscy próbowali zrozumieć, co się działo. Wyglądało to tak, jakby kamera wpadła do jakiejś dziury. Rozległ się głuchy dźwięk i wszystko ucichło. Obraz z kamery znieruchomiał.

Otwór w podłodze... coś w rodzaju zapadni i kamera, która emitowała nieruchomy obraz: chropowatą ścianę.

Dwadzieścia sześć sekund.

Potem ożywiła się ostatnia kratka – w prawym dolnym rogu ekranu. Żołnierz przesuwiał się wzdłuż wąskiego przejścia i sceny z błyszczącą rurą do tańca. Zbliżył się do boksu ze stołem i krzesłami, gdy nagle zaczął dziwnie oddychać. Jakby zabrakło mu powietrza. Dźwięk, który rozległ się chwilę później, przypominał rżenie, jakby coś wbiło mu się w gardło. Obraz z kamery uniół się i czwarty żołnierz z jednostki Delta Force wydał ostatnie tchnienie.

Osoby zebrane w pokoju w Białym Domu zareagowały w różny sposób.

Szef CIA i szef FBI wpatrywali się bezmyślnie w ekran. Nic do nich nie docierało. Wiceprezydent Thompson utkwiała wzrok w blacie stołu, jak ktoś zmieszany, ktoś, kto próbuje szukać oparcia.

Generał major z Delta Force wpatrywał się w milczeniu w duży ekran. Podbiegł do niego już wtedy, gdy zginęli pierwsi dwaj żołnierze. Miał taką minę, jakby chciał wskoczyć przez monitor do burdelu, w którym jego ludzie mieli zabić Siódmkę Kier i Waleta Kier. Pomóc im zakończyć misję.

Perry zerknął na zegar wiszący między ekranami. Minęło czterdzieści siedem sekund. Potem spojrział na obrazy

z czterech kamer umieszczonych na hełmach ludzi, którzy przestali się ruszać. Nagle jeden z nich się poruszył. Ten, który leżał na brzuchu z głową odwróconą na bok.

Najpierw na brzegu ekranu pojawiła się para żołnierskich butów, jakich używają partyzanci z PRC. Robiły się coraz większe i były coraz bliżej. Potem rozległ się cichy męski głos. Ktoś uniósł głowę martwego żołnierza i wypowiedział do niego niezrozumiałe słowa. Potem ekran całkowicie ściemniał. Kamera została wyłączona. Widzieli to wszyscy, szef sztabu, szef CIA, wiceprezydent i generał major. Obserwowali, jak te same buty pojawiły się na następnym ujęciu – ten, kto je nosił, ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku kamery, która pokazywała sufit, ponieważ żołnierz leżał na plecach. Potem usłyszeli ten sam niezrozumiały głos i ujrzeli twarz ukrytą pod maską. Mężczyzna spojrział w kamerę, a tym samym popatrzył na pięć osób w *situation room*, i wyłączył ją. Ten ekran też ściemniał.

HOFFMANN UJAŁ W DŁONIE głowę martwego żołnierza i szepnął „Nie, ten nie pasuje”, tak jak to zrobił poprzednim razem, gdy wyłączał kamerę pierwszego żołnierza. Ten mógł mieć dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat... trudno określić wiek martwych ludzi. Zostało mu jeszcze dwóch. Jeden leżał w otworze pod klapą w podłodze, drugi pod oknem, gdzie El Mestizo udusił go pętlą. Hoffmann podszedł właśnie do tego drugiego, wyłączył trzecią kamerę, ściągnął żołnierzowi maskę z twarzy i tak jak poprzednio wszystko dokładnie sprawdził. Potem szepnął do siebie: „Może ten się nada...”

– Co tam mamrociesz?

El Mestizo czekał w ciemnościach. W końcu podszedł do pierwszych zwłok i zaczął je ciągnąć w kierunku otwartej klapy w podłodze, żeby je zepchnąć w głąb czarnego otworu przed barem.

– Peter boy?

– Mmm?

– Co tam mamrocześ?

– Nic ważnego.

– To się zamknij. Nie widzisz, że są martwi?

Kiedy pierwsze ciało spadło do luku pod podłogą, rozległ się głośny huk. Teraz leżały tam już dwa ciała. El Mestizo podszedł szybkim krokiem do trzeciego trupa, którego Hoffmann zdążył dokładnie obejrzeć.

– Poczekaj.

Ale El Mestizo nie czekał, tylko zaczął ciągnąć ciało, które było cięższe od poprzednich.

– Prosiłem, żebyś poczekał. – Hoffmann podbiegł do szefa i chwycił go za ramię. – To ciało niech zostanie.

El Mestizo dał mu do zrozumienia, że nie podoba mu się, gdy ktoś go szarpie za ramię. Nie zareagował i dalej ciągnął ciało w stronę uniesionej kłapy.

– Na razie ich zepchnę, poleżą tam dzień i noc. Niedługo zjawią się klienci i obsługa, a El Cavo posprząta po zamknięciu.

Hoffmann szedł tuż za nim, rękę nadal trzymał na jego szerokim ramieniu, a może nawet na grubym warkoczu. Naciskał coraz mocniej, chociaż nigdy wcześniej nawet nie dotknął El Mestizo.

– Potrzebuję go teraz.

El Mestizo zatrzymał się. Był zdziwiony nie tylko żądaniem Hoffmanna, ale i tym, że ten nadal trzyma go za ramię.

– Bo?

– Teraz nie mogę ci tego wyjaśnić.

Zawsze istnieje ten pierwszy raz. Dotyczy także wątpliwości. Swój pierwszy raz przeżyli, gdy przepadła dostawa kokainy. Na szczęście wszystko wyjaśniło się w Holandii. Dowód widzieli na fotografiach. Drugim razem bywa już gorzej, bo powracają wcześniejsze wątpliwości.

– Dlaczego?

– Ty masz swoje tajemnice, ja mam swoje.

El Mestizo popatrzył na niego czujnym wzrokiem, którego wszyscy się bali. W jego oczach kryła się podejrzliwość, która żywiła się tym, czego nie rozumiał. Hoffmann widział to wiele razy, ale zawsze dotyczyło to innych. Teraz to jego El Mestizo mierzył czujnym wzrokiem. I chociaż puścił zwłoki i rozłożył ręce, wątpliwości pozostały.

– W porządku. Ale to ty będziesz sprzątał.

– Nie martw się. Posprzątam.

El Mestizo podszedł do drugiego okna, żeby zabrać ostatnie ciało. Zsunął je do otworu, odczekał, aż rozległo się głucho uderzenie, i zamknął klapę. Potem stał w milczeniu, ocierając rękawem pot z czoła, aż w końcu wyciągnął rewolwer z kabury, położył palec na spuście i wycelował broń w Hoffmanna.

– Kto do ciebie dzwonił?

Pochylił się, chwycił za pierścień na klapie i znowu ją podciągnął. Przez cały czas mierzył z rewolweru do Hoffmanna.

– Siedzimy tu sobie i oglądamy zdjęcia z Holandii. Nagle do środka zagląda kilku amerykańskich żołnierzy. Ktoś dał ci cynk? Ostrzegł cię? Z kim ty, kurwa, się kontaktujesz?

Obaj zostali zaatakowani przez ludzi, którzy mieli ich zabić tak jak kilka innych osób z listy śmierci. Tymczasem El Mestizo odbierał to zupełnie inaczej. Żył w świecie przemocy i posługiwał się nią. Przywykł, że ludzie umierają, że musi zabijać i że sam zginie w ten czy w inny sposób, bo tak to już w życiu jest. Nigdy jednak nie przestał być podejrzliwy i nie przywykł do strachu przed zdradą.

– Mierzysz do mnie? Co ty wyprawiasz, Johnny?

– Ktoś cię ostrzegł! Chcę wiedzieć kto.

Dwa i pół roku u boku El Mestizo. Zadanie Hoffmanna polegało na tym, żeby go chronić. Robił to tak dobrze, że zaufanie między nimi stopniowo rosło. Tym razem miał tylko minutę i czterdzieści sekund.

Podbiegli do kontuaru i z tajnej skrytki wyjęli broń automatyczną. Z innej tajnej skrytki, tej pod sceną, wyjęli

maski ochronne i zatyczki do uszu. Potem ustawili się tak, żeby mieć dobry widok na okna, i stali z odwróconymi głowami, aż eksplodowały granaty hukowe. Dwa i pół roku okazały się bez znaczenia. W miejsce z trudem budowanego zaufania pojawiła się podejrzliwość.

– Jeszcze raz pytam: kto dzwonił?

– Nie powinno cię to obchodzić.

– Kto wiedział, że mój burdel zaatakują amerykańscy żołnierze? – El Mestizo naciągnął kurek rewolweru. Rozległo się kliknięcie. – Odpowiadaj!

Hoffmann szczerze go nienawidził i nawet wiedział, kiedy stracił do niego sympatię. Wtedy, gdy El Mestizo zabił pięcioletnią dziewczynkę. Teraz, gdy mierzył do niego z rewolweru, poczuł coś więcej, determinację. Ale oprócz nienawiści pojawiło się jeszcze coś w rodzaju podziwu. El Mestizo nie tylko lubił przemoc i stosował ją, ale też posługiwał się nią w sposób inteligentny i sprawny. Właśnie te słowa przyszły Hoffmannowi do głowy. Kiedy przed chwilą walczyli o życie, El Mestizo zabił pierwszego żołnierza jednym strzałem, a drugiego udusił pętlą. Okazał się niezwykle sprawny. Dla każdego był strasznym przeciwnikiem.

– Ktoś ostrzegł, to prawda, ale nie mnie, tylko nas. Za to mi płacisz. A teraz mi grozisz, bo wykonuję swoją robotę?

– Odpowiedz na pytanie!

Napięty kurek rewolweru. Palec wskazujący na spuście.

– Ja szanuję twoje źródła, które przede mną ukrywasz.

Hoffmann był pewien, że jeśli popełni błąd, Johnny, który znów stał się El Mestizo, pociągnie za spust.

– Więc ty szanuj moje. Masz z tym jakiś problem?

– Przestań opowiadać brednie! Chcę usłyszeć, kto dzwonił. Delta Force to najlepsi ludzie, jakich mają Amerykanie. To znaczy, że ten, kto cię ostrzegł, też jest Amerykaninem. I to wysoko postawionym! Niewielu wysoko postawionych Amerykanów wie o operacjach Delta Force. Ten telefon to dowód, że jesteś zdrajcą.

Palec na spuście zbieleł. Jeśli El Mestizo naciśnie mocniej, iglica uderzy w spłonkę, masa zapłonowa wybuchnie i padnie strzał.

– Pytam po raz ostatni: Kto to był? Przekonaj mnie o swojej lojalności, Peter boy. Właśnie o tym rozmawialiśmy, oglądając zdjęcia z Holandii. Widziałeś, jak kończą ci, którzy zawodzą zaufanie.

Hoffmann pomyślał, że jeśli El Mestizo mu ufa, opuści broń. Jeśli jednak dojdzie do wniosku, że on jest wtyką i najgroźniejszym wrogiem, jakiego do siebie dopuścił, wystrzeli.

– Johnny... popatrz na mnie. Gdyby tamta rozmowa, która uratowała nas obu, miała ujawnić, że jestem informatorem, nie ostrzegłbym cię. Po prostu bym cię zabił, a potem oddał się w ręce Amerykanów jako ich człowiek. Prawda?

Hoffmann wpatrywał się czujnym wzrokiem w palec El Mestizo na spuście.

– Po co miałbym brać udział w walce, która mogłaby się zakończyć moją śmiercią? Byli nieźle uzbrojeni, nie w jakieś tam zabawki. Po co miałbym ryzykować życie? Po co miałbym atakować i zabijać własnych ludzi?

Obserwowali się uważnie.

– Po co moi ludzie mieliby mnie atakować? – ciągnął Hoffmann. – Po co mieliby mnie umieszcząć na liście śmierci? Moja odpowiedź, Johnny, będzie taka sama. Bez względu na to, jak długo będziesz we mnie mierzył. Ja mam swoje tajemnice, ty swoje. Ja szanuję twoje źródła, ty szanuj moje.

Palec mocniej nacisnął spust. I nagle rozległ się strzał, który odbił się echem od ścian i sufitu. Kula przeleciała Hoffmannowi tuż koło lewego ucha, blisko skroni. Ten nie zdążył się nawet poruszyć, po prostu nie mógł, chociaż nogi chciały uciec, ugiąć się pod nim, złożyć wpół.

– Moje źródła są chyba lepsze od twoich, Johnny? Jak myślisz?

El Mestizo ponownie napiął kurek rewolweru.

– To dzięki nim obaj żyjemy.

Kolejne kłamstwo. Wątpliwości mieszały się z ufnością.

– Johnny?

El Mestizo przez cały czas głęboko się nad czymś zastanawiał. W końcu zdjął palec ze spustu i opuścił rewolwer.

MIEJSCE DLA SAMOCHODU ZNALAZŁ przed krętymi schodami z czerwonego betonu, które prowadziły do głównego wejścia.

Przypomniał mu się blok czynszowy na przedmieściach Sztokholmu. Cały z betonu, wysoki na dziewięć pięter. W takim bloku dorastał.

Wyłączył silnik, ale został za kierownicą.

To był inny budynek. Przecież nie był w Sztokholmie, tylko w Bogocie. Budynek, który przypominał sztokholmskie bloki, nazywał się Hospital Universitario San Ignacio.

Kiedy pokonywał ostatni odcinek drogi, koło Cerros de Monserrate i zjazdu między Circunvalar i Carrera 7 i wchodził w zakręty, siedzący obok niego pasażer zsuwał się z fotela. Hoffmann musiał więc zwolnić, żeby pasażer pozostał na swoim miejscu. Teraz jego towarzysz znów siedział nieruchomo. Czapkę miał głęboko nasuniętą na siną, spuchniętą twarz, a pokrytą plamami szyję obwiązaną jedwabnym szalem. Do tego nowe ubranie – jasny garnitur i biała koszula – zamiast wojskowego kamuflującego munduru. Na końcu został skropiony dużą ilością alkoholu. Wyglądał jak kompletnie pijany, pogrążony w głębokim śnie człowiek wracający późnym wieczorem do domu. Jeśli zatrzyma ich policja, na pewno zajrzą do bagażnika. Facet, od którego było czuć alkohol, stanowił mniejsze ryzyko. Hoffmann poluzował cienką nylonową nić, którą zawiązał wokół piersi swojego pasażera, żeby utrzymać go w pozycji siedzącej, a następnie przeciął nić zawiązaną wokół pasa i kolan. Była tam po to, żeby podczas jazdy pasażer nie poruszał nogami. Martwe nogi, które nie zdążyły jeszcze stężeć, i tak stawiały mu opór.

Elektroniczny zegar umieszczony po lewej stronie deski rozdzielczej nie tykał, ale Hoffmann i tak go słyszał. Monotonnie i regularnie odmierzał czas, którego nie da się nigdy odzyskać.

Za dziesięć jedenasta. Przyjechał za wcześnie. Czekał i gorączkowo rozmyślał. Od śmierci dzieliła go jedna rozmowa telefoniczna.

Wilson, Grens, El Mestizo – każdy z nich mówił o powolnej wojnie. Za to lista śmierci robiła się codziennie coraz krótsza. Dziś przed południem mieli odhaczyć i jego. Tym razem przeżył, ale co będzie następnym razem? Co się stanie, jeśli w chwili ataku będzie z Zofią, Rasmusem i Emilem?

Boczne wejście. Drzwi przeraźliwie zaskrzypiały. Chwilę później na nierówny, spękany asfalt wyjechały nosze.

– Benedicto.

Mężczyzna ubrany był w mundur strażnika. Rzadko się to zdarzało. Na widok Hoffmanna uśmiechnął się szeroko.

– Peter. Dawno się nie widzieliśmy.

Peter Haraldsson już tu kiedyś był z El Mestizo. Musieli się pozbyć zwłok. Hoffmann wysiadł z samochodu i przywitał się. Benedicto, nie wypuszczając jego dłoni, zajrzał do wozu.

– To on?

– Tak.

– Widzę, że podwiozłeś mi mojego dzisiejszego klienta?

Benedicto znowu się uśmiechnął. Spodziewał się jakiejś dowcipnej repliki na temat śmierci, bo tak odnosili się do życia tych, którzy ich nic nie obchodzili. Właśnie tak radzili sobie z własnym strachem – śmiali się z niego i próbowali go pomniejszyć.

– Nie dzisiaj, Benedicto.

Ciało na siedzeniu pasażera też nic dla niego nie znaczyło. Nie znał zmarłego, nigdy z nim nie rozmawiał. Ale przecież ten człowiek symbolizował jego własną śmierć, którą ktoś zaplanował i zaledwie kilka godzin temu próbował do niej doprowadzić. Hoffmann dopiero teraz zaczął się z tym mierzyć.

Tamci postanowili go zabić. Żeby tego uniknąć, będzie musiał umrzeć. Znowu.

Benedicto podprowadził wózek z noszami pod drzwi samochodu od strony pasażera. Chwycił trupa za nogi, Hoffmann wziął go za ramiona, unieśli go z fotela i przenieśli na nosze. Hoffmann uświadomił sobie, że to on mógł tam teraz leżeć.

Jego ciało pokryłoby się ciemnymi, pośmiertnymi plamami... krew skleiłaby się w bryłki... stawy i mięśnie zastygłyby... Na zawsze.

Tymczasem na noszach leżał człowiek, który próbował go zabić.

Hoffmann i Benedicto szli po obu stronach noszy, kierując się do bocznego wejścia. Hoffmann wyobrażał sobie czasem swoją śmierć, śmierć Zofii, Rasmusa i Emila. Powodował nim strach, ale próbował ją poczuć, jakby z wyprzedzeniem, żeby się do niej przyzwyczaić. To strach chroni człowieka. Ten pieprzony strach przed śmiercią stale go napędzał, zmuszał do działania, do przeżycia. To on jest najgroźniejszy. Jeśli ktoś się nie boi, staje się nieostrożny, nieuważny. Łatwo go wtedy zaskoczyć i dopaść. Jeśli ktoś nie chce czegoś stracić albo ma wszystko do stracenia, postępuje inaczej.

– Co z El Mestizo? – Benedicto otworzył boczne wejście do kostnicy, po czym obaj wprowadzili wózek z noszami w pusty, mroczny korytarz.

– Dzisiaj nie przyjedzie.

– Pozdrów go ode mnie.

Wtoczyli wózek do windy, wcisnęli guzik i zjechali dwa poziomy niżej. Winda lekko drgnęła i zatrzymała się. Wciąż żadnych pytań, dlaczego, jak i kto.

Kolejny korytarz, tak samo pusty jak poprzedni. Różnił się od niego tylko ostrym zapachem. Benedicto otworzył ciężkie drzwi prowadzące do chłodni, w której przechowywano ciała pochodzące z darowizn. Używano ich w trakcie zajęć dla studentów medycyny. Stawały się materiałem pogładowym, który wolno było krajać na drobne kawałki. Benedicto pokazał kiedyś teatralnymi gestami, jak to wygląda. Kandydaci zapoznawali się

najpierw z palcami, potem z dłonią, a następnie z całą ręką, aby stopniowo oswajać się ze śmiercią. W ten sposób profesorowie i studenci medycyny pomagali nieświadomie w ćwiartowaniu zwłok, które z różnych powodów musiały zniknąć.

Białe płytki na ścianach, białe kafle na podłodze. Zimne światło bijące z rtęciówek pod sufitem. Chłodnie ze stali nierdzewnej podzielone na prostokątne boksy, z miejscem dla trzech trupów w każdym rzędzie. Wszystkie ponumerowane, o powierzchni osiemdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów.

Trzydzieści dziewięć chłodni szafowych. Dwadzieścia osiem zajętych, siedemnaście wolnych. Benedicto otworzył jedną z nich.

Razem z Hoffmannem chwycili po obu stronach metalowych noszy, na których leżały zwłoki, a następnie przenieśli je z wózka do chłodni z numerem trzydziestym pierwszym. Benedicto wsunął je do środka po długich szynach, zamknął drzwiczki na klucz, a następnie przywiązał do uchwytu sznurek z cienką plastikową koszulką. Przechowywano w nich dokumenty identyfikacyjne. W tej koszulce dokument był już wypełniony.

Pracownicy kostnicy tak zarabiali na życie. Hoffmann wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Benedicto.

– Tym razem te zwłoki mają tu zostać.

– Jak to zostać?

– Chcę, żeby trup leżał w kostnicy. Później sam go stąd zabiorę.

– Żartujesz?

– Mówię poważnie.

– W takim razie, przyjacielu, będzie cię to kosztować znacznie więcej. Podłożenie trupa na zajęcia ze studentami to jedno, ale przenoszenie go z jednej szafy do drugiej, żeby któryś z naszych ludzi go nie pokroił, to coś zupełnie innego. Będę musiał tu wracać co wieczór, a mieszkam dwie godziny jazdy autobusem stąd.

Hoffmannowi się spieszyło. Argumenty uznał za słuszne, a poza tym Benedicto nie targował się o pieniądze – chyba że było to uzasadnione.

– Znacznie więcej? Zgoda. Na razie zachowaj kopertę. To tyle, ile daję ci zawsze. Tyle samo dostaniesz za każdy tydzień do czasu, aż zjawię się po zwłoki albo powiem, że trzeba się ich pozbyć.

Benedicto był niewysokim i szczupłym mężczyzną. Miał na sobie zbyt luźny, biały fartuch. Wziął kopertę do ręki i przekładał ją między palcami, jakby się nią bawił. W końcu wsunął ją do zewnętrznej kieszonki fartucha z niebieskim logo szpitala.

– Zgoda.

Zapach kostnicy towarzyszył Hoffmannowi na korytarzu i na dworze, wtargnął do samochodu zaparkowanego przed wejściem. Hoffmann przyłożył rękę do twarzy i ukrył nos w rękawie. Wydawało mu się, że smród przylgnął do niego na stałe i nie chce odpuścić, jakby osiadł w głębi włókien jego ubrania.

Zapach śmierci.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, uruchomił silnik i znowu go wyłączył.

To był długi dzień. Zaczął się przed południem w burdelu, gdzie doszło do strzelaniny z żołnierzami z Delta Force, a skończył wieczorną wizytą w pustej o tej porze kostnicy. Tego dnia dodał też jeszcze jedno słowo do listy spraw do załatwienia zapisanej ręcznie na kawałku papieru toaletowego i ukrytej w skórzanej pochwie na nóż. Wyjął papier i znów go rozwinął.

Współrzędne

Niska orbita okołoziemska

Okno czasowe

€z-137

Granat rozpryskowy Prisma

Sanie magnetyczne

Walizka

Lista zmierzała we właściwym kierunku. Jeśli uda mu się odhaczyć wszystkie punkty, wróci z rodziną do domu. Przeżyją, żeby żyć.

W ostatniej chwili postanowił dopisać do listy jeszcze jedno słowo. To na wypadek, gdyby ktoś zmienił nieoczekiwanie warunki umowy, a on musiał zmienić kierunek i drogę, którą podążał.

Ze schowka w samochodzie wyjął długopis i dopisał na kartce słowo:

Zwłoki.

Zawsze sam. Zawsze powinien ufać tylko sobie.

PROSTO Z KOSTNICY HOFFMANN pojechał na wschód, do położonego w prowincji Guaviare niewielkiego miasta Calamar. Była późna noc. Miał za sobą długi dzień: od trupa, który był planem awaryjnym, gdyby druga strona złamała warunki umowy, do głównego planu polegającego na odbiciu jeńca i wymianie jednego życia na drugie w porozumieniu z amerykańskim rządem.

Nagle ogarnęło go uczucie, którego tak nienawidził – samotność. Nie dawało mu spokoju i wydawało się, że wysysa z niego życiodajne siły. Już nie bał się śmierci, tylko tego, że będzie musiał żyć w samotności.

– Cześć.

– Cześć.

– Gdzie jesteś?

– Daleko od ciebie.

– Gdzie?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. W miejscu, w którym odzyskam nasze życie.

Tym razem Zofia rozmawiała z nim twardszym głosem. Czasem taka była, łagodna, a zarazem twarda.

– Mam nadzieję. Wiesz, że cię kocham i wciąż chcę z tobą żyć. Ale nawet jeśli zrobisz to, co zamierzasz, wyjadę. Rozumiesz? Mówię poważnie. Nawet jeśli pozbędziesz się grożącego nam niebezpieczeństwa i przeżyjemy, nie wpłynie to na moją decyzję.

– Obiecałaś, że poczekaś tydzień. Zostały mi cztery doby.

– To prawda. Tak zrobię, poczekam na ciebie. Ale potem, jeśli przeżyjemy, nie usiądziemy znowu razem przy kuchennym stole z nadzieją, że kiedyś będzie lepiej. Tym razem będzie inaczej. Bez względu na to, czy ci się uda, ja i chłopcy wrócimy do domu. Z tobą albo bez ciebie.

Zapadła cisza. Oboje siedzieli w milczeniu z telefonami w ręce. On w samochodzie, ona w łóżku. Przejechał dwa kilometry i wciąż się do siebie nie odzywali, tylko

wysłuchiwali w swój oddech. W końcu Zofia dwa razy pocałowała słuchawkę i rozłączyła się.

A gdy Hoffmann dotarł na miejsce i zatrzymał się w skromnym hotelu w Calamar, żeby przespać się kilka godzin, samotność doskwierała mu bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

JESZCZE POPRZEDNIEGO WIECZORU Hoffmann siedział przed wejściem do szpitala uniwersyteckiego i uzupełniał zapiski na jednej z dwóch kartek zawierających tak ważną dla niego treść i ukrytych w pochwie na nóż. Teraz rozwinął drugą kartkę.

Godz. 14.52 (odprawa Calamar)
Godz. 15.27 (odjazd pojazdu terenowego)
Godz. 17.21 (przybycie nad rzekę)
Godz. 18.31 (przybycie do obozu bazowego)
Godz. 19.21 (przybycie do głównego obozu)
Godz. 19.25 (atak, wkraczamy)
Godz. 20.31 (przybycie helikoptera)
Godz. 23.16 (lądowanie na Isla Tierra Bomba)
Godz. 23.43 (pod wodą)
Godz. 00.32 (podpłynięcie pod okręt)
Godz. 00.37–00.40 (okno czasowe)

Był to plan uwolnienia przewodniczącego Crouse'a. Hoffmann pokazał go – bez wpisanych godzin – Grensowi. Teraz uzupełnił brakujące dane, zwłaszcza te, które dotyczyły okna czasowego. Późny początek akcji, jak najkrótsze przerwy między poszczególnymi etapami. Krótszy czas oznaczał mniejsze ryzyko narażenia się na niebezpieczeństwo i ewentualny wyciek o szykowanej akcji.

– Gotowi?

Znajdowali się w małym, ładnym kościele. W porównaniu z pogodą na zewnątrz panował w nim przyjemny chłód. Świątynia stała w pobliżu pustego placu za Registraduría Municipal del Estado Civil. Kiedyś było tam jedno z wielu tętniących życiem targowisk w Calamarze. Teraz hulał tam wiatr, wszędzie kręciły się bezdomne psy.

– Gotowi.

Hoffmann zerknął na siedmiu mężczyzn w czarnych maskach, którzy synchronizowali swoje zegarki z jego

zegarkiem.

Godz. 14.52 (odprawa Calamar)

Do celu pozostało dziewięć godzin i czterdzieści pięć minut. O tej porze satelity znajdują się w takim miejscu, że ich tory nie będą się zazębiać. Powstanie okno czasowe i to ono o wszystkim zadecyduje. To do niego dostosował pozostałe działania. O określonej porze przystąpi do ostatniej fazy operacji, bo tylko wtedy okno czasowe będzie otwarte wystarczająco długo. Jeśli nie zdąży i spóźni się choćby o minutę, okno się zamknie, a on straci szansę na zamianę jednego życia na drugie.

Za pośrednictwem Grensa zażądał od Masterson ośmiu przeszkolonych, zdolnych do walki i nieprzekupnych ludzi: pilota helikoptera wraz z maszyną i siedmiu ludzi, którzy teraz stali przed nim w miejscu zapomnianym przez świat. Byli uzbrojeni i wyposażeni zarówno na wypadek, gdyby musieli się przemieszczać wodą, jak i do walki wręcz i działań w nocy. Podczas odprawy Hoffmann przedstawił im szczegóły *Operación Obtener*, czyli Operacji Odbiór. Wyjaśnił przebieg każdej z faz, minutę po minucie.

Rozmawiał z nimi, a jednocześnie myślał o nich i o sobie. Często tak robił. W takich momentach jakby wychodził ze swojego ciała i przyglądał się z boku, oceniał, podczas gdy jego usta mówiły to, co postanowił mózg. Potem nie zawsze był pewien, czy rzeczywiście powiedział to, co zamierzał, bo odbywało się to mechanicznie. Na szczęście za każdym razem metoda się sprawdzała i nikt niczego nie zauważał. Był zarówno obecny, jak i nieobecny.

Teraz, gdy podczas odprawy przechodził z fazy, w której ekipa będzie się przemieszczać od rzeki do obozu bazowego, a potem od obozu bazowego do miejsca, w którym partyzanci trzymali jeńca, jego drugie „ja” zastanawiało się nad tym, jak cienka jest lina, na której balansował, i jak słaba jest tarcza, która miała go chronić. Gdyby któryś z jego ludzi nagle zerwał mu z twarzy maskę, oznaczałoby to jego

koniec. Stali przecież tak blisko – siedmiu żołnierzy elitarnej jednostki na żołdzie amerykańskiego rządu, który skazał go na śmierć. Gdyby wiedzieli, że człowiek, który już wkrótce pokieruje akcją, to ten sam, którego ich koledzy z Delta Force mieli pojmać albo zabić, doszłoby do katastrofy.

W pełni anonimowy. Tak właśnie Sue Masterson przedstawiła go nowemu szefowi Jednostki Crouse'a, który został następcą Navarro. „Jeden z naszych informatorów ustalił, gdzie znajduje się zakładnik. Tylko on zna lokalizację. Będziecie go wspierać. Ten człowiek będzie zamaskowany, bo chce pozostać anonimowy, tak jak inni informatorzy, którzy tylko w ten sposób mogą przeżyć”. Masterson obdarzyła go całkowitym zaufaniem, a jednocześnie zagwarantowała mu całkowitą anonimowość, bo taki był warunek działania informatorów. Nie był ani Hoffmannem, ani Haraldssonem, tylko wtyką DEA, za którą odpowiadała. Anonimowość jej informatorów miała decydujące znaczenie dla ich życia, dekonspiracja równała się śmierci i to nie tylko samego informatora, ale także jego rodziny. Te same warunki obowiązywały członków Jednostki Crouse'a. Oni też podczas realizacji zadań nosili na twarzach czarne maski. Musieli pozostać anonimowi i nieprzekupni, żeby nie można było ustalić ich tożsamości, zagrozić ich rodzinom albo wpłynąć na nich w inny sposób. Pod koniec szczegółowej odprawy Piet Hoffmann – a właściwie ten, który opuścił swoją cielesną powłokę i z pewnej odległości obserwował siedmiu żołnierzy elitarnej jednostki – stwierdził, że chyba mu zaufali i gotowi są mu towarzyszyć, żeby uwolnić zakładnika. Nie wiedzieli tylko jednej rzeczy: że przy okazji on też odzyska wolność, a jego nazwisko zniknie z listy śmierci.

Godz. 15.27 (odjazd pojazdu terenowego)

Zerknął na zegarek. Była piętnasta dwadzieścia sześć. Została minuta. Odetchnął z ulgą.

Ponieważ pilot helikoptera nie był brany pod uwagę, miejsca na pace ciężarówki wystarczyło zarówno na siedem kajaków i jedną łódź hybrydową, jak i dla siedmiu ludzi z pełnym wyposażeniem. Wszyscy siedzieli w milczeniu, skupieni na misji. Słysząc było tylko helikopter Hawkeye z Jednostki Crouse'a, który latał nad ich głowami na wysokości pięciu tysięcy metrów, aby na czas operacji zakłócać łączność na terenie Calamar. Dzięki temu żaden z mieszkańców miasta, który przypadkiem zauważy ich obecność, nie będzie mógł powiadomić o tym partyzantów. Cała łączność telefoniczna, radiowa i elektroniczna nie będzie funkcjonować aż do zakończenia misji.

Hoffmann usiadł za kierownicą. Na sąsiednim fotelu leżała rozłożona mapa terenu. Najpierw godzina jazdy po czymś, co od biedy można nazwać drogą lokalną, potem dwadzieścia minut znacznie gorszą drogą szutrową, a na końcu pół godziny przez dżunglę drogą niczyją.

Aż dotarli do jednego z dopływów Río Vaupés. Tam rozpoczynał się kolejny etap misji.

Godz. 17.21 (przybycie nad rzekę)

Hoffmann zerknął na zegarek: siedemnasta dwadzieścia pięć. Cztery minuty po czasie.

W dżungli panował okropny upał, powietrze przesycone było wilgocią.

Nad głowami mieli płataninę gałęzi drzew kauczukowych, sapukaja, orzechowców, figowców, mahoniowców i wielu innych, których nazw nawet nie znali. Razem z lianami tworzyły nieprzebyty gąszcz. Nad głowami unosiły się chmary much *jevenes*, które nieustannie brzęczały i szukały okazji, żeby nasycić się ich krwią. Hoffmann wybrał małą lagunę nad rzeką, gdzie na duży ponton załadowali dwudziestopięciolitrowy zbiornik z wodą i taki sam zbiornik z coladą z kubańskiego espresso. Do tego doszło wyposażenie medyczne w postaci apteczki, do której dodatkowo włożyli morfinę, serum, szczepionkę przeciwko

tężcowi i lek na rozrzedzenie krwi. Potem rozdzielili między siebie resztę broni i amunicji, w tym także maczety bojowe.

W końcu odbili od brzegu i wpłynęli w silny prąd rzeczny. Walczyli, żeby utrzymać równowagę. Płynęli z prądem rzeki tworzącej płuca i układ krwionośny całej Amazonii. I coraz bardziej zagłębiali się w jej mroczne serce. Otaczał ich największy na świecie system wodny złożony z tysięcy mniejszych i większych dopływów, które podtrzymywały cały miejscowy ekosystem reprezentowany przez chmary kłujących much i komarów.

Powoli zachodziło słońce, a widoczny w oddali dywan zieleni stopniowo zmieniał kolor. Krajobraz nienaruszony ludzką ręką.

Hoffmann wiosłował co sił. Musiał uważać, żeby ponton, który za sobą ciągnął, nie uderzył w nich, bo swym ciężarem wciągnąłby ich do wody, gdzie pod różnymi postaciami czyhała śmierć. Były tam krokodyle, piranie, anakondy osiągające do siedmiu metrów długości oraz słynne sumy *karnero*. Turyści opowiadali o nich fantastyczne historie, chociaż żaden z nich nigdy ich nie widział. Podobno ryba ta podpływa w wodzie do sikającej osoby, wbija swoje haczyki w jej narządy płciowe i tak przyczepiona zaczyna konsumować krew i tkankę.

Płynęli rzeką prawie godzinę, gdy Hoffmann usłyszał za sobą dźwięk przypominający smagnięcie batem. Spłynął z prądu rzeki, przyhamował i zaczął wypatrywać w ciemnej dżungli źródła dźwięku. W końcu go znalazł. Okazało się, że jeden z kajaków zderzył się z pniem drzewa albo z dużym kamieniem, a anonimowy członek jego oddziału, którego Hoffmann nazywał Piątką, wpadł do wody. W kajaku zrobiła się dziura, przez którą tryskała woda tworząc coś w rodzaju małej fontanny. Po chwili kajak nabrał wody i poszedł na dno. Żołnierz, który z niego wypadł, zdążył się chwycić liny ratunkowej, którą Hoffmann przywiązał do końcówki linki holowniczej pontonu, po czym od razu uruchomił mechanizm napełniający powietrzem kamizelkę asekuracyjną. Kilka zamasztych ruchów ręką

i intensywny w tym miejscu prąd zaniósł go pod sam ponton. Żołnierz chwycił się rękami jego brzegu, podciągnął się, zrobił krótką przerwę, żeby nabrać sił, i przerzucił przez krawędź dolną część ciała. Hoffmann złączył palec wskazujący i kciuk, jakby chciał spytać, czy wszystko OK, na co żołnierz odpowiedział mu takim samym gestem.

Godz. 18.31 (przybycie do obozu bazowego)

Ponad kilometr dalej na GPS-ie Hoffmanna pojawiła się informacja, że za następnym zakrętem rzeki znajduje się miejsce, w którym niedawno temu zesłi razem z El Mestizo na brzeg. Wszystkie łodzie, w tym także gumowy ponton, opuściły główny nurt rzeki i skierowały się do brzegu. Po zejściu na ląd Hoffmann zerknął na zegarek. Osiemnasta trzydzieści dziewięć. Kolejne cztery minuty opóźnienia. To przez incydent z rozbitym kajakiem. Są już osiem minut po czasie, a więc nie wolno im zmarnować ani minuty więcej. Przeciwnie, muszą zacząć nadrabiać opóźnienie. Teraz przyszła pora na realizację kolejnych punktów planu zgodnie z jego chronologicznym porządkiem: odejście od rzeki, przejście przez obóz bazowy i dotarcie do obozu, w którym partyzanci przetrzymywali jeńca. Tym razem powinno pójść szybciej, niż wyliczył.

Żołnierze zaczęli wyładowywać sprzęt i uzbrojenie. Ponton przywiązali do poskręcanych korzeni drzewa, którego nazwy nawet nie znali, a kajaki puszczali po kolei z nurtem potężnej rzeki. Na środku przechwyci je rwący prąd, który z dużą prędkością przeniesie je kilka kilometrów dalej. W miejscu, gdzie rzeka staje się węższa i płytsza, rozbiją się na kawałki i pójdą na dno.

Hoffmann od razu rozpoznał miejsce, do którego przybili. Ta sama niewielka przestrzeń między dwoma kamieniami, do których partyzanci przychodzili się myć, te same *potrillos*, między którymi skakali z El Mestizo, gdy przywiózł ich tutaj Cristobal, aby torturować człowieka, którego on dzisiaj zamierzał uwolnić. Wtedy było jasno,

teraz panowały ciemności. Jednak Hoffmann od razu rozpoznał to miejsce. Wtedy Cristobal szedł przed nimi z maczetą w ręce. Przeszli dwieście dwadzieścia kroków dzielących ich od obozu bazowego. Hoffmann zapamiętał też, co było później. Teraz jego żołnierze założyli uprząż bojową i noktowizory, załadowali broń i przykręcili tłumiki, pobrali opaski zaciskowe i sprzęt medyczny.

– Gotowi?

Hoffmann wyszeptał to słowo i odpowiedziały mu równie ciche głosy.

– Gotów. Gotów. Gotów. Gotów. Gotów. Gotów. Gotów.

Ruszyli razem, blisko siebie. Szli ubitą ścieżką, grzęzli w poskręcanych korzeniach, uderzali twarzami o zwisające z drzew liany. Kiedy od obozu bazowego dzieliło ich już tylko pięćdziesiąt kroków, Hoffmann zatrzymał się. Podczas poprzedniego pobytu starał się zapamiętać, jak były ustawione *caletas*, te mieszkalne i kuchnia. Zapamiętał położenie *chontos* i obniżenie terenu, które biegło wzdłuż prawej krawędzi obozu, tworząc jego naturalną granicę. Zapamiętał też piętnastu uzbrojonych po zęby partyzantów i rozmieszczenie strażników – po jednym w każdym rogu prawie kwadratowego obozu. Byli młodzi, lojalni i pełni poświęcenia, ale słabo wyszkoleni. Brakowało im też kompetencji siedmiu elitarnych żołnierzy, których tu przyprowadził. Gdyby doszło do bitwy, jego ludzie bez problemu by ją wygrali. Niestety, byłby to koniec operacji, bo sygnał o ich obecności dotarłby natychmiast do oddalonego o tysiąc dwieście kroków obozu, w którym więziono Crouse'a. Dlatego dał znać swoim ludziom, żeby zeszli ze ścieżki i szli obok w formacji w kształcie półkola. Przebijali się przez gęstą roślinność po prawej stronie obozu, tworząc nową ścieżkę prowadzącą w kierunku obniżenia terenu. Była to praca, która pochłonęła sporo czasu i energii. Na dodatek musieli ją wykonywać w całkowitej ciszy. Kiedy dotarli do doliny, szło im szybciej. Teraz nie musieli się już tak bardzo martwić o hałas, jaki robili, ponieważ znaleźli się w otoczeniu gęstej ściany

roślinności stanowiącej naturalną izolację. Żeby pokonać dwieście metrów, potrzebowali ponad pół godziny. W końcu wrócili na ścieżkę, ale już po drugiej stronie obozu. W połowie drogi zrobili sobie przerwę. Znajdowali się w miejscu, do którego Hoffmann zapuścił się poprzednim razem w środku nocy, żeby ustalić dokładne współrzędne. Tamtym razem nie miał gogli termowizyjnych, więc pokonując sześćset dwanaście kroków dzielących tę polanę od obozu z przetrzymywanym w nim Crouse'em, ciągle się ślizgał i potykał.

– Wypijcie przynajmniej połowę tego, co wam zostało. Zyskacie energię. Kolejny postój zarządzę przed walką.

Pili wodę i coladę, któryś z żołnierzy sprawdził broń.

W końcu ruszyli dalej. Z każdym krokiem byli coraz bliżej. Podkradali się bezszelestnie jak leśni myśliwi, którzy wyszli na polowanie i nie chcą spłoszyć zdobyczy.

Godz. 19.21 (przybycie do głównego obozu)

Hoffmann zerknął na zegarek: dziewiętnasta trzydzieści dwa. Na obejście obozu bazowego stracili kolejne cenne minuty. W sumie mieli już jedenaście minut opóźnienia. Wiedział, że będą musieli nadrobić ten czas. Jeśli choćby o sekundę przekroczą okno czasowe, cała operacja pójdzie na marne. Wiedział też, że nie wolno mu działać w stresie. Wszystkie przygotowania i akcja powinny przebiegać w sposób kontrolowany. Działania spontaniczne i chodzenie na skrót rzadko prowadzą do sukcesu.

Kiedy do celu zostało im już tylko dwadzieścia kroków, zatrzymali się. Sprawdzili krótkofalówki, wsunęli słuchawki do prawego ucha i zajęli wyznaczone pozycje. Tymczasem Hoffmann podbiegł do drzewa, które podczas ostatniej wizyty z El Mestizo wyznaczył jako „punkt kontrolny numer dwa”. Była to sapukaja o gęstych konarach i listowiu zaczynającym się na dużej wysokości. Hoffmann szybko pokonał dwie trzecie wysokości drzewa, czyli jakieś dwadzieścia metrów. Na górę zabrał karabin strzelca

wyborowego. Podczas uwalniania jeńca będzie miał stąd dobry widok. Będzie widział nie tylko obóz, ale także dwunastu partyzantów, którzy przebywali na jego terenie. Widział już klatkę, w której siedział Crouse, i mógł bez problemu komunikować się z oddziałem. Ogłosił całkowitą ciszę, póki zakładnik nie zostanie uwolniony i akcja nie dobiegnie końca. Jego ludzie mieli mu odpowiadać tylko w jeden sposób, poprzez naciśnięcie guzika wysyłającego sygnał według ustalonego kodu.

Hoffmann długo nie mógł sobie znaleźć miejsca na gałęzi. W końcu jakoś się usadowił. Przygotował karabin i umocował podpórkę potrzebną do strzału. Wprowadził też ostatnie, drobne korekty, żeby dopasować trajektorię lotu pocisku do panującego upału i wilgotnego powietrza. TPH1, celownik lekko w prawo. Był gotów.

– Jedyńka do Dwójki, jesteś na pozycji?

W odpowiedzi rozległy się dwa krótkie kliknięcia. Dwójka potwierdziła, że jest na pozycji, siedem metrów w głębi dżungli z niezakłóconym widokiem na chatę komendanta.

– Jedyńka do Trójki... jesteś na pozycji?

Trzy kliknięcia z miejsca znajdującego się pięć metrów na południe od *chontos*, obozowej latryny.

– Piątka... Szóstka... Siódemka, czekam na potwierdzenie.

Kolejne kliknięcia w słuchawce. Piątka, Szóstka i Siódemka zajęły pozycje za obozową jadalnią. Tak to miejsce nazwał Hoffmann. W rzeczywistości był to wspólny namiot stanowiący coś w rodzaju miejsca spotkań.

– Mamy dziesięć i pół minuty opóźnienia. Dokonajcie synchronizacji zegarków. Jest dokładnie dziewiętnasta trzydzieści pięć. Przypominam, macie oszczędzić komendanta.

Wszyscy byli na wyznaczonych pozycjach. Hoffmann uznał, że czas zacząć odliczanie.

– Powodzenia. Zaczynamy za trzydzieści sekund.

Jeszcze na ziemi, przed wspięciem się na drzewo, zdjął gogle termowizyjne, które przy większych odległościach nie

były przydatne. Wyjął z kieszeni spodni snajperską lunetę termowizyjną, żeby rozejrzeć się po obozie i odszukać swoich żołnierzy na pozycjach. Byli jednak tak dobrze ukryci, że nawet strzelec wyborowy by ich nie zauważył.

– Dwadzieścia sekund.

Hoffmann dalej przeszukiwał teren. Lufę z lunetą skierował w miejsce, gdzie leżał jeden z jego żołnierzy. Ale dalej nic nie widział. Wcisnął więc termowizor znajdujący się tuż nad pokrętłami lunety i dopiero wtedy ujrzał zarys sylwetki człowieka, który leżał nieruchomo kilka metrów od linii lasu, w pobliżu latryny.

Potem znowu przesunął lunetę na teren obozu i zatrzymał ją na największym budynku – jadalni. Za cienkim materiałem przez lunetę zobaczył pięć żółtozielonych kształtów. Właśnie w takiej pozycji powinien ustawić swój karabin.

– Dziesięć sekund.

Zamknął oczy i trzy razy głęboko odetchnął.

– Pięć sekund... cztery... trzy... dwie... jedna...

Godz. 19.25 (atak, wkraczamy)

W chwili gdy wypowiedział ostatnie słowo, usłyszał dwa głuchoe dźwięki dochodzące zza klatki z zakładnikiem. Towarzyszyły im cztery szybkie kliknięcia w słuchawce. To Czwórka zlikwidował strażnika przy klatce. Użył tłumika i amunicji poddźwiękowej, dzięki czemu odgłosy strzałów szybko umilkły w gęstej roślinności. Udało się zlikwidować pierwszego strażnika bez zaalarmowania obozu bazowego.

Pozostało ich jedenastu.

Hoffmann obserwował, jak pięciu ludzi przebywających w jadalni zrywa się z ziemi, chwytają za broń i wypadają na dwór przez drzwi okryte płachtą. Chwilę potem cała piątka padła na ziemię powalona strzałami w plecy, które oddali Piątka, Szóstka i Siódemka.

Zostało sześciu partyzantów.

Hoffmann zmienił pozycję, żeby mieć jeszcze lepszy widok. Lufę karabinu z lunetą skierował w stronę chaty komendanta. On też wypadł na dwór, krzycząc na cały głos:

– Atakują nas! Zdetonować ładunek pod klatką!

Nie dobiegł zbyt daleko, bo Trójka strzelił mu w prawe udo i prawą rękę i komendant upadł bezwładnie na ziemię. Nie był w stanie użyć broni, ale żył.

Do zlikwidowania zostało im pięciu i pół strażnika.

Hoffmann skorygował termowizor i dostosował go do nocnej pory. Od tego momentu wszystko, co zrobią jego ludzie, będzie się rozgrywać wokół klatki Crouse'a. Uwagę skupił na dwóch strażnikach, którzy do tej chwili pilnowali obu północnych narożników obozu. Teraz ruszyli w kierunku klatki i linki rozciągniętej nisko nad ziemią. Była ona połączona z granatem, który miał doprowadzić do eksplozji miny. Detonacja miała docelowo zabić nie tylko zakładnika, ale i tego, kto próbowałby go uwolnić. Chodziło o to, żeby nikomu nie przyszło do głowy podjąć próby obrabowania partyzantów z PRC z tego, co było ich własnością. Konsekwencją takiego czynu miała być zawsze śmierć. W pewnym momencie obaj strażnicy zatrzymali się, unieśli broń i skierowali lufy w kierunku pokrytej błotem ziemi wokół klatki. Zamierzali strzelić bezpośrednio w minę i doprowadzić do eksplozji. Zanim jednak zdążyli to zrobić, osunęli się bezwładnie na ziemię. To Hoffmann trafił ich z karabinu.

Zostało trzech i pół partyzanta.

Przez lunetę termowizyjną widać było wyraźnie, jak cała trójka przemyka w zwartej grupie od południowej strony obozu i powoli zbliża się do klatki. Nagle rozległ się przytłumiony trzask i jeden z nich padł na ziemię trafiony przez Trójkę ukrytego za latryną. Dwaj pozostali natychmiast zaczęli się wycofywać. Hoffmann nie mógł ich obserwować przez lunetę, więc przełączył się na celownik termowizyjny. Najpierw skierował karabin w chatę komendanta, która okazała się pusta, potem w drugą chatę,

która też była pusta, a na końcu w kierunku jadalni. Powoli przesunął końcówkę lufy wzdłuż jej ścian.

Dopiero tam ich znalazł. Obaj partyzanci wycofali się właśnie tam.

Zielono-żółte sylwetki odcinały się na tle namiotu. Obaj byli pewni, że na razie są bezpieczni i nikt ich nie widzi.

Hoffmann nabrał powietrza, wypuścił je, wycelował i dwa razy strzelił.

Pozostała połowa partyzanta.

Powoli i uważnie rozejrzał się przez termowizor po całym obozie. Najpierw policzył swoich ludzi – wszyscy żyli, emitowali ciepło. Na ziemi leżało jedenaście ciał. Były nieruchome i martwe, ale nadal emitowały niewielką ilość ciepła. Były też dwa inne ciała: komendant i Crouse. Żadnych innych źródeł ciepła nie stwierdził. Poprawił mikrofon i powiedział:

– Wszystkie cele wyeliminowane.

Dopóki czuł pod nogami gałęzie, schodził po nich. Kiedy się skończyły, osunął się na ziemię po pniu. Zerknął w kierunku klatki. Dwójka usunął drut wiszący nisko nad ziemią, rozbroił granat i minę. Czwórka strzelił w kłódkę w drzwiach klatki. To ona spinała łańcuch opasający bambusową klatkę.

Hoffmann postanowił, że z Crouse'em porozmawia później. Najpierw chciał porozmawiać z komendantem. Z człowiekiem, który był dumny, gdy niszczył czyjeś życie, i głośno się śmiał, gdy kradł ludziom godność. Teraz leżał na zabłoconej ziemi, krwawił i kulił się z bólu.

Hoffmann chwycił go za prawą rękę, tę przestrzeloną, i poderwał go z ziemi do pozycji klęczącej. Komendant zawył z bólu. Hoffmann wymierzył mu mocny policzek.

– Nie wrzeszcz. Nikt cię nie słyszy, bo ciebie już nie ma, rozumiesz?

Ale komendant nie odpowiedział, tylko jęczał po cichu, bo Hoffmann zaczął go ciągnąć przez obóz do klatki Crouse'a. Kiedy jęki przybierały na sile, zatrzymywał się, kopał komendanta w zębra i szedł dalej.

– Co ci powiedziałem? Nie wrzeszcz.

W końcu dotarli do otwartej klatki. Crouse właśnie z niej wychodził, wspierając się na ramionach Czwórki i Piątki.

– Jest pan bezpieczny, señor Crouse.

Angielski z silnym hiszpańskim akcentem. Przewodniczący miał słyszeć, że uwolnili go żołnierze z jego własnej jednostki. Pytania mogłyby wzbudzić podejrzliwość. A przecież grupa, którą Hoffmann dowodził, powinna dalej wierzyć, że za czarną maską kryje się zwyczajna twarz, a nie skazany na śmierć informator i banita.

– Zabierzemy pana stąd, señor Crouse. Z powrotem do pańskiego kraju.

Rozrzucone na terenie całego obozu ciała zabitych partyzantów, nieznani ludzie z załadowaną bronią... mimo to Crouse się nie bał. Był otumaniony, zmęczony i zrezygnowany, ale nie czuł strachu. Wyglądał jak człowiek, który w krótkim okresie przecierpiał tak wiele, że w końcu się z tym pogodził.

Hoffmann rozwiązał paski kabury przewieszanej przez pierś, wyjął pistolet i podał go Crouse'owi.

– Załadowany, odbezpieczony. Tam jest komendant.

Amerykanin spojrzał na niego, ale nie wykonał najmniejszego ruchu.

– Nie bardzo rozumiem...

– Oszczędziliśmy go... dla pana.

Crouse zerknął na człowieka leżącego u jego stóp, który niedawno wykonał na nim pozorowaną egzekucję i tym samym zredukował jego życie do zera.

– Po co?

– Wiem, co panu zrobił.

W końcu Crouse skupił uwagę na komendancie. Przysłuchiwał się jego jękom, zatrzymał wzrok na plamie krwi, z powodu której materiał spodni przykleił się do uda, a potem popatrzył na kurtkę od munduru z przestrzelonym rękawem na wysokości ramienia. Wyglądało to tak, jakby krew została pod mundurem i spłynęła po ciele. W końcu Crouse pokręcił głową.

– Dziękuję, ale nie skorzystam.

Hoffmann wsunął pistolet z powrotem do kabury, zapiął ją i pochylił się nad komendantem, a właściwie nad jego butami z ostrogami. Chwycił za nie i gwałtownie pociągnął. Komendant znowu zawył z bólu, a Hoffmann włożył obie ostrogi do kieszeni spodni Crouse'a.

– To na wypadek, gdyby pan kiedyś zwątpił. To pan jest zwycięzcą.

Potem rozwiązał szal, który komendant miał zawiązany wokół szyi i zawiązał mu usta. Zaciągnął go do klatki, rzucił do środka jak worek kartofli, związał mu ręce i nogi ciasnymi opaskami zaciskowymi i wyszedł z klatki.

Trójka, Piątka i Siódemka wyszli z za latryny, niosąc coś, co przypominało bambusową lektykę. Szóstka wstrzyknął Crouse'owi do pośladka porcję morfiny. Potem podnieśli go z ziemi.

Ruszyli w powrotną drogę, idąc w tym samym kierunku, z którego przyszli. Żołnierze niosący Crouse'a co jakiś czas się zmieniali. Na polanie zrobili krótki postój, żeby Hoffmann mógł skontrolować sytuację. Kiedy podeszli pod obóz bazowy, usłyszeli ludzkie głosy. Hoffmann szybko się zorientował, że dźwięki dochodzą z telewizora zawieszonoego na drzewie. Ustawił oddział w półkolu i obeszlili obóz tą samą ścieżką, którą sami wykarczowali w dżungli. Po pewnym czasie dźwięki z telewizora ucichły. Minęli obóz i ruszyli w kierunku rzeki. Odwiązali ponton, posadzili w nim Crouse'a, a potem sami do niego wsiedli. Teraz przez dwadzieścia minut będą musieli płynąć z prędkością trzydziestu węzłów, w górę rzeki, pod prąd. Nie mieli innego wyjścia, musieli wyruszyć natychmiast. Hałas silnika prawdopodobnie zaalarmuje partyzantów z obozu bazowego, ale odległość dzieląca ich od obozu i moc silnika przemawiały na ich korzyść. Jeśli ktoś ruszy za nimi w pościg, trudno mu będzie ich doścignąć.

Godz. 20.31 (przybycie helikoptera)

Hoffmann wyliczył, że odbicie jeńca, pieszy przemarsz i powrót rzeką potrwa sześćdziesiąt sześć minut. Tymczasem minęło sześćdziesiąt jeden. Pięć nadrobili, zostało im sześć.

Podbiegł do helikoptera, w którym czekał gotowy do odlotu pilot. W tym czasie jego siedmioosobowy oddział ukrył się w gąszczu palm, za chropowatymi pniami. Mieli tam czekać na powrót helikoptera, aby polecieć nim do jednostki, podczas gdy Hoffmann zamierzał kontynuować dalszą część akcji w pojedynkę.

Najpierw sprawdził, czy nowy dowódca Jednostki Crouse'a, któremu przesłał za pośrednictwem Grensa i Masterson listę z wyposażeniem, dostarczył to, co na niej było. Postawił ptaszki przy podwodnych saniach i podwodnym skuterze, a potem zaczął oglądać zawartość jutowego worka: maskę do nurkowania, dwie oddycharki o obiegu zamkniętym i półzamkniętym, pojemnik ze smarowidłem, ciśnieniomierz z mankietem, miedziany stożek o średnicy czterech centymetrów i plastikową rurkę o długości piętnastu centymetrów. Potem zajrzał do drugiego worka jutowego, w którym był plastyczny materiał wybuchowy C-4, wodoszczelny worek na sprzęt do nurkowania, dwa silne magnesy, podwójna uprząż, automatyczny obrzyn na loftki, podwójna pneumatyczna kamizelka asekuracyjna, neoprenowy skafander do nurkowania o grubości trzech milimetrów, komputer do użytku pod wodą, wielkości zegarka, a na samym dnie worka pneumatyczna kamizelka asekuracyjna.

Wszystko było na swoim miejscu. Brakowało tylko Crouse'a.

Hoffmann mocno go podtrzymał, gdy przewodniczący wchodził na pokład helikoptera i kilka razy o mało nie upadł. Owinął go w koc i położył na podłodze między workami. Amerykanin zachowywał przytomność, ale był oszołomiony po zastrzyku morfiny.

W końcu helikopter uniósł się w powietrze. Pilot ustawił go odpowiednio do wiatru. Kierował się według

współrzędnych, które podyktował mu Hoffmann. Po pewnym czasie zwrócił się do niego z pytaniem:

- Dobrze zrozumiałem? Lecimy na małą wyspę?
- Tak.
- Na północny zachód od wybrzeża Kolumbii?
- Tak.
- Zajmie nam to dwie godziny i czterdzieści pięć minut.
- Zgadza się. Właśnie tyle czasu zaplanowałem.

Godz. 23.16 (lądowanie na Isla Tierra Bomba)

Widok, jaki rozciągał się z okna helikoptera, był przepiękny. Niewielka zatoka w północno-zachodniej części wyspy przylegająca do białej plaży, oddalona od zabudowań na jej północnym brzegu. Opuścili się powoli nad pomostem, tworzącym coś w rodzaju osłoniętego portu dla trzech niewielkich kutrów rybackich. Pilot wylądował zręcznie na niewielkim skrawku ziemi porośniętym trawą. Hoffmann wiedział, że od tego momentu będzie musiał liczyć na siebie. Helikopter już mu nie pomoże. Będzie musiał sam dostarczyć Crouse'a i zrobić to tak, żeby nikt go nie zauważył. Gdyby bowiem jako Siódemka Kier zbliżył się do okrętu i pokazał załodze, mógłby równie dobrze sam poprosić o egzekucję. Razem z pilotem przenieśli całe wyposażenie do łodzi, która niczym się nie różniła od wielu innych. Była dokładnie taka, jaką Grens zamówił u Masterson. Pod brezentem na rufie znalazł resztę zamówienia: cztery loftki załadowane nitką z włókna węglowego, wodoszczelny odtwarzacz MP3 z nagrany dźwiękiem imitującym rosyjskie łodzie podwodne i pojemnik z cezem 137. Wszystko, czego nie dostał od Jednostki Crouse'a.

Dwie godziny i czterdzieści jeden minut. Nadrobili cztery minuty, zostały im jeszcze dwie. Kiedy helikopter wzniósł się w powietrze, Hoffmann poszedł po Crouse'a, żeby pomóc mu przejść do łodzi. Wyglądało na to, że skutki działania

morfiny osłabły i Amerykanin odzyskał trzeźwy umysł. Nie mówił już bełkotliwie.

– Kogo pan reprezentuje?

– Kiedy znajdzie się pan w bezpiecznym miejscu, otrzyma pan odpowiedź na wszystkie swoje pytania, señor Crouse.

– Jeszcze raz, kogo pan reprezentuje?

Hoffmann uśmiechnął się pod maską. Ucieszył się, że Crouse go wypytuje. Przewodniczący odniósł poważne rany, ale nadal był sprawny umysłowo. To już nie był głos człowieka poniżanego, tylko szanowanego polityka, który nawykł do tego, że inni go słuchają.

– Oddział, który pana uwolnił, należy do Jednostki Crouse'a.

Crouse próbował usiąść na nadburciu, ale niezbyt sobie z tym poradził, więc tylko spojrział na Hoffmanna takim wzrokiem, jakby czegoś od niego żądał.

– Jednostka Crouse'a... Nie jestem pewien, ale czy myśmy się kiedyś nie spotkali?

– Poznał pan wszystkich członków tej jednostki.

– Nie o to mi chodziło... Wydaje mi się pan znajomy. Nie chodzi o głos... chyba go nigdy nie słyszałem... tylko raczej o sposób, w jaki pan się porusza. Mam wrażenie, że to było coś więcej niż tylko podanie sobie rąk podczas jakiejś pobieżnej inspekcji...

Hoffmann nie miał czasu na pogaduszki, chociaż wiedział, że musi porozmawiać z Crouse'em. Przewodniczący powinien pozbyć się wątpliwości i uwierzyć, że uwolnili go żołnierze z jego własnej formacji, żeby nie sprawiał kłopotów ani nie stawiał oporu w dalszej części operacji. Dopiero później się dowie, że ten dodatkowy członek oddziału, który dowodził akcją uwalniania go z klatki, jest jednym z trzynastu przestępców z listy śmierci.

– Wszystko pan zrozumie, señor Crouse, gdy przyjdzie na to czas. Teraz powinien pan wiedzieć tylko jedno, jestem po pańskiej stronie. Uwolniłem pana, żeby pana ocalić. Pańskie

życie jest dla mnie równie ważne jak moje. Powiem więcej, jeśli pan przeżyje, ja też przeżyję.

Amerykanin wyciągnął w stronę Hoffmanna brudną rękę i dotknął maski.

– A to?

Hoffmann odsunął jego dłoń uprzejmym, ale stanowczym ruchem.

– Takie zasady obowiązują w Jednostce Crouse’a. Sam pan je wymyślił.

– A jeśli poproszę, żeby pan ją zdjął?

– Zrobię to po zakończeniu operacji.

Hoffmann miał u boku menażkę, w której zostało trochę wody. Zdjął skórzaną rękawiczkę i Crouse zauważył, że brakuje mu dwóch palców. W kieszeni kamizelki Hoffmann miał dwie tabletki nembutalu. Wrzucił je do manierki i poczekał, aż się rozpuszczą.

– Proszę to wypić, panie przewodniczący.

Crouse pokręcił głową. Jego wilgotne, zmierzwiłone włosy kleiły się do czoła i skroni.

– Nie.

– Dzięki temu pan zaśnie. Inaczej ostatnia faza akcji może się nie udać.

Hoffmann podał mu metalową manierkę.

– Musi mi pan zaufać. Od tego zależy nasze życie.

Po chwili zastanowienia Crouse wypił podany mu napój, choć okazując niechęć. Gdy Hoffmann upewnił się, że Amerykanin śpi, wyjął z kieszeni dawkę propofolu i wstrzyknął ją Crouse’owi w rękę. Propofol to bardzo silny i niebezpieczny środek stosowany podczas narkozy, dlatego jego doza musiała być mniejsza niż przed zabiegami chirurgicznymi. Hoffmann nie mógł oddać Crouse’a pod opiekę lekarza, dlatego ryzyko musiał ograniczyć do minimum. Z tego powodu skrócił ten etap z dwóch godzin do jednej. Wiedział, że utrudni mu to przeprowadzenie operacji w ustalonym czasie, ale było to konieczne, żeby dać Crouse’owi większe szanse na przeżycie.

Wyjął z worka maskę nurkową i oddycharkę i nałożył je śpiącemu Amerykaninowi na głowę, a następnie odkręcił dopływ tlenu. Rebreather 12 to najbardziej zaawansowana technologicznie oddycharka, z jaką Hoffmann kiedykolwiek miał do czynienia. Umożliwia schodzenie na większą głębokość i zapewnia dłuższe działanie niż jej starsze wersje.

Przezroczyście sanie podwodne przypominały raczej przezroczystą trumnę. Hoffmann posmarował dokładnie ich gumowe listwy smarowidłem, aż idealnie się zasklepiły. Crouse już dawniej był szczupłym człowiekiem, a czas spędzony w niewoli sprawił, że schudł o kolejne kilogramy. Okazało się, że o wiele łatwiej można go przenieść do sań, niż Hoffmann to sobie wyobrażał.

Kiedy Crouse znalazł się na swoim miejscu, Hoffmann mógł się zająć granatem rozpryskowym Prisma.

Srodki nasenne i narkotyk przechowywał w tej samej kieszeni kamizelki bojowej. W drugiej oprócz granatu rozpryskowego znajdował się niewielki miedziany stożek, którego tak długo poszukiwał. Któregoś dnia zatrzymał się przypadkiem przed antykwariatem w Cartago, który specjalizował się w handlu dziełami sztuki. Wszedł do środka i na jednym z regałów pełnych przeróżnych przedmiotów ujrzał dokładnie taki stożek, jakiego szukał, i to we właściwych rozmiarach. Rozsmarował dość grubą, równą warstwę masy wybuchowej C-4 na zewnętrznej ścianie stożka i wcisnął na niego na trzy centymetry piętnastocentymetrową rurkę. Te trzy centymetry miały osłaniać stożek, a pozostałe dwanaście centymetrów stanowiło odcinek, po którym miał się przenosić promień wybuchu, zanim dotrze do wyznaczonego obiektu. Jest to optymalna odległość dla większości możliwych promieni wybuchu. Na samym końcu wsunął pojemnik z cezem 137 do miedzianego stożka, ucisnął paznokciem kit pod czubkiem stożka i włożył go do wodoszczelnego worka na sprzęt do nurkowania razem z automatycznym obrzynem

i zaprojektowanymi przez niego loftkami załadowanymi stalową nitką z włókna węglowego i dwoma magnesami.

Crouse: gotowy.

Granat rozpryskowy Prisma: gotowy.

Teraz przyszedł czas na jego sprzęt.

Hoffmann rozebrał się do naga, żeby przebrać się w syntetyczny, neoprenowy skafander o grubości trzech milimetrów. Był znacznie cieńszy od tych, których zazwyczaj używał, ale misja, jakiej się podjął, wymagała od niego znacznej swobody ruchów. Poza tym dla kogoś, kto uczył się nurkowania w chłodnych wodach północnej Europy, Morze Karaibskie zawsze będzie ciepłe – bez względu na porę roku. Włożył pneumatyczną kamizelkę asekuracyjną i drugą oddycharkę; zawiązał uprząż wokół pasa i nóg i poczuł się całkiem swobodnie mimo butli z tlenem i pojemnika z wapnem, które miało usuwać dwutlenek węgla. Tylko pod tym warunkiem można wdychać przez cały czas tę samą mieszankę gazów. Przełożył przez prawe ramię wodoszczelny worek do nurkowania, a do lewego nadgarstka przymocował wodoszczelny komputer. Właściwie był to zegarek z większym wyświetlaczem, kompasem, GPS-em, głębokościomierzem i automatycznym urządzeniem ostrzegającym nurka, że czas zacząć się wynurzać.

Cel znajdował się mniej więcej dziesięć metrów pod wodą. Żeby tam dotrzeć, Hoffmann musiał zejść na głębokość nie większą niż dwa, może trzy metry. Podwodny skuter miał pociągnąć i jego, i sanie z Crouse'em. Był to okrągły, niewielki pojazd z uchwytyami po obu stronach i kolistymi osłonami z wirnikami w środku. Baterie wystarczały na dwie godziny nieprzerwanej pracy i pozwalały osiągnąć prędkość ponad sześciu węzłów na godzinę, co umożliwiała dotarcie do celu w ciągu czterdziestu pięciu minut.

Hoffmann jeszcze raz sprawdził stan Crouse'a. Przewodniczący miał spokojny i regularny oddech. Hoffmann zmierzył mu ciśnienie i puls. Kiedy w końcu

zamknął przezroczystą pokrywę podwodnych sań, Crouse leżał pogrążony w głębokim śnie.

Teraz Hoffmannowi pozostała już tylko jedna rzecz: odbyć swój tradycyjny rytuał. Przestrzegał tej zasady za każdym razem, gdy znalazł się w podobnych okolicznościach. Robił to dla siebie, bez względu na to, jak bardzo gonił go czas. Wspiął się na nadburcie, żeby przez chwilę posiedzieć nieruchomo.

Nabrać powietrza przez nos i wypuścić je ustami.

Dokonać ogólnego oglądu misji.

Znowu nabrać powietrza i je wypuścić.

Godz. 23.43 (pod wodą)

Współrzędne celu były wpisane w wodoszczelny komputer. Kiedy Hoffmann go włączył, na ekranie pojawiła się czerwona strzałka wskazująca kierunek, w którym mieli się udać. Hoffmann splunął do maski, rozmazał ślinę po szybce i założył maskę na twarz. Włączył dopływ tlenu i podłączył we właściwe miejsce ustnik z oddycharki. Za szesnaście minut będzie północ.

23.44 – miał minutę opóźnienia, będzie musiał ją nadgonić.

Mocno złapał uchwyty skutera i odchylił się do tyłu. Rozległ się lekki plusk i Hoffmann zsunął się do wody razem ze skuterem, saniami i śpiącym Crouse'em. Zanurzył się na głębokość dwóch, dwóch i pół metra, przygotował się do wpompowania powietrza do komór odciążających i włączył skuter, ustawiając silnik na stałą prędkość. Urządzenie zadziało dokładnie tak, jak się spodziewał. Pojazd poruszał się prawie bezdźwięcznie, na tyle cicho, żeby usłyszeć płynący lotniskowiec i cały konwój. Odgłosy maszyny rozchodziły się pod wodą na odległość ośmiu kilometrów.

00.13 – po zaledwie trzydziestu minutach zatrzymali się na krótko na głębokości dwóch i pół metra. Hoffmann upewnił się, czy Crouse ma prawidłowe ciśnienie. Sto na osiemdziesiąt. Włączył wodoszczelny odtwarzacz MP3

i pozwolił mu swobodnie opadać. Nasłuchiwał, w jak perfekcyjny sposób naśladuje dźwięk wydawany przez rosyjską łódź podwodną, która wypuszcza powietrze, jakby jej załoga szykowała się do otworzenia luków torpedowych. Wkrótce potem usłyszał, że korwety z konwoju osłaniającego lotniskowiec i strzegąca go pod powierzchnią łódź podwodna wzięły kurs na miejsce, z którego dobiegał dźwięk imitujący rosyjski okręt. Nikt nie wiedział, że to tylko nagranie.

00.29 – po czterdziestu pięciu minutach spędzonych pod wodą poczuł wibrowanie: to komputer na jego ręce poinformował go, że cel – USS *Dwight D. Eisenhower* – znajduje się w odległości zaledwie stu metrów. Potwierdzał to głuchy szum silników. Hoffmann zszedł siedem metrów niżej w ciemność i podpłynął skuterem pod kadłub okrętu, kierując się w kierunku dziobu i jednego z reaktorów.

Godz. 00.32 (podpłynięcie pod okręt)

00.32.11 – jedenaście sekund po wyznaczonym czasie, dokładnie cztery minuty i pięćdziesiąt sekund przed otwarciem okna czasowego.

Kiedy Hoffmann podpłynął do silników, zrezygnował z komputera i zaufał swojemu analogowemu kompasowi – turbiny były napędzane magnesami, więc wykorzystując igłę kompasu, łatwiej je odnajdzie. Na kadłubie zamierzał umieścić pocisk typu Prisma uzbrojony w radioaktywny cez 137.

Mechanizm czasowy z zapalnikiem ustawił w taki sposób, żeby detonacja nastąpiła po stu osiemdziesięciu sekundach. Był to wystarczający czas, żeby zdążył odpłynąć na wyznaczoną pozycję. Tam wyjmie z worka automatyczny obrzyn załadowany czterema loftkami wypełnionymi dziesięcioma kawałkami nitki z włókna węglowego, a potem wynurzy się z nim na powierzchnię.

Godz. 00.37.01–00.40.00 (okno czasowe)

00.36.46. – dziesięć sekund do wybuchu. Piętnaście sekund do okna czasowego, to znaczy do momentu, w którym satelity przez dokładnie trzy minuty nie obejmują zasięgiem danego obszaru, więc stanie się dla nich niewidoczny.

Zdążył.

Kiedy wynurzył się szesnaście sekund później, pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, było to, co załoga okrętu nazywa „wyspą” albo „wieżą”. Jest to prawdziwe serce lotniskowca, w którym przebywają dowódcy i oficer ogniowy. Nad „wieżą” wznosi się las anten. Hoffmann usłyszał wybuch, po którym na głębokości dziesięciu metrów doszło do słabego wstrząsu. Na pokładzie okrętu prawie natychmiast włączyły się syreny alarmowe. Elektroniczny głos przekazywał komunikat o treści: „Wyciek promieniotwórczy”, „Wyciek promieniotwórczy”. Załoga ruszyła na wyznaczone pozycje, żeby zająć się wyciekiem, który – o czym nie wiedzieli – pojawił się wyłącznie w skonstruowanym całkiem niedawno i zdetonowanym przez niego ładunku.

Załoga była przeszkolona i dobrze wiedziała, co w takich sytuacjach robić, dlatego wszyscy skupili się na wykonywaniu swoich obowiązków. Nikt nie zwracał uwagi na anteny, w stronę których Hoffmann skierował automatyczny obrzyn. Unosząc się na falach, na zmianę odbezpieczał i strzelał. W sumie oddał cztery strzały, które przypominały smagnięcia batem i utonęły w hałasie syren. Obserwował, jak nitki z włókna węglowego opląły się jak wąż wokół anten. Komunikacja ze światem została przerwana.

Hoffmann wypuścił karabin z rąk i pozwolił mu opaść na dno oceanu. Dopóki nitki oplatały anteny, lotniskowiec był pozbawiony radaru, GPS-u i sonaru i na pewien czas był odcięty od świata.

00.38.03 – minuta i pięćdziesiąt siedem sekund do zamknięcia okna czasowego.

Załoga może w każdej chwili stwierdzić, że wcale nie doszło do radioaktywnego przecieku. Znajdą nitki z włókien węglowych, odtworzą łączność i odzyskają kontrolę nad sytuacją. Wtedy nie będzie miał odwrotu. Zginie.

Z wodoszczelnego worka wyjął dwa potężne magnesy i podłączył prąd do baterii magnesów. Przyciągnął sanie z uspiętym Crouse'em, otworzył pleksiglasową pokrywę i stwierdził, że przewodniczący równo oddycha i jego stan utrzyma się przez najbliższe piętnaście, dwadzieścia minut.

Pierwszy magnes miał się znaleźć na kadłubie tuż nad powierzchnią wody. Miały na nim „zaparkować” sanie. Drugi magnes Hoffmann przymocował między nogą Crouse'a a saniami. Następnie zamknął pokrywę i przyciągnął sanie pod magnes zamocowany na kadłubie. Wszystko zadziało bez zarzutu. Siła obu magnesów związała przewodniczącego z saniami, a sanie z kadłubem. Całość podskakiwała na wodzie w cieniu okrętu.

00.39.38 – dwadzieścia dwie sekundy do momentu, w którym satelity otworzą swoje czujne oczy.

Hoffmann chwycił wiszący luźno na piersi ustnik, wsunął go do ust i dmuchnął, żeby usunąć z niego resztki wody. Maskę zsunęła mu się na kark i szyję, więc podciągnął ją, żeby chroniła mu twarz.

Uruchomił silnik skutera i skierował maszynę pod wodę, na głębokość dwóch metrów.

Udało mu się zrealizować plan. Cała akcja trwała trzy minuty.

W porównaniu z trzema sekundami to prawdziwa wieczność.

Bez Crouse'a i bez podwodnych sań powrotna podróż na Isla Tierra Bomba miała potrwać znacznie krócej. Mniej więcej w połowie drogi między lotniskowcem a kutrem rybackim Hoffmann wypłynie na chwilę na powierzchnię, żeby zadzwonić do Sue i przekazać jej trzy słowa: „Obiekt wymiany zakotwiczony”, po czym od razu się rozłączy. Potem Sue zadzwoni do szefa sztabu i do wiceprezesa, bo

to na nich spadnie obowiązek wykonania swojej części umowy.

CZĘŚĆ CZWARTA

Z SZEROKICH I GŁĘBOKICH FILIŻANEK unosiła się para. Gorący napój na razie wciąż przypominał zwykłą herbatę. Aguapanela – woda z masą z trzciny cukrowej. To właśnie tym lokalnym przysmakiem rozkoszował się Grens pierwszego dnia po wylądowaniu w Kolumbii. Siedział wtedy przy stoliku w słabo oświetlonym kącie lokalu z Hoffmannem, który go przekonywał, żeby przynajmniej spróbował. Od tamtej pory komisarz stał się zwolennikiem aguapaneli. Zamawiał ją prawie tak często jak kawę, a więc ogromne ilości.

Teraz znowu stał przy kontuarze w Gaira Café i płacił banknotami peso za tacę z parującym napojem. Aguapanela naprawdę mu smakowała, ale chodziło o coś więcej. Grens przeżywał przygodę, pijąc coś innego niż rutynowa czarna kawa. A do tego świętował! Naprawdę było co.

Tym razem to on przyniósł do stolika tacę z filiżankami, starając się nie uronić ani kropli, chociaż na jego prośbę zostały napełnione aż po brzegi. Zanim postawił je na stolik, jeszcze raz rozejrzał się po sali. Z miejsca, w którym siedzieli, bez trudu mogli korzystać z telewizora, który wisiał pod sufitem na metalowym wysięgniku. Grens przesunął filiżankę po blacie stolika.

– Aguapanela, idealna w taki dzień.

Hoffmann popatrzył na nią, ale jej nie dotknął.

– Dzięki za troskę, ale w taki dzień wolałbym napić się kawy.

Grens wypił trochę napoju, zanim wstał, żeby zamówić kawę. Pijąc, przyglądał się człowiekowi, który wydawał się zadowolony, a zarazem pochłonięty myślami i wyczerpany. Należał do młodszej generacji, ale w tamtej chwili mogli uchodzić za rówieśników. Hoffmann był nieogolony, miał przekrwione oczy i siedział na niewygodnym krześle jakby skulony. Tak wyglądał człowiek, który właśnie przeprowadził dokładnie zaplanowany i skoordynowany atak, uwolnił najsłynniejszego w świecie zakładnika,

w czasie krótkiego okna czasowego sparaliżował jeden z najnowocześniejszych lotniskowców, a po dostarczeniu Crouse'a wycofał się pod wodą do punktu wyjściowego na wyspie Isla Tierra Bomba. Dotarł w łodzi rybackiej na stały ląd, skąd wynajętym samochodem jechał przez siedemnaście godzin, aby tuż przed piątą po południu stanąć w drzwiach kawiarni w centrum Bogoty. Wyglądał jak człowiek, który już zegnał się z życiem, a teraz wiedział, że zdoła je zachować.

– Czarna jak smoła. Skoro zależy ci na efekcie, a nie na smaku. – Grens wrócił do stolika z dwiema filiżankami i postawił je przed Hoffmannem. – Utrzyma cię w formie do końca programu.

Uniósł jedną ze swoich filiżanek – bo teraz on też miał dwie, pełne cukru i witaminy C. Potrzymał ją przed sobą i poczekał, aż Hoffmann sięgnie po swoją i również ją uniesie. Skinęli w milczeniu głowami, jakby chcieli się stuknąć filiżankami. Za chwilę przełączą telewizor na inny kanał, żeby posłuchać o wydarzeniu, o którym dowie się cały świat. O efekcie ich współpracy.

Kolejne pół filiżanki.

Hoffmann czuł, jak ciepły napój dodaje mu energii. Ręce zaczęły mu lekko drżeć, a potem dosłownie się trzęsły. Komisarz od razu to zauważył.

– Za mną długa noc w samochodzie, Grens. Wypiłem chyba wiadro czarnej kawy. – Hoffmann uśmiechnął się. Uniósł filiżankę, żeby wznieść kolejny toast. Ręce trzęsły mu się jeszcze bardziej.

Bardzo tęsknił do Zofii i chłopców. Był już prawie u celu. Zostało mu naprawdę niewiele. Wypełnił swoją część umowy, ale nie miał odwagi, żeby pojechać do ich tymczasowego mieszkania, gdzie czekała na niego rodzina. Ci, którzy postanowili go zabić, namierzili go w burdelu. Nie był pewien, ile o nim wiedzą i czego się jeszcze dowiedzą, zanim jego nazwisko zostanie skreślone z listy śmierci. Popędzi do żony i dzieci natychmiast, gdy tylko dostanie sygnał. Zaraz po transmitowanej bezpośrednio z Białego

Domu konferencji prasowej, którą wcześniej zapowiadali. Podczas konferencji wysocy urzędnicy państwowi przekażą informacje na temat przewodniczącego Izby Reprezentantów, Timothy'ego D. Crouse'a, który został odbity z rąk partyzantów. Pokażą go kamery wielu stacji telewizyjnych.

Hoffmann wychylił się w stronę telewizora i zaczął szukać CNN. Do konferencji prasowej zostało kilka minut. Na razie pokazywano migawki o pożarach traw w Kalifornii i zdjęcia z katastrofy samolotu na australijskim wybrzeżu. Hoffmann ściszył dźwięk. Na razie wystarczy im sam obraz.

– Już niedługo, panie komisarzu.

– Owszem. – Grens pochylił się nad stołem. – Po konferencji mógłbym właściwie wrócić do mojego pokoiku na komendzie w Sztokholmie. Hoffmann skreślony z listy śmierci, *mission accomplished*.

Grens powiedział to takim tonem, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłucha, chociaż w sali zostali zupełnie sami, bo kelner zniknął w kuchni.

– Ale moja misja jeszcze się nie zakończyła – dodał Grens. – Mam dopilnować, żeby rodzina Haraldssonów też wróciła do domu.

– To niepotrzebne.

– Takie jest moje zadanie.

– Za chwilę zniknę z listy śmierci, więc donikąd mi się nie spieszy. Zofia chce wracać, ale ja nie wrócę, wiedząc, że czeka mnie dożywocie. Był pan kiedykolwiek w więzieniu?

– Tak. W ramach obowiązków służbowych regularnie odwiedzam zakłady karne na terenie całej Szwecji. Od ponad trzydziestu lat. Znam wszystkie, co do jednego.

– To znaczy przyjeżdża pan do więzienia, a potem z niego wyjeżdża. Nigdy pan nie siedział na siedmiu metrach kwadratowych, za stalowymi drzwiami i za murami. Dzień w dzień, noc w noc, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Dlatego pan nie zrozumie, co to znaczy nie żyć. Bo tak to właśnie wygląda. Człowiek nie żyje, nie bierze

udziału w upływającym czasie. Czas po prostu upływa, a człowiek cholernie długo czeka.

Hoffmann zerknął na ekran monitora. W miejsce reportażu o wojnie domowej w Syrii pojawiła się relacja z demonstracji przeciwko szczytowi ministrów spraw zagranicznych państw Unii Europejskiej. Zostały dwie minuty.

– Dożywocie? Czekać całe życie? Nie wytrzymam i nie chcę. Wolę zostać tutaj i umierać kawałek po kawałku, ale żyjąc.

– A twoja żona? Ona też tak uważa?

– Wciąż mam nadzieję, że uda mi się ją przekonać.

– Powiedziałeś dożywocie albo życie tutaj? Możesz uniknąć obu tych możliwości. – Grens był spięty i ożywiony, zarówno z powodu oczekiwania na konferencję prasową, jak i pomysłu, z którym nosił się przez ostatnią dobę. – Chcę, żeby kolejna duża dostawa kokainy trafiła do Szwecji. Poinformujesz mnie wcześniej o dacie, trasie i miejscu dostawy.

– Jak to chce pan?

– Po prostu.

– Dlaczego?

– Bo jestem policjantem, a my właśnie tym się zajmujemy, wykrywaniem przestępstw.

Hoffmann nie był przesadnie zainteresowany propozycją komisarza, ale słuchał.

– Zrobimy tak: dasz mi cynk o następnej dostawie przez Anglię, Hiszpanię albo... zresztą to nieważne. Chodzi o to, żeby miejscem docelowym była Szwecja. Jesteś w tym całkiem dobry. Dzięki twoim informacjom, które za moim pośrednictwem trafią do właściwej osoby, doprowadzę do tego, że ta osoba podejmie decyzje w twojej sprawie, nawet jeśli z początku będzie się opierać. Jednak opór potrwa tylko do momentu, aż uzna, że ustępując, jedynie zyska. Moje rozwiązanie będzie polegać na tym, że na krótko trafisz do więzienia. Potem będziesz mógł wrócić do żony i dzieci.

– Nie słyszał pan, co powiedziałem? Nie wytrzymam w więzieniu. Poza tym już nigdy więcej nie będę współpracował z żadną policją, ani szwedzką, ani amerykańską. Źle to się dla mnie kończy, prawda?

– W kodeksie karnym jest paragraf mówiący o „szczególnym okrucieństwie czynu”. Widzę wiele okoliczności łagodzących związanych z twoimi czynami, które mają niewiele wspólnego ze szczególnym okrucieństwem. Załatwię to. Już to załatwiam. Potrzebuję tylko trochę informacji, żeby doprowadzić sprawę do końca. Zaufaj mi. Nie jestem ani szwedzkim, ani amerykańskim policjantem. Jestem Ewert Grens. Dotrzymuję słowa.

Na ekranie pojawiły się zakłócenia. Hoffmann uderzył lekko w bok telewizora i zaczął naciskać przyciski. Obraz zniknął, ale po chwili znowu się pojawił. Tym razem był trochę lepszej jakości.

– Nie wrócę za kraty. Wolę umrzeć. Przekonam Zofię, gdy moje nazwisko zniknie z listy śmierci.

Hoffmann w końcu uzyskał dobry obraz.

– Jestem już tym cholernie zmęczony – ciągnął. – Rozumie pan? Odwróciłem się plecami do własnego życia i w zamian trafiło mi się życie, które odwróciło się plecami do mnie. Czuję się wykorzystany. To nie jest przyjemne. Policja dostała ode mnie wystarczająco dużo.

– Hoffmann, posłuchaj...

– Poza tym czeka mnie tam śmierć. Jestem znanym kapusiem, a to najgorszy sort. W całej Szwecji nie ma jednego więzienia, w którym kapuś byłby bezpieczny. Na waszą prośbę przeniknąłem do tamtego pieprzonego pierdła i trafiłem do pojedynczej celi, ale nawet ta niedźwiedzia klatka na niewiele się zdała. Ci, którzy mnie zdekonspirowali, mieli kontakty wszędzie. Dlatego jestem tutaj. Obaj o tym pamiętamy, bo to przecież pan skazał mnie na śmierć. Przydałaby się tam La Picota.

– Co takiego?

– Specjalne więzienie w Bogocie dla tych, którzy mają być przewiezieni do Stanów. Jedno z dziesięciu

najbezpieczniejszych na świecie.

Grens chciał położyć rękę na ramieniu Hoffmanna, ale w ostatniej chwili się wstrzymał. Nie był najlepszy w okazywaniu czułości.

– Posłuchaj, co ci powiem. Kiedy odsiadywałeś wyrok w As- psås, w szwedzkich więzieniach doszło do dziewięciu zabójstw, w tym dwóch, za które ty byłeś odpowiedzialny. Teraz sytuacja wygląda inaczej. Powstał nowy oddział dla osadzonych, którzy są szczególnie zagrożeni. Władze podjęły taką decyzję po tym, co przydarzyło się tobie. Używając języka prawniczego, mamy do czynienia z „casusem Hoffmanna”. Mówili o „niedostatecznej odpowiedzialności władzy i braku współpracy między jej instytucjami”. Od tamtej pory nie mieliśmy ani jednego zabójstwa za murami więzień. Na tym nowym oddziale wszyscy osadzeni są naprawdę chronieni przed tymi, których po prostu tam nie ma. Później cię wypuszczą i zagrożenie w ogóle zniknie. Dzięki twoim informacjom udało nam się z polską policją zlikwidować całą odnogę polskiej mafii, którą infiltrowałeś. Tamta firma w Polsce przestała istnieć i nie stanowi już zagrożenia.

Grens ściszył głos, chociaż nadal byli sami.

– Jest jeszcze jedna rzecz. Na nowym oddziale przebywają między innymi dwaj osadzeni, którym grozi duże niebezpieczeństwo. Są to wysocy rangą szefowie policji, którzy zostali skazani za to, że wykorzystali nieprawdziwe informacje, aby wprowadzić mnie w błąd, bo chcieli, żebym cię... jak to słusznie określiłeś... zastrzelił.

Hoffmann czujnie popatrzył na Grensa swoimi zaczerwienionymi oczami.

– Wysocy rangą szefowie policji? Ma pan na myśli Göranssona i szefa Centralnego Urzędu Śledczego?

– Tak.

– To znaczy, że jeśli dostanę skrócony wyrok, będę siedział tam gdzie oni?

– Właśnie.

Hoffmann znowu zrobił się czujny. Grens domyślał się, jakie uczucia nim targają. Hoffmann wprost marzył o spotkaniu z ludźmi, przez których musiał uciec z kraju. Byłoby to spotkanie bez świadków i w warunkach, które jeśli nie zrekompensowałyby mu trzyletniego pobytu za kratami, to przynajmniej trochę by go złagodziły.

Tymczasem na ekranie telewizora pojawił się zwiastun serwisu informacyjnego, który przypominał o konferencji prasowej w Białym Domu.

– Po prostu mi zaufaj. Za dziesięć minut zostaniesz skreślony z listy śmierci. Wtedy zacznie się twój powrót do domu.

Hoffmann wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć „Możliwe”, po czym pogłośnił telewizor. Dźwięk był teraz lekko przytłumiony, ale wyraźny.

Najpierw nastąpiło krótkie wprowadzenie, a potem w górnym rogu ekranu pojawił się napis BREAKING NEWS. Taki sam, jak mniej więcej przed tygodniem, gdy Wilson kazał Grensowi obejrzeć serwis informacyjny w amerykańskiej telewizji. Grens czuł się wtedy tak, jakby to, co oglądał, wydarzyło się w zupełnie innej rzeczywistości. Tak jak wtedy z prawej strony ekranu do lewej biegł pasek, tym razem o treści: „Przewodniczący Izby Reprezentantów uwolniony po akcji ratunkowej”.

Na ekranie pojawiło się najpierw wewnątrz Białego Domu, a potem ustawiona przed budynkiem mównica. Grens od razu rozpoznał stojące obok osoby: wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, szefa FBI i szefa CIA. Ich obecność wcale go nie zdziwiła. Potem zobaczył twarz osoby, której nie znał. Na samym końcu, po prawej stronie ekranu, kamera pokazała oficera w mundurze. Tak to przynajmniej wynikało z naszywek i medali.

– Komisarzu?

– Tak?

– Ten facet w mundurze... Co on miał wspólnego z moją akcją...?

Grens nie zdążył odpowiedzieć na słowa Hoffmanna, które mogły być zarówno pytaniem, jak i stwierdzeniem, bo kiedy nastąpiło zbliżenie kamery i zobaczyli identyfikatory z nazwiskami, Hoffmann wstał od stolika i podszedł bliżej ekranu. Oficer nazywał się Michael Cook.

– Jaki Cook? Kto to jest?

Grens znowu nie zdążył odpowiedzieć, bo Hoffmann, który znajdował się bardzo blisko ekranu, zdołał odczytać napis znajdujący się pod nazwiskiem: Dowódca Delta Force.

– Jaka Delta Force? – Hoffmann uderzył otwartą dłońią w ekran telewizora. – Niech to szlag! Mam złe przeczucia!

Jeszcze bardziej zbliżył się do telewizora, jakby chciał w niego wejść i usiąść w pierwszym rzędzie, żeby dowiedzieć się o wszystkim przed innymi.

– Spokojnie... wszystko się zaraz wyjaśni.

Grens był tak samo wysoki jak on i kiedy położył mu dłoń na ramieniu, żeby Hoffmann usiadł na krześle, był delikatny, użył raczej swojej obecności niż siły.

– Zrelaksuj się, patrz i słuchaj. Nie zawsze trzeba ze wszystkimi walczyć. Czasem życie naprawdę jest dobre. To jedna z takich chwil.

Hoffmann opadł powoli na krzesło, ale Grens nadal trzymał dłoń na jego ramieniu. Hoffmann wdychał powietrze przez nos i wydychał je przez zaciśnięte zęby. Zrobił to sześć razy.

– Nie powinno go tam być. Słyszysz pan? Coś tu się nie zgadza.

Kamera szukała prezydenta, który na pewno wiedział, że jego konferencję prasową oglądają miliony osób. Podszedł do mikrofonu i chwycił dłońmi za lekko wystające brzegi mównicy. Odczekał, aż uwaga wszystkich obecnych skupi się na nim, popatrzył w obiektywy i zaczął powoli opowiadać, jak nocą obudził go telefon i po drugiej stronie słuchawki usłyszał zmęczony głos człowieka, którego osobiście znał, i jak wielką ulgę poczuł podczas tej rozmowy.

Prezydent uśmiechnął się i to nie tylko ustami, ale także oczami, a wraz z nim uśmiechnęli się zgromadzeni na

miejscu dziennikarze i jego doradcy prasowi.

– Tak to się kończy, gdy posyłamy do akcji najlepszych ludzi, jakich mamy. Naszą elitarną jednostkę, Delta Force.

Obiektów kamery zatrzymał się na generale Cooku, który nie odezwał się ani słowem, tylko skinął głową.

– Przecież to nieprawda! – Hoffmann walnął pięścią w stół z taką siłą, że stojące na nim filiżanki spadły z podstawek. – Widzi pan? Miałem rację! Kłamię!

Zerwał się od stołu. Widać było, że jest bardzo wyczerpany, ale jeszcze bardziej wściekły. Grens znał tylko jedną osobę, która potrafiła wpaść w taki sam szal jak Hoffmann – siebie. Stawał się wtedy kimś innym i tracił kontakt z rzeczywistością.

Hoffmann ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia. Tymczasem na ekranie pojawiły się nowe obrazy. Znikła twarz prezydenta i widać było ujęcia z helikoptera zrobione nad ciemnym morzem. Rozległ się głuchy dźwięk płatów wirnika i obiektów skupił się na wnętrzu kabiny, gdzie na noszach leżał człowiek. Był wyczerpany, ale jego oczy emanowały spokojem. Był to przewodniczący Izby Reprezentantów, Timothy D. Crouse.

– Dziękuję. – Crouse miał słaby, ale opanowany ton. – Żyję i zamierzam jak najprędzej wrócić do służby na rzecz amerykańskiego narodu, takie jest moje zadanie. Wszystkim moim kolegom winien jestem głęboką wdzięczność za cierpliwą pracę, a Jednostce Crouse’a za jej kompetencje. Szczególne podziękowania kieruję do tego członka Delta Force, który mnie odnalazł, dowodził operacją i doprowadził ją do szczęśliwego końca. Uwolnił mnie i dostarczył w bezpieczne miejsce.

Crouse zamknął oczy i na ekranie znowu pojawił się przekaz z konferencji prasowej w Białym Domu. Potem miejsce obrazów, z których biła radość z odzyskanego życia, zajęły obrazy przedstawiające brzydkie oblicze terroryzmu. Dopiero gdy telewizja pokazała listę z nazwiskami dziesięciu żyjących jeszcze terrorystów oznaczonych jako „kiery”, Grens domyślił się tego, czego Hoffmann obawiał się od

początku. A mianowicie, że umowa, którą zawarł z nimi rząd, jest nieważna. Przedstawiciele największej na świecie demokracji zmienili bieg historii i teraz nie będą musieli publicznie odwoływać swoich błędnych decyzji, a zatrudniony przez nich informator, Piet Hoffmann, nadal będzie figurował na liście śmierci sporządzonej przez jego zleceniodawców.

Będą go ścigać tak długo, aż go upolują.

POPOŁUDNIOWE SPOTKANIE Z DOMENICO José Peralta było rozstrzygające. Dyskutowali o tym co zawsze: przerwać współpracę czy ją kontynuować. Odniosła sukces. Uzgodnili końcowe zapisy umowy, do których żaden z jej poprzedników nawet się nie zbliżył. Sue Masterson rzadko była zadowolona z siebie albo z tego, co zrobiła, ale tym razem było wprost przeciwnie. Od momentu, gdy dowódca Policji Federalnej złożył na dole dokumentu podpis i podał jej rękę, amerykańscy i meksykańscy agenci mieli rozpocząć współpracę po obu stronach granicy. Zarówno oficjalnie, jak i pod przykrywką. Od tej pory wspólnymi siłami, czego poprzednio brakowało, mieli namierzać i rozbijać meksykańskie kartele narkotykowe. Crouse atakował tych, którzy narkotyki produkowali, podczas gdy wypracowane przez nią porozumienie wymierzone było w dilerów.

Masterson zerknęła na zegarek.

Konferencja prasowa! Umowa z Hoffmannem – życie za życie. Ta, którą wynegocjowała dwa dni wcześniej. Rzuciła kilka słów usprawiedliwienia i włożyła umowę do aktówki. Peralta skinął jej głową i uśmiechnął się. On też był zadowolony z osiągniętego porozumienia.

Masterson prawie wybiegła z sali konferencyjnej znajdującej się na drugim piętrze głównej siedziby DEA i szybkim krokiem ruszyła w kierunku schodów. Uznała, że tak będzie prędzej. Dwa piętra w górę. Pomyślała o spotkaniu, które się właśnie zakończyło. Przebiegło gładko; była z siebie naprawdę zadowolona. Główna baza produkcji kokainy pozostanie w Kolumbii, Boliwii, Peru i Ekwadorze. To dlatego Hoffmann i inni informatorzy działali na terenie tych krajów. Ale jeśli komuś poderżnie się gardło, znacznie trudniej mu oddychać. Gardło zaczęła podrzywać przed chwilą – było nim geograficzne ogniwo łączące producenta z konsumentem.

Piąte piętro. Jej gabinet znajduje się w głębi korytarza, siedem pokoi dalej. Konferencja prasowa już się zaczęła, ale

chyba jeszcze nie skończyła.

Ekran telewizyjny wisiał na ścianie między drzwiami a regałem na książki. Masterson wzięła pilota i usiadła w fotelu za biurkiem. Nie była pewna, czy dudnienie w piersi spowodowane było szybkim wchodzeniem po schodach, czy uczuciem zadowolenia. Przed chwilą odniosła duży sukces – podpisała umowę z Peraltą. Za chwilę usłyszy o następnym.

Okazało się, że miała szczęście. Transmisja jeszcze się nie skończyła. Wyglądało jednak na to, że wszystkie osoby, które miały zabrać głos, już to zrobiły. Może nawet sam Crouse się pokazał? Powinien, chociaż na ekranie nie było go widać. Za to nad sylwetką prezydenta pojawiła się lista śmierci. Zawierała dziesięć nazwisk. Masterson jeszcze raz przeliczyła.

Dziesięć, a powinno być dziewięć. Pochyliła się i obserwowała, jak lista przewija się w dół. Siódemka Kier wciąż na niej była.

To błąd! Zapomnieli go skreślić!

Lista znikła z ekranu, a relację z konferencji zakończył najazd kamery na mównicę. Przypomniało jej się, jak Thompson i Perry wrócili z *situation room* i coś jej obiecali, a potem ona przekazała obietnicę Grensowi.

– Słucham?

Nieświadomie zadzwoniła na prywatną komórkę Thompson.

– Mówi Sue Masterson.

– To ty, Sue? Poczekaj chwilę.

Masterson słyszała, jak Thompson przechodzi w inne miejsce. Szum i hałas ucichł, zapadła prawie całkowita cisza. Masterson zastanawiała się, do którego pokoju przeszła wiceprezydent.

– Siedzę w gabinecie i oglądam konferencję prasową.

– Ja też. Tyle że na żywo – odpowiedziała jak zwykle neutralnym głosem Thompson.

– Dzwonię w sprawie listy. Chyba zaszła pomyłka. Zapomnieliście skreślić Siódemkę Kier.

– Nie.

– Tak, widziałam, że nadal jest na liście. Siódemka Kier. El Sueco.

– Ja też widziałam listę. Nie zawiera błędów.

– Nie rozumiem... Oglądałyśmy dwie różne listy?

– Nie.

– Chyba tak, bo na liście, którą ja widziałam, on wciąż jest.

W słuchawce rozległ się dźwięk przypominający otwieranie i zamykanie drzwi. Jakby Thompson wracała na poprzednie miejsce albo szła do innego pokoju.

– A dlaczego miałyby go na niej nie być?

– Bo zawarłyśmy umowę.

– Jaką umowę?

– Umowę w sprawie... wiesz, o czym mówię... umowę o tym, że Siódemka Kier odnajdzie, uwolni i dostarczy nam Crouse'a, a my w zamian za to skreślimy go z listy śmierci.

– Sue... naprawdę nie wiem, o czym mówisz... nie zawierałyśmy żadnej umowy.

Jej głos... jak zawsze obojętny i neutralny. Masterson poczuła, jak znaczenie tych słów dociera do jej świadomości w błyskawicznym tempie, jakby ktoś rozplątał jej ciało ostrą klingą na dwie części.

– Mówię o umowie, z której Siódemka Kier się wywiązał. Byłam przy tym, jak uzgadnialiśmy warunki w twoim gabinecie... Perry też tam był. – Masterson nie wierzyła własnym uszom. Ta część jej świadomości, która wreszcie zrozumiała, co się stało, głośno w niej krzyczała.

– Jesteś tego pewna, Sue? W moim gabinecie? O którym spotkaniu mówisz? Nie ma żadnej notatki służbowej, która by je potwierdzała. Nawet gdybym zleciła kontrolę dziennika wejść w Białym Domu, z niego też by nie wynikało, że do takiego spotkania doszło.

Thompson znowu zmieniła miejsce, bo hałas w słuchawce stał się wyraźniejszy.

– Sue... przykro mi, ale muszę już wracać na konferencję, którą przed chwilą oglądałaś. Wyobraź sobie, że jednemu

z żołnierzy z jednostki Delta Force udało się odnaleźć, uwolnić i dostarczyć Crouse'a. Czy to nie wspaniałe? Dzięki temu będziemy mogli skupić się na ściganiu tych, którzy wciąż są na wolności. Tak jak do tej pory, to ja będę kierowała całą operacją.

Z KAWIARNI GAIRA CAFÉ PRZY Calle 96 było blisko do szpitala Hospital Universitario San Ignacio przy Carrera 7. Jakieś półtora kilometra przez Cerros de Monserrate – cieniistą, zieloną dzielnicę, w której mieszkańcy stolicy mogli spacerować i wypoczywać. Ale nie tam się kierowali, przynajmniej na razie. Najpierw zamierzali odwiedzić niewielki sklepik położony mniej więcej w połowie drogi, dwie przecznice w głąb dzielnicy Chapinero.

Złość już z nich wyparowała, chociaż w przypadku Grensa przybrała chyba tylko inną formę. Komisarz siedział obok Hoffmanna i głośno przeklinał. Od czasu do czasu uderzał pięścią w deskę rozdzielczą. Za to Hoffmann nie czuł nic, bo tłumił w sobie uczucia.

Zawsze sam. Ufaj tylko sobie, nikomu więcej. Działaj.

Do tej pory dzięki tym zasadom udawało mu się przeżyć. Kiedy miał do wyboru poddać się albo kontynuować, zawsze wybierał to drugie.

– Dokąd jedziemy?

– Zobacz pan.

– Do cholery... jak chcesz, żebym z tobą jechał, to mi wyjaśnij dokąd.

– Nie zdążę. Sam pan zobaczy.

– Muszę wiedzieć, do diabła...

– Przecież to nie na mnie jest pan wściekły. Powinniśmy współpracować, zamiast walczyć. Potrzebuję pańskiej pomocy. Wszystkiego się pan dowie, ale teraz strasznie mi się spieszy...

Hoffmann zatrzymał samochód przed sklepem z pomazaną graffiti fasadą i wąskim wejściem. Wiszący nad nim szyld był kiedyś podświetlony, ale teraz napis *SuperDeli* był już słabo widoczny. Hoffmann poprosił Grensa, żeby został w samochodzie, a sam wszedł do środka. Na regałach leżały gazety, trochę wyrobów tytoniowych, przetworzona żywność, chleb i słodczyce. Niektóre półki były zupełnie puste.

– Cesar? Jesteś tam?

Kobieta stojąca za ladą wskazała mu drzwi za kasą.

– Jest w środku.

Hoffmann wszedł do pomieszczenia, które było znacznie większe od sklepu. Na jego końcu, w zabałaganionym biurze ograniczonym szklanymi ścianami, siedział właściciel. Tak jak Hoffmann część życia spędził w więzieniu, ale przebywał tam znacznie dłużej i w o wiele cięższych warunkach.

– Witaj, przyjacielu. Mój dom to twój dom.

Objęli się jak zwykle, chociaż od ich ostatniego spotkania minęły dwa tygodnie. Hoffmann potrzebował nowego pistoletu z Radomia i właśnie Cesar mógł go dostarczyć najszybciej.

– Czym mogę ci służyć?

– Pomóż mi rozwiązać pewien problem.

– Przez cały tydzień oglądałem wiadomości i zawsze pomagam braciom, zwłaszcza tym, którzy płacą tak dobrze jak ty. Ale ta sprawa... to coś zupełnie innego.

– Wiem o tym.

– Kiedy chodzi o wojnę i...

– Jakoś się to rozwiąże. Proszę cię o coś, co jest tylko małym fragmentem całości. Ale potrzebuję tego. Rozumiesz?
– Hoffmann zdjął z głowy czarny kawałek materiału, którym przez ostatnie dni ją okrywał. – O to mi chodzi.

Cesar uśmiechnął się i zerknął na głowę, którą Hoffmann wysunął w jego stronę. Odczuwał pewną dumę, bo tatuaż wyszedł mu naprawdę dobrze. Rzadki wzór, który w niczym nie przypominał innych, o wiele agresywniejszych, jakie tatuował za murami zakładów karnych prymitywnymi narzędziami na setkach rąk, ramion i pleców. Tatuaż na głowie Hoffmanna przedstawiał piękną jaszczurkę z grubym, lśniącym ogonem, który jakby zniknął na plecach. Nigdy wcześniej nie zrobił nikomu podobnego tatuażu, ale Hoffmann był zdecydowany, więc Cesar wykonał zlecenie w ciągu dwóch nocy i to bez żadnego szablonu. Po prostu kończył jeden fragment i zaczynał następny.

– Widziałem go nawet na najbardziej niewyraźnych nagraniach. Domyśliłem się, że mają na ciebie tylko tyle i nic więcej. Teraz chciałbyś go usunąć, ale to piekielnie trudna sprawa. Będzie potrzeba cholernie dużo czasu.

– Ja nie proszę, żebyś go usunął, tylko żebyś zrobił taki sam.

Dwie minuty później tatuażysta samouk rozsiadł się na tylnym siedzeniu samochodu z czarną torbą zawierającą wszystkie niezbędne przybory. Grens, który nadal siedział z przodu, przywitał się z nim. Cesar przekroczył już czterdziestkę, był niski, ale za to umięśniony. Przypominał komisarzowi więźniów z wysokimi wyrokami, których podczas pracy w policji odwiedzał w różnych zakładach karnych. Takich jak Cesar poznawał nie tylko po chodzie, ale i po spojrzeniu. Jakby uczucie zamknięcia nadal w nich było.

Hoffmann ruszył, a Grens nadal nie wiedział, dokąd jada. Zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedział tylko jedno: jego misja polegająca na ściągnięciu Hoffmanna i jego rodziny do Szwecji spełzła na niczym. Uświadomił to sobie trzydzieści minut wcześniej, gdy podczas konferencji w Białym Domu faceci w garniturach dali do zrozumienia, że umowa „życie za życie” jest nieaktualna.

– Hoffmann... pytam po raz trzeci: dokąd jedziemy?

Tam gdzie będzie można zrealizować plan awaryjny, odpowiedział w myślach Hoffmann. Dokąd mieliśmy pojechać, gdyby ktoś złamał ustalenia. Gdyby zmienił się kierunek.

– A ja po raz trzeci powtarzam: wkrótce się pan dowie.

Grens nie zdążył zadać kolejnego pytania, bo Hoffmann gwałtownie zahamował. Wpadł w zakręt ze zbyt dużą prędkością i zatrzymał się przed wejściem do czerwonego dziewięciopiętrowego budynku. Hospital Universitario San Ignacio. Szpital uniwersytecki w Bogocie.

W bocznym wejściu pojawił się młody mężczyzna ubrany w biały fartuch. Szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu.

– Benedicto.

Hoffmann przywitał się i dał znak swoim dwóm pasażerom, żeby wysiedli z wozu i poszli za nim. Grens od razu po wejściu do budynku rozpoznał trupi zapach. Często bywał w zakładach medycyny sądowej i kostnicach, więc jego mózg od razu rozpoznał chemię, której zapach unosił się w powietrzu. Wsiedli do windy i wkrótce znaleźli się w miejscu, w którym znajdowały się chłodnie ze stali nierdzewnej. Po trzy w każdym rzędzie, wszystkie normalnej wielkości i ponumerowane. Pomieszczenie wyłożone było białymi kafelkami, od których odbijało się oślepiające światło. Benedicto otworzył chłodnię z numerem trzydzieści jeden i wysunął z niej dwie długie szyny, na których leżały metalowe nosze i ludzkie zwłoki.

– Cholernie się cieszę, że przyjechałeś, Peter... Przenoszenie tego trupa z miejsca na miejsce było naprawdę trudne. Dłużej już by się nie dało. Dwa razy musiałem go ratować przed studentami, którzy byli spragnieni publicznej sekcji.

Grens pochylił się, próbując określić, od jak dawna i z jakiego powodu zwłoki były przechowywane w chłodni. Hoffmann od razu to zauważył.

– Zaraz wszystko wyjaśnię – powiedział, a odwracając się do Benedicto, dodał: – Potrzebuję jeszcze dwóch dób. Potem nie zobaczysz ani mnie, ani jego.

Po tych słowach Hoffmann wskazał głową trupa i położył na nim brązową kopertę.

– Tu jest zapłata za to, co zrobiłeś do tej pory. Kiedy po niego wrócę, dostaniesz jeszcze jedną kopertę. A jeśli mi udostępnisz na cztery... powiedzmy pięć godzin jedno z mniejszych pomieszczeń, w których robi się obdukcje, a ty w tym czasie poczekaasz za zamkniętymi drzwiami, dostaniesz kolejną kopertę z taką samą kwotą.

– Teraz?

– Tak, teraz.

OKAZAŁO SIĘ, ŻE PRACA ze zwłokami leżącymi na stole sekcyjnym jest o wiele łatwiejsza pod silnym blaskiem reflektorów. Cesar zaczął od zgolenia trupowi włosów. Przewracał go z boku na bok, żeby dosięgnąć każdego miejsca, a potem otworzył czarną torbę i wyjął z niej igły, barwniki i maszynkę do tatuowania. Wyglądała na zupełnie nową, bardziej poręczną i łatwiejszą do użytku od tej, której kiedyś używał w więzieniu La Picota.

– Nieużywane, sterylnie czyste igły. Całkiem niepotrzebnie. Myślę, że ten klient jest odporny na bakterie?

Cesar uśmiechnął się. Nacisnął stopą odpowiedni pedał przy przednim kółku i opuścił stół ze zwłokami.

– To dobrze, Peter, że odczekałeś kilka dni... Gdybyś chciał to zrobić zaraz po jego śmierci, nie byłoby to takie łatwe. Zwłoki nie krwawią, więc nikt nie zauważy, że tatuaż został zrobiony po zgonie.

Cesar uniósł lekko stół, żeby łatwiej mu było pracować.

– Właściwie to każdy powinien być martwy podczas tatuowania. – Pół metra od stołu ze zwłokami stał inny, który służył do przenoszenia ciał. On też był wykonany z błyszczącego metalu. Cesar rozłożył na nim puszki z barwnikami i pojemniki, w których je ze sobą mieszał, a także pergamin z szablonem. – Proces gnilny już się zaczął, skóra wkrótce się zmarszczy, zszarzeje i nabierze zupełnie innych odcieni. Ale jestem pewien, że te kolory zadziałają.

Grens stał z boku i wyraźnie widział wyboczyliny na ciele zmarłego.

– Kto to?

– Lepiej nie wiedzieć.

– Tak jak lepiej nie wiedzieć, kto go zabił?

Hoffmann lekko się pochylił. Cesar był od niego znacznie niższy, a pergamin powinien leżeć nieruchomo na огоłonej czasce trupa, gdy będzie na niej odtwarzał wzór jaszczurki. Grens szybko wyciągnął prawidłowe wnioski.

– Domyślam się, co zamierzasz. To się nie uda.

– Owszem, uda. Najpierw FBI sprawdzi go w swojej bazie DNA, ale go tam nie znajdzie. W przeciwieństwie do tego, co

niedawno oglądaliśmy w telewizji, ten człowiek naprawdę służył w Delta Force. Jego tożsamość jest okryta ścisłą tajemnicą, jego dane znajdują się wyłącznie w bazie należącej do marynarki wojennej. W Stanach jest tak, że agendy rządowe konkurują ze sobą i ukrywają przed sobą dane. Tak samo jest w innych krajach. Pamięta pan, jak to było w Szwecji, kiedy chcieliście mnie zabić? Podjął pan decyzję na podstawie tego, co było w policyjnej bazie, prawda? Tylko później się okazało, że prawda była inna i policja też ją znała.

Grens nie musiał odpowiadać. Obaj wiedzieli, że pamięta. Rozumiał, o co toczy się gra. Zwłoki nie mogły stanowić dowodu jedynie z powodu wagi i budowy ciała. Mimo to ogólnie pasowały do Hoffmanna. Zaczął się więc zastanawiać, czy przy tak nietypowym tatuażu mistyfikacja nie ma jednak szansy na powodzenie? W normalnych okolicznościach tatuaż nie wystarczyłby policji nawet jako poszlaka. Jednak w przypadku człowieka anonimowego, a zarazem skazanego na śmierć jak Hoffmann, sytuacja była inna. Przecież państwo też chce się pochwalić, że odnosi sukcesy w swojej walce z gangami narkotykowymi...

Cesar najpierw skopiował szablon z pergaminu, a potem przygotował igły i stopniowo zaczął nanosić wzór na skórę, przesuając się coraz bliżej karku. Kiedy przeszedł z lewej strony na prawą, żeby łatwiej dotrzeć do miejsca, w którym miało się znaleźć oko jaszczurki, Hoffmann skorzystał z okazji i zajął jego miejsce. Otworzył pochwę na nóż. Chwycił trupa za lewą rękę, przyciągnął ją do siebie i zaczął mu odcinać dwa palce u dłoni.

– Nie musisz tego robić – powiedział Grens, klepiąc go po ramieniu.

– Muszę.

– Ci, którzy cię szukają, nie wiedzą, że brakuje ci dwóch palców. Gdyby wiedzieli, wstawiliby ten szczegół do rysopisu. Przecież to znak szczególny.

– A jednak muszę.

– Dlaczego?

- Bo wie o tym Crouse.
- Naprawdę? Dla niego to już bez znaczenia.
- Zapewniam pana, że kiedyś jeszcze będzie to miało znaczenie.

Hoffmann zrobił dokładnie to, co kiedyś z jego palcami zrobiła Zofia. Jeśli komuś odcinają fragment ciała bez narkozy, nigdy tego nie zapomni. Zapamiętał każdy szczegół.

Wziął do ręki nóż, ostrożnie wbił go w kość trupa i zaczął w niej drażyć. Z kieszeni kamizelki wyjął sekator – to samo narzędzie, którym posłużyła się Zofia – i przeciął nim kość oraz biegnące równoległe do niej ścięgna, trochę dalej, niż to było konieczne. Zostawił płat skóry i na końcu skleił ją klejem chirurgicznym.

Po zwykłej operacji klej roztapiał się, gdy proces leczenia dobiegał końca. Organizm sam się go pozbywał. W tym wypadku o procesie leczenia nie mogło być mowy, bo pacjent nie żył. Hoffmann wiedział jednak, że jeśli odpowiednio sklei ranę, nikt nie zauważy tej mistyfikacji. Chyba że z jakiegoś powodu zechce przypatrzeć się bliżej.

Grens obserwował ruchy Hoffmanna, który zachowywał się jak fachowiec, chociaż był zwykłym amatorem. Obok wzrostu, wagi i budowy ciała w rysopisie nieboszczyka pojawił się znak szczególny: tatuaż. Teraz doszedł jeszcze jeden: brak palców u lewej dłoni.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie chciał przyznać, że Piet Hoffmann wykonał swoją część umowy. On musiał więc zrobić kolejny krok. Przekonać tych, którzy skazali go na śmierć, że nie żyje. Dopiero wtedy skreślą go z listy śmierci. Nie znali jego tożsamości, wiedzieli o nim tylko tyle, co pokazały niezbyt ostre zdjęcia satelitarne. To się naprawdę mogło udać.

– Przyznam, że twoje rozumowanie może się okazać słuszne. Z tatuażem powinno ci się udać. Gdyby nie pewien szczegół.

Po raz pierwszy od wyjścia z kawiarni Hoffmann obrzucił Grensa dłuższym spojrzeniem.

– Jaki??

– Mam na myśli umowę o wymianie odcisków palców. Kiedy wyjeżdżałeś ze Szwecji, takiej umowy nie było. Teraz już jest. Stany Zjednoczone otrzymały prawo do korzystania ze szwedzkich baz zawierających odciski palców.

– O czym pan mówi?

– O tym, że i ty, i trup macie odciski palców. Dlatego twój podstęp się nie uda, bo Amerykanie mogą jednym kliknięciem sprawdzić, czy twoje odciski są w szwedzkiej bazie. Moi przełożeni temu przyklasną i będą gadać o ważnym narzędziu do zwalczania przestępczości. Jestem prawie pewien, że śledczy z USA dostaną od Szwecji wszystko to, czego sobie zażyczą, i nikt nie zaprotestuje, chociaż pozyskanie informacji przez naszych śledczych w USA nie jest aż tak proste. Amerykanie podejrzewają, że pochodzisz z któregoś z państw skandynawskich, więc się zorientują równie szybko, jak ty odciąłeś trupowi palce.

Hoffmann wycisnął trochę kleju i kolejny raz przeciągnął opuszkami palców wzdłuż rany.

– A ja uważam, że mi się uda.

– Tego, co tu leży, może i nie ma w bazie amerykańskiej. Ciebie też w niej nie ma. Do tego miejsca wszystko się więc zgadza. Ale przecież zostałeś skazany wyrokiem sądu i twoje dane są w naszym krajowym rejestrze przestępców. Będiesz zostawiał wszędzie swoje odciski palców i wcześniej czy później policja je zidentyfikuje, a wtedy trafisz za kraty.

– Nie zamierzam nigdzie zostawiać moich odcisków. Nie zamierzam też iść za kraty. Nie ma i nie będzie nic, co można ze sobą powiązać. A ponieważ już niedługo uznają mnie za zmarłego, nikt nie będzie mnie szukał.

Nagle Grens uświadomił sobie, że Cesar przez cały czas słyszał ich rozmowę. Wskazał na niego głową, ale Hoffmann nawet nie ściszył głosu.

– Nie zna szwedzkiego, a angielski słabo.

– Na pewno?

– Na pewno. Ale to bez znaczenia. Cesar nie jest głupi i domyśla się, co zamierzam. Ale ja mu ufam. Czasem trzeba komuś zaufać, chociaż każdy powinien ufać tylko sobie. Ja nawet panu ufam.

Hoffmann uśmiechnął się słabo do komisarza, a ten odwzajemnił jego uśmiech.

– A teraz porozmawiamy o tym, po co pan tu jest.

– Tak?

– To pan mnie zawiezie do ambasady amerykańskiej.

– Słucham?

– Bo ja już jestem martwy.

– Chcesz, żebym zawiózł do ambasady... jego?

– Tak.

– Mają mnie wpuścić, a potem mi uwierzyć?

– Tak.

– To znaczy... uwierzyć tobie?

– Tak.

Grens podszedł do stołu ze zwłokami.

– Nie będę przewoził zwłok.

– Ten człowiek zamierzał mnie zabić. Pan zresztą też.

– Bo jestem policjantem, a na dodatek człowiekiem.

– Gdy uznaliście, że macie prawo mnie zabić, skończyło się też wasze moralne prawo do oceniania tego, co zrobię, żeby przeżyć.

Grens spojrział na trupa. Przyleciał do Kolumbii po to, żeby pomóc Hoffmannowi w walce o przeżycie. Nadal był wściekły na tych, którzy podeptali umowę. Czuł się tak, jakby napluli mu w twarz. Wzruszył ramionami.

– Naprawdę wierzysz, że to się uda?

– Ja to wiem!

Grens wyjął z kieszeni marynarki telefon, włączył go i odszedł kilka kroków od stołu, żeby w obiektywie aparatu zmieściło się całe ciało leżące na stole sekcyjnym.

– Zgoda. Bierzmy się do roboty.

W CIEMNOŚCIACH JESZCZE TRUDNIEJ było znaleźć popsuty neon SuperDeli wiszący na brudnej od graffiti ścianie. Grens opuścił szybę samochodu i zerknął w kierunku sklepu. Jego wzrok zatrzymał się na ekspedientce, siedzącej na tym samym co wcześniej krześle pośród na wpół pustych półek i regałów. Zastanawiał się, jak to możliwe, że właścicielom udaje się ukryć prawdziwą działalność prowadzoną w lokalu.

Hoffmann i Cesar wysiedli z wozu. Hoffmann objął serdecznie Cesara, podziękował mu za pomoc i podał kopertę z plikiem banknotów dolarowych.

– Nie trzeba. – Cesar odsunął przyjaznym gestem rękę Hoffmanna z kopertą. – Tym razem to ja powinienem ci zapłacić.

– Weź. Bez ciebie by mi się nie udało.

– Nie rozumiesz, Peter... Dzisiaj stało się coś... Niech to szlag! Czasem człowiek przekracza pewną granicę. Żyje, doświadcza czegoś. Dzisiaj tatuowałem trupa... nie znałem człowieka. Rzadko, jak jestem trzeźwy, czuję się taki oszołomiony.

Hoffmann wciąż trzymał w ręce kopertę z pieniędzmi. Cesar w końcu ją wziął, złożył na pół i wsunął mu do kieszeni kamizelki.

– To było dla mnie ciekawe doświadczenie... praca na skórze, która była sucha jak pergamin. Raz chciałem z przyzwyczajenia osuszyć to miejsce, żeby krew nie mieszała się z barwnikiem, ale zaraz sobie uświadomiłem, że przecież facet jest martwy i nie krwawi. I wtedy nagle pękła mu skóra. Przekonałem się, że klej chirurgiczny świetnie sobie z tym radzi. Obiecuję, że nic nie będzie widać.

Z kieszeni kamizelki Hoffmanna wciąż wystawała koperta. Cesar wcisnął ją mocniej, jakby chciał się upewnić, że już tam zostanie.

– Te pieniądze będą ci potrzebne do czego innego, Peter. Na przykład na ucieczkę z kraju.

Hoffmann pochylił się w jego stronę.

– Weź pieniądze, bo chcę cię prosić o pomoc w czymś jeszcze. Chodzi o małą bombę.

– Jaką bombę?

– Do wysadzenia w powietrze samochodu.

Ściszyli głosy, żeby Grens ich nie słyszał.

– Tak jak poprzednio? Czy masz dodatkowe życzenia?

– Ładunek wybuchowy z opóźnionym zapłonem i zapalnikiem odpalany na odległość. Do tego czujnik wibracji. Bez niego to nie zadziała.

Przez chwilę panowała cisza. Cesar zerknął badawczym wzrokiem w kierunku samochodu i siedzącego w nim starszego mężczyzny. Potem skinął Hoffmannowi głową.

– Zgoda, przyjacielu. Za dwanaście godzin. Tam gdzie zazwyczaj dostarczam ci zamówienia.

– Dzięki.

– Kto to będzie?

– Nie pytaj.

– Ktoś, kogo znam?

– Ktoś, kto zamienia aniołki w szmaciane lalki.

Grens podciągnął szybę samochodu. Obaj kryminaliści z bogatą kartoteką uznali swoje spotkanie za zakończone i na pożegnanie serdecznie się objęli. Grens uśmiechnął się. Najwidoczniej podobny zwyczaj istnieje na całym świecie. Im gorsi bandyci, tym mocniej się obejmują. Hoffmann jechał powoli przez zaniedbaną dzielnicę, a Grens rozmyślał o pergaminie i tatuowaniu trupów. Od tylu lat pracował w policji, a mimo to każdego dnia stykał się z nowymi metodami stosowanymi przez bandytów. Bez względu na to, jaki postęp robi policja, przestępcy i tak wykonują potem kolejny krok.

Jechali przez ciemne dzielnice, Chapinero, Fontibón. W końcu wjechali w osiedle szeregowców za ogrodzeniami, ze schodkami prowadzącymi do drzwi wejściowych. Były bardziej zadbane niż domy w innych dzielnicach. Kafajka internetowa była niepozorna. Kryła się w cieniu wielkiej hali do gry w bingo, w przypominającej iskrzące się

światłami Bingo Royale. Przez szeroko otwarte okna dobiegał hałas.

– Panie komisarzu!

Grens był już w połowie drogi na drugą stronę ulicy, gdy Hoffmann zawołał do niego z samochodu.

– Mam do pana jeszcze jedną sprawę.

Grens zawrócił i nagle poczuł, że przestał kuleć, a noga od kilku dni prawie wcale go nie bolała. Niemal mu tego brakowało. Może to z powodu upału. A może to adrenalina. Człowiek, za którego odpowiadał, walczył przecież o życie.

– Chodzi o pański wyjazd do Waszyngtonu.

Waszyngton...

Nigdy przedtem nie był ani w Stanach, ani w stolicy tego kraju. Teraz miał tam pojechać po raz drugi w ciągu tygodnia. W obecnej sytuacji pozostało im tylko jedno wyjście – zwrócić się o pomoc do Sue Masterson. To ona miała wpływy i mogła zaświadczyć o jego wiarygodności, gdy dostarczy „trupa” El Sueco. Amerykańska ambasada miała uwierzyć człowiekowi, który zjawi się u nich ze zwłokami.

– Co pan o tym myśli, komisarzu? Wszystko pod kontrolą?

Grens wsunął głowę do samochodu przez okno od strony pasażera. Chwycił dłońmi za drzwi i poczuł, że mocno stoi na nogach.

– Co myślę? Chętnie się spotkam z Sue i napiję się z nią kawy. Nie jestem tylko pewien, czy ona też ma ochotę spotkać się ze mną.

– Jak już się zgodzi na nasze propozycje, niech pan jej da to.

Hoffmann otworzył schowek koło deski rozdzielczej i wyjął z niego kopertę. Przypominała tę, którą niedawno próbował wcisnąć Cesarowi. Tyle że ta była zabezpieczona czerwoną pieczęcią.

– To dla Masterson?

– Tak.

– A ta pieczęć?

Czerwona, okrągła, lśniąca pieczęć ze stemplem pośrodku. Koperta wyglądała tak samo jak te, które policja w Szwecji przekazuje swoim informatorom. Hoffmann też pewnie taką dostał. Takie koperty przechowywano razem z raportami i zawierały prawdziwe dane informatora. Oficer prowadzący opieczętowywał je pierwszego dnia współpracy.

– Co jest w środku?

– Wiem, co pan myśli. Ale tam nie ma żadnych prawdziwych nazwisk. To co pan trzyma w ręce, to moja ostatnia informacja dla Sue, mój prezent pożegnalny.

– Co w nim jest?

– Informacja o tym, gdzie i kiedy będą mogli odebrać szczątki kogoś z listy śmierci.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ja też cię prosiłem o cynk, żeby można było przejąć dostawę narkotyków. Jak czekaliśmy na konferencję prasową. Proponowałem, żebyś z rodziną wrócił do Szwecji. Odsiedzisz krótki wyrok na chronionym oddziale z twoimi ulubionymi policjantami. Czy wyraziłem się niezrozumiale? A może umknął ci ten drobny detal, że aby mieć przyszłość w Szwecji, cynk ma dostać policja w Szwecji, a nie w USA?

– Pamiętam tamtą rozmowę.

– I co?

– Pracuję nad tym. Dostanie pan cynk... Tu chodzi o coś innego, bardziej osobistego... Dlatego to musi trafić do niej.

Grens odebrał kopertę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Jeśli tak twierdzisz...

– Tak właśnie twierdzę.

– No to załatwione. Jutro spotkamy się przed wejściem do Hospital Universitario San Ignacio. Przywieziemy im trochę materiału pogładowego z kostnicy.

Samochód odjechał, a Grens po raz pierwszy w życiu wszedł do kawiarenki internetowej. Zapłacił za godzinę przy komputerze i plastikowy kubek wypełniony cieczą, którą właściciel kawiarenki z uporem nazywał kawą. Potem

wybrał jeden z niewielu numerów telefonów, które znał na pamięć, i tym samym złamał obietnicę daną Wilsonowi, że nie pozostawi śladów mogących kogoś doprowadzić do niego, a przez niego do Masterson, ale nie miał innego wyjścia.

Uznał, że dzięki temu dotrzyma o wiele ważniejszej obietnicy – że Piet Hoffmann wróci do domu. Cały i zdrowy.

– Słucham?

Zaspany, zmęczony, ochrypliły głos.

– Sven... to ja, Grens.

– Ewert?

Grens usłyszał, jak Sven chrząka, przewraca się na bok i szepcze do słuchawki, żeby nie obudzić leżącej obok niego kobiety.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię słyszę.

Grens się uśmiechnął. Miał nadzieję, że Sven się tego nie domyśli. Sven Sundkvist – jego najbliższy współpracownik i jedyny na świecie człowiek, który tak długo z nim wytrzymał – jeszcze by się domyślił, że jest wzruszony.

– To ciekawe, co mówisz, bo czasem mi się wydaje, że masz tego mojego głosu po dziurki w nosie.

– Nie rozumiesz, że się niepokoiłem? Nagle przepadłeś jak kamień w wodę. Wyszedłeś bez słowa ze swoją brązową walizką z wieżą Eiffla i zniknąłeś z komendy, w której, odkąd sięgam pamięcią, prawie mieszkałeś.

Sven przesunął się na brzeg łóżka, stanął gołymi stopami na podłodze, wymknął się po cichu z sypialni i zszedł schodami na parter swojego szeregowca.

– Jest środek nocy. Chyba o tym wiesz?

– Nocy?

Sven tak dobrze znał ten głos. Grens rzeczywiście był zdziwiony i chyba naprawdę zapomniał o różnicy czasu. Tak to z nim jest. Grens chciał z nim porozmawiać, więc wyjął telefon i po prostu zadzwonił. I nawet się nie zastanawiał, co teraz robi osoba, do której dzwoni.

Tak postępuje ktoś, kto nie ma rodziny ani nie żyje według codziennego rytmu.

Jednak tym razem komisarz nie zadzwonił z wytartej sztruksowej kanapy na komendzie, gdzie czasem spędzał noc. Dziwny numer telefonu, który pojawił się na wyświetlaczu... zakłócenia... jakiś szum w tle. Wszystko wskazywało na to, że Grens przebywa poza Sztokholmem.

– Pewnie zapomniałeś o różnicy czasu? Trudno, ale dzięki temu wiem, że jesteś daleko. Na wschodzie czy na zachodzie? Jaką masz porę dnia? Noc się dopiero zaczyna czy już się skończyła?

– Przykro mi, Sven, ale nie mogę ci odpowiedzieć.

Grens przysunął telefon bliżej ust. Zawsze tak robił, gdy sytuacja była poważna.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– W kuchni. Zimno tutaj. Na noc obniżamy temperaturę w całym domu.

– W takim razie ubierz się, ale nie po to, żeby nie marznąć w domu. Wsiądziesz do samochodu i pojedziesz na komendę.

– Ewert...

– Ile czasu ci trzeba?

– Ewert... posłuchaj, proszę...

– Ile czasu ci trzeba?

– Dwadzieścia pięć minut. O tej porze ulice są puste. Tutaj jest teraz środek nocy.

– To dobrze. Jak dojedziesz na miejsce, wyślesz mail do ambasady amerykańskiej w Bogocie. Z mojego służbowego adresu. Z komendy policji w Sztokholmie.

– Co dalej?

– Wyślesz go do Jonathana Woodsa. Poprosisz go o spotkanie. Do maila dołączysz zdjęcie.

– Jakie zdjęcie?

– Ciała.

– Słucham?

– Trupa.

Sven przestał chodzić gołymi stopami po zimnej podłodze i usiadł ze szklanką wody przy kuchennym stole. Już wiedział, że szykuje się trudna sprawa. Podpowiadał mu

to jego żołądek. Takie symptomy zwiastowały najczęściej coś, w czym wolałyby nie uczestniczyć.

Swojego szefa, a zarazem przyjaciela, nie widział od kilku dni, więc tym bardziej się niepokoił. Myślał o nim częściej, niż gotów był to przed sobą przyznać. I nagle Grens zadzwonił do niego w samym środku nocy z Bogoty, jak się domyślił. Na dodatek kazał mu wysłać do jakiegoś Woodsa zdjęcie trupa.

Na razie nie składało mu się to w całość. Wprawdzie jego mózg pracował na podwyższonych obrotach, ale pod koniec rozmowy wiedział niewiele więcej niż na początku. Grens w Ameryce Południowej? Coś tu nie gra. Facet większość swojego czasu spędza między komendą policji na Kungsholmen a mieszkaniem przy Sveavägen, które dzielą dwa kilometry. Gdyby kilka godzin temu ktoś spytał Grensa, co wie o Ameryce Południowej, pewnie by się okazało, że nawet nie wie dokładnie, gdzie leży Kolumbia.

- Co to za trup?
- Nie mogę powiedzieć.
- Kto zrobił zdjęcie?
- Nie mogę powiedzieć.
- Kto go zabił?
- Nie mogę powiedzieć.

Sven Sundkvist znany był z umiejętności prowadzenia przesłuchań. W policji miejskiej nie miał sobie równych. Jednak tym razem wiedział, że niczego się nie dowie, bo Grens zachowywał się tak samo jak przesłuchiwany, który odpowiada wymijająco, gapi się w podłogę albo każe śledczemu iść do diabła.

– No dobrze... cofnijmy się trochę w czasie. Do momentu, gdy szedłeś korytarzem z walizką. Tego dnia w telewizji mówili o porwaniu przewodniczącego Izby Reprezentantów i wojnie z terrorystami, do której przystąpił amerykański rząd. Jej głównym celem stało się światowe centrum produkcji i dystrybucji kokainy. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale teraz chcesz, żebym wysłał zdjęcie

jakiegoś trupa do amerykańskiej ambasady akurat w stolicy tego kraju.

– Wreszcie zrozumiałeś.

– Ewert, o co tu, do cholery, chodzi?

Martwy człowiek. Komisarz policji kryminalnej powinien dążyć do wyjaśnienia przyczyny śmierci, szukać odpowiedzi. Tymczasem Grens zachowywał się odwrotnie, zamknął się w sobie i coś ukrywał. Pewnie prawdę. Nawet przed swoim najbliższym współpracownikiem. Już kiedyś tak postąpił, gdy dwie młode kobiety zostały uprowadzone do Szwecji i zmuszane do prostytucji. W tamtej sprawie Grens wypaczał prawdę, wpływał na przebieg śledztwa i ryzykował swoją karierę, żeby chronić kogoś, kogo lubił i za kogo czuł się odpowiedzialny. Ale w Kolumbii? Po drugiej stronie Atlantyku? W trakcie toczącej się wojny narkotykowej? A jeśli tak, to w czyim interesie? Swoim własnym? Nie. Ewert Grens nigdy by tego nie zrobił. Poza tym to wszystko nie miało sensu.

– Sven? – Niecierpliwy, natrętny głos. – Nie kombinuj za bardzo. Nie mam czasu. Zaraz wyślę ci zdjęcie. Na komendzie zalogujesz się do systemu jako Ewert Grens. Potem wyślesz maila. Kartę z hasłem trzymam w kaburze z pistoletem. Klucz do szafy, w której jest kabura, leży pod magnetofonem.

Pod magnetofonem, przy którym stały zdjęcia Siw i kasety z jej muzyką, będącą dla niego całym światem. Gdzie indziej mógł ukryć klucz, jeśli nie pod najważniejszymi dla niego rzeczami?

– Ewert?

– Tak?

– Odpowiedz mi szczerze. Tylko nie mów, że nie możesz.

– Sven...

– Szczerze, dobrze?

– Zgoda.

– Czy grozi ci niebezpieczeństwo?

Grens przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Dość długo jak na niego.

– Nie.

– Kolumbia... ambasada Stanów Zjednoczonych... zwłoki... Dajesz słowo, że to, o co mnie prosisz, niczym ci nie grozi?

– Tak, dam ci słowo, że mnie nic nie grozi.

Grens odpowiedział, ale nic z tego nie wynikało. Mówił, że jemu nic nie grozi. To znaczy, że w niebezpieczeństwie był ktoś, dla kogo gotów był zaryzykować?

– Jeszcze jedno pytanie. Czy to polecenie?

Połączenie było złej jakości, pewnie z powodu dystansu. Być może dlatego w słuchawce zapadła cisza i na odpowiedź trzeba było długo czekać.

– Słyszałeś mnie?

– Sven, ja...

– Czy to jest polecenie?

– Nie.

– No to ja już nic nie rozumiem.

– Chodzi o sprawę, której oficjalnie nie ma. Gdybyś zadał sobie trud i przejrzał wszystkie segregatory z aktami spraw, które toczą się teraz w naszej komendzie, akurat tej byś nigdzie nie znalazł. Dlatego tym razem nie mogę ci wydać polecenia, chociaż jestem twoim przełożonym. Za to mogę cię o to poprosić jak przyjaciela.

LOT TRWAŁ CZTERY I PÓŁ GODZINY. Dokładnie tyle samo co poprzednim razem. Grens zdążył przeczytać „New York Timesa” i „Washington Post” – które wcześniej dostał za darmo od stewardesy – gdy kazano pasażerom zapiąć pasy i samolot podszedł do lądowania na lotnisku Dulles International. Jednak podobieństwa z poprzednią podróżą do stolicy Stanów Zjednoczonych skończyły się przy okienku odprawy paszportowej. Otoczyli go trzej ochroniarze, wyprowadzili z długiej kolejki i zaprowadzili do małej, brzydkiej klitki przypominającej pokoje przesłuchań na komendzie w Sztokholmie. Amerykańscy urzędnicy zadawali mu na okrągło te same pytania, żądając, aby im w wiarygodny sposób wyjaśnił, dlaczego przyleciał bez bagażu i dlaczego zamierza przebywać w USA tak krótko, że nie zdąży nawet wsiąść do taksówki, pojechać do centrum miasta, wrócić na lotnisko i zdążyć na odprawę.

Grens wiedział dlaczego – bo wcale się nie wybierał do centrum. Przeszedł przez pachnące perfumami i zastawione alkoholem różnych gatunków sklepy w strefie wolnocłowej, a potem przez hol, w którym przez cały czas obracały się taśmy z bagażem. Kierował się do stolika w końcu restauracji, w której zestresowanym pasażerom serwowano drogie jedzenie w plastikowych pojemnikach, chociaż na pewno wystarczyłaby im karta z alkoholami. Grens umówił się tam z kobietą, która już na niego czekała.

– Dziękuję, że przyjechała pani na lotnisko. Mam naprawdę mało czasu.

– Ja też. Brakuje mi go zwłaszcza dla tych, którzy mnie zapewniali, że spotkali się ze mną ostatni raz.

– Tym razem też panią o tym zapewnię.

Sue Masterson wypijała trochę francuskiej wody mineralnej. Kiedy zjawiała się kelnerka, Grens poprosił o to samo.

– Poza tym nie siedzielibyśmy tutaj teraz, gdyby inna obietnica, którą pani złożyła, została dotrzymana.

Masterson popatrzyła na Grensa i wzrok jej złagodniał. W surowym przed chwilą spojrzeniu było coś, co świadczyło o tym, że i ona czuje się poniżona, zdesperowana i skłonna szukać jakiegoś usprawiedliwienia. Inaczej nie przyszłaby na spotkanie.

– W takim razie zgoda, to nasz ostatni raz.

Jej wzrok znowu był stanowczy. Grensowi się to spodobało.

– Poprosiłem panią o spotkanie, bo po raz pierwszy od dnia, w którym złożyłem papiery do wyższej szkoły policyjnej... było to w połowie lat siedemdziesiątych... potrzebuję rekomendacji od osoby, która cieszy się autorytetem.

– Rekomendacji?

– Zaświadczenia, że jestem mądrą, godną zaufania osobą o analitycznym umyśle.

Masterson popatrzyła na Grensa. Czyżby marnował jej cenny czas? Żartuje sobie z niej? Ostatecznie doszła do wniosku, że nie. Starszy komisarz policji ze Szwecji miał ten sam wyraz twarzy co podczas ich pierwszego spotkania i używał tego samego języka, ale nie wyglądał na kogoś, kto chciałby ją oszukać. Wiedziała, że jego żartobliwe uwagi to pozory, pod którymi kryje się powaga.

– Za dwadzieścia cztery godziny zadzwoni do pani amerykańska ambasada w Bogocie. Zadzwonią, bo Piet Hoffmann nie żyje.

Masterson poczuła się nagle tak, jakby ktoś uderzył ją z całej siły w żołądek.

– Nie żyje?

– Właśnie dlatego zadzwonią.

– Nie rozumiem... A kiedy się to...

– Wtedy, gdy pewnemu trupowi odciął sekatorem dwa palce i kazał mu wytatuować na czaszce identyczny wzór jak ten, który sam ma na głowie.

Masterson znowu poczuła się tak, jakby ktoś ją uderzył. Powoli docierała do niej prawda o tym, co się stało.

– Jeszcze jeden taki dowcip, a sobie pójdę. Teraz to pan odpowie na moje pytanie. Jeśli usłyszę właściwą odpowiedź, będziemy kontynuować.

– Słucham.

– Co z trupem?

– Jak to?

– Czy to był trup od samego początku? A może ktoś „stał się” nim, żeby Hoffmann mógł dalej żyć? – Masterson chciała się upewnić, czy ludzkie życie nie zostało poświęcone w celu ratowania życia innego człowieka.

– To już był trup. Ten człowiek stał się trupem, gdy zgodnie z rozkazem wydanym w pewnym budynku przy tysiąc sześćset Pennsylvania Avenue miał zabić Hoffmanna. Zadzwoni do pani kolega z Sekcji Walki z Handlem Narkotykami w ambasadzie w Bogocie, który będzie musiał podjąć decyzję, czy obejrzeć zwłoki. A będzie chciał to zrobić tylko wtedy, jeśli uwierzy człowiekowi, który w tym momencie będzie przed nim siedział, to znaczy mnie.

Być może Masterson powinna była wstać i wyjść. Zrobiłaby to, gdyby podobną ofertę złożono jej parę tygodni wcześniej. Już samą rozmowę o tym, że mogłaby wprowadzić w błąd policję, która była całym jej życiem, uznałaby za zdradę. Ale nie teraz. I tak miała niewiele do stracenia.

– Zgoda...

Zrozumiała, co Hoffmann wymyślił. Czyjaś śmierć mogła mu uratować życie.

– ...udzielę panu tych rekomendacji. Muszę tylko wiedzieć jak.

Grens podał jej dwustronicowy dokument.

– Proszę. To jest międzynarodowy projekt antynarkotykowy, współpracują w nim Stany z Europą. Powiedzmy, że oboje bierzemy w nim udział. Tak się poznaliśmy. Byliśmy razem na spotkaniach, które tam opisałem.

Masterson wzięła od Grensa zapisane odręcznie kartki i szybko przebiegła wzrokiem ich treść.

– Wierzy pan w to?
– W międzynarodowy projekt antynarkotykowy?
– W śmierć Hoffmanna i w to, że przekona pan o niej człowieka z ambasady w Bogocie.

– Wierzę, że to ostatnia szansa Hoffmanna i że oboje jesteśmy mu coś winni. Musimy mu pomóc, żeby mógł ją wykorzystać.

Masterson zerknęła na Grensa i wzruszyła ramionami.

– W takim razie zgoda. Potwierdzę, że jest pan mądrym człowiekiem o analitycznym umyśle i że ze sobą współpracujemy.

Masterson wstała i wyciągnęła rękę nad stołem, żeby się pożegnać. Ale Grens nie ruszył się z miejsca.

– Jest jeszcze jedna sprawa do omówienia.

Wskazał jej krzesło, ale nie usiadła. Wyjął z aktówki zapieczętowaną kopertę.

– Hoffmann przesyła pani pożegnalny prezent. Ostatnie pozdrowienie. Informację o... pewnej osobie. Wolałbym nic o tym nie wiedzieć.

Masterson wzięła kopertę do ręki i delikatnie przesunęła palcami po pieczęci. Jej twarz nie wyrażała jednak aż tak wielkiego zainteresowania, jakiego Grens się spodziewał. Mimo swojej stanowczości powinna się chociaż uśmiechnąć, bo przecież wszyscy szefowie lubią otrzymywać takie prezenty.

– Coś nie w porządku? – spytał poważnym głosem. – Oprócz tego, że nasi przyjaciele z Białego Domu zrobili nas oboje w konia?

Masterson uśmiechnęła się. Widać było, że taki głos jej odpowiada.

– Zajmę się tą kopertą. Informacje od Hoffmanna zawsze były dużo warte. Będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię na moim obecnym stanowisku. Potem to ja będę musiała poprosić o referencje.

Mówiąc to, wsunęła kopertę do zewnętrznej kieszeni kurtki.

– Zostałam nie tylko oszukana, na dodatek stracę stanowisko. Nikt o tym jeszcze nie wspomniał, ale ja już wiem. Nigdy by tak nie wystawili dyrektorki DEA, gdyby myśleli o dalszej współpracy. Próbowali wcześniej z innymi jednostkami, ale dostali po nosie. Podjęłam z nimi negocjacje w jedynej sprawie, której miałam nie ruszać, i przegrałam.

Grens nie należał do osób, które spontanicznie przytulają innych ludzi. Teraz jednak miał taką minę, jakby chciał to zrobić, bo Masterson mimo całej swej stanowczości przez chwilę wydawała się naprawdę załamana i zraniona.

– Wiem, jakie cholerne ryzyko pani podjęła, spotykając się ze mną i przeze mnie kontaktując się z Hoffmannem. Może to marna pociecha, ale teraz już naprawdę obiecuję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Znowu słabo się uśmiechnęła.

– No dobrze... skoro to już nie ma znaczenia, mogę podjąć każde ryzyko. Na przykład takie, że udzielę referencji pewnemu upartemu komisarzowi policji ze Szwecji.

Masterson uścisnęła jego dłoń i trzymała ją chwilę za długi. Potem odwróciła się i odeszła.

Grens zerknął na zegarek. Do kontroli paszportowej została mu godzina. Postanowił zamówić kawę, bo woda mineralna, którą pił podczas rozmowy z Masterson, w ogóle mu nie smakowała. I może do tego brownie...

HOFFMANN WYNAJAŁ SAMOCHÓD z dużym bagażnikiem. To było jego jedyne kryterium. Wystarczająco dużo miejsca na sztywne, blade zwłoki.

Nowe ubrania kupili w second handzie. Były używane, ale nie zniszczone, dobrej jakości, ale nie markowe. Hoffmann przez dłuższą chwilę przyglądał się „sobie”. Postać, którą Benedicto wywiózł bocznym wyjściem z kostnicy Hospital Universitario San Ignacio, wyglądała całkiem wiarygodnie i śmiało mogła uchodzić za tego, którego cały świat oglądał na niezbyt ostrych ujęciach w telewizji.

– Dzięki za pomoc. To dla ciebie, twoje wynagrodzenie. – Podał ostatnią kopertę Benedicto, który przez długi czas prznosił z miejsca na miejsce zimne nieruchome zwłoki.

– Nie ma sprawy, Peter. Zresztą wiesz.

Podali sobie ręce i Benedicto zawrócił, pchając przed sobą wózek ze skrzypiącymi kółkami. Musiał wrócić do innych zwłok – tych, które były przeznaczone do badań dla studentów medycyny. Będą je kroić i ciąć...

– Niech mi pan pomoże, komisarzu.

Hoffmann chwycił ciało za ramiona, a Grens za nogi. Unieśli je i włożyli do bagażnika. Trup leżał w nim lekko przekrzywiony i mieli problemy z domknięciem klapy.

– No dobrze... teraz moja kolej.

Grens już dawno pogodził się z tym, że stracił kontrolę nad sytuacją. Podczas tych niezwykłych dni mógł tylko śledzić upływające godziny i próbować coś z tego wszystkiego zrozumieć. Nic więcej.

– Najpierw daj mi cynk, o który cię wcześniej prosiłem. Obiecałeś...

Grens nie zdążył skończyć zdania, gdy Hoffmann podał mu paragon ze sklepu spożywczego i poprosił, żeby komisarz odwrócił go na drugą stronę. Okazało się, że jest tam kilka linijek tekstu napisanego zbyt małymi literami, żeby można go było odczytać bez okularów.

– Miejsce... termin... trasa przewozu. Tak jak pan chciał. Ponad tona dziewięćdziesięcioczworoprocentowej kokainy. Punkt docelowy: Szwecja. Tranzyt przez Anglię. I jeden warunek: krótsza odsiadka.

– Jeszcze do ciebie nie dotarło?

– Co takiego?

– Już ci mówiłem. Nie jestem ani szwedzkim, ani amerykańskim policjantem. Jestem Ewert Grens i dotrzymuję słowa.

Rozstali się przy wyjeździe z terenu szpitala. Hoffmann wyruszył swoim prywatnym samochodem w niewiadomym kierunku, Grens w wynajętym wozie do amerykańskiej ambasady. Ze wschodniej dzielnicy miasta do zachodniej. Dziesięć kilometrów przez centrum miasta.

– Sven?

Grens wybrał ten sam numer co poprzedniej nocy. W słuchawce usłyszał zaspany, ochryply głos.

– To znowu ty?

– Tak. Twój najlepszy przyjaciel Ewert. Stęskniłeś się za mną?

To samo westchnienie, chrząkanie, wstawanie z łóżka ze słuchawką przy uchu.

– Zrobiłem to, o co prosiłeś. Przesłałam mail ze zdjęciem.

– Bardzo dobrze. Tak dobrze, że w nagrodę dołożę ci pracy.

– Moją nagrodą będzie sen. Spokojny sen.

– Jeszcze zdążysz się wyspać. Najpierw napiszesz to, o czym zaraz ci powiem.

Sven wstał, wziął do ręki notes i coś do pisania. Komisarz wyobraził go sobie w piżamie.

– Notuję.

– Największa w historii Szwecji konfiskata kokainy.

– Nie nadążam...

– Za trzydzieści sześć godzin.

– Chwilę...

Grens usłyszał, jak Sven przyciąga krzesło, siada na nim i wzdycha.

– Mów dalej.

– Frachtowiec, który wypłynął z pewnego miasta portowego w Wenezueli i kieruje się na Morze Karaibskie... czyli na Atlantyk... nie jestem pewien, jak to się wymawia, ale pisze się Carúpano. Przez „C” na początku, z akcentem nad „u”. Dostawa kokainy dla wielu odbiorców. Dzisiaj statek wpływa do Aberdeen w Szkocji, jego oficjalny ładunek to ziarna kawy. Potem ma płynąć do Kadyksu w południowej Hiszpanii. Ale to, co nas interesuje, zostanie przeniesione w Aberdeen na dwie małe łodzie podwodne. Jedna popłynie potem do Danii i Norwegii, druga do Szwecji i Finlandii.

Grens słyszał w słuchawce, że Sven nie pisze długopisem, tylko ołówkiem. Poznał to po szeleszczeniu papieru.

– Powiedziałaś łodzie podwodne?

– Tak... minilodzie podwodne. Osiemdziesiąt procent kokainy z Ameryki Południowej do USA przemyca się pod wodą. To w swojej klasie najlepsza metoda. Tutaj, gdzie jestem, można się cholernie dużo nauczyć. Tutejsza policja odkryła też trochę większe łodzie, które płyną do Europy. Ryzyko, że zatoną w czasie sztormu albo na skutek wypadku, jest większe niż że zostaną zauważone. Te, o których mówiłem, całą drogę do Szkocji pokonają pod wodą. Są wypełnione kokainą.

Skrzypienie ołówka ustało.

– A dokładniej?

– Na wschodnie wybrzeże, na sztokholmskie szkiery, konkretnie na wysokości wyspy Granholmen. Wyślę dokładne współrzędne z kawiarenki internetowej.

Sven był tysiące kilometrów od Grensa, a mimo to ten słyszał, jak jego młodszy kolega wstaje z krzesła i idzie w kierunku łóżka. Usłyszał też jego jeszcze bardziej ochryply głos, gdy położył głowę na poduszkę.

– Zajmę się tym rano. Teraz jest noc.

– Poczekaj. Jutro przekażesz wszystko naszemu ulubionemu prokuratorowi. Łącznie ze współzrędnymi.

– Masz na myśli Ågestama?

– Tak.

Sven od razu zmienił pozycję.

– Dlaczego?

– Na razie nie mogę ci o tym powiedzieć.

– Wprawdzie nadal jestem zaspany, ale... Jak to określiłeś? Największa w historii Szwecji konfiskata kokainy? I to akurat jemu ma przypaść cały splendor? Facet, którego najmniej cenisz i lubisz spośród tych, którzy regularnie odwiedzają nas na komendzie?

– Tak właśnie jest.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Na razie powinieneś zrozumieć tylko jedno. To jemu ma przypaść cały splendor. Im bardziej będzie z siebie dumny i zadowolony, tym lepiej.

Grens zdążył już zatrzymać samochód. Dotarł na miejsce. Trzysta metrów dalej widać było dach amerykańskiej ambasady. Tutaj zaparkuje, a do hotelu pojedzie taksówką. Wróci następnego dnia, żeby dokończyć to, co zaczęli z Hoffmannem, żeby wykorzystać ostatnią szansę na jego przeżycie.

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH w Bogocie wyglądała dokładnie tak samo jak w Sztokholmie. Długie ogrodzenie i strażnicy, czerwono-biało-niebieska flaga powiewająca na wietrze, jasne zabudowania z płaskimi dachami i okrągłe talerze satelitarne skierowane w niebo. Atmosfera też była podobna. Pełna wrogości i podejrzliwości, jak nigdzie indziej. W tym miejscu każdy traktowany był jako potencjalny, pełen złych zamiarów wróg, który będzie musiał udowodnić swoją niewinność.

Grens był zgrzany i twarz miał w czerwonych plamach. Mimo bólu w nodze ruszył ulicą biegnącą lekko pod górę. Kiedy dotarł na miejsce, zapukał w szklaną szybę, za którą mieściła się recepcja i główne wejście. W środku tłoczyli się amerykańscy żołnierze z elitarnych jednostek i kolumbijski personel. Grens podał przez okienko swój paszport, do czego zdążył się już przyzwyczaić. Robił to przecież za każdym razem, gdy w sprawach służbowych przekraczał granicę amerykańskiego państwa. Tym razem nie zdążył nawet dokończyć przygotowanego wcześniej wyjaśnienia, bo za grupą wysokich, umięśnionych żołnierzy pojawił się jasnowłosy, krótko ostrzyżony, ubrany w garnitur, białą koszulę i krawat mężczyzna o czujnych jak satelity oczach.

– Witam pana. Nazywam się Jonathan Woods i jestem szefem Sekcji Walki z Handlem Narkotykami. Jaki język pan preferuje? Angielski, hiszpański, portugalski?

– Szwedzki.

Woods uśmiechnął się szeroko, ukazując bardzo białe zęby.

– Obawiam się, że musimy pozostać przy angielskim. Nie udało mi się ukończyć skandynawistyki.

Idąc korytarzem, niewiele mówili. Przeszli przez dobrze strzeżony wewnętrzny dziedziniec. Grens policzył kamery monitoringu i strażników i doszedł do wniosku, że jest ich tyle samo. W środku zabudowań było jeszcze więcej urzędników, którzy też byli uzbrojeni. Większość z nich

stanowili cywile. Weszli schodami na piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia biurowe z widokiem na bramę o spiczastych końcówkach – tę samą, przez którą przed chwilą Grens wchodził.

– Jest pan szwedzkim policjantem? – Woods wskazał mu krzesło.

– Tak.

– Nasza kontrola wewnętrzna to potwierdziła. Trzydzieści dziewięć lat w służbie, komisarz policji kryminalnej wydziału śledczego policji miejskiej w Sztokholmie. Wszystko jasne. Natomiast nie jest jasne, dlaczego przebywa pan w Bogocie.

Krzesło, które wyglądało na eleganckie, okazało się dość niewygodne. Drewniane szczeble uwierały Grensa w plecy, obicie ocierało skórę.

– O tym nie mogę mówić.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Woods obserwował, jak Grens wierci się i próbuje znaleźć wygodną pozycję. Po chwili przeprosił go i wyszedł z pokoju, po czym wrócił z innym krzesłem, które bardziej przypominało fotel. Czerwony aksamit, zaokrąglone oparcie na plecy, miękkie, choć nieprzesadnie, siedzenie... Grens skinął z wdzięcznością głową i usiadł. Krzesło przypominało mu trochę obitą sztruksem kanapę w jego pokoju na komendzie.

– Za to może mi pan wysłać zdjęcie zwłok?

– Mogę je panu także pokazać.

– A skąd mam wiedzieć, że to człowiek, którego szukamy?

– Tego nie może pan wiedzieć, ale może pan komuś zlecić, żeby to sprawdził. To teraz wasz trup i możecie z nim zrobić, co chcecie.

– A jaki jest pana cel?

– Nie mam żadnego celu.

– Każdy ma cel.

Hoffmann rozmawiał wcześniej z Grensem o kłamstwie. Stwierdził, że każde kłamstwo powinno zawierać choć

trochę prawdy, żeby ktoś w nie uwierzył.

– Zwłoki do mnie trafiły.

Hoffmann powiedział wtedy, że prawda to nie tylko słowa, ale także ton głosu, spojrzenie, ruchy i oddech. Na co on odparł, że jest dwadzieścia lat starszy i ma w tych sprawach dwadzieścia lat więcej doświadczenia.

– Jeśli to jest to ciało, co myślę, powinno trafić właśnie do was.

– Komisarz szwedzkiej policji przebywa w Kolumbii jako turysta. Nie ma oficjalnego zlecenia, ale za to jeździ po mieście ze zwłokami jednego z najbardziej poszukiwanych ludzi na świecie.

– To dobre podsumowanie tej sytuacji.

– Panie komisarzu Grens... domyślam się, że ma pan za sobą tysiące przesłuchań i wysłuchiwał pan tysięcy idiotów. Proszę mi powiedzieć: czy gdyby pan teraz siedział na moim miejscu, uwierzyłby pan w swoje własne słowa?

– Nie, ale więcej nie mogę powiedzieć. Zresztą, czy to ważne? Pan kogoś poszukuje, a ja, być może, tę osobę znalazłem. Jeśli się okaże, że miałem rację, zostanie pan bohaterem. Jeśli nie, straci pan kilka minut na kogoś, kto niczego w zamian nie zażądał. Dlatego gdybym rzeczywiście siedział na pana miejscu, nie zadawałbym pytań. Zadzwońlibym za to do kogoś na górze i sprawdził, czy komisarz Grens to ktoś, kto wie, co mówi. I zacząłbym od osoby, która jest najwyżej, od Sue Masterson.

W pokoju zapadło milczenie. Bywa ono różne: bolesne, wymuszone, nieprzyjemne, groźne, naturalne, przyjemne, pocieszające, oczekiwane.

Jednak to milczenie było oceniające, a potem rozstrzygające. Jeśli bowiem Woods uzna, że powinien wyprosić szwedzkiego komisarza policji ze swojego gabinetu, tym samym unicestwi cały plan Hoffmanna i pozbawi go ostatniej szansy. Jeżeli natomiast uzna, że warto zadzwonić do centrali pod Waszyngtonem, być może uda się zachować isierkę nadziei dla rodziny, która próbuje przeżyć.

– Proszę mi na chwilę wybaczyć. – Woods wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Grens został sam w pomieszczeniu, w którym zapadła zupełnie inna cisza. Pełna oczekiwania, niepokoju, czegoś, na co on nie miał wpływu.

Odchylił się na oparcie krzesła, zerknął na zegar na ścianie i zamknął oczy. Po dwudziestu siedmiu minutach otworzyły się drzwi i w progu stanął Woods.

– Zabrało mi to trochę czasu. Musiałem poczekać na odpowiedź.

Grens przeciągnął się nieświadomie.

– I co?

– Sue Masterson ręczy za pana. Rozumiem, że oboje pracujecie w CICAD?

– Jeśli tak pan twierdzi.

Woods pochylił się z uśmiechem w stronę Grensa.

– To takie tajne?

– Obiecałem Sue, że z nikim nie będę rozmawiał o naszej współpracy.

– Z całym szacunkiem, The Inter-American Drug Abuse Control Commission... nazwa brzmi świetnie, ale będę z panem szczery, nie wierzę w tego rodzaju międzynarodowe inicjatywy. Wolalbym raczej...

– Jeśli tak pan twierdzi...

Woods długo przyglądał się szwedzkiemu komisarzowi policji, który twierdził, że do Kolumbii przyjechał jako turysta.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – I co teraz?

– Jak to co?

– Gdzie jest ciało, o którym pan wspomniał?

– W bagażniku samochodu z wypożyczalni. Trzysta metrów od ambasady.

Woods podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na kraty przy wejściu do ambasady i uzbrojonych strażników. Jakby miał nadzieję, że zobaczy z tego miejsca pojazd, o którym wspomniał Grens.

– A jak go już otworzymy... Skąd mam wiedzieć, czy nie ma pan innych zamiarów? Na przykład czy samochód nie narobi huków?

– Tego oczywiście nie można wiedzieć. Za to ma pan tu do dyspozycji całą armię ludzi, która sprawdzi, czy wszystko w porządku.

Obaj jeszcze raz zmierzili się czujnym wzrokiem. Cisza, jaka zapadła, znowu była inna, spokojniejsza, lżejsza.

– No cóż... wszystko chyba omówiliśmy? – spytał po chwili Grens.

Woods skinął głową.

– Tak sędzę. Ktoś odprowadzi pana do wyjścia.

Grens wstał z krzesła i ruszył do drzwi, ale Amerykanin jeszcze go zatrzymał.

– Panie komisarzu...

– Słucham?

– Tak się właśnie zastanawiam... to chyba jednak jeszcze nie wszystko?

Po Grensie nigdy nie było widać, jak bardzo jest zaniepokojony albo niepewny. Miał nadzieję, że tym razem nie jest inaczej.

– Potrzebna mi jest jeszcze jedna rzecz. I wtedy już będę zadowolony.

Grensowi przemknęło przez głowę, że Woods wszystkiego się domyślił, że coś przeczuwał. A może to błąd?

– Kluczyki do samochodu. – Woods niemal się uśmiechał.

Komisarz od razu poczuł, jak stres powoli z niego spływa.

– Proszę. – Podał mu kluczyki i uściśnął rękę na pożegnanie.

Kiedy Woods otworzył drzwi, na korytarzu stał młody mężczyzna, który miał wyprowadzić Grensa z budynku stanowiącego terytorium Stanów Zjednoczonych. Grens zrobił kilka kroków, ale nagle zatrzymał się i popatrzył na Woodsa. Tym razem to on chciał coś dodać.

– Tak przy okazji...

– Słucham.

- Byłoby dobrze, gdyby ktoś porządnie wysprzątał wnętrze wozu. Przed zwrotem samochodu trzeba też uzupełnić benzynę w baku. Wypożyczalnia dokładnie to sprawdza.

MIELI NIEWIELE CZASU, WIĘC poszli na krótki spacer. Hoffmann czekał na Grensa w miejscu oddalonym o ponad kilometr od ambasady. Komisarz rzucał się w oczy już z daleka: barczysta sylwetka, lekko powłóczyisty chód z powodu bólu w nodze. Powoli minęli dwie dzielnice z ładnie utrzymanymi domami. Czasu wystarczyło im na tyle, żeby Grens zdążył opowiedzieć, jak Woods przyjął wiadomość o zwłokach ukrytych w bagażniku, potwierdzić, że to, co nazwali ostatnią szansą, naprawdę nią było. Kiedy się rozstali, Hoffmann stał przez chwilę na skrzyżowaniu dwóch jednokierunkowych ulic i spoglądał za oddalającym się komisarzem policji, któremu postanowił zaufać. To Grens rozpoczął decydującą fazę operacji Przeżyć.

Teraz przyszła jego kolej.

NIECH TO SZLAG!

W sali na dole burdelu, przy barku, wisiał telewizor. Właśnie leciał w nim serwis informacyjny. El Mestizo popijał piwo i z początku z roztargnieniem śledził najnowsze wiadomości. Dopiero po dłuższej chwili zaczęło do niego docierać, co się naprawdę stało. Poczł, jak narasta w nim wściekłość i nienawiść. Jakiś rozgorączkowany dziennikarz relacjonował przebieg wydarzeń. W tle widać było zdjęcia, które telewizja pokazywała po raz pierwszy. Ostry jak brzytwa głos mówił o skreśleniu z listy śmierci człowieka używającego pseudonimu El Sueco. Amerykańscy politycy zwołali konferencję prasową, na której pokazali zdjęcia zwłok. Potwierdzili też oficjalnie, że grupa lekarzy medycyny sądowej potwierdziła obecność znaków szczególnych, które niewątpliwie pasowały do osoby uznanej w Bogocie za martwą. Osoba ta została prawdopodobnie uduszona pętlą.

El Mestizo zrozumiał, co zobaczył, i czuł już tylko nienawiść.

Kiedy serwis informacyjny dobiegł końca, wyszedł z baru. Rozsadzała go wściekłość, która z czasem przeszła w panikę. Dostał silnych zawrotów głowy, jakich nie miał nigdy wcześniej. Powłókł się na górę, gdzie znajdowały się pokoje z dużymi łózkami, na których kobiety sprzedawały swoje ciała.

Nagle poczuł się tak, jakby wszystko wokół niego zrobiło się przezroczyste, jakby poruszał się w świecie, który stracił barwy.

Ogniście czerwony dywan przy wejściu do pokoju. Poplamiony i nie tak miękki jak kiedyś, bo klienci rozlewali na niego drinki. Zielone jak mech rośliny pnące się po kratkach samonawadniających się doniczek. Granatowe niebo za oknem. Wszystko zrobiło się nagle tak przezroczyste, jakby w ogóle nie istniało.

Podobnie, jak przestała istnieć jego wiara we własne zasady, które zbudował na zaufaniu do drugiego człowieka. Tego, którego dopuścił blisko siebie.

Świat pozostał przezroczysty także wtedy, gdy z kabury wyrwał rewolwer i strzelił do pierwszej istoty, jaką spotkał na korytarzu. Potem dobił ją dodatkowym strzałem. Była to sekretarka, która pracowała dla niego od dwunastu lat. Teraz leżała na podłodze w kałuży pozbawionej koloru krwi.

El Mestizo po raz pierwszy znalazł się w przezroczystym świecie i było mu w nim tak lekko. Powietrze nie stawiało żadnego oporu. Odnosił wrażenie, że przenika przez klientów, którzy kulili się ze strachu przy ścianach, i przez młode kobiety, które pełzały na czworakach po podłodze, podczas gdy on strzelał na oślep z rewolweru.

Wszystko zrozumiał.

Ty albo ja. A ponieważ bardziej zależy mi na sobie niż na tobie, wybieram siebie.

El Mestizo krzyczał, przewrócił fotel i dwie lampy i kopniakiem otworzył drzwi do pokoju numer piętnaście. Choć mógłby to być każdy inny pokój. W środku zastał nagą kobietę leżącą na łóżku i mężczyznę, który ubierał się przed wyjściem. Kobieta patrzyła, jak El Mestizo skierował w jego stronę lufę rewolweru i strzelił mu dwa razy w pierś. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to zrobił, podobnie jak nie rozumiała, dlaczego ją opluł, uderzył otwartą dłonią w twarz, a potem rozchylił jej nogi.

Skąd mogła wiedzieć, że ten, który w nią wchodził – i nigdy wcześniej nie wykorzystywał zatrudnianych kobiet, bo tak postanowił na samym początku – przed chwilą dowiedział się z telewizji, że został zdradzony przez człowieka, który sfingował własną śmierć. I że miał wchodzić w nią tak długo, aż wszystko przestanie być przezroczyste.

WILSON WYŁĄCZYŁ MAŁY TELEWIZOR stojący na jego biurku. Każdy dzień bez informacji był prawdziwym piekłem. Od tamtej pory nie miał kontaktu.

Anulował więc inne plany, gdy Sundkvist, Mariana Hermansson i Lars Ågestam zapukali do drzwi jego pokoju, aby wspólnie zastanowić się nad organizacją akcji przejęcia ładunku kokainy, który wkrótce miał wpłynąć do Szwecji. To przecież w jakiś sposób wiązało się z Hoffmannem. Właśnie z tego powodu od kilku dni co godzinę włączał telewizor, żeby oglądać amerykańskie serwisy informacyjne. Przecież to też w jakiś sposób wiązało się z Hoffmannem. Teraz siedział w swoim gabinecie w wydziale śledczym komendy w Kronobergu i płakał.

Hoffmann zginął.

Tak przynajmniej podała w swoim ostatnim serwisie informacyjnym CNN. Stacja uznała to za najważniejszą informację dnia i zaprezentowała ją jako element walki z handlem narkotykami. Udało się usunąć z talii kolejną kartę. Siódemka Kier, zwana El Sueco, została zlikwidowana.

Wilson próbował wziąć się w garść, zrozumieć. Czy na pewno dobrze zrozumiał treść? Przed chwilą widział na ekranie kolumbijskie uprawy koki i wytwórnie kokainy, a na przebitkach bagażnik samochodu stojącego przed amerykańską ambasadą w Bogocie. Czy to naprawdę było ciało Hoffmanna?

Zwłoki leżały na prawym boku, twarzą w głąb bagażnika, plecami do kamer. Wyglądało to tak, jakby całą tę sytuację ktoś zaaranżował. Prawa ręka była wsunięta pod ciało jako podpórka, żeby zwłoki leżały dokładnie w tej pozycji. Potem kamera zatrzymała się na lewej dłoni, w której brakowało dwóch palców, a następnie przesunęła się na czaszkę i czarny kawałek materiału. Kiedy go usunięto, wyłonił się spod niego duży tatuaż przedstawiający jaszczurkę.

Wilson bardzo dobrze wiedział, kto go miał. Hoffmann.

KOBIETA STOJĄCA ZA BAREM BYŁA bezbarwna i naga do pasa, ale przestała być przezroczysta.

Podsunęła El Mestizo butelkę piwa. Napój był zimny tak jak lubił – nigdy powyżej pięciu stopni. El Mestizo rozejrzał się po sali. To jego lokal. Klienci, którzy tu przychodzili, pili alkohol, płacąc dwadzieścia razy więcej, niż był wart, żeby w zamian skorzystać z usług młodych kobiet w pokojach na piętrach. Nawet nie podejrzewali, że nic dla niego nie znaczą, a są tam tylko dlatego, że on pozwala im tam być. Tak jak pozwalał być temu, który go zdradził.

To co zobaczył w telewizji, wciąż nie dawało mu spokoju. Dziennikarz, który ujawnił, że z listy śmierci została skreślona kolejna osoba, wzbudził w nim nienawiść. El Mestizo zakręciło się od niej w głowie, znalazł się w transparentnym świecie, bo mimo poważnego tonu tych wiadomości, przekonujących sformułowań i tatuażu na głowie, od razu się domyślił, że Hoffmann nie zginął.

Dopiero teraz zrozumiał, po co mu było ciało zabitego żołnierza.

To nie był Peter boy, ale miał wyglądać dokładnie tak jak on.

Wkrótce potem jego „martwy” ochroniarz zadzwonił i wypowiedział do słuchawki jedno zdanie: „Johnny, domyślałem się, że chciałbyś ze mną porozmawiać”, po czym od razu się rozłączył.

Po tej rozmowie El Mestizo wrócił do baru i poprosił Rosalitę, żeby wyłączyła telewizor, w którym na okrągło szedł ten sam program. Zamknął oczy i zaczął myśleć.

Człowiek, którego obdarzył zaufaniem, przestał dla niego istnieć. Nie dlatego jednak, że zginął, jak podawały kolejne stacje telewizyjne, tylko dlatego, że... miał zginąć.

Dał znak Rosalicie, żeby podała mu kolejną butelkę piwa Aguila. Dziewczyna upewniła się, że napój jest wystarczająco zimny, i tak jak poprzednim razem popchnęła

butelkę w jego stronę po kontuarze. Zamierzała iść na drugi koniec baru, gdzie czekał klient, ale El Mestizo zatrzymał ją.

– Zostań na chwilę.

Dziewczyna odwróciła się do niego. El Mestizo miał taką minę, jakby próbował nad sobą zapanować. Popatrzył na nią i wypowiedział słowa, które dobiegały jakby z głębi jego duszy:

– Powinnaś nauczyć się jednej rzeczy.

– Jakiej?

– Nigdy nikomu nie ufaj.

– Jak to?

– Po prostu. Nigdy nikomu nie ufaj.

El Mestizo machnął ręką na znak, że dziewczyna może odejść.

Jasny, chłodny napój wcale nie poprawił mu humoru. Z niechęcią popijał go z butelki.

Nauczył się, żeby nigdy nikomu nie ufać. Była to jedyna zasada, jaką kierował się w życiu, zarówno prywatnym, jak i zawodowym. On i Peter sporo o tym rozmawiali, kiedy się okazało, że są tacy sami. Peter nawet ubrał w słowa to, o czym on tak często myślał: „Ufaj tylko sobie”. Obaj się z tego śmiali. Dwaj faceci, którzy nikomu za grosz nie ufali, więc jak mieli zaufać sobie?

– Rosalito... – El Mestizo machnął na dziewczynę, żeby do niego wróciła. Natychmiast.

– Następną butelkę? – Popatrzyła na butelkę, którą podała przed chwilą. Była na wpół pełna.

– Pamiętasz, co przed chwilą powiedziałem?

– Przed chwilą?

– Tak. Ufasz komukolwiek?

– Ja?

– Ufasz czy nie?

– Nie wiem, czy...

El Mestizo dał jej znak, że może odejść.

Myślami wrócił do dawnych czasów. To matka miała rację. To ona wpoila mu te zasady. Przypomniawszy sobie

samochód, w którym zasnął. Kobieta, która była jego matką i którą postanowił pokazać Hoffmannowi.

Teraz już wie, że nie powinien był tego robić. Nie powinien go tam zapraszać. Matka miała rację.

HOFFMANN PARĘ RAZY lekko zapukał w blat i odczekał, aż Rosalita zerknie w jego stronę. Kiedy to zrobiła, uśmiechnął się do niej. Dziewczyna odwzajemniła jego uśmiech, a potem skinęła głową w kierunku stolika właściciela, do którego przeniósł się El Mestizo z otwartą butelką piwa.

– To co zwykle? – spytała.

– Tak.

Rosalita obrzuciła go uważnym wzrokiem, żeby sprawdzić, co podać. Znała jego dwa ulubione napoje. Peter albo szykował się do wyjazdu z El Mestizo – i wtedy zamawiał kawę, żeby zachować czujność – albo po powrocie z terenu siadali przy stoliku, a wtedy zamawiali kolumbijski rum, żeby się zrelaksować. Jednak dzisiaj nie była pewna. Peter był ubrany inaczej niż zwykle. Poza tym sprawiał wrażenie lekko podenerwowanego. Wyglądał tak, jakby się do czegoś szykował. Kiedy więc rozważyła oba te czynniki – nowy ubiór i zachowanie – postanowiła przynieść do stolika i rum, i kawę. Hoffmann podziękował jej skinieniem głowy, bo dziewczyna dobrze się domyśliła, czego mu trzeba.

– Johnny...

El Mestizo popatrzył na niego w milczeniu. Na stoliku przed nim leżał rewolwer. Kiedy Hoffmann podchodził, El Mestizo wziął broń do ręki, zważył ją, pokręcił załadowanym bębenkiem i odłożył ją na blat w taki sposób, żeby lufa skierowana była w Hoffmanna.

– Jeśli chodzi o moją śmierć...

El Mestizo wciąż milczał.

– Rozumiem, że chciałbyś o niej porozmawiać...

El Mestizo nadal się nie odzywał.

– Nie miałem innego wyjścia.

El Mestizo przyglądał mu się w milczeniu.

– Mam prosty wybór. Albo wrócę z Marią i chłopcami do domu... wspominałem ci, jak bardzo tęskni za krajem... albo mnie zostawi i wróci tam beze mnie.

Brak reakcji. Chłodne milczenie.

– Nikt nie chciałby stracić kogoś bliskiego, prawda Johnny?

Hoffmann wziął do jednej ręki szklanekę z rumem, do drugiej filiżankę z kawą. Z żadnej z nich się jeszcze nie napił.

Wszystko ma swoje granice.

Trzeba wiedzieć, jak się wzdłuż nich zręcznie poruszać. Nigdy nie wolno ich przekroczyć. Może właśnie to zrobił? Na przykład przychodząc tutaj?

Niestety, nie miał innego wyjścia. Musiał zneutralizować El Mestizo, ale nie tego dorosłego, tylko El Mestizo dzieciaka, który czuł się zdradzony, przez co stał się niebezpieczny. El Mestizo zrozumiał, że jego ochroniarz wkrótce go opuści, a poczucie bliskości, w które tak rzadko inwestował, właśnie się wyczerpało. Kiedy więc do niego dotarło, że zwłoki żołnierza, którego udusił własnymi rękami, zaciskając mu pętlę na szyi, zostały uznane za ciało Petera Haraldssona, to gdyby nie rozmowa telefoniczna z Hoffmannem i jego krótkie wyjaśnienie, natychmiast wysłałby swoich ludzi, żeby zlikwidowali go wraz z całą jego rodziną. Hoffmann postanowił zaryzykować. Wrócić do El Mestizo, odbyć z nim rozstrzygającą rozmowę i przekonać go, że nadal stoi po jego stronie, a jeśli ktoś ich znowu zaatakuje, razem będą się bronić. Może dzięki temu uda mu się kupić kilka dodatkowych dni, które są mu potrzebne na przygotowanie ucieczki.

– Rozumiem, że jesteś rozczarowany. Któregoś dnia stąd wyjadę, wrócę do Europy. Ale nie, póki jest ta pieprzona lista śmierci. Muszę być pewien, że i ty uratujesz życie. Do tego momentu, przyjacielu, jestem do twojej dyspozycji.

Hoffmann zastanawiał się, czy naprawdę przyszedł tu jedynie po to, żeby skłamać i zyskać w ten sposób na czasie.

Czy nie było innych powodów? Może chciał zobaczyć, jak na twarzy El Mestizo pojawia się ból? Na twarzy człowieka, który bez potrzeby pozbawia życia aniołki, za co ktoś inny powinien odebrać życie jemu? A może Piet Hoffmann został także dlatego, bo nie chciał odpuścić? Bo najważniejsza dla niego była świadomość, że on, który oficjalnie był martwy, przeżyje, a ten, który siedział w milczeniu naprzeciwko niego i oficjalnie żył, wkrótce zginie?

Manipulacja. Zemsta.

Jedno i drugie wywołuje czasem ten sam rodzaj oszołomienia.

Kiedy jakiś czas później wychodził z burdelu, jego kawa i rum zostały nietknięte na stoliku. Już nie będzie musiał zachowywać jasnego umysłu przed zaplanowaną robotą, którą miał wykonać razem z El Mestizo. Nie będzie też musiał siadać przy jego stoliku, żeby się później odprężyć.

EL MESTIZO POPROSIŁ Rosalitę o jeszcze jedną, tym razem ostatnią, butelkę chłodnego piwa. Kiedy wróciła, zaprosił ją do stolika.

– Ja? Przy stoliku właściciela?

– Siadaj.

Dziewczyna z widocznym wahaniem usiadła na samym końcu kanapy.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem?

– O czym?

– Zanim wypilem siedem piw.

– Nie. A właściwie tak. To znaczy...

– Nigdy nikomu nie ufaj. Nigdy.

Dziewczyna wciąż nie rozumiała. Po co ją tu zaprosił? Przecież to jego prywatny stół. Tyle lat pracowała dla El Mestizo, a jeszcze nigdy nie widziała go tak roztrzęsionego. Zanita powiedziała jej, jak prawdopodobnie zabił swoją sekretarkę, a potem zgwałcił Shoshanę. Wiedziała, co robił poza burdelem, ale nigdy wcześniej nie robił takich rzeczy tutaj. Powinna się więc bać, ale nie czuła strachu, tylko

niesmak i siłę jego nieobliczalnej natury. Była jednak pewna, że jej nie skrzywdzi i zły humor w końcu mu przejdzie.

– Bo jeśli komuś zaufasz, w końcu cię opuści. Zdradzi.

El Mestizo chwycił ją mocno za rękę.

– A jeśli ktoś znika, to traci zaufanie.

Uniósł dłoń Rosality i zaczął nią pocierać swój policzek.

– Jeśli ten, któremu zufałaś, był blisko ciebie, a potem nagle jest tak daleko, że tracisz go z oczu, któregoś dnia zaczniesz sypać, zdradzi cię, obnaży twoje tajemnice.

El Mestizo wciąż pocierał swój policzek o miękką dłoń Rosality. Dziewczyna czuła, jak jej dłoń robi się ciepła, a jego policzek zaczerwieniony.

– Jak ktoś zaczyna rozpowiadać o sprawach, o których nie powinien mówić, musi umrzeć. Rozumiesz?

Po tych słowach wstał gwałtownie od stolika, ucałował Rosalitę w palce obu dłoni i wyszedł. Zamierzał odwiedzić kobietę, która miała rację, gdy mu wpajała, że nikomu nie powinien ufać. Zamierzał się też spotkać z kimś, kto dostanie od niego zlecenie. Będzie musiał zabić człowieka, który go zdradził.

EL MESTIZO ZAPARKOWAŁ przed trapem prowadzącym na pokład statku M/S *Maria Angelina*, który pływał pod panamską banderą. Za każdym razem, gdy chodziło o przerzut towaru, współpracował z tanimi banderami. Oznaczało to mniejsze koszty i mniejsze ryzyko kontroli. Wysiadł z samochodu, przeciągnął się i wziął głęboki oddech. W porcie Buenaventura powietrze pachniało morzem. Trap prowadzący na statek był dość stromy, więc instynktownie się pochylił, żeby nie stracić równowagi. Ruszył i po kilku krokach znalazł się na pokładzie.

Statek był zniszczony i tak zardzewiała, że wymagał odmalowania. Był też głęboko zanurzony, bo na pokładzie miał ciężki ładunek. Stały na nim pomarańczowe, czerwone, białe albo zielone kontenery, prostokątne i blaszane. Było

ich tak wiele, że ich waga znacznie przekroczyła dopuszczalną ładowność. Statek przewoził towary do następnego portu, gdzie je rozładowywano, aby zrobić miejsce tym, które miały trafić do innego portu.

Na pokładzie łatwiej było oddychać.

Tak, matka miała rację. Nie miał co do tego wątpliwości.

Jego ojciec, którego spotkał dwa razy w życiu, też się nie mylił. Mój synu, powiedział, gdy widzieli się ostatni raz, nie wiesz, czym jest przyjaźń. Zrozumiesz to dopiero w więzieniu albo w szpitalu. Wtedy się też dowiesz, czym jest miłość. Dopiero później zrozumiał, co ojciec miał na myśli. Mijały lata, a jemu wciąż ubywało przyjaciół. Wykorzystywali go albo okradali z jego własności. A potem nie chcieli oddać.

Skinął głową dwóm młodym marynarzom, którzy stali przy relingu. Palili camele bez filtra i głośno się przy tym śmiali. Ubrani byli w ciężkie buty, krótkie spodnie, białe T-shirty pokryte plamami potu i czegoś nieokreślonego. El Mestizo nigdy tu nie przyjeżdżał, bo nie musiał nadzorować dostawy alkoholu. Butelki liczył dopiero w burdelu. Za to towar przeznaczony dla matki odbierał osobiście, a potem zawoził go do Medellín. Tego dnia miał dodatkowy powód, żeby tu przyjechać. Był nim ten, który go zdradził i dlatego musiał zginąć.

Przypomniawszy sobie, jak go wprowadził do branży. Przez cały dzień i wieczór włóczyli się z Peterem po Cali, z jednej dzielnicy do drugiej. Wszystkim, którzy z nim współpracowali, pokazywał, że „nowy ze Szwecji” awansował i trzeba go zaakceptować, przyjmując we własne szeregi, bo stał się jednym z nich. Wszyscy, których odwiedził, przyjęli to do wiadomości: „Popatrzcie, to mój człowiek, nie wolno wam go ruszyć”.

Na pokład wyszedł barczysty, ubrany na niebiesko starszy mężczyzna. El Mestizo poklepał go po ramieniu.

– Gdzie znajdę głównego mechanika?

Mężczyzna wskazał mu palcem drzwi, których wcześniej nie zauważył. El Mestizo otworzył je i wszedł do

nieposprzątaney klitki, w której według tabliczki na drzwiach mieściło się biuro głównego mechanika. Mężczyzna siedział przy biurku, które było takie jak i kajuta: niewielkie i zarzucone różnymi przedmiotami. Na widok El Mestizo zerwał się z krzesła i nie witając się z nim, otworzył lodówkę stojącą w rogu. Wyjął z niej trzy małe kartony i włożył je do przenośnej lodówki El Mestizo. Potem z zamrażarki wyjął cztery duże kawałki lodu i obłożył nimi kartony. Na końcu uśmiechnął się i wyciągnął rękę po kopertę z dolarami.

EL MESTIZO Z PRZENOŚNĄ lodówką w ręce zszedł po trapie na nabrzeże i nagle wrócił do rzeczywistości, którą kilka minut wcześniej zostawił za sobą. Obserwował, jak ogromny dźwig opuszcza swoje długie ramię z kontenerem wyładowanym karmą dla kur. Kontener zawisł przez chwilę nad jego głową. Od strony burty dobiegały dźwięki monotonnych uderzeń – to trzech robotnicy zawieszeni na windzie odbijali młotkami i dłutami rdzę pokrywającą burtę. El Mestizo wsiadł do samochodu, włączył kabel lodówki do gniazdka zapalniczki i ruszył.

W LOBBY PRZY WEJŚCIU DO Clínica Medellín panował taki sam spokój jak zawsze, kiedy tam przychodził. Tym razem wstąpił jeszcze do niewielkiej kwiaciarni, wskazał sprzedawczyni wybrany bukiet kwiatów, a jadąc windą do pokoju na osiemnastym piętrze, odwinął go z papieru.

Na korytarzu znowu uderzył go w nozdrza nieprzyjemny zapach choroby i śmierci. Jej śmierci.

Szybko policzył, że łóżek z pacjentami jest więcej niż podczas poprzedniej wizyty. Teraz stały w podwójnym rzędzie także na korytarzu. Za to kobieta zajmująca pokój numer osiemnaście leżała w nim sama. Oczywiście miała zamknięte i jak zwykle była nieprzytomna, dzięki czemu rysy jej twarzy emanowały czymś w rodzaju spokoju.

Zmarszczki nie były już tak ostre, a usta nie wyglądały tak, jakby za chwilę chciały kogoś ugryźć.

El Mestizo pocałował ją w czoło i szeroko otworzył okno, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. Potem przesunął krzesło z nóg łóżka, żeby być bliżej jej rąk.

Do pokoju weszła lekarka, której płacił drugą pensję za opiekę nad jedną pacjentką. Na jego widok cofnęła się zaskoczona.

– Już pan tu jest?

– Wiem, że matka czuje się gorzej, więc przywiozłem leki.

– Leków wystarczy nam jeszcze na dwa tygodnie. Wciąż mamy te, które nam pan zostawił poprzednim razem, tak jak mówiłam przez telefon. Pana matka czuje się gorzej z innych powodów.

– Jakich?

– Z powodu komplikacji. Nikt nie umiera z powodu AIDS, tylko z powodu komplikacji. Grzybica, ciężkie przeziębienie. Pana matka walczy teraz z zapaleniem płuc.

El Mestizo popatrzył na kobietę leżącą na łóżku. Oddychała z takim spokojem jak nigdy przedtem. Poczul, że jemu też się ten spokój udziela. Podał lekarce lodówkę z lekarstwem, którego zapas miał wystarczyć na kolejny miesiąc.

– Chciałbym побыć z nią jeszcze przez chwilę sam.

Lekarka skinęła głową. Nie zamierzała się sprzeciwić. To jego matka i jego pieniądze.

El Mestizo wziął matkę za rękę i popatrzył na jej wychudzoną twarz, która powoli zaczęła się zmieniać. Kobieta uśmiechała się. Chyba czuła jego obecność i tylko to się liczyło. El Mestizo gładził ją po grzbiecie dłoni i policzku.

Do lewej ręki miała podłączoną rurkę, która prowadziła do plastikowej torby. Powoli sączył się z niej do żył lek. Mimo to widać było, że kobieta cierpi. El Mestizo wręcz czuł, że tak jest. Pochylił się w stronę stojaka, dotknął palcem jednego z przycisków i kilka razy go nacisnął. W ten sposób zwiększył dopływ morfiny do żył.

Ta, która przekazała mu całą swoją wiedzę o zaufaniu, powinna umrzeć bezboleśnie. To ona go tego zaufania pozbawiła i wpoila mu jedną rzecz: żeby nigdy, ale to nigdy nikomu nie ufał.

Miałaś rację, mamó, pomyślał. Jeśli się otworzę i zbyt szybko odpuszczę, stracę kontrolę, a wtedy ktoś mi ją odbierze i ucieknie do Europy.

JESZCZE RAZ POCAŁOWAŁ JĄ w czoło, wyszedł z pokoju i szybkim krokiem opuścił szpital. Wiedział, że to jego ostatnia wizyta. Czasem się po prostu wie, że wkrótce będzie po wszystkim.

Dwadzieścia minut jechał samochodem z kliniki do innej dzielnicy, na plac w pobliżu La Galería. Jak zwykle panował tam ruch i gwar. Ludzie kręcili się pośród stosów owoców, ryb i mięsa. Na samym końcu targowiska stały skrzynie z rybami i stopionym lodem. El Mestizo skierował się do dobrze znanego mu miejsca, gdzie na drewnianych ławkach siedzieli ci, którzy z nadzieją czekali na zlecenie. Uświadomił sobie, że dawne kolory wróciły. Znowu wszystko widział, słyszał i czuł. Świat wokół wrócił do poprzedniego stanu. To była długa podróż, ale to, co do niedawna było przezroczyste, odzyskało barwy. W końcu dotarł na plac. Chłopcy zareagowali jak zawsze; wstali z ławek, podeszli do niego i wyciągnęli się, żeby wyglądać na wyższych i bardziej dorosłych. Wszyscy z wyjątkiem tego, któremu chciał dać zlecenie.

Chłopak miał na imię Camilo i przez ostatnie lata dostał od niego sporo zleceń, w tym także swoją pierwszą robotę. Camilo siedział na ławce i miał taką minę, jakby obecność El Mestizo w ogóle go nie zainteresowała. El Mestizo zatrzymał się, odpędził od siebie tych, którzy do niego podeszli, i przywołał tego, który wciąż siedział na ławce.

– Hej, ty tam!

Dwunastolatek pomachał mu na powitanie.

– Ja?

– Tak. Podejdź do mnie.

Chłopak ruszył wolnym krokiem śledzony wzrokiem zawiedzionych kolegów.

– Mam dla ciebie nową robotę.

El Mestizo spodziewał się, że na twarzy chłopaka pojawi się ten sam uśmiech co zawsze, ale tym razem było inaczej. Camilo spuścił wzrok, chociaż zawsze patrzył mu w oczy.

– Nie wiem, czy słyszałeś, co powiedziałem... mam dla ciebie zlecenie. – El Mestizo wciąż nie rozumiał. Chłopak jeszcze nie tak dawno był dumny, że nazywają go *sicario*. Gotów byłby zabić, żeby tylko móc zabijać. Tymczasem dzisiaj wydawał się zmieszany.

– Na razie nie przyjmuję żadnych zleceń, señor.

– Zapłacę ci dwieście dolarów.

– Nie mogę. Dałem komuś słowo.

– No to co tu robisz?

– Chciałem tu pobyc. Jak zawsze.

– To znaczy, że najlepszy *sicario*, jaki pracował dla El Mestizo, już nie jest najlepszy? A może powinienem podwyższyć stawkę?

– Później, señor. Później znowu wrócę do pracy.

– Czteryście dolarów.

– Czteryście?

– Tak, bo to bardzo ważne zlecenie. To po pierwsze. Po drugie, za pozostałych trzech członków jego rodziny też dostaniesz po czteryście dolarów. Za żonę i dwóch chłopaków... obaj są młodszy od ciebie. Razem zarobisz tysiąc sześćset dolarów za jedno zlecenie.

– Tysiąc sześćset dolarów?

– Osiemset teraz, reszta po wykonaniu zlecenia.

El Mestizo wyciągnął do Camilo dwie zaciśnięte pięści, a potem po kolei je otworzył, pokazując to, co było w nich ukryte. Chłopak wpatrywał się w dwa banknoty pięciusetdolarowe i sześć banknotów studolarowych. Osiemset dla mamy, osiemset do puszek. Rzadko pytał, kogo zlecenia dotyczą, ale tym razem postanowił to zrobić.

– Kto to jest?

– Mój przyjaciel. Były przyjaciel. Zanim mnie zdradził.

– Ten, co się nazywa El Sueco?

– Tak. A do tego jego żona i synowie. W tej kolejności.

Camilo poczuł, jak świat zawirował mu przed oczami.

Niedawno El Sueco zapłacił mu, żeby przestał zabijać.

Teraz ktoś inny zaoferował mu znacznie więcej, żeby zastrzelił tego, który mu zapłacił, żeby zrobił sobie przerwę w zabijaniu.

– Ten, co z panem tu przychodzi? Ochroniarz?

– Już nim nie jest.

Niepewne skinienie głową. Pierwszy kontakt wzrokowy.

– Zgoda.

Najpierw poprosił o pieniądze z lewej ręki. To ważne.

Potem odebrał bilet na autobus odjeżdżający za dwie godziny do Cali, kartkę z adresem i pistolet marki Zamorana. Na końcu osiem pocisków – po dwa na każdą z osób.

– Dom, do którego wejdiesz, będzie pusty i zaciemniony. Taki jest od kilku dni. Wszystkie meble i całe wyposażenie wciąż są na miejscu. Oznacza to, że wkrótce tam wrócą, bo zamierzają wyjechać i część tych rzeczy będą chcieli ze sobą zabrać. Dlatego sprawa jest pilna. Kiedy się zjawią, będziesz tam na nich czekał i po kolei ich załatwisz.

Camilo nadal miał nieszczęśliwą minę. W końcu jednak wziął od El Mestizo pistolet owinięty w kawałek materiału, odwrócił się i odszedł. Przecież był zawodowym zabójcą. El Mestizo odczekał, aż chłopak zniknie mu z oczu, po czym podszedł do grupy pozostałych chłopców, którzy wciąż z nadzieją czekali na zlecenie. Tym razem nie szukał zawodowca, tylko debiutanta. Zrobił to, co zawsze, gdy dawał komuś pierwsze zlecenie. Z pytaniami poczekał do momentu, gdy otoczyła go cała grupa.

– Czy każdy z was ma już na koncie jakieś zlecenia?

Chłopcy odpowiedzieli jak zawsze chórem.

– Tak.

Wszyscy z wyjątkiem jednego, który stał z tyłu. Nie podniósł ręki i nie zawołał: „pięć zleceń”, „dwanaście zleceń” ani „dwadzieścia dwa zlecenia”.

– A ty?

– Jestem tu nowy. Jeszcze nie dostałem żadnego zlecenia.

– No to ja ci je dam. Twoje pierwsze. Od razu. – El Mestizo wyjął dwa banknoty studolarowe, z torby wyciągnął broń z tłumikiem i dwa naboje, a do tego niewielką fotografię. – To on. Twoje pierwsze zlecenie.

Chłopak, którego wiek El Mestizo ocenił na dziesięć do dwunastu lat, popatrzył na zdjęcie.

– On?

– Tak.

– Ale ja go przecież znam.

– Czasem tak bywa. Kiedy ktoś staje się prawdziwym *sicario*, bierze zlecenie i zabija tego, kogo ono dotyczy.

Chłopiec patrzył na zdjęcie zmieszany, odwracał je na różne strony, ale za każdym razem widział na nim tę samą twarz.

– Sam nie wiem... Camilo?

– Tak. To twoje zlecenie. Chyba jesteś prawdziwym *sicario*?

Zdjęcie, twarz, dwieście dolarów, pistolet. *Sicario*.

– Tak, jestem.

El Mestizo podał mu banknot studolarowy i broń owiniętą w kawałek materiału.

– Jak masz na imię?

– Donzel.

– Ładnie. Za dwie godziny Camilo odjedzie autobusem do Cali. Ty też tam pojedziesz. Ale nie autobusem, tylko ze mną, samochodem. Kiedy dojedziemy na miejsce, wysiądziesz kawałek przed zaciemnionym domem. Ukryjesz się tak, żeby widzieć dom, ale musisz się pilnować, żeby nie zauważył cię Camilo, gdy się tam zjawi. Poczekaś, aż wejdzie do środka. Usłyszysz strzały i Camilo wyjdzie na ulicę. Sam. Nie wiem, ile to potrwa... Po prostu czekaj, aż wyjdzie... a jak go zobaczysz, wykonasz zlecenie. Jeden strzał w głowę, drugi w brzuch. Czasem trzeba robić takie rzeczy, zacierać ślady.

El Mestizo powoli oddychał.

Nic już nie było przezroczyście.

Wszystko nabrało barw.

Jeśli nie chcesz mnie więcej widzieć, ja nie chcę widzieć
ciebie.

W SZOPIE MOCNO ŚMIERDZIAŁO dziegciem i resztkami ryb. Zapach wzmagają stojące na podłodze metalowe wiadra używane do przewożenia odpadów rybnych i sieci wiszące na dwóch hakach wbitych w ścianę.

Znajdowali się w ciasnej rybackiej szopie na zamieszkaney przez niewielu mieszkańców wyspie Granholmen, jednej z licznych wysp położonych w południowej części sztokholmskiego archipelagu. Szopa stała na skale, z której schodziło się wprost na pomost. Sven Sundkvist rozprostował nogi. Siedział w tej niewygodnej pozycji od prawie trzech godzin. W ręce trzymał snajperską lunetę termowizyjną, ale na razie w zatoce nic się nie działo. Czarna woda, wiatr wiejący z prędkością dwóch metrów na sekundę.

– Pana kolej. Na razie jest spokój.

Sundkvist podał lunetę mężczyźnie, który znajdował się po jego lewej ręce. Prokurator Lars Ågestam siedział na drewnianym krześle i kołysał się to w przód, to w tył. Odebrał lunetę od Sundkvista i zaczął przez nią obserwować pogrążoną w ciemnościach okolicę. Po prawej ręce Sundkvista siedział generał brygady, z którym Sven nigdy wcześniej nie miał do czynienia. Ten wysoki rangą oficer dowodził specjalną grupą operacyjną wchodzącą w skład szwedzkich sił zbrojnych, która wkraczała do akcji, gdy do szwedzkich wód terytorialnych zbliżała się obca łódź podwodna podejrzewana o zamiar naruszenia granic. Generał miał własną lunetę, przez którą też obserwował zatokę i okolicę.

Na początku policja i wojsko uznały, że chodzi o większą łódź podwodną, dysponującą mocą i technologią, które pozwalają przemieszczać się pod wodą od Ameryki Południowej aż do Europy. Hiszpańska i portugalska flota wojenna coraz częściej natrafiały na takie łodzie w pobliżu Kadyksu, Faro i Gibraltaru. Budowano je z lekkiego materiału, poza tym były tańsze i bezpieczniejsze od

tradycyjnych jednostek używanych do przemytu. Kiedy więc w swoim drugim mailu Grens opisał trasę jednostki i wspomniał, że w odległości dziesięciu mil morskich od Aberdeen rzucił kotwicę statek z Wenezueli, który miał na pokładzie małą łódź podwodną, w przygotowaniach dokonano szeregu poprawek, Sven mógł więc już po przybyciu na wyspę odetchnąć z ulgą, bo generał i jego ludzie wiedzieli, co mają zrobić.

Według informacji uzyskanych od Grensa, załadowana kokainą łódź podwodna zanurzyła się na wysokości szkockiego wybrzeża na głębokość trzydziestu pięciu, czterdziestu metrów. Popłynęła Morzem Północnym w kierunku Göteborga, tam wzięła kurs na cieśninę Öresund, która oddziela Szwecję od Danii, opłynęła najdalej na południe wysunięty cypel Szwecji i wpłynęła na Bałtyk. Następnie skierowała się między sztokholmskie szkiery i wyspę Södermöja, a stamtąd na położoną obok wysepkę Granholmen. W pobliżu pomostu głębokość wody wynosi siedemdziesiąt dziewięć metrów, więc ktoś musiał uznać, że łatwo będzie tam przeładować towar na czekające motorówki, które miały go potem dostarczyć w okolice Sztokholmu.

– Teraz pan.

Prokurator Ågestam upuścił lunetę, ale Sven zdążył ją złapać. Sven Sundkvist rzadko się złościł, bo u boku Grensa przyzwyczał się panować nad sobą, ale tym razem naprawdę był poirytowany. Wciąż nie rozumiał, dlaczego Ågestam, wobec którego Grens odczuwał tak dużą niechęć i który jeszcze przed dwoma tygodniami kazał go zamknąć w areszcie, siedzi razem z nim w rybackiej szopie na wyspie i dlaczego to on stanie później w świetle ramp, będzie brylował w mediach i zostanie pupilem opinii publicznej. Jego zdaniem prokurator w ogóle na to nie zasługiwał. Wskazówki, które przekazał mu Grens, miały naprawdę niezwykłą wagę. Chodziło o konfiskatę dużej partii towaru na podstawie informacji, które komisarz zdobył na własną

rękę. Dlatego to on i jego współpracownicy zasługiwali na słowa uznania, nie Ågestam.

– *Frigg* do bazy. Obiekt w ruchu.

Informacja, którą generał odebrał przez krótkofalówkę, przecięła ciszę panującą w szopie. *Frigg* – tak nazywała się jedna z korwet cumujących na wysokości maryny w miejscowości Sollenkroka. Prowadziła obserwację kanału Kanholmsfjärden i dwóch niezidentyfikowanych niewielkich łodzi przeładunkowych, które od pół godziny unosiły się spokojnie na wodzie.

– Obiekt w ruchu. Płynie do wiadomego celu.

W tym momencie obie łodzie przystąpiły do realizacji następnego etapu – ruszyły w kierunku Granholmen. Generał przytknął mikrofon krótkofalówki do ust, żeby wszyscy dobrze go usłyszeli, zrozumieli i przygotowali się do akcji.

– Wywołanie ogólne: pełna gotowość bojowa.

Po tych słowach odwrócił się do Sundkvista i prokuratora, żeby wyjaśnić, co się zaraz stanie.

– Kiedy oba obiekty dotrą na miejsce spotkania, łódź podwodna zacznie opróżniać zbiorniki balastowe, żeby się wynurzyć i zająć pozycję do wyładunku. My uderzymy po tym, jak łódź podwodna w całości opróżni zbiorniki.

Ågestam się uśmiechnął. Głos miał ochrypły, jak zawsze, gdy silne emocje brały w nim górę, bez względu na to, w jakim nastroju się akurat znajdował, czy był zły, oburzony, przestraszony albo jak teraz pełen nadziei i oczekiwań.

– Szwedzki rekord konfiskaty narkotyków! Nie tylko szwedzki, ale i skandynawski! Rzadko można wziąć udział w takiej akcji.

– Prawdopodobnie ma pan rację, panie prokuratorze. Ale wszystko wciąż przed nami. Jest pewien haczyk. Jeśli łódź podwodna nas zauważy i spróbuje się znowu zanurzyć, a ja dojdę do wniosku, że może wyrządzić krzywdę mojej załodze albo zniszczyć nasz sprzęt, wydam rozkaz, żeby ją zatopiono przy pomocy pocisków.

– Powinniśmy tego za wszelką cenę uniknąć. Musimy skonfiskować towar i aresztować ludzi odpowiedzialnych za dostawę.

– Woli pan, żebym zamiast tego zastrzelił załogę? I to już podczas przeładunku?

Ågestam zamilkł, jakby chciał się zastanowić nad słowami generała.

– Bo tylko w ten sposób mogę zagwarantować, że nie uciekną nam pod wodę.

Widać było, że Ågestam jest rozczarowany. Wprawdzie wykazywał dużą gorliwość i oczekiwał na splendor, jaki już wkrótce miał na niego spłynąć, ale z drugiej strony nie zamierzał naginać rzeczywistości, żeby ten cel osiągnąć.

– Rozumiem, że podziela pan moje zdanie – powiedział generał, widząc jego minę. Potem położył mu rękę na ramieniu, jakby chciał zdjąć z niego brzemię rozczarowania.

– Mogę pana uspokoić. Jest mało prawdopodobne, żeby ci przemytnicy nam się wymknęli. Moi ludzie znajdują się na swojej robocie. Spodziewam się, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Potem generał pochylił się w stronę prokuratora i chociaż szopa była mała i trudno było coś powiedzieć, żeby pozostałe osoby tego nie usłyszały, szepnął:

– Tak między nami... kiedy media podnoszą alarm, że na nasze wody terytorialne wpłynęły jakieś tajemnicze łodzie podwodne, zazwyczaj chodzi o takie łodzie jak ta. Premier i minister obrony zwołują wspólną konferencję prasową, pokazują jakieś niewyraźne zdjęcia i wygłaszają oświadczenie: „...potwierdzamy, że niewielka łódź podwodna naruszyła szwedzkie wody terytorialne”. Potem, gdy pożyteczni idioci sobie to zanotują, dodają: „Na podstawie analizy zdjęć nie udało się ustalić, z jakiego państwa pochodziła łódź. Wszystkie informacje związane z okolicznościami tego zdarzenia zostały utajnione”. Rozumie pan to? To nie ma nic wspólnego z Rosjanami, tu nie chodzi o akcje szpiegowskie, chociaż właśnie taki przekaz dociera do nas między wierszami. Chodzi tylko

o pokazanie, że rząd energicznie działa, bo dzięki temu społeczeństwo zgodzi się na podwyższenie wydatków na obronność. Tymczasem za każdym razem chodzi o dostawy narkotyków i o zyski, jakie te dostawy generują.

Jeszcze raz wziął lunetę, podszedł do okna i rozejrzał się po pogrążonej w ciemnościach zatoce. W odległości około pięćdziesięciu metrów od pomostu woda była lekko zmarszczona. Takie zmarszczki tworzą się wtedy, gdy wodę przecina dziób łodzi albo statku.

Generał domyślił się, że to oczekiwana łódź podwodna płynąca tuż pod powierzchnią wody. Załoga czekała na łodzie, na które miał być przeładowany towar. Generał wziął do ręki krótkofalówkę.

– Przygotować się do abordażu.

Sven przesunął lunetę z wody na ląd, gdzie znajdowały się trzy grupy wchodzące w skład jednostki specjalnej. Każda z nich liczyła po czterech ludzi. Żołnierze opuścili swoje kryjówki na zalesionej plaży i pobiegli w kierunku pomostu. Kiedy dotarli na miejsce, spuścili na wodę trzy świetnie zamaskowane, czarne wojskowe łodzie motorowe. Generał znowu oddał lunetę Ågestamowi.

– Musi pan to zobaczyć. Moi ludzie są gotowi.

Prokurator obserwował, jak do każdej łodzi wchodzi po czterech żołnierzy. Czekali, aż łódź podwodna wynurzy się na powierzchnię. Dopiero wtedy mieli przystąpić do akcji.

Ågestam nakierował lunetę na wodę w punkcie, który odpowiadał współrzędnym podanym przez Grensa: szerokość geograficzna: 59.372905, długość: 18.876421. Właśnie tam miała się wynurzyć łódź i tam łodzie przeładunkowe miały czekać na towar, kolumbijską kokainę w plastikowych workach, żeby przewieźć ją do Sztokholmu. Wszędzie panowała cisza i spokój.

W końcu rozległ się szum, na który wszyscy czekali i który stale przybierał na sile.

Do wyspy podpłynęły dwie łodzie, które po chwili się zatrzymały. Przenikliwy dźwięk ustał, a zamiast niego zatokę rozświetlił silny blask reflektorów emitowany z obu

łodzi. Strumienie światła skrzyżowały się w miejscu, w którym z wody wynurzała się wieża łodzi podwodnej. Chwilę później otworzył się właz.

– Ogłaszam rozpoczęcie akcji... – Głos generała się zmienił; był znacznie bardziej zdecydowany. – ...teraz!

Wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie.

Od pomostu w kierunku miejsca oświetlonego reflektorami ruszyły z dużą prędkością trzy wojskowe łodzie, które skierowały się w stronę tych czekających na załadunek. Dwie spośród trzech atakujących jednostek wojskowych płynęły wprost na łodzie przeładunkowe. Znajdujący się w nich żołnierze siedzieli na swoich miejscach przypięci pasami bezpieczeństwa. Uderzyły w nie, a ich uzbrojone, ale i zaskoczone atakiem załogi zostały z dużą siłą odrzucone na podłogi i burty. Żołnierze szybko wskoczyli na pokłady obu jednostek i przejęli nad nimi pełną kontrolę. Przemytnicy zostali unieszkodliwieni bez oddania jednego strzału.

W tym samym czasie trzecia jednostka wojskowa płynęła w kierunku łodzi podwodnej. Zdążyła przepłynąć mniej więcej połowę odległości, gdy otwarty luk pokładowy został nagle zasypany gradem pocisków wystrzelonych z karabinu maszynowego. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale pocisków było pewnie kilkaset. Chwilę później równie nagle karabin ucichł. Sven próbował ustalić, skąd padł pojedynczy strzał, który usłyszał w czasie strzelaniny. Doszedł do wniosku, że pocisk został wystrzelony przez innego rodzaju broń i nadleciał z innego kierunku niż seria z karabinu maszynowego, a mianowicie z miejsca znajdującego się w lesie za nim.

Strzelec wyborowy. Pocisk trafił jednego z członków załogi U-Boota.

– *Ten seconds!*

Słowa te wypowiedział przenikliwym głosem siedzący na dziobie wojskowej łodzi żołnierz, który jako pierwszy przedostał się na U-Boot. Ten sam, który wsunął lufę w głąb otwartego luku.

– *You've got ten seconds to surrender!*

Z łądu nie było zbyt dobrze widać, co dzieje się na łodzi. Wprawdzie blask reflektorów nadal rozświetlał niespokojną powierzchnię wody, ale wojskowe łodzie zasłaniały widoczność.

– *Five seconds!*

Sven zmienił pozycję, żeby lepiej słyszeć.

– *Three, two, one...*

Nagle głos ucichł, a gdy Sven znowu się odwrócił, nie zobaczył już ani światła reflektorów, ani łodzi, tylko mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat, prawdopodobnie latynosa, który wyszedł po drabinie na pokład z uniesionymi rękami. Gdyby Sven stał bliżej, mógłby zobaczyć krew, która ściekała mu z uszu. Był to efekt fali uderzeniowej wywołanej wybuchem podwodnych min. Od takiego uderzenia od razu pękają bębunki.

Sven podał lunetę Ågestamowi i wydawało mu się, że na twarzy prokuratora pojawił się uśmiech. Ujrzał rozplamione policzki, jasną, równo ułożoną grzywkę, a nawet pojedyncze krople potu na czole. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział prokuratora w takim stanie, nawet gdy był pod silną presją. Ågestam też zerknął na Svena.

– Ma pan przygotowany protokół przejęcia? – spytał i nie czekając na odpowiedź, wypadł z szopy i pobiegł w kierunku pomostu i łodzi wojskowej, która dopływała do brzegu, ciągnąc na holu U-Bootu. Mężczyzna, który się poddał, został wyprowadzony w kajdankach na pomost. Widać było, że jest zmarznięty i zmęczony. Pewnie tak wygląda człowiek, którzy przez wiele dni przebywał pod wodą. Ågestam zamierzał przesłuchać go później, bo teraz szedł energicznym krokiem w kierunku łodzi, która podskakiwała na wodzie jak wieloryb leżący na grzbiecie. Odległość dzieląca pomost od łodzi nie była duża, więc Ågestam rozpędził się i skoczył. I spadł. Prokurator ubrany w błyszczące półbuty, poślizgnął się na mokrej powierzchni pokładu i wpadł do lodowatej wody. Sven, który akurat

dobiegał do pomostu, padł na brzuch, jedną ręką chwycił Ågestama za rękę, a drugą złapał się brzegu pomostu. Ågestam z trudem wciągnął się na deski. Woda strumieniami lała się z jego eleganckiego garnituru. Mimo to miał taką minę, jakby go to w ogóle nie zmartwiło. Podziękował Svenowi za pomoc, wstał i znowu skoczył. Tym razem udało mu się chwycić ręką za wieżyczkę i otwarty luk. Klęknął, żeby zajrzeć do wnętrza łodzi. Był tam niewielki, prymitywny, choć w pełni funkcjonalny mostek kapitański i ładownia, w której jego oczom ukazał się zadziwiający widok – czworokątne, zaklejone taśmą, plastikowe woreczki, wypełniające ładownię od podłogi aż po sufit.

– Narkotyki w małych opakowaniach. Zgadza się. To był dobry cynk. – Ågestam prawie krzyczał. Jego ochryply głos częściowo pochłaniały ściany. – Słyszysz mnie pan, Sven? Cała tona towaru! Tysiąc kilogramów! I ani jeden gram nie dotrze do ludzi, bo skonfiskuję cały ładunek. Kiedy protokół przejęcia będzie gotowy, niech pan ponumeruje i sfotografuje każdą paczkę!

Po tych słowach zszedł po drabince na dół i szybko zniknął Svenowi z oczu.

– Nie ma sprawy. Sfotografuję każdą paczkę. To był naprawdę dobry cynk. A za dwa dni dostaniemy kolejny, równie dobry. Będzie następna wielka konfiskata.

Ågestam zdążył już zniknąć Svenowi z oczu, ale po jego słowach znowu wszedł na drabinkę. Mokra głowa prokuratora wystawała ponad właz.

– Jak to?

– Jeśli pojedzie pan za dwa dni na Arlandę, dostanie pan informację o następnej dostawie. Więcej szczegółów przekażę później.

Sven nie zamierzał zdradzać ich na razie, bo Grens poinstruował go wcześniej, żeby nic więcej nie mówił. Posłuchał więc komisarza, chociaż zupełnie nie rozumiał jego poleceń. Zostawił Ågestama na pomoście, zszedł na

plażę i oddalił się na bezpieczną odległość, żeby prokurator go nie usłyszał. Musiał porozmawiać z kimś przez telefon.

Pięć sygnałów. Potem w słuchawce rozległ się głos naczelnika wydziału.

– Erik Wilson.

– Tu Sven.

– Słucham.

– Akcja, o które informowałem, przebiegła zgodnie z planem. To największa konfiskata w historii Szwecji. Nie powiedziałem panu tylko jednej drobnej rzeczy, że cynk dostaliśmy od znanego źródła.

– Znanego źródła?

– Tak. Pochodzi z wewnątrz. Od kogoś, kto na zlecenie amerykańskiej policji dostał się jako wtyka do samego jądra organizacji.

Wilson odchrząknął i zanim odpowiedział, kilka razy głęboko odetchnął, żeby zapanować nad głosem.

– Skąd o tym wiesz?

– Od Grensa. Kazał też powiedzieć, że Haraldsson nadal wykonuje świetną robotę.

Głos Wilsona nie był już tak opanowany i naczelnik nawet nie próbował tego ukryć.

– Powiedziałeś: „wykonuje”? Użyłeś czasu teraźniejszego?

– Tak.

Sven wprost czuł ciężar ciszy, jaka zapadła po jego słowach. Najpierw wypełnił ją wewnętrzny chaos, potem dezorientacja, a na końcu ulga. To co wydawało się nie do pomyślenia, nagle stało się możliwe.

– Grens prosił, żeby panu przekazać coś jeszcze, a mianowicie, że ten, kto nie żyje, może zmartwychwstać. Inni robili to już przed nim. I ludzie w to wierzą. Więc ma nadzieję, że pan naczelnik także uwierzy.

WPÓŁ DO CZWARTEJ NAD RANEM. O tej porze w Cali jest na ulicach najmniej ludzi. To dlatego Hoffmann czekał aż do tej pory. Po raz ostatni przejedzie przez miasto, które zawsze było dla niego jedynie przystankiem.

Siedział w kuchni przy stole z Zofią na kolanach. Była tak blisko.

Ostatni raz, ostatnia noc, ostatnie godziny.

Nie musiał już prosić o wybaczenie, bo Zofia postanowiła mu towarzyszyć. Poczekaj na niego we Frankfurcie, żeby zacząć nowe życie. Nigdy nie próbowała wzbudzać w nim wyrzutów sumienia ani nie domagała się wdzięczności. Zofia taka nie była. Udało im się razem i razem przeżyli.

– Do domu, Piet.

Chłopcy spali, więc bez pośpiechu spakowali trzy walizki, które teraz stały w przedpokoju. W każdej z nich była część dawnego życia. Zofia pocałowała go dwa razy w usta.

– Bez względu na to, gdzie ten dom jest.

Hoffmann nie odpowiedział.

– Piet?

Kolejne dwa pocałunki.

– Piet? Halo... jesteś?

– Dom?

– Tak.

– Jesteśmy w domu, bo jesteśmy razem.

Zofia mocno go objęła. On też chciał ją objąć, ale postanowił, że zrobi to dopiero wtedy, gdy ta noc się skończy i wyruszą w drogę.

– Poza tym za cholere nie mam pojęcia, gdzie wylądujemy. Na razie to tylko obietnica.

Zofia pogłaskała go po czole i policzku, przytuliła jego głowę do swojej piersi.

– Wierzę w nią, Piet. Gdy człowiek zrywa z dawnym życiem, gdy zrywa więzi rodzinne, kontakty towarzyskie... zostawia wszystko... to musi wierzyć. Ja postanowiłam

uwierzyć, że dostaniesz krótki wyrok. Wierzę też, że dom który porzuciliśmy, stoi tam, gdzie stał, tak jak powiedział Wilson. Kiedyś go porzuciliśmy. I że znowu może się stać naszym domem. Cała nasza czwórka musi uwierzyć.

Hoffmann poczuł, jak bardzo ją kocha. Dlatego czasem, kiedy ją opuszczał, czuł fizyczny ból. Jakby Zofia weszła do jego ciała, a on musiał ją w sobie nosić.

– Piet?

– Tak?

Zofia objęła go za głowę, uniosła ją lekko do góry. Tym razem jej wzrok nie był oskarżający, tylko niespokojny.

– Co jeszcze planujesz?

– Chcę zabrać to, co zostało w domu. Te parę rzeczy, które chcemy zabrać. Spakuję je do ostatniej walizki.

– Chodziło mi o to, co jeszcze zamierzasz zrobić?

Zofia naprawdę dobrze go znała.

– Nic.

– Piet?

– Muszę załatwić po drodze pewną drobną sprawę.

– Co takiego?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– To mi nie wystarczy.

– Dopilnuję, żeby człowiek, który niszczy małe aniołki, nigdy więcej tego nie zrobił.

– Aniołki?

– Kochanie... więcej nie mogę i nie chcę ci powiedzieć... nie mam odwagi.

Hoffmann wstał z krzesła i zerknął na panel kontrolny i ekrany emitujące obraz z szesnastu kamer. Wszędzie panował spokój. Brak nieznanymi obiektów, żadnych podejrzanych ruchów.

– Nie podoba mi się, że chcesz nas teraz zostawić. Zwłaszcza nocą. Zostało nam niewiele czasu. Przecież nie musimy zabierać tych rzeczy z domu. To niepotrzebne ryzyko. Poza tym żaden anioł, bez względu na to, co przez to rozumiesz i co zamierzasz zrobić, nie jest wart więcej niż te dwa aniołki, za które już odpowiadasz.

Ostatni pocałunek, ostatnie dwa pocałunki...

Hoffmann zszedł na dół i zniknął w ciemnościach.

Na dworze było cieplej niż zwykle. Powietrze było wilgotne. Zanosiło się na deszcz.

Ich domu już nikt nie pilnował. Nikt nie stał przed wejściem ani nie siedział w samochodzie. Chociaż narażał Zofię i synów na niebezpieczeństwo, uznał, że dla kogoś, kto nie chce zostawić po sobie żadnego śladu, jest to najlepsze rozwiązanie.

Tak jak się spodziewał, ruch był niewielki. Ulicą jeździły pojedyncze samochody i motocykle, co pewien czas pojawiał się przechodzień. Jak zwykle zaparkował dwie przecznice dalej. Otworzył bagażnik i wyjął z niego pustą, brązową walizkę, która leżała tam od wizyty w Jamundí, gdzie pewien chemik usunął z niej niebezpieczny zapach.

To pierwsza sprawa, jaką chciał załatwić – odwiedzi ich mroczny, opuszczony dom. Spakuje resztę rzeczy, których nie chciał zostawić i które muszą się znaleźć w walizce, gdyby jakiś celnik chciał ją otworzyć i sprawdzić, co w niej jest.

JESZCZE KILKA MINUT piechotą i już nigdy nie zobaczy tak ciemnej nocy, jak tutaj. Słabe oświetlenie ulic i niewiele źródeł światła w porównaniu na przykład ze Sztokholmem, w którym kiedyś dorastał i żył. Jego dom też był pogrążony w ciemnościach.

Szedł powoli i przez cały czas uważnie się rozglądał. Na posesję wszedł przez parking – właściwie była to jedyna droga, ponieważ z tyłu znajdował się wysoki, brzydki, betonowy mur. Półtora metra dalej zatrzymał się, wyjął z kieszeni spodni latarkę wielkości długopisu i silnym promieniem światła w podczerwieni zaczął omiatać ziemię, szukając fluorescencyjnej nici. Długo nie mógł jej znaleźć, więc zaczął szukać na czworakach. W końcu ją zauważył. Była rozerwana, co oznaczało, że coś albo ktoś ją przerwał.

Pies? Kot? Bawiące się dziecko? A może wróg, którego nie powinno tu być?

Szybkim, a zarazem miękkim krokiem podszedł do drzwi wejściowych, ostrożnie wsunął klucz do zamka i nacisnął klamkę. Przez chwilę nasłuchiwał, ale ze środka nie dochodził żaden dźwięk z wyjątkiem szumu wentylatora w łazience i tykania budzika na komodzie w salonie. Oświetlił latarką następny punkt kontrolny między przedpokojem a kuchnią, gdzie przed wyjściem z domu rozpiął na wysokości kolan cienką nić. Ona też była przerwana i leżała na podłodze.

Ktoś był w jego domu, może wciąż w nim przebywał.

Hoffmann opadł na podłogę, wycofał się przez przedpokój i zdjął z wieszaka płaszcz przeciwdeszczowy, za którym w ścianie ukryty był niewielki sejf. Otworzył drzwiczki i zobaczył niewielki ekran pokazujący obraz z kamer na podczerwień. Jeden z czterech przycisków palił się na czerwono.

Pokój Rasmusa. Na piętrze.

Nacisnął przycisk, żeby wyświetlić na ekranie obraz z pokoju. Ekran był czarny z wyjątkiem miejsca w prawym dolnym rogu. Znajdowało się tam ludzkie ciało emitujące ciepło. To dlatego przycisk palił się na czerwono.

Wyglądało na to, że ktoś leży na podłodze, dlatego trudno było określić, czy to człowiek, czy zwierzę, duży czy mały.

Hoffmann stał nieruchomo. Odczekał trzy minuty i nabrał przekonania, że to jednak człowiek. Niewysoki. Intruz zaczął się w końcu poruszać. Wstał z podłogi i wyszedł z pokoju. Z kamery, która obejmowała zasięgiem przedpokój i schody prowadzące na dół, widać było, że czerwona postać schodzi na parter i kieruje się w jego stronę.

Hoffmann wyjął z kabury nóż, chwycił za drewniany trzonek i jeszcze raz zerknął na ekran. Czerwona postać trzymała coś w dłoni. Przedmiot rzucał lekki cień i tworzył na ekranie ciemniejszą plamę. W chwili gdy intruz zszedł ze schodów, Hoffmann zaatakował.

Zrobił dwa kroki do przodu, lewą ręką chwycił go za lewe ramię i z całej siły odwrócił go plecami do siebie. Potem przyłożył prawą dłoń do jego szyi, żeby poderżnąć mu gardło.

I nagle się zawahał.

Dopiero teraz do niego dotarło, że nie walczy z dorosłym człowiekiem. Jego przeciwnikowi brakowało siły, niewiele ważył i nie potrafił się bić. Hoffmann domyślił się tego, gdy wyczuł na jego gardle słabo wykształconą grdykę. Mało brakowało, a zabiłby dziecko.

– Rzuć broń!

Jeszcze mocniej przycisnął nóż do jego szyi.

– Rzuć broń, bo cię zabiję!

Pistolet z trzaskiem upadł na podłogę. Broń wypaliła, a pocisk wbił się w ścianę.

Hoffmann mocno trzymał intruza. Tak, to rzeczywiście było dziecko. Zapalił latarkę.

– To ty?

Dopiero teraz zobaczył, z kim ma do czynienia. I wciąż nie rozumiał.

– Skąd, do cholery... akurat ty?

Poczuł nagły przypływ złości. Gdyby nie zachował się rutynowo, jego synowie dowiedzieliby się wkrótce, że ich ojciec jest martwy. Co potem? Czy dzieciak, który przed nim stoi i trzęsie się ze strachu, poszedłby też do nich i... Ta wizja była tak przerażająca, że chwycił chłopaka za ramiona i zaczął nim potrząsać.

– To tak dotrzymujesz słowa? – Uderzył go w oba policzki tak mocno, że zostały na nich czerwone plamy.

– To El Mestizo dał ci na mnie zlecenie, tak?

Znowu zaczął potrząsać chłopakiem i kilka razy uderzył go w twarz.

– Odpowiadaj!

– Tak...

Hoffmann nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że chłopak się boi, a przynajmniej stracił pewność siebie.

– Co „tak”? Odpowiadaj na pytania. Wiesz, że zabić to dla mnie żaden problem. Tak jak dla ciebie.

– Tak. Złamałem umowę, bo dzięki temu mogłem zarobić więcej, niż gdybym jej dotrzymał. Tak, to on dał mi zlecenie.

– Ale nie udało ci się go wykonać...

Chłopak nie próbował się wyrwać ani walczyć, bo pistolet, którego mógłby użyć, leżał na podłodze. Hoffmann przycisnął chłopaka do podłogi i zaczął obszukiwać. W kieszeni spodni znalazł sztylet, na plecach pochwę z krótkim mieczem zwanym tanto. Dzieciaki sprowadzają je z Japonii. Sztylet i miecz odrzucił w drugi kąt pokoju.

– A ten, kto zawodzi i nie potrafi wykonać zlecenia od El Mestizo, naraża go na duże ryzyko.

Hoffmann sięgnął nogą po pistolet, przyciągnął go do siebie i opróżnił magazynek – zostało w nim siedem nabojów. Przed chwilą było ich osiem.

Chciał zabić całą jego rodzinę... Uniósł chłopaka, który mógł ważyć najwyżej pięćdziesiąt kilogramów, i rzucił nim o podłogę. Ten odwrócił się i spojrzał na niego. Hoffmann poczuł, jak złość powoli z niego spływa. Przecież to jeszcze dziecko. Zabija ludzi, ale to tylko dziecko.

– A ten, kto naraża El Mestizo na ryzyko, bardzo źle kończy.

Dzieciak po raz pierwszy się skulił, jakby chciał się osłonić. Nie wiedział, że wściekłość Hoffmanna już przeminęła.

– Zabije mnie pan?

– Ja nie. To nie ja ci zagrażam, Camilo. Nie wykonałeś zlecenia i jak wrócisz, zabije cię El Mestizo.

Hoffmann zbliżył się do chłopaka, który wyciągnął ręce w obronnym geście. Ale cios nie padł. Hoffmann chwycił go, podniósł i postawił na podłodze. Potem wyjął z kieszeni cienki plik banknotów dolarowych.

– Idź stąd prosto na dworzec autobusowy i nie wracaj do Medellín. Jedź, dokąd chcesz, tylko nie tam. Wsiądź do pierwszego lepszego autobusu jadącego do jakiegoś odległego miasta i siedź w nim przez całą drogę, do

ostatniego przystanku. Kiedy dojedziesz na miejsce, zostaniesz tam i podziękujesz Świętej Panience, że żyjesz.

DONZEL SIEDZIAŁ W PARKU na ławce i czekał. Długo to trwało, ale nie miał wyjścia. Dostał zlecenie. Pierwsze w życiu.

Przez cały czas obserwował tamten dom, tak jak mu kazał El Mestizo. Było tak, jak mu zapowiedział. Najpierw zjawił się tamten mężczyzna, wysoki i giętki. Głowę i kark miał owinięte jakimś materiałem. Było ciemno, ale on i tak wiedział, że to o nim mówił El Mestizo.

Potem rozległ się pojedynczy strzał. Wprawdzie słaby, bo do broni był pewnie przykręcony tłumik, ale na tyle wyraźny, że go usłyszał. W końcu z domu wyszedł Camilo. El Mestizo miał rację. Wszystko przebiegło tak, jak przewidział.

Camilo skierował się na przystanek autobusowy.

Donzel wstał z ławki i przeciągnął się, bo od długiego siedzenia zeszywniały mu plecy. Wyjął z kieszeni szmatę, rozwinął ją, wziął pistolet i ruszył za Camilo.

Już za chwilę zostanie prawdziwym *sicario*.

HOFFMANN DRŻAŁ, ALE TYLKO w środku i nie ze strachu ani nawet nie ze złości. Wsiadł do samochodu, stwierdził, że jest już dwadzieścia po czwartej, i zaczął się zastanawiać, skąd wzięło się uczucie, które go właśnie naszło. Nigdy wcześniej takiego nie zaznał. Czuł się tak, jakby wszystko się w nim posplatało, a potem próbowało wydobyć przez skórę na zewnątrz. Trzy lata ciągłej ucieczki, stale towarzysząca mu śmierć, rodzina, którą wciąż wystawiał na niebezpieczeństwo, a dzisiaj zostawił bez opieki w mieszkaniu, i chłopak, który zjawił się w jego domu, żeby zabić nie tylko jego, ale także tych, którzy są mu najdrożsi.

Powinien stąd odjechać. Natychmiast.

Nie podoba mi się, że chcesz nas teraz zostawić. Zwłaszcza nocą. Zostało nam niewiele czasu... To niepotrzebne ryzyko...

Uruchomił silnik, ale wewnętrzne drżenie nie ustawało. Jak ciemność, która go otaczała i chroniła.

W końcu się zdecydował.

Ruszył przez miasto, które już wkrótce zbudzi się do życia. Jeśli się dobrze postara i nie zwróci na siebie uwagi klientów burdelu, sprawę załatwi w piętnaście, najwyżej dwadzieścia minut.

ZAPARKOWAŁ NA MIEJSCU przeznaczonym dla czarnego mercedesa klasy G, który należał do El Mestizo. Otworzył bagażnik i oświetlił go latarką. W środku znajdowało się wszystko, czego potrzebował: obok walizki, która nie była już pusta, leżała torba z pilotem na baterie i cztery magnesy, a przy nich bomba skonstruowana przez Cesara. Właściwie był to zwykły alarm samochodowy umieszczony w skrzynce z czarną osłonką i metalową pokrywą wielkości tabliczki czekolady. Były w niej też cztery baterie dwunastowoltowe, paczka śrub i plastyczny materiał wybuchowy C-4.

Przez otwarte okna burdelu wydobywała się na ulicę muzyka. Wydawało mu się, że słyszy brzęk kieliszków, szklanek i butelek.

W drzwiach stanęli dwa mężczyźni w średnim wieku. Żywo gestykulując i głośno rozmawiając, wsiedli do najbliższej taksówki i odjechali. Hoffmann przystąpił do działania. Zajęło mu to w sumie minutę. Wziął bombę, podkradł się pod mercedesa, położył się na asfalcie i przekręcił kluczyk w przełączniku znajdującym się na środku pokrywy skrzynki, żeby włączyć dopływ prądu. Wsunął się pod pojazd i czterema magnesami przyczepił całe urządzenie tam, gdzie zamierzał je umieścić, to znaczy pod fotelem kierowcy. Ostatnie sprawy, o których El Mestizo pomyśli tuż przed śmiercią, ulecą razem z nim przez dach samochodu.

Kiedy mechanizm był już przymocowany, Hoffmann wysunął się spod samochodu, upewnił się, że nikt go nie widział, i szybko wrócił do swojego wozu. Opuścił boczną szybę, skierował pilot w stronę mercedesa i uruchomił mechanizm.

Za kilka godzin El Mestizo usiądzie za kierownicą swojego samochodu i włączy silnik. Wtedy zadziała czujnik wibracji. To dlatego Hoffmann zamówił go u Cesara. Tymczasem on będzie daleko stąd i w tym, co się zdarzy, nie weźmie udziału. Impuls zamiast trafić do klaksonu, który w normalnych okolicznościach powinien się włączyć i zaalarmować właściciela, trafi do zapalnika, który uruchomi bombę.

Tak to czasem bywa – jeśli ktoś niszczy aniołki, nie pozostawia wyboru.

LOTNISKA... GRENS NIEWIELE ICH w życiu widział, bo tak naprawdę wcale go nie interesowały. Sztokholm i komenda policji w Kronobergu w zupełności mu wystarczały – wypełniały mu dni, wieczory i noce. Po dwóch lotach do Waszyngtonu i z powrotem oraz sześciu wizytach na lotnisku El Dorado International w Bogocie jego opinia na ten temat nie zmieniała się ani o jotę. Świata potrzebował w takim samym stopniu co świat jego.

A jednak...

To co ujrzał tego ranka, zrekompensowało mu całą podróż, może nawet z tego powodu zatęskni kiedyś do tego południowoamerykańskiego kraju, którego nadal nie rozumiał.

Cała rodzina. Tata, mama i dwóch braci, starszy i młodszy. Wszyscy razem wracają do domu. Grens nigdy nie zapomni, że w tym uczestniczył.

– Cześć. Jestem Ewert. Wujek Ewert. – Mimo bolącej nogi Grens pochylił się jak tylko mógł najniżej i podał rękę jednemu z chłopców. – A ty masz na imię... Rasmus, prawda?

– Sebastian.

Grens mrugnął okiem i szepnął:

– Wiem, że naprawdę masz na imię Rasmus. To ładne imię. Kiedy ten samolot wyląduje w Sztokholmie, znowu będziesz nazywał się Rasmus.

Chłopiec zerknął niespokojnie w kierunku Hoffmanna. Ten skinął mu głową i też odpowiedział szeptem:

– Wujek Ewert o wszystkim wie.

Chłopiec odetchnął z ulgą.

– Tak. Właściwie nazywam się Rasmus.

Grens skinął mu głową. Teraz będą mieć wspólną tajemnicę. Potem odwrócił się do starszego chłopca.

– W takim razie ty masz na imię?

– Emil. William nigdy mi się nie podobał.

Komisarz pochylił się i szepnął mu do ucha:

– A ja nigdy nie lubiłem imienia Ewert... Ale cóż, nie da się tego zmienić, trzeba się przyzwyczaić.

Grens i Emil wymienili uśmiechy. Oni też będą mieć tajemnicę.

– A ja jestem Zofia. Naprawdę.

Nagle kobieta go objęła. Nie był na to przygotowany, nie był też do tego przyzwyczajony. Nic więc dziwnego, że nie odwzajemnił jej gestu.

– Dziękuję, panie komisarzu. Za wszystko.

– Nie ma za co. Jakkolwiek na to spojrzeć, to właśnie ja uczyniłem kiedyś wszystko, żeby odebrać pani mężowi życie.

Hoffmann nie przywitał się z Grensem, nie uściskał go. Ich wspólny czas zaczął się w chwili, gdy wylądowali na Arlandzie. Tam się pożegnają.

Z głośników bez przerwy płynęły komunikaty o lądujących i startujących samolotach. Pasażerowie wędrowali po terminalu i szykowali się do nowych wyzwań. Pięciosobowa grupka Szwedów skierowała się do punktu odprawy paszportowej. Każdy z nich miał swoją walizkę. Kobieta w okienku uśmiechnęła się na widok brązowej, staromodnej walizki Grensa z chropowatą powierzchnią i naklejką z wieżą Eiffla. Czerwono-żółte walizki chłopców były znacznie mniejsze i bardziej kolorowe. Obaj osobiście postawili je na wadze. Walizka Zofii miała zieloną wstążkę zawiązaną na rączce. Grens zauważył, że niektórzy pasażerowie zrobili podobnie, bo przecież po taśmociągach przemieszcza się wiele walizek, które są do siebie podobne. Walizka Hoffmanna wyglądała na całkiem nową. Była duża i brązowa, a skóra tak błyszcząca, że można w niej było się przejrzeć. Kobieta siedząca przy wadze zważyła walizki i nakleiła na nie małe karteczki. Potem spytała, czy każde z nich pakowało swoją walizkę samodzielnie, przypomniała, że nie wolno w nich przewozić materiałów wybuchowych, i poinformowała, że zanim walizki trafią do luków bagażowych, zostaną prześwietlone przez celników

i sprawdzone przez psy przeszkolone do wykrywania narkotyków.

Do odlotu pozostała godzina. Sześć godzin do Nowego Jorku, dwie na międzylądowanie, osiem godzin do Sztokholmu.

Piet i Zofia Hoffmann oddali walizki, a teraz trzymali się mocno za ręce i spokojnie oddychali. Kiedy po trzech okropnych latach ponownie staną na szwedzkiej ziemi, też będzie wczesny ranek.

CZĘŚĆ PIĄTA

ZA KAŻDYM RAZEM TUŻ PRZED lądowaniem Grens bał się tak samo. W takich chwilach ogarniał go wprost paraliżujący lęk. Powodem jego niepokoju była niemożność kontrolowania sytuacji i wywierania wpływu na okoliczności mogące pomóc mu przetrwać. Zastanawiał się, co się stanie, jeśli pilot siedzący za sterami straci nagle panowanie nad sobą albo jest pod wpływem środków pobudzających, albo nie ma zbyt dużej wprawy w pilotowaniu takich maszyn. Co się dzieje, gdy kilkaset osób, które na motocyklach jeżdżą w kaskach na głowie, w samochodzie zapinają pasy bezpieczeństwa, a wychodząc z domu dokładnie zamykają drzwi na klucz i najbardziej ze wszystkiego kochają życie, oddają to życie w ręce kogoś, kogo nie znają?

Zerknął za siebie. Rodzina Hoffmanna siedziała na miejscach oznaczonych literami A, B, C, D, po obu stronach przejścia. Widać było, że są trochę zmęczeni i niespokojni, ale za to szczęśliwi. Wcześniej zadbał o to, żeby podróż odbyli oddzielnie, to znaczy żeby między nim a rodziną było kilka rzędów foteli. Miał nadzieję, że dzięki temu nie opuszczą samolotu jednocześnie. Jeśli bowiem rozmowy, które zamierzał wkrótce odbyć, zakończą się niepowodzeniem, nikt nie poświęci Haraldssonom uwagi. Dlatego ustalili z Hoffmannem, że jeśli z jakiegoś powodu nie uda się wynegocjować skróconego wyroku więzienia, tak jak Grens mu to obiecał, Haraldsson pożegna się w spokoju z Zofią i synami, zabierze swoją nową błyszczącą walizkę i po prostu poleci dalej.

Kiedy koła uderzyły o pas i kadłubem wstrząsnęło uderzenie, Grens zamknął oczy i splótł dłonie. Powoli oddychał, czując, jak kadłub pochyla się to w lewo, to w prawo. W końcu, gdy samolot znieruchomiał, on otworzył powieki. Obiecał sobie, że był to ostatni lot w jego życiu.

Wszedł w rękaw łączący dziób samolotu z terminalem i skinął głową stojącym wzdłuż niego policjantom

i celnikom. Jeden z nich miał u boku psa szkolonego do wykrywania narkotyków. Zwierzę miało na pysku sztywny kaganiec i obwąchiwało każdą torbę i walizkę. Grens dowiedział się od przewodnika psa, że gdy ląduje samolot z Kolumbii, jest to rutynowa praktyka.

Przeszedł przez międzynarodowy terminal, salę z wypełnionymi bagażem taśmociągami, odprawę paszportową i podziemny tunel prowadzący na parking samochodowy. W końcu znalazł się na dworze i odetchnął świeżym powietrzem. Po pewnym czasie dotarł na miejsce, to znaczy do specjalnie na tę okazję zarezerwowanego pokoju na posterunku policji przy lotnisku. O Hoffmanna nie musiał się martwić, bo ten wiedział, dokąd ma pójść.

Prokurator Ågestam już na niego czekał. W ręce trzymał chusteczkę i co jakiś czas ocierał nią nos i głośno kaszłał. Na stole stała pusta filiżanka po herbacie. Jego jasna grzywka była zmierzwiona, zza brązowych oprawek okularów spoglądały poirytowane oczy. Ågestam zjawił się na czas, chociaż samolot był opóźniony o czterdzieści pięć minut. Obaj z Grensem szczerze się nie znosili. Ich wzajemna niechęć zrodziła się podczas śledztwa w sprawie śmierci pięcioletniej dziewczynki, zamordowanej na tle seksualnym. Żaden z nich nie próbował nawet udawać, że jest inaczej. Ågestam odczuwał prawdziwą satysfakcję, że udało mu się zrobić z Grensa alkoholika. Kiedy w końcu zobaczył, na kogo czekał, uznał ten czas za stracony. Jego mina nie poprawiła atmosfery, jaka zapanowała w pokoju.

– To ty?

– Ewert Grens we własnej osobie. Chyba się trochę przeziębilesz. Słyszałem, że kąpałeś się w ubraniu?

– Jak to się stało, że kazano mi tu na ciebie czekać?

Grens podszedł do niezbyt czystego ekspresu do kawy, napełnił dzbanek wodą i włożył filtr ze szwedzką kawą. W Kolumbii przyzwyczał się do innego sposobu parzenia. Teraz będzie musiał wrócić do starych szwedzkich metod. Duża porcja taniego napoju w plastikowym kubku to dobry początek.

– To w naszym wspólnym interesie. Także przez wzgląd na pewną dawną znajomość. Gracze giełdowi nazwaliby to win-win-win.

– Do jasnej cholery! Zadzwoił do mnie Sundkvist i powiedział, żebym tu przyjechał. Najwidoczniej mnie oszukał. Twierdził, że spotkam się z mózgiem operacji przejęcia największej w historii Szwecji partii narkotyków, którą przegapiłeś, bo byłeś... No właśnie, gdzie? Na urlopie? Widzę lekką opaleniznę. Sundkvist powiedział, że osobiście spotkam się z tym mózgiem i może dostanę cynk o kolejnej dostawie. Tak twierdził. Nic z tego nie rozumiem.

– Mózg? Pochlebiasz mi. Ale słusznie. – Grens usiadł przed znacznie od niego niższym i szczuplejszym prokuratorem i wypił trochę kawy z kubka. – Sprawa wygląda tak, za trzy dni dotrze kolejna dostawa. Mogę ci podać dokładną datę, godzinę i miejsce. Nie będzie aż tak wielka jak poprzednia, ale wystarczy, żeby i tę dostawę uznać za jedną z największych w historii Szwecji. Jeśli zechcę przekazać ci informacje na ten temat, będzie to kolejny wielki sukces Larsa Ågestama w krótkim czasie.

Prokurator, jak zawsze gdy był podenerwowany, bawił się grzywką.

– Skąd wiesz o dostawie?

– Intensywna praca wywiadowcza. Niezwykła umiejętność wyciągania wniosków. Zdolność do wnikliwej analizy.

Grens bardzo się starał, żeby pohamować uśmiech, ale nie potrafił. Był naprawdę w świetnym humorze.

– A mówiąc szczerze, cynk dostałem od najlepszego na świecie informatora. To on powiadomił nas o pierwszej dostawie. Tym razem też nam pomoże, jeśli zgodzisz się z nim współpracować. To ze względu na niego poprosiłem o to spotkanie.

Ågestam rzadko wydawał się zagubiony albo zmieszany. Grens widywał go zazwyczaj zarozumiałego, poirytowanego, nadętego i szczerze okazującego mu swoją

pogardę. Nigdy jednak Ågestam nie miał aż tak zakłopotanej miny.

– O co tu tak naprawdę chodzi?

– O to, że ten, kto już coś ma, chce dostać więcej.

– Więcej? Czego?

– Weźmy dla przykładu ciebie. Wiesz, jak to działa. Operacja, którą przeprowadziłeś, przyspieszy twoją karierę. Za drugim razem nie będzie trzeba nawet wskakiwać do wody.

Ågestam oparł się o krzesło, żeby nie widzieć uśmiešku Grensa. Głośno westchnął. Wstał od stołu i zaczął wokół niego chodzić. Wypił szklankę wody, przeciągnął się i znowu westchnął. W końcu usiadł.

– No dobrze. Czego ode mnie chcesz?

– Chcę czegoś w zamian.

– Czego?

– Posłuż się swoim wybitnym intelektem. Przyznaję, że jesteś nim obdarzony, ale nigdy nie potwierdzę tego poza tym pokojem. Wyciągnij wnioski i zastanów się, dlaczego zabójca, który wiele lat temu umknął szwedzkiemu wymiarowi sprawiedliwości, a proces, który mu wytoczyłeś, nie został zakończony, powinien dostać najwyżej rok odsiadki.

ÅGESTAM POTRZEBOWAŁ GODZINY, żeby zrozumieć, jak to się stało, że martwy człowiek zmartwychwstał w Ameryce Południowej, po czym rząd innego państwa znowu skazał go na śmierć. Żeby jej uniknąć, zaproponował, że uwolni najsłynniejszego zakładnika na świecie i zrobił to, co obiecał. Mimo to po raz drugi skazano go na śmierć, więc postanowił umrzeć.

– Nie.

– Nie?

Prokurator zrozumiał, że człowiek, o którym rozmawiają, znajduje się z rodziną na lotnisku Arlanda i czeka na wynik ich rozmowy.

– Będę działał zgodnie z prawem.

– Pomyśl, kolejna rekordowo wysoka konfiskata narkotyków. Jeśli będziesz przestrzegał prawa we właściwy sposób, proces zakończy się tak, jak chcemy.

– Zabijał na terytorium Szwecji. Jest winien śmierci przynajmniej jednego człowieka, a może nawet dwóch.

– Był zatrudniony przez nas, więc zrobił to jakby pośrednio na nasze zlecenie. Tak samo jak wtedy, gdy był zatrudniony przez inny rząd i zabijał w Kolumbii. Poza tym już posłaliśmy za kraty prawdziwych drani. Była minister sprawiedliwości siedzi na oddziale kobiecym w więzieniu Hinseberg, a były szef Centralnego Urzędu Śledczego na oddziale chronionym w Aspsås.

– Musi ponieść karę.

– Obaj wiemy, że potrzebujesz tych informacji, bo o konfiskacie tak dużych dostaw możesz tylko pomarzyć. Jeśli się postarasz, znajdziesz okoliczności łagodzące.

W POKOJU SOCJALNYM posterunku policji przy lotnisku Arlanda stał regał, a na nim gruby kodeks karny. Ågestam wyszedł, zostawiając Grensa samego, i po chwili wrócił

z książką pod pachą, mrużąc coś pod nosem. Usiadł przy stole, rozłożył kodeks i powiedział:

– Mógłbym na przykład... może to... napisać mniej więcej, że Hoffmann w dniu „x” w miesiącu „x” pozbawił życia strzałem z pistoletu... tu wstawię imię i nazwisko. Iksy sobie dopowiedz.

Obaj bardzo dobrze pamiętali okoliczności tamtego zdarzenia, zwłaszcza najmniejszy pistolet świata przemycony do więzienia w częściach. Potem Hoffmann złożył go w całość w swojej celi. Miał go użyć, gdyby został zdekonspirowany, gdyby polska mafia, której członków infiltrował za murami więzienia, domyśliła się, że pracuje dla szwedzkiej policji. I tak się rzeczywiście stało, został zdekonspirowany. Sytuacja stała się krytyczna. Hoffmann nie miał innego wyjścia, strzelił napastnikowi prosto w oko, bo tylko to gwarantowało stuprocentowy efekt. Kula ominęła twardą kość czaszki i utkwiała w mózgu.

– Poza tym... już czysto hipotetycznie... mógłbym jako prokurator stwierdzić, że ze względu na okoliczności było to nieumyślne zabójstwo.

Ågestam przerzucał strony kodeksu i przeglądał niekończące się paragrafy.

– Myślę, że nie będzie potrzeby wyjaśniać, na czym to nieumyślne zabójstwo miało polegać. Wystarczy, że prokurator stwierdzi, że do niego doszło. Potem mógłbym wyjaśnić sądowi, dlaczego tak uważam. W mowie wstępnej i na pewno w mowie końcowej. Mógłbym, czysto teoretycznie, stwierdzić, że Hoffmann znalazł się nagle twarzą w twarz z tłumem osadzonych, którzy chcieli go zlinczować, więc zabójstwo było niezaplanowane. Powiem, choć może to zabrzmieć tak, jakbym był jego obrońcą, a nie prokuratorem, że krótko przedtem wszedł w posiadanie broni, która znalazła się tam przypadkiem. Kiedy zaś ujrzał wspomniany tłum, tak właśnie powiem, bo słowo „motłoch” bardziej pasuje tu obrońcy, a nie prokuratorowi, zrozumiał, że musi wybrać: on albo oni.

Grens przypomniał sobie, że kiedyś już tak ze sobą współpracowali. Ågestam przyszedł wtedy do jego mieszkania. Siedzieli w kuchni i popijali whisky. Na stole leżały setki błędnie wydanych wyroków, które były konsekwencją nielegalnej, a tym samym utajnionej pracy Hoffmanna i setki innych policyjnych informatorów. Tamtego wieczoru atmosfera między nimi była niemal dobra. Obaj prawie ze sobą wytrzymali. Teraz też tak było.

– Idźmy dalej, Hoffmann znalazł się w sytuacji bez wyjścia, chociaż nie mogę tej tezy ani udowodnić, ani obalić. Chociaż rola prokuratora polega na obalaniu. Będę się więc domagał niższej kary. Powiem tylko tyle, że sytuacja była taka, jak ją opisałem, i że oskarżony nie miał zbyt wiele czasu, aby nad nią zapanować, i dlatego jako prokurator domagam się dla niego kary w wysokości... powiedzmy... trzech lat więzienia. Potem wystąpi obrońca, który w barwnych słowach opíše tłuszcę atakującą jego klienta, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności trzymał w ręce broń. Być może trudno z takiej broni kogoś zabić, ale mowa jest tu o nieumyślnym zabójstwie i nawet prokurator to stwierdzi. Na końcu obrońca podkreśli, że Hoffmann dobrowolnie wrócił do kraju i dlatego zdaniem obrony zasługuje na to, aby jeszcze bardziej obniżyć mu karę zaproponowaną przez prokuratora. W związku z tym obrona zgadza się na karę sześciu miesięcy pozbawienia wolności.

Grens miał ochotę rzucić mu się na szyję.

– Sześciu miesięcy?

Ågestam uniósł ręce, jakby chciał wykonać obronny gest. Aż tak bardzo mu się do Grensa nie spieszyło.

– Owszem. Przy odrobieniu szczęścia sąd skáže go na rok.

– Co oznacza, że na wolność wyjdzie po ośmiu miesiącach?

– Tak.

Prokurator opuścił ręce i dlatego nie zdążył się obronić, gdy potężnie zbudowany Grens pochylił się nad stołem

i mocno go objął. Był szybszy, niż Ågestam mógłby się po nim spodziewać.

– Zasłużyłeś na nagrodę! Dostaniesz te informacje, które ci obiecałem. Niech mnie diabli, jeśli jeszcze raz cię nie obejmę!

I znowu drobny prokurator znalazł się w niedźwiedzich objęciach potężnego komisarza, który uwolnił go dopiero wtedy, gdy zauważył, że Ågestam ma zaczerwienioną twarz i z trudem oddycha.

HOFFMANN I JEGO RODZINA siedzieli w jednej z niewielkich kawiarenek znajdujących się w oszklonym łączniku między terminalem międzynarodowym a terminalem czwartym. Na stoliku pośród bibulek po cynamonowych bułeczkach stały butelki z wodą mineralną i żółtawym sokiem. Kiedy po rozmowie z Ågestamem Grens wrócił do Hoffmanna, nie musiał nic mówić, bo ten od razu się domyślił, że wszystko poszło po jego myśli. Cała rodzina obejmowała się z radości. Grens poszedł do kiosku i długo przeglądał gazety, żeby im nie przeszkadzać. Chciał im dać czas, bo to były ich chwile.

Kiedy wrócił, zauważył, że Hoffmann płakał. Stał teraz z walizką samotny i opuszczony. Poszli razem na niewielki parking przed SkyCity, gdzie stało kilka samochodów, a jednym z nich był radiowóz, który przyjechał na zamówienie Grensa. Miał ich zawieźć do więzienia o zaostrzonym rygorze w Aspsås.

– W NORMALNYCH OKOLICZNOŚCIACH spędziłbyś tę noc w naszym areszcie w Kronobergu, ale pojedziesz do Aspsås, bo to stamtąd uciekłeś. Oscarsson, który był wtedy naczelnikiem więzienia, miał później trudny okres, bo to on odpowiadał za wszystko, co zrobiłeś, co przemyciłeś za mury i czym się posłużyłeś, żeby część zakładu wysadzić w powietrze. Oscarsson zadeklarował, że ma wolne miejsce

na oddziale chronionym... albo je przygotowuje. Kiedy usłyszał, że znowu będzie mógł zamknąć cię w celi, bez problemu, że tak powiem, dał się przekonać.

Od zakładu karnego dzieliło ich zaledwie dwadzieścia kilometrów, ale mieli wystarczająco dużo czasu, żeby porozmawiać o najważniejszych sprawach.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem o Göranssonie, byłym szefie Centralnego Urzędu Śledczego? On też tam siedzi.

– Pamiętam.

– Jak by ci to powiedzieć... powinieneś zachowywać się tam spokojnie. Byłoby rzeczą... hm... niestosowną, gdybyś próbował mścić się za kratami na tych, którzy ze mnie zrobili pożytecznego idiotę i kazali mi zlikwidować cię strzałem w głowę, a ciebie wykorzystywali do chwili, gdy stałeś się niebezpieczny, i wtedy pozostawili cię na lodzie. Oni i tak nie mogą stamtąd uciec.

– Nigdy by mi to nawet do głowy nie przyszło.

– No to świetnie. Takie rzeczy potrafią bardzo boleć.

– Bardzo. Zwłaszcza gdybym jeszcze powiedział: „Może teraz, nie tak jak wtedy, pamiętacie, kim jestem”. Jeśliby do czegoś takiego doszło. Ale oczywiście nie dojdzie.

– Oczywiście.

GRENS ZAPARKOWAŁ BLISKO siedmiometrowego muru. Razem z Hoffmannem podeszli do zakratowanych drzwi, przy których znajdował się przycisk dzwonka i kamera monitoringu. Mieli się tu spotkać ze strażnikami. Ci przejmą więźnia, który kiedyś stworzył realne zagrożenie dla innych strażników, zabił albo zranił innych osadzonych, a podczas odsiadki wyroku współpracował ze szwedzką policją, o czym dowiedzieli się dopiero teraz. Grens i Hoffmann mocno uścisnęli sobie ręce. Komisarz chciał już wracać, ale Hoffmann poprosił jednego ze strażników o zgodę na dodatkową chwilę rozmowy.

– Mam jeszcze pewną prośbę.

Grens uśmiechnął się, widocznie nie był zaskoczony. Zawsze jest jakaś „pewna prośba”.

– Chodzi o tę walizkę.

Hoffmann podał mu brązową, błyszczącą walizkę.

– Powinienem ją zostawić Zofii, bo tu nie będzie mi potrzebna, a nie chcę jej zostawiać w zakurzonej przechowalni, razem z manelami innych osadzonych. Źle bym się z tym czuł. Pomyślałem, że może pan ją zabierze i postawi w swoim pokoju na komendzie? Odbiorę ją za osiem miesięcy.

NASTĘPNEGO DNIA

BYŁ SPORO SPÓŹNIONY, ALE I TAK się cieszył.

Grens rzadko potrafił wysiedzieć w miejscu, bo mimo sześćdziesięciu trzech lat, które miał już na karku, stale coś pchało go naprzód, gmatwało mu życie i stawało na drodze. Za to gdy jechał do żony, aby świętować ich wspólną rocznicę, jego ciało stawało się miękkie i ciepłe, jakby nigdy więcej już nie miał ulec strachowi, złości i samotności, która coraz bardziej dawała mu się we znaki.

Prawie wcale nie spał, bo nie pozwalało mu na to owo łagodne uczucie, które go przepełniało. Chociaż bardzo się starał, nie mógł zasnąć także z innych powodów – wciąż jeszcze sobie nie poradził z różnicą czasu. Zamiast przestawić się na czas szwedzki, wciąż tkwił w kolumbijskiej strefie czasowej. Było to prawdopodobnie zbyt trudne dla kogoś takiego jak on, od dawna żyjącego rutynowo, żeby się w życiu nie pogubić.

Kiedy przedpołudniowa aukcja markowych alkoholi dobiegła końca, Grens wyszedł z budynku z reklamówką w ręce i ruszył przez Frihamnen. W całej dzielnicy panował taki sam spokój, jaki ogarnął jego. Nagle poczuł się samotny. To był chyba jeden z tych dni, kiedy ludzie nie zmiierzali w żadnym konkretnym kierunku. Obok niego, na miejscu dla pasażera, stała przenośna lodówka. Tym razem od razu włożył butelki do środka. Potem zapiął wokół niej pas bezpieczeństwa i dla pewności sprawdził, czy uchwyt dobrze trzyma. Kiedy samochód podskakiwał na nierównościach, przytrzymywał lodówkę ręką.

Pojechał zupełnie inną drogą, to znaczy ani nie przez Östermalm, ani nie przez centrum, jak dwa tygodnie wcześniej. Postanowił ominąć tereny portowe i ruszył przez nowy tunel nazywany Północnym Łącznikiem. Była to prosta droga i nie miała pasa dla taksówek.

Rano brał udział w obowiązkowej sesji z terapeutą, specjalistą od problemów alkoholowych i narkotykowych. Grens nalegał, żeby spotkanie zakończyło się przed

dziewiątą, bo miał ważniejsze sprawy na głowie. Sesja wykazała, że wprawdzie inspektor policji kryminalnej Ewert Grens ma mnóstwo złych cech, ale żadna z nich nie ma nic wspólnego z nadużywaniem alkoholu. Po trwającej kilka minut rozmowie terapeuta stwierdził to, czego ani kierowca taksówki, ani prokurator nie powinni z braku odpowiednich kompetencji oceniać – komisarz Ewert Grens należał do ludzi, którzy rzadko piją alkohol, a jeśli już, to się nim nie upijają. Jeżeli zaś chodzi o obie butelki drogiego wina, to przewoził je na bocznym siedzeniu.

Dupek.

Właśnie tak od początku określał prokuratora Ågestama. Dochodzenie w jego „alkoholowej sprawie” trwało rekordowo krótko, bo tylko dwie godziny. Ågestam nie znalazł ani jednego dowodu wskazującego na to, że to Grens spowodował wypadek i że był przy tym nietrzeźwy. Dochodzenie wstępne zostało wszczęte, ale zaraz potem z braku dowodów umorzone. Grens nie lubił wysyłać skarg do wyższych instancji, więc zaproponował Ågestamowi – w podziękowaniu za jego gotowość do współpracy wyrażoną podczas wczorajszej rozmowy – żeby wybrał między skargą a osobistymi przeprosinami. Duppek stanął w drzwiach jego pokoju obok zniszczonej sztruksowej kanapy i chwiejącego się stolika i przy dźwiękach przeboju Siw Malmkvist *Tunna skivor* wyciągnął do niego wilgotną i wiotką dłoń.

Grens minął Roslagstull, Norrtull, wjechał na drogę E4 i skierował się na północ.

Dwie butelki wina Moulin Touchais z 1982 roku kupił za cenę o wiele wyższą niż podczas poprzednich aukcji. Do końcowej rozgrywki przystąpiły tylko trzy osoby: on, niewysoki facet w garniturze i kobieta w czerwonym kapeluszu z szerokim rondem. Sprawdził pas bezpieczeństwa, szarpiąc nim kilka razy, a potem przesunął stojącą na podłodze wozu miskę z dwiema świeżymi żółtymi brzoskwiniami.

Wino i brzoskwinie, a do tego dumna kelnerka w pensjonacie w dolinie Loary, która pierwszego dnia, gdy

zaczęli używać tego samego nazwiska, namawiała ich na flambirowaną brzoskwinie. Długo im opowiadała o pewnym gatunku wina i o winnicy, w której od dziewiętnastego wieku po każdym butelkowaniu kilkaset skrzynek umieszczano w piwnicy. Sto lat później wybudowano kolejne piwnice i każdego roku składano w nich dziesięć tysięcy butelek z dojrzewającym winem. Trwało to do wybuchu drugiej wojny światowej. Piwnice zostały zamurowane, a butelki z winem – poukładane według roczników – leżały w nich nieruszone aż do lat siedemdziesiątych, kiedy to wejścia do piwnic ponownie wyburzono.

Grens obiecał sobie, że do końca życia będzie chodził na aukcje, kupował po dwie butelki i jeździł do Anni.

Przez pierwsze lata pili właśnie to wino. Zawsze w rocznicę tamtego dnia, w pewnej restauracji na Starówce albo w ich mieszkaniu na Sveavägen. Wprawdzie w domu opieki kieliszki nie były już tak eleganckie i bardziej przypominały szklanki, w których pije się sok, ale wino wciąż miało ten sam smak. Od kilku lat jeździł na jej grób na Północnym Cmentarzu i zawsze tak jak teraz włókł się ciężkim krokiem przez starszą część cmentarza z kamieniami nagrobnymi do części z nowymi kwaterami, gdzie stały zwykle drewniane krzyże. Jej grób znajdował się w kwaterze dziewiętnaście „B”, grób numer sześćset trzy.

Anni Grens.

Taki napis kazał wygrawerować na niewielkiej metalowej tabliczce.

Za rzędem wrzosów rosły znacznie wyższe rozchodniki z delikatnymi kwiatami, które wcale nie były aż tak ładne. Zasadził je tylko dlatego, że niektórzy nazywali je zieleń miłości. Zdjął konewkę ze stojaka, wypełnił ją do połowy wodą i zaczął podlewać rośliny. Uważał przy tym, żeby nawet kropla nie spadła na krzew róży rosnący przy krzyżu. Róża była dla niego czymś w rodzaju probierza alkoholowego. Nalewał wina do dwóch kieliszków, wypijał zawartość swojego, a to, co było w kieliszku Anni, wylewał

na krzew tak, aby krople wina spadły na kwiat, który natychmiast opadał i potrzebował dwóch godzin, żeby się wyprostować. Grens wiedział, że właśnie po tak długim czasie, gdy kwiat znowu zacznie dumnie sięgać do góry, zawartość alkoholu w jego krwi spadnie na tyle, że będzie mógł bez obaw zasiąść za kierownicą.

Podszedł do ławki stojącej przy asfaltowej alejce, przyciągnął ją do grobu i ustawił na trawie przed krzyżem. Kiedy na niej usiadł, ławka lekko się zachwiała pod jego ciężarem.

Spokój cmentarza. Od dawna się go bał, a jednocześnie nauczył się go lubić, znajdować w nim oparcie.

Otworzył obie butelki.

W tym roku przyszedł tu później niż zwykle, ale nigdy więcej do tego nie dopuści.

Czując w ustach pierwsze krople wina, przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy je piła, jak się śmiała, gdy brała go pod rękę, przyciągała do siebie, całowała go i szeptała, że nigdy się nie rozstaną.

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

CROUSE SAM NIE WIEDZIAŁ, DLACZEGO w drodze na spotkanie postanowił wybrać Pennsylvania Avenue i męczyć się przez godzinę w czarnych butach i grubym garniturze. Cierpiał, bo otarł sobie stopy, a gdy trochę mocniej uderzał obcasami o chodnik, bolały go biodra. Pół kroku przed nim szedł jego nowy ochroniarz, drugi szedł krok za nim. Nie znał ich imion, bo regularnie się zmieniali. Jeśli bowiem człowiek pozna kogoś bliżej, musi się zaangażować i pójść na jego pogrzeb. A przecież on nawet nie poszedł na pogrzeb Roberta, który zginął na jego oczach.

W końcu dotarł na miejsce.

Ogrodzenie, brama, trawnik, fontanna... ostatni fragment wyasfaltowanej alejki prowadzącej do głównego wejścia do Białego Domu.

Jego typowy dzień wyglądał następująco: przed południem praca w NGA, lunch w Izbie Reprezentantów. Tak było do tej pory. Tutaj ostatnio nie przychodził, chociaż mniej więcej raz na tydzień zapraszano go na spotkania i odprawy. Nie chciał już wiedzieć, kto został zabity i jak.

Na wolności był od czterech miesięcy. Chyba dlatego tu teraz przyszedł. Uznał, że nadszedł czas.

Skinął głową strażnikom z Secret Service, którzy otwierali drzwi w Białym Domu, i życzył im miłego dnia. Nie musiał okazywać dokumentu tożsamości ani identyfikatora. Wprawdzie był jednym z najpotężniejszych polityków w państwie, ale przed porwaniem niewiele osób z oficjalnych kręgów władzy miało okazję rozmawiać z nim twarzą w twarz. Po porwaniu wszystko się zmieniło i Timothy D. Crouse stał się celebrytą. Teraz już wszyscy go znali.

– Możecie zostać.

Crouse odczekał, aż strażnicy – którzy nie do końca byli pewni, czy to, co zrobią, jest zgodne z przepisami – odstąpią od niego i usiądą na stojących przed wejściem krzesłach.

Potem ruszył korytarzem, który kawałek dalej przeszedł w inny korytarz.

Po powrocie do kraju i po konferencji prasowej, którą oglądał cały świat, zaproponowano mu sesję z grupą specjalistów od leczenia traum. Odmówił, bo nie miał ochoty się przed nimi obnażać. Postanowił za to spotkać się z terapeutą, który pomagał nie tylko Lizie, ale także im, jej rodzicom, gdy opłakiwali jej śmierć. Wspomnienia zachowane w ciele. Właśnie tym się zajmowali. Powrót do wydarzeń, podczas których zginęło trzydziestu dziewięciu jego ludzi, byłby piekłem. Musiałby znów jechać ciężarówką do dżungli, siedzieć na pace z zawiązanymi oczami, nie wiedząc, dokąd i po co jedzie, wziąć udział w udawanej egzekucji, pozwolić się zamknąć w bambusowej klatce, poddać się torturom i zamienić się w ludzkie zwierzę, leżące w błocie w łachmanach. Terapeuta uznał, że będzie potrzebował roku albo dwóch, żeby tak jak dawniej radził sobie z uczuciami i wspomnieniami. Tymczasem rzeczywistość okazała się inna. To co powinno stanowić problem, znikło już po czterech miesiącach. Przestało mieć na niego wpływ, a on dobrze wiedział dlaczego. Bo jeśli ktoś stracił swoje jedyne dziecko, nie ma już nic, co można mu zabrać. Tamte gnojki myślały, że udało im się go złamać. Rzeczywiście, ale tylko wtedy i tam. Nigdy nie dotarli do jądra strachu, bo tego strachu już w nim nie było. Wyparował na długo przed tym.

Drzwi były zamknięte. Zapukał i nie czekając na wezwanie, wszedł.

Gabinet wyglądał tak samo jak w dniu, gdy przyszedł tu na spotkanie przed wyjazdem do Kolumbii.

Błękitna wykładzina, tapety w morskim kolorze, lustro w złotej ramie i żyrandol z długimi, lśniącoymi ramionami podtrzymującymi świece, których nigdy nie zapalano. Wiceprezydent Thompson siedziała przy dębowym biurku. Jasne włosy miała jak zwykle upięte w kok, okulary z czerwonymi oprawkami wisiały na szyi. Na poprzednim

spotkaniu nie było jednak osób, które usadowiły się ciasno na kanapie: szefa sztabu, szefa CIA i szefa FBI.

– Siadaj.

Niebieski fotel stał koło kominka. Może myślą, że nadal jest w złej kondycji, i dlatego zaproponowali mu to miejsce? Żeby poczuł się bezpieczniej?

Ostateczna Wojna z Narkotykami, lista śmierci, Kolumbia. Crouse nie tylko unikał spotkań, które odbywały się w tym gabinecie, ale także konsekwentnie odmawiał wywiadów z dziennikarzami, rozmów z członkami Izby Reprezentantów, a nawet z własnym rodzeństwem. Zachowywał się dokładnie tak samo jak po śmierci Liz. Nie bardzo rozumiał, dlaczego robił to wtedy, i nie rozumiał, dlaczego robił to teraz. Może zależało mu na tym, aby minęło dość czasu? Może należał do osób, które uczucia przekuwają w myśli i nigdy nie pozwalają im przenieść się z mózgu do serca? A może w ten właśnie sposób uczył się, jak przeżyć?

Na antycznym biurku leżał stos dokumentów. Na wierzchu zauważył wydruk przedstawiający trzynaście kart z talii. Przypominał okładkę książki, którą mieli za chwilę czytać na głos. Pod każdą kartą znajdowało się zdjęcie osoby i jej pseudonim.

Perry pochylił się i przysunął plik papierów do siebie. Najwidoczniej należały do niego.

– As Kier. – Odłożył wydruk przypominający okładkę książki i wziął do ręki następny dokument: czarno-białe zdjęcie przedstawiające martwego człowieka, który wisiał na sznurze.

Crouse chwycił dłonią za oparcie fotela, jakby nie był pewien, czy przychodząc na to spotkanie, postąpił słusznie.

– As Kier, Luis Alberto Torres – ciągnął Perry – pseudonim Jacob Mayo. Zlokalizowany w portowym mieście Buenaventura. Podobnie jak to było w przypadku wzięcia do niewoli Saddama Husajna, którego nazywaliśmy Asem Pik i który był na pierwszym miejscu listy śmierci podczas *Operation Iraqi Freedom*, przeprowadzone przez nas

badania opinii publicznej pokazały, że proces sądowy wytoczony dyktatorowi, a następnie jego egzekucja wywołały burzę informacyjną i przyczyniły się do wzmocnienia pozycji rządu wśród opinii publicznej.

Crouse patrzył na zdjęcie, które przykuło jego wzrok. Przedstawiało skazańca z czarnym kapturem na głowie. Zastanawiał się, czy to Torres nie chciał patrzeć w obiektyw aparatu fotograficznego, czy raczej chodziło o to, aby uchronić przed jego wizerunkiem świat zewnętrzny?

– W trakcie całego procesu więziono go w Camp Justice – powiedziała wiceprezydent. – Akurat ty, Tim, wiesz coś na ten temat. Świadkiem egzekucji był pracownik naszej ambasady w Bogocie, niejaki Jonathan Woods, który tak to opisał: „Naczelnny przywódca PRC doprowadzony pod szubienicę między dwoma rzędami osób skazanych na powieszenie. Wydawało mi się, że rozmawiał o czymś z dwoma zamaskowanymi katami”. I dalej: „Zawiązano mu wokół szyi miękką chustę, założono mu pętlę, zaciśnięto mu ją na szyi i otworzono zapadnię”. Woods kończy raport stwierdzeniem, że „...były przywódca PRC zginął na miejscu, słyszałem trzask łamanych kręgów szyjnych”.

Perry miał w prawej kieszeni marynarki czerwony mazak. Kiedy Thompson skończyła, wyjął go, postawił krzyżyk na Asie Kier i odłożył dokument na biurko. Kolejne zdjęcie przedstawiało gruzelkowaty stos czarnego węgla i ludzkie szczątki na pokrytym sadzą betonowym fundamencie spalonej budowli.

– Król Kier, Juan Mauricio Ramos, pseudonim El Médico. Wysłaliśmy mu w prezencie drona. Został odpalony z USS *Liberty* na Pacyfiku, z odległości ośmiu mil morskich od zachodniego wybrzeża Kolumbii. Cel: budynek w pobliżu Jamundí, na południe od Cali. Zginęła cała rodzina, jednocześnie.

Perry postawił krzyżyk na twarzy Króla Kier. Na następnym zdjęciu widać było potężną dziurę w ziemi.

– Dama Kier. Catalina Herrador Sierra, pseudonim Mona Lisa. Zlikwidowana przy wykorzystaniu hybrydowego

pocisku z pokładu USS *Dwight D. Eisenhower* na Morzu Karaibskim, dwadzieścia osiem mil morskich od północnego wybrzeża Kolumbii. Cel: posiadłość w La Cuchilla na zachód od Medellín. Atak na dwa cele. Jeszcze do tego wróć.

Twarz Damy Kier zabarwiła się na czerwono. Kolejna fotografia przedstawiała spalony samochód pokryty sadzą. Na fotelu kierowcy znajdowały się ludzkie szczątki. Uwagę Crouse'a zwróciła głowa ofiary. Była niewielka, skurczona, jak u noworodka... To efekt bardzo wysokiej temperatury, która wytwarza się podczas takich eksplozji.

– Walet Kier. Johnny Sánchez, pseudonim El Mestizo. Bomba eksplodowała rano, gdy wsiadł do wozu, uruchomił silnik i chciał odjechać swoim mercedesem spod burdelu, którego był właścicielem. Analiza techniczna wykazała, że to robota fachowca, alarm samochodowy połączony z ładunkiem wybuchowym, śrubami i elektrycznym zapalnikiem. Cynk dostaliśmy od byłej dyrektorki DEA, Sue Masterson. To ostatnia rzecz, jaką dla nas zrobiła. Podała nam godzinę i miejsce, w którym El Mestizo miał się znajdować. Najciekawsze jest to, że to nie my podłożyliśmy ładunek! Masterson twierdzi, że do eksplozji doszło na skutek wewnętrznych rozgrywek między członkami gangu.

Perry „uśmiercił” El Mestizo czerwonym krzyżykiem.

– Gwałtowna śmierć brutalnego człowieka – dodał.

Crouse przestał obejmować kurczowo oparcie fotela. Pochylił się do przodu, przyjrzał się skurczonej głowie, a potem fotografii osoby wpisanej w kartę do gry.

– Mógłbym to obejrzeć z bliska?

Perry podał mu zdjęcie przedstawiające spalony samochód.

– Nie to. To, na którym postawiłeś krzyżyk.

Twarz. Już kiedyś ją widział.

W czasie przekazu satelitarnego, gdy człowiek o tej twarzy dokonał egzekucji na czterech żołnierzach, a potem ich pogrzebał. I później, gdy wszedł do klatki, żeby go torturować.

– El Mestizo. Metys. Tak go nazywano?

– Tim, o co chodzi?

Crouse wstał z fotela. Nawet nie zauważył, że poczerwieniał na twarzy i szyi i cały drży. Tak, to on!

– Tim?

To na pewno on. Ten sam.

– Tim... dobrze się czujesz?

Torturował mnie i uśmiechał się do mnie.

– Tim?

– Możesz kontynuować.

Thompson wzięła go za rękę i mocno ją uściśniła.

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy... Cały drżysz, pocisz się, ciężko oddychasz...

Crouse strząsnął z siebie jej rękę, jakby chciał pokazać, że nie życzy sobie takiej poufałości.

– Idźmy dalej.

Przewodniczący Izby Reprezentantów był przez chwilę myślami gdzie indziej, ale ani Thompson, ani pozostała trójka nie wiedzieli gdzie. Czekali więc na odpowiedź, która jednak nie nadeszła.

– Tim?

Otarł kark i głowę białym rękawem koszuli i starał się wyrównać oddech. Potem, gdy drzenie ustało i trwało już tylko wewnątrz, wrócił na fotel.

– Jeśli sobie życzysz... kontynuujmy.

Perry sięgnął po kolejne dokumenty. Na drugi ogień poszły cztery kartki, które rozłożył na stoliku stojącym przed kanapą.

– Tyle zostało z Dziesiątki Kier, to drugi cel ataku z USS *Dwight D. Eisenhower*.

Pierwszy dokument przedstawiał krater po bombie przypominający czarną dziurę w ziemi.

– Podobnie jak w przypadku Damy Kier jesteśmy całkowicie pewni, że to ta osoba, mimo niewielu szczątków, jakie pozostały po wybuchu. Ustaliliśmy to na podstawie badań DNA. W najlepszym stanie zachowały się kości udowe. Jedną z nich widać na tym zdjęciu.

Drugie zdjęcie. Crouse od razu się domyślił, że przedstawia urządzenie do kruszenia kości stojące w laboratorium kryminalistycznym w Langley. Na trzecim zdjęciu widać było kawałek kości udowej rozbitej zwykłym młotkiem na drobne kawałki. Na czwartym wrzucano je do wirującej kruszarki wypełnionej płynnym azotem. Po dwudziestu minutach obróbki kości musiały zamienić się w proszek, z którego można pobrać próbki DNA.

– Czerwony krzyżyk na Dziesiątce Kier. Dostaliśmy królewskiego strita.

Perry uśmiechnął się i pozbierał zdjęcia, uważając, żeby ułożyć je w prawidłowej kolejności. Potem z pliku papierów wziął dwa inne, ale od razu je odłożył.

– Ósemka i Dziewiątka Kier. Niestety, zarówno wywiad zewnętrzny, jak i wewnętrzny w niczym nam nie pomogły.

Kolejne zdjęcie, kolejny opis. Perry szybko zerknął na oba dokumenty, jakby był czymś zaniepokojony i próbował to ukryć.

– Siódemka Kier.

Na biurku został tylko jeden dokument.

Nagie zwłoki ułożone na plecach na stole obdukcyjnym. Szara skóra z wyraźnie widocznymi siniakami tworzącymi wokół szyi coś w rodzaju wieńca.

– Dostarczono je do naszej ambasady w Bogocie. Leżały w bagażniku samochodu. Śmierć przez uduszenie linką albo sznurem.

Perry postawił kolejny czerwony krzyżyk na kartce i chciał sięgnąć po następny dokument, ale Crouse go powstrzymał.

– Co powiedziałaś? W bagażniku samochodu? Śmierć przez uduszenie?

– Tak.

– A po co byśmy mieli go dusić, a potem wkładać zwłoki do bagażnika?

– To nie my. Tego trupa nam przywieziono.

Crouse wyciągnął rękę, żeby wziąć kartkę od Perry'ego. Potem dość długo przyglądał się zwłokom leżącym na stole

obdukcijnym.

– W takim razie skąd wiemy, że to właściwa osoba?

– Wskazywały na to nasze dane. Wzrost, waga i budowa ciała, uszkodzenia szkieletu, znaki szczególne.

Crouse powinien oddać Perry’emu zdjęcie, żeby szef sztabu mógł kontynuować to, co zaczął, ale widok człowieka leżącego na stole obdukcijnym nie dawał mu spokoju. Szare, sztywne ciało pozbawione życia.

– DNA?

Crouse miał wrażenie, że jego rozmówcom zaczęło się nagle dokądś spieszyć.

– Nic.

– Odciski palców?

– Niestety, też nic.

Riley siedział do tej pory w milczeniu. W pewnej chwili wyciągnął rękę w stronę biurka, zrzucając przy tym dwie poduszki z kanapy na podłogę.

– Mamy największą bazę na świecie, ale poszukiwania nie dały ani jednego wyniku. Dziewięć milionów osób, lecz wyłącznie tych, które zostały uznane za podejrzane w śledztwach o popełnienie przestępstwa. Już dawno mówiłem, żeby umieścić w bazie wszystkie nazwiska.

– Opinia publiczna jeszcze do tego nie dojrzała. Nazywamy to uczciwością.

– Uczciwością, Perry? A skąd u bandytów uczciwość?

Szef sztabu nie odpowiedział, bo to nie było pytanie. Odwrócił się do Crouse’a i wskazał na zwłoki leżące na stole obdukcijnym.

– El Sueco. Pseudonim związany z jego pochodzeniem i wyglądem. To dość częste w Kolumbii. El Indio, El Mestizo, El Negro... straszni rasiści. Przyjeliśmy, że tak samo było w jego przypadku, i dlatego zażądaliśmy danych od policji w Europie Północnej, Australii, Nowej Zelandii, Kanadzie, Afryce Południowej i w paru innych miejscach. Niestety, bez rezultatów.

– Dania to dobry przykład, Perry. Tam przechowują krew każdego noworodka do testów na wykrywanie chorób.

Potem można użyć tych próbek w śledztwie w sprawie o popełnienie przestępstwa, żeby je porównać z krwią podejrzanych. Jeśli oni mogą, to dlaczego nie my?

To też nie było pytanie i dlatego szef FBI także tym razem nie otrzymał odpowiedzi, a szef sztabu dał mu wyraźnie do zrozumienia, że rozmawia z Crouse'em.

– W przypadku Siódemki Kier posłużyliśmy się informacjami pozyskanymi z zewnątrz. Nasi eksperci sądowi i lekarze medycyny sądowej oceniają, że z pojedynczych fragmentów złożonych w całość można utworzyć łańcuch poszlakowy, a dzięki niemu ustalić tożsamość.

Marc Eve, szef CIA, też się do tej pory nie odzywał, tak jak Riley. Przysłuchiwał się tylko rozmowie. W pewnym momencie pochylił się nad stolikiem, wziął cztery zdjęcia związane z Siódmką Kier i odłożył je na kupkę dokumentów, które zostały już omówione.

– Idźmy dalej.

Eve wyjął z ręki Perry'ego czerwony mazak i jeszcze raz przekreślił nim zdjęcie przedstawiające Siódmkę Kier. Cienka początkowo kreska zrobiła się znacznie grubsza.

– Perry?

Szef sztabu wciąż jeszcze jakby na coś czekał, dlatego nie od razu zareagował.

– Kontynuujmy, Perry.

Ale ten zrobił taką minę, jakby nagle zmienił zdanie. Fakt, że rozmówcom Crouse'a, który był na tym spotkaniu najważniejszy, zaczęło się nagle spieszyć, zrodził pytania. Spojrzał im po kolei w oczy i sięgnął po dokumenty, które szef CIA przed chwilą z taką niecierpliwością zebrał, po czym wziął do ręki czerwony mazak.

– Myślę, że ze względu na wszystkich obecnych powinniśmy uzupełnić informacje w naszym gronie.

– Martwy kryminalista bez obywatelstwa... Czy to nie wystarczy, Lauriel?

Thompson zrobiła dokładnie to co przed chwilą Perry; starała się spojrzeć wszystkim rozmówcom w oczy.

– Uważam, że Tim powinien dowiedzieć się wszystkiego, co wiemy.

– Co masz na myśli?

Crouse przestał się trząść, ale czerwone plamy na jego twarzy i szyi wciąż były widoczne.

– O czym ty mówisz? O czym wy wszyscy mówicie?

Podczas spotkania na podłodze koło lewej nogi Perry'ego stał duży, czarny segregator. Perry pochylił się, wyjął z niego kolejne dokumenty i rozłożył je przed sobą. Crouse, który siedział po drugiej stronie stolika, próbował odgadnąć, co zawierają, ale był za daleko, a tekst napisano zbyt drobną czcionką. Perry ściszył głos i zerknął na Crouse'a.

– Porozmawiamy o tej sprawie w tym pokoju i nigdzie indziej. Sposób, w jaki potraktowaliśmy Siódemkę Kier, był od początku trochę... błędny.

– Błędny?

– Okazało się, że ten człowiek był naszym informatorem.

– Informatorem?

– Jednym z tych, którzy pracowali dla Sue Masterson. To cywile po wyrokach. Nasze władze wpisały Siódemkę Kier na listę najbardziej poszukiwanych przestępców, aby ułatwić mu infiltrację i wzmocnić jego status w ugrupowaniu, do którego przeniknął. Pracował według tych samych metod co inni informatorzy, ale o wynikach swojej pracy informował wyłącznie główną kwaterę DEA. Kiedy więc my w odpowiedzi na twoje porwanie ogłosiliśmy Ostateczną Wojnę z Narkotykami, a listę najbardziej poszukiwanych przestępców przerobiliśmy na listę śmierci i poinformowaliśmy o niej cały świat, było za późno, żeby się wycofać.

Crouse wstał z fotela i zadrżał w taki sam sposób jak wtedy, gdy ujrzał zdjęcie człowieka, który torturował go w klatce. Nie do końca był pewien, czy właściwie zrozumiał sens wypowiedzi szefa sztabu. Podświadomie czuł, że za chwilę usłyszy o kolejnej osobie, która doznała cierpień, a on i tym razem nie będzie mógł nic zrobić.

– O jakim ugrupowaniu mówisz?

- Ugrupowaniu?
- Pytam, jakie ugrupowanie infiltrował!
- PRC.
- Wniknął w ich szeregi i pracował dla nas?
- Tak.

Crouse zaczął krążyć po pokoju między biurkiem a kominkiem.

– Chcesz powiedzieć, że zabiliśmy jednego z naszych ludzi?

– Nie zabiliśmy. Postanowiliśmy go zostawić na liście śmierci.

– Jeśli właściwie odczytałem zdjęcia, które mi przed chwilą pokazaliście, jest na nich prosektorium. Sądząc po tym, co mi przed chwilą powiedziałaś, ten człowiek nie żyje.

– Był na liście śmierci. My ją tylko sporządziliśmy.

Crouse nie krzyczał ani nie szeptał. Po prostu stał przy kominku obok pojemnika na brzoźowe drewno i czekał na cokolwiek, co w tym wymyślonym i nierzeczywistym świecie okaże się prawdziwe.

– Było za późno, żeby się wycofać. Ogłosiliśmy naszą krucjatę i nie mogliśmy sobie pozwolić na utratę poparcia społecznego. Gdyby się okazało, że lista zawiera choćby jeden błąd, stracilibyśmy poparcie dla całej operacji! Tim, chyba to rozumiesz? To nasz wspólny świat i tak funkcjonuje! Wszyscy, którzy tu jesteśmy, postanowiliśmy, że poświęcimy jedno życie, aby uratować ich znacznie więcej.

Nie wydarzyło się niestety nic takiego, o czym Crouse mógłby powiedzieć, że jest prawdziwe. Bo w prawdziwym świecie ludzie nie siedzą w klatkach i nie składa się ich w ofierze.

– Kim on jest?

– Nie wiemy.

– Jak to nie wiecie?

– To normalne w tym fachu. Wiemy tylko, że nie był Amerykaninem, w przeszłości miał kłopoty z prawem, dwa

i pół roku infiltrował partyzantkę PRC i zaopatrywał DEA w informacje.

– Jako kto?

Eve stracił w końcu cierpliwość.

– Przejdźmy do innych spraw.

– To znaczy, że pracował dla mnie? I z mojego powodu zginął? Coś ci powiem: jadłem tam z miski na brudnej ziemi i mam prawo wiedzieć!

Perry wstał z kanapy.

– Poczekajcie. Obaj.

Wyszedł na chwilę z pokoju. Wrócił po niecałej minucie.

– Masterson przygotowała dla nas streszczenie. To ona go kiedyś zwerbowała. – Trzymał w ręce segregator podobny do tego, który stał na podłodze, tyle że cieńszy. – Proszę.

Crouse czytał na stojąco. Słowa stawały się zdaniem, na ich podstawie kształtował się obraz człowieka, który pracował dla służb USA. To dzięki niemu na Amerykanów spadł cały splendor związany z rozbiciem siedmiu dużych wytwórni kokainy.

– Boże...

Ten sam człowiek dostarczył im informacji, które pomogły w przejęciu piętnastu dużych dostaw.

– Nawet... Tumaco.

Niecały miesiąc przed wzięciem go do niewoli.

– I właśnie jego... zlikwidowaliśmy?

– Nie my... technicznie rzecz biorąc. Ale wyrok śmierci... tak, to my go wydaliśmy.

– Siedem wytwórni koki i piętnaście dostaw o wadze siedmiu ton albo więcej. Wszystkie pamiętam. Dostaliśmy za nie nagrody. Pamiętam nawet, jak Masterson wspominała mi o tym człowieku.

W KORYTARZACH W BIAŁYM Domu echo zawsze odbijało się od ścian inaczej niż w innych korytarzach. Crouse był o tym absolutnie przekonany. Myślał o tym za każdym razem, kiedy tu przychodził. Nie umiał jednak

rozstrzygnąć, czy echo rzeczywiście brzmi głośniej, czy też wrażenie to wynika z niezwyklej władzy, która istniała tylko tutaj i z każdym dniem rosła.

Jadłem tam z miski na brudnej ziemi i mam prawo wiedzieć!

Obcasy mocno stukwały o podłogę. *To znaczy, że tak naprawdę pracował dla mnie? To nie była ani złość, ani irytacja. I z mojego powodu zginął? To była raczej bezradność osoby, która posiada władzę. Mam prawo wiedzieć.*

Obaj bezimienni ochroniarze wstali z krzeseł natychmiast, gdy tylko ujrzeli, jak Crouse idzie korytarzem. Towarzyszyli mu do wyjścia, krok przed nim i krok za nim. Nagle Crouse się zatrzymał.

– Jeszcze nie skończyłem. Wrócę za pół godziny. – Odwrócił się i ruszył z powrotem.

Nie skręcił jednak w prawo w korytarz prowadzący do gabinetu wiceprezydent Thompson, tylko poszedł prosto, w stronę schodów. Od powrotu do domu jeszcze nie jechał windą. Trzy kondygnacje pod ziemią znajdowało się archiwum. Przywitał się z pracownikiem, który tam urzędował, i pokazał mu przepustkę, chociaż tamten niczego od niego nie żądał ani nie zadawał mu pytań. W powietrzu unosił się zapach papieru, teczek, segregatorów, kurzu.

Crouse nie uszedł daleko. Ściany... były coraz bliżej niego. Podobnie jak sufit, który opadał coraz niżej. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, nie mógł wyjść... Czuł smród unoszący się z dołu kloaczego, nad którym latały chmary wielkich, zielonych much. Smród uderzał w nozdrza... i ten zapach kwasu bijący od czarno-czerwonych mrówek, które oblepiły okoliczne bananowce i atakowały go, strzykając w jego kierunku moczem, który palił mu skórę, aż porobiły się na niej bąble... Czuł nawet zapach placka jukowego z serem w białej misce na podłodze klatki.

– Panie przewodniczący... czy coś się stało? Żle się pan poczuł?

Klatka. Trzeba z niej jak najszybciej wyjść.

– Dziękuję. Wszystko w porządku.

Crouse skinął strażnikowi głową i wszedł w głąb archiwum. Spacer przez stulecia.

Minął sekcję ze śledztwem w sprawie śmierci prezydenta Kennedy'ego, zerknął na regały z dokumentacją z czasów wojny w Wietnamie i na półki z białymi naklejkami oznakowanymi jako Afganistan, Izrael albo Irak. Prawie na samym końcu stały regały z segregatorami poświęconymi walce z narkotykami – Ostateczna Wojna z Narkotykami. I właśnie tam się zatrzymał. Przez pewien czas czegoś szukał, aż znalazł brązowy karton opisany ręcznie jako *Siódemka Kier*.

W rogu pomieszczenia stał niewielki stolik. Crouse usiadł przy nim i otworzył karton. Były w nim niebieskie teczki z DEA, zielone z FBI i czerwone z CIA. Wszystkie bardzo cienkie.

Znalazł też trzy płyty kompaktowe, z których jedną od razu wsunął do stacjonarnego komputera. Urządzenie stawiało opór i kilka razy wypłuło płytę, ale w końcu zaskoczyło.

Crouse od razu rozpoznał jego ruchy. Widział go wcześniej.

To właśnie w taki sposób spotkali się po raz pierwszy – za pośrednictwem satelity w siedzibie NGA. Siedział wtedy na krześle obok operatora, któremu podlegała Kolumbia.

Zaczął szukać dalej.

Luźne plastikowe koszulki, zszyte pliki dokumentów, małe i duże zdjęcia.

Przejrzał raport zawierający listę dwudziestu ośmiu anonimowych donosów, które jednoznacznie określały położenie Siódemki Kier w danym czasie i miejscu. Oficer prowadzący uznał jednak, że wszystkie miały ten sam cel – zmylić trop tych, którzy Siódemki poszukiwali.

Przejrzał też raport dotyczący patrolu żołnierzy z jednostki Delta Force, którzy zlokalizowali obiekt w burdelu w Cali i szykowali się do akcji. Brakowało jednak dalszej części, było tylko trochę dodatkowych dokumentów,

cztery nazwiska z przypisanymi im stopniami wojskowymi oraz skrótem MIA – *Missing in action*, zaginiony w akcji.

Przejrzał raport z ambasady Stanów Zjednoczonych w Bogocie. Jego autorem był Jonathan Woods, Szef Sekcji Walki z Narkotykami. Woods wyczerpująco opisał zwłoki mężczyzny, które później uznano za El Sueco, to znaczy Siódemkę Kier. Według niego ciało dostarczył komisarz szwedzkiej policji kryminalnej, który akurat przebywał w Kolumbii na urlopie. Zwłoki znajdowały się w bagażniku samochodu z wypożyczalni.

Na końcu Crouse wyjął z pudełka raport lekarza medycyny sądowej. Opisano w nim wzrost, wagę i budowę ciała. Lekarz stwierdził, że są one zgodne z dostępnym *materiałem wizualnym*.

W raporcie znajdował się też opis tatuażu, który wyglądem, rozmiarami i usytuowaniem odpowiadał tatuażowi Siódemki Kier.

Lekarz stwierdził, że przyczyną śmierci była asfiksja. Ustalił to na podstawie nabrzmiałej i sinej twarzy, opuchniętego języka, licznych wybroczyn wielkości ziaren ryżu w oczach i błonie śluzowej, wybroczyn w kształcie pręg w mięśniach szyi, na tarczycy i dziąsłach. Całkowity obraz obrażeń odniesionych przez ofiarę wskazywał na uduszenie za pomocą pętli.

Na samym końcu znajdowała się uwaga, że ofierze brakowało wskazującego i środkowego palca lewej dłoni.

Crouse wstał od stolika i znowu cały poczerwieniał, chociaż nawet tego nie zauważył. Ponownie zaczął drzeć. Poczuł się tak samo jak przed chwilą, gdy obserwował tamte ruchy. Było coś, co rozpoznał.

– Czy mogę poprosić o wodę?

Ostatni fragment orzeczenia lekarskiego przeczytał jeszcze raz: ofiara była pozbawiona dwóch palców lewej dłoni, wskazującego i środkowego.

– Proszę. Szklanka wody.

Tego nie wiedzieliśmy i dlatego ten szczegół nie znalazł się w twoim liście gończym. A ty mi o tym powiedziałaś.

Wtedy. W dżungli. Kiedy się ze mną przywitałeś. Dzisiaj znalazłem potwierdzenie.

Strażnik stał odwrócony plecami na samym końcu wąskiego korytarza, tuż przed wejściem do archiwum. Mimo to przyniesienie dzbanka wody i dużego kubka nie zabrało mu dużo czasu. Strażnik napełnił go, a Crouse przez cały czas się zastanawiał, jakim cudem strażnik zdążył tak szybko i skąd wytrzasnął naczynia.

Woda schłodziła mu usta, gardło, pierś.

Strażnik dołał mu i bezszelestnie oddalił się na swoje miejsce.

Crouse stał nieruchomo.

JEST PAN BEZPIECZNY, *señor Crouse*.

Tak, to te same ruchy.

Zabierzemy pana stąd, señor Crouse. Z powrotem do pańskiego kraju.

Ten, który był nieobecny. Ten, którego Crouse rozpoznał.

TO BYŁEŚ TY. PRZY UDZIE miałeś butelkę polową z jakimś płynem, a obie drażetki ze środkiem usypiającym trzymałeś w okaleczonej dłoni.

To ty mnie uratowałeś i przywróciłeś do życia. W twojej dłoni brakowało dwóch palców. A my skazaliśmy cię na śmierć.

KOLEJNE CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

PRZEDPOŁUDNIOWA MGŁA, CIEPŁO, wilgotne powietrze. Hoffmann zdjął kurtkę, którą przed chwilą włożył, i przeciągnął ręką po włosach, które przed chwilą uczesał. Był zdenerwowany. Pobyt w więzieniu, w całkiem innej rzeczywistości, sprawia, że ludzie tak się czasem zachowują.

Odległość między główną portiernią a bramą wyjściową wynosiła najwyżej dwadzieścia metrów, ale dla niego mogło to być i tysiąc kilometrów. Za murami najważniejsze jest zawsze to, żeby zamrozić czas, zapomnieć, że istnieje i mija. Dla kogoś, kto siedzi w więzieniu, najważniejsze jest chyba to, jak sobie poradzi z upływającym czasem i tęsknotą, bo przecież za murami życie toczy się normalnym trybem. Zofii i synom powiedział, że podczas odsiadki mają go nie odwiedzać. Nie chciał też, żeby przyszli tu dzisiaj, gdy miał wyjść na wolność. Wolał się z nimi spotkać dopiero wtedy, gdy stanie w progu ich wspólnego domu w Enskede. Przez tę jedną godzinę musiał pobyć sam – od momentu, gdy przejdzie z jednej rzeczywistości do drugiej, gdy z człowieka osadzonego w celi stanie się człowiekiem wolnym. Musi pobyć choć trochę bez nich, żeby móc stać się jednym z nich.

Siedemnaście metrów. Dokładnie policzył kroki od portierni do bramy. Po drugiej stronie czekał na niego Grens.

– Witaj na wolności.

– Dziękuję.

– Jak było?

– Nie chce pan wiedzieć. Bo nic to pana nie obchodzi. To nic. Mnie też nie obchodzi, co słyhać u pana. Za to na pewno chce pan usłyszeć, że miło spędzaliśmy czas na oddziale, ja i pańscy byli przełożeni. Zdziwili się, gdy zobaczyli mnie żywego.

Szli obok siebie do służbowego samochodu, który Grens zamówił specjalnie na tę okazję. Był to jeden z czarnych,

nieoznakowanych pojazdów, jakimi dysponuje policja. W tym wypadku nie chodziło przecież o transport więźnia.

– Zgadza się. Właśnie to wszystko chciałem usłyszeć.

Hoffmann położył na tylnym siedzeniu reklamówkę z kilkoma drobiazgami, a Grens wyjechał z parkingu, kierując się do głównej drogi. W lusterku wstecznym szybko znikwały kolejne partie muru zabezpieczonego podwójnym pierścieniem drutu kolczastego. W końcu mur stał się tylko pozostawianą daleko w tyle przeszłością. Tym razem już na zawsze. Hoffmann obiecał sobie, że nigdy więcej nie trafi za kraty, nie pozwoli się nikomu wykorzystać i nigdy nie wpadnie w sidła kłamstw. Drzewa, które mijali, były prawdziwe, podobnie jak widoczne w oddali dzielnice mieszkalne i ludzie, którzy byli w ciągłym ruchu. Już wkrótce on też stanie się częścią tej rzeczywistości.

Nie rozmawiali ze sobą za dużo. Nic ich już nie łączyło i w przyszłości też nic ich nie połączy. Nie było powodu, by ich drogi znowu się zeszyły. Zmierzali do celu trwającej od trzech lat podróży i liczyło się tylko to, żeby zakończyli ją razem. Nic więcej.

Kiedy wjechali do Sztokholmu, Hoffmann poczuł miłe łaskotanie w brzuchu. Przypomniało mu się, jak wiele razy przenosił się w myślach w to miejsce, byle tylko wytrzymać. Starał się wtedy znaleźć jakieś odniesienia do rodzinnego miasta, chociaż przebywał w dżungli wśród zakładników, odwiedzał wytwórnie kokainy, spędzał czas w otoczeniu młodocianych zabójców albo w kostnicach, gdzie można kupić miejsce dla pozbawionych tożsamości zwłok, które później ktoś pokroi.

Zmierzali na południe, został im ostatni kawałek drogi. Minęli Slussen, Gullmarsplan i wjechali na drogę do Nynäsvägen. Wyglądało na to, że Grens dobrze się przygotował do tego wyjazdu, bo nagle skręcił w wąską ulicę, minął kwiaciarnię i wjechał do dzielnicy willowej, typowej dla klasy średniej. To właśnie tam mieszkała kiedyś rodzina Hoffmana. I teraz znowu tam mieszka.

Hoffmann rozplakał się na widok ogrodzenia i ogrodu. Zobaczył rowerki Rasmusa i Emila, bramki do gry w piłkę i nawet w żywopłocie była ta sama dziura, przez którą chłopcy się przeciskali, żeby skrócić sobie o kilka kroków drogę do sąsiadów.

Grens zaparkował przed otwartą na oścież furtką. Po tylu latach była już bardzo zardzewiała. Hoffmann wysiadł z wozu, obszedł go i przez opuszczoną szybę podał komisarzowi rękę.

– Dziękuję za wszystko.

– Opiekuj się rodziną, czekają na ciebie. Od tej pory już nic wam nie grozi. Będziecie mogli prowadzić codzienne, nudne życie. A my chyba już nigdy się nie spotkamy, prawda?

Grens uścisnął Hoffmannowi dłoń i uśmiechnął się do niego.

– W bagażniku leży twoja walizka. Przez cały czas stała grzecznie w moim pokoju między kanapą a szafą z mundurami. I nawet ani razu do niej nie zajrzałem.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Nic by się nie stało. To co jest w środku, nie jest nic warte.

Kiedy Grens odjechał, Hoffmann stał przez chwilę przy zardzewiałej furtce. Zerknął na okna i wydawało mu się, że zobaczył kogoś w kuchni. A może to był tylko cień jabłoni, który tańczył na szybie?

Wziął do ręki walizkę i ruszył z nią do drzwi wejściowych, na których wisiała tabliczka z ich nazwiskiem. Kazał ją zrobić tego samego dnia, w którym tu zamieszkali. Kilka razy uniósł walizkę, jakby chciał ją zważyć. Razem z nic niewartą zawartością ważyła około siedmiu, ośmiu kilogramów. Wiedział jednak, że to, co ma wartość, waży dokładnie trzy kilogramy. To co pomoże im kolejny raz zacząć życie od nowa.

Kiedy za dwa dni ich dzieci wezmą tornistry i pójdą na lekcje, a Zofia pojedzie do szkoły, żeby zastąpić nauczyciela hiszpańskiego, on zabierze pustą walizkę do piwnicy

i zajmie się brązową skórą, z której jest wykonana. Carlos, chemik z Cali, tak długo ją preparował, aż pozbawił ją zapachu. Weźmie plastikowy zbiornik i wymiesza ze sobą eter, nadmanganian potasu, kwas siarkowy i dwa inne związki chemiczne, żeby to, co kryje skóra, przywrócić do życia, zamienić ją w gęstą masę, podgrzać do temperatury trzydziestu siedmiu stopni, a potem poczekać, aż wyschnie. To będzie tak mocna kokaina, jakiej świat nie widział.

Z trzech kilogramów zrobi dziewięć, bo właśnie prochy o takim stężeniu sprzedawał dawniej w centrum Sztokholmu. Świetnie mu szło. Dziewięć kilogramów, siedemdziesiąt pięć euro za gram. Ponad sześć milionów koron.

Otworzył drzwi i usłyszał ich głosy.

Był w domu.

OD AUTORÓW

Kiedy autorzy książek próbują na poważnie opisywać przestępczość, jakiej doświadczamy w naszych czasach, muszą wcześniej czy później udać się tam, gdzie wszystko bierze swój początek.

Do tego, co napędza innych.

Ewert Grens tak to określił:

„Chciałoby się powiedzieć, że narkotyki napędzają nie tylko całą przestępczość, ale sterują całym naszym społeczeństwem! Jak tak o tym myślę, to się czasem zastanawiam, czy komuś zależy, żeby z tym skończyć? Przecież tyle ludzi z tego żyje!”

Potem, kiedy to wszystko trzeba opisać w książce, nie da się tego zrobić, nie opisując aktów przemocy.

Ktoś policzył, że w naszych sześciu pierwszych książkach uśmierciliśmy stosunkowo niewiele postaci w porównaniu z innymi, bardziej krwawymi powieściami. W naszym przypadku wypada średnio 1,9 zabitego na książkę.

Tak było do tej pory, bo w *Trzech minutach* ofiar jest znacznie więcej.

Tego wymagała opowieść.

Chcieliśmy pokazać, jakie warunki i konsekwencje towarzyszą narkotykom.

I jak wygląda życie podporządkowane zyskom.

WIELKIE PODZIĘKOWANIA OD AUTORÓW

S. – za to, że przez tak długi czas i tak dogłębnie prowadziłeś nas przez swój niepowtarzalny świat i pozwoliłeś nam stać się jego częścią. Pokazałeś nam rzeczywistość, którą inni rzadko mają okazję ujrzeć.

Lasse Zernellowi, naczelnemu redaktorowi „Allt om Vetenskap”, za jego wiedzę o satelitach i różnych gadżetach, których potrzebują informatorzy pracujący w dżungli.

Christerowi Lingströmowi – właścicielowi Michelinguidestjärne.

Bertramowi Söderlundowi – ekspertowi od napojów za podzielenie się wiedzą o rocznikach win i brzoskwiniach, a także innych elementach na ogół spartańskiej diety komisarza policji kryminalnej Grensa.

Andersowi – za fachową wiedzę o U-Bootach i lotniskowcach, jak również o sposobach ich zmylenia.

Lasse Lagergrenowi – za wiedzę o tym, jak tatuuje się zwłoki, i za odpowiedzi na wiele innych fachowych pytań z dziedziny medycyny.

Kerstin Skarp – zastępczyni prokuratora krajowego, za wyjaśnienie nam, co zrobić, żeby fikcyjny zabójca, który uciekł z więzienia, dostał krótki wyrok.

Fii Roslund – dziękujemy, że przy nas byłaś podczas całego procesu pisania tej książki.

Niclasowi Breimarowi – za rozsądne komentarze do tekstu.

Ericowi Thunforsowi – za projekt okładki, która jak zwykle bardzo nam się podoba.

Annie Silberstein i Astrid Sivander – za duży wysiłek włożony w korektę tekstu.

Na słowa naszego podziękowania zasługują też:

Mattias Boström, Cherie Fusser, Lasse Jexell, Madeleine Lawass, Christna Kivi, Anders Olofsson, Anna Carin Sigling, Ann-Marie Skarp i Lottis Wahlöö z wydawnictwa Piratförlaget – tylko dlatego, że was kochamy.

Federico Ambrosini, Julia Angelin, Malin Gyllenhammar Broman, Anna Carlander, Josefine Johansson Cavalera, Marie Gyllenhammar, Tor Jonasson, Karolina Larsson, Karin Lindgren, Joel Pettersson, August Modin z Salomonsson Agency – dziękujemy za Wasze wysokie kompetencje, jak również za to, że jesteście zawsze przy nas, w Szwecji i nie tylko.

Anna Hirvi Sigurdsson – za wiele dodatkowych godzin, które spędziłaś z tekstem.

Szczególne podziękowania kierujemy do naszego agenta literackiego, Niclasa Salomonssona.

Szczególne słowa podziękowania kierujemy do Sofii Brattselius Thunfors, która jest naszym wydawcą.

DEKLARACJA AUTORÓW

Dziesięć procent honorarium z tej książki autorzy Anders Roslund i Börge Hellström przeznaczą w formie darowizny na rzecz stowarzyszenia Stockholms Läns Familjeförening, za jego fantastyczną pracę w Altos De La Florida. Dzięki paczkom żywnościowym, które stowarzyszenie przekazuje, oraz opiece, jaką sprawuje nad ludźmi, warunki do godnego życia stają się tam znacznie lepsze.